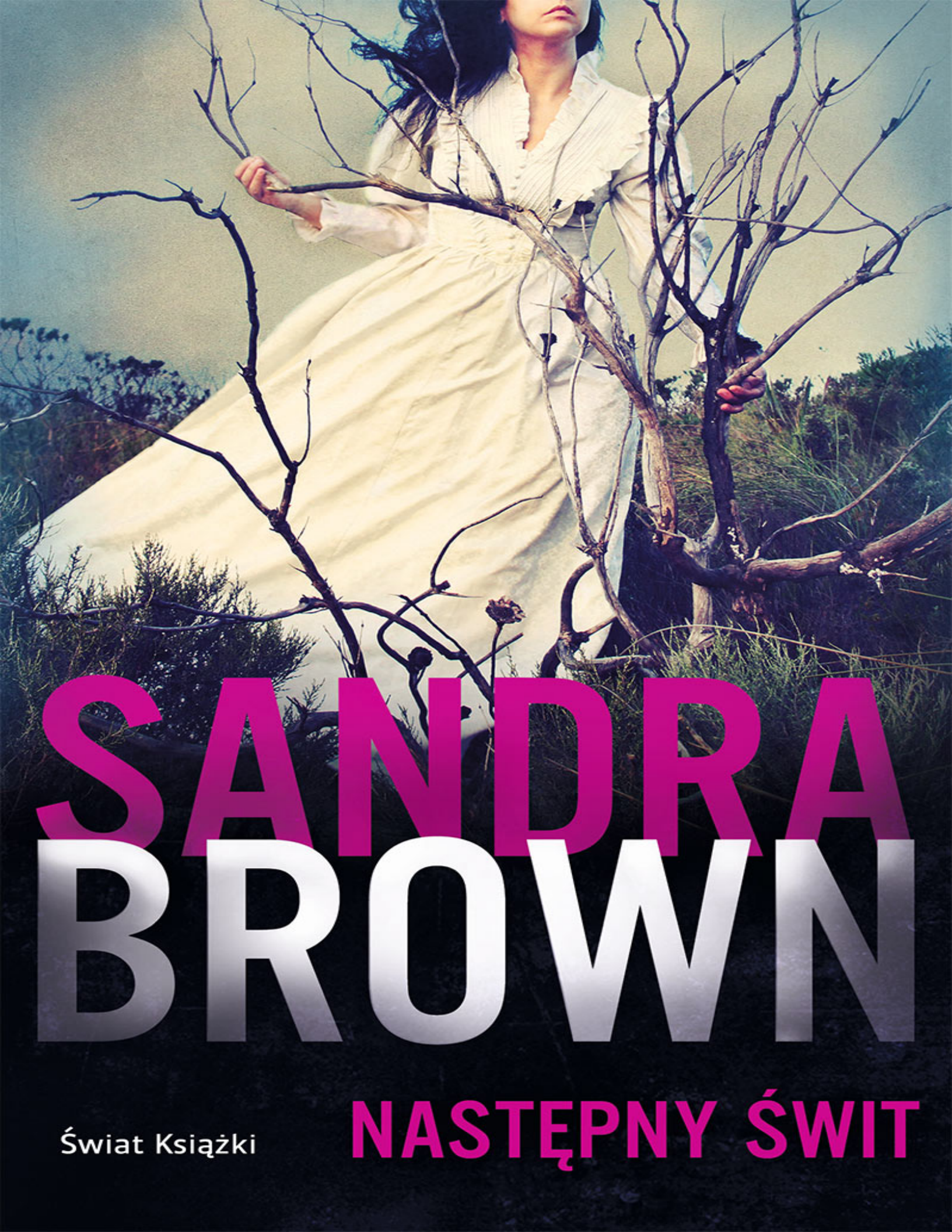

SANDRA BROWN

NASTĘPNY ŚWIT

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

SANDRA BROWN

NASTĘPNY ŚWIT

Z angielskiego przełożył
Franciszek Skomski

Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
ANOTHER DAWN

Wydawca
Agnieszka Koszałka

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Korekta
Michał Markiewicz

By arrangement with Maria Carvainis Agency, INC. and Prava i Prevodi. Translated from the English *Another Dawn*, Copyright © 1985 by Sandra Brown.
First published in the United States by Bantam Books, New York.
Copyright © for the Polish translation by Franciszek Skomski 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Piotr Trzebiecki

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-219-7

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 2473858

Prolog

Gracz poderwał się, niezgrabnie wyciągnął rewolwer, odbezpieczył go i wymierzył. Nogami oparł się o brzeg stołu, aż zadzwoniły pełne napoju szklanki, a jedna się wywróciła. Cygaro spadło z popielniczki na stół i wypaliło dziurę w zielonym suknie.

Jake Langston westchnął zniecierpliwiony; wszedł tu, by pograć w pokera, wypić kilka drinków, zabawić się z dziewczynkami na piętrze. Chciał zabić czas, jaki mu pozostał do odjazdu pociągu. Tymczasem niezamierzenie wmieszał się w spór z jednym z graczy o nazwisku Kermit czy coś w tym rodzaju, który miał chyba większą wprawę w prowadzeniu pługa niż w posługiwaniu się pistoletem.

– Nazwałeś mnie oszustem! – wrzeszczał farmer.

Nieprzyzwyczajony do alkoholu, poza tradycyjnym sobotnim piwem po całotygodniowej harówce, nie trzymał się zbyt pewnie na nogach; wyglądał jak marynarz na pokładzie statku podczas sztormu. Twarz miał czerwoną i spoconą. Rewolwer wycelował w pierś Jake'a, ale zataczał nim nieregularne kółka.

– Powiedziałem jedynie, że chciałbym zobaczyć naraz wszystkie asy, które trzymasz w rękawie, a nie żebyś wyciągał po jednym w każdym rozdaniu.

Z denerwującą nonszalancją Jake wyciągnął rękę w kierunku swojej szklanki whisky stojącej tuż pod lufą rewolweru, ujął ją beztrosko i pociągnął potężny łyk.

Farmer nerwowo rozejrzał się po sali. Zrozumiał nagle, że robi z siebie cyrk. Nikt się nie poruszał. Pianista na pierwsze oznaki bójki przestał grać. Inni, niczym fale powstałe od rzuconego do jeziora kamienia, spokojnie oddalali się od pokerowego stołu.

Farmer chciał przestraszyć Jake'a.

– Kłamiesz! Nie oszukiwałem! Sprawdź!

– W porządku.

Wszystko odbyło się tak błyskawicznie, że tylko stojący najbliżej mogli później zaświadczyć, jak potoczyły się wypadki. Jednym szybkim ruchem Jake odrzucił swoje krzesło, ręką podbił wymierzony w siebie rewolwer, posyłając go w przeciwny koniec sali, a drugą ręką wyciągnął swój i lufą dotknął czubka nosa przerażonego farmera. Kermit znieruchomiał i bezskutecznie starał się przełknąć ślinę. Miał przed sobą oczy tak porażające i zimne jak sople lodu zwisające z dachu w mroźny poranek styczniowy. Przerażały bardziej niż wymierzony w twarz rewolwer. Spoglądał na sylwetkę Jake'a, lżejszego od niego o co najmniej czterdzieści funtów, ale gibkiego i muskularnego.

– Weź połowę z leżących przed tobą pieniędzy. Więcej ci się nie należy. Najwyżej tyle mogłeś wygrać bez kantowania.

Drżącymi rękami farmer zaczął zbierać monety i banknoty i chować je do kieszeni spodni. Poczuł się jak lis odgryzający sobie łapę, by wydostać się z potrzasku.

– A teraz ostrożnie, dwoma palcami podnieś rewolwer i wynoś się stąd.

Kermit zrobił dokładnie to, co słyszał; chyba tylko cudem udało mu się opuścić kurek i schować rewolwer do olstra.

– Radzę ci nie zjawiać się tu wcześniej, aż nauczysz się oszukiwać tak, by nikt cię na tym nie przyłapał.

Farmer był równie upokorzony co szczęśliwy, że w ogóle jeszcze oddycha, że nawet nie jest ranny i że nie wróci bez grosza do domu do jędzowatej żony. Wyszedł z baru z mocnym postanowieniem omijania go w przyszłości.

Pianista podjął przerwaną wesołą melodyjkę. Krupierzy powrócili do stołów, kiwając z podziwem głowami. Gracze zapalili na nowo pozostawione w popielniczkach cygara, a barman zaczął napełniać szklanki.

– Przepraszam za przerwę i zamieszanie – rzekł Jake, zwracając się do siedzących już przy stole graczy, i zebrał swoją wygraną.

– Podzielcie się resztą. – Wskazał na pieniądze pozostawione przez farmera.

– Dzięki, Jake.

– Mogłeś go ukatrupić za to wymachiwanie spluwą… w taki sposób. Byśmy za tobą świadczyli.

– Pieprzony kmiot.

Jake wzruszył ramionami, odwrócił się i odszedł. Wyjął z kieszeni koszuli cienkie cygaro, odgryzł koniec, wypluł na podłogę. Potarł zapałkę o paznokieć, od niej zapalił cygaro i skierował się do baru, ciągnącego się przez całą szerokość sali. Fama niosła, że dostarczono go w kawałkach z St. Louis do Fort Worth, a tu zmontowano go tak precyzyjnie, iż nie było śladu, że kiedyś był rozbierany. Zdobiły go fikuśne rzeźby, lustra i różne świecidełka. Szklanki i butelki zajmowały każdy cal nadającej się do tego powierzchni. Całość była utrzymana na wysoki połysk. Właścicielka lokalu nie znosiła kurzu.

W strategicznych punktach, wzdłuż mosiężnej poręczy, rozmieszczono spluwaczki; plucie na podłogę w Ogrodzie Edenu Priscilli Watkin było surowo wzbronione. Podkreślały to misternie wykonane tabliczki umieszczone na ścianach baru w równych odstępach.

Jake uśmiechnął się do siebie. Wywoskowana podłoga została skażona popiołem z jego cygara. Znajdował jakieś przewrotne zadowolenie w tym, że jego buty zostawiają wyraźne ślady na czymś, z czego „mama” była taka dumna.

Priscilla.

W momencie, gdy wspomniał to imię, jego właścicielka pojawiła się na samym szczycie kręconych schodów. Ubrana w jasnoczerwoną długą suknię, oblamowaną czarną koronką, musiała zwrócić na siebie uwagę każdego mężczyzny. Tak było zawsze. Kiedy Jake spotkał ją po raz pierwszy jakieś dwadzieścia lat temu, miała na sobie spraną perkalową sukienczynę. Wtedy jednak też przyciągała męskie spojrzenia.

Popielatoblond włosy, związane jedynie czerwoną wstążką, pod kolor delikatnych kolczyków wpiętych w uszy, upięła wysoko na głowie. Głowę nosiła po królewsku.

Ten „wesoły dom" był jej królestwem. Rządziła nim twardą ręką. Jeżeli klientom czy zatrudnionym tu dziewczynom jej sposób prowadzenia lokalu nie odpowiadał, usuwała ich delikatnie, lecz stanowczo. Ale cały Teksas wiedział, że Ogród Edenu w Fort Worth w roku 1890 jest najlepszym domem publicznym w tym stanie.

Zaczęła schodzić dumnie wyprostowana, pozostawiając za sobą zapach drogich, sprowadzanych z Paryża perfum. Podeszła do baru w momencie, gdy Jake podnosił szklankę do ust.

– Jesteś mi winien klienta, panie Langston.

Mężczyzna nawet nie spojrzał w jej kierunku. Skinął na barmana, by ponownie napełnił szklankę.

– Chyba możesz sobie pozwolić na stratę kilku z nich, Pris.

Takie traktowanie i odzywki bardzo ją irytowały. Jemu natomiast sprawiały taką samą radość jak brudzenie jej wypolerowanej podłogi. Na coś podobnego mogli sobie pozwolić jedynie najstarsi przyjaciele.

Czy byli przyjaciółmi? Może raczej wrogami? Tak naprawdę nie wiedział.

– Dlaczego miesiącami wszystko idzie gładko, a skoro tylko ty się pojawisz, zaraz są jakieś kłopoty?

– Czyżby?

– Zawsze.

– Ten kmiotek groził mi spluwą. Co według ciebie miałem zrobić? Nadstawić mu policzek?

– Sprowokowałeś go.

– On szachrował.

– Nie życzę sobie żadnych kłopotów. Szeryf był tu już dwa razy w tym tygodniu.

– Za interesem czy przyjemnością?

– Mówię poważnie, Jake. Co poniektórzy chętnie by mnie…

– W porządku, Pris. Przepraszam. Przykro mi.

Podniosła głowę i zaśmiała się.

– We wszystko uwierzę, tylko nie w to, że ci przykro. Wywołujesz albo burdy przy kartach, albo awantury wśród moich dziewczyn…

– Coś ty?

– Tłuką się między sobą o ciebie; dobrze o tym wiesz. Spojrzał na nią i roześmiał się.

– Tłuką się? O, kurczę!

Ceniła jego wygląd na równi z arogancją, której nabył przez lata ich znajomości. To nie był zahukany chłopiec. To był mężczyzna. I fakt ten musieli uznawać inni mężczyźni, kobiety zaś chętnie to potwierdzały. Wachlarzem z piór dotknęła jego piersi.

– Szkodzisz mi tylko w tym interesie.

Nachylając się poufale do jej ucha, szepnął:

– To jaki jest powód, że tak się cieszysz, ilekroć tu jestem?

Usta Priscilli stężały na moment, ale natychmiast zdobyła się na uśmiech.

– W swoim pokoju mam lepszą whisky niż ta, którą pijesz. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Chodź.

Głowy zebranych w barze odwracały się w kierunku tych dwojga przechodzących przez pomieszczenie. Nie było tu ani jednego mężczyzny, który potrafiłby się oprzeć wdziękom Priscilli. Była pociągająca w jakiś lubieżny, zmysłowy sposób, a opowieści o tym, co potrafi w łóżku, tworzyły wokół niej legendę. Na pewno było w nich dużo przesady, ale zawierały też trochę prawdy. Mężowie z całą pewnością nie tolerowaliby u swoich żon takich uwodzicielskich spojrzeń, natomiast bardzo im się podobały takie spojrzenia u tych wesołych dziewczynek.

Te pragnienia rodziły się nie z przeżyć i doświadczeń, ale z zasłyszanych opowiadań uzupełnianych własną fantazją. Bardzo niewielu osobiście wypróbowało umiejętności Priscilli. Była wybredna. Nawet jeśli niektórzy z nich byli w stanie zapłacić tyle, ile chciała, wybierała tych, na których

sama miała ochotę. Tylko oni dostępowali zaszczytu przekroczenia progu zamkniętego zwykle pokoju na zapleczu, kryjącego tajemnice.

W tym momencie każdy z mężczyzn obecnych w barze zazdrościł Jake'owi Langstonowi. Czuł na sobie ich spojrzenia, a także pożądliwy wzrok pracujących tu dziewczyn. One znały wartość dolara. Musiały być praktyczne, i były, lecz każda z nich natychmiast poświęciłaby kilka banknotów i za darmo „popracowała" z takim kowbojem jak Jake Langston.

Był wąski w biodrach i poruszał się z gracją. Obcisłe spodnie uwydatniały szczupłe pośladki i uda. Pas z rewolwerem, zapięty nisko na biodrach, podkreślał jego męskość. Mężczyźni czuli respekt przed jego umiejętnością posługiwania się bronią. Kobiety podniecała tajemniczość, która w połączeniu z aurą niebezpieczeństwa nawet u szacownych matron budziła dreszczyk emocji.

Miał szerokie ramiona i klatkę piersiową, podkreślające doskonale proporcjonalną budowę jego ciała. On nie chodził – on się poruszał. Dziewczyny, które gościły go w swoim pokoju, przysięgały, że we wszystkim był tak samo dobry.

Priscilla wyjęła klucz zza stanika i otworzyła drzwi do swych prywatnych apartamentów. Po wejściu do pokoju rzuciła wachlarz na stolik i z kryształowej karafki nalała Jake'owi drinka. Zamknął drzwi z charakterystycznym trzaskiem, a ona nie spuszczała z niego wzroku. Starała się opanować przyspieszone bicie serca.

Co to będzie za noc?

Jej pokój mógł należeć do każdej szanującej się gospodyni. Z jednym wyjątkiem: wiszącego na ścianie obrazu zupełnie nagiej Priscilli. Była to pozostałość po kliencie malarzu, który malowaniem płacił za jej usługi. W grubych ramach, zdobił ścianę nad sofą krytą pluszem, na której leżała cała masa poduszek i poduszeczek. Zasłony w oknach, uszyte z mory, uformowano tak jak w szanujących się domach tego okresu. Stoły były nakryte koronkowymi serwetkami misternie wykonanymi, przypominającymi pajęczynę.

Lampy naftowe miały wielkie klosze, malowane w kwiaty. Z niektórych zwisały szklane wisiorki podzwaniające cichutko, gdy poruszył je przewiew. Gruby dywan pokrywał niemal całą podłogę. W rogu pokoju stał wysoki wazon z pękiem pawich piór, namalowano na nim pasterkę z gołym biustem trzymającą w gorącym uścisku zapatrzonego w dal pasterza.

Jake dokładnie przyglądał się pomieszczeniu. Zawsze go intrygowało, mimo że był tu kilka razy. Priscilla wyruszyła w świat jako zbuntowana córka despotycznej matki i potulnego ojca. Jake, zwany wtedy przez wszystkich Bubbą, miał ją wtedy i na pustym polu, i na zabłoconym trawniku. Miejsce nie grało roli: była dziwką i pozostała nią bez względu na to, gdzie uprawiała swój zawód.

Priscilla nie zdawała sobie sprawy z myśli chodzących mu po głowie. Podeszła ze szklanką i wyjęła mu z ust cygaro, zaciągnęła się nim głęboko, aż dym wniknął do płuc. Potem zrobiła długi wydech: dym niebieskawym obłoczkiem osiadł pod sufitem.

– Dziękuję. Nie pozwalam palić swoim dziewczętom, więc i mnie samej nie wypada tego robić. Chodźmy do sypialni; muszę się przebrać.

Poszedł za nią do pokoju obok. Pokój ten, zdobny cały w koronki, wybitnie kobiecy, zupełnie nie pasował do niej; była zbyt twarda, by wtopić się w ten miękki wystrój. Jake wywnioskował, że była to jedna z niespodzianek, jakie serwowała swoim klientom.

– Pomóż mi, Jake.

Odwróciła się do niego plecami. Jake włożył do ust cygaro, przytrzymał je białymi, mocnymi zębami i przymknął oczy z powodu dymu. Odstawił na bok szklankę. Wolno rozpinał rząd haftek przy gorsecie sięgającym pasa. Kiedy skończył, zerknęła na niego ponad nagim ramieniem, podziękowała i odsunęła się.

Jake z ujmującym uśmiechem usiadł na obitej brokatem kanapie i wyciągnął na niej nogi, nie zważając na ostrogi i zabłocone buty.

– Co porabiałeś ostatnio?

Jake wydmuchnął piękne kółko dymu i sięgnął po szklankę.

– Pracowałem w Panhandle. Budowałem tam płot chyba do samego królestwa niebieskiego.

Zrzuciła z nóg pantofelki. Nie dbała o porządek. Pozostawiając poszczególne części garderoby tam, gdzie je zdjęła, przywiązywała do czynności rozbierania szczególną wagę. Mężczyźni, tak przynajmniej uważała, woleli dziewczynki, które nie dbają specjalnie o porządek, szczególnie tuż przed pójściem do łóżka; taka niedbałość nadawała płatnej miłości cechę spontaniczności.

– Czyżbyś stał się „obcążkowym"? – spytała z wyraźną kpiną.

„Obcążkowy" – takie miano przylgnęło do kowbojów, którzy po wygaśnięciu zapotrzebowania na dalekie przegony bydła, zostali zmuszani do podjęcia innej pracy. Często była to budowa płotów z drutu kolczastego, którymi otaczano poszczególne posiadłości.

– No cóż, przyzwyczaiłem się do jedzenia i takich tam rzeczy – odpowiedział beztrosko.

Jego spojrzeniu nie umknął żaden jej uwodzicielski gest.

Gorset miała zasznurowany bardzo ciasno, tak że wypychał do góry jej piersi, aż przezroczysta koszula ledwie mogła je pomieścić. Natura była dla niej szczodra. Jake dobrze o tym pamiętał.

Rozchylając szlafrok, siadła przed toaletką z wielkim lustrem pośrodku i dwoma mniejszymi po bokach, umożliwiającymi oglądanie się ze wszystkich stron. Tamponem z jagnięcej wełny poczęła nakładać warstwę pudru na szyję, ramiona, piersi.

– Masz wakacje?

Jake zaśmiał się niskim, gardłowym śmiechem.

– Nie. Zmogła mnie choroba od ciągłego oddychania kurzem ze szlaku. Skończyłem z tym.

– Co chcesz robić dalej?

Co planował? Włóczyć się, aż trafi się jakaś robota. To znaczy – robić dokładnie to, co czynił, od kiedy stał się dorosły. Zarabiał na rodeo trochę pieniędzy, które umożliwiały przeżycie jemu i koniowi. Czasem starczało na pokera, a czasem nawet na wstęp do Ogrodu Edenu.

– Ile przegonów masz za sobą? Straciłam już rachubę, ile razy byłeś w Fort Worth po marszach na północ.

– Ja też. Kilka razy byłem w Kansas City. Raz przeszedłem całe Kolorado; piękny stan, ale nie przepadam za nim – za zimno tam dla mnie.

Skrzyżował ręce na tyle głowy i delektował się widokiem, jaki przed nim roztaczała Priscilla: sutkom nadawała różowy, ponętny kolor przy pomocy specjalnej szminki.

– A jak z tobą? Ile lat musiałaś harować na ten dom?

– Pięć.

– A jakim kosztem?

W pierwszym odruchu chciała powiedzieć, że kosztem niezliczonych godzin leżenia pod spoconymi, niedomytymi ciałami farmerów, skarżących się na żony, które nie chciały mieć dzieci, a tym samym odmawiały wypełniania małżeńskich obowiązków. Albo pod prostackimi kowbojami, śmierdzącymi stajnią i bydłem.

Najpierw pracowała w Jefferson, ostatnim mieście przed granicą. Kiedy jednak przeciągnięto tam linię kolejową, przeniosła się do Fort Worth, gdzie krzyżowały się szlaki przegonów z całego Teksasu. Było to miasto pełne kowbojów, którzy nie mogli doczekać się chwili, gdy jak najszybciej wydadzą ciężko zarobione pieniądze.

Wykorzystała tę sytuację, ale uczciwie dawała klientom to wszystko, za co płacili. Czasem nawet więcej. Jej sława rosła i wkrótce mogła nawet zacząć oszczędzać. Kiedy uzbierała wystarczającą sumę, odwiedziła jednego ze swych stałych klientów – bankiera i z nim po cichu podpisała akt kupna domu, w którym pracowała. Poprzednią właścicielkę spłaciła, a sam dom przerobiła tak, że zaczęli się tu schodzić nie tylko kowboje, ale i właściciele stad. Nie szczędziła wydatków, toteż lokal wyglądał imponująco. Poza nienawiścią ze strony „porządnej" części mieszkańców, a zwłaszcza mieszkanek, jej „firma", ulokowana w dzielnicy zwanej Pół Akra Piekła, dawała takie dochody, że o stan swych finansów Priscilla nie musiała się martwić.

– Jeśli szukasz roboty, zawsze u mnie możesz zająć się kartami przy stole albo zostać krupierem przy ruletce.

Jake zaśmiał się i postawił pustą szklankę na stoliku obok kanapy.

– Nie, dziękuję, Priscillo. Jestem kowbojem i nie znoszę zamkniętych pomieszczeń. Poza tym, jak twierdzisz, gdybym tu został, twoje dziewczyny zupełnie by pogłupiały, a na to nie możesz sobie pozwolić, prawda?

Priscilla zmarszczyła brwi i pieczołowicie wciągała wąską czarną suknię. Czerwoną wstążkę, którą poprzednio miała we włosach, zamieniła na czarne pióro, przypięte spinką z górskim kryształem.

W lustrze odbijała się sylwetka Jake'a, więc przyglądała jej się z lubością, nakładając czarne, koronkowe rękawiczki, okrywające ręce po łokcie. Jake z chłopca przerodził się w dojrzałego, przystojnego mężczyznę. Nic dziwnego, że był zarozumiały. Jako chłopiec był bardzo jasnym blondynem. Teraz włosy odrobinę mu ściemniały, a na skroniach pojawiła się ledwie widoczna siwizna. Te siwe pasemka wabiły kobiety jak płomienie latarni przyciągają ćmy.

Skórę miał spaloną i suchą. Długie przebywanie na słońcu nadało jej miedziany odcień, który podkreślał błękit jego oczu. Działanie słońca, wiatru i deszczu wcale nie postarzyło tej twarzy, przeciwnie: czyniło ją bardziej pociągającą.

Był szorstki, gburowaty, uparty i niebezpieczny. Za kpiącym półuśmieszkiem zdawały się kryć jakieś sekrety. Dawał nim do zrozumienia, że nie zdradzi ich nawet za cenę życia. Jego zarozumiałość była wyzwaniem, któremu żadna kobieta nie potrafiła się oprzeć.

Priscilla pamiętała go jako chłopca, którego wprowadzała w arkana seksu. Ich kontakty były częste i gorące, momentami – twarde i bolesne. Jak by to było teraz?

– Długo tu zostajesz?

– Jeszcze dziś wieczornym pociągiem jadę do wschodniego Teksasu. Pamiętasz rodzinę Colemanów? Ich córka wychodzi jutro za mąż.

– Coleman? Ten ze szlaku? Zaraz, jak mu było na imię? Ross? Tak, Ross.

Priscilla doskonale wiedziała, kogo Jake ma na myśli, ale chciała się z nim podroczyć. To była swego rodzaju gra, w którą bawili się zawsze, ilekroć się spotykali.

– A jak nazywała się jego kobieta? Ta, którą z litości poślubił.

– Lydia – rzekł Jake sucho.

– Ach tak, Lydia. Chyba nie miała nazwiska, prawda? Często zastanawiałam się nad tym, co ona usiłuje zataić.

Z kryształowego flakonika wyjęła miniaturowy koreczek i perfumowała się za uszami, na karku, na nadgarstkach i piersiach.

– Słyszałam, że całkiem dobrze wyszli na hodowli koni.

– Tak. Moja matka mieszka w posiadłości Colemanów. Także mój młodszy brat, Micah.

– Ten mały urwis?

– Jest już dorosły. To jeden z najlepszych ujeżdżaczy koni, jakich znam.

– A co się stało z niemowlęciem Colemana? Z tym, które Lydia karmiła piersią, nim wyszła za mąż?

Jake zamilkł na chwilę; takie pytanie z jej strony było dla niego obrazą. W końcu powiedział:

– Lee. On i Micah są nierozłączni. I razem stwarzają piekielnie dużo kłopotów.

Priscilla z upodobaniem przyglądała się swemu odbiciu w lustrze.

– Więc Ross i Lydia mają córkę na wydaniu?

– Prawie. Kiedy widziałem ją ostatni raz, miała jeszcze warkoczyki, ganiała z chłopakami i zakładała się z nimi, kto najdalej splunie.

– Istny sowizdrzał! – stwierdziła Priscilla z zadowoleniem.

Pamiętała czasy, kiedy Jake robił do Lydii słodkie oczy. Zresztą wszyscy mężczyźni na szlaku zachowywali się tak samo. Gdyby Lydia nie wyszła za Colemana, Priscilla widziałaby w niej poważną rywalkę. Teraz z przyjemnością myślała o córce Lydii jako o sowizdrzale i postrzeleńcu.

– Sądzę jednak, że skoro wychodzi za mąż, to musiała się nieco zmienić.

Priscilla chwyciła wachlarz i obróciła się twarzą do Jake'a.

– No i?...

Suknię miała mocno dopasowaną w talii, z dekoltem tak szerokim i głębokim, że koronki ledwie okrywały biust, a uróżowione szminką sutki były pod nimi wyraźnie widoczne. Z przodu suknia była troszeczkę krótsza i odsłaniała aksamitne pantofelki. Z tyłu ciągnął się za nią mały tren.

Jake obserwował ją z cynicznym uśmieszkiem.

– Bardzo ładnie. Wiesz, że zawsze uważałem cię za najpiękniejszą dziwkę, jaką kiedykolwiek widziałem?

Zauważył gniewny błysk w szarych oczach. Ujął ją delikatnie za rękę i posadził na kanapie obok siebie. Po chwili wachlarz pofrunął przez pokój i wylądował gdzieś na podłodze. Piórko, dopiero co wpięte we włosy, zostało połamane. W tym momencie Priscilla nie dbała o nic, szczęśliwa, że znalazła się blisko Jake'a.

– Przyznaj się, że to dla mnie stroiłaś się przez cały wieczór, co Pris? Dobra, co ci się należy, to cię nie minie.

Rozebrał ją wprawnymi ruchami. Zdjął buty. Rozpinając pasek od spodni, mimochodem spojrzał na zegarek.

– O, przepraszam, ale za kilka minut mam pociąg. Muszę go złapać.

– Ty sukinsynu! Czekaj, to ci nie ujdzie na sucho! – krzyknęła wściekła.

– To tak, według ciebie, rozmawia ze sobą para przyjaciół? – Zaśmiał się.

Priscilla straciła panowanie nad sobą.

– Ty durny krowiarzu, ty gnojku, ty zasrańcu! Pewnie myślałeś, że ja naprawdę chciałam się z tobą kochać?!

– Jasne, i chyba się nie myliłem. – Pokiwał jej ręką od drzwi. – Przykro mi, że cię zawiodłem.

– Może już nie jestem dość dobra dla ciebie, co?!

Rozejrzał się dokoła.

– Jesteś dobra. Zbyt dobra. Najlepsza. I dlatego cię nie chcę, ponieważ jesteś najlepszą dziwką w całym Teksasie.

– Zawsze spałeś jedynie z dziwkami. Z nikim innym.

– Tak, ale póki się ich nie zna, można sobie wyobrażać, że to ktoś inny. Mogę sobie wyimaginować, że jestem dla każdej tym jednym, jedynym. Ty

jesteś dziwką, odkąd cię poznałem. Tuziny facetów przewinęło się przez twoje łóżko... A to wcale nie jest romantyczne.

W jej oczach zauważył siłą powstrzymywany gniew.

– To przez twojego brata, prawda? Nigdy sobie nie darujesz, że zamiast być przy nim, byłeś ze mną tego dnia, kiedy zginął.

– Zamknij się!

Powiedział to takim głosem, że się przeraziła. Cofnęła się i mówiła dalej:

– Jesteś ciągle dawnym gnojkiem z Tennessee. Nauczyłeś się dużo, potrafisz się lepiej wyrażać, twój temperament wzbudza respekt wśród mężczyzn. Potrafisz zadowolić kobietę, ale wewnątrz jesteś nadal tym samym Bubbą Langstonem – głupim wsiunem.

Zatrzymał się przy drzwiach. Jego wzrok przestał być łobuzerski i wesoły; stał się zimny i twardy.

– Nie, Priscillo, tego Bubby-chłopca dawno już nie ma.

Złość Priscilli minęła.

– Mam zamiar ci udowodnić, że wciąż mnie chcesz. Obiecuję ci to. Któregoś dnia przypomnisz sobie, jak między nami było, kiedy byliśmy młodzi i pełni wigoru, gorący, nienasyceni. To mogłoby wrócić. – Podeszła i położyła mu rękę na piersi. – Będę cię jeszcze miała, Jake.

Pamiętał doskonale ich pierwszy raz; tamto popołudnie wryło mu się w pamięć.

– Nie licz na to, Priscillo. – Odsunął jej rękę i zamknął za sobą drzwi jej prywatnego pokoju. Przez moment stał w miejscu, po czym ruszył w dół po schodach.

Wieczór powoli się rozkręcał i nabierał kolorów. Wyperfumowane dziewczyny snuły się między salą gry a pokojami, plotkując i śmiejąc się. Kilka z nich wpatrywało się w Jake'a wyczekująco. Uśmiechnął się, ale nie wykonał najmniejszego zachęcającego gestu. To nie to, że nie potrzebował kobiety; od kilku tygodni nie miał żadnej. Gdy nie skorzystał z zaoferowanych przez Priscillę wdzięków, nie zamierzał zadowolić się jakąś namiastką, choć nagość i zapach kobiecego ciała podziałały na niego podniecająco.

Co dalej? Kolejna szklanka? Jeszcze jedna partyjka pokera? A może jednak godzinka z którąś z dziewcząt i chwila zapomnienia?

– Cześć, Jake. – Podeszła jedna z dziewcząt i starała się nawiązać rozmowę. Należała do najstarszych.

– Cześć, Sugar – odpowiedział. – Jak leci?

– Nie mogę narzekać – odparła; z daleka było widać, że kłamie. Liczne zmarszczki, skryte pod grubą warstwą pudru, mówiły same za siebie.

– Nie chcesz, bym ci zrobiła dobrze, Jake? – spytała z nikłą nadzieją w głosie.

Na dobrą sprawę korciło go, by wziąć ją na górę, lecz przemógł się. Pokręcił przecząco głową.

– Innym razem. Ale może przyniesiesz mi kapelusz i siodło? Tu jest numerek.

Kiedy wróciła, dał jej pół dolara – znacznie więcej, niż jej przysługa była warta.

– Dziękuję, Sugar.

– Zawsze do usług, Jake. – Patrzyła na niego z nieskrywaną pożądliwością.

Nie – pomyślał. – Muszę złapać pociąg. Banner Coleman bierze jutro ślub.

Rozdział 1

Nadszedł dzień ślubu.

Banner Coleman czuła się prawdziwą panną młodą, kiedy tak stała w tyle kościoła, poza zasięgiem wzroku zebranych, za parawanem z kwiatów, i rozszerzonymi z radości oczami przyglądała się ludziom, którzy przybyli obejrzeć jej zaślubiny z Gradym Sheldonem.

Zaproszono niemal wszystkich mieszkańców Larsen i jeśli sądzić po tłumie szczelnie wypełniającym kościół, prawie wszyscy przyjęli zaproszenie i zjawili się odświętnie ubrani.

Banner lekko poruszała nogami, rozkoszując się szelestem, jaki przy tym wydawała jej suknia. Była z jedwabiu, zgodnie z obowiązującą modą dość wąska, przybrana szyfonem i koronką. Z tyłu kończyła się krótkim trenem. Karczek z tiulu, zapięty wysoko pod szyją, obszyty był perełkami. Koronkowy welon, który skromnie zasłaniał włosy i twarz, został sprowadzony aż z Nowego Jorku.

Na co dzień Banner preferowała ostre kolory, ale dziś suknia ślubna o barwie kości słoniowej doskonale harmonizowała z jej kruczoczarnymi włosami i ciemną karnacją. Jej twarz miała kolor dojrzałej brzoskwini, gdyż dziewczyna lubiła przebywać na słońcu i w przeciwieństwie do pań z towarzystwa – nie używała parasolki.

Po matce odziedziczyła na czubku nosa kilka piegów, które stały się powodem utyskiwania miejscowych dam. Życzliwe znajome ciągle jej radziły, by unikała słońca, a wtedy piegi nie będą się pojawiać. Banner jednak była zadowolona ze swej urody. Wiedziała, że nie jest klasyczną pięknością i wcale jej nie przeszkadzało kilka piegów na nosie. Matka też je miała, mimo to, lub może właśnie dlatego, była cudowna. Najpiękniejsze

w jej twarzy były oczy. Kolor ich Banner odziedziczyła po obojgu rodzicach. Ojciec miał zielone, matka koloru whisky, ona zaś – złote z zielonym odblaskiem. Najlepsze ich określenie to „kocie oczy".

Tłum stał wyczekująco i niespokojnie. Organista zaczął grać i muzyka wypełniła kościół. Radość przepełniła serce Banner i zabarwiła policzki ciepłymi rumieńcami. Była świadoma tego, że wygląda pięknie. Wiedziała też, że jest kochana.

Wszystkie wolne miejsca w kościele były już zajęte. W środkowej nawie służba kościelna ustawiała ludzi tak, aby wszyscy mogli się pomieścić. Na szczęście przez otwarte wielkie okna wiał lekki wiatr, który chłodził zebranych. Jak na wiosenne popołudnie było niezwykle ciepło. Panowie czuli się nieswojo w garniturach i zapiętych pod szyją koszulach. Panie ratowały się wachlarzami lub koronkowymi chusteczkami.

Zapach świeżych, rano ciętych róż wypełniał powietrze. Krople rosy zdawały się jeszcze okrywać aksamitne pąki. Banner wybrała do swego bukietu kwiaty we wszystkich kolorach, od ciemnej czerwieni po śnieżną biel. Jej trzy druhny, stojące razem kilka kroków od niej, były ubrane w długie różowe sukienki z szerokimi szarfami. Wydawały się tak kruche i delikatne jak kwiaty zdobiące kościół.

O piękniejszej uroczystości ślubnej Banner Coleman nawet nie mogła marzyć.

– Jesteś gotowa, księżniczko?

Odwróciła głowę i przez welon popatrzyła na ojca. Nie słyszała, jak podszedł do niej i stanął obok.

– Tatku, jesteś taki przystojny!

Ross Coleman obdarzył córkę uśmiechem, od którego niejednej kobiecie robiło się ciepło na sercu i miękko w kolanach. Z wiekiem stawał się coraz atrakcyjniejszy. Delikatna siwizna pokryła mu skronie i srebrne nitki pojawiły się też w wypielęgnowanych wąsach. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat był prosty i barczysty jak przed dwudziestu laty. Ciężka praca pozwoliła mu zachować szczupłą sylwetkę. Ubrany w czarny garnitur i białą koszulę z wysokim kołnierzykiem prezentował się znakomicie.

– Dziękuję – powiedział z lekkim ukłonem.

– Nie dziwię się, że mama za ciebie wyszła. Czy w dniu ślubu byłeś równie przystojny jak dziś?

Na moment uciekł oczami w bok.

– O ile pamiętam, to nie… – Przypomniał sobie grupę przemokniętych wędrowców zebranych wokół jego wozu, przestraszoną Lydię, która wyglądała, jakby w każdej chwili miała zamiar uciec, i siebie samego – złego i obrażonego na cały świat. Wbrew woli został wciągnięty w to małżeństwo i z tego powodu był wściekły. Bardzo szybko jednak przekonał się, że poślubienie Lydii było najlepszą rzeczą, jaką zrobił w życiu. Opinię o niej zaczął zmieniać już w momencie, kiedy kaznodzieja powiedział, że może pocałować pannę młodą i on to uczynił.

– Ożeniłeś się na szlaku?

– Tak.

– Gotowa jestem się założyć, że mamie nie przeszkadzał twój ówczesny ubiór?

– Myślę, że masz rację.

Wyłowił wzrokiem kobietę, którą przed chwilą przyprowadzono i ustawiono w pierwszym rzędzie.

– Wygląda dzisiaj cudownie – powiedziała Banner, podążając oczami za wzrokiem ojca. Lydia ubrana była w obszerną, długą suknię koloru miodu. Światło słoneczne padające przez okno zapalało złote ogniki w jej włosach.

– Tak, masz rację, córeczko.

Dziewczyna trąciła ojca w bok.

– Ty zawsze jesteś przekonany, że ona pięknie wygląda.

Wzrok Rossa z miłością spoczął na córce.

– Tak samo jak ty.

Obserwował ją ukradkiem. Welon i ślubna suknia czyniły ją nieco obcą. Wkrótce będzie należała do kogoś innego. On zaś przestanie być najważniejszym mężczyzną w jej życiu.

Coś ścisnęło go w gardle, gdy pomyślał, że ich wzajemne stosunki ulegną zmianie. Wolałby, by na zawsze pozostała małą dziewczynką, jego

małą księżniczką.

– Jesteś przepiękną panną młodą, Banner. Twoja matka i ja bardzo cię kochamy. Niełatwo nam oddać cię nawet tak odpowiedzialnemu człowiekowi jak Grady Sheldon.

– Wiem o tym, tato. – Łzy zalśniły w jej oczach. Uniosła welon i pocałowała ojca w policzek. – Ja również was kocham. I wiecie, jak bardzo muszę kochać Grady'ego, skoro wychodzę za niego i opuszczam was.

Przez uchylone drzwi Banner starała się dostrzec, co dzieje się na przedzie kościoła. Pastor, Grady i jego trzej drużbowie wyszli właśnie z zakrystii i zajęli miejsca przy kolumnach oplecionych girlandami kwiatów. Łzy wyschły natychmiast, a na twarzy Banner pojawił się szeroki uśmiech zadowolenia. W swoim czarnym ubraniu Grady prezentował się doskonale. Kasztanowe włosy, zaczesane do tyłu, błyszczały. Stał wysoki i prosty. Wyglądał podobnie jak wówczas, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy na pogrzebie jego ojca.

*

Nie znała przedtem rodziny Sheldonów. Matka Grady'ego zmarła, zanim Grady z ojcem sprowadzili się do Larsen. Dla Banner śmierć pana Sheldona znaczyła wtedy jedynie pewną niedogodność: musiała towarzyszyć rodzicom na pogrzebie, ubrana w sukienkę zamiast w ulubione spodnie. Oznaczała również pójście do kościoła i rezygnację z oglądania kowbojów ujeżdżających konie. Miała wtedy czternaście lat i pamięta do dziś, jakie wrażenie wywarł na niej dwudziestoletni Grady.

Stał bez ruchu nad grobem. Został na świecie zupełnie sam, co dla Banner, otoczonej ze wszystkich stron kochającymi ją ludźmi, stanowiło niewyobrażalną sytuację. Wydawało jej się, że człowiekowi nie może zdarzyć się nic gorszego niż bycie samotnym i bez miłości.

Już chyba wówczas, podświadomie, zaczęła kochać Grady'ego za jego odwagę.

Później, wykorzystując każdą okazję, towarzyszyła ojcu do tartaku. Grady zwrócił na nią uwagę rok temu, kiedy jechała do tartaku z Lee i Micahem. Najpierw potraktował ją jak chłopaka, dopiero gdy zdjęła kapelusz i kaskada czarnych włosów rozsypała się na jej ramiona i plecy, a bawełniana koszula, którą miała na sobie, uwydatniła bujne kształty, przeżył prawdziwy szok.

Wkrótce potem zaczął zabierać ją na przejażdżki swoim powozikiem, zapraszać na tańce, towarzyszyć na przyjęciach i siadać koło niej w kościele podczas nabożeństw. Był jednym z wielu kawalerów ubiegających się o jej względy. Wnet okazało się, że – wybranym. W dniu, gdy Grady miał oficjalnie zapytać Rossa, czy aprobuje związek z jego córką, Banner niespokojnie krążyła po farmie. Kiedy zobaczyła, jak wraca swym powozikiem, natychmiast zajechała mu drogę konno.

– Grady! – zawołała i zeskoczyła z Dusty, swojej ulubionej klaczy. Podbiegła do niego, zanim zdążył zejść z pojazdu. – I co? Co powiedział?

– Powiedział, że się zgadza.

– Och, Grady, Grady! – Ucałowała go w policzek, po czym zdała sobie sprawę z niestosowności swego zachowania i odsunęła się na bok. – To co? Jeśli jesteśmy już oficjalnie po słowie, to chyba możesz mnie pocałować? Jeśli, oczywiście, chcesz.

– Ja… to znaczy… uważasz, że mogę? Jesteś pewna? Zdecydowanie kiwnęła głową. Zdawało się jej, że chyba umrze, jeśli on tego nie zrobi; tak bardzo chciała poczuć dotyk jego warg na ustach.

Nachylił się nad nią i pocałował ją… w policzek.

– To wszystko?

Spojrzał w jej oczy i dostrzegł w nich zawód. Ponieważ nie odsunęła się od niego, jak tego oczekiwał, zatem przyciągnął ją do siebie i pocałował prosto w usta.

To było już przyjemniejsze, ale rozczarowanie nie minęło. To nie był żaden z tych pocałunków, o jakich żarliwie dyskutowali ze sobą Lee i Micah, kiedy nie wiedzieli, że ona jest w pobliżu. Te pocałunki, opisywane z najdrobniejszymi detalami, miały w sobie więcej intymności, więcej

oddania. Wspominali coś o języku… Matka i ojciec zawsze całowali się zamkniętymi ustami.

Banner bez zastanowienia zarzuciła ręce na szyję Grady'ego i przylgnęła do niego całym ciałem. On, choć zaskoczony, również ją objął. Usta miał jednak zaciśnięte.

Po kilku sekundach odsunął ją od siebie.

– Boże! Banner, co ty zamierzasz ze mną zrobić?

Zarumieniła się. W pewnych częściach ciała, na które dotychczas nie zwracała specjalnej uwagi, poczuła gorąco i dziwne drżenie. Najchętniej jeszcze tego dnia wzięłaby ślub i chciałaby, by rozpalony w tej chwili ogień trwał w niej aż do… No właśnie, aż do czego?

– Przepraszam, Grady. Dama tak się nie zachowuje, wiem. Ale to dlatego, że tak cię kocham…

– Ja również cię kocham.

Pocałował ją jeszcze raz w policzek, wsiadł do powozu, mamrocząc pożegnanie, i szybko odjechał.

Chociaż Lee i Micah śmiali się z niej bez litości, coraz mniej czasu spędzała z nimi na farmie, a coraz więcej w domu z Lydią i Mą. Ma Langston uczyła ją haftu. Banner pracowała nad poszewkami i ścierkami do naczyń, które następnie prała, prasowała, składała i chowała do swojego kufra.

Nigdy nie znosiła prac domowych i unikała ich jak ognia. Teraz jednak zaczęła pomagać matce, nawet sugerowała poprzestawianie mebli, by można je było funkcjonalniej wykorzystać, albo proponowała nowe wzory firanek do pokojów.

Czas spędzany z Gradym utwierdził w Banner przekonanie o słuszności wyboru. Kiedy poprosił o jej rękę, odniosła wrażenie, że jest dzieckiem szczęścia i że tak będzie wiecznie.

Jej serce biło mocniej na myśl o nocy, która ma nadejść. Z dnia na dzień było im coraz trudniej tłumić pragnienia. Kilka dni temu, gdy odprowadzała go do powoziku stojącego pod wielkim orzechem, przy

wjeździe na podwórze, Grady nie mógł zapanować nad sobą. Stali spleceni ramionami, głowę oparła na jego piersi i wyraźnie słyszała bijące serce.

– Jeszcze tylko pięć nocy i nie będziemy już musieli żegnać się wieczorem. Powiemy sobie „dobranoc" we wspólnym łóżku – powiedziała Banner tak naturalnie i niewinnie, jakby nie wiedziała, co to oznacza.

– Nie mów tak, kochanie.

– Dlaczego? – Popatrzyła na niego zdziwiona.

Odsunął z jej twarzy niesforny kosmyk włosów.

– Bo to budzi we mnie coraz silniejsze pożądanie.

– Naprawdę?

Nie widziała sensu w udawaniu, że nie wie, co to jest pożądanie i spełnienie. Bacznie obserwowała życie farmy, a ono codziennie dostarczało informacji na ten temat. Zresztą udawanie było sprzeczne z jej naturą. Nigdy nie przyszło jej na myśl, żeby udawać ignorantkę.

– Tak – szepnął Grady. – Bardzo cię chcę.

Ich usta spotkały się w pocałunku. Rozchyliła wargi. Zawahał się przez moment, zanim dotknął ich językiem.

– Och, Grady!

– Przepraszam, ja...

– Nie! Nie przerywaj! Zrób to jeszcze raz!

Uczył ją pocałunków, które zapierały dech w piersiach i rozgrzewały całe ciało. Zamiast gasić pragnienie – podniecały je aż do bólu.

– Banner – jęknął. Wolno przesuwał ręce po jej ciele w kierunku bioder. Na chwilę zatrzymał rękę na pełnej piersi. Przez dziewczynę przeszedł prąd. Przestraszyła się jego mocy i cofnęła się. Grady pochylił głowę i utkwił wzrok w czubkach butów, najwyraźniej zawstydzony swoim postępowaniem.

– Banner... – zaczął, jąkając się.

– Nie przepraszaj, Grady. – Jej miękki głos spowodował, że podniósł oczy. – Chciałam, byś mnie pieścił i nadal chcę. Ale wiem, że dziewczyny nie powinny ujawniać, że cieszą się niektórymi aspektami życia małżeńskiego. Nie chcę, byś mnie źle osądzał, dlatego cię powstrzymałam.

Wziął jej dłonie w swoje, podniósł do ust.

– Nigdy o tobie źle nie pomyślę. Kocham cię.

Zaśmiała się gardłowo, radośnie. Jej śmiech, zasłyszany w ciemności, niejednemu kowbojowi nie pozwoliłby zasnąć.

– Nie będziesz miał w łóżku wstydliwej panny młodej, do której trzeba się przymilać.

Kiedy później wracała do domu, usłyszała rozmowę rodziców.

– Uważasz, że ona dorosła do małżeństwa? Ma zaledwie osiemnaście lat – mówił Ross.

– Jest naszą córką – odpowiedziała Lydia. – Całe życie widzi naszą miłość i wzajemne oddanie. Nie sądzę, by życie małżeńskie było dla niej tajemnicą. Jest gotowa do zamążpójścia. Większość jej rówieśnic jest już po ślubie, a niektóre mają nawet dzieci.

– Ale to nie są moje córki – burknął.

– Zaraz zrobią się dziury w dywanie od tego twego nieustannego chodzenia. Siadaj tu, obok mnie.

Banner słyszała, że Ross spełnił prośbę matki. Mogła wyobrazić sobie, jak obejmuje ją ramieniem, a ona tuli się do męża.

– Czy martwisz się Gradym?

– Nie – rzekł, ale bez zwykłej u niego pewności siebie. – Jest taki, jakim się wydaje: ambitny, uparty, można na nim polegać. Robi wrażenie zakochanego w Banner. Na Boga! Lepiej dla niego, żeby tak naprawdę było, bo inaczej będzie miał do czynienia ze mną!

Niemal widziała, jak matka gładzi palcami jego włosy.

– Jeśli coś byłoby nie tak, Banner wnet sprowadzi go na właściwe tory. Ta dziewczyna ma głowę na karku. Chyba to zauważyłeś?

– Ciekawe po kim ona to ma? – zapytał czule Ross.

Zapadła cisza. Banner wiedziała, że rodzice teraz się obejmują jak dwoje młodych ludzi.

Pierwszy odezwał się Ross:

– Tak dużo chciałem dla swych dzieci, znacznie więcej, niż mieliśmy my, gdy byliśmy mali.

– Moje życie rozpoczęło się od poznania ciebie. Przedtem nie istniało nic.

– Wiem – odparł tkliwie. – O sobie mogę powiedzieć to samo. Może to dziwne, ale o Lee martwię się mniej. On potrafi zadbać o siebie. Jeśli jednak chodzi o Banner, zabiję każdego, kto ją skrzywdzi. Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

– A czego się obawiałeś?

– Tego, że pewnego dnia zjawi się tu jakiś kowboj, oczaruje ją i zabierze ze sobą.

– Wiesz, że kowboje nigdy nie robili na niej wrażenia. Wychowywała się wśród nich.

– Tak, ale nigdy przedtem nie była osiemnastolatką i nie miała czegoś takiego w oczach…

– Czego?

– Tego błysku, jaki dostrzegam u ciebie, ilekroć rozpinam koszulę.

– Ależ ty jesteś zarozumiały, Rossie Coleman… – nie dokończyła zdania. To z całą pewnością była sprawka ojca.

– Nie mam niczego takiego w oczach. – Dopiero po chwili słabo zaprotestowała.

– O, masz, masz. I to właśnie w tej chwili. Chodź tu, kobieto! – powiedział Ross szeptem, po czym znowu nastała cisza.

Banner z uśmiechem zgasiła lampę w holu i po cichu ruszyła po schodach do swego pokoju. Siadła przy toaletce i zapatrzyła się w swoje odbicie w lustrze.

Czyżby rzeczywiście miała „coś takiego” w oczach? Czy to dlatego Grady odważył się dotknąć jej sekretnych miejsc, o których wraz z przyjaciółkami jedynie szeptały między sobą? Czy to bardzo źle, że chciała, żeby ją tam dotykał? Czy Grady był źle wychowany i dlatego to robił?

Jeśli jej trudno było się oprzeć, to co musiał przeżywać biedny Grady, skoro męskie ciało gwałtowniej odczuwa pożądanie!

Położyła się i starała się zasnąć. Sen jednak nie przychodził. Rozbudzone ciało oczekiwało spełnienia tego, co nieznane.

*

No, już niedługo będzie po wszystkim – pomyślała, widząc, że druhny ruszyły w kierunku głównej nawy.

– Nasza kolej, księżniczko – powiedział Ross. – Gotowa?

– Tak, tatku – odrzekła zdecydowanie.

Była przygotowana zarówno do ślubu, jak i do przyjęcia miłości mężczyzny. Jej ciało potrzebowało tylko iskierki, by ogarnęły je płomienie. Chciała należeć do mężczyzny, mieć go w swych ramionach, czuć jego bliskość. Czuła się zmęczona poczuciem winy za kradzione pocałunki i chwile namiętności.

Ross prowadził ją pod rękę. Ruszyli w momencie, kiedy organy po wyczekującej przerwie zagrały marsza weselnego.

Wszyscy wstali z miejsc i patrzyli w ich kierunku. Widziała przyjazne twarze, większość z nich znała od dzieciństwa; bankierzy, kupcy, prawnicy, okoliczni farmerzy wraz z rodzinami przyszli, by uświetnić ślub Banner Coleman. Z niezwykłą u panny młodej śmiałością uśmiechała się do zebranych.

Rodzina Langstonów stała w pierwszym rzędzie, zaraz za Lydią: pierwsza Ma, walcząca z napływającymi do oczu łzami, następnie Anabeth, jej mąż Hector Drummond i ich dzieci, potem Marynell, wreszcie Micah, a obok niego przyrodni brat Banner – Lee.

To byli jej dwaj dręczyciele. Nawet teraz, gdy rzuciła im spojrzenie przez ramię, mogła stwierdzić, że z trudem powstrzymują śmiech.

Chłopcy stali się nierozłącznymi towarzyszami, kiedy Micah wraz z matką przybył do River Bend. Na początku Banner była na niego wściekła, ponieważ zabrał jej jedynego towarzysza zabaw. Ciągle pamiętała, jak podłożyła pod jego siodło kolczasty rzep. Koń wyrzucił wówczas wysoko w górę Micaha, który tylko dzięki niezwykłemu szczęściu nie odniósł poważniejszej rany. Ta pozornie niewinna przygoda mogła skończyć się śmiercią chłopca, o którą zresztą sześcioletnia wtedy Banner gorąco się modliła.

Zawsze chodziła jak cień za chłopcami, prosząc, by pozwolili jej uczestniczyć we wszystkich psotach, jakie wyrządzali. Czasem godzili się na to, lecz wówczas musiała grać rolę kozła ofiarnego, gdy szkoda wychodziła na jaw.

Mimo nieustannych kłótni kochała ich obu gorąco. Dzisiaj, gdy tak stali obok siebie, wyglądali całkiem przystojnie. Lee – z ciemnymi włosami i błyszczącymi brązowymi oczami, które odziedziczył po matce Victorii Gentry Coleman, oraz Micah – blondyn jak cała rodzina Langstonów. Ostatni w rzędzie był Jake – jemu to posłała najbardziej promienny uśmiech.

Podziwiała go zawsze, odkąd sięgała pamięcią. Dokładnie pamiętała każde z jego rzadkich odwiedzin. Podnosił ją wtedy wysoko i trzymał nad głową. Śmiał się z niej, aż zaczynała kopać i błagać o litość, prosząc w duchu Boga, by Jake nigdy jej nie wypuścił z rąk.

Nikt nie był tak wysoki jak Jake. Dziarski i jasny. Nikt nie potrafił rzucać tak celnie jak on oraz tak przejmująco opowiadać historii o duchach.

Był jej bohaterem, jej rycerzem w błyszczącej zbroi. Czuła się szczęśliwa, kiedy Jake przyjeżdżał do River Bend, ponieważ już samą obecnością rozweselał wszystkich wokół: Mę, Lydię, Rossa, Lee i Micaha, nawet starego Mosesa. Wszyscy cieszyli się z jego odwiedzin, których jedynym mankamentem było to, że trwały zawsze za krótko i były nieczęste.

Kiedy Banner dorosła i zrozumiała, jak rzadko Jake przybywa do domu, myśl o jego rychłym wyjeździe zakłócała radość wynikającą z jego pobytu. Nie potrafiła już cieszyć się tymi wizytami, gdyż wiedziała, że zaraz się skończą.

Z tych właśnie względów tego ranka w River Bend nastąpiło małe trzęsienie ziemi. Micah i Lee przyszli na śniadanie z tajemniczymi minami; zanim zaczęli jeść, Micah podszedł do tylnych drzwi i powiedział:

– Spójrzcie, kogośmy znaleźli w stajni. – Otworzył drzwi. W progu stał Jake.

– Jake!

– Synu!

– A niech mnie diabli!

– Ross, jak ty się wyrażasz? Tu są dzieci.

– Czemu spałeś w stajni?

– Mój koń uszkodził sobie kopyto przy wychodzeniu z wagonu.

– Myśmy także jechali pociągiem, wujku Jake!

– Tak, ale on się skaleczył, a ja nie!

– Właśnie, że nie!

– O której przyjechałeś?

– Skąd przyjechałeś? Z Fort Worth?

– Tak, z Fort Worth. Było już późno i nie chciałem nikogo budzić.

– No wiesz!

Ma uściskała syna serdecznie, ukradkiem ocierając wilgotne oczy. I natychmiast zaczęła biadolić, jaki jest chudy.

– Siadaj, zaraz zrobię coś do jedzenia. Czy farmerzy w Panhandle w ogóle nie karmią swoich robotników? Nawet węże widziałam grubsze od ciebie. Chcesz umyć ręce? Marynell, zostaw tę książkę i nalej bratu kawy. Anabeth, uspokój swoje maluchy. Robią więcej hałasu niż przekupy na jarmarku.

Jake uniósł małego Drummonda do góry. Starszy wziął jego kapelusz i przymierzał. Najmłodszy, który jeszcze nie chodził, siedział na podłodze i łyżką uderzał w czubki jego butów. Anabeth wyminęła dzieci, żeby ucałować brata w policzek, i szepnęła mu do ucha:

– Mama bardzo martwiła się o ciebie.

Potem zabrała dzieci na podwórze i przykazała najstarszemu, by zajął się rodzeństwem.

Lydia także uściskała i wycałowała Jake'a.

– Bardzo się cieszę, że mogłeś przyjechać. Obawialiśmy się, że nie zdążysz.

– Tej uroczystości nie mogłem opuścić – powiedział, nie spuszczając wzroku z ukochanych twarzy. – Siemasz, Ross! – Sięgnął ponad Lydią do wyciągniętej ręki. – Jak sprawy?

– Dobrze, całkiem dobrze. A u ciebie, Bubba?

– Chyba nie najgorzej.

– Co z robotą?

– Rzuciłem.

– Rzuciłeś? – Ma odwróciła się od pieca z tacką pełną kanapek.

Jake wzruszył tylko ramionami, nie chcąc psuć weselnego nastroju opowiadaniem o swoim cygańskim życiu.

– Musiałem przecież zobaczyć pannę młodą! Gdzie ona się podziewa?

Obejrzał stojącą przed nim grupę, rozmyślnie pomijając wzrokiem Banner. Ona natomiast celowo stanęła z boku, gdyż w momencie powitania chciała go mieć wyłącznie dla siebie.

– Jake'u Langstonie, wiesz, że to ja jestem panną młodą – rzekła, podchodząc bliżej, i pocałowała go w policzek.

Objął ją w talii i podniósł do góry jak za dawnych czasów, zrobił z nią dwa pełne obroty, nim postawił ją na podłodze.

– Nie, ty nie jesteś panną młodą. Banner Coleman, którą znam, ma warkocze, poobcierane nogi i dziury w pończochach na kolanach. Pokaż mi swoje nogi, to się upewnię. – Nachylił się, by unieść suknię, lecz dziewczyna odsunęła się i odepchnęła jego rękę.

– Już nigdy więcej nie będziesz oglądał moich pończoch ani nóg, obojętnie, czy są całe, czy nie. Jestem dorosła i powinieneś to zauważyć.

Przyjęła wyzywającą pozę, przez co uwydatniła swoją dojrzałość: jedną rękę oparła na biodrze, drugą odrzuciła spadające na czoło włosy.

Lee wybuchnął rubasznym śmiechem, Micah zaś gwizdnął przeciągle i klasnął w ręce. Jake przyglądał się z uwagą córce Colemanów, którą znał od kołyski.

– Ty naprawdę jesteś dorosła – orzekł poważnie. – Zupełnie dorosła.

Położył ręce na jej ramionach, nachylił się i z uszanowaniem pocałował ją w policzek. Następnie, ku jej pełnemu zaskoczeniu, otwartą dłonią dał jej siarczystego klapsa w pośladek.

– Ale dla mnie jesteś ciągle podlotkiem z zadartym nosem. Lepiej poszukaj mi krzesła, bym mógł spokojnie coś zjeść.

Banner była tak ucieszona jego obecnością, że wcale się nie obraziła, mimo iż śmieli się z niej wszyscy.

W tej chwili jej serce zabiło mocniej, gdy idąc przejściem, pochwyciła jego spojrzenie. Była z niego dumna. Dumna dlatego, że ten wysoki mężczyzna z blond czupryną i niebieskimi oczami należał do jej rodziny, choć nie był z nią związany więzami krwi. Teraz stał w kościele odświętnie ubrany. Zmienił swój kowbojski strój na białą koszulę i czarną skórzaną kamizelkę. Apaszkę, którą zawsze wiązał na szyi, zastąpił wąskim, czarnym krawatem. Pas z rewolwerem pozostał na zwykłym miejscu. Banner wiedziała, że niektóre przyzwyczajenia Jake'a są silniejsze niż wymogi chwili.

Domyślała się, że w jego życie lepiej nie wnikać. Przypuszczalnie miał na swym koncie sprawki, których wolałby nie ujawniać. Była pewna, że pił, lubił karty, uprawiał hazard i zadawał się z takimi kobietami, o których istnieniu ona nie powinna nawet wiedzieć. Żadna z tych rzeczy jednak nie była w stanie powstrzymać jej od darzenia Jake'a ślepą miłością. Jego zuchwałość i otaczająca go aura tajemniczości w przedziwny sposób dodawały mu uroku i z pewnością wszystkie panny na przyjęciu będą starały się go pozyskać.

Jedno z niebieskich oczu przymknęło się na moment, dając jej sekretny znak. Mrugnęła również, przypominając sobie czasy, kiedy tak właśnie przekazywała mu swe tajemnice, których przyrzekał nie zdradzić Lee ani Micahowi. Wierzyła, bo bardzo chciała mu wierzyć. Ich przyjaźń przetrwała wszystkie próby. Jak skarb Banner chowała w swej pamięci każde jego słowo. Była o niego śmiertelnie zazdrosna, zwłaszcza gdy zwracał uwagę na inne kobiety.

Banner wiedziała, że z jej rodzicami, a zwłaszcza matką, wiąże go jakaś tajemnica. Nigdy jednak o tym nie rozmawiali. To nie był temat do dyskusji. Cokolwiek jednak to było, wzmacniało uczucia Banner, istniała bowiem więź, która ich łączyła.

Przechodząc powoli przez kościół, spojrzała na matkę.

– Kocham cię, mamo – szepnęła, gdy ją mijała.

– Ja… my cię też kochamy, córeńko – odpowiedziała Lydia cicho za siebie i Rossa i uśmiechnęła się przez łzy.

Banner odwzajemniła uśmiech i zrobiła krok do przodu. Ross zajął miejsce między córką i Gradym.

– Kto wydaje tę kobietę za mąż? – spytał oficjalnym głosem pastor.

– Jej matka i ja – odpowiedział Ross, spoglądając w twarz Banner; jego zielone oczy były zamglone. Pogłaskał jej dłoń, a potem wsunął ją w dłoń Grady'ego, po czym dołączył do Lydii.

Banner słyszała szuranie nóg, kiedy ludzie siadali w ławkach. Patrzyła na narzeczonego z przekonaniem, że nigdy dotąd żadna kobieta nie była tak szczęśliwa jak ona w tym momencie. Grady był mężczyzną, którego wybrała, aby spędzić życie u jego boku. Będą się zawsze kochać, podobnie jak jej rodzice. Ona mu będzie szczęściem na każdy dzień, bez względu na to, co dni przyniosą. Była pewna jego miłości.

Pastor rozpoczął ceremonię. Wersety z Biblii nabierały dla Banner nowego znaczenia. Tak, to zdanie doskonale odpowiada temu, co w tym momencie czuje…

Trzask!

Huk wystrzału rozerwał pogodną ciszę kościoła.

Krzyki. Panika ogarnęła zebranych.

Banner ujrzała, że Grady osuwa się na nią.

Na jego białej ślubnej koszuli pojawiła się krew.

Rozdział 2

– Grady!

Pod ciężarem jego ciała Banner upadła, lecz szybko podniosła się i ułożyła głowę narzeczonego na swoich kolanach. Automatycznymi ruchami rozwiązała mu krawat i rozpięła kołnierzyk koszuli. Jego oczy były otwarte – wyzierało z nich przerażenie. Poruszał ustami, ale nie wydobywało się z nich ani jedno słowo.

Ciągle jeszcze żył; szeptała za to dziękczynne modlitwy. Dłonią ściskała ranę, by zatamować krew.

W momencie, kiedy rozległ się wystrzał, Jake chwycił swój rewolwer, wymierzając go w człowieka stojącego w oknie i trzymającego broń skierowaną w stronę prezbiterium.

– Panna młoda będzie następna – ostrzegł ostrym głosem napastnik i podniósł lufę na wysokość głowy dziewczyny.

Nie tylko Jake wyciągnął swój rewolwer; to samo uczynili inni mężczyźni biorący udział w uroczystości. Przerażone kobiety pochowały się w ławkach, gdzie ciałami osłaniały dzieci. Wszyscy czekali, co będzie dalej.

– Rzućcie broń – zawołał histerycznie napastnik.

– Ross, co ty na to? – spytał cicho Jake.

– Rób, co mówi.

Na odgłos strzału Ross, tak samo jak inni, sięgnął po broń, ale przekonał się, że nie ma rewolweru. Czy mógł przewidzieć, że jego sześciostrzałowiec przyda się w trakcie uroczystości ślubnej? Zaklął pod nosem.

Jake z wyraźną niechęcią upuścił broń na posadzkę. Pozostali mężczyźni poszli w jego ślady. Dopiero wtedy stojący za oknem człowiek

przełożył nogę przez parapet i wszedł do kościoła, ciągnąc za sobą młodą kobietę.

– Jestem Doggie Burns, a to moja córeczka Wanda.

Ta para nie wymagała zresztą prezentacji. Doggie Burns robił najlepszy bimber w całym Teksasie. Miał klientów, którzy przejeżdżali dziesiątki mil, by zaopatrzyć się w ten specjał.

Oboje, Doggie i Wanda, nie robili dobrego wrażenia. Byli brudni, śmierdzący i niechlujni. Potargane włosy Wandy w przetłuszczonych pasmach opadały na ramiona. Koszula Doggie'ego była przepocona i widać było, że nie prano jej od bardzo dawna. Zresztą cała odzież obojga była poplamiona i byle jak połatana. Niespodziewani przybysze dopuścili się profanacji kościoła, tak pięknie udekorowanego na dzisiejszą uroczystość.

– Nienawidzę przerywać ceremonie – powiedział Burns. – Ale tera muszę to tutej zrobić, bo jest moim obowiązkiem jako ojca.

Grady jęknął z bólu i złapał się za ramię.

– Niech ktoś mu pomoże! – zawołała Banner z płaczem.

Odrzuciła zasłaniający twarz welon, ukazując wielkie, przerażone oczy.

– On nie wykorkuje, dziewucho – powiedział Burns, przesuwając w ustach prymkę tytoniu. Brązowa ślina spływała mu po brodzie. – Gdybym chciał go ukatrupić, to by nie poczuł wpakowanej kuli. Chciałem przerwać to tutaj wesele, a powód jest taki, co ten gnój zrobił mojej córce.

W tym momencie zgromadzeni w kościele zrozumieli, że nie grozi im niebezpieczeństwo. Podnieśli więc głowy z zaciekawieniem.

– Czego chcesz? – spytał pastor. – Jak śmiesz obrażać Boga w jego własnym przybytku?!

– Zamknij się, kaznodziejo. Możesz sobie gadać, ale to nic nie zmieni.

Lydia upadła na kolana w momencie wystrzału; Ross podtrzymywał ją jedną ręką. Teraz puścił żonę i postąpił krok naprzód.

– W porządku, Burns. Wszyscy cię słyszą. Powiedz, o co chodzi. Czego chcesz?

– Przypatrz się brzuchowi, jakiego dostała ta moja dziewucha. – Lufa rewolweru wskazała na wydatny brzuch dziewczyny. – Sheldona bachor

tam siedzi.

– To nieprawda! – wrzasnął Grady.

– Dlaczego pan to robi? Nie rozumiem! – zawołała Banner; oprzytomniała na tyle, że dotarło do niej, co się tu dzieje. Dotychczas, przerażona, całą uwagę poświęcała narzeczonemu. – Dlaczego pan tu przychodzi i niszczy mój szczęśliwy dzień? Dlaczego?

Wszyscy w kościele stali jak zaklęci. Czegoś takiego nikt z nich jeszcze w tym mieście nie widział. To będzie temat do plotek na całe lata! Audytorium chwytało każde słowo.

– Szukam sprawiedliwości – powiedział Burns z szyderczym uśmiechem. – Myślisz, że to dobrze, byś ty się z nim żeniła, jak on mojej córce zmalował bachora?

Grady poruszył się i mimo powstrzymujących go rąk Banner usiłował wstać. Stanął w końcu na chwiejnych nogach i zawołał:

– To nie jest moje dziecko!

Oświadczenie to wywołało pomruk niezadowolenia obecnych.

Banner wstała, ujęła ramię Grady'ego i z nienawiścią spojrzała na parę natrętów robiących wszystko, by zakłócić uroczystość, zniszczyć jej, Banner, przyszłość. Nawet nie zauważyła, że przód sukni jest poplamiony krwią, ani nie słyszała, co na temat zdarzenia zaczęli mówić zebrani.

Kilku młodych mężczyzn, w poczuciu winy, opuściło wzrok. Lee nerwowo przestępował z nogi na nogę. Nie widział pełnych gniewu oczu Burnsa i ponurej, milczącej Wandy. Micah z trudem przełykał ślinę. Ma Langston patrzyła na Grady'ego takim wzrokiem, że sam archanioł poczułby się winny.

– Ale ona gada, że twoje, Sheldon – powiedział szyderczo Doggie. – Co, Wanda?

Wypchnął dziewczynę przed siebie, tak że każdy mógł dojrzeć jej wypukły brzuch.

W jej oczach nie było zawstydzenia. Bezczelnie patrzyła wszystkim w oczy, bardzo z siebie zadowolona. Mężczyźni znajdujący się w kościele, którym nieobce były wdzięki Wandy, przeklinali dzień, kiedy na nią

spojrzeli. I dziękowali Bogu, że stary podał nazwisko Grady'ego, a nie ich. Składali pośpiesznie śluby czystości i wierności.

– To jego. Nikogo innego – potwierdziła posępnie Wanda. – Nie odchodził ode mnie, jak tylko mojego taty nie było w domu. Nie dawał mi chwili spokoju. On... on...

– Gadaj, dziecko, niech wszyscy wiedzą, co on tego... z tobą...

Milczała przez chwilę i teatralnym gestem opuściła głowę. Skubała brzeg sukni.

– On mnie... on jest silny, nie mogłam... oprzeć się.

– To jest wierutne kłamstwo! – zawołał Grady.

Burns podszedł do niego, groźnie wymachując rewolwerem.

– Uważaj, nazwałeś moją drogą córeczkę kłamczuchą...

– Jeśli mówi, że ją zmuszałem, to łże! – Grady zbladł nagle. Zrozumiał, że w tym momencie popełnił kardynalny błąd. Spojrzał na Banner, która przyglądała mu się zdumiona, potem na niedoszłego teścia, z trudem panującego nad nerwami.

– To znaczy, chciałem powiedzieć, nie, bo to...

Ross pochylił się, chwycił go za klapy marynarki i potrząsnął.

– Mów zaraz i wyraźnie: zadawałeś się z tą dziwką w tym samym czasie, kiedy chodziłeś z moją córką?!

Jake stanął u jego boku. Kiedy Grady zaczął jęczeć z bólu i protestować przeciwko brutalnemu traktowaniu, Jake podniósł z posadzki swój rewolwer. Burns nie zareagował na to. Wiedział, że zbiorowy osąd zostanie wydany. Zebrani stali się nagle jednomyślni: swoje potępienie przenieśli z Burnsa na Grady'ego. Jake lufą colta dotknął podbródka pana młodego.

– No, paniczu, czekamy!

– Może i byłem kilka razy z tą dziewczyną...

Ross podsunął mu pod nos zaciśniętą pięść. Z jego piersi wydobył się zdławiony charkot.

Grady jąkał się:

– Ka-żdy z ca-ałego miasta... był z nią w łóżku. Ojcem jej ba-achora może być każdy z nich...

– Ale nikt z nich nie miał zamiaru żenić się z moją córką! – ryknął Ross. Puścił Grady'ego tak nagle, że ten znów padł na posadzkę.

– Jak mogłeś?! – głos Banner był doniosły i mocny.

Grady próbował przełknąć ślinę, podchodząc do dziewczyny chwiejnym krokiem.

– Banner... – Wyciągnął do niej rękę.

– Nie dotykaj mnie! – zawołała. – Nie mogę znieść myśli, że mogłeś tymi samymi rękami... ją i mnie...

Popatrzyła na Wandę, która z ręką opartą na biodrze rozkoszowała się zamieszaniem. Banner odwróciła się na pięcie i zdecydowanym krokiem, nie oglądając się na nikogo, środkiem głównej nawy ruszyła do wyjścia. Głowę uniosła wysoko. Matka szła tuż za nią, nie okazując strachu czy upokorzenia. Za Lydią kroczyła cała rodzina Langstonów. Kowboje zatrudnieni na farmie w River Bend asystowali opuszczającym świątynię, otoczyli ich kołem na dziedzińcu i pomogli wsiąść na konie lub wozy.

Ross pozostał przy ołtarzu. Widać było, że ogromnym wysiłkiem stara się opanować. Wobec całego miasta, wobec pastora i zebranych ostrzegł w końcu Grady'ego:

– Jeżeli kiedykolwiek zbliżysz się do mojej córki – zabiję cię!

Po tych słowach wyszedł z kościoła w towarzystwie Jake'a.

Zapłakana Banner siedziała w powozie wtulona w ramiona matki. Powóz otaczał krąg najbliższych. Nikt nikomu nie patrzył w oczy.

Jake wskoczył na pożyczonego konia i natychmiast objął rolę przywódcy.

– Micah i Lee, zostaniecie z tyłu. Jeśli ktokolwiek będzie jechał za nami, dacie mi natychmiast znać. Reszta – otoczyć wozy. I miejcie oczy otwarte!

Bez słowa wykonano jego rozkazy.

Jake spiął konia i pojechał przodem. Ross z kamienną twarzą trzymał lejce i spokojnie powoził. Lydia i Banner oparte o siebie płakały cicho. Ross spojrzał na Jake'a.

– Dziękuję – mruknął.

Mężczyzna kiwnął głową; wszelkie słowa były zbędne.

*

River Bend było udekorowane na wesele według jedynego w swoim rodzaju wzoru. Drogę wiodącą od rzeki aż po sam dom przystrojono kwiatami i wstążkami. Banner patrzyła na te dekoracje przez łzy. Widok domu przysporzył jej jeszcze większych cierpień. Girlandy kwiatów ozdabiały poręcze otaczające front werandy. Gałęzie forsycji rozwieszono na całej przedniej ścianie. Na podwórzu ustawiono długie stoły z jedzeniem i napojami dla ogromnej liczby gości – którzy nigdy nie przyjadą. Wszystko to przypominało pokój dziecinny przygotowany na przyjęcie noworodka, który rodzi się martwy.

Ross pomógł zejść Lydii z pojazdu. Jake zeskoczył z konia i wyciągnął ręce do Banner. Dziewczyna siedziała jak sparaliżowana, odrętwiała z bólu i wstydu, i nawet go nie zauważyła. Dopiero kiedy dotknął jej ramienia i łagodnie wymówił jej imię, spojrzała na niego i uśmiechnęła się blado. Chwycił ją w talii i ostrożnie zestawił na ziemię.

Kowboje pojechali w kierunku swoich kwater. Zwykle hałaśliwi i rozgadani, dziś zachowywali się zupełnie cicho. Któreś z dzieci Anabeth zaczęło płakać. Hector uspokajał je, ale bez skutku.

Milczący weselnicy wchodzili do domu.

W salonie udekorowanym przez Lydię koszami kwiatów spotkał Banner jeszcze jeden bolesny cios. Prezenty ślubne, jeszcze nierozpakowane, leżały na długim stole nakrytym koronkowym obrusem.

Dziewczyna zadrżała. Ross podszedł do niej i położył ręce na jej ramionach.

– Księżniczko, ja...

– Tatku, proszę cię. Bardzo chcę być sama.

Uniosła kraj sukni i pobiegła na piętro. Po chwili dał się słyszeć trzask drzwi jej sypialni.

– Sukinsyn! – rzekł Ross zmienionym głosem. Zdjął marynarkę i rozpiął kołnierzyk. – Powinienem był go zabić gołymi rękami.

Lydia nawet nie skarciła go za użycie niestosownych wyrażeń w obecności dzieci, choć robiła to zawsze, ilekroć raziły ją sformułowania męża.

– Nie mogę w to uwierzyć, Ross, nie mogę! Żeby zranić naszą Banner tak okrutnie… – Wtuliła się w jego ramię i zaczęła płakać.

Ma jako jedyna zachowała zimną krew.

– Anabeth, weź dzieciaki do kuchni i nakrój im ciasta. Szkoda, żeby miało się zmarnować. Lee, zanieś też trochę chłopakom. Będą zadowoleni. Marynell, możesz napełnić szklanki ponczem. Na pewno każdy chętnie wypije. Hector, pocisz się bardziej niż ktokolwiek inny. Zdejmij marynarkę i rozepnij kołnierzyk, nim się rozpłyniesz.

Wesele Banner stało się dla Langstonów okazją do wzmocnienia przyjaźni. Przybyli kiedyś z Tennessee razem z Rossem i Lydią. Ani czas, ani odległość nie zniszczyły więzów między rodzinami Colemanów i Langstonów.

Ma Langston spełniała rolę babki tak Lee, jak i Banner. Ciągle wysoka i wyprostowana, robiła wrażenie kobiety silnej fizycznie i psychicznie, a przy tym bardzo delikatnej. Czasem potrafiła ostro kogoś zbesztać, lecz nagany wypływały zawsze z troskliwości i miłości.

Zeke Langston zmarł dawno temu. Kilka lat po jego śmierci Ma próbowała sama prowadzić gospodarstwo w górzystym terenie zachodniego Austin. W tym czasie wybuchła epidemia szkarlatyny, która zabrała jej dwoje dzieci, Atlantę i Samuela.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Anabeth, najstarsza córka Langstonów, wyszła za mąż za farmera Hectora Drummonda, wdowca z dwiema córeczkami; teraz mieli jeszcze trzech chłopców. Uprawiał ziemię swoją i Langstonów. Posiadał też niewielkie stado bydła rzeźnego, które miał nadzieję niedługo powiększyć.

Marynell pragnęła się uczyć. Opuściła dom, by uczęszczać do szkoły w Austin. Jako uczennica Harvey House pracowała w stołówce kolejowej linii Santa Fe, zarabiając na czesne. Teraz była już dyplomowaną

nauczycielką. Nie wyszła za mąż. Pytana, czy kiedyś to zrobi, niezmiennie odpowiadała, że nie ma takiego zamiaru.

Ross i Lydia przekonali Mę, aby zamieszkała z nimi, kiedy Hector przejął nadzór nad jej gospodarstwem. Zgodziła się, ale na określonych warunkach – chciała zarabiać na swoje utrzymanie. Nie mogła przyjąć jałmużny, nawet od Colemanów. Podobnie było z Micahem, najmłodszym z rodziny Langstonów, który został tu przyjęty jako kowboj.

Ross zbudował dla Ma niewielki dom. Dostała trochę ziemi, na której uprawiała warzywa spożywane w River Bend. Szyła również dla całej rodziny oraz robotników. Lydia nigdy nie miała zamiłowania do igły.

Tworzyli jedną wielką rodzinę, toteż Ma wydawała polecenia, gdy tylko okoliczności tego wymagały. Nikt nawet nie pomyślał, żeby je kwestionować, przeciwnie – wykonywane były natychmiast i bez dyskusji.

W salonie Jake nalał Rossowi whisky i podał mu kieliszek.

Po obtarciu łez Lydia podniosła się z kanapy i stwierdziła:

– Muszę do niej pójść i porozmawiać. Ale co jej powiedzieć?

– Niech mnie diabli, jeśli ja wiem – rzekł Ross i pociągnął potężny łyk alkoholu.

Lydia stała i wygładzała suknię. Zanim wyszła z salonu, podeszła do Jake'a i delikatnie dotknęła jego policzka.

– Możemy liczyć, jak zawsze, na twoją pomoc, nieprawdaż?

Ujął jej dłoń i zapewnił:

– Oczywiście.

*

Suknia była poplamiona krwią. Stanowiła jakby symbol rozdartego serca Banner. Patrząc na swe odbicie w lustrze, nie mogła uwierzyć, że zaledwie kilka godzin temu była szczęśliwa, radosna, niewinna. Widok ślubnej sukni sprawiał ból. Wydawało się dziewczynie, że zaraz zacznie krzyczeć, jeśli jej natychmiast nie zdejmie. Nie chcąc prosić nikogo o pomoc, sama zaczęła rozpinać rząd zatrzasków i haftek, urywając te, które nie chciały się

rozczepić. W końcu zdjęła suknię i odłożyła na bok. Bieliznę też miała zakrwawioną. Zrzucała wszystko po kolei, aż stanęła zupełnie naga i wodą z miednicy zmyła z siebie resztki krwi. Nałożyła szlafrok i położyła się w poprzek łóżka; teraz mogła się swobodnie wypłakać.

Jak Grady mógł zrobić coś takiego? Ból stawał się nie do zniesienia. Wiadomość o istnieniu rywalki była niczym zabójczy cios. Jak śmiał wyznawać jej miłość, a potem iść do tej flejtuchowatej dziewczyny? To była najokrutniejsza zdrada! Jej mówił o pożądaniu, a z Wandą je zaspokajał.

Na myśl o wspólnym życiu z nim zbierało się jej na wymioty.

Usłyszała, jak cicho otwierają się i zamykają drzwi. Odwróciła się w tym kierunku. Lydia podeszła do łóżka, bez słowa siadła na brzegu i otoczyła córkę ramionami.

Obecność matki pomogła Banner opanować płynące łzy. Położyła głowę na jej kolanach i po chwili poczuła palce matki pieszczące jej włosy – kruczoczarne jak Rossa i gęste jak Lydii. Opadały na plecy w takich splotach, że żadne spinki i grzebienie nie dawały im rady.

– Wierz mi, że ojciec i ja bez namysłu wzięlibyśmy chętnie na siebie twój ból, byleby ci ulżyć…

– Wiem, mamo.

– I zrobimy wszystko, byś zapomniała o całym zdarzeniu.

– To też wiem. – Siąknęła i wierzchem dłoni otarła nos. – Dlaczego on to zrobił? Jak mógł mnie tak zranić?

– Myślę, że nie miał takiego zamiaru, Banner. Jest mężczyzną i…

– I to go usprawiedliwia?

– Nie, ale…

– Nie wymagam, by pan młody był niewinny. Taka naiwna nie jestem. Ale kiedy ktoś darzy dziewczynę uczuciem, prosi ją o rękę, czyż nie zobowiązuje to do wierności?

– Ja też tak myślę. Zresztą większość kobiet również. Mężczyźni? Bardzo wielu z nich tak nie uważa.

– Nie mógł się opanować? Nie byłam tego warta?

– On nie czynił żadnych porównań między tobą a tamtą. To przecież jasne.

– Pragnęłam tego tak samo mocno jak on. Powiedziałam mu to! – zawołała.

Wiele matek zapewne przeraziłoby się, usłyszawszy podobne wyznanie od swojej córki. Lydia jednak nawet nie drgnęła. Rozumiała te pragnienia i miała nadzieję, że jej córka będzie równie szczęśliwa w pożyciu małżeńskim jak ona. Nie uważała seksu za tabu.

– Co by się stało, gdybym to ja poszła z innym mężczyzną? – spytała Banner. – Jak poczułby się Grady? Czy mnie też tak łatwo by wybaczono?

Lydia westchnęła i powiedziała po chwili:

– Nie, ale taki już jest ten świat. Mężczyznom jakoś uchodzą te ich… przygody. Grady akurat został przyłapany i musi za to zapłacić. Niestety, ty również płacisz, a to jest niesprawiedliwe!

– Może jestem przewrażliwiona i nietolerancyjna? Może powinnam mu wybaczyć i zapomnieć? Czy ty przebaczałaś ojcu jego wyskoki? – Banner siadła na łóżku i patrzyła matce prosto w oczy. – Czy on miał inne kobiety?

Lydia pamiętała noc, podczas której Ross pomagał przy wozie „mamie" i jej prostytutkom. Był z nimi bardzo długo; wrócił pijany i pachniał tanimi perfumami. Przysiągł wtedy, że, owszem, był w wozie z dziwkami, ale żadnej z nich nie tknął. Lydia mu uwierzyła.

– Ross miał wiele kobiet przede mną, ale później – żadnej. Mogę sobie wyobrazić, co czujesz…

– Chyba Grady nie kochał mnie tak, jak ojciec kocha ciebie.

– Ale pewnego dnia ktoś na pewno cię mocno pokocha.

– Nie potrafię w to uwierzyć, mamo.

Gdy Lydia wyszła z pokoju, Banner położyła się na wznak na łóżku i wpatrywała się w sufit. Musi uczciwie zastanowić się, co odczuwa silniej – zranioną dumę czy gniew.

Czyżby miłość do Grady'ego tak ją zaślepiła, że nie zauważyła jego zdrady? Była wściekła na niego, gdyż nie tylko znieważył jej dobre imię, ale przyniósł wstyd całej rodzinie. Mieszkańcy Larsen będą długo pamiętać

dzisiejszy dzień. Taka już jest ludzka natura: cieszy się z czyjegoś nieszczęścia. Nie miało żadnego znaczenia, że rodzina Colemanów dotąd była bez skazy. Grady naznaczył ich wszystkich piętnem hańby.

Banner stwierdziła, że złość przeważa w niej nad bólem. Nawet za tysiąc lat nie zgodziłaby się na powrót Grady'ego. Bardziej bolała nad cierpieniem swoich rodziców niż jego. Skoro tak sobie pościelił, niech tak śpi. Nigdy przysłowie nie wydawało się jej trafniejsze.

A może nie kochała go aż tak bardzo, jak jej się wydawało? Jeśli jego sprawki nie wyszłyby dzisiaj na jaw, może nigdy by się o nich nie dowiedziała. Zostałaby wtedy jego kochającą żoną. Tego była pewna. Może więc dobrze, że stało się to, co się stało?

Leżała długo bez ruchu. Nawet nie zauważyła mijających godzin, dopóki w pokoju nie zaczęło się ściemniać – słońce chowało się za horyzontem.

Nagle podniosła się z łóżka z mocnym postanowieniem, że nie będzie ukrywać się przed światem, jakby to ona była winna. Do diabła z Sheldonem i całym plotkarskim światkiem! W mieście nikt nie zobaczy jej w roli złamanej ofiary.

Umyła twarz w zimnej wodzie, by usunąć ślady płaczu. Ubrała się w prostą sukienkę, wyszczotkowała włosy i zeszła na dół. Wszyscy domownicy zebrali się w kuchni na kolację. Gdy tylko stanęła w drzwiach, rozmowy umilkły.

Patrzyli na nią z szacunkiem. Nawet dzieci Anabeth nagle się uciszyły. Czego się właściwie po niej spodziewali? Że zamknie się w swoim pokoju na resztę życia jak kaleka? Ubierze się w pokutny strój? Dostanie spazmów jak stara, zdziwaczała panna?

– Jestem głodna – oznajmiła. – Czy jeszcze coś zostało?

Do tego momentu domownicy siedzieli bez ruchu, prawie jak na obrazku ze świątecznej kartki; teraz nagle wszyscy się ruszyli, robiąc jej miejsce przy stole, podsuwając talerz, nóż, widelec, miski z jedzeniem. Zaczęli mówić o ton głośniej niż zwykle. Odrobinę za szerokie były uśmiechy i odrobinę za lśniące oczy.

– Opowiadałeś o swoich nowych bykach, Hector – mówił Ross, ale takim tonem, że dzieci Anabeth zaczęły płakać.

– No tak, cóż, są byki…

Biedny Hector – pomyślała Banner, opuszczając wzrok na swój talerz. – Jest wystarczająco nerwowy bez wciągania go do rozmowy mającej stwarzać złudzenie normalnej.

Sama nie mówiła dużo, ale i nie miała zamiaru spoglądać wyłącznie w talerz. Nie była głodna, lecz chciała zjeść choć połowę swojej porcji.

Ktoś, pewnie Ma, dopilnował, aby z domu znikły wszelkie dekoracje. Z wyjątkiem weselnego ponczu nic nie przypominało dzisiejszej uroczystości. Lydia wyniosła nawet z pokoju zniszczoną suknię ślubną. Banner miała nadzieję, że zostanie spalona. Kosze z kwiatami zostały usunięte. Podwórzu przywrócono normalny wygląd. Lydia powiedziała Banner, by nie martwiła się zwrotem prezentów ślubnych. Przypuszczalnie już je wysłano, bo nigdzie nie mogła dostrzec dekoracyjnie owiniętych pudeł.

Gdyby przy stole nie siedziało tyle ludzi, można by sądzić, że to jeden ze zwykłych wiosennych wieczorów rodzinnych. Banner pomyślała w pewnej chwili, że jest w lepszym nastroju niż pozostali biesiadnicy; często spoglądali na nią ukradkiem, jakby w każdym momencie spodziewali się, że zacznie targać na sobie ubranie i wyrywać włosy z głowy.

Kiedy dzieci skończyły jeść, Marynell zabrała je na dwór. Micah i Lee wyszli także, mrucząc coś pod nosem o kowbojach i pokerze. Ma zaczęła zbierać naczynia.

– Ty siedź na swoim miejscu – powiedziała, gdy Lydia odsuwała krzesło, chcąc jej pomóc. – To robota dla jednej osoby.

Ross i Hector bez zainteresowania dyskutowali o gospodarstwie.

Lydia słuchała, co mówi Ross.

Jake cicho popijał kawę, spoglądając spod oka na Lydię.

Banner nie zauważyła niczego niezwykłego w zachowaniu bliskich.

– Wyjdę na werandę.

– To może wszyscy tam pójdziemy? – powiedziała śpiesznie Lydia. – Tam będzie chłodniej. Jake, Hector, weźcie ze sobą kawę, jeśli jeszcze coś macie.

Gdy sprzątnięto kuchnię, Marynell odprowadziła Mę do domku. Anabeth i Hector wyszli za nimi, by położyć spać marudzące dzieci. Banner przez jakiś czas przysłuchiwała się rozmowie, potem podniosła się i wyszła na podwórze.

– Banner?

– Chciałabym się trochę przejść, tatku – powiedziała spokojnie, słysząc zatroskanie w jego głosie.

Poszła wzdłuż żywopłotu, który w tej części farmy służył za ogrodzenie jednego z pastwisk. Za płotem źrebię i jego matka biegały po świeżej wiosennej trawie.

– A to rozbrykaniec – usłyszała za sobą.

Odwróciła się i zobaczyła, że Lee i Micah idą w jej stronę.

– Taki właśnie powinien być. Przecież to Spartan krył jego matkę, czyż nie?

– No. To jeden z najlepszych, prawda?

– Jasne!

– Przyszliście tu pogadać o rozpłodach, a ja myślałam, że w przybudówce odchodzi zaciekła partyjka pokera…

– Spłukaliśmy się co do centa – rzekł Micah, wyciągając podszewkę z kieszeni spodni; światło księżyca nadawało jego włosom niemal ten sam kolor, jaki miały włosy Jake'a.

Banner oparła ręce na biodrach.

– Tak? A kto niedawno się przechwalał, że w kartach nikt mu nie dorówna?

– Nigdy nie zapominasz niczego, co usłyszysz?

Drażnili się z nią, chcąc ukryć zakłopotanie. Od czasu powrotu z kościoła rozmowa nie przychodziła im łatwo.

– A tak naprawdę, to po coście tu przyszli? – spytała Banner.

Lee spojrzał na Micaha; ten skinął głową zachęcająco.

– No cóż, chcieliśmy z tobą… tego… pogadać o tym, co się w kościele…

Oparła ręce na górnej żerdzi ogrodzenia i pochyliła się w ich stronę.

– No i co?

– Widzisz, Banner, to nie tylko Grady jest wszystkiemu winien.

– Co masz na myśli? Mów jaśniej.

Lee przełknął ślinę, oczekując od Micaha pomocy. Chłopak odwrócony do niego plecami, zdawał się nie widzieć niczego poza hasającym źrebięciem.

– Myślimy, wiesz, no… że cała masa chłopaków gziła się z tą zdzirą. I nam się wydaje, że wskazała wcale nie tego, co trzeba.

– No! – Micah nagle wpadł mu w słowo. – To mógł być jeden z co najmniej pięćdziesiątki mężczyzn z miasta. Tylko że Sheldon, z tartakiem i całym tym dobytkiem, jest najbardziej łakomym kąskiem.

– To, że z nią… hm… tego, no wiesz, jeszcze wcale nie znaczy, że jest ojcem. Właśnie to chcieliśmy ci powiedzieć – zakończył Lee. – Wiedząc o tym, może poczujesz się lepiej.

Banner zaschło w gardle z wrażenia.

– Wasza troska o mnie od razu poprawiła mi nastrój.

Najpierw ucałowała Lee, potem Micaha, który niezgrabnie oddał jej pocałunek; nie był wprawdzie zwykłym kowbojem na farmie, ale też nie łączyły go z Banner więzy krwi.

Dokuczał jej od czasu, kiedy była na tyle dorosła, że mogła zacząć nosić włosy upięte w węzeł w tyle głowy. W ciągu ostatnich lat zauważył zachodzące w niej zmiany, których nie dostrzegł nawet jej brat.

Podobała mu się bardzo, ale był na tyle rozsądny, żeby trzymać się od niej z daleka. Nie chciał się narazić na gniew Ma, a tym bardziej Rossa, i nigdy by nie poświęcił przyjaźni Lee w imię zbliżenia się do Banner. Ona była nieosiągalna dla kowbojów, z nim włącznie. To był bezsporny fakt, o czym wiedział od dawna. Świat jest pełen różnych dziewczyn. Banner mogła być tą najpiękniejszą, lecz żadna kobieta nie jest warta, aby dla niej zrezygnować z męskiej przyjaźni.

– Doceniam wasze starania – powiedziała miękko. – Całkiem możliwe, że nie Grady jest ojcem dziecka. Jednak jest winny tego, że się z nią zadawał w czasie naszej znajomości. I przyznał się do tego. Poza tym zdradził mnie.

– Masz rację – przytaknął Micah.

On wiedział tylko tyle, że gdyby był zaręczony z Banner Coleman, na pewno nie ryzykowałby jej utraty, nawet gdyby miał mokro w spodniach. Znał wielu głupców, ale ten Sheldon był poza wszelką konkurencją.

Lee czubkiem buta kopał murawę.

– Szkoda faceta, że w tak durny sposób dał się złapać w sidła za to, co my wszyscy… to znaczy… myślę, że wielu to robi. A swoją drogą, za twoją krzywdę warto mu skuć pysk…

Banner położyła bratu rękę na ramieniu.

– Nie rób tego, ale dzięki za twoje słowa.

Lee podniósł głowę i uśmiechnął się do przyrodniej siostry.

– Wiesz co, w Tyler otwarto nowy sklep z materiałami. Mówią, że jest świetnie zaopatrzony. Planujemy pojechać tam którejś soboty. Nie miałabyś ochoty przyłączyć się do nas?

Wiedziała, że ich zaproszenie jest szczere.

– Dziękuję. Bardzo chętnie – rzekła i uśmiechnęła się do stojących obok mężczyzn.

Odeszli potem, powoli wtapiając się w ciemność. Ich rozmowę słyszała jeszcze jakiś czas, dopóki nie pochłonęła ich noc. Ruszyła także w stronę domu. Przy wejściu na podwórze na moment stanęła pod wielkim orzechem; chciała z tej odległości przyjrzeć się domowi.

Jasne ściany odbijały się od ciemnego tła nocy. Naftowe lampy zapalone w pokojach nadawały oknom ciepły, przytulny charakter. Dzikie winogrona właśnie w tych dniach rozpoczęły swą wędrówkę w górę, po sześciu kolumnach. Pierwsze kwiaty cynii i ostróżek zakwitły na rabatkach. Dym unosił się niebieską smugą z komina nad kuchnią.

Widok fascynował dziewczynę.

Nic nie wskazywało na to, że rodzina zamieszkująca ten dom, przeżyła właśnie tragedię.

Z początku, kiedy Ross i Lydia przybyli na to miejsce, mieszkali w krytym wozie Mosesa. Wkrótce Ross wybudował „psią budę", w której pomieszczenia kuchenne od sypialni oddzielała jedynie prymitywna, zbita z desek ściana. Chałupa była mała i nigdy niewykończona, ale Lydia nie narzekała. Zdawała sobie sprawę, że najważniejsze jest gospodarstwo.

Banner urodziła się jeszcze w „psiej budzie". Miała dziesięć lat, kiedy rodzina przeprowadziła się do nowego domu, zbudowanego z rozmachem i pomysłowo. Na piętrze były cztery sypialnie, a ponieważ Lee wolał spać w przybudówce, jedna sypialnia była prawie zawsze wolna. Na dole mieściły się dwa salony, z których jeden pełnił funkcję jadalni, choć bardzo rzadko spożywano tam posiłki. Ulubionym przez wszystkich miejscem była bowiem obszerna kuchnia. Na tyłach domu, w części przylegającej do oszklonej werandy, znajdował się gabinet Rossa.

Banner miała oczy pełne łez, gdy patrzyła na rodzinny dom. Bez skrupułów gotowa była go opuścić, by wyjść za mąż, ponieważ była przekonana, że wejdzie w dom pełen miłości – jej i Grady'ego.

Bolało ją serce, że to nigdy nie nastąpi.

Rodzice siedzieli na werandzie w wiklinowych fotelach. Jake stał oparty o jedną z kolumn. Jego cygaro jarzyło się w ciemności czerwonym punkcikiem. Z miejsca, gdzie stała, czuła jego zapach. W pewnym oddaleniu od pary siedzącej na werandzie, Jake wyglądał na bardzo osamotnionego.

Banner widziała, jak Ross pogłaskał żonę po policzku i ułożył jej głowę na swoim ramieniu. Pochylił się i pocałował ją w czoło. Jej ręka spoczywała na jego udzie.

Oczy dziewczyny zabłysły łzami. Właśnie czegoś takiego pragnęła, takich dowodów miłości oczekiwała. Opiekuńczości, spokoju, dotyków, wymownych spojrzeń, które były zrozumiałe tylko dla dwojga i które odgradzały ich od reszty świata. Taką samotność chciała dzielić z wybranym mężczyzną. Zawiodła się na nim bardzo.

Ogarnęła ją rozpacz. Pośpiesznie opuściła ochronną strefę drzewa, weszła na werandę, mruknęła: „Dobranoc" i poszła na górę do swego pokoju.

Podeszła do kufra, gdzie przechowywała bieliznę. Wyjęła nocną koszulę uszytą specjalnie na noc poślubną. Była z białego, niemal przezroczystego batystu, z głębokim dekoltem i długimi rękawami zebranymi w mankiety. Żółte, wyszywane róże i wąska koronka zdobiły kołnierzyk. Prosta, elegancka i powabna. Kiedy nałożyła ją na nagie ciało, przezroczysty materiał uwypuklił jego kształtne zarysy.

Szła spać sama, co uzmysłowiło jej, ile traci dzisiejszej nocy.

Leżała w łóżku i czuła się bardziej opuszczona i samotna niż kiedykolwiek dotąd. Każdy miał kogoś dzisiejszej nocy: Ma Langston – swe dzieci i wnuki zebrane pod jednym dachem, Ross i Lydia – siebie nawzajem. Lee i Micaha wiązała przyjaźń, nawet Marynell – choć samotna – miała swe książki.

Tylko panna młoda była sama!

Słyszała, jak rodzice weszli na górę do swej sypialni i zamknęli za sobą drzwi. Serce Banner stanęło w gardle. To nie było sprawiedliwe! Czuła się oszukana. Dlaczego Grady nie mógł jej kochać taką miłością, jaka łączy jej rodziców? Kto był wyjątkiem od reguły: oni czy on?

Jej ciało tęskniło za czymś, do czego się psychicznie przygotowała. Tęskniła do ciepła drugiego ciała obok siebie. Męskiego ciała. Do męskiego ramienia oplatającego w talii, dłoni delikatnie głaszczącej. Do kochającego się z nią mężczyzny.

Rozstrojona, odrzuciła kołdrę i podeszła do okna. Lekki powiew wiatru chłodził jej policzki, lecz nie mógł zgasić płomienia, który płonął w jej wnętrzu.

Noc była cudowna, skąpana w srebrnej poświacie księżyca. Lśniły gwiazdy. Od pastwisk niósł się zapach trawy, kwiatów i ziół. Nagle spostrzegła jakiś ruch: czerwony ognik zatoczył półokrąg i zgasł w zetknięciu z ziemią. Cygaro Jake'a. Chwilę później zszedł z werandy.

Jego ostrogi pobrzękiwały cicho, gdy przemierzał podwórze w kierunku stodoły.

Jake.

Nie ona jedna była opuszczona. Jake był również sam. Przyszło jej na myśl, że praktycznie zawsze był sam. Nawet w otoczeniu obu rodzin trzymał się na uboczu. Mówił i śmiał się jak wszyscy, ale był samotnikiem.

Banner wydało się, że zna powód tej samotności, i zrobiło jej się go żal. Widziała, że wszedł do stajni. Za moment światło latarni zaczęło przebijać przez zakurzone okno.

To miała być jej noc poślubna, lecz nic z tego, ponieważ została odrzucona przez oblubieńca. Spotkała ją najdotkliwsza zniewaga, jakiej mogła doznać kobieta: panna młoda stojąca na progu świetlanej przyszłości zostaje wepchnięta w otchłań rozpaczy i publicznie upokorzona.

Musi odbudować w sobie zaufanie do siebie jako kobiety! Tej nocy albo już nigdy. Desperacko potrzebowała kogoś, kto ją przytuli, kto powie, że jest piękna, kto ją zapewni, że pragnie jej bardziej niż Wandy Burns. Potrzebowała miłości, lecz nie rodzicielskiej, nie siostrzanej czy braterskiej.

Potrzebowała oznak miłości od mężczyzny.

Jej serce zaczęło bić szybciej. W głowie pojawiła się myśl, która niczym nasionko pęczniejące w ziemi zaczęła dojrzewać i przybierać realne kształty.

Nic nie mogło jej powstrzymać.

Podeszła do toaletki i popatrzyła na swe odbicie w lustrze. Usiłowała wyobrazić sobie, jak przyjmie ją mężczyzna tak samo opuszczony i samotny tej nocy jak ona.

Chwyciła chustkę i zdecydowanym ruchem narzuciła na siebie. Nikt nie słyszał, jak zeszła po schodach i otworzyła frontowe drzwi.

Rozdział 3

Stara stajnia pachniała sianem, końmi i skórą. Banner lubiła te swojskie zapachy. Poczuła je od razu, gdy otworzyła wrota, a potem je za sobą bezgłośnie zamknęła. Wewnątrz było przytulnie, ciepło i panowała niczym niezmącona cisza. Jedynie świerszcze grały w niewidocznych kryjówkach. Źrebne klacze stały w swych boksach, czekając cierpliwie na czas rozwiązania.

Znalezienie się w tym miejscu w środku nocy i w nocnej koszuli nie było dla Banner żadną nowością. Często całą noc pilnowała klaczy, które miały trudności z porodem. Niezwykłe było tylko to, że przyszła tu w koszuli przeznaczonej na noc poślubną, oraz to, że przyszła do mężczyzny.

Poczuła strach.

To, co zamierzała uczynić, było śmiałe – nawet zuchwałe. Dwadzieścia cztery godziny temu było nie do pomyślenia. Ale wówczas nie znała jeszcze swego losu, który w tak okrutny sposób zawrócił bieg jej życia, bez jej winy i zgody. Podjęła decyzję: doszła tak daleko, że już nie mogła zawrócić.

Warstwa siana leżąca na ziemi głuszyła jej kroki, gdy szła w kierunku światła w ostatnim boksie. Konie były przyzwyczajone do jej zapachu i nie reagowały, kiedy przechodziła obok.

Kapelusz Jake'a, czarny z szerokim rondem, wisiał na gwoździu wbitym w jedną z belek. Dotknęła go palcami i uśmiechnęła się, widząc grubą warstwę kurzu.

Spojrzała ponad ścianką dzielącą zagrody. Jake stał pochylony nad przednią prawą nogą swego konia i oglądał zranione kopyto.

Banner była zadowolona, że przez chwilę może go obserwować bez jego wiedzy. Dorastała, znając go tylko z jednej strony, lecz dziś pragnęła go

poznać w pełni. Niech przestanie być jedynie marzeniem lub najwierniejszym przyjacielem rodziców czy idolem Lee i Micaha bądź synem Ma. Wymazując poprzednie wizerunki Jake'a ze swej pamięci, chciała widzieć w nim mężczyznę. Jego widok napełniał ją radością. Uświadomiła sobie, że przez całe życie kochała go na swój sposób.

Światło latarni odbijało się w pasemkach jego blond włosów. Dostrzegła, że skręcają się w pierścionki i w nieładzie spadają na kark. Zupełnie nie mogła sobie wyobrazić Jake'a z włosami wysmarowanymi brylantyną. Nie, on nigdy nie ulegał żadnej modzie.

Nosił włosy dość długie; nie wiedziała, czy celowo, czy z niedbalstwa. Zakrywały kołnierzyk koszuli przy każdym poruszeniu głową. Baczki koloru dojrzałej pszenicy dochodziły do połowy uszu. Brwi, teraz ściągnięte w skupieniu, były tak samo jasne.

Przyglądała się twarzy, którą znała od dzieciństwa. Miał szerokie czoło, wydatne kości policzkowe, lecz zapadnięte policzki. Mimo wyglądu chudzielca biła z tej twarzy siła.

Szczękę miał mocną, jakby precyzyjnie wyrzeźbioną; zdradzała upór i zdecydowanie. Pasowała do kogoś, kto był gotowy podjąć każde wyzwanie.

Próbowała wyobrazić go sobie z wąsami, takimi, jakie nosił jej ojciec, ale szybko odrzuciła ten obraz. Usta miał szerokie. Dolna warga była odrobinę pełniejsza od górnej, lecz ta z kolei była kształtniejsza. Widok tych ust przyprawiał ją o dreszcze; zbrodnią byłoby chować je pod wąsami.

Musiał przebrać się zaraz po powrocie z kościoła, miał bowiem na sobie ten sam ubiór, w jakim był rano: niebieską bawełnianą koszulę, drelichowe spodnie, podniszczone buty. Na szyi zawiązał czerwoną apaszkę. Nie miał pasa z rewolwerem ani skórzanej kamizelki.

Rękawy koszuli podwinął do łokci, ukazując opaloną skórę. Banner widziała, jak przy każdym ruchu pracują mięśnie jego rąk. Długimi i szczupłymi palcami na przemian delikatnie naciskał okolice rany. Obserwując ten rytmiczny masaż, Banner poczuła nagłe ciepło rozchodzące się po całym ciele. Zaskoczyło ją to. Przecież całe życie

obracała się wśród mężczyzn: Ross, Lee, Micah, kowboje. Wynikało to zapewne z niezwykłości sytuacji i wrażenia, jakie na niej wywarł Jake.

Odznaczał się męskością, która odbierała jej pewność siebie i niemal przerażała, choć zarazem, dziwna rzecz, przyciągała ją nieodparcie. To właśnie kobieca natura nakazała jej tu przyjść.

– I co z twoim koniem?

– Czyś ty z byka spadła, dziewczyno? O takiej porze nachodzić ludzi? O mały figiel, a wystraszyłabyś i mnie, i mego konia.

Zauważył tylko jej bose stopy i skraj szlafroka, ponieważ resztę szczelnie okrywała gruba chusta, którą omotała się na indiański sposób.

– Co ty tu robisz? Myślałem, że wszyscy dawno są w łóżkach.

Jego oczy rzeczywiście były niewiarygodnie niebieskie. Dlaczego nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi? Oczywiście, jeśli ktoś znienacka by ją spytał o kolor oczu Jake'a Langstona, bez namysłu odpowiedziałaby, że są niebieskie. Tego wieczoru zdawał się przenikać ją nimi, gdy tak patrzył z tej dość niewygodnej pozycji.

Mogła bez wahania opisać dokładnie te oczy: bardzo białe białka, niebieskie tęczówki, hebanowe źrenice. Po raz pierwszy zauważyła, że rzęsy ma ciemne u nasady, a na końcach – jasne, wyblakłe od słońca.

To były interesujące oczy i chciałaby wpatrywać się w nie bez końca. Teraz jednak patrzył nimi wyczekująco, spodziewając się wyjaśnień.

– Nie mogłam spać – powiedziała i nagle schyliła głowę, zawstydzona.

– Ach tak – odrzekł Jake, prostując się i głaszcząc kark Stormy'ego. Potem w wiadrze z wodą zanurzył ręce, umył je i wytarł o nogawki spodni.

– No tak. To w pewnym stopniu zrozumiałe, po wydarzeniach dzisiejszego dnia.

Banner spojrzała na niego. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamilkł, jakby niewidzialne kleszcze zamknęły mu usta. Utkwił wzrok w jej twarzy i dopiero po chwili zmusił się, by spojrzeć w bok. Przymknął oczy. Zauważył jej negliż.

– Możesz narobić sobie kłopotów, kręcąc się tutaj po ciemku i w dodatku tak ubrana.

– Myślisz?

Poczuł się głęboko zakłopotany.

– To jest pewne jak wszyscy diabli. Chodź, odprowadzę cię do domu.

Wyciągnął rękę, aby ująć ją za ramię, lecz cofnęła się, podeszła do konia i zaczęła go głaskać.

– Nie odpowiedziałeś mi, co z koniem.

– W porządku.

– Na pewno?

– Za kilka dni rana się zagoi. A teraz chodź…

– Co się stało z Apple Jackiem?

Na dźwięk tego końskiego imienia uśmiechnął się.

– To był znakomity koń do przegonu bydła. Wiedział, czego od niego chcę, zanim dotknąłem go kolanem czy ostrogą. Mogłem spać w siodle cały dzień, a Apple Jack nie pozwolił ani jednej krowie odłączyć się od stada. To był cudowny koń. Niestety, wpadł w norkę królika stepowego, złamał nogę i musiałem go zastrzelić.

Spojrzał na nią uważniej.

– Jak ty możesz go pamiętać?

– A jednak pamiętam.

Dalej głaskała błyszczącą sierść Stormy'ego. Jak wszyscy kowboje, Jake bardziej dbał o konia niż o siebie.

Z niewiadomej przyczyny nie mógł oderwać oczu od ręki głaszczącej konia. Chusta, którą Banner była okryta, zsunęła się powyżej łokcia. Rękaw koszuli był przezroczysty; widział wyraźnie jej ramię.

– Odwiedziłeś nas, gdy byłam dwunastoletnią dziewczynką. Przyjechałeś na kilka dni i tego popołudnia miałeś wyjeżdżać. Mama zrobiła na obiad fasolę po bretońsku, pieczone kurczaki i jabłecznik. Moje ulubione potrawy, ale nic nie zjadłam. Byłam bardzo smutna z powodu twego odjazdu, ojciec cię namawiał, żebyś został. Nakazano mi siedzieć prosto i zachowywać się grzecznie albo odejść od stołu. Nie mogłam spokojnie usiedzieć, więc poszłam do swego pokoju. Nie chciałam się nawet z tobą pożegnać. Przez okno widziałam, jak opuszczasz podwórko.

Zwróciła się twarzą do niego, opierając głowę o bok konia.

– Jednak nie wytrzymałam. Zbiegłam po schodach i pobiegłam za tobą. Goniłam cię, wołałam, aż mnie usłyszałeś i zawróciłeś. Kiedy zrównałam się z tobą, podniosłeś mnie i pocałowałeś w policzek. Pocieszyłeś mnie, bo obiecałeś przyjechać na Boże Narodzenie.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nie przyjechałeś.

– Wiem, Banner. Przeszkodziło mi wówczas coś bardzo ważnego.

– Dwa lata nie przyjeżdżałeś…

Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie znaczenie tamtego dnia; po wyjeździe Jake'a długo w nocy płakała w poduszkę. Intuicyjnie wyczuła, że upłynie dużo czasu, zanim zobaczy go znowu.

Już wówczas ją interesował. Był wysoki i przystojny, szarmancki i wesoły oraz potrafił opowiadać najcudowniejsze historie. Zdarzało się, że jej dokuczał, ale nie w tak irytujący sposób jak Lee i Micah. Jego przekomarzanie się z nią sprawiało, że czuła się dorosła.

Podniosła oczy i zrobiła krok w jego stronę. Była teraz blisko niego i brzeg jej nocnej koszuli ocierał się o czubki jego butów.

– Pozwoliłeś mi dojechać na Apple Jacku do bramy. To było niezwykłe pożegnanie; nie otaczał nas nikt z rodziny. Miałam cię wyłącznie dla siebie.

Spotkali się wzrokiem. Odchyliła się do tyłu i pozwoliła bujnym włosom rozsypać się na plecach.

– Pocałowałeś mnie.

Był to braterski, szybki pocałunek w policzek, lecz nigdy go nie zapomniała.

Na dźwięk tych cichych, ale bardzo wyraźnie wypowiedzianych słów Jake drgnął. Chwycił ją mocno za ramię i pociągnął w stronę wrót.

– Czas na ciebie.

Z rozmysłem powłóczyła nogami.

– A ty gdzie masz zamiar dzisiaj spać? W przybudówce?

– Nie. Chcę czuwać przy Stormym. Pościelę sobie tu, w stajni.

– To nie będzie zbyt wygodne – powiedziała, uwalniając się od jego uchwytu.

– Mnie odpowiada, Banner. Teraz chodź już…

– Masz jakąś pościel?

– Pościel? – Zatkało go to pytanie. – Zwróć uwagę, że mówisz do człowieka, który w swym życiu więcej nocy przespał pod gołym niebem niż w łóżku.

– I co z tego? To wcale nie znaczy, że masz spać byle jak, gdy to nie jest konieczne.

Nim się spostrzegł, obróciła się i zaczęła przeglądać poszczególne boksy. Trafiła na ten, w którym Jake trzymał siodło i zrolowany koc. Oparła ręce na biodrach i spytała:

– Jake'u Langstonie, jak myślisz, co by ludzie powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że Colemanowie pozwalają swoim gościom spać jak włóczęgom?

Przyjęta przez nią pozycja ciała spowodowała, że chusta ponad piersiami rozsunęła się i odkryła głęboki dekolt przysłonięty lekko rąbkiem koszuli. Nie speszyło jej to i spokojnym ruchem sięgnęła po szal, nie ruszając się z miejsca.

– Dobra, Banner – mruknął oschle. Mięśnie szczęki napięły mu się tak, jakby chwycił je skurcz. – Jeżeli wyjdziesz stąd, pościelę sobie tak jak zwykle.

– O nie, nic z tego. Wyjdę, lecz nie wcześniej, aż sama tu coś przygotuję. Podaj mi tamte koce. Są czyste. Można je rozłożyć…

Nerwowo rozczesał palcami włosy, zanim zrobił to, o co go prosiła.

– Pośpiesz się. Jest bardzo późno, a ciebie dawno powinno tu nie być.

Nie zwracając na niego uwagi, wzięła do ręki jeden koc i zaczęła go gruntownie oglądać, wreszcie bez pośpiechu rozkładać na sianie. To samo powtórzyła z trzema następnymi. Dopiero wtedy sięgnęła po śpiwór i ułożyła na wcześniej przygotowanym podłożu. Uklękła na nim i rozprostowywała wszystkie załamania. Jeśli zdała sobie sprawę, że

w trakcie tych czynności chusta zsunęła się jej z ramienia, pociągając za sobą rękaw nocnej koszuli, to nie wykonała żadnego gestu, by ją poprawić.

Piersi poruszały się pod przejrzystą tkaniną koszuli. Gdy się nachyliła, by z siana uformować coś na kształt poduszki, poczuła delikatną pieszczotę batystu na napiętych sutkach. Światło latarni podkreślało jej opaloną skórę. Czy Jake zauważył już, że nie jest dwunastoletnim podlotkiem o nieukształtowanej jeszcze figurze? Zebrawszy się na odwagę, podniosła się i stanęła przed nim.

– Tak, teraz jest znacznie lepiej, co?

Jake wytarł dłonie o nogawki spodni. Zmarszczki biegnące mu od nozdrzy do kącików ust pogłębiły się. Widać było wyraźnie bijący na jego skroniach puls.

– Ta-a, znacznie lepiej. Ale teraz, Banner, dobranoc.

Odwrócił się gwałtownie i na jednej z belek zaczął rozkładać zawartość swej torby, którą zawsze woził przytroczoną do siodła.

– Kiedy nie jestem senna.

– Mimo to wracaj do domu!

– Nie chcę.

– Ale ja chcę.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie powinnaś tu być tak… jak teraz…

– Czemu?

– Bo…

Zgarbił się jak stary człowiek. Ruchy miał szybkie i niezgrabne. Ustawienie kubka do golenia na zbyt wąskiej nagle półce sprawiło mu wyraźny kłopot.

– Jake?…

Jego ręce w dalszym ciągu były aktywne. Na moment ścisnął nawet wystający z belki kołek. Banner widziała prostujące się ramiona mężczyzny i podnoszącą się w głębokim westchnieniu pierś. Odwrócił się.

Nie patrzył na nią, utkwił wzrok ponad jej głową. Stała sztywna i wyprostowana, ze zwartym nogami. Językiem zwilżyła wargi.

– Jake, kochaj mnie.

Sekundy mijały w głębokiej ciszy. Powietrze stało się gęste od napięcia, niewyrażonych myśli, wzmożonego bicia serc. Żadne z nich nie wykonało najmniejszego ruchu, tylko jeden z koni parsknął głośno. Jake spojrzał w jego kierunku. Potem spuścił wzrok na swoje stopy i oglądał je z takim zainteresowaniem, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. Wsunął ręce do kieszeni spodni, ale zaraz je wyszarpnął. Skrzyżował ręce na piersiach i przyglądał się boksom zajętym przez konie.

W końcu spojrzał na Banner.

– Myślę, że dobrze zrobisz, jeśli natychmiast stąd wyjdziesz i od razu zapomnisz o swych słowach.

Pokręciła głową w geście przeczenia, zanim skończył mówić.

– Nie. Wiem, co powiedziałam, i naprawdę tego chcę. Dlatego tu przyszłam. Jake, proszę cię, kochaj się ze mną.

Zdobył się na lekki uśmiech.

– Banner, kochanie, nie chcę śmiać się z ciebie, ale…

– I lepiej tego nie rób – ostrzegła stłumionym głosem. – Całe miasto dzisiaj nie robi nic innego…

Z twarzy Jake'a zniknął uśmiech; źle go zrozumiała.

– Z ciebie, Banner, nigdy w życiu nie będę się śmiał. Tylko to, co proponujesz, jest śmieszne. I wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

– Dlaczego?

– D l a c z e g o?! – krzyknął i zauważył, że tego okrzyku wystraszyły się najbliżej stojące konie. Poczekał, aż się uspokoją. Zniżył głos do szeptu: – To śmieszne. Ja jestem… my… to znaczy… ty jesteś… jesteś za młoda…

– Jestem wystarczająco dorosła, by wyjść za mąż.

– Nie za mnie. Banner, ja jestem dwa razy starszy od ciebie.

– Dzisiejszej nocy miałam poznać miłość mężczyzny, lecz zostałam oszukana i odrzucona. Pomóż, potrzebuję cię. Zrób to dla mnie.

– Nie mogę! – rzucił dość ostro.

– Możesz.

– Nie mogę!

– Robisz to przecież cały czas.

– Tobie nawet mówić o tym nie wypada.

– Kiedy to prawda, może nie? Słyszałam, jak mężczyźni sobie opowiadali o twoich podbojach.

Wyciągnął wskazujący palec w jej kierunku.

– W tej chwili, Banner, skończ tę bezsensowną gadkę i idź do łóżka albo przyłożę ci klapsa…

– Przestań odzywać się do mnie jak do dziecka.

– Dla mnie jesteś dzieckiem!

Zrzuciła chustę, która z szelestem upadła na siano.

– Spójrz na mnie, Jake. Nie jestem dziewczynką, stałam się kobietą.

– O Boże!

To prawda. Okazała się kobietą, piękną, podniecającą kobietą. To był oczywisty fakt, który próbował ignorować. W jakim momencie przestała być rozpieszczaną małą Banner, ukochaną córeczką jego najbliższych przyjaciół? Kiedy zdążyła przeobrazić się z podlotka o chudych kolanach i łokciach, długich kończynach i potarganych warkoczach w delikatną kobietę? Czy ta przemiana następowała stopniowo, w ciągu lat, kiedy jej nie widział, czy odbyła się w ostatnich minutach?

Czarne jak noc włosy miękkimi puklami okalały jej twarz. Męskie dłonie chybaby w nich zabłądziły. Jake mógł sobie wyobrazić ich delikatność, poczuć je na twarzy, ustach, brzuchu.

Już przed laty zauważył, że była ładnym dzieckiem. W tej chwili jednak nie dziecko patrzyło na niego ciemnymi oczami i oblizywało usta tak ponętne, że nagle pomyślał, iż musi spróbować ich smaku, bo inaczej umrze.

Jej twarz była zmysłowa i prowokująca. Mogłaby należeć do kobiety bez żadnych zasad moralnych; do takiej, która wie, jak doprowadzić mężczyznę do szaleństwa, a nie do niewinnej, słodkiej dziewczyny, którą zna od kołyski. To był wprost okrutny żart Stwórcy.

Jej oczy miały w sobie dużo ognia, chroniącego ją przed natrętami. Obramowane gęstymi brwiami i otoczone długimi rzęsami były zbyt

śmiałe, zbyt intrygujące, zbyt zapraszające – na własną zgubę. Otwartość i szczerość były zagrożeniem dla niej samej. Już choćby jedno spojrzenie na jej zmysłowe usta mogło mężczyznę sprowadzić na manowce… Cóż znaczyła przyjaźń wobec takiej pokusy? I jak z nią walczyć?

Piegi na nosie były wyzywające. Jej skóra wydawała się miękka jak aksamit i ciepła jak świeże mleko. Jake nie śmiał nawet pomyśleć, jaka byłaby w smaku. Pachniała, jakby w tej chwili wyszła z wody mocno przesyconej zapachami kwiatów. W tym bukiecie chciałby zanurzyć twarz…

Była naga pod przezroczystą koszulą.

Z całą pewnością samo myślenie o Banner Coleman było wielkim grzechem. Nie miał wątpliwości, że Ross zastrzeliłby każdego, komu by taka myśl zaświtała w głowie…

Tylko czy znalazłby się jakiś mężczyzna, który nie marzyłby o tym szczupłym ciele, nie chciałby go poczuć splecionego z własnym? Który mężczyzna pozostałby obojętny na te pełne piersi, drżące pod lekką tkaniną przy każdym oddechu! Do licha, gdyby mógł je zobaczyć w całej swej krasie… Cholera! Wiedział, że widok jej wysmukłych nóg i tego ciemnego punktu pomiędzy udami nie da mu spokoju, prędzej zwariuje albo zrobi coś nieobliczalnego.

Była zmysłowa nie tylko dzięki prowokującej twarzy i kuszącemu ciału. To tkwiło głębiej, wypływało z jej wnętrza i zniewalało mężczyzn. Emanowała z niej jakaś dzikość domagająca się obłaskawienia przez kogoś, kto miałby dość odwagi, by spróbować.

I ta właśnie ledwie co dojrzała kobieta przyszła do niego (wykazując się odwagą, za co ją podziwiał) i poprosiła go o wcielenie się w rolę jej męża.

Nieważne, jak nęcąca mogła być ta prośba, nic na świecie nie zmusi go do dotknięcia jej. Kochał ją za to, kim była. Nie poświęci dwudziestoletniej przyjaźni dla dwudziestu minut przyjemności.

Przeklinał siebie, że nie spędził zeszłej nocy z którąś z dziwek Priscilli, jego ciało nie byłoby takie wygłodzone i z łatwością odmówiłby Banner.

Jego odpowiedź będzie jednoznaczna. Musi zrobić jej zawód, ale w sposób delikatny i uprzejmy, bez ryzyka zaprzepaszczenia przyjaźni i bez urażenia jej dumy.

– Wiem, że jesteś kobietą, Banner. Mówię szczerze – jestem zaszokowany twoim widokiem.

– W takim razie kochaj mnie.

– Nie. To może tylko pogorszyć sytuację. Dzisiaj czujesz się zraniona i odrzucona. Rozumiem. Jesteś zrozpaczona. To zupełnie naturalna reakcja na postępowanie Sheldona. Chcesz ratować swą zranioną dumę. Ten sukinsyn cię poniżył, a ty chcesz odzyskać poczucie własnej wartości. Ale to nie jest droga...

– Jest – powiedziała z całym przekonaniem.

Potrząsnął głową. Podszedł do niej bliżej i położył ręce na jej ramionach. Był to ryzykowny krok, czuł, że musi tak zrobić. Chciał przekonać samego siebie, że może jej dotknąć, a mimo to pozostać starym wujkiem, znajomym, przyjacielem domu.

– Banner, nie mówmy już o tym. Proszę cię, wracaj do domu. Rano zobaczysz sprawy w innym świetle. Zapewniam cię. Pojedziemy razem na przejażdżkę i...

– Jake, nie chcesz mnie? – przerwała mu. Płakała cicho. – Nie jestem dość pociągająca?

– Banner! – jęknął i zamknął oczy.

– Gdybym była kimś innym, zechciałbyś mnie?

– Ale nie jesteś.

– Czy to aż tyle dla ciebie znaczy?

– Właśnie. Ty jesteś Banner, ukochana córeczka Rossa i Lydii. Na miłość boską! Pamiętam, jak się urodziłaś.

Jej serce biło nierówno. Położyła ręce na jego piersi i popatrzyła mu w oczy.

– A gdybyś o tym nie pamiętał?...

– Jednak pamiętam.

Cofnął się i odwrócił tyłem do dziewczyny. Żeby chociaż jego zmysły przestały reagować, żeby nie słyszał, nie widział, nie czuł zapachu! Daremne pragnienia. Krew wrzała w jego żyłach. Zganił sam siebie. Jak to możliwe, że doznał erekcji na widok tej młodej dziewczyny?!

– Dzisiejszej nocy chcesz mieć mężczyznę, Banner – powiedział ochryple. – Masz do tego prawo. Mogę się z tym zgodzić i mogę to zrozumieć, chociaż wcale nie uważam, by to było lekarstwo na twój ból. – Na chwilę zamilkł; wziął głęboki oddech. – Przysięgam ci, nie jestem mężczyzną, którego pragniesz. Jestem włóczęgą, bez stałego miejsca i zajęcia. Mam na sumieniu sprawki, których się wstydzę. Uciekam przed odpowiedzialnością. Mój cały majątek mieści się w torbie przytroczonej do końskiego siodła. Kiedy tylko zarobię kilka dolarów, przepuszczam je w karty, wydaję na whisky i dziwki. Nie wolno mi nawet dotknąć cię tymi rękami. Przemyśl to.

– Kocham cię bez względu na to, kim jesteś i co zrobiłeś. To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Zawsze cię kochałam.

– Ja także cię kocham, dziewczyno. Ale mówimy o dwóch zupełnie różnych uczuciach. Nie jestem mężczyzną, jakiego potrzebujesz.

– A ja nie jestem kobietą, jaką dzisiaj chciałbyś mieć? – spytała ostro. – Chciałbyś mojej matki!

Odwrócił się gwałtownie.

– Coś ty powiedziała?

W mgnieniu oka przyszedł do siebie. Zapomniał o zmęczeniu, pokornej postawie i samokontroli. Rysy jego twarzy stały się nagle ostre. Ściągnął brwi i zmierzył ją nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Powiedziałam, że chcesz mojej matki – odrzekła bardzo wyraźnie i bez cienia lęku. Nie spuściła nawet wzroku. – Kochasz ją przecież.

– Chyba nie wiesz, co mówisz.

Gdzieś w głębi duszy zawsze wiedziała o tym, lecz w tym momencie uzmysłowiła to sobie w pełni.

– Ma również się domyśla. Dlatego nigdy nie namawiała cię na dłuższy pobyt w naszym domu, prawda? Z tego samego powodu nigdy tu długo nie

bawiłeś. Po prostu nie mogłeś znieść widoku szczęścia ich dwojga.

– Ross jest najuczciwszym człowiekiem, jakiego znam. I moim najlepszym przyjacielem.

– To wiem także, Jake. Prawdopodobnie mego ojca kochasz równie mocno jak moją matkę, tylko każde z nich na inny sposób. Mnie zaś odrzucasz z jej powodu. Jestem tego pewna.

Widziała teraz jego profil. Palcami nerwowo przeczesywał włosy, potem bezmyślnie splatał i rozplatał dłonie. Był zrezygnowany i przygnębiony.

Banner cierpiała razem z nim. Postawiła wszystko na jedną kartę i okazało się, że szala zwycięstwa poczęła przechylać się na jej stronę, ale nie cieszyło jej to. Domyślała się przyczyny samotności Jake'a, a teraz jej przypuszczenia znalazły potwierdzenie. Podeszła do niego, objęła go w pasie i całym ciałem przywarła doń tak, jak to robiła, będąc dzieckiem.

Tym razem poczuła kolosalną różnicę – zadziwiające, jak ich ciała pasowały do siebie. Był wyższy niż Grady, bardziej kanciasty, szczuplejszy.

– Dobrze już, dobrze, Jake. Nie powiedziałam tego, by ci sprawić przykrość. Twoja matka i ja jesteśmy prawdopodobnie jedynymi osobami, które o tym wiedzą, a żadna z nas nie zdradzi cię. Nic na to nie możesz poradzić, że ją kochasz.

Podniosła głowę.

– Skoro nie możesz jej mieć, weź mnie.

Objął ją, nie zdając sobie z tego sprawy; był pod wrażeniem jej słów. Nie myliła się – od wielu lat darzył Lydię uczuciem, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy, ledwie żywą, w lesie w Tennessee.

– Jesteś samotny, Jake. Tęsknisz za kobietą, którą kochasz od dawna. Ona jednak kocha innego, należy do niego i wcale nie chce tego zmienić. Dzisiejszej nocy miałam stać się kobietą. Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu zaryzykuję, by pokochać kogoś po tym, jak Grady mnie upokorzył. Muszę jednak wiedzieć, czy jestem w stanie zdobyć miłość mężczyzny. Spraw, bym w to uwierzyła.

Podniosła ręce i dotknęła jego twarzy. Końcami palców sunęła po niej, zaznajamiając się z jej kształtem. Ciekawość prowadziła jej palce do

bokobrodów i dalej, do delikatnych uszu. Zakończyła tę wędrówkę na ustach mężczyzny.

– Możemy sobie wzajemnie dać to, czego tak rozpaczliwie potrzebujemy: kochaj mnie, a ja oddam ci swoją miłość.

Jej delikatny dotyk wyrwał go z zadumy. Jake mocniej przyciągnął ją do siebie i zanurzył twarz w jej włosach. Jęknął cicho, kiedy przywarła do niego ciepłym ciałem.

– Nie możemy tego zrobić, Banner.

– Możemy.

– Jestem ostatnim, którego potrzebujesz.

– Jesteś jedynym, z którym chcę to zrobić.

– Jesteś dziewicą.

– Tak.

– Będzie bolało.

– Nieważne.

– Później będziesz z tego powodu cierpiała…

– Będę bardziej cierpiała, jeśli to się nie stanie.

Wargami dotknęła jego szyi nad rozpiętą koszulą. Skóra w tym miejscu była przyjemnie ciepła.

Ścisnął jej ramiona i rzekł drżącym z emocji głosem:

– To, co robimy, jest złe.

– Jak może być złe? Przecież dawniej całowałeś moje siniaki i rany, by szybciej się goiły, zatem całuj mnie, Jake, także teraz i wygoń ze mnie ten okropny ból. Jeśli nie możesz inaczej, myśl, że jestem moją matką…

Jego wargi napotkały jej usta. Na początek lekko je musnął. Były delikatne niczym płatek kwiatu i bardzo mu się spodobały. Objęła go ramionami za szyję. Na piersi poczuł jej gorące ciało i całował ją coraz namiętniej, aż rozchyliła wargi. Nieśmiało wsunął w nie język, niepewny jej reakcji. Odpowiedzią był szybszy oddech i drżenie ciała dziewczyny.

Poczuł się zgubiony, bezpowrotnie stracony. Chwilę później oboje upadli na prowizoryczne posłanie.

– Banner, Banner! – Dyszał ciężko. – Przestań. Nie mogę.

– Proszę, Jake, kochaj mnie.

Wszystkie hamulce, które go powstrzymywały, nagle puściły, i już zdejmował z siebie ubranie, dotykając jej szyi rozchylonymi wargami. Naga skóra podniecała go. Wkrótce zobaczył cudowne ciało kobiece, zapraszające do miłości.

– Banner...

Leżała na boku, plecami do niego. Na jego dotyk zwinęła się w kłębek i schowała głowę w zgięte ramię.

Jake siadł i spojrzał na nią. Potem wstał i wyszedł ze stajni. Wiedział, że dziewczyna potrzebuje chwili samotności.

Przewróciła się na plecy i otarła łzy. Usiadła powoli, opierając się najpierw na łokciach i oddychając głęboko. Drżącymi rękoma przygładziła potargane włosy. Podniosła chustę, otrzepała ją i okryła się. Potem usiłowała wstać.

Stłumiła szloch, gdy zobaczyła krew na kocu. Uczucie wstydu i upokorzenia przyprawiło ją o zawrót głowy i na chwilę musiała oprzeć się o przegrodę, żeby odzyskać równowagę, po czym wolno ruszyła do drzwi.

Chłodne powietrze na zewnątrz przyniosło jej chwilową ulgę. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i spojrzała w tym kierunku. W cieniu stał Jake oparty o ścianę stajni. Na jej widok postąpił krok naprzód.

– Banner?

Był zaskoczony zmienionymi rysami jej twarzy, które światło księżyca dodatkowo wyostrzało. Z oczu płynęły łzy, a mokre ślady na bladych policzkach świadczyły, że nie jest w stanie nad nimi zapanować; wargi drżały; włosy były rozczochrane. Owinęła się szczelnie chustą, jakby bała się, że zedrze ją z niej i zmusi do miłości. Nawet na niego nie patrząc, wyminęła go i bez słowa podążyła w stronę domu.

Jake ze złości kopnął bramę stajni.

Cholera!

Rozdział 4

Banner sądziła, że wczorajszy dzień był najgorszym w jej życiu. Dzień dzisiejszy jednak okazał się znacznie gorszy od wczorajszego. Dzisiaj gardziła nie tylko Gradym Sheldonem, ale również sobą za to, co zrobiła w nocy.

Leżała w łóżku z kolanami podciągniętymi aż pod brodę, tak jakby cierpiała na ból żołądka lub brzucha. Co ją opętało?! Myliła się, sądząc, że zdobycie się na ten drastyczny krok wyrwie ją z rozpaczy. Jake miał rację: najadła się tylko wstydu.

Jake. Jake. Jake. Co on teraz myśli?

Ubóstwiał Lydię, stawiał ją na piedestale, wysoko ponad wszystkimi innymi kobietami. Intuicyjnie Banner wyczuwała, że to dlatego nigdy się nie ożenił. Nie zdradzał Lydii, gdy spał z prostytutkami; w te przygody angażował jedynie ciało – duchem pozostawał jej wierny.

Kochał Banner, ponieważ była jej córką. Ale teraz Jake wie, że nie jest lepsza od Wandy Burns. Narzuciła mu się, błagała, by się z nią kochał. Widziała przerażenie w jego oczach, gdy się do niego zbliżała. Z pewnością był zaskoczony jej nachalnością, a teraz prawdopodobnie budziła w nim odrazę...

Nie! Nie mogła o tym myśleć. Płonęła ze wstydu.

Swoim zachowaniem musiała zniszczyć uczucie lub podziw, jakim ją darzył. Nie będzie mógł teraz traktować jej z większym szacunkiem niż płatne dziewczyny, z którymi przestawał. Pewnie zrobi na swoim pasie jeszcze jedno sekretne nacięcie, a ona nie może mieć o to pretensji – przecież go sprowokowała.

– Banner?

Siadła gwałtownie i przetarła zapłakane oczy. Odruchowo przygładziła włosy i koszulę na piersiach. Chyba nie widać nic po niej? Czy matka zauważy, co się stało?

– Tak, mamo?

Lydia otworzyła drzwi i weszła do pokoju, który sama bardzo starannie urządziła dla córki. Zawierał wszystko, czego sama nie miała, a o czym zawsze marzyła.

Żelazne łóżko było idealnie białe, nakryte kolorową narzutą, będącą efektem wielu godzin pracy jej i Ma. W obu oknach wisiały gęsto marszczone firany. W każdym z trzech trzcinowych foteli leżały poduszeczki, które Ma zrobiła ze skrawków materiału i gęsiego puchu. Podłogę pokrywał gruby dywan. Wszystko nosiło ślady kochających rąk.

Lydia zmartwiła się; zapłakana Banner stała przy oknie – pewnie spędziła tak całą noc.

– Niepokoimy się o ciebie. Zrozumiałe, że nie zeszłaś na śniadanie, ale jest już prawie południe. Zjesz obiad na dole, czy wolałabyś, bym ci tu przyniosła?

Troskliwość Lydii spowodowała napływ nowej fali łez do oczu dziewczyny. Co by jej rodzice powiedzieli, widząc ją, jak wije się pod Jake'em? Znowu oblała się rumieńcem wstydu.

– Mamo, naprawdę niczego nie potrzebuję. Po prostu dzisiejszy dzień chciałabym spędzić w swoim pokoju.

Lydia ścisnęła jej rękę.

– Wczoraj wieczorem zeszłaś do kuchni. Czy to było takie straszne?

– To nie o to chodzi, mamo – wykręciła się. – Pragnę zastanowić się, co dalej począć ze sobą.

Lydia objęła ją i pogłaskała po włosach.

– Wczoraj nie mogłabym ci tego powiedzieć; twoje rany były zbyt świeże, więc chcę uczynić to teraz i proszę cię, byś przyjęła to w spokoju. – Przerwała na moment, by starannie dobrać słowa. – Właściwie jestem zadowolona, że twój ślub z Gradym nie doszedł do skutku.

Banner odsunęła się trochę, chcąc lepiej przypatrzeć się matce.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego? Myślałam, że go polubiłaś.

– Owszem, nawet bardzo. Uważałam go za miłego chłopca. – Jej bursztynowe oczy spochmurniały. – Może on właśnie taki jest: zbyt miły. A ja nie ufam mężczyznom, którzy wydają się bez skazy.

Banner niemal zapomniała o swoim nieszczęściu. Roześmiała się.

– Mamo, jesteś pełna sprzeczności. Inne matki bardzo by się cieszyły, gdyby ich córki wychodziły za mąż za chłopców podobnych do Grady'ego.

– Nie żebym miała być niezadowolona z tego powodu. Myślałam jedynie, że Grady nie pasuje do ciebie z uwagi na swój słaby charakter.

Uderzyło Lydię spostrzeżenie, że Grady był zbyt miękki dla Banner, zbyt jej powolny. Bała się, że córka szybko się nim znudzi, a to uważała za katastrofę w małżeństwie. Ona i Ross wojowali ze sobą, kochali się wzajemnie, wspólnie przeżywali radości i cierpienia. Nuda nigdy nie zagościła w ich życiu. Tego samego chciała dla swej córki.

Dotknęła policzka Banner.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Na pewno spotkasz jeszcze kogoś naprawdę odpowiedniego. Myślałam, że moje życie już się skończyło, zanim spotkałam Rossa; on czuł to samo, kiedy Victoria zmarła i zostawiła go z noworodkiem. Żadne z nas nie było w stanie przewidzieć, że będziemy mieli szansę od nowa budować swe życie.

Coś ścisnęło Banner za gardło. Przytuliła się do matki, aby nie wyczytała z jej twarzy winy. Jeżeli gdzieś czekał nawet na nią odpowiedni mężczyzna, nie będzie już jej chciał. Została skażona – nie przez Jake'a. Przez siebie.

Jake był prawdziwym mężczyzną. Jeśli mogła mieć co do tego jakieś wątpliwości, rozwiał je ostatniej nocy. Sprowokowała go, i to tak mocno, że nawet święty by się nie oparł. Za to, co się stało, nie ponosił winy. Nawet gdyby chciała część winy przerzucić na niego – nie mogła. Otrzymała dokładnie to, o co prosiła. I teraz sama musi za to płacić…

– Rozmawiałam z Rossem – mówiła Lydia. – Pomyśleliśmy, że może chciałabyś gdzieś pojechać? Do St. Louis lub Nowego Orleanu? Gdziekolwiek…

– Nie, mamo – przerwała jej zdecydowanie. – To nie dla mnie. Nigdy nie uciekałam i nigdy nie chowałam głowy w piasek. To Grady się zhańbił, nie ja, i nie pozwolę, żeby jego ciemne sprawki odsunęły mnie od ludzi i domu, który kocham. Chcę zostać na mojej ziemi, zająć się nią tak, jak planowaliśmy.

Lydia spojrzała na córkę zbita z tropu.

– Ależ, kochanie, to miałoby sens, gdybyś była mężatką. Samotnej kobiecie to wręcz nie wypada.

– Mamo, ja nie zmienię swojego postanowienia.

Powiedziała to z pełnym przekonaniem. Ta myśl przyszła jej do głowy dziś rano i wprowadzenie jej w życie uznała za jedyny sposób ocalenia siebie. Najlepszym wyjściem będzie zatracić się w pracy i o wszystkim zapomnieć.

– Muszę to zrobić, mamo. Rozumiesz mnie, prawda?

Lydia z westchnieniem przyjrzała się córce.

– Ja tak, ale obawiam się reakcji ojca.

– Przekonaj go, mamo. Nie mogę tu siedzieć i czekać na nowego adoratora… To mam już za sobą i na razie nie chcę żadnego nowego związku. Jeśli nic nie zrobię, a będę jedynie nieszczęśliwą córką państwa Colemanów, której nie udało się wyjść za mąż – zgłupieję.

– Porozmawiam z nim – powiedziała spokojnie Lydia. – A ty odpoczywaj. Jesteś pewna, że nic ci nie dolega? Jesteś taka blada.

– Czuję się dobrze. Przekaż ojcu, co ci powiedziałam. Niecierpliwię się, aby wszystko dokładnie zaplanować. A im szybciej będę czymś zajęta, tym lepiej.

Lydia ucałowała ją w czoło.

– Zobaczę, co da się zrobić. Nie spiesz się jednak bardzo i nie podejmuj pochopnych decyzji.

Dlaczego matka nie ostrzegła jej poprzedniej nocy? Czy posłuchałaby jej? Szczerze mówiąc – chyba nie…

– Mamo, naprawdę zdaję sobie sprawę z tego, na co się ważę.

– Nie chcę tylko, byś była dla siebie nadmiernie surowa. Złamane serca najlepiej leczy czas.

Banner pomyślała o Gradym. Po wydarzeniach ostatniej nocy wspomnienia zajścia w kościele straciły trochę na ostrości. To, co zaszło między nią i Jake'em, pomniejszyło znaczenie zdrady Grady'ego.

Po wyjściu Lydii Banner podeszła do szafy i wyjęła podomkę. Zdjęła koszulę, zamoczyła ręcznik w zimnej wodzie i przemyła twarz. Po długiej chwili spojrzała na swe odbicie w lustrze. Wyglądała jak dawniej, ale wiedziała, że dokonała się w niej nieodwracalna zmiana.

Z wahaniem dotknęła warg, przypominając sobie, jak Jake musnął je pierwszy raz ustami. Potem palce zeszły na szyję: nikłe ślady, których matka nie spostrzegła, przyniosły wspomnienie pocałunków tak delikatnych, jak uderzenia skrzydeł kolibra.

To niemożliwe. Nic się nie stało. Jake nie dotykał jej, nie całował, nie posiadł jej. W każdym razie nie tak, jak teraz ona to widzi.

Okłamywała samą siebie; całe ciało jej to mówiło. Wystarczy, że zamknie oczy, a zaraz, od nowa, czuje głęboko w sobie jego obecność, słyszy słodki odgłos przyśpieszonego oddechu, dotyk jego ust na swoich. Bez względu na to, jak bardzo chciała zapomnieć – nie mogła. Niezależnie od tego, jak mocno pragnęła wymazać z pamięci tamte obrazy, krew wciąż się w niej burzyła.

*

Jake wszedł do przybudówki i zbliżył się do pieca, na którym stał duży czajnik pełen gorącej kawy.

– Hej, Jake!

– O co chodzi? – spytał kowboja, który na jego widok wstał od stołu.

– Ross chce cię widzieć po śniadaniu. Prosił mnie, bym ci to przekazał.

– Mówił coś jeszcze?

– Nie-e.

– Dobra. Dziękuję.

Jake wcale by się nie zdziwił, gdyby tego ranka został powitany rewolwerem Rossa. Był pewny, że gdyby Ross wiedział, co się wydarzyło w stajni ostatniej nocy, zastrzeliłby go nawet od tyłu, bez żadnych wyrzutów sumienia.

Parę lat temu Lee podsłuchał, jak któryś z kowbojów wypowiedział uwagę o figurze dorastającej Banner. W obronie honoru siostry natychmiast wdał się w bójkę. Ross przerwał tę bijatykę, a kowboj musiał głośno powtórzyć swe niedelikatne spostrzeżenie. Coleman wpadł w taką furię, że gdyby Jake i kilku innych go nie powstrzymało, pewnie by zabił chłopaka.

Żadna z kobiet na farmie nie wiedziała o incydencie, ale wszyscy tutejsi kowboje nie zapomnieli o tym. Szanowali Rossa jako pracodawcę i usuwali mu się z drogi, kiedy wybuchał gniewem. Od tamtego dnia woleli nawet nie patrzeć na Banner, bez względu na to, jak kuszący byłby to widok. Jeden drugiego ostrzegał, iż córka Rossa to zakazany owoc i nikt bezkarnie nie może go zerwać.

Jake zajął miejsce przy długim stole i pomału pił stygnącą kawę. Nawet nie ruszył jajecznicy na bekonie, którą podsunął mu kucharz.

Nie, Ross nie może wiedzieć o wypadkach ostatniej nocy, gdyż inaczej Jake już by nie żył. Nie uchroniłaby go nawet wieloletnia, wierna przyjaźń łącząca go z Rossem.

Ale jak, u diabła, spojrzeć mu w oczy? Jak ma udawać przyjaciela, skoro przed paroma godzinami zgwałcił mu córkę? Skalał jego słodką, ukochaną Banner.

– Przyjechałeś tu od razu z Fort Worth, Jake?

– No – odrzekł lakonicznie.

– Byłeś w Pół Akra Piekła?

To Lee i Micah wyrobili mu na farmie opinię podrywacza i tworzyli na jego temat legendę. Wielu z zatrudnionych kowbojów było zbyt młodych, aby brać udział w dalekich przegonach bydła. Ci, którzy już coś takiego mieli za sobą, cieszyli się zasłużonym poważaniem.

– Bardzo krótko.

– I jak było?

– Same awantury.

– A w Ogrodzie Edenu byłeś? Gadają, że „mama" Priscilla ma najlepsze dziwki w całym stanie – szkolone w Nowym Orleanie. To prawda?

– Aż w Nowym Orleanie? – Jake uśmiechnął się; nie było sensu ich rozczarowywać. – Owszem, uważam, że kilka z nich jest naprawdę dobrych.

– A posuwałeś którą?

– To chyba jasne – odpowiedział ktoś za niego. – Wszystkie po kolei. Jake to gość honorowy. Słyszałem, że Priscilla nie mogła potem usunąć uśmiechów z ich twarzy. I wszystkie się nagle pochorowały: chodziły z szeroko rozstawionymi nogami.

Siedzący przy stole wybuchnęli śmiechem. Jake wzruszył ramionami i popił kawy. Niespecjalnie był dumny z reputacji uwodziciela, ale musiał przyznać, że robił wszystko, by na nią zapracować. Przyzwyczaił się już do tego, że wyolbrzymiano jego łóżkowe możliwości.

Teraz był zbyt pochłonięty perspektywą rozmowy z Rossem, aby zwracać uwagę na żarty. Seks należał do częstych tematów rozmów kowbojów, którzy byli pozbawieni kobiecego towarzystwa przez długie miesiące. Jake znał wszystkie opowieści czy dowcipy ze szlaku i nie robiły na nim żadnego wrażenia. Młodzi mężczyźni jednak wierzyli w każde słowo.

– A co robisz w takie noce jak ostatnia? Przemycasz sobie kobietę do stajni?

Jake poderwał się z krzesła i wyrwał rewolwer z olstra. Wylot jego lufy znalazł się o cal od czoła pytającego.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał przez zaciśnięte zęby.

– Nic, zupełnie nic, Jake. Myślałem, że to może być śmieszne. – Nieszczęśnik był bardzo wystraszony. Dotychczas tylko słyszał o wybuchowym temperamencie Jake'a, a teraz przekonał się o tym na własnej skórze.

Jake poczuł zażenowanie, że tak łatwo dał się ponieść emocjom! To jasne, że gdyby kowboj pisnął choć jedno słowo na temat Banner idącej do stajni, już by nie żył. Jake nigdy by nie dopuścił do skompromitowania dziewczyny.

Bardzo powoli opuścił odwiedziony kurek i schował rewolwer.

– Przepraszam, chyba nie jestem w nastroju do żartów.

Uśmiechnął się szeroko, ale wyszło to sztucznie. Nie dało się już przywrócić miłej atmosfery. Stopniowo, jeden po drugim, zebrani odnosili swoje talerze do kuchni, zabierali kapelusze, rękawice, linki i wychodzili do codziennych zajęć.

Jake nalał sobie jeszcze jeden kubek kawy i siedział nad nim dość długo. W końcu podniósł się i poszedł w kierunku głównego wejścia. Anabeth i Lydia siedziały na werandzie i obserwowały małych Drummondów baraszkujących na podwórzu.

– ...ń dobry – rzekł swobodnie.

– Witaj, Bubba – zawołała Anabeth.

– Dzień dobry. – Lydia uśmiechnęła się do niego. – Zapomniałeś o śniadaniu.

– Doglądałem Stormy'ego. Wciąż dokucza mu pęcina.

– Jadłeś coś?

Kiwnął głową twierdząco, choć było to kłamstwo.

– W przybudówce. Gdzie są wszyscy?

– Hector pomaga Ma zrobić stracha na wróble i umieścić go w ogrodzie – wyjaśniła ze śmiechem Anabeth. – Na początek wystraszyli mi dzieci, więc przeniosłam się z nimi tutaj. A Marynell, jak zwykle, coś studiuje.

Jake pokiwał głową i obserwował dzieci bawiące się skakanką.

– A co z Banner? – Pytanie było najzupełniej naturalne; każdy w tym domu martwił się o dziewczynę po tym, co się wydarzyło. Ani jego siostra, ani Lydia nie domyślały się niczego. Jedynie to napięcie...

– Byłam u niej przed chwilą. Ma zapuchnięte oczy. Pewnie całą noc przepłakała.

Lydia akurat obserwowała młodsze z Drummondów, usiłujące przeskoczyć przez sznurek, więc nie zauważyła, że Jake drgnął znienacka.

– Rozmawiałam z nią dość długo. Za jakiś czas dojdzie do siebie.

Poczucie winy nie opuszczało go. Banner mogła wkrótce otrząsnąć się po sprawkach Grady'ego, ale kiedy zapomni o ubiegłej nocy? Nie! To niemożliwe. Spustoszenie wynikłe z jego winy było trwałe.

– Ross jest w domu? Ktoś powiedział, że chce mnie widzieć.

– Tak – pośpieszyła z odpowiedzią Lydia. – Jest w swoim gabinecie.

Jake skłonił się kobietom i odszedł.

– Martwię się o niego – powiedziała Anabeth do Lydii, kiedy był już daleko.

– Martwisz się? Dlaczego?

– Po śmierci ojca, od kiedy zaczął uczestniczyć w przegonach, zrobił się jakiś dziwny. Popatrz, jak on żyje. Z dnia na dzień, bez widoków na przyszłość. Chciałabym, żeby się ożenił, miał dzieci i przestał włóczyć się z miejsca na miejsce. Jest dorosły i najwyższy czas, aby żył jak inni.

– Ma również się o niego martwi – przytaknęła Lydia. – I ja także.

– Wiesz co? – kontynuowała Anabeth. – On chyba nie może przeboleć śmierci Luke'a. Wiem, że to brzmi dziwnie, skoro stało się to prawie dwadzieścia lat temu, ale od tamtego czasu według mnie Jake nie doszedł do siebie. Gdyby odkryto, kto był mordercą i sprawiedliwie go skazano, przypuszczam, że nie przeżywałby tego tak mocno.

Lydia opuściła głowę; ona wiedziała wszystko.

Jake wytropił mordercę – jej przyrodniego brata, Clanceya Russella. Sam wydał na niego wyrok i sam wykonał. Miał wtedy szesnaście lat. Lydia była jedyną osobą na świecie, która dzieliła z Jake'em tę tajemnicę.

Jake poszedł korytarzem na tył domu, do gabinetu Rossa. Czuł się nieswojo, jak wówczas, gdy spotkali się pierwszy raz. Mijające lata zbliżyły ich do siebie mimo różnicy wieku, lecz w tej chwili poczucie winy sprawiało, że czuł się niczym chłopak, którego czeka kara za wybryk.

– Ross...

Zagadnięty podniósł głowę znad stosu papierów, które starannie studiował.

– Wejdź, Jake, i siadaj. Dzięki, że przyszedłeś. Oderwałem cię od roboty?

– Nie, skąd!

Jake usiadł na krześle przy biurku i starał się zachowywać naturalnie. Zdjął kapelusz i rzucił go na skórzaną kanapę stojącą w rogu pokoju. Założył nogę na nogę.

– Chciałem spędzić trochę czasu z matką.

– To świetnie – rzekł Ross. – Ona bardzo cię potrzebuje.

– Tak, wiem.

Westchnął. To nie było w porządku, że opuścił dom zaraz po śmierci ojca. Uczynił tak, ponieważ dłużej nie mógł znieść gospodarowania na farmie. Zwariowałby, gdyby miał dalej orać kamienistą ziemię dającą mizerny plon. Starał się przekonać rodziców, że ten teren bardziej nadaje się do hodowli bydła, lecz oni znali się tylko na uprawie roli i nic nie było w stanie zmienić ich sposobu myślenia. Teraz jednak miał sobie za złe, że zostawił matkę samą. Był najstarszy z rodzeństwa, a zatem odpowiedzialny za całą rodzinę. Za każdym razem, gdy zarobił jakieś pieniądze, wysyłał je do domu. Zdawał sobie jednak sprawę, że oni wolą jego obecność niż pieniądze.

Czuł się winny wobec matki. Obecnie siedział naprzeciw człowieka, względem którego zawinił jeszcze bardziej.

– Chcesz czegoś ode mnie, Ross?

– Tego samego, co zawsze. Proponuję ci pracę.

– Moja odpowiedź jest niezmienna: nie.

– Mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego?

Jake niespokojnie poruszył się na krześle. Dotychczas jedynym powodem odmowy była Lydia. Banner trafiła w sedno zeszłej nocy: nie mógł zaryzykować dłuższego pobytu w River Bend, bo kochał jej matkę. Wcześniej czy później to uczucie wyszłoby na jaw, a to znaczyłoby zniweczenie wieloletniej przyjaźni z Rossem.

Teraz doszła nowa, jeszcze ważniejsza przyczyna: Banner. Tej dziewczynie nie potrafiłby już spojrzeć w twarz.

To był jego błąd. Owszem, przyszła do niego, kusiła i namawiała, ale jemu to odpowiadało! Dał się namówić, i to bez szczególnych wysiłków z jej strony.

Był starszy i powinien zachować się rozważniej. Sprawił jej ból i złamał serce wtedy, kiedy najbardziej potrzebowała wsparcia i pomocy. Szukała u niego ukojenia, choć w nieświadomości prosiła o coś zupełnie innego. Mimo że wszystko to wiedział – posiadł ją.

Boże! Jak musi nim dzisiaj pogardzać!

Kiedy już było po wszystkim, skuliła się pod jego dotykiem. Ledwo na niego spojrzała, i to wzrokiem zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Czy bardzo ją zranił? Czy ciągle czuje ból? Nie mógł okazać więcej delikatności? Zupełnie zapomniał, że ma do czynienia z dziewicą.

Do diabła! Pewnie uważa go za brutala albo wręcz bestię. Im wcześniej usunie się z jej życia, tym lepiej. Jeszcze trochę pobędzie z matką i ulotni się. Najchętniej zrobiłby to dzisiaj, gdyby koń był zdrowy.

– Po prostu nie mogę zostać – powiedział wprost.

– Chciałbym ci przedstawić swoje racje, zanim dasz mi ostateczną odpowiedź.

– Jak chcesz. Tracimy twój czas, nie mój.

– Filiżankę kawy?

– Nie, dziękuję.

– Whisky?

– Nie, coś ty! Chcesz mnie upić? – Jake roześmiał się.

– Zrobiłbym to, jeśli w ten sposób mógłbym cię zatrzymać. Wiesz, że zawsze chciałem pracować z tobą. Od czasu, gdy pod Jefferson rozleciał się nam wóz na szlaku.

– Wtedy nie było to możliwe ze względu na moją rodzinę. Teraz w grę wchodzą inne względy.

– Jakie, do cholery?! – Ross uderzył pięścią w biurko. – Masz inną robotę? Mówiłeś, że tę w Panhandle skończyłeś…

– Rzeczywiście.

– I co? Jakie są twoje plany?

– Znaleźć coś innego.

– Po co, skoro proponuję ci robotę tutaj?

Ross wstał z krzesła i obszedł biurko. Był jedynym mężczyzną, którego Jake podziwiał; nie mógł sobie darować, że tak go zawiódł. Poczuł obrzydzenie do samego siebie. Jeśli Ross dowiedziałby się o sprawie z Banner, już dawno by go pogrzebał zamiast prosić o pozostanie.

– Chciałbym zaoferować ci posadę nadzorcy na ranczo Banner, za rzeką.

Na dźwięk imienia drgnął nerwowo.

– Ranczo Banner? Jakie ranczo?

Nagłe zainteresowanie ze strony Jake'a ośmieliło Rossa.

– Kilka lat temu zdobyłem parę akrów ziemi dla Lee i Banner; nabywałem je po kawałku. W większości są to nieużytki. Banner i Grady'emu dałem ich część w prezencie ślubnym. – W tym momencie zaszkliły mu się zielone oczy. – Nie wiesz, z jaką chęcią zastrzeliłbym tego sukinsyna.

– Owszem, wiem, bo czułem to samo.

Jake widywał Rossa wściekłym. Znał jego przeszłość i wiedział, że przyjaciel potrafił wtedy być śmiertelnie niebezpieczny. Nie wątpił, że Ross jest zdolny do morderstwa, tylko Opatrzność uchroniła go od natychmiastowego wykonania groźby. To by niczego nie rozwiązało, a jedynie przysporzyło masę kłopotów całej rodzinie.

– Zabiję każdego, kto skrzywdzi Banner – mówił dalej Ross. – Sheldon jako kandydat na męża mojej córki nieszczególnie mi się podobał, ale podobno przyszły zięć żadnemu ojcu nie odpowiada. Pomyślałem, że mogłaby trafić gorzej. Od czasu, gdy przyciąga uwagę mężczyzn, bałem się, że może jej się nawinąć jakiś kowboj-włóczęga, dla którego Banner straci głowę.

– Miałeś pełne prawo tak myśleć. Takie niebezpieczeństwo zawsze grozi dziewczynie.

– Mógłby się z nią ożenić, narobić jej dzieci i kłopotów, a moje pieniądze przepuścić na dziwki, hazard i pijaństwo.

Jake poczuł się nieswojo.

– Sheldon przynajmniej zajmował pewną pozycję w tej społeczności. Na jego prowadzenie się nie zwracałem uwagi. Teraz widać, jak błędnie oceniam ludzi! W każdym razie – mówił dalej, przeczesując włosy palcami – na tym gruncie zbudowałem dla nich niewielki dom, gdy tylko Banner postanowiła, że nie przeprowadzi się do miasta. Przed chwilą Lydia mi przekazała jej wolę – otóż Banner postanowiła tam zamieszkać i prowadzić ranczo. Bez Grady'ego. Sama!

– To niedorzeczne. Tego nie powinna robić – powiedział zupełnie szczerze Jake.

– Obiecałem jej ogiera i kilka klaczy na początek, ale ona chce spróbować także hodowli bydła rzeźnego.

– A co ona, u diabła, wie na ten temat?

– Niewiele, podobnie zresztą jak ja – z wyjątkiem przepisu na wspaniały stek.

Spojrzał Jake'owi prosto w oczy.

– Ty natomiast wiesz na ten temat wszystko. Na tym kawałku gruntu będziesz mógł zdziałać cuda.

W innych okolicznościach Jake nie posiadałby się z radości. To przecież było jego odwieczne marzenie. W końcu miałby poważne i odpowiedzialne zajęcie. Boże, co za pokusa! Niestety nie mógł przyjąć tej oferty, więc nie było najmniejszego sensu upajać się nią.

Wstał z krzesła, podszedł do okna i włożył ręce do kieszeni.

– Przykro mi, Ross, ale nie mogę.

– Podaj mi choć jeden rozsądny powód!

– Banner. Z całą pewnością sama będzie chciała znaleźć odpowiedniego człowieka. Jestem pewien, że ma wiele pomysłów.

– Zgadzam się z tobą, ale to ja będę sprawował nadzór nad całością. Banner chce się tam przenieść, bo inaczej zamartwi się na śmierć. Tylko że jest bardzo niemądra, skoro sądzi, że puszczę ją tam samą. Co prawda jest

silną dziewczyną, lecz nie jest w stanie wykonać sama każdej pracy. Żadna kobieta temu nie podoła.

– Może wynająć ludzi.

– Kowbojów, którzy tylko czekają, żeby dostać w swe ręce moją córkę?

Jake szybko odwrócił głowę.

– Po wczorajszym zdarzeniu pewnie już krążą plotki po okolicy. Wiesz dobrze, co mężczyźni potrafią mówić o kobietach. Przypuszczają zapewne, że Banner tak podniecała Sheldona, iż musiał spotykać się z taką dziwką jak ta Burns.

– Ona jest piękną, młodą kobietą – zauważył Jake. – Może mają po części rację.

– Może i tak – mruknął Ross. – Jednak Banner otrzymała staranne wychowanie i nie zachowywałaby się wobec mężczyzn niewłaściwie; mogę za to ręczyć. W każdym razie nie pozwolę, aby po jej farmie włóczyli się obleśni kowboje, którzy będą symulowali robotę, byle tylko się na nią pogapić.

Dłonie Jake'a zacisnęły się w pięści, którymi chciał walnąć w szybę, by sprawić sobie ból i ponieść zasłużoną karę. Wina będzie go zżerała jak rak.

Nieświadomie Ross jeszcze pogorszył sytuację.

– Jesteś jedynym człowiekiem, któremu Lydia i ja możemy zaufać, Jake. Proszę cię, zrób to dla nas. Przyjmij tę pracę.

Jake zacisnął powieki, marząc, by Ross przestał już mówić. W końcu odwrócił się bardzo wolno. Długo patrzył w podłogę, zanim powiedział:

– Nie mogę, Ross. Bardzo mi przykro.

– Sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

Dla Jake'a to był majątek.

– To nie jest sprawa pieniędzy.

– Więc czego?

– Nie mogę usiedzieć w miejscu. Jestem włóczęgą.

– Głupie gadanie.

Jake uśmiechnął się nieśmiało.

– Zgadza się, ale nie powierzyłbyś rancza Banner byle włóczędze.

– Oczywiście, że nie. Tylko że ty jesteś najlepszym znanym mi jeźdźcem, nie licząc mnie naturalnie. – Ross mrugnął porozumiewawczo. – Nie zmienisz zdania?

Jake pokręcił głową.

– To przynajmniej myśl nad moją propozycją, dopóki tu jesteś.

Jake sięgnął po kapelusz i skierował się do wyjścia. Ross zatrzymał go w drzwiach.

– Jake.

– Tak?

– Nawet, jeśli ja pogodzę się z twoją odmową, Lydia tego nie zrobi. Wiesz dobrze, jaka jest, kiedy sobie coś postanowi.

*

Znalazła go nad rzeką, gdzie łowił ryby. Bez słowa usiadła obok.

– Złapałeś coś?

Było jasne, że nie. Widać też było, iż ze wszystkiego dokoła najmniej interesują go ryby.

– Jak mnie tu znalazłaś? – spytał. Byli dobre pół mili od domu.

Uśmiechnęła się tak jak dwadzieścia lat temu, kiedy zawładnęła jego sercem.

– Ma powiedziała mi, gdzie jesteś.

– A ona skąd wiedziała? Jej talent do odnajdywania mnie w najmniej odpowiednim momencie jest zadziwiający. Kiedyś znalazła mnie kąpiącego się w strumieniu z Priscillą Watkin. Myślałem, że obedrze mnie wtedy ze skóry. Miałem szesnaście lat.

Wydmuchnął kłąb niebieskiego dymu w powietrze.

– Teraz mam trzydzieści sześć, a ona nadal wtrąca się do moich spraw.

– Kocha cię.

– Wiem – powiedział ze smutkiem w głosie. – I to jest właśnie najgorsze. Byłem u niej i jadłem z nią obiad. Byliśmy tam wszyscy: Ma, Anabeth z całą rodziną, Marynell i Micah, a pomimo to mocno odczuliśmy nieobecność

tych, którzy odeszli – ojca, Atlanty i Samuela, no i Luke'a. – Zapatrzył się w wodę. – Nadal za nim tęsknię, Lydio.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Zawsze będzie ci go brakowało, Bubba.

– To już tyle lat… A są momenty, kiedy mi się wydaje, że słyszę jego śmiech. Chwytam się na tym, że go szukam, wiesz?

– Tak samo odczuwam brak starego Mosesa.

Ten Murzyn dołączył do nich, kiedy ich wóz rozbił się na szlaku. Jego poprzedni pracodawca, Winston Hill, zginął. On sam nie miał dokąd pójść. Był przyjacielem i opiekunem Lydii podczas pierwszych tygodni jej małżeństwa z Rossem. Po osiedleniu się na własnej ziemi, kiedy Ross był pochłonięty budową pierwszych stajni, ona zaś – dzieckiem, pomoc Mosesa okazała się bezcenna. Ciągle uważała go za najbliższego przyjaciela.

– W dniu jego pogrzebu przypomniałam sobie, jak przyniósł ciało Luke'a, oraz to, jak szczerze płakał nad grobem Winstona. Był jednym z niewielu, którzy tak autentycznie potrafią współczuć.

Uścisnął jej dłoń.

– Tamto lato zmieniło nas wszystkich.

– Zwłaszcza mnie i Rossa.

Spoglądała na twarz Jake'a. Jego dojrzałość wciąż była dla niej zagadką i nigdy nie przestała jej zdumiewać. Kiedy na niego patrzyła, wciąż zdawało się jej, że ma do czynienia z wyrostkiem o wielkich, niebieskich oczach, który znalazł ją w lesie.

– I ciebie również, Jake. Chyba najbardziej z nas wszystkich.

Musiał przyznać jej rację. Tamtego lata przestał być beztroskim młodzieńcem. Większość życiowych nieszczęść, z którymi człowiek boryka się przez całe życie, w wypadku Jake'a przypadła na te właśnie miesiące. Bubba Langston za szybko dojrzał i to pozostawiło ślad na jego psychice.

Lydia podciągnęła kolana, owinęła sukienką nogi i oparła na nich brodę.

– Rozmawiałam z Rossem.

– Powtórzył ci moją odpowiedź?

– Mam zamiar ją zmienić.

– Nie licz na to, Lydio.

– Owszem, ze względu na naszą przyjaźń.

– Jestem twoim przyjacielem, ale…

– Potrzebujemy cię teraz. Pomóż nam wyciągnąć Banner z tego nieszczęścia.

– Ja się do tego nie nadaję.

– Ależ tak! Masz ogromne doświadczenie.

– Ja nie mówię o pracy. Mówię o Banner.

Lydia uśmiechnęła się.

– Muszę przyznać, że czasem trudno z nią wytrzymać. Jest uparta i gwałtowna. Nawet drapieżna. Jest dorosłą kobietą, ale Ross i ja nie możemy puścić jej samej, bo narobi głupstw, których będzie później żałowała.

– Nie jestem policjantem.

– Tego wcale od ciebie nie oczekuję. Chcę jedynie, byś był dla niej przyjacielem i opiekunem. Ufamy jej, gdy jest z tobą.

O, diabli nadali! Teraz ona zaczyna! Czy obydwoje z Rossem uparli się, żeby mu na każdym kroku przypominać o jego zdradzie?

– Na pewno znajdziecie kogoś bardziej znającego się na rzeczy i równie godnego zaufania, kto w krótkim czasie doprowadzi to ranczo do rozkwitu.

– Nie rozumiesz mnie, Jake. Ross nie pozwoli jej tam się przenieść, jeśli ty nie będziesz jej towarzyszył i nie poprowadzisz gospodarstwa.

– To nie jest uczciwe. Nie powinien od mojej decyzji uzależniać przyszłości Banner.

– On to wie, ale nie ma innego wyjścia. Bez ciebie jej nie puści.

– Cholera!

Poderwał się na nogi, chwycił wędkę, zarzucił, nawet nie sprawdzając stanu przynęty.

– To jest szantaż. I Banner też tak to przyjmie. Ross powinien wiedzieć, jakie to ważne dla niej. Zwłaszcza teraz.

– On to doskonale wie, ale jest uparty jak muł. Uważa, że takie rozwiązanie jest dla niej najlepsze. Łzy i płacz niczego nie zmienią.

Jake stanął nad samym brzegiem i patrzył w mroczną wodę. Stał sztywny, z napiętą twarzą. Postawiono go pod ścianą, a on tego nie lubił. Banner może da się do takiego rozwiązania zmusić; on na pewno nie. Nie da się zakuć w kajdany.

Do diabła z tym wszystkim. Czy jest im coś winien?

Przeklął siebie w duchu – jak może tak myśleć? Po wypadkach ostatniej nocy winien jest Colemanom wszystko. Niestety, nie zwróci już czci Banner, lecz ta praca może być pewną formą zadośćuczynienia i nie ma prawa się uchylać od niej.

– Tak czy inaczej powinieneś tu zostać – odezwała się Lydia. – Nie chciałam cię martwić, ale Ma bardzo się ostatnio posunęła. Jeśli znów odjedziesz na parę lat, możesz już nigdy jej nie zobaczyć.

Jake rył obcasami dziury w miękkim gruncie, przestępując niezdecydowanie z nogi na nogę. Odwrócił się do swej rozmówczyni i wpatrywał się w nią oskarżycielskim spojrzeniem.

– Ona jest mocna i silna niczym koń, Lydio. Dlaczego mnie straszysz?

Podniosła się z wdziękiem i zwinnością młodej dziewczyny.

– Zgoda, nie gram uczciwie. Postępuję w ten sposób, ponieważ walczę o życie córki. A tam, gdzie idzie o nią, każda broń jest dobra. Ona cię potrzebuje. Każdy z nas cię potrzebuje. Proszę cię, zostań. Nie opuszczaj nas.

Zapatrzył się w tę twarz, którą zawsze miał przed oczami. Kochał ją od dawna; czasem zdawało mu się, że się urodził z tą miłością.

Jego opór słabł.

Jak tu odmówić, jeśli Lydia prosi? Kiedyś zabił dla niej człowieka: przyrodniego brata, który ściągnął na nią hańbę i nieszczęście. To, że Clancey zamordował Luke'a, jedynie ułatwiło zadanie.

– Nie dawaj mi odpowiedzi natychmiast. – Ujęła jego dłoń i pogłaskała delikatnie. – Prześpij się i jutro daj mi znać.

Wspięła się na wysoki pagórek i zniknęła za jego szczytem. Natomiast Jake poszedł wzdłuż brzegu porosłego trawą, wysoką i bardzo zieloną. Drzewa nad jego głową szumiały, a powietrze przesycone było zapachem kwiatów.

Jake tego nie zauważał.

Co powinien zrobić? Z pewnością wyrazić zgodę.

Winien jest to Rossowi i Lydii choćby za to, że przez tyle lat darzyli go szczerą przyjaźnią, jednak jeśli nawet od zaraz zacznie dla nich pracować, nie będzie w stanie odpokutować za swój czyn.

Mieli rację, twierdząc, że Jake jest przygotowany do tej pracy. Oczywiście, podołałby robocie – co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Tylko czy mógłby spojrzeć w oczy Banner?

Matka go potrzebowała. Starzeje się. Nigdy nie prosiła, by został, ale bardzo by się ucieszyła, gdyby to zrobił, gdyby wreszcie osiadł w pobliżu.

Wreszcie Banner. Obawy Rossa nie były bezpodstawne. Będzie potrzebowała ochrony przed złaknionymi przygód kowbojami. Temu również by podołał. Żaden mężczyzna nie dotknie Banner, chyba że po jego trupie.

Zdziwił się, uświadomiwszy sobie, jak bardzo jest o nią zazdrosny. Przypuszczał, że uczucie zazdrości wywodzi się stąd, że Banner jest córką Lydii, i przekonywał sam siebie, że nie ma to nic wspólnego ze smakiem jej ust, dotykiem ramion, zapachem skóry…

Do diabła! Człowieku, może byś tak przeszedł do sedna sprawy, co?

Jeśli on się nie zgodzi, Banner nie dostanie swojej ziemi. Ross umie dotrzymywać słowa.

Pozbawił ją dziewictwa; czy ma prawo pozbawić ją również ziemi, której tak bardzo pragnie? Dziewczyna potrzebowała jej teraz, by zapomnieć o Sheldonie.

Jaka ma więc być jego odpowiedź?

Zostałby, dopóki Banner nie powróci do równowagi, a sprawy na farmie nie potoczą się gładko.

To jej się jednak zapewne nie spodoba. Był już świadkiem napadów jej złego humoru i wiedział, że wybuchowy temperament odziedziczyła po obojgu rodzicach. A może od początku postawić sprawę jasno: wymazujemy z pamięci tę feralną noc i udajemy, że nic się nie stało?

Chciałby ją przekonać, że zostaje jedynie dla jej dobra.

Panna Banner Coleman będzie musiała oswoić się z myślą, że Jake Langston znajdzie się w pobliżu...

Rozdział 5

– Co? Co powiedziałeś?

– Powiedziałem, że Jake zgodził się zostać nadzorcą twojego rancza.

Na te słowa Banner najpierw zbladła, a zaraz potem jej policzki pokryły się rumieńcem. Dłonie zacisnęły się, a plecy zesztywniały. Wyraźnie dawała do zrozumienia, że jest niezadowolona.

Ojciec zawołał ją do swego gabinetu zaraz po śniadaniu. Dotychczas zawsze udawało się jej owinąć Rossa wokół małego palca. Tym razem jednak wcale nie była pewna swego. Odczuwała zażenowanie z powodu obecności Jake'a. Stał pod oknem, zwrócony plecami w stronę pokoju. Gęsty dym z cygara spowijał jego sylwetkę.

Czy rodzice wiedzieli? Czy Jake im wszystko wyznał? Boże, chyba nie? Z całą pewnością poczuliby się oburzeni, dowiedziawszy się, jak nisko upadła. Nie, nie mógł im powiedzieć. Wyglądali raczej na zatroskanych niż zagniewanych.

Lydia uśmiechnęła się zachęcająco.

– To te nowe bryczesy? Podobają mi się. Kamizelka doskonale do nich pasuje.

– Dzień dobry, księżniczko! – Ross podszedł do niej i ucałował nadstawiony policzek. – Nadal jesteś blada. Czemu nie wyjdziesz na powietrze? Rozruszaj trochę Daisy.

Podprowadził córkę do skórzanej kanapy i posadził na niej tak ostrożnie, jakby była cennym i kruchym kryształem.

– Przestańcie robić zamieszanie wokół mojej osoby – zawołała po dawnemu. – Nic mi nie będzie. Przeżyję.

Odprężyła się całkowicie, uznała bowiem, że rodzice nic nie wiedzą o Jake'u. Ale on tu był i o wszystkim jej przypominał. Widziała go po raz pierwszy od tamtej nocy.

Zauważyła szczegóły, których wcześniej nie dostrzegała, na przykład obcisłe spodnie opinające pośladki Jake'a. Czy jego barki zawsze były takie szerokie? Uda – takie muskularne?

Prezentował się szczupło, wręcz chudo na tle okna. Pamiętała każdy najdrobniejszy szczegół jego ciała, które czuła wtulone w siebie.

Przypomniała sobie szczegóły intymnego spotkania, co wcale nie sprawiło jej przykrości. Pomyślała jednak z przerażeniem, że gdyby kochanek w tej chwili na nią spojrzał – zemdlałaby na pewno.

– Nie denerwuj się, Banner – rzekła dyplomatycznie Lydia. – Po prostu szukamy rozsądnego wyjścia...

– Dzisiaj jadę za rzekę – przerwała jej Banner i spojrzała na Jake'a.

Długimi palcami obracał swoje cienkie cygaro. Szybko odwróciła wzrok, jakby przyłapana na nadmiernej poufałości wobec Jake'a.

– Właśnie o tym chcemy z tobą porozmawiać – rzekł Ross. – Twoja matka przekazała mi, że chcesz się przenieść na swoją posiadłość i zacząć gospodarowanie...

– Tak, tatku. Chcę.

Ross spojrzał na Lydię, potem znowu na córkę; żywił nadzieję, że postępuje właściwie. Banner wyglądała tak krucho, tak bezbronnie. Wszystko przez tego Sheldona! Lydia miała rację – możliwe, że Banner potrzebuje szansy, by nadać sens swemu życiu. Jest młoda, silna i energiczna. Nie znosi bezczynności, a nadmierna troska rodziców doprowadza ją do wściekłości.

– W porządku. My się zgadzamy.

W jej oczach pojawiły się łzy wdzięczności. Kiedyś uważała, że kocha Grady'ego ponad wszystko. Teraz stwierdzała, że nawet w przybliżeniu nie kochała go tak mocno jak tę ziemię. Utrata jej byłaby dotkliwsza aniżeli strata Sheldona.

– Dziękuję ci, ojcze!

– Jake zgodził się być twoim rządcą.

Zerwała się z kanapy, jakby ją coś boleśnie ugryzło. Poprosiła o powtórzenie ostatnich słów. Kiedy przebrzmiały, obróciła się do mężczyzny stojącego w milczeniu przy oknie. Nie wykonał najmniejszego ruchu. Wyglądało to tak, jakby był ślepy i głuchy na wszystko, co dzieje się za jego plecami.

Spojrzała na rodziców.

– Nie potrzebuję rządcy.

– Musisz go mieć – stwierdził Ross stanowczo. – Sama sobie nie poradzisz.

– Poradzę.

– Nie, a nawet gdyby tak było, samej cię nie puszczę.

– To zaledwie kilka mil stąd.

– Wiem najlepiej, jaka to odległość – Ross podniósł głos. – Koniec dyskusji.

– Jeszcze nie, ojcze! – Banner zaczęła mówić tym samym tonem co Ross. – Ta ziemia jest moja. Dałeś mi ją. Ja więc będę decydowała o wszystkim.

– Ziemia jest twoja, ale pod tym jednym warunkiem.

– To nie jest uczciwe!

– Może i nie, lecz warunku tego nie cofnę.

– Możecie na chwilę zamilknąć? – przerwała im ostro Lydia.

Umilkli, na pozór uspokojeni, jednakże w środku kipieli ze złości.

– Banner, uważaliśmy, że będziesz zadowolona z takiego rozwiązania. Czy nie tego chciałaś? Przecież lubisz Jake'a i ilekroć był z nami, prosiłaś go, żeby pozostał jak najdłużej.

Dziewczyna spojrzała ukradkiem na mężczyznę; wciąż stał i patrzył przez okno, jakby rozmowa go nie dotyczyła.

– Nieważne, czy ja coś mam, czy nie mam przeciwko Jake'owi. – Banner nerwowo oblizała wargi. – Ja po prostu nie potrzebuję żadnej opieki. Nie jestem dzieckiem. Nie wierzycie, że stać mnie na samodzielność?

– Oboje z matką darzymy cię pełnym zaufaniem – powiedział Ross.

– W takim razie pozwólcie mi pokierować ranczem tak, jak chcę.

– Jake nie ma zamiaru sprzeciwiać ci się w czymkolwiek – odparł Ross. – Zresztą niech on sam ci to powie.

Wywołany do odpowiedzi bardzo powoli odwrócił się w ich stronę. Banner akurat patrzyła w podłogę. Wielkim wysiłkiem woli usiłowała powstrzymać drżenie rąk.

– Zdaję sobie sprawę z tego, co tam jest do zrobienia – powiedział beznamiętnie. – I Banner również to wie. Wydaje mi się, że potrafilibyśmy współpracować, ale nie podejmę się tego zadania, jeśli ona ma w stosunku do mnie zastrzeżenia. – Zrobił znaczącą przerwę. – Co o tym sądzisz, Banner?

Nie mogła, zwyczajnie nie mogła spojrzeć mu w oczy. Bała się, że zobaczy w nich kpinę, lecz musiała coś powiedzieć. Rodzice obserwowali ją. Wolno podniosła głowę i popatrzyła na Jake'a.

Twarz miał nieprzeniknioną. Oczy zimne – ani oskarżające, ani rozgrzeszające. Wyglądały jak puste. Tak jak ona czuła się przez ostatnie dwa dni. Chciałaby odgadnąć myśli, jakimi był zaprzątnięty.

– To moje ranczo – rzekła ochryple. – Więc powinnam mieć prawo wyboru rządcy.

Posłał jej pełne wyrzutu i żałości spojrzenie.

– Uważasz, że nie mam odpowiednich kwalifikacji?

Niespodziewanie uniosła się gniewem. Gdyby nie wyświadczył Rossowi i Lydii tej przysługi, ona nie znalazłaby się w tym nieprzyjemnym położeniu. Jego łagodny ton jedynie wzmógł jej złość.

– Nie! Wiem, że się do tego idealnie nadajesz. Tylko że moi rodzice wybrali cię na niańkę dla mnie, a ja nie potrzebuję niańki ani psa obronnego!

– Niańki! – krzyknął wzburzony i postąpił kilka kroków naprzód. – Wyobrażasz sobie, że będę marnował czas na karmieniu cię i może przewijaniu? Zastanów się, młoda damo! Masz choć blade pojęcie o tej ciężkiej robocie, budowaniu zagród, grodzeniu pastwisk drutem kolczastym, zbiorze siana? Spytaj Rossa, co to za harówa stworzyć taki

dom jak ten tutaj! Nie pamiętasz krwi, potu i wysiłku swych rodziców, ale ja pamiętam doskonale!

Jej oczy błysnęły gniewnie.

– Nie jestem głupia, Jake'u Langstonie, więc nie mów tak do mnie!

– Dobrze! W takim razie nie uważaj, że mam zamiar całymi dniami siedzieć przy tobie i cię zabawiać... Bo tego na pewno nie zrobię!

– Zabawiać?! Mnie?! Ty?! – Zachłysnęła się z oburzenia i zamilkła.

Ross wyciągnął przed siebie nogi, złożył ręce na piersi i pochylił się nad biurkiem. Bawiła go ta scenka. Jake w równym stopniu co inni był odpowiedzialny za rozpieszczanie Banner. Najwyższy czas, by zobaczył, jaka jest uparta. To go powinno zachęcić do walki.

Lydia spokojnie siedziała na kanapie i starannie wygładzała fałdy sukni. Była szczęśliwa: Banner wracała do formy!

– Nie oczekuję, by ktokolwiek mnie zabawiał.

– Tak właśnie to zrozumiałem.

– Sama zamierzam wykonywać przypadającą na mnie część roboty. – Banner energicznym ruchem odrzuciła włosy na plecy.

– W tym jednym się z tobą zgadzam. – Jake palcem wskazującym niemal dotknął czubka jej nosa.

Odsunęła się.

– A więc osiągnęliśmy porozumienie. I przestań na mnie krzyczeć.

– Nie chcę, abyś dostała ataku serca, gdy się tam znajdziemy.

– To mi nie grozi i nigdy nie będzie.

– Bo praca nie ograniczy się do pastwiska. Do ciebie będzie należało gotowanie, noszenie wody, drzewa na opał...

– Dla siebie zawsze coś upitraszę, panie Langston, ale nie myśl, że będę na rozpalanie pieca marnowała czas, który mogę wykorzystać na coś pożytecznego!

– Ależ, Banner, będziesz musiała gotować dla Jake'a...

Dziewczyna spojrzała na matkę, otworzyła usta, ale nie wypowiedziała ani słowa. Była zbyt oszołomiona, by protestować.

– No, ale czy Jake… to znaczy, czy nie może… w przybudówce, razem z innymi?…

– Byłoby mu cholernie niewygodnie – rzekł Ross. – Zatrzyma się u ciebie. Będzie mógł spać w tym pokoju na tyłach stajni.

Patrzyła zaskoczona raz na ojca, raz na matkę, w końcu spojrzała na Jake'a.

– I ty zgodziłeś się spać… To znaczy: tam mieszkać?

Była to sprawa niesłychanie ważna. Jeśli idzie o pracę, to prawie się dogadali. Ich zajęcia będą całkowicie różne i nieczęsto będą stwarzać okazję do spotkań. Ale noclegi, wspólne posiłki to była całkowicie nowa sytuacja.

– To część moich obowiązków. – Zaciśnięte usta Jake'a wskazywały na to, że przeżywa ciężkie chwile.

Odwróciła się.

Być może zaakceptowałaby warunki, na jakich miał zarządzać jej farmą, lecz żyć z nim pod jednym dachem ze świadomością, że każdym spojrzeniem będzie jej przypominał tę noc?… Nigdy!

– Tego warunku nie przyjmuję! Jak powiedziałam wcześniej – chcę być niezależna. Nie muszę być pilnowana jak dziecko.

– W takim razie dalsza rozmowa nie ma sensu – stwierdził Ross. – Ponieważ nie wyjedziesz stąd sama.

Banner obdarzyła ojca uśmiechem, któremu nigdy jeszcze się nie oparł.

– Tatuśku, zmienisz zdanie.

– Nie w tym przypadku. Rancza bez Jake'a nie dostaniesz.

Zdecydowanie w głosie ojca przeraziło ją.

– Tatku, nie myślisz tak, prawda?

– Owszem, on tak właśnie myśli – wtrącił się Jake spokojnie i tak stanowczo, że Banner musiała spojrzeć na niego. – Najpierw odrzuciłem tę pracę. Nie chciałem jej tak samo jak ty mnie. Teraz jednak musisz zdać sobie sprawę, że ojciec nie da ci tej ziemi, dopóki nie zaakceptujesz jego warunków.

Mijały sekundy, a oni wpatrywali się w siebie.

Banner pierwsza spuściła oczy.

– Mamo…

– Nie mogę sprzeciwiać się Rossowi. To tylko dla twojego dobra. Potrzebujesz ochrony Jake'a.

Banner nie odważyła się roześmiać, choć to byłaby najlepsza reakcja na słowa matki. Jak to byłoby wspaniale wykrzyczeć się, wypłakać, wyrzucić z siebie to, co gnębi!

Oczy Jake'a pozostały bez wyrazu. Co się kryło w ich głębi? O czym myślał? Czuł litość? To było ostatnie uczucie, jakiego chciała. Czy pomagał jej z litości? Ponieważ stała się pośmiewiskiem całego miasta, czy też dlatego, że zrobiła z siebie idiotkę, próbując go uwieść? Podniosła dumnie głowę. Za nic nie przyjmie poświęcenia od takiego włóczęgi jak Jake Langston!

– Zastanowię się i dam ci znać. – Z podniesioną głową wyszła z pokoju.

Skoro zamknęły się za nią drzwi, Jake wybuchnął:

– Do diabła! Mówiłem wam, że ona się na to nie zgodzi! Lepiej zapomnijmy o całej sprawie.

Ross chrząknął.

– Zobaczysz, ona wróci, bo bardzo pragnie tej ziemi. W tej chwili jest jeszcze trochę krnąbrna. Potrzebuje paru lekcji, by nauczyć się pokory. Jest rozpieszczona do granic nieprzyzwoitości i przyzwyczajona do chodzenia własnymi ścieżkami. Lydia nie trzymała jej dość krótko.

– Ja?! – zawołała Lydia z rękami opartymi na biodrach, śmiało patrząc mężowi w oczy. – A kto pozwalał jej na wszystko i zawsze brał ją w obronę? Po tobie odziedziczyła ośli upór, jak zresztą cały ten charakterek!

Ujął ją za ręce i przyciągnął do siebie.

– A zmysłowość po tobie – szepnął i ustami poszukał jej warg.

– Ross, przestań natychmiast. Czas na obiad i muszę…

Zamknął jej usta pocałunkiem. Broniła się przez moment, ale bez przekonania, po czym przywarła do niego, oddając mu pieszczotę.

– Wyprowadzę na chwilę Stormy'ego – mruknął Jake.

Zdjął kapelusz z wieszaka przy drzwiach i nasunął na głowę. Gdy wychodził z pokoju, trzasnął drzwiami, lecz Lydia i Ross w ogóle tego nie zauważyli.

*

Po obiedzie Anabeth i Hector odjeżdżali. Marynell jechała z nimi do Austin. Było dużo zamieszania, uścisków i pocałunków. Banner starała się unikać Jake'a. Niezbyt jej to wychodziło. Jeśli z napięciem oczekiwał na jej decyzję, nie pokazywał tego po sobie. Bawił się z siostrzeńcami i wymieniał z Hectorem uwagi na temat cen bydła, dokuczał Marynell przymówkami o staropanieństwie, aż dała mu kuksańca pod żebra.

Zaraz po wyjeździe całego towarzystwa, pod pretekstem bólu głowy, Banner poszła na górę do swego pokoju. Ostentacyjna obojętność Jake'a dotknęła ją do żywego.

Że też ojciec nie mógł znaleźć kogoś innego, tylko właśnie jego! Myśli Banner wróciły do punktu wyjścia – kogo więc?

Gdyby mogła cofnąć czas o czterdzieści osiem godzin, byłaby w siódmym niebie, słysząc takie nowiny. Obecnie jednak poczucie winy czyniło sytuację niemożliwą do przyjęcia.

Jaką ją Jake widzi, gdy na nią patrzy?

Czy widzi ją w białej bluzce i granatowej spódnicy, czy może wryła mu się w pamięć ubrana w nocną koszulę? Czy pamięta chwilę, kiedy ocknęła się z szoku spowodowanego dotykiem jego języka na wargach? Ona z pewnością nigdy nie zapomni wilgotnych, gwałtownych ruchów języka ani późniejszych, wolnych, zmysłowych pchnięć...

– O Boże! – jęknęła zgnębiona.

Czy on przywołuje z powrotem jej ręce, wstydliwie poznające jego ciało i pieszczące długie włosy? I czy pamięta, jak nieśmiało powtarzała jego imię, gdy zaczął rytmicznie poruszać się w niej?

Na pewno pamięta. Jeśli jej wspomnienia są tak żywe, że ciało natychmiast na nie odpowiada, on musi czuć to samo!

Zakryła twarz dłońmi; czy przez jedną zwariowaną noc ma się pożegnać ze swymi marzeniami o własnym ranczo? Popełniła błąd, to prawda, i musi ponieść jego konsekwencje, co nie znaczy, że powinna nosić włosienicę przez resztę życia. Jake jest oczywiście skłonny uznać sprawę za niebyłą i zachowywać się tak jak przedtem. A ona? Czyżby miała mniej odwagi od niego? Ma się płaszczyć przed nim? Nie da mu tej satysfakcji!

Siadła przy oknie i patrzyła na niknący w dali wóz, którym odjeżdżali Anabeth i Hector z dziećmi oraz Marynell. Podczas ich pobytu w River Bend Banner była tak roztrzęsiona, że nie potrafiła cieszyć się z ich obecności. A przecież stanowili jej rodzinę, choć nie byli związani pokrewieństwem.

Kiedy dorastała, zastanawiała się często, dlaczego nie ma dziadków ani żadnych kuzynów. Pytała o to rodziców, ale ich odpowiedzi były wymijające i niepewne. Gdy już dorosła na tyle, że zrozumiała, iż Ross i Lydia celowo unikają tego tematu, taktownie przestała się dopytywać. Chcieli wywołać wrażenie, że ich życiorysy rozpoczynają się w momencie przybycia do Teksasu. Nawet okres ich marszu na zachód nie był zupełnie jasny.

Próżnia w rodowodzie dręczyła Banner. Co Ross i Lydia skrywali przed nią? Co znaczyły te uśmiechy, które oddzielały ich od świata? Tworzyli coś na kształt samotni, do której nawet ona i Lee nie mieli wstępu.

Nie wiedziała, dlaczego czuje potrzebę odpowiedzi na swe pytania, ale coś ją ciągnęło, by odkryć, kim naprawdę są jej rodzice, skąd pochodzą, jakie zrządzenie losu zetknęło ich ze sobą.

Jeśli ktokolwiek mógł naprowadzić ją na jakiś ślad, to tylko Jake, który znał oboje od wielu lat i był z nimi szczerze zaprzyjaźniony. Być może dostarczyłby niezbędnych informacji? Przez nieuwagę mógłby podać jakieś szczegóły, które wypełniłyby puste miejsce w niekompletnej układance. Czy za zdobycie tych wiadomości warto jednak płacić każdą cenę?

Plusów rozwiązania podsuwanego przez ojca było więcej niż minusów.

Poza koniecznością codziennego widywania się z Jake'em, wszystko inne przemawiało na jego korzyść. Nie byłoby to łatwe, ale przez ostatnie

dni nauczyła się stawiać czoło trudnościom. Tylko czy nie dostała lekcji za późno? Przez osiemnaście lat tkwiła w błogim przeświadczeniu, że życie to głównie róże i miłość. Nieświadomość nie może widać trwać wiecznie. Nadszedł w końcu czas poznania innego oblicza życia.

*

Banner zwlekała z zejściem na dół aż do kolacji. Chciała, żeby Jake podenerwował się trochę, oczekując jej odpowiedzi. Kuchnia wydawała się ogromna i pusta bez Langstonów i Drummondów. Lee jadł w przybudówce. Jake'a nie było; nikt nawet nie wspomniał, gdzie się podziewa. Do stołu siedli więc we troje: Lydia, Ross i ona.

Nie poruszała tematu rancza, dopóki nie zebrała talerzy i nie odniosła ich do zlewu. Ross, nie mając nic nowego do powiedzenia, leniwie popijał kawę.

– Zdecydowałam przenieść się na farmę możliwe jak najszybciej – oznajmiła szorstko Banner, przełknąwszy resztkę uporu i dumy. – I zabrać Jake'a jako swego rządcę.

Zauważyła zadowolone spojrzenia, jakie wymienili rodzice. Ross skomentował decyzję córki krótko:

– Dobrze. – Po czym podniósł kubek z kawą do ust i upił niewielki łyczek. – Otrzymasz na początek dwa ogiery i pięć klaczy. To jest o jednego konia więcej, niż myśmy mieli.

– Dostaniesz też pewną sumę pieniędzy jako kapitał obrotowy – dodała Lydia stojąca przy zlewie i wycierająca naczynia.

– Jaki kapitał obrotowy? – zdziwił się Ross i pytająco popatrzył na żonę.

– Przecież wiesz, jaki.

Usta Rossa utworzyły wąziutką linię, a w oczach błysnął gniewny ognik.

– No tak. Dostaniesz swój kapitał obrotowy – mruknął w końcu i popił kawy.

– Dziękuję ci, tatku! W ciągu roku zwrócę wszystko co do centa. Z procentami.

Poderwała się.

– Powiedz Jake'owi, że...

– O nie, moja panno, zrobisz to sama. On jest twoim rządcą. Ty prosiłaś o czas do namysłu. Gdyby nie to, całą sprawę można było załatwić rano. To przez ciebie nie wiedział, co robić. Powinnaś sama przekazać mu dobrą wiadomość.

– Ale... – ugryzła się w porę w język; patrzyli na nią z uwagą. Nie chciała, aby zaczęli się zastanawiać, dlaczego broni się przed rozmową z Jake'em.

– No nic. Dobrze.

Wychodziła z kuchni wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, natomiast wewnątrz trzęsła się jak galareta.

Zatrzymała się w holu przed lustrem. Wcześniej wyszczotkowała włosy, lecz wiosenna wilgoć mocno je poskręcała. Była nieco blada – dwa dni nie wychodziła z domu. Rumieńce na policzkach nieco tę bladość maskowały. Wygładziła bluzkę i lnianą spódnicę, westchnęła głęboko.

– No cóż. Muszę to zrobić. – Pchnęła drzwi i przeszła przez werandę jak skazaniec prowadzony na szubienicę. Czego oni się po niej spodziewają? Że zapuka do przybudówki i poprosi, żeby wyszedł? Okropnie ją to drażniło. W dodatku do tego budynku nie miała wstępu. Czy powinna go poszukać w stajni? Może poszedł sprawdzić opatrunek Stormy'ego? Nie chciała tam iść – obraz tamtych wydarzeń był nazbyt żywy.

Stała na podwórzu niezdecydowana, rozglądając się dokoła. Poczuła ulgę na widok Jake'a siedzącego na żerdzi ogrodzenia otaczającego pastwisko najbliższe domu. Patrzył w dal, w ustach, jak zwykle, trzymał cygaro. Jego profil wyraźnie rysował się na tle wieczornego nieba.

Podeszła do niego bezszelestnie. Zauważył ją dopiero, kiedy stanęła tuż obok. Odwrócił gwałtownie głowę. Przestraszona, odskoczyła w bok. Rękę położyła na piersi, jakby chciała powstrzymać szalejące serce...

– Muszę z tobą porozmawiać, Jake.

Zeskoczył z płotu i płynnym ruchem zdjął kapelusz. Zaraz potem zorientował się, że musi zabawnie wyglądać, toteż nałożył go z powrotem. Starając się opanować, oparł się o płot. Gdyby Banner wiedziała, jak mocno

bije mu serce, nie byłaby taka zdenerwowana. Tylko pozornie był nieporuszony i zimny.

Cała odwaga Banner rozpłynęła się w parnym powietrzu. Dziewczyna odwróciła głowę nieco w bok. Podmuch wiatru z południa bawił się kosmykami jej włosów, rozwiewając je wokół twarzy.

Zwilżyła językiem wargi. Jake spostrzegł ten nieświadomy ruch: niewinny, a tak prowokujący. Zamknął oczy w obawie, że ona wyczyta w nich pożądanie.

– Zgadzam się ze względu na ciebie.

– Zgadzasz się? Ze względu na mnie?

Niecierpliwie machnęła ręką.

– Nie miałam wyboru.

– To nie jest prawda, Banner. Mogłaś powiedzieć, żebym się spakował i wyniósł stąd. Zrobiłbym to i nie zobaczyłabyś mnie nigdy więcej.

– I to miałby być wybór? – spytała. – Od razu by się domyślili, że coś między nami jest nie tak, bo zamiast prosić cię o pozostanie, jak to zawsze robiłam, wyrzucam cię… I co? Ty byś sobie pojechał, a ja musiałabym się ze wszystkiego tłumaczyć – zakończyła z podnieceniem w głosie i szybko odwróciła się. Położyła głowę na dłoniach opartych na sztachecie ogrodzenia.

Usłyszała cichutki brzęk ostróg, co znaczyło, że Jake się przysuwa. Słuch nie był jedynym zmysłem, który ją ostrzegł przed nim. Poczuła ciepło jego ciała. Wyrzucił cygaro, ale zapach tytoniu wciąż go otaczał. I zapach skóry. I mężczyzny…

– Banner… – rzekł miękko. – Nic ci nie jest?

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Co masz na myśli?

W jego oczach krył się ból.

– To, co mówię. Czy nie odczuwasz żadnych dolegliwości?

Nagle zapragnęła go ukarać. Chciała rzucić się na niego z pięściami. Chciała wykrzyczeć mu w twarz, że krwawiła i cierpiała straszliwe męczarnie po tym, co jej zrobił.

Nie! To nie był dobry pomysł. Jake nie zrobił nic, o co go nie prosiła.

– Nie.

Odetchnął z ulgą.

– Boże! Banner, zamartwiałem się na śmierć. Nie miałem możliwości spytać cię…

Brak odpowiedzi nie zniechęcił go. Rozpaczliwie pragnął wszystko naprawić. Oczekiwał stwierdzenia, że ma się nie martwić, że wszystko z nią jest w porządku, że mu przebacza.

– Mówiłem ci, że to będzie bolało.

– Spodziewałam się tego.

– I bolało?

– Trochę.

– Powinienem być delikatniejszy.

– Nie ma o czym mówić.

– Nie chciałem sprawić ci bólu.

– Jake, proszę cię. – Opuściła głowę na piersi, rękami zatkała uczy. Niestety, to nic nie pomogło; wciąż słyszała wypowiadane tej nocy słowa: „Nie chcę cię zranić, Banner". „Nie chcę cię skrzywdzić". „O Boże, Banner! Jakaś ty cudowna".

Zaparło jej wtedy dech w piersiach. Coś nieznanego i gorącego rozdarło jej ciało, poczuła cudowny ból spełnienia.

Jake spojrzał na nią bezradnie, zły na siebie. Wyglądała tak słabo i bezbronnie. Rząd guzików przy bluzce zapinanej na plecach podkreślał pełne wdzięku wygięcie kręgosłupa. Chciał położyć ręce na jej ramionach i przelać na nią swe siły, ale bał się jej dotknąć.

Przedtem nigdy nie myślał o fizycznym kontakcie z Banner. Dotykał jej często, całował w policzki, podrzucał do góry i pociągał za warkocze. Jeszcze rano w dzień ślubu dał jej porządnego klapsa. Teraz nie wyobrażał sobie, by coś takiego mógł powtórzyć.

– Nie chcę mówić na ten temat. – Dziewczyna przestała zasłaniać oczy.

– Musimy o tym porozmawiać. Z takim cierniem w duszy nie możemy żyć obok siebie. Zwariujemy w ciągu tygodnia.

– To dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałeś? Dlaczego to ja mam podejmować decyzje i dokonywać wyboru? Czemu nie odrzuciłeś propozycji ojca i nie odjechałeś?

– Próbowałem, lecz nie mogłem.

– Dlaczego?

O nie, dłużej nie będzie zawstydzona ani potulna. Pokaże mu, co o nim myśli – jak dawniej. Zapłonęła gniewem.

Jake, widząc ją ożywioną, przeżył prawdziwy wstrząs. Jak mógł chcieć jej znowu? Przecież niedawno błagał Boga o cofnięcie czasu, a teraz pragnie ponownie pieścić jej delikatne ciało i jeszcze raz całować ciepłe wargi.

Wspomnienia wciąż były żywe i wyglądało na to, że zadomowiły się w myślach na stałe. Wiedział już, jak reagują jej włosy, kiedy owija je wokół palca, oraz jak pachnie jej aksamitna skóra.

Wbrew woli jego oczy powędrowały ku drżącym pod wpływem złości piersiom. Czy rzeczywiście je pieścił, czy tylko chciałby je zapamiętać właśnie takie? Zwrócił wzrok w kierunku twarzy dziewczyny i zatrzymał na ustach, które również poznał – całował, rozchylał, drażnił językiem. Nawet podrzędne dziwki nie pozwoliłyby mu na taką poufałość! Nienawidził siebie za to i zastanawiał się, dlaczego Banner nie powstrzymała go.

Stojąc blisko niej, zapragnął poczuć znów jej pełne wargi na swych ustach. Nagle odwrócił się i łokciami oparł się o ogrodzenie. Zgiął palec wskazujący, włożył w usta i ścisnął zębami. Poczuł ostry ból i smak krwi. Opanował się.

– Czuję, że jestem ci to winien.

– Winien? Mnie?

– Tak. Choć tak chciałbym spłacić…

– Nie chcę z twojej strony żadnych poświęceń. Wziąłeś to, co sama ci dałam.

Mięśnie ramion zadrgały mu niespokojnie.

– Oferowałaś mi siebie, lecz ja powinienem stuknąć się w głowę i odprowadzić cię do domu. Nie zrobiłem tego. Jestem ci winien przynajmniej pomoc w zagospodarowaniu rancza. Potem z czystym sumieniem będę mógł odjechać.

– Nie potrzebuję twojej litości.

Spojrzał na nią zimno.

– Nie kierowałem się litością tamtej nocy. Ani współczuciem.

Podszedł i chwycił ją za ramiona.

– Chciałem cię. Szczerze i zwyczajnie pragnąłem ciebie. Działasz na mnie, Banner, tak mocno, że nie mogłem się powstrzymać. Zrobiłem to jak…

Zamilkł. Nie mógł wymówić ani słowa więcej. Dziewczyna wpatrywała się w niego przejrzystymi oczami. Spojrzał na nią zahipnotyzowany tym łagodnym wzrokiem.

Krótka wymiana spojrzeń wystarczyła, aby ożyły chwile gwałtownej namiętności, której ulegli. Wszystko było żywe, prawie namacalne, wirowało wokół nich niczym niewidzialna, bezdźwięczna burza, tak że poruszyło ich serca do głębi.

Potem wszystko wróciło do normy.

Banner pierwsza odwróciła wzrok, a Jake zdjął ręce z jej ramion. Cisza trwała bez końca. Oboje byli zmieszani i starali się rozszyfrować myśli partnera. Banner miała nadzieję, że Jake nie wie o jej tęsknocie za czymś nieuchwytnym. Z kolei on zastanawiał się, czy dziewczyna domyśla się, jak mocno pragnie zanurzyć się w niej i tak trwać.

– Dlaczego zostałeś?

– Potrzebuję pracy.

Mówili szeptem, nie patrząc na siebie. Musieli rozmawiać – ta rozmowa albo rozstrzygnie o wszystkim, albo skłóci ich na zawsze.

– Jako kowboj wszędzie możesz ją znaleźć.

– Tak, ale to nie jest życie. Nie dla kogoś w moim wieku.

– Rozumiem. Czy to jedyny powód?

– Powinienem być w pobliżu Ma. – Użył tego samego argumentu co Lydia. Ma była rzeczywiście stara. Kto wie, kiedy nadejdzie jej czas?

– To też mogę zrozumieć.

– Na początku odrzuciłem propozycję Rossa. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

– Co wpłynęło na zmianę twojej decyzji?

– Jego upór. Nie dałby ci tej ziemi beze mnie.

– Oboje wiemy, że miałam duże szanse na urobienie go – rzekła i spojrzała mu w oczy. Nie chciała zadawać tego pytania, ale przecież musiała wiedzieć. – Teraz powiedz mi prawdę. Dlaczego zostałeś?

– Bo Lydia prosiła mnie o to.

Banner skinęła głową w milczeniu. Odwróciła się i ruszyła w kierunku domu. No cóż, spytała i dostała odpowiedź.

Była zdziwiona i jednocześnie trochę przestraszona, że czasem wiedzieć znaczy również – cierpieć.

Rozdział 6

– Czy to wszystko?

Wanda Burns, niechlujna jak zawsze, oparła dłonie na biodrach i przyglądała się mężowi. Znosił właśnie przeróżne pudła do chałupy, w której mieszkała wspólnie z ojcem. Ubrania i kapelusze, buty i rękawiczki leżały w nieładzie na brudnym, nagim materacu.

– Wszystko? – burknął Grady. – Jeszcze ci mało? I tak nic z tego nie włożysz, dopóki nie urodzisz swego bachora.

Patrzył na nią, wcale nie kryjąc wstrętu. Była brudna, miała nalaną twarz, spuchnięte ręce i nogi – zwłaszcza w kostkach. Całe ciało było silnie zdeformowane ciążą.

Był absolutnie przekonany, że to nie jego dziecko.

Nie mógł się nadziwić, dlaczego Wanda tak się upierała przy wstawieniu tu szafy. Chyba tylko po to, by się upewnić, że jest naprawdę panią Sheldon.

– Chcę się ubrać jak dama, kiedy razem pojedziem do miasta.

Grady wolałby umrzeć niż pokazać się z nią w mieście, gdzie na każdym kroku witały go nieskrywane drwiny.

Śmiał się, kiedy żona żądała nowych sukienek, lecz gdy nagle poczuł na plecach lufę rewolweru Doggie'ego, zaraz przeszła mu ochota do śmiechu. Posłusznie obiecał przywieźć parę rzeczy do tej chaty, ukrytej głęboko w leśnym pustkowiu.

Burnsowie wystawili go na pośmiewisko i tego Grady nie zamierzał im darować. Musi coś z tym zrobić. Wkrótce. Pytanie tylko, co i kiedy…

– Wyglądają wcale nieźle, co, Wanda? – spytał Doggie od progu. Wszedł, niosąc dwie upolowane wiewiórki; rzucił je na stół jeszcze krwawiące. –

A jak tam twój mężuś?

– Myślę, że dobrze, tato – odpowiedziała ponuro. – Ale nie chce mnie zabrać do tej swojej chałupy w mieście.

Kiedy Grady spotkał Wandę po raz pierwszy, wyglądała znośnie. Przyjechał po samogon i zastał tylko ją na gospodarstwie.

Był piękny jesienny wieczór. Księżyc w pełni wisiał nad czubkami drzew. Powietrze było chłodne i rześkie.

Wanda właśnie wróciła z kąpieli w pobliskim strumieniu. Miała na sobie cienką sukienkę, która ciasno przylgnęła do mokrej skóry. Widział wyraźnie, że nie nosi nic pod spodem. Robiła zresztą wszystko, by to zauważył.

Mówiła szeptem, jakby właśnie wyjawiała mu jakąś tajemnicę. Musiał przysunąć się bliżej, by cokolwiek usłyszeć. Jej wysiłek został nagrodzony – miała go w garści. Mówiła mu rzeczy, których chętnie słuchał, które schlebiały jego próżności: że jest taki wysoki, taki męski, szczupły i pociągający, że podobają się jej jego falujące włosy.

W pewnym momencie udała, że nie radzi sobie z którymś z większych gąsiorów, i chętnie przyjęła pomoc, wychwalając oczywiście siłę Grady'ego.

Jakiż był durny!

To wszystko wina Banner. Rozpalała go prawie do nieprzytomności i na tym koniec. Gdyby jej niewinne pocałunki nie były tak zachęcające, nigdy by nie pocałował Wandy. A kiedy już to się stało i poczuł ciepło lgnącego do niego ciała, nie potrafił się opanować. Zresztą była taka chętna, szczodra i uległa.

Po wszystkim czuł się bardzo zadowolony. Wanda powiedziała mu, że jest nadzwyczaj przystojny i że żaden mężczyzna nie dorównuje mu jako kochanek. Mówiła mu wszystko, co chciał usłyszeć.

Grady'ego irytowało, że ktoś taki jak Ross Coleman będzie jego teściem. Zazdrościł tej rodzinie, ale był skłonny pogodzić się z życiem w jej cieniu, bo nagrodą była Banner i wiążące się z małżeństwem z nią liczne korzyści. Niemniej za każdym razem, gdy opuszczał River Bend, jego duma

cierpiała. Wiedział bowiem, że Colemanowie, łącznie z Banner, nie mają o nim wysokiego mniemania.

Przy Wandzie Burns odzyskiwał wiarę w siebie. Po pierwszej nocy często ją odwiedzał. Kochali się szybko, gwałtownie, dziko. Wanda była nienasycona. Dumą napawał go fakt, że potrafi zadowolić taką kobietę.

Od kolegów wiedział o wątpliwej reputacji Wandy, lecz nie przeszkadzało mu to. Miał ją tak samo jak inni, kiedy ich żony były niedysponowane. Nie widział nic zdrożnego w postanowieniu, że będzie ją odwiedzał nawet po ślubie.

Nie żeby nie lubił Banner. Była piekielnie ładna i z całą pewnością miała zmysłowe ciało. Grady był zbyt pragmatyczny, żeby bawić się w uczucia, chociaż chętnie dawał narzeczonej dowody swej miłości. Czynił tak, gdyż stanowiła dlań dogodną okazję do zabłyśnięcia. W oczach lokalnej społeczności mąż Banner Coleman będzie bowiem znacznie wyżej ceniony niż Grady Sheldon. A że dziewczyna była piękna i znana w mieście, to tylko dodatkowy plus, nie wspominając o majątku, jaki wniesie w posagu.

Dzieliła się z nim swymi marzeniami o ranczo. Wiedział wszystko o koniach, które chciała hodować, i o bydle rzeźnym, którym również zamierzała się zajmować. Słuchał, udając zainteresowanie i entuzjazm, bo w rzeczywistości nudziło go to śmiertelnie.

Jego zamiary w stosunku do ziemi, którą Banner miała otrzymać, różniły się od jej planów: pozwoli jej na trzymanie kilku koni, a może i krów, jeśli to miałoby ją uszczęśliwić. Większość gruntu, który graniczy z gęstym lasem stanowym, przeznaczy na tartak, który pozwoli mu potroić produkcję w ciągu roku. Na razie, oczywiście, nic jej o tym nie wspomniał. Wystarczy, jak to zrobi pod koniec miodowego miesiąca – myślał...

Gdzie tam, nie będzie żadnego miodowego miesiąca! Wszystko przez tę dziwkę, która tu stoi, bawiąc się parasolką, jaką jej przywiózł.

Wrócił do przerwanej rozmowy.

– Wyjaśniłem ci już, dlaczego nie możesz przeprowadzić się do miasta. Wystawiłem na sprzedaż dom zaraz po zaręczynach z Banner, ponieważ ona chciała mieszkać na farmie.

Wanda zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy tej zarozumiałej panny, co łazi po mieście z nosem w chmurach!

Przewrotną radość sprawiało Grady'emu obserwowanie, jak Wanda nieudolnie naśladuje Banner.

Od dawna myślał, że Colemanowie byli zbyt pewni siebie i przydałby się im porządny kopniak, by wrócili na ziemię. Szczególnie Rossowi: za to, że go ośmieszył w dzień ślubu. Jak śmiał mu grozić?! Nigdy mu tego nie wybaczy!

– Dostali tego dnia za swoje, co, złotko? – Wanda podeszła do Grady'ego i próbowała włożyć mu rękę do spodni; odepchnął ją brutalnie. – Cała pieprzona rodzina Colemanów dobrze sobie popamięta Burnsów. Oni i ten wielki blondas, co to ci spluwę przytknął do głowy. – Zachichotała, zauważywszy, że twarz męża nagle poczerwieniała. – Jak powiedziałeś? Jak on się nazywa?

– Jake Langston. – Grady podszedł do stołu, na którym stał dzbanek z alkoholem, chwycił go i pociągnął potężny łyk.

– Jake Langston – powtórzyła Wanda. Lubieżnie oblizała wargi mokrym językiem i spod przymrużonych powiek obserwowała Grady'ego. – Nawet jeśli jest przyjacielem Colemanów, to bym się z nim puściła…

Doggie podszedł do niej i uderzył ją mocno w twarz.

– Skończ to durne gadanie, bo tera jezdeś jego żonom. I przestaniesz się kurwić dokoła, bo ci tak łeb rozbije, że nikt na cie nie spojrzy.

Skuliła się i wierzchem dłoni otarła krew z rozciętej wargi.

– Tak tylko gadałam, a nic przy tym nie myślałam.

– Głodny jestem. Zrób te wiewiórki. Grady, zostaniesz na kolacji.

– Nie mogę. Muszę…

– Mówie, że zostaniesz, to i tak będzie! – Doggie mówił po cichu, lecz głosem groźniejszym niż krzyk. Jego kaprawe oczka zerkały nieprzyjaźnie spod krzaczastych brwi.

Pchnął dzbanek w stronę zięcia.

– Masz, napij się i zara mi powiedz, czymu Wanda ni może przeprowadzić się do miasta?

Grady usiadł na ławie zły i zrezygnowany.

– Jest rodzina, która chce kupić ten dom. Nie mogę Wandy tam wprowadzić i zaraz potem się wyprowadzać, skoro kupno dojdzie do skutku.

– To nie sprzedawaj… – Doggie mamrotał niewyraźnie, ale Grady był świadom tego, że stary dobrze wie, co mówi.

– To nie takie proste – odrzekł i odsunął dzbanek od siebie.

Doggie chwycił go i z trzaskiem postawił na stole, prosto w kałużę zakrzepłej wiewiórczej krwi. Wanda zabrała martwe zwierzątka na zrujnowaną werandę, żeby obedrzeć je ze skóry i wypatroszyć. Wnętrzności rzuciła psom, które zażarcie zaczęły walczyć o każdy kęs.

Grady z trudem opanowywał mdłości. Nie było sposobu, by z takimi ludźmi mógł żyć. Nie miał wyboru, musiał ożenić się z Wandą. Ślubu udzielił im ten sam kaznodzieja, który miał pobłogosławić związek z Banner. Grady mechanicznie powtarzał słowa małżeńskiej przysięgi, czując na krzyżu lufę rewolweru Burnsa.

Będzie musiał coś zrobić, zanim „rodzina” ograbi go ze wszystkiego i zanim zwariuje. Był zdesperowany i gotowy do podjęcia wszelkich kroków, które wyciągnęłyby go z tego bagna.

*

Decyzja została podjęta i Banner natychmiast zaczęła wcielać ją w życie. Następnego dnia zaraz po śniadaniu wspólnie z Lydią przystąpiła do pakowania rzeczy potrzebnych do nowego domu. Pudła i skrzynie ładowano na wóz, który miał przewieźć je przez rzekę.

– Nie myślałam, że w tak ponurym nastroju będę się przygotowywać do przeprowadzki – odezwała się do matki, wrzucając do skrzyni cały stos poszewek i serwetek, które niegdyś starannie wyhaftowała.

Lydia zdawała się myśleć o czymś innym; zapytała nagle:

– Czujesz jeszcze coś do Grady'ego? Wiesz, że został zmuszony do poślubienia córki Burnsa? Taką przynajmniej wiadomość przywiózł ojciec z miasta.

Banner westchnęła i usiadła obok matki na podłodze.

– Nic nie czuję, mamo. To dziwne, prawda? Myślałam, że go kocham. Przykro mi, że tak zrujnował sobie życie. Bezpośrednio po tym wszystkim byłam ogromnie zagniewana; teraz czuję jedynie pustkę.

Lydia uścisnęła jej rękę.

– Podjęłaś właściwą decyzję, i to ci się chwali. Nie załamuj się z powodu czegoś, co nie wynika z twojej winy. Jestem dumna, że mam taką wspaniałą córkę.

Banner popatrzyła w twarz matki; nic dziwnego, że kochali się w niej obaj: Ross i Jake. Nie była pięknością, lecz była jedyna w swoim rodzaju. Ubierała się gustownie, miała smukłą, ponętną figurę. Zanim Banner zrozumiała, dlaczego tak się dzieje, widywała kowbojów przerywających pracę i wpatrzonych w Lydię przechodzącą obok nich. Według opinii Banner żadna kobieta z miasta nie umywała się nawet do jej matki.

– A ja jestem dumna, że jesteś moją matką – powiedziała.

Lydia zerwała się nagle.

– Lepiej weźmy się do roboty, zanim się rozpłyniemy we łzach.

Pracowały uczciwie cały dzień, do późnego wieczora. Banner zasnęła natychmiast, gdy się położyła, bez żadnych przykrych myśli.

Obudziła się wcześnie rano, wypoczęta i radosna. Ross, Lydia i Lee byli już w kuchni, kiedy zeszła na dół.

– Wydaje mi się, że to nasze ostatnie wspólne śniadanie – odezwał się Lee.

– Ależ, synu. Brzmi to tak złowieszczo!

– Tylko nie to – zawołał Ross. – Wasza matka i tak przepłakała całą noc.

– A ty co? Spałeś spokojnie?

– Chyba nie płakałeś, tatku?!

– Jesteś moją księżniczką, czy nie pamiętasz już?

– Na zawsze.

– No, jedz śniadanie, bo na ósmą wszystkim kazałem się zebrać na podwórzu.

Godzinę później Banner po raz ostatni rozejrzała się po swoim pokoju. Już wychodziła, gdy nagle poczuła gwałtowną ochotę, by rzucić wszystko i nigdzie stąd nie wyjeżdżać. Szybko jednak zdusiła w sobie to niemądre uczucie. Przecież od dawna pragnęła mieć własny dom. Zbiegła po schodach i wyszła na podwórze.

Ma siedziała już na wozie z lejcami w ręku.

– Jedziesz z nami, Ma?! – zawołała Banner radośnie.

– Pewnie – odburknęła Ma. – Ktoś musi obejrzeć twoje gospodarstwo i ocenić, czy jest coś warte.

– Mam nadzieję, że często będziesz mnie odwiedzać. Obiecaj!

– Czy to ma być zaproszenie?

– No jasne!

– W takim razie zgoda.

Lydia wybiegła z domu, dźwigając spory koszyk.

– Przygotowałam wam kanapki – zawołała i wdrapała się na siedzenie obok Ma.

Ross, Jake i Lee wjechali na podwórze. Trzech robotników z farmy zjawiło się wraz z nimi. Ross przedstawił ich Jake'owi.

– Peter, Jim i Randy. Fachowcy. Sam ich wybierałem. Chłopcy, to wasz szef, Jake Langston. Znacie się chyba, co?

Skinęli głowami.

– Jestem zadowolony z tego wyboru – rzekł krótko Jake.

Ross już poprzedniego wieczoru podał mu nazwiska ludzi, którzy mieli im towarzyszyć na ranczo. Jake zasięgał o nich opinii Micaha.

– Peter to ten siwy facet – objaśniał Micah. – Najstarszy z tej trójki. Bez potrzeby nie powie jednego słowa. Dobry fachowiec. Twardy jak skała. Nie chciałbym go mieć za przeciwnika. Nie widziałem, aby kiedykolwiek stracił panowanie nad sobą. Jim ma bliznę na twarzy. Mówi, że to pozostałość po nazbyt bliskim kontakcie z drutem kolczastym. Może i tak, ale słyszałem też inną wersję: to ślady po walce na noże z jakimś Komanczem. Ponury

gość, ale jeśli idzie o budowę pastwisk – nie ma lepszego. Z kolei Randy pojawił się na farmie kilka miesięcy temu. Nie sprawia kłopotów. Lubi whisky, ale ogranicza picie do sobotnich wieczorów. Czasami oszukuje przy pokerze. Miałbym go na oku, gdy znajdzie się koło Banner.

Jake wysłuchał uwag bez komentarza, jedynie ostatnie zdanie zainteresowało go.

– Dlaczego?

– Mówią, że jego imię – Randy[1] – pasuje do niego jak ulał.

Jake milczał przez chwilę, potem spytał:

– A ty sam co o nim sądzisz?

Micahowi nie wypadało mówić źle o człowieku, którego w pewnym sensie uważał za przyjaciela.

– Mają chyba trochę racji – powiedział w końcu z ociąganiem. – W mieście dość dobrze go znają. Nigdy nie miał problemów ze zdobyciem kobiety – wiesz, o co mi chodzi.

Spod szerokiego ronda kapelusza Jake przyjrzał się mężczyznom. Wyglądali na prawdziwych kowbojów. Jeśli będą dobrze pracowali przez cały tydzień, to nie będzie go obchodziło, czy w sobotę wieczorem spiją się do nieprzytomności, czy też pobiją się z Indianami. Tylko niech ich ręka boska broni przed zbliżeniem się do Banner!

– Gotowi? – zawołał Ross.

Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi skierował swego konia ku bramie wyjazdowej.

Lee pojechał za nim. Ma cmoknęła na konie, ściągnęła lekko lejce i wóz ruszył z miejsca. Banner podeszła do Dusty, która stała uwiązana do poręczy przy wejściu na werandę.

Jake raczej dotąd tylko wyczuwał obecność dziewczyny na podwórzu. W momencie, kiedy odwróciła się do niego plecami, odważył się spojrzeć. Jej czarne włosy lśniły w porannym słońcu, nakryła je kapeluszem z szerokim rondem. Miała na sobie śnieżnobiałą bluzkę i czarną spódnicę z szerokim skórzanym pasem inkrustowanym srebrem, który Ross

przywiózł jej z Meksyku. Jake pamiętał, jaka była dumna, gdy pokazywała mu pas podczas którejś z jego bytności w River Bend.

Pas podkreślał talię i zaokrąglenie bioder. Długa kloszowa spódnica sięgała prawie kostek. Czarne wysokie buty skórzane były miękkie, gładkie i ciasno przylegały do łydek.

Obserwował, jak Banner wkłada nogę w strzemię i sięga po łęk siodła. Podniesione wysoko kolano spowodowało, że spódnica napięła się na pięknie zaokrąglonym pośladku. Dziewczyna wskoczyła w siodło z wielką gracją. Jej nieskazitelna prezencja była często powodem przyśpieszonego bicia męskich serc. A na dodatek – te piersi! Jake wiedział, jak są jędrne i okrągłe...

– Diabli nadali – mruknął i przykrócił wodze, by skierować Stormy'ego w odpowiednią stronę. W wyniku tego manewru jego koń stanął chrapy w chrapy z wierzchowcem Randy'ego. Kowboj siedział na koniu zapatrzony w Banner.

– Na co się tak gapisz? – Jake postawił pytanie takim tonem, że lepiej było szybko odpowiedzieć.

– Na nic, Jake. Tak sobie.

– W takim razie piorunem dołącz do kolegów na przedzie i żebyście bez problemów przeprowadzili wóz przez most.

Randy nacisnął kapelusz na oczy, spiął konia ostrogami i już go nie było.

Banner zrównała się z Jake'em.

– Randy pognał, jakby się paliło. Co się stało?

– Nie masz nic innego do ubrania? – spytał sucho.

Spojrzała zaskoczona.

– Nie rozumiem.

– Chodzi mi o ubiór, odzież, o to, co na siebie wkładasz – rzekł niecierpliwie.

Spojrzała zdumiona, nie mając pojęcia, o czym on mówi. Na domiar złego, Jake również nie bardzo wiedział, o co mu chodzi, i to naprawdę wyprowadzało go z równowagi.

– Nieważne. Zapamiętaj tylko jedno, Banner. Nie chcę żadnych awantur z tymi facetami. Będę miał dosyć innych zajęć i nie chciałbym żadnych dodatkowych, więc trzymaj się od nich z daleka.

Jej oczy zalśniły gniewnie.

– Tak naprawdę, to powinnam unikać tylko jednej osoby: ciebie!

Trąciła klacz ostrogami i ostro ruszyła z miejsca. Zamiast wyjechać przez bramę, jak zrobili to wszyscy pozostali, poderwała konia i skoczyła przez płot.

– Rozpuszczony bachor – stwierdził Jake i wyjął z kieszeni cygaro. Z namysłem włożył je do ust, zapalił i popędził do przodu.

*

– Myślę, że to wszystko... – Ma strzepnęła ścierkę i powiesiła ją na wieszaku.

Jake rozejrzał się po kuchni.

– Wygląda całkiem przyjemnie. Banner jest ci bardzo wdzięczna za pomoc przy rozpakowaniu.

– Zaraz będzie kolacja – oznajmiła.

– Ładnie pachnie.

Ma spojrzała przenikliwie na najstarszego syna. W rzeczywistości nie zwrócił nawet uwagi na kuchenne porządki ani na posiłek. Trapiło go jakieś zmartwienie – matka wyczuła to bezbłędnie. W takich chwilach zamykał się w sobie, unikał ludzi i nie był skory do rozmowy.

Kiedy był małym chłopcem, kręcił się koło niej tak długo, aż dostrzegła jego dziwne zachowanie. Potem, bez specjalnej zachęty z jej strony, mówił o swoich kłopotach – drobnych grzeszkach, które go dręczyły.

Dokładnie pamiętała jedno zdarzenie. Wrócił do domu z drugiej wyprawy do Kansas. Po kolacji pozostał przy stole. Sprzątnęła naczynia i dała wszystkim do zrozumienia, żeby zostawili ich samych. Chciała dowiedzieć się, jak wygląda życie kowboja. Jego odpowiedzi były

chaotyczne. W końcu zapytała wprost, czy zrobił coś, czego teraz musi się wstydzić.

Napotkała jego wzrok i w tym momencie zrozumiała, że jej Bubba nie jest już chłopcem – jest mężczyzną, który na swych barkach dźwiga ciężar całego świata.

– Mamo, zrobiłem coś, co było konieczne.

Przygarnęła go do piersi, a on szlochał jak dziecko. Nigdy nie żądała dokładnych wyjaśnień, gdyż sądziła, że lepiej pewnych rzeczy nie wiedzieć. W samotności płakała nad chłopcem, który tak boleśnie przerodził się w mężczyznę.

Obecnie znów wyglądał na zrozpaczonego, co znaczyło, że ma jej coś do powiedzenia, ale nie wie, jak rozpocząć.

Cały czas wiedziała, że syn kocha Lydię. Razem z nim cierpiała z tego powodu. Podejrzewała, że Lydia też o tym wie. Dzieliły się sekretami i najskrytszymi myślami, z wyjątkiem tego jednego, jedynego. Obawiały się, że po wyjawieniu tajemnicy ich wzajemne więzi uległyby zerwaniu.

Ma postawiła przed Jake'em kubek z kawą i usiadła naprzeciwko.

– Nie wypowiedziałaś się na temat mojej pracy.

– Nie pytałeś mnie o to.

– To pytam teraz.

– Jestem bardzo zadowolona, że wreszcie osiadłeś na jednym miejscu. Nie lubię leżeć w łóżku i zastanawiać się nad tym, gdzie akurat jesteś. To samolubne, przyznaję, ale najlepiej się czuję, gdy mam was wszystkich blisko siebie.

Uśmiechnął się smutno.

– Wielu straciłaś.

Głośno wytarła nos.

– Mnóstwo kobiet pochowało swych mężów i dzieci. Nie jestem wyjątkiem.

Chwycił kubek i obracał go w ręku. Ma wiedziała, że nie skończył jeszcze rozmowy; w dalszym ciągu gryzło go sumienie.

– Jak myślisz, czy moja praca z Banner da pozytywne wyniki?

Przysłuchiwała się z uwagą. Czy to możliwe? Banner? Obserwowała go bacznie; wiercił się, jakby miał mrówki w spodniach. Przekładał filiżankę z jednej ręki do drugiej, jak gdyby była bardzo gorąca. Tak, to ma coś wspólnego z Banner.

Dziewczyna była bardzo podobna do matki i niezmiernie atrakcyjna. Żaden mężczyzna nie mógł przejść koło niej obojętnie. Ale Jake i Banner? To byłoby coś niezwykłego. Taka różnica wieku – siedemnaście, nie, osiemnaście lat! Zawsze ją traktował jak młodszą siostrę, lecz dziwniejsze rzeczy przecież się zdarzały.

– Owszem – odpowiedziała z przekonaniem Ma. – Chociaż nie będzie to proste. – Odwróciła się do pieca, by zamieszać w garnku. – Ta dziewczyna była psuta przez wszystkich w River Bend, ze mną włącznie. Pierwszy raz w życiu spotkało ją rozczarowanie, i to od razu wielkie. Nie podobał mi się ten Sheldon i jeśliby ktoś pytał mnie o zdanie, to bym powiedziała, że zdarzyła się najlepsza rzecz pod słońcem. Ta panna musi się w końcu nauczyć, że świat nie leży u jej nóg. Może nie brzmi to ładnie, ale kocham ją jak córkę.

– Wiem, że jest uparta i nieopanowana – ciągnęła Ma. – Przypomina ładunek dynamitu gotowy wybuchnąć w każdej chwili. A mężczyzna, który spróbuje go odpalić, będzie tego żałował do grobowej deski albo też będzie dziękował Bogu, że to zrobił. To już będzie zależało od mężczyzny…

Ma zauważyła, że syn głośno przełyka ślinę. Zgadza się, tu chodzi o Banner.

– Skąd wiesz o tym?

– Ponieważ jest córką swojej matki. – Ma się zaśmiała. – I swego ojca. Wzrastała w atmosferze ciepła, czasem istnej gorączki łączącej tych dwojga. I sprawy damsko-męskie nie są jej obce. Wiesz chyba, co mam na myśli.

– Co? – spytał zmienionym głosem.

– Nie jestem pewna, czy bardzo chciała poślubić akurat Grady'ego Sheldona, czy też chodziło jej tylko o to, by wyjść w ogóle za mąż.

– Nic o tym nie wiem – rzekł Jake i nagle wstał od stołu. Odniósł kubek do zlewu, napompował do niego wody i wypłukał. Wyjrzał przez okno.

Banner właśnie żegnała się z rodziną. Lee nachylił się i pocałował ją w policzek. Potargała mu włosy, on zaś odwzajemnił się lekkim kuksańcem. Roześmieli się. Ross i Lydia, trzymając się pod ręce, zdawali się rozkoszować tym widokiem.

– Ale powiem ci coś. – Jake raptownie odszedł od okna. – Dostałem od Rossa zadanie do wykonania. To cholernie dobre zajęcie i jestem z niego bardzo zadowolony, mimo że wymaga ciężkiej pracy. I na żadne ustępstwa z Banner nie pójdę. Nie zamierzam także znosić jej kaprysów czy humorów. Im szybciej przyjmie to do wiadomości, tym lepiej.

Nacisnął kapelusz i wyszedł tylnymi drzwiami.

– W porządku. – Ma była rozdrażniona. Za chwilę jednak uśmiechnęła się i wyszła, by dołączyć do czekających.

Wszyscy byli już gotowi do odjazdu.

*

– Smakował ci chleb z mąki kukurydzianej?

– No, całkiem niezły.

– Mógłbyś czasem coś powiedzieć…

– Właśnie mówię, że dobry.

– Dziękuję. – Banner nagłym ruchem zabrała jego talerz i z hałasem wstawiła do zlewu.

Jake zacisnął pięści i zaczął liczyć do dziesięciu. Zamknął oczy i ze wszystkich sił starał się opanować. To była ich pierwsza wspólna kolacja. Pierwsza z wielu, które będą spożywać. Colemanowie i Ma odjechali. Kowboje – wkrótce po nich; wrócą tu dopiero o świcie. Do tego czasu będzie sam z Banner.

Ta pierwsza noc może zadecydować o następnych. Od tego, jak minie, zależy przyszła praca i życie na farmie.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał, że Banner zmywa naczynia, odwrócona do niego plecami. W czasie dnia przebrała się. Zamiast spódnicy i bluzki miała na sobie kolorową sukienkę z perkalu, która trochę maskowała jej kształty. Wyglądała w niej delikatniej i przystępniej, mimo to nie mógłby jej dotknąć. Nie miał prawa nawet dopuścić do siebie takiej myśli.

Odsunął krzesło, zebrał pozostałe naczynia i zaniósł je do zlewu.

– Nie musisz tego robić.

– Wiem. Ty też nie musiałaś gotować kolacji. Chcę ci pomóc i nie sprzeczajmy się więcej.

Mówił do niej tym samym przypochlebnym tonem, jakiego używał, kiedy była dziewczynką.

Dotychczas zawsze udawało mu się ją rozweselić. Tylko że teraz to już nie była dziewczynka. Twarz, na którą zerkał, należała do dorosłej kobiety – delikatna w świetle naftowej lampy, wilgotna od nachylania się nad zlewem z gorącą wodą, zaczerwieniona i ze śladami piegów od całodziennego przebywania na powietrzu.

Miała interesujące oczy. Dotychczas sądził, że są takie same jak Lydii, teraz uznał, że takie oczy rzadko się spotyka. Mógł zobaczyć swe odbicie w ich zielonozłotej głębi; przypominał człowieka, który nagle natknął się na niewidzialną szybę.

Dom był niewielki; składał się z pokoju gościnnego, sypialni i kuchni. Został zaprojektowany i zbudowany z myślą o dalszej rozbudowie, lecz jego obecne miniaturowe wymiary zdawały się zbliżać mieszkańców do siebie, a głęboka cisza nastrajała do takiego zbliżenia.

– Jesteś kąśliwa jak grzechotnik, Banner – szepnął Jake. Czyżby obawiał się, że głośna rozmowa przerwie ten nastrój?

– Ty też.

– Domyślam się.

– Obrażasz się na każde moje słowo.

– Nie powinniśmy już sobie dokuczać. Nie mogę cię traktować tak jak dawniej.

– Wiem. Powrót do tego, co było kiedyś, nigdy nie jest możliwy.

– Martwi cię to?

– Tak. A ciebie?

Jake tylko skinął głową.

– Powinnam była o tym pomyśleć, zanim cię poprosiłam o… – Przygryzła dolną wargę zębami. – Ta noc stworzyła barierę między nami. Będziemy zawsze o niej pamiętali…

O tak, on ją zapamiętał. Zapamiętał każdym skrawkiem swego ciała. Jego oczy, jawnie nieposłuszne postanowieniom, zatrzymały się na perfekcyjnie wymodelowanych ustach dziewczyny. Gdyby tylko mógł zapomnieć ten rozkoszny jęk, jaki wydała, kiedy jego język wsunął się po raz pierwszy w jej usta! Gdyby jeszcze mógł zapomnieć jej ożywienie, gdy wargi nauczyły się odpowiadać na jego pocałunki.

Nieumyślnie nachylił się, aż poczuł ciepło ciała Banner. Zauważył, jak pulsuje mała żyłka u podstawy jej szyi, w miejscu, którego dotykał ustami. Zapach ciała dziewczyny przyprawiał go o zawrót głowy.

Skierował wzrok niżej – na piersi – i zadrżał. Oblizał spieczone wargi i czuł, że znajduje się w stanie silnego podniecenia seksualnego. Kiedy spojrzał na jej twarz okoloną wijącymi się włosami, zapragnął kochać się z nią.

– Banner…

– Tak?

Nagle spostrzegł się, że jeszcze moment i pocałuje ją. Jeśli zaś to zrobi, na tym się nie skończy. Jej piersi aż proszą o pocałunki. A biodra wprost zachęcają do głaskania. Uniósłby je trochę, tak aby ułatwić wejście swej sztywnej męskości…

Ostatnim przebłyskiem świadomości odsunął się.

– Nie, nic. Zobaczymy się jutro rano. Gdyby co, to krzyknij…

– Dokąd się wybierasz? – spytała niepewnym głosem; na pójście do łóżka było jeszcze za wcześnie.

– Pójdę sprawdzić ogrodzenie, które stawialiśmy. Randy ani jednego gwoździa nie potrafi wbić prosto.

– Jak na pierwszy dzień pracował bardzo dobrze.

Ujęcie się Banner za tym kowbojem omal nie doprowadziło do wybuchu. Ale jeszcze raz zdołał się opanować.

– Mnie nie wydał się taki wspaniały. Jeżeli się nie poprawi, będzie musiał odejść.

Odwrócił się i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

---

1 Randy znaczy hałaśliwy, ale również – lubieżny (przyp. tłum.).

Rozdział 7

Noc była niewiarygodnie ciemna, wprost czarna. W ciemności dom wydawał się Banner odcięty od świata.

Od dnia urodzenia zawsze było wokół niej pełno ludzi. Dzisiaj po raz pierwszy w życiu miała spać sama w pustym domu.

Sen nie nadchodził. Uszy wychwytywały każdy szmer. Dziwne, przecież dawniej żadne hałasy nie przerażały jej. W River Bend, w jej sypialni na piętrze, z oknami o szerokich parapetach, takie dźwięki brzmiały nawet swojsko i uspokajająco. Tam też rozpoznawała kształt każdego cienia za szybami.

Tu jednak obcy szum liści zdawał się wrogi i złowieszczy. Cienie nie były przyjazne.

Czyżby popełniła błąd, opuszczając dom i rodzinę?

Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Ma chciała mieszkać sama w swoim domku. Lydia i Ross często namawiali ją, by wprowadziła się do nich i zajęła jeden z pokoi na piętrze; zawsze zdecydowanie odmawiała. Banner nie mogła sobie wyobrazić tego: przedkładać samotność nad otoczenie ukochanych ludzi?!

Samotność to było coś strasznego. Może zbyt pośpieszyła się z tą przeprowadzką? A jeśli przyjdzie jej samej mieszkać nie wiadomo jak długo? Jeśli się tu zestarzeje bez przyjaznej duszy przy swym boku? I co z tego, że zrobi majątek na ranczo, skoro nie będzie go z nikim dzielić?

Wzburzona swymi myślami, odrzuciła kołdrę i podeszła do okna.

Blade światło księżyca zaczęło właśnie rozpraszać czerń nocy. Popatrzyła w kierunku stajni. Wyglądała okazale – zupełnie nowa, niemal sztuczna w swojej nowości. Nie wydzielała zapachu podobnego do tego ze

stajni w River Bend, w których Banner bawiła się w chowanego z Lee i Micahem, kiedy byli dziećmi.

Ta stajnia wyglądała obco. Dopiero z ostatniego okna wydobywało się słabe światło latarni. Tam był Jake, niedaleko, w zasięgu ręki, gdyby ciemności i samotność okazały się nie do zniesienia. Jego obecność działała kojąco. Gdy Banner wróciła do łóżka, niemal natychmiast zasnęła.

O świcie wstała, ubrała się w strój roboczy i zeszła do kuchni. Promienie słońca wpadające przez okno rozjaśniły pomieszczenie i wprawiły Banner w dobry humor. Nucąc, przygotowywała śniadanie.

Przestała podśpiewywać, gdy zauważyła otwierające się wrota stajni. Plaster bekonu wypadł ze sztywnych nagle palców.

W drzwiach stanął Jake, przeczesując palcami włosy, które podświetlone porannym słońcem mieniły się jak stare złoto. Ziewnął szeroko, pokazując białe, równe zęby. Splótł dłonie i wyciągnął je nad głową, przeciągając się niczym kot.

Był w spodniach i butach, ale spodnie miał jeszcze niezapięte. Widziała niewiele, ale bardziej intrygowało ją to, czego nie widziała. Na widok muskularnego torsu Banner zaschło w ustach z wrażenia – zupełnie odwrotnie niż w innym, sekretnym miejscu. I to nie z powodu półnagiego torsu mężczyzny. Przecież widywała wiele razy ojca, Lee czy Micaha bez koszuli, ale Jake'a nigdy. Jedno musiała przyznać – był efektownym mężczyzną.

Szeroki w barach, wspaniale umięśniony, z płaskim brzuchem. Spod pach wystawały kępki jasnych włosów. Całą pierś pokrywało równie jasne, bujne owłosienie. Jak ciemne plamki przebijały się przez nie sutki. Lśniący gąszcz włosów na piersi łączył się wąskim pasemkiem z włosami wokół pępka i tymi poniżej, niknącymi pod materiałem spodni.

Banner dopiero teraz zwarła kolana.

Niesamowite – spała z tym mężczyzną, a dopiero teraz widzi go niekompletnie ubranego. Jego widok napawał ją dumą. Był przystojny, wręcz bez skazy. Przynajmniej nie musiała wstydzić się pierwszego i prawdopodobnie jedynego kochanka.

Jake pochylił się i wyciągniętymi ramionami sięgnął ziemi.

Zrobił kilka gwałtownych wyrzutów, by przywrócić normalny obieg krwi. Podszedł do pompy stojącej w połowie drogi między domem a stajnią, pochylił się i zmoczył głowę oraz kark. Podniósł się i obmył sobie twarz. Otrząsnął się i poszedł do stajni. Po chwili wyszedł już w koszuli. Okrążył zabudowania i zniknął jej z pola widzenia.

Jeszcze kilka sekund wpatrywała się w miejsce, w którym stał przed chwilą. Potem, jakby budząc się z głębokiego snu, zamrugała oczami i odetchnęła głęboko. Zdumiała się, stwierdziwszy, że na podłodze leży płat bekonu; nie zauważyła, kiedy wypadł jej z palców.

Nie trzymała się zbyt pewnie na nogach, ale zmusiła się, by skończyć przygotowywanie śniadania. Jake mógł wejść w każdej chwili.

Ciekawe, czy policzki ma tak czerwone, jak się jej wydaje? Czy Jake mógł zauważyć, że go podpatruje?

A jeśli tak, to co? Nie powinien prawie nagi paradować pod oknem! Celowo go nie wypatrywała (to był przypadek) ani nie chciała dotknąć… A uczucia jakiegoś niedosytu czy zawodu, które poczuła gdzieś w dole brzucha, nie spowodowała koszula, którą miał na sobie tej nocy, kiedy się kochali. Z pewnością nie! Prędzej wspomnienie tego muskularnego ciała tuż przy swoim…

Kiedy zapukał do tylnych drzwi, podskoczyła wystraszona i skuliła się. Natychmiast zauważył jej przestrach:

– Co się stało?

– Nic – odpowiedziała pośpiesznie.

– Jesteś pewna?

– Tak. Oczywiście. A co mogłoby się stać?

– Nie wiem i dlatego pytam.

– Siadaj – powiedziała i odwróciła się do niego plecami. – Śniadanie jest gotowe.

Spojrzał na nią niezupełnie przekonany, ale wyciągnął zydel spod stołu i usiadł. Podeszła szybko i podała mu kubek z kawą.

– Dobrze spałaś? – spytał.

Oboje zamarli w bezruchu. Z wyciągniętymi rękami pochylała się w jego kierunku. Jej piersi znalazły się dokładnie na wysokości twarzy mężczyzny. Były tak blisko jego ust, że gdyby nimi poruszył, mógłby ich dotknąć. Poczuła jego gorący oddech, więc postawiła kubek na stole i szybko się cofnęła.

– Tak, zupełnie dobrze. Nie mogę narzekać. A ty?

– Też dobrze.

Siedział wyprostowany, z zaciśniętymi zębami i patrzył prosto przed siebie. Udzielał sobie lekcji: nigdy, nigdy nie odwracaj głowy, kiedy Banner cię obsługuje.

Chrząknął, zanim się odezwał:

– Ten pokój jest bardzo przytulny.

Jest kłamcą! Nie spał dłużej niż kilka minut! Stękał i przewracał się z boku na bok, rozmyślając o niej. Martwił się, czy dobrze zamknęła drzwi, czy nie jest jej zimno, a może gorąco. Czy nie jest przypadkiem głodna? A może coś jej dolega? Tysiąc razy przekonywał siebie, że powinien pójść do domu i sprawdzić, choć doskonale wiedział, że tego mu zrobić nie wolno.

– Nie jest ci tam za gorąco? – Czuła, że musi podtrzymać tę idiotyczną konwersację, by ukryć zdenerwowanie i drżenie rąk.

– Jeśliby nawet było, mogę spać na dworze. To dla mnie nie pierwszyzna…

Przypadkowo nawiązał do rozmowy z tamtej nocy w stajni. Po co, u diabła, to powtarza? A może ona tego nie pamięta? Jedno spojrzenie wystarczyło i już wiedział, że pamięta. Jej policzki z różowych stały się ciemnoczerwone. Odwróciła się.

Miała na sobie spodnie, które przedtem należały do Lee. Krawiec przerobił je i dopasował do jej figury.

Jak mogła oczekiwać, że Jake przełknie choć kęs chleba i ulubioną jajecznicę, skoro kręciła się po kuchni w obcisłych spodniach!

Były długie i schludne, a przede wszystkim prowokujące. Jake oglądał kiedyś rewię, gdzie tancerki ubrano w przezroczyste trykoty, ale żadna

z nich nie wyglądała tak wyzywająco jak Banner w swych wypłowiałych drelichach. Zaledwie kilka dni temu potrafił dać jej klapsa w pośladek; teraz każde dotknięcie kusząco okrągłego ciała uchodziłoby za pieszczotę!

Postawiła na stole wszystko, co trzeba, i siadła naprzeciwko Jake'a. Westchnął z ulgą, lecz nie zdołał się odprężyć. Banner bowiem przyciągała wzrok jak magnes.

Do spodni włożyła bawełnianą koszulę, którą trochę przerobiła: miejsca, gdzie były kieszenie, wypełniał biust.

– Sosu?

– Słucham? – Oderwał oczy od piersi i spojrzał w twarz dziewczyny.

– Nawet nie spróbowałeś mego sosu. Boisz się?

Ta żartobliwa uwaga była z jej strony odważną próbą przywrócenia dawnych stosunków. Jake jednak nadal odnosił się do dziewczyny nieufnie. Z pewnością był jeszcze podenerwowany ostatnią sprzeczką. Banner zaś tęskniła za dniami, kiedy byli dobrymi przyjaciółmi i powiernikami.

Czy nie kładła mu głowy na piersi, kiedy ją uspokajał po zaginięciu kociąt? Wtedy nie odczuwała wprawdzie tego podniecającego ciepła, ale czemu nie miałaby powrócić dawna zażyłość?

Co za bezsensowne pytanie! Odpowiedź znała doskonale. Ich wzajemne stosunki już nigdy nie będą takie jak kiedyś. Mogą jedynie udawać, że nic nie zaszło. Przynajmniej ona zamierza spróbować.

– Uważasz, że nie umiem gotować?

Chrząknął i polał obficie jedzenie gęstym sosem.

– Mam żołądek z żelaza. Inaczej nie przeżyłbym na szlaku. Myślę zatem, że twoja kuchnia też mi nie zaszkodzi.

Wziął duży kęs do ust, zamknął oczy, poruszył kilka razy szczękami, potem przełknął, mlasnął językiem i otworzył oczy.

– Smakowite!

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i poczuła się znacznie raźniej.

– Staram się wymyślić nazwę dla rancza – oznajmiła lekkim tonem.

– Sądziłem, że jest już nazwane.

Popiła łyk kawy i potrząsnęła głową.

– Nie chcę, aby było przedłużeniem River Bend. Niech ma swoją własną nazwę. Co proponujesz?

– Hmm, nie zastanawiałem się nad tym.

Odłożyła widelec i pochyliła się do przodu, oparta na łokciach.

– Co sądzisz o Plum Creek?

– Plum Creek?

– To nazwa strumienia, który przepływa przez zalesiony skraj posiadłości i niedaleko stąd wpada do rzeki.

– Ranczo Plum Creek? – rzekł rozbawiony. – Brzmi to trochę, jakby tu powiedzieć – starał się znaleźć właściwe słowo – po kobiecemu, za delikatnie.

Oczekiwała, że pochwali jej pomysł, ale tak się nie stało.

– No cóż, jestem kobietą.

Spojrzał na nią i znów jej piersi przykuły jego wzrok, zwłaszcza że lekko falowały, co było bezspornym faktem świadczącym o jej kobiecości.

– To twoje ranczo, więc nazwij je, jak chcesz.

– Serdecznie dziękuję za pozwolenie – odrzekła sarkastycznie. Odsunęła krzesło od stołu, wstała i z hałasem zaczęła zbierać naczynia.

Jake też się podniósł.

– Nie jestem pewny, czy robotnikom spodoba się praca na ranczo o tak dziwnej nazwie.

– To tylko jedna z propozycji. Jeszcze się nie zdecydowałam.

Gdy odnosiła naczynia do zlewu, jeden z noży spadł na podłogę. Nachyliła się i podniosła go. Czy rozmyślnie go prowokowała?

– Niedługo przyjdą robotnicy. Przygotuję się do pracy.

– Co macie na dzisiaj w planie?

– Rozpocząć budowę stałej zagrody.

– Przyjdę później popatrzeć.

W tych obcisłych spodniach, z rozwianymi włosami poruszyłaby nawet eunucha. Tylko tego jeszcze tu brakuje: gromady podnieconych kowbojów,

którzy zamiast pracować będą się oblizywać na widok przechodzącej Banner.

– Dobrze, ale przedtem zdejmij spodnie.

– Co?!

– Słyszałaś.

– Ale dlaczego?

– Bo to mi znacznie ułatwi robotę. Jeśli zaczniesz paradować w tych obcisłych portkach…

– Paradować?!

– Są, delikatnie mówiąc, nieprzyzwoite.

Z furią rzuciła talerz do zlewu.

– Nieprzyzwoite! – krzyknęła rozwścieczona.

Jake zdążył już wyjść na podwórze.

*

– Priscillo, kochanie…

Oczy Duba Abernathy'ego błyszczały pożądaniem. Czoło miał spocone i kleiły się doń pasma siwych włosów. Drżącymi palcami rozpinał guziki kamizelki. Płaszcz zdjął zaraz przy wejściu. Zawsze tak robił. Dopiero potem sięgał po szklaneczkę najlepszej whisky.

Ta kobieta i alkohol stanowiły dwie zakazane przyjemności, którym oddawał się w każdy wtorek i czwartek, a czasem jeszcze w sobotę, jeśli Priscilla się na to zgadzała, a on dysponował wolnym czasem.

– Hmm – mruknął z podziwem i rzucił kamizelkę na podłogę. Chwycił szklaneczkę i popił.

– No, dalej…

Priscilla stała przed nim w gorsecie i staniku, pończochach i butach na wysokich obcasach. Gorset mocno ściskał ją w talii i wypychał ku górze piersi. Okrągłe podwiązki podtrzymywały czarne pończochy kontrastujące z jej jasną karnacją.

Priscilla rozkoszowała się, widząc, jak z każdą chwilą podniecenie mężczyzny rośnie.

W łóżku był bezwstydnie rozpustny. Dlatego właśnie go lubiła. Nie wstydził się namiętności, gdyż dawno temu nauczył się, że to nie ma nic wspólnego z miłością. A zresztą ludzie kochają tylko samych siebie. Oni dawali sobie nawzajem maksimum rozkoszy. Ta jej powolna rozbieranka była jedną z erotycznych gier, wstępem do głównej przyjemności.

Przez ostatnich kilka lat Dub Abernathy należał do stałych klientów, których obsługiwała sama. Nigdy nie odwołała żadnego zapowiedzianego spotkania. Oboje w równym stopniu cieszyli się ze swych igraszek. Poza tym Dub był oddanym przyjacielem i ceniła go z wielu względów; najważniejszym była jego pozycja w lokalnej społeczności.

Abernathy uchodził nie tylko za jednego z najwierniejszych obrońców Ogrodu Edenu, ale także za szanowanego biznesmena w Fort Worth. Należał do rady nadzorczej tutejszego banku, przewodniczył diakonii Pierwszego Kościoła Zreformowanego, a także brał udział w posiedzeniach rady miejskiej.

Był oszustem i również z tego powodu Priscilla go lubiła. Wiódł życie solidnego obywatela, lecz w rzeczywistości miał wiele na sumieniu, a ona uwielbiała takich skorumpowanych dostojników tego miasta.

Priscilla powoli podniosła ręce i wyjęła spinki z włosów. Długie, lśniące loki spadły na plecy i wyniosłe piersi. Tymi samymi ustami, które w każdą niedzielę odmawiały z zapałem modlitwy, teraz wykrzykiwała bluźniercze słowa. Kręciła przy tym głową, ponieważ wiedziała, że Dub lubi patrzeć na włosy sunące po nagiej szyi.

– Dotknij siebie – wyszeptał chrapliwie.

Nakryła piersi dłońmi i lekko je muskała. Mężczyzna zaczął ciężko dyszeć i rozpiął guziki rozporka. Priscilla pomału, kolistym ruchem poczęła masować piersi i drażnić palcami, zamykając oczy i kołysząc się zmysłowo. Oddech Duba był wyraźnie przyspieszony. W nagrodę za cierpliwość zdjęła stanik i obnażyła piersi.

To także należało to utartego zwyczaju i zawsze w równym stopniu podniecało ją. Miała tego mężczyznę całkowicie w swej mocy. W radzie miejskiej mógł mieć wpływ na każde głosowanie, w szkółce niedzielnej (gdzie uczył) mógł wzbudzać strach, ale w tym pokoju ona miała nad nim władzę. I to był najsilniejszy środek podniecający.

Palcami pobudzała sutki, które stwardniały pod wpływem zrazu wolnej, a potem coraz szybszej pieszczoty, odpowiadającej rytmowi urywanych oddechów Duba.

– Teraz ja chcę spróbować – zdołał wykrztusić.

Szła ku niemu, kołysząc biodrami, co zwykle go fascynowało. Kiedy była o krok od niego, zerwał się z krzesła, objął ją w talii i przyciągnął. Oplotła ramionami jego głowę, tak jak lubił, kciukami masowała mu skronie, w końcu rozchyliła uda i wreszcie ją posiadł.

Jego wargi gorączkowo sięgały do piersi Priscilli, do rozpalonych sutków, spragnionych rozkoszy. Drażnił je językiem twardym jak penis. Kobieta z ochotą oddawała mu pieszczoty. Wsunęła dłonie za kołnierzyk koszuli i paznokciami zaczęła drapać go po karku. Wtedy biznesmen – który posiadał udziały w licznych przedsięwzięciach, przewodniczył wielu zebraniom, który nigdy nie pomyślał o krzywdzie żony – jęknął rozpaczliwie, błagając o zmiłowanie. Priscilla zaczęła z furią podrzucać brzuchem, tak długo aż oboje krzyknęli przeciągle z rozkoszy.

Wstała i poszła do łazienki, by się odświeżyć. Kiedy wróciła, Dub leżał nagi na łóżku, czekając na ablucje. Przemywała jego ciało ciepłym, mokrym ręcznikiem.

– Jeszcze drinka? – spytała.

– Nie. Lepiej nie. Mam dzisiaj jeszcze jedno zebranie.

Odłożyła ręcznik, którym była owinięta, i położyła się obok swego klienta ze stosem poduszek pod głową. To była najcenniejsza część ich romansu. Lubiła seks, ale najcenniejsze były informacje, które w zamian dostawała i które nie mogły wydostać się poza ten pokój.

– Jak tam moje udziały na kolei?

– Podwoiłaś swój stan posiadania, jak ci obiecywałem. Huta żelaza również nieźle prosperuje. A nie chciałabyś czegoś zainwestować w wyścigi konne?

– Brzmi to trochę niepoważnie…

– Zrobię bliższe rozeznanie i dam ci znać przy najbliższej okazji.

Podniósł się na łokciu, by ją lepiej widzieć; palcami wodził po jej pełnych i jędrnych piersiach.

– Ale skoro już jesteśmy przy koniach, czy to nie ty wspominałaś, że znasz Rossa Colemana z River Bend?

– Tak, a bo co?

– Słyszałem trochę plotek. Ma chyba córkę?

– Tak, właśnie wyszła za mąż.

– Miała wyjść za mąż – sprostował Dub. – Ślub został przerwany przez jakiegoś bimbrownika. Przywlókł do kościoła swą ciężarną córkę i twierdził, że pan młody jest ojcem jej dziecka.

– Nie! – zawołała Priscilla; z błyszczącymi oczami starała się wyobrazić sobie tę scenę.

– Opowieść o tym wydarzeniu krąży po całej okolicy. Jeden z moich klientów był zaproszony na to wesele i wszystko mi opowiedział. Nie miał żadnego powodu, by kłamać.

– Jak to się stało?

Zapoznał ją z faktami.

– A ten Brady czy Grady Sheldon, za którego miała wyjść panna Coleman, został zmuszony do małżeństwa z córką bimbrownika – zakończył opowieść.

– Co zrobili Colemanowie?

– Pojechali spokojnie do domu w otoczeniu krewnych i kowbojów z farmy.

Jake Langston – pomyślała Priscilla.

Na myśl o tym, że on spokojnie odpoczywa w gronie rodziny, poczuła gniew. Zaraz jednak pocieszyła się świadomością, że córka Lydii ma takie kłopoty.

– Dziękuję, żeś mi to powiedział. – Przesunęła rękami po jego ciele.

– Dziewczyno, chcesz mnie wykończyć? – wykrztusił, gdy jej dłonie nie zaprzestawały wędrówki.

– Nie lubisz tego?

Podobało mu się do tego stopnia, że nie potrzebowała dużo czasu, by go rozbudzić na nowo. Tym razem był nienasycony jak nigdy przedtem. Wszedł w nią gwałtownie, pełen energii i siły. Za każdym razem za sprawą Priscilli stawał się namiętnym kochankiem. Jego żona, pruderyjna i przyzwoita, nie domyślała się nawet istnienia rozmaitych fantazji erotycznych, jakie były udziałem męża i Priscilli.

Pani Abernathy nigdy nie dała mu rozkoszy, więc szukał jej w związkach z innymi kobietami. Czy nie zasługiwał na chwile przyjemności, skoro tak ciężko pracował?

Już podawała mu płaszcz, kiedy zaczął:

– Kochanie, muszę cię przed czymś przestrzec.

– Przed czym?

– Ruch Kobiet organizuje akcję mającą na celu wyrzucenie z miasta Ogrodu Edenu.

Priscilla wzięła do ręki szczotkę i spokojnie rozczesywała włosy.

– Już kilka razy próbowali to zrobić. Nic nigdy z tego nie wyszło.

– Obawiam się, że teraz może być inaczej. – Dub wyglądał na zmartwionego. – Pozyskali bardzo konserwatywnego kaznodzieję, specjalistę od rzucania klątw i straszenia ogniem piekielnym.

Odłożyła szczotkę i spojrzała na niego z dezaprobatą.

– Zdaje się, że twoim zadaniem jest ograniczenie tutaj jego wpływów?

Wzruszył ramionami.

– Bardzo się starałem, niestety przegłosowano mnie.

Położył ręce na jej ramionach.

– Ten gość jest fanatykiem, ale ma duże poparcie. Ludzie trzymają jego stronę.

– Może farmerzy i ciemni…

– Nie – przerwał jej. – Właśnie ci na górze.

Odsunęła się od niego i zaczęła krążyć po pokoju.

– Przecież, do cholery, przynosimy korzyść całemu społeczeństwu. Jeśli nas stąd wyrzucą, odczuje to całe miasto. Kowboje nie będą mieli gdzie wydać zarobionych pieniędzy. Bary nie są jedynymi miejscami, z których płyną pieniądze do kasy miejskiej. To my wprowadzamy w ruch interesy tego miasta.

Chwyciła wachlarz, rozwinęła go i odrzuciła. Była wściekła i wcale nie kryła tego.

– Modlą się, wrzeszczą, złorzeczą nam, ale wiadomo od lat, że to tylko na pokaz. W rzeczywistości potrzebują nas.

Dub był zniecierpliwiony.

– Tak było przedtem; zrozum, że bez kowbojów miasto też może się rozwijać. Sprowadza się tu coraz więcej rodzin. Chcą z tego miasta uczynić bezpieczne miejsce dla spokojnych ludzi.

Priscilla warknęła coś, ale Dub nie zwrócił na to uwagi.

– Fort Worth przestał już być miejscem kowbojskich zabaw, gdzie przy pokerze, często z szulerami, w jedną noc przegrywano tygodniówki, miejscem pijaństwa i siedliskiem chorób wenerycznych.

– No to zrób coś, Dub. Uspokój ich. Wykonaj jakiś ruch, żeby ich powstrzymać. Pamiętasz te pikiety poprzedniego roku? Niemal każdy z uczestników był moim klientem. Zorganizowali protest, aby uśpić podejrzliwość żon. To zadziałało. I teraz też zadziała.

Nie miał zamiaru jej rozzłościć, lecz wiedział, że dni Ogrodu Edenu są policzone. Priscilla i tak pozostanie bogatą kobietą. Miała kilka inwestycji zapewniających jej stałe wysokie dochody do końca życia. Dub jednak wiedział, że nade wszystko ceni ona sobie opinię najlepszej i najbardziej znanej „mamy" w całym stanie. To była sprawa jej dumy zawodowej. Tego tytułu bez walki nie odda nikomu.

Podszedł do niej, pocałował ją w policzek i poklepał po plecach.

– Naprawdę nie chciałem cię martwić. Wspomniałem o tym tylko dlatego, żebyś wiedziała, co się święci. W pewnym momencie może dojść do wrzenia.

– I zaraz się uspokoi; jak zwykle zresztą.

Włożyła ręce pod płaszcz i przylgnęła do Duba.

– Tak długo, jak mam przyjaciół u swego boku, jestem bezpieczna, nieprawdaż?

– Zgadza się. – Pocałował ją i szybko wyszedł, by nie zauważyła, że nie jest szczery.

Po jego wyjściu Priscilla długo siedziała bez ruchu i rozmyślała nad swoją przyszłością.

Nie chciała tracić kontroli nad rozwojem wypadków.

Rozdział 8

Pierwsze dwa tygodnie przeżyli bez większych kłótni. Biorąc pod uwagę ich wybuchowe charaktery oraz niepowściągliwe języki, był to wyczyn. Banner w duchu podziwiała Jake'a i siebie za to osiągnięcie. O tym właśnie rozmyślała, jadąc wozem po nierównym polu.

Było południe. Słońce grzało niemiłosiernie. Jake i pozostali trzej kowboje ogradzali drutem kolczastym pastwisko. Banner, znudzona samotnym siedzeniem w domu, przygotowała garnek picia i wraz z koszykiem kanapek wiozła w miejsce, gdzie pracowali.

Jej dotychczasowe starania nie znalazły uznania w oczach Jake'a. Często spoglądał na nią nieprzyjaźnie. Prawie zawsze widziała niezadowolenie w jego oczach. Od momentu, kiedy zakazał jej nosić spodnie, robiła mu na złość i wkładała je codziennie, nawet wieczorami, kiedy przychodził na kolację.

Jakiś duch przekory kazał jej nieustannie go prowokować. Dlaczego – nie miała pojęcia. Chodził nachmurzony, gotowy w każdej chwili wybuchnąć. Była na to przygotowana, zresztą nie mogła dłużej znosić tej napiętej, nieprzyjaznej atmosfery. Lepiej wszystko sobie wyjaśnić aniżeli żyć w ciągłym stresie.

Mocno trzymała lejce, bo jazda po wertepach nie była łatwa ani przyjemna. Wóz rzucał na kamieniach oraz wystających korzeniach i trzeba było uważać na zęby. Znacznie wygodniejsza byłaby jazda na koniu, lecz wtedy nie mogłaby zabrać kanapek i napoju, które służyły jej za pretekst do przyjazdu. Tylko w ten sposób mogła złamać zakaz Jake'a.

Chciała pracować przy stawianiu ogrodzenia, ale Jake stanowczo się temu sprzeciwił.

– To ciężka robota.

– Jestem przyzwyczajona do pracy.

– Ale nie tego rodzaju.

– Do każdej.

– To jest niebezpieczne. Łatwo można się zranić.

– Będę uważać.

– Nie ma mowy. Zajmij się domem, a nam pozwól wykonywać nasze obowiązki.

Spojrzała na niego niechętnie.

– Znam się na tej robocie, przecież wychowałam się wśród koni. Praca w domu mnie nudzi, zresztą z wszystkim zdążę się uporać do dziesiątej, a co dalej?

– Pojeźdź sobie na Dusty.

– Gdzie? Po podwórku? Zabroniłeś mi wyjeżdżać poza obejście.

– To sobie wymyśl jakieś zajęcie, tylko trzymaj się z dala ode mnie i kowbojów! – powiedział, co miał do powiedzenia, i odszedł, w ogóle nie słuchając jej argumentów.

Nie! Dzisiaj nie zostanie w domu. Pierwszy dzień, kiedy w powietrzu czuło się prawdziwe lato, chciała spędzić inaczej niż w czterech ścianach.

Zatrzymała wóz w cieniu drzewa na skraju łąki przechodzącej w las. Na jej widok wszyscy kowboje przerwali pracę i wierzchem dłoni ocierali spocone czoła. Ostra reakcja Jake'a spowodowała, że natychmiast zabrali się znów do roboty.

Zeskoczyła z wozu, wzięła dzbanek i koszyk; ostatni kawałek drogi musiała przejść pieszo.

– Zasłużyliście na odpoczynek – zawołała pogodnie. Jej wesołość była rozmyślnie skierowana przeciwko piorunującym spojrzeniom Jake'a. Zupełnie go ignorowała, zwracając się jedynie do pozostałych. – Jest tu picie i coś do jedzenia...

– To mi wygląda na prawdziwy piknik – zawołał Randy; zdjął kapelusz i ukłonił się.

Chichot Banner był dla Jake'a jak drzazgi wbijane pod paznokcie.

Tylko tego mi trzeba – myślał. – Na dodatek znów włożyła te przeklęte portki.

Nienawidził tych spodni.

A właściwie – nie. Bardzo mu się podobały, innym – również, i na to nie mógł pozwolić. Wiedział, że włożyła je z czystej przekory, czym wzburzyła go jeszcze bardziej.

– To bardzo ładnie z twojej strony. – Twarz Jima zniekształcił grymas wcale nieprzypominający uśmiechu. Pete nie rzekł słowa, natomiast z aprobatą spoglądał na koszyk.

Mężczyźni zabrali się do jedzenia. Wymieniali z Banner wesołe uwagi, jakby uczestniczyli w niedzielnej wycieczce. Żaden z nich nie uznał nawet za stosowne spytać Jake'a, czy wolno im zrobić przerwę. Był tu rządcą, to prawda, lecz ranczo należało do panny Coleman. Nie skomentował więc jej swobodnego i nieobliczalnego zachowania ani tego, że naraża jego autorytet. Odwrócił się i poszedł sam rozciągać drut do następnego słupa.

– A ty, Jake, nie zjesz kanapki?

Jej włosy błyszczały w promieniach słońca jak skrzydła kruka. Niesforne pukle wymykające się spinkom miała rozpuszczone i ledwie mógł dojrzeć jej oczy przez grzywę włosów nad czołem.

Nie! Niczego od niej nie chciał prócz pocałunków i dotyku tych kapryśnych ust...

– Nie, dziękuję.

– Jak sobie życzysz.

Odwróciła się do niego plecami i całą uwagę poświęciła Randy'emu, którego głos nagle stał się miękki, niemal aksamitny.

Ten kowboj potrafił ją rozśmieszyć, potrafił sprawić, że rozbawiona odrzucała w tył głowę, a wraz z nią – bujną chmurę włosów. W tym ruchu odsłaniała szyję i dekolt. Może mu się tylko zdawało, a może dzisiaj jej piersi jeszcze szczelniej niż zwykle wypełniały koszulę...

Wziął do ręki młotek, wbił gwóźdź do połowy, naciągnął drut i wbił gwóźdź do końca. Praca przyniosła mu chwilową ulgę. Dobry nastrój minął

bezpowrotnie, kiedy usłyszał, jak Banner prosi Randy'ego, by opowiedział swe wrażenia z rodeo.

Jake wielokrotnie zdobywał liczne nagrody w rodeach. Czy kiedykolwiek okazała zainteresowanie tym faktem? Nigdy.

Jakby jej było mało, wymyśliła konkurs rzucania lassem. Naturalnie Randy rzucał bezbłędnie. Banner podeszła do niego i z zachwytem położyła mu rękę na ramieniu. Tego już Jake nie wytrzymał.

– Koniec przyjęcia! – warknął.

Ścisnął w ręku młotek gotów uderzyć, gdyby ktoś próbował mu się sprzeciwić. Podwładni przestraszyli się jego lodowatego spojrzenia, które onieśmielało wielu odważniejszych od nich kowbojów.

Jim i Pete podziękowali Banner i szybko odeszli do swej roboty. Wiedzieli, że w tych sprawach nie ma z Jake'em żartów. Był uczciwym rządcą. Nie wymagał od nich więcej niż od siebie. Wiedzieli również, że tam, gdzie w grę wchodzi dziewczyna Colemanów, był niebezpieczny, prawie szalony.

Randy nie był taki domyślny.

– Pozwól odnieść te rzeczy do wozu, Banner.

– Bardzo proszę. Dziękuję, Randy.

Od kiedy to mówią sobie po imieniu? – zdziwił się Jake.

Nie mógł tego zabronić, gdyż zrobiłby z siebie durnia. Zgrzytnął jedynie zębami, kiedy Banner uśmiechnęła się i rzekła protekcjonalnie:

– Robisz tu dobrą robotę, Jake. – Jakby miała przed sobą zwykłego robotnika.

Obserwował, jak idzie z Randym, rozpromieniona i ożywiona. Ten widok wyprowadził go z równowagi. Ross powierzył mu swą córkę w nadziei, że potrafi ją uchronić przed tego rodzaju zachowaniem.

No tak, ale jak on, do cholery, ma to zrobić, skoro dziewczyna wykorzystuje każdy moment i wszystkie swe wdzięki, by usidlić tego kowboja?

Banner w ogóle nie zależało na rozmowie z Randym. Spoglądała z uśmiechem na jego twarz, ale cały czas miała w oczach Jake'a, jego zimny

i pełen nienawiści wzrok. Czyżby nią rzeczywiście gardził?

Doszła z Randym do wozu. Ustawił dzbanek i koszyk w tyle skrzyni. Właśnie miała już wsiadać, kiedy Randy zawołał:

– Moment, stać!

– Co jest?

– Masz gąsienicę na kołnierzu. Pewnie spadła z drzewa.

Przeraziła się i zaczęła krzyczeć.

– Gdzie? Zabierz ją! Pospiesz się!

– Czekaj! Uspokój się! Stój cicho! O, cholera, wpadła za kołnierz!

Piszczała histerycznie i kręciła się w kółko.

– Wyciągnij! Czuję ją! Pospiesz się!

– No dobrze. Ale uspokój się! Stań na sekundę.

Jedną ręką chwycił ja wpół, a drugą zaczął wsuwać pod koszulę na plecach.

– Och, Randy, nie...

– Już! Nie wierć się!

– Randy, proszę cię!

– Zostaw ją! – Słowa były tak twarde i zimne jak lufa rewolweru skierowanego w stronę Randy'ego.

Oboje zamarli, zamknięci w dziwacznym uścisku. Z przerażeniem wpatrywali się w Jake'a, który błyskawicznie przybiegł na pierwszy krzyk Banner i teraz stał parę kroków od nich z rewolwerem w ręku.

– Powiedziałem: zabierz te łapy! – powtórzył przez zaciśnięte zęby.

Randy oblizał wargi.

– Schowaj broń, Jake.

– Odejdź od niej.

Randy poruszał się bardzo powoli. Nie chciał, aby stojący tuż obok facet z bronią gotową do strzału źle zrozumiał jakikolwiek jego ruch. Najpierw cofnął rękę z bioder Banner, potem wolno wyciągnął drugą zza kołnierza jej koszuli, w końcu odsunął się od dziewczyny. Przestrzeń między nimi powiększyła się bezpiecznie. Banner miała strach w oczach.

Randy otworzył zamkniętą dłoń i Jake mógł zobaczyć, co trzyma: włochata gąsienica pełzła po jego ręce.

– Chciałem tylko zdjąć to z niej… – Potrząsnął ręką i robak spadł na ziemię.

Jake zapatrzył się w tę otwartą dłoń. W innych okolicznościach pewnie by się roześmiał, zażartował, że chciał strzelać do robaczka. W tej chwili był zbyt poruszony widokiem obcej męskiej ręki dotykającej Banner, żeby uznać sytuację za śmieszną. Schował broń i skinął głową w kierunku Jima i Pete'a. Uśmiechali się gorzko i zdawali się myśleć: jakich idiotów potrafią zrobić z siebie mężczyźni, kiedy w polu widzenia pojawi się spódniczka.

– Masz robotę – mruknął Jake i to wystarczyło Randy'emu. Skinął głową Banner, nałożył kapelusz i już go nie było.

– Wsiadaj na wóz – zwrócił się Jake do dziewczyny.

Czuła się upokorzona oraz wściekła i nie chciała wdawać się z nim w dyskusję. Wskoczyła na siedzenie, chwyciła lejce, uderzyła nimi po końskim zadzie i ruszyła z miejsca.

Jake zagwizdał przez zęby i Stormy pojawił się przy nim. Jechał obok wozu. Ona nie raczyła na niego spojrzeć ani się odezwać.

Wjechali na podwórze i po zejściu z wozu Banner uwiązała konia przed głównym wejściem. Jake zeskoczył z siodła i ruszył za nią. Dogonił ją, kiedy otwierała frontowe drzwi. Chwycił ją za pasek od spodni i zmusił do zatrzymania.

– Chcę z tobą porozmawiać.

Obróciła się do niego tak wzburzona, jakiej jej jeszcze nie widział.

– Ale ja nie chcę! A przynajmniej do czasu, dopóki się nie uspokoję, bo mogłabym ci powiedzieć coś nieprzyjemnego.

– Na przykład? – spytał, ledwo panując nad sobą.

– A chociażby to, że jesteś nieokrzesanym tyranem narzucającym wszystkim swą wolę, wybuchowym, humorzastym…

– Ja? Ja jestem humorzasty?

– Tak, ty!

– Twoje humory, panno Coleman, też pozostawiają dużo do życzenia.

– Ja miałam powody, by stracić dobry nastrój. I to niejednokrotnie. Cokolwiek zrobię, zawsze masz coś przeciwko temu. Nie podoba ci się moje ubranie, moje włosy, wszystko. Jesteś ponury, gdy przychodzisz na śniadanie czy kolację. Nie mogę już znieść, gdy podczas jedzenia gapisz się w talerz i wcale się nie odzywasz.

– Czy jeszcze coś?

– Tak. Uprzejmie cię proszę, byś trzymał się z dala od moich osobistych spraw. – Odwróciła się na pięcie, otworzyła drzwi i próbowała je za sobą zatrzasnąć; nie udało się – odbiły się od buta Jake'a.

– Bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie, nie pozwolę komuś takiemu jak Randy obłapiać cię w mojej obecności. Obiecałem Rossowi...

– Obłapiać mnie?! Zdejmował mi z kołnierza gąsienicę!...

– I potrzebował na to tak dużo czasu? – krzyknął. – W takim razie dlaczego wrzeszczałaś?

– Przestraszyłam się.

– I to mnie przeraziło. Nie wiedziałem przecież, co on robi.

– To już moja sprawa. Mogłeś nic nie myśleć.

– A jeśli w środku nocy zaczniesz krzyczeć, to co? Mam się obrócić na drugi bok i spać spokojnie dalej? Nie zastanawiać się nad tym, czy przypadkiem nie potrzebujesz pomocy?

Patrzyła na niego z politowaniem.

– Przecież miałam gąsienicę na karku.

– I z tego powodu wrzeszczałaś? Pamiętam, jak niedawno bawiłaś się gąsienicami, myszami i Bóg jeden wie, jakim innym robactwem. Wtedy nie byłaś przestraszona.

Ze wszystkich sił starała się opanować: oddychała głęboko, liczyła do dziesięciu, zaciskała i otwierała dłonie. Trochę pomogło, ale Jake ciągle był wściekły. Wpatrywał się w rozchylone zapięcie jej koszuli.

– Zmieniłam się od tamtego czasu.

Wiedział to równie dobrze jak ona sama.

– Jak jeszcze raz będziesz miała jakiegoś robaka na karku, zawołaj mnie, ja ci go zdejmę.

– A co to za różnica, czy zrobisz to ty, czy któryś z nich?

– Bo ja nie oblizuję się za każdym razem, kiedy cię widzę. Teraz wiesz?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– To śmieszne. Oni tego nie robią.

– Nie? – Wyciągnął w jej kierunku palec. – Ostrzegałem cię przed noszeniem tych obcisłych portek i paradowaniem w nich.

– Paradowaniem?! – krzyknęła i odepchnęła jego rękę.

– Właśnie! – Zdjął robocze skórzane rękawice i rzucił je na podłogę. To samo zrobił z kapeluszem.

– Stąpasz przed nimi jak królowa i wabisz ich…

– Nigdy nie stąpam – wypowiedziała z naciskiem to słowo. – Nigdy nikogo nie wabię.

– Robisz to diablo dobrze!

– Noszę spodnie, bo to najwygodniejszy i najpraktyczniejszy ubiór na ranczo. I to jest jedyny powód…

– A nie daje ci zadowolenia myśl, że ci trzej mężczyźni mogą cię pragnąć? – spytał, zniżywszy głos do szeptu.

Odskoczyła, jakby chciał ją uderzyć. Taką miał o niej opinię? Czy myślał, że od czasu, kiedy bez wstydu prosiła go, by się z nią kochał, mogłaby to zrobić z innym mężczyzną?

– Nie! – krzyknęła przez łzy.

– Nie?

– Nie!

– W takim razie zmień lepiej swoje zwyczaje i zacznij się zachowywać jak dama. Następnym razem może mnie nie być pod ręką, by powstrzymać Randy'ego od spełnienia twojej prośby.

– O co mogłabym go prosić?

– O to!

Wyciągnął rękę i gwałtownie przyciągnął ją do siebie. Jego usta natychmiast odnalazły jej wargi, lecz były okrutne i bezwzględne. Uczucia dotąd skrywane i usilnie maskowane – wybuchły. Nie jako gniew, jako namiętność.

Zanurzył ręce w jej włosy, palcami przeczesywał bujne loki. Znowu ją całował, lecz tym razem władczy język zmusił ją do rozchylenia warg.

Jej pierwszą reakcją był gniew, potem – zaskoczenie i zdziwienie. Jak powinna zareagować? Walczyć z nim i w ten sposób przekonywać go, że nie łaknie męskich pieszczot? Czy poddać się? Poddać się słodkiemu zniewoleniu?...

To jest właśnie to, czego pragnęła najbardziej: utonąć w jego zaborczych objęciach, czuć smak jego pocałunków, rozkoszować się doznaniami ciała.

Wybór należał do niej. Objęła Jake'a ramionami, kładąc dłonie na jego plecach. Każdym palcem mogła wyczuć drżenie jego ciała.

Jake jęknął z rozkoszy, a jego język, teraz delikatny i czuły, sięgał w głąb jej ust. Jedną ręką gładził szczupłe plecy Banner, a drugą otoczył jej talię. Jego dłonie głaskały jej biodra. Jeszcze mocniej przyciągnął ją do siebie.

Banner poczuła jego twardą męskość, ale tym razem nie odpychała go, nie była zawstydzona. Zatraciła się w pocałunkach, jakby nigdy więcej nie miała ich zaznać. Przesuwała palcami po jego plecach, rozbudzając jego ciało. Jeszcze przed chwilą kipiał gniewem, a teraz jej pożąda. Myśl o zbliżeniu z nią wprost go opętała.

Jej usta smakowały lepiej, niż to zapamiętał. Raz po raz jego język zgłębiał ich cudowną tajemnicę. Jej piersi nabrzmiały tak, że dokładnie czuł ich kształt. Tak, tak pamiętał ich słodki ciężar: idealnie mieściły się w jego dłoniach. Pamiętał również, że delikatny materiał jej nocnej koszuli ślizgał się po nich, jak gdyby je masował. Gdy jego palce dotknęły wówczas naprężonych sutek, piersi zadrżały, boleśnie rozbudzone, wrażliwe.

Wtedy nie ośmielił się zdjąć z niej koszuli, nie widział ich, nie pieścił tak, jak by chciał. Mógł tylko wyobrazić sobie, jak jego język drażni je leciutko. Czy to by się jej podobało? Czy nie miałaby nic przeciwko takim pieszczotom?

Przylgnął biodrami do jej ciała. Boże, wiele dałby, żeby zagłębić się ponownie w jej aksamitnym, wilgotnym wnętrzu.

Z jękiem oderwał się od jej ust i odnalazł miękką skórę szyi, gdzie pulsowało echo bijącego serca. Modlił się, by wspomnienia znikły, by mógł

znaleźć w sobie tyle siły, aby uwolnić się od niej.

Szczególnie żywa była w jego pamięci chwila zespolenia. Było mu przykro z powodu bólu, jakiego Banner doświadczyła, ale nawet to nie pomniejszyło wrażenia ekstazy. Ona była jak wymarzona dla niego. Nigdy nie miał kobiety, która by tak do niego pasowała.

Zawahał się, nie wiedząc, czy kontynuować pieszczoty. Może byłaby zadowolona, gdyby przestał?

Nie, żadna siła na ziemi ani w niebie nie zmusi go, żeby ją w tej chwili zostawił. Zaczął się poruszać powoli, świadomy jej bliskości. Czuł, że jest spięta. Po chwili, oswoiwszy się z jego ciałem, odprężyła się. Miłe wspomnienia spowodowały, że ogarnęło go podniecenie. Poczuł słodycz rozlewającą się po całym ciele.

Zacisnął zęby, usiłując przezwyciężyć żądzę. W końcu odepchnął dziewczynę od siebie i odwrócił się. Oddychał ciężko, ale poczuł się lepiej. Rzucił jej spojrzenie przez ramię i zauważył zdziwienie na bladej twarzy. Boże, na pewno ją przestraszył. Pchnął drzwi i wyszedł z domu.

*

Wdrapała się na stary orzech rosnący u wejścia na podwórze. W takiej wspinaczce zawsze była dobra; ani Lee, ani Micah nie potrafili jej w tym dorównać. Teraz nie chodziło o pobicie rekordu wysokości; w gałęziach drzewa, zawieszona między niebem a ziemią, chciała zastanowić się nad sobą. Tu mogła jasno myśleć, jakby problemy i kłopoty pozostały gdzieś bliżej ziemi...

Popołudnie wlokło się leniwie. W domu nie mogła już wysiedzieć. Była przygnębiona, przerażona, rozstrojona. Wszystkie jej problemy miały jedno źródło: Jake Langston.

Co z nim począć?

Był cząstką jej życia i wiedziała o tym doskonale. Ta feralna noc wydarzyła się naprawdę. Życzenie, by o niej zapomnieć, a tym bardziej próby udawania, że jej nie było – nie miały sensu. Ta noc na zawsze

zmieniła ich wzajemne stosunki. Nie ma powrotu do tego, co było przedtem. Z tym faktem już się pogodziła, jednak nie mogła pogodzić się z teraźniejszością. Tak dalej żyć nie mogą. Oboje są zbyt uparci, zbyt nieustępliwi, mają podobne charaktery. Poza tym czują się winni wobec siebie, a to nie wpływa pozytywnie na ich wzajemny związek. W takiej atmosferze farma Plum Creek nie miała żadnych widoków na przyszłość.

Ta nazwa będzie obowiązywać, obojętnie, czy mu się to podoba, czy nie.

Uśmiechnęła się. To rzeczywiście śmieszne, że sprzecza się z nim nawet wtedy, kiedy nie ma go w pobliżu. Uśmiech jednak zaraz znikł z jej twarzy. Po tych pocałunkach przybyło jej powodów do zmartwień.

Doznała przyjemności. Dużej przyjemności, znacznie większej, niż powinna, toteż trudno się było spodziewać, że szybko o tym zapomni.

Jak do tego doszło? W jednej chwili krzyczy na nią, i to z taką złością, jakby zaraz miał jej skręcić kark; w następnej – trzyma ją w objęciach, z których nie ma ucieczki. Całuje ją i sprawia, że czuje się bezwolna i całkowicie mu oddana.

Co się z nią dzieje, kiedy Jake jej dotyka? Co powoduje wybuch uczuć, których do tej pory nie znała, które zmieniają ją nie do poznania?

Oparła policzek o chropowatą korę. Machinalnie oskubywała gałązki z liści, rzucała je i brała następne.

Nie powinna zaprzątać sobie nim głowy. Myśli o nim były nazbyt śmiałe i nie do przyjęcia, ale ostatnimi czasy dużo takich właśnie rzeczy zdarzyło się w jej życiu. Zwłaszcza jedna myśl nie dawała jej spokoju.

Ona i Jake mogliby się p o b r a ć.

Powiedziała to głośno i, o dziwo, świat się nie zawalił, piorun w nią nie trafił. Ziemia też się nie rozstąpiła i nie pochłonęła jej.

Dlaczego więc ta myśl miałaby być aż tak niedorzeczna? Przecież była sensowna.

Ona potrzebowała Jake'a do prowadzenia rancza, z kolei on potrzebował takiego zajęcia. Farma zapewniała mu trwałą przyszłość. Przez lata włóczył się po prerii, marnując młodość i talent, w pogoni za czymś, co było

nieosiągalne. Podobna okazja nigdy się nie powtórzy. Dlaczego jej nie wykorzystać?

Było jasne, że nie jest związany z inną kobietą. Banner wiedziała, kogo on naprawdę kocha. Ale Lydia była nieosiągalna i tak już pozostanie. Dlatego tęsknił za kobietą. Potrzebował kobiety. Jeżeli dzisiejsze pocałunki i tamta noc w stajni były jakąś wskazówką, to Jake powinien wiedzieć, że Banner nic nie brakuje. W małżeńskim łożu z całą pewnością nie mieliby kłopotów. O tym była przekonana, poza tym oboje bardzo chcieli mieć dzieci.

Myśl o nocach z Jake'em rozpaliła jej ciało. W porządku, była podekscytowana, ale czy musiała się tego wstydzić? Rodzice nieraz jej mówili, że nie ma czego, jednak zaraz zaznaczali, że miłość zmysłowa możliwa jest tylko w małżeństwie.

Byłoby głupotą udawać, że jego pocałunki nie sprawiały jej przyjemności. Wcale nie chciała, aby przestał. Gdyby zaprowadził ją do sypialni, poszłaby z nim chętnie. Nie miało sensu przekonywanie siebie, że nie chce tego, skoro rzeczywistość okazała się inna, nawet wbrew naukom o moralności, jakich wysłuchiwała niemal od kołyski.

Instynktownie czuła, że czegoś tamtej nocy nie przeżyła do końca. Nieustannie zastanawiała się, co powodowało, że jego ciało drżało gwałtownie, a on sam był szczęśliwy, mimo że ledwie mógł się ruszać. Natomiast ona została rozpalona, niespokojna, pragnąca czegoś, czego nie potrafiłaby określić. Już choćby z tego względu powinna dzisiaj zaprowadzić Jake'a do sypialni, aby odkryć, o co tu chodzi.

Nie była w nim zakochana. Chociaż? Nie był tym, którego w pierwszym odruchu serca wybrałaby na swego męża, ale przecież zawsze kochała go w pewien sposób. Obecnie borykała się z zachodzącą w jej sercu wyraźną zmianą uczuć oraz z poczuciem samotności.

Do samotności nie potrafiła się przyzwyczaić. Co wieczór, kiedy Jake szedł do siebie, zostawiając ją samą w domu, pogrążała się w rozpaczy. Wyobrażała sobie, że siedzi z nią w pokoju, pali swoje cygaro, a ona ceruje

mu koszulę. Owszem, obrazek był banalny, ale odzwierciedlał jej ogromną tęsknotę za bliskością mężczyzny.

On był równie samotny jak ona.

Wiedziała, że ma słabe punkty, co od razu wyczuwali mężczyźni. Jeśli nie Randy próbowałby ją uwieść – o czym wiedziała, choć mówiła Jake'owi coś odmiennego – to byłby to ktoś inny.

W końcu, zmęczona samotnością, mogła ulec pierwszej z brzegu pokusie, lecz żaden mężczyzna nie dbałby tak o jej opinię jak Jake. Pewnie każdy inny nie omieszkałby się tym pochwalić, co skończyłoby się tragicznie: Ross zastrzeliłby z miejsca każdego, kto by się na coś takiego poważył. Ona zaś byłaby wszystkiemu winna.

Jeśli miałaby szczęście, wypadki mogłyby potoczyć się inaczej: może spotkać kogoś, kogo pokocha i wyjdzie za niego. Ale natychmiast się wyda, że nie jest dziewicą; takie odkrycie może mieć zgubne skutki.

Nie, nie może poślubić nikogo innego.

Bała się jeszcze jednego: ciągłe kłótnie mogą przyczynić się do odejścia Jake'a. A wtedy nie pozostałoby jej nic innego, jak błagać go, by nie odchodził.

Takiej myśli nie mogła znieść!

W takim razie, jaki miała wybór, skoro nie chciała wymazać go ze swego życia, a jednocześnie żyli ze sobą jak pies z kotem?

Zsunęła się na najniższy konar i zeskoczyła na ziemię. Wytarła ręce o spodnie. Rozejrzała się dokoła, czy nikogo nie ma, i powiedziała głośno:

– Muszę zrobić wszystko, by Jake się ze mną ożenił.

Nie może sama z taką propozycją wystąpić, gdyż odniosłoby to zupełnie odwrotny skutek.

To musi wyjść od niego. Jeżeli zacznie zachowywać się trochę jak żona, to taka zmiana może mu przypadnie do gustu. Musi tylko panować nad sobą, być uległą i przystępną, jak tego oczekują mężczyźni od dam. Przynajmniej od tych dam, z którymi się żenią.

Nie chciała zdać się na los. Nie wierzyła w przeznaczenie. Jeśli się czegoś mocno pragnie, to trzeba starać się to zdobyć.

Przygnębienie minęło i Banner z energią zabrała się do urzeczywistniania swego planu. Na początek przygotowała wspaniałą kolację, potem wykąpała się. Wszystko musi być gotowe na jego przybycie. O zachodzie słońca pewno wróci, zanim kowboje wyjadą do River Bend.

Kiedy Jake wjeżdżał wozem na podwórze, Banner wyszła do niego frontowymi drzwiami. Światło lampy padające z okna utworzyło aureolę nad jej głową. Włosy związała w koński ogon; tylko kilka pasemek opadało swobodnie na policzki i szyję.

– Cześć, Jake – odezwała się uprzejmie.

– Cześć.

– Załatwiłeś sprawunki? Dostałeś wszystko, co chciałeś?

– Ta-ak, a miałem dość długą listę.

Zeskoczył z wozu. Nie mogła dojrzeć jego oczu, więc podeszła bliżej. Jeśli zauważył, że ubrała się w sukienkę zamiast w znienawidzone przez niego spodnie, to nie dał tego po sobie poznać.

– Nie musisz chyba rozładowywać tego dzisiaj, co?

– Powinienem.

Wreszcie podniósł na nią oczy. Mogłaby przysiąc, że rozszerzyły się w przyjemnym zaskoczeniu, ale mogła to być równie dobrze gra światła w zapadającym zmierzchu.

– To może później? Mam akurat gorącą kolację...

– Mówiłem ci, żebyś na mnie nie czekała – rzekł sucho.

Słysząc ten ton, już chciała wybuchnąć, ale zapanowała nad sobą. Po chwili spytała:

– Jadłeś coś w mieście?

Wzruszył ramionami.

– Owszem.

– Ale może masz ochotę na stek z ziemniakami?

Wyprostował się i włożył kciuk za pasek spodni.

– Jeszcze trochę miejsca zostało.

– To chodź.

Odwróciła się do niego plecami i bardzo powoli ruszyła w kierunku drzwi. Dopiero kiedy usłyszała za sobą cichutki brzęk ostróg, pozwoliła sobie na westchnienie ulgi.

Rozdział 9

Jake szedł za Banner do jadalni i czuł się jak skazaniec, któremu właśnie wstrzymano egzekucję. Wydawała się dość spokojna, ale on już nie ufał jej nastrojom. Raz wmieszał się w jej sprawy i zaraz dostał dobrą nauczkę. Jeśli chciała flirtować z Randym, czy miał prawo jej zabronić?

Później całował ją bez opamiętania... Co go opętało? Był na nią wściekły, ale wyładował swą złość w niewłaściwej formie. Nie powinien się zdziwić, gdyby przy wjeździe na podwórze powitała go ogniem z rewolweru. Zamiast tego traktowała go jak księcia wracającego na zamek.

– Powieś kapelusz na wieszaku. Pas z rewolwerem też. Dzisiaj nie będziesz go potrzebował.

– Jeśli chodzi o dzisiejsze południe...

– Nie mówmy o tym, dobrze?

– Pozwól, że przeproszę...

– Jeśli już musisz, to przeproś Randy'ego. Nie zrobił niczego takiego, żebyś musiał sięgać po broń.

– Jutro to zrobię. Nie wiem, co mnie ugryzło. – Rozłożył bezradnie ręce. – Może dlatego, że Ross nakazał mi pilnować cię i ochraniać? Jak tylko usłyszałem twój krzyk...

– Rozumiem.

– I te inne rzeczy...

– Przykro ci, że mnie całowałeś?

Całą swą uwagę skupił na jej twarzy. W świetle lampy naftowej nabrała złocistego, matowego poblasku. Szeroko otwarte oczy wyrażały pytanie i oczekiwały na odpowiedź. Wilgotne wargi drżały nieznacznie, jakby je dopiero przestał całować.

Odpowiedź mogła być tylko jedna: nie. Ale bał się powiedzieć to na głos, więc nie rzekł ani słowa.

Przerwała to kłopotliwe milczenie:

– Chodźmy do kuchni – zaproponowała.

– Jeszcze się nie umyłem.

– Możesz tutaj to zrobić. Mam nawet ciepłą wodę.

Odwróciła się, szeleszcząc długą suknią. To była bawełniana, szeroka, prosta suknia, ale na niej nic nie wyglądało zwyczajnie. Była koloru zielonego, ozdobiona czarną koronką. Nawet fartuch ją zdobił swymi szarfami zawiązanymi z tyłu w dużą kokardę.

– Możesz się umyć, a ja tymczasem podam kolację.

Skinął głową bez słowa.

Na środku stołu stał wazonik z polnymi kwiatami. Dla Jake'a, przyzwyczajonego do jedzenia wszystkiego łyżką z cynowego talerza, tak nakryty stół był czymś nadzwyczajnym. Zapachy dochodzące z kuchni obiecywały rozkosze podniebienia. Knot naftowej lampy był przykręcony i w pomieszczeniu panował intymny półmrok.

Gdyby nie znał jej tak dobrze, mógłby pomyśleć, że dzieje się z nią coś dziwnego.

– Smażyłam ten stek dość długo na wolnym ogniu, z cebulą, by nabrał aromatu – powiedziała, stojąc przy piecu.

Rozpiął guziki przy rękawach koszuli i podwinął je.

– Pachnie wspaniale – pochwalił.

Jak obiecała, czekała na niego miednica ciepłej wody. Zanurzył w niej ręce i zaczął je namydlać.

– W mieście zjadłem jajka na szynce, ale nie były dobre.

– To żaden obiad dla ciężko pracującego mężczyzny.

Posłała mu promienny uśmiech, aż się zdziwił. Zapamiętale tarł namydlone dłonie, jak gdyby chciał zetrzeć z nich jakąś winę.

Ręcznik wziął dopiero, kiedy powiedziała:

– No, to wszystko gotowe. Siadaj, Jake.

Opuścił rękawy koszuli i zapiął guziki, podszedł do stołu, odsunął krzesło i usiadł. Spojrzał na talerze z parującym jedzeniem, gorący dzbanek z kawą, kwiaty w wazoniku.

Wszystko wyglądało aż za pięknie. Mógłby łatwo przyzwyczaić się do tego królewskiego traktowania. A potem? Może lepiej na samym początku poukładać sprawy we właściwej kolejności.

– Dobrze się sprawiłaś, dziecino.

Jej oczy zabłysły gniewem. Nie tego oczekiwała, jednak szybko odzyskała dobry humor.

– Jeśli się nie pośpieszysz, zmiotę ci wszystko sprzed nosa. Jestem głodna jak wilk.

Podczas jedzenia rozmawiali o sprawach rancza. Kolacja była wyborna. Banner dbała, by talerz Jake'a nie był pusty. Coś go w niej zaintrygowało: była jakaś delikatniejsza niż dotąd i bardziej kobieca.

Hipnotyzowały go jej usta. Jej ręce poruszały się z wdziękiem, kiedy podnosiła serwetkę do ust i z powrotem rozkładała na kolanach. Zielonkawozłote ogniki błyskały filuternie w jej oczach. Pasemko włosów wymknęło się spod wstążki i swobodnie zwisało ze skroni.

Szeroki karczek sukni z tyłu sięgał łopatek, a z przodu ramion i piersi. Był obszyty bawełnianymi koronkami, które poruszały się w takt każdego ruchu.

Jake nie mógł oderwać wzroku od tych koronek ani od kształtu ust, koloru oczu, krągłości policzków, gęstych włosów.

To był najprzyjemniejszy posiłek, jaki kiedykolwiek wspólnie jedli. Jake martwił się jedynie, że wkrótce się skończy; tak cudownie tu siedzieć i patrzeć na nią. Kiedyś myślał, że dlatego patrzy na nią z taką przyjemnością, bo jest podobna do Lydii. Ale teraz?

– Skończyłeś, Jake?

Poklepał się po brzuchu.

– Więcej bym nie zmieścił.

– A może jeszcze kubek kawy?

– Pół – poprosił ze śmiechem.

Odniosła naczynia do zlewu i wróciła z dzbankiem. Stanęła za nim i nalała mu kawy do pełna.

– Na wypadek, gdybyś okazał się bardziej spragniony, niż myślisz.

W tym momencie złamał jedną ze swych głównych zasad: podniósł na nią oczy. Patrzyła na niego. Czy mu się tylko zdawało, czy naprawdę pochylała się dłużej, niż to było konieczne? Taka pozycja umożliwiała mu pełny ogląd jej piersi.

O cholera!

Natychmiast opuścił oczy. Jego penis zaczął żywo reagować na ponętne widoki.

Kiedy ponownie usiadła, starał się na nią nie patrzeć. Pili kawę w milczeniu. Oparła łokcie na stole, ujęła twarz w dłonie i pochyliła się nieznacznie w jego kierunku.

– Musisz być szczęśliwy, mając tak dużą rodzinę.

Temat rozmowy zaskoczył go, lecz jednocześnie sprawił mu ulgę. Cisza już mu ciążyła, a nie chciał w tym momencie rozmawiać o nich obojgu.

– Ta-a, na pewno jestem. Ale wiesz, że straciłem rodzeństwo i ojca.

– Naturalnie. – Westchnęła. – Ma opowiadała mi o każdym z nich. I o wszystkich psotach, jakie wyczynialiście na szlaku. To wtedy spotkałeś się po raz pierwszy z moją rodziną?

Potwierdził skinieniem głowy i popił kawy.

– Opowiedz mi o tym.

Odstawił kubek.

– O czym?

– O tym, jak stałeś się serdecznym przyjacielem mamy i taty.

– Po prostu Ross zatrudnił mnie do pilnowania swoich koni. Miał wtedy pięć źrebnych klaczy i ogiera Lucky. To był najpiękniejszy koń, jakiego w życiu widziałem.

– Pamiętam go. Miałam chyba z pięć lat, kiedy trzeba go było zastrzelić. Mama płakała potem całymi dniami. Większa część koni w River Bend to jego potomstwo.

Bawiła się serwetką, składając ją i rozkładając, i przykładając do brzegu stołu.

– A moja matka? Kiedy ją poznałeś?

O co jej chodziło? Skąd to nagłe zainteresowanie przeszłością? Wiedział, że Ross i Lydia kryli przed dziećmi pewne fakty z przeszłości, a on w żaden sposób nie chciał wtrącać się w ich osobiste sprawy. Starannie więc dobierał słowa.

– Mój brat Luke i ja znaleźliśmy ją w lesie. Zgubiła się. Przyprowadziliśmy ją do mojej matki. Mniej więcej w tym samym czasie, przy urodzeniu Lee, zmarła żona Rossa. Ma zaprowadziła Lydię do wozu Rossa, by...

Czy Banner wiedziała, że to Lydia wykarmiła piersią Lee? Czy wiedziała, że Lydia właśnie urodziła martwe dziecko, kiedy ją znaleźli? Chyba nie miała o tym pojęcia, a on nie zamierzał jej tego mówić.

– ...żeby mu pomagała przy dziecku – dokończył.

– Ale co robiła sama w lesie? Skąd się tam wzięła? Nie miała rodziny?

Clancey Russell – pomyślał Jake i na jego wspomnienie dłonie same zacisnęły mu się w pięści. To on, bez żadnego powodu, zamordował Luke'a. Zabił go z czystej nieprawości.

– Nie – odrzekł po namyśle. – A przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Banner zamyśliła się, a potem popatrzyła na niego podejrzliwie, jakby wiedziała, że coś przed nią ukrywa.

– Chciałabym mieć dużą rodzinę. Taką z dziadkami, ciotkami, kuzynami...

– Otaczają cię Langstonowie – powiedział wesoło, starając się zmienić temat rozmowy.

– Tak. I bardzo się z tego cieszę. Ale to nie jest to, co rodzina połączona więzami krwi i takimi tam... Nikt mi nigdy nie powie: Banner, jesteś podobna do ciotki jakiejś tam albo: co się dzieje z kuzynem... no wiesz.

– Nie wiem, czy Ross i Lydia mają rodzinę.

– No właśnie. Nigdy o tym nie mówią – zawołała. – Nie wspominają nawet krewnych, którzy pomarli. Wygląda na to, że oboje zaistnieli

dopiero w momencie, kiedy się spotkali. To mnie zawsze nurtowało.

– Czemu?

– Nie wiem. – Bezradnie rozłożyła ręce. – Boję się, że za tym może się kryć jakaś okropna tajemnica, która, gdyby wyszła na jaw, mogłaby zniszczyć nas wszystkich.

Rozumiał ją doskonale, ponieważ miał również sekret, który musiał ukrywać. Nie wiedział, co dla niej jest lepsze: czy to, że nie wie i z tego powodu się martwi, czy też, że mogłaby się dowiedzieć i martwić się tym.

– Banner, wierz mi, to nie ma znaczenia.

– Dokładnie to samo odpowiadał mi stary Moses, kiedy go o to pytałam.

Jake uśmiechnął się.

– Był bardzo oddany twoim rodzicom. Powinnaś była wiedzieć, że on nigdy nie zdradzał cudzych tajemnic.

– Bardzo go kochałam – powiedziała ciepło i z przejęciem. – Był moim pierwszym przyjacielem. Zwykle zabierał mnie na ryby. Uczył posługiwać się scyzorykiem. Pierwsze zabawki, jakie w życiu miałam, były jego dziełem. I to ja pierwsza odkryłam, że Moses nie żyje.

Zauważył, że po jej policzku spływa łza. Instynktownie wyciągnął rękę i nakrył nią jej dłoń.

– Tego nie wiedziałem.

– Któregoś ranka, dość wcześnie, poszłam do niego. Tego dnia mieliśmy zbierać jagody. Siedział na werandzie swego domku…

Niespodziewanie wyprostowała się, a jej głos nabrał odrobinę ostrzejszego tonu.

– Wiesz, że nigdy nie pozwolił, by ojciec zrobił coś dla niego. Mówił, że był kiedyś niewolnikiem i nigdy już nie chce mieć zobowiązań wobec kogokolwiek. Sam zbudował sobie swój domek nad strumieniem.

Jake przytaknął skinieniem głowy.

– W każdym razie – mówiła dalej Banner – siedział na werandzie. Kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam, że jakoś dziwnie zwiesił głowę. Zawołałam go, ale nie zareagował. Od razu wiedziałam, że nie żyje. Zaczęłam krzyczeć i pobiegłam do domu.

Jake współczująco gładził jej dłoń.

– Znałeś Winstona Hilla, z którym Moses przyjechał do Teksasu? – spytała, wycierając serwetką oczy.

– Tak. To był bardzo miły człowiek. I bardzo chorowity.

– Moses mówił mi, że zmarł w drodze.

Ale nie powiedział ci, jak umarł – dodał w myśli Jake.

Hill zginął, osłaniając własną piersią Lydię przed strzałem jej przyrodniego brata. Jedynie Jake o tym wiedział. Podsłuchał, jak Clancey przechwalał się przed Lydią, że zastrzelił Luke'a i Hilla. Po tej rozmowie Clancey żył bardzo krótko. Jake miał zaledwie szesnaście lat, gdy nożem swego brata rozpruł brzuch jego zabójcy. Wyraz twarzy Clanceya będzie pamiętał do grobowej deski.

Wzdrygnął się i cofnął rękę z dłoni Banner. Kiedy skierował na nią wzrok, zauważył, że przygląda mu się uważnie. Nie chciał, by się dowiedziała o jego sekrecie. Zmusił się więc do nonszalanckiego zachowania.

– Z tamtego lata nie pamiętam nic, co nadawałoby się do opowiadania – powiedział ostro.

Luke. Pragnął porozmawiać z nią o Luke'u, lecz nie mógł znaleźć dość siły, by zwierzyć się ze wszystkiego. Nawet po tylu latach ból był ciągle żywy.

– Kilkakrotnie prosiłam rodziców, aby mi opowiedzieli o swej wędrówce na zachód, ale oni nie chcieli. A jeśli już coś mówili, to milkli natychmiast, gdy zaczynałam zadawać pytania.

– To wszystko działo się tak dawno temu. Może już nie pamiętają tamtych czasów?

Spojrzała na niego z wyrzutem, a on dodał:

– To znaczy pewnie po twoim urodzeniu rodzice oszaleli z radości, że mają tak wspaniałą córkę, i zapomnieli o całym świecie.

Pochylił się nad stołem i szepnął:

– Myślę, że zostałaś poczęta na szlaku.

– Domyślam się. Moje urodziny przypadają na niecałe dziewięć miesięcy od chwili osiedlenia się w Teksasie.

Jake zaśmiał się i usiadł prosto.

– Tak naprawdę, to młoda dama nie powinna rozmawiać z mężczyzną o tych sprawach. Nawet nie powinna wiedzieć...

Jej oczy zasnuły się mgiełką; przypatrywała mu się badawczo.

– Wiem o tych sprawach...

Rozmowa zboczyła na niebezpieczne tory. Cokolwiek wiedziała o seksie, to wiedzę tę uzyskała na końskim pledzie, rozłożonym na sianie w stajni, od mężczyzny, który nie miał najmniejszego prawa, by ją „uświadamiać".

Wyciągnął z kieszeni cygaro i natychmiast szybko je schował. Mruknął tylko:

– Przepraszam.

– Za co?

– Za cygaro. Damy nie lubią, gdy domy śmierdzą tytoniem.

– Lubię zapach twoich cygar. Zapal, jeśli masz ochotę.

Czuł, że powinien stąd wyjść, zanim rozmowa nabierze osobistego charakteru. Został jednak i wyjął z kieszeni cygaro. Odgryzł koniuszek, wyjął go z ust i położył na spodeczku obok swego kubka. Trzymając cygaro w zębach, zaczął szukać po kieszeniach zapałek.

– Proszę.

Nim zdążył zaprotestować, wstała i szybciutko podeszła do pieca, wzięła pudełko i podeszła do niego. Wyjęła zapałkę, zapaliła i przytknęła do końca cygara. Pociągnął mocno i bardzo wolno wypuścił kłąb dymu. Przez niebieską mgłę widział, jak Banner dmucha na zapałkę.

Prawie zachłysnął się wciągniętym dymem. Poczuł narastającą rozkosz; całe ciało jakby topniało. Musiał opuścić wzrok, albowiem wiedział, że jeśli dłużej popatrzy w te prowokujące oczy, to rzuci cygaro na podłogę, zapomni o złożonych sobie przysięgach i porwie dziewczynę w objęcia.

Banner wróciła na swoje krzesło. Jak poprzednio oparła brodę na dłoniach i niespeszona przyglądała się, jak pali.

– Smakuje równie doskonale, jak pachnie?

– Czasami, na przykład teraz – tak.

– Pozwól mi spróbować. – Wyciągnęła rękę. Koronka otaczająca dekolt sukni odgięła się, odsłaniając pierś.

– Nie!

– Proszę.

– O czym tym mówisz, dziewczyno?

– Chciałabym spróbować.

– Nie. Twoi rodzice by mnie zabili.

– Proszę, Jake. Przecież się nie dowiedzą.

– Skąd wiesz?

– Powiedziałbyś im?

– Nie.

– Ja też nie. Co w tym złego?

– Damy nie palą.

– Niektóre damy – tak.

– W takim razie nie są damami.

– Znasz kobiety, które palą?

– Kilka.

– Kim są?

– Nie znasz żadnej z nich.

– Dziwki?

Jake zakrztusił się, aż oczy zaszły mu łzami.

– Skąd znasz to słowo?

– Z Biblii.

Dopiero, kiedy skarcił ją spojrzeniem, wyznała:

– Od Lee i Micaha.

– Oni z tobą rozmawiali o dziwkach?!

– No, niebezpośrednio – odrzekła wymijająco. – Czasem ich podsłuchiwałam.

– Uważaj, mała cwaniaczko, bo kiedyś możesz usłyszeć coś, czego będziesz żałować.

– Nie martw się, nie jestem już dzieckiem. Znam nie tylko to słowo, ale wiem także, co oznacza. Opowiedz mi więc o takiej, która pali. Założę się, że to dziwka. Może Priscilla Watkin?

W czasie ostatnich sekund zaskoczyła go po raz drugi.

– Skąd znasz to nazwisko?

– Lee i...

– ...Micah – dokończył za nią. – Ależ z nich plotkarze.

Banner opuściła oczy.

– Z ich rozmowy wynikało, że znasz tę dość popularną kobietę.

Wiedział, że przygląda mu się spod przymkniętych powiek. Nawet za cenę życia nie mógłby sobie w tej chwili przypomnieć twarzy Priscilli ani żadnej innej kobiety. Widział tylko Banner, ale musiał trzymać się na wodzy.

– Owszem, znam ją.

– Mówili, że jest twoją przyjaciółką.

– Można to tak nazwać.

– Ale przecież jest dziwką!

Wzruszył ramionami. Strząsnął popiół na spodek.

– Na pewno.

– Odwiedzasz ją?

– Czasem.

– W tym jej „domu”?

– Tak.

– Czy... – zniżyła głos do szeptu – ...idziesz z nią do łóżka? – Patrzyła mu w oczy tak, że nie mógł skłamać.

– Nie – powiedział spokojnie, wyraźnie i z takim przekonaniem, że mu uwierzyła.

– Ach tak – mruknęła już tylko.

Jake bacznie ją obserwował. Mógłby przysiąc, że jest zazdrosna. Zastanawiał się, co by uczyniła, gdyby jej wyznał, że był kochankiem Priscilli. Zachował się jak idiota dzisiejszego popołudnia, gdy zobaczył

Randy'ego dotykającego Banner. Im szybciej zakończy ten niezwykły wieczór, tym lepiej.

Odsunął krzesło i wstał.

– Powinienem już pójść...

– Nie, zaczekaj.

Zerwała się ze swego krzesła i podeszła do niego.

– Chciałabym cię prosić o przysługę. Jeśli masz czas...

– O co chodzi?

– W pokoju mam obraz do zawieszenia. Czy zechciałbyś mi pomóc?

Rzucił okiem w kierunku salonu. W rogu paliła się niewielka lampa nadająca wnętrzu intymny charakter. Od razu przypomniała mu się stajnia. Nie, teraz wolał o tym nie myśleć.

– Nie mam wprawy w wieszaniu obrazów.

– To nie takie ważne, zresztą napracowałeś się dzisiaj. A wieszanie obrazów nie należy przecież do obowiązków rządcy.

Do diabła! Gotowa pomyśleć, że nie chce jej pomóc. Już teraz wyglądała na zawiedzioną i zakłopotaną jego odmową.

– Chyba nie zajmie to dużo czasu, co?

– Nie, skąd! – Uradowana podniosła głowę. – Wszystko przygotowałam.

Otarła się o niego, idąc do salonu.

– Ze stajni przyniosłam młotek i gwóźdź, gdy byłeś w mieście. Próbowałam sama zawiesić ten obraz, ale nie mogłam zdecydować się na miejsce.

Mówiła bez przerwy. Jake zauważył, że jest tak samo zdenerwowana jak on.

O co jej chodzi? Czyżby chciała okazać, że daruje mu dzisiejsze popołudniowe zachowanie? Że nie boi się przebywać z nim w pustym, słabo oświetlonym domu? Czyżby to wszystko, co dla niego przygotowała dzisiejszego wieczoru, oznaczało gest pojednania? Jeśli tak, to był jej za to bardzo wdzięczny, bo nie mieli już wyboru: albo się pozabijać, albo...

Na tym drugim „albo" nie był w tej chwili w stanie się skupić.

– Myślałam o tej ścianie. Gdzieś tutaj. – Pokazała palcem miejsce. – Co o tym sądzisz?

– Będzie ładnie – powiedział obojętnie.

– Na poziomie oczu?

– Twoich czy moich oczu?

– No właśnie! – roześmiała się rozluźniona.

Położyła sobie dłoń na głowie, a potem przesuwała ją w powietrzu, aż natrafiła na jego pierś.

– Dotąd ci sięgam? – spytała i spojrzała mu w oczy.

Wstrzymał oddech. Jak mógł choć przez moment uważać to stworzenie stojące tuż przed nim, z czarującymi oczami i prowokującym uśmiechem, za dziecko? Bywał z prostytutkami, które wiedziały wszystko o sposobach doprowadzania mężczyzn na szczyt miłosnego uniesienia, ale żadna z nich nie działała na niego tak jak ta dziewczyna. Z wyjątkiem może Lydii, w czasie gdy byli razem na szlaku.

Jego miłość do Lydii dojrzała od tamtych chwil. Nie odczuwał nagłego przypływu żądzy na jej widok. Tamtego lata, podróżując z Tennessee do Teksasu, był wiecznie podniecony. Z powodu Lydii, z powodu Priscilli, wreszcie – innych kobiet. Miał szesnaście lat i czuł w całym dojrzewającym ciele nieznane dotąd ciepło i błogie rozleniwienie. Takie same odczucia powracały, ilekroć patrzył na Banner.

Suknia ocierała się o jego spodnie. Jej piersi były niebezpiecznie blisko. Czuł ciepło i kuszący zapach.

– Może byśmy…

– Tak, dobrze.

Przysunęła stół do ściany i unosząc sukienkę, weszła nań.

– Tam leży obraz, proszę, podaj mi go. A teraz cofnij się i powiedz, kiedy będzie dobrze.

Wziął do ręki obraz i przyjrzał mu się: był to widoczek z pasącymi się końmi.

– Przypomina Plum Creek.

Popatrzyła na niego zdziwiona, gdyż darował sobie złośliwe uwagi na temat wybranej przez nią nazwy.

– O co chodzi?

– I tak wiem, co myślisz o tej nazwie – rzekła oskarżycielsko.

Uśmiechnął się tylko i podał jej obraz.

Obróciła się do niego plecami, podniosła ręce i umieściła obraz na ścianie.

– Jak to wygląda?

– Opuść trochę.

– Tak?

– Dobrze. Myślę, że teraz będzie dobrze.

Trzymając obraz przy ścianie, obróciła głowę i spytała:

– Naprawdę, czy tylko tak mówisz?

– Staram się, jak mogę – odrzekł z odrobiną urazy w głosie. – Jeśli moja pomoc ci nie odpowiada, zawsze możesz poprosić kogoś innego.

– Na przykład Randy'ego?

Wyraźnie żartowała, ale Jake wziął jej słowa na serio. Przeszył ją wzrokiem pełnym wściekłości i zdołał przy tym dostrzec falbankę halki wystającej spod sukienki. Na dodatek duża kokarda, tuż nad pośladkami, działała drażniąco na jego wyobraźnię. Nie, żaden Randy nie będzie miał tu wstępu. On jej pomoże albo nikt.

– Przesuń trochę w lewo, żeby był na środku. – Przesunęła obraz, jak kazał. – Tak, teraz jest doskonale.

– To dobrze. Gwóźdź powinien być wbity trochę wyżej ze względu na sznurek. Weź młotek i gwóźdź. Ja będę trzymała obraz, żeby się nie przekrzywił.

Zrobił, co mu kazano, wszedł na stół i stanął blisko dziewczyny, starając się nie dotykać jej.

– Musisz sięgnąć tędy, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie.

Zadrżał, próbując nie zauważyć jej piersi wyłaniającej się zza dekoltu. Ostrożnie wyciągnął rękę, w której trzymał młotek. Nie udało się, ponieważ łokciem otarł się o Banner, a kolanem dotknął jej uda.

– Wybacz – mruknął.

– Wszystko w porządku.

Uderzył młotkiem w główkę gwoździa, pragnąc, by wystarczyło jedno uderzenie. Nie miał szczęścia – musiał uderzać kilka razy.

– Chyba wystarczy – powiedział w końcu nieswoim głosem.

– Też tak myślę. – Jej głos brzmiał równie obco.

Zahaczyła sznurek o gwóźdź i obraz zawisł na ścianie. Wychyliła się trochę do tyłu; chciała przyjrzeć się obrazowi, nie schodząc ze stołu.

– No i jak?

– Świetnie.

Odłożył młotek i rękawem koszuli otarł spocone czoło.

– Jest prosto?

– Prawa strona jest odrobinkę niżej.

– Tak dobrze?

– Jeszcze trochę.

Cholera! Albo zaraz stąd wyjdzie, albo wybuchnie gniewem. Zrobił krok naprzód, by poprawić obraz, ale miał pecha – zahaczył butem o nogę stołu i zakołysał go niebezpiecznie. Banner zachwiała się i rozłożyła ręce.

Życie na szlaku nauczyło Jake'a szybkiego refleksu. Chwycił ją w locie, tuż nad podłogą, trzymając jedną ręką w talii, a drugą na wysokości piersi. Zgiął się pod jej ciężarem i choć postawiła zaraz jedną nogę na podłodze, nie wypuścił jej z uścisku. Jego policzek znalazł się blisko jej czoła. Nie potrafił już oprzeć się jej bliskości, zapachowi i ciepłu. Przyciągnął ją do siebie, szepcząc jej imię.

Ogromnie jej pragnął. Pomimo że zdawał sobie sprawę z obrzydliwości własnego postępowania, zapragnął jej znowu. Nie było sensu wmawiać sobie, że tak nie jest. Już raz ją zranił, a potem przyrzekł, że nie uczyni tego więcej. Zdradził przyjaciela, który mu zaufał.

Wszystkie te argumenty przestały być ważne, kiedy jego usta zanurzyły się we włosach dziewczyny.

– Banner, powiedz, żebym cię zostawił w spokoju.

– Nie chcę.

Położyła głowę na jego ramieniu. Ustami dotknął jej szyi.

– To się nie może powtórzyć.

– Przytul mnie…

Przesunął rękę z jej piersi na szyję. Jej gorący oddech wprost parzył mu dłoń. Jak niewidomy opuszkami palców przesuwał po zagłębieniach twarzy. Gładził czarne brwi, odnajdywał piegowate policzki, dotykał idealnego kształtu nosa.

Wreszcie usta.

Palcami muskał wargi. Były niewiarygodnie miękkie i gładkie. Oddech pozostawiał na dłoni wilgotne ślady. Zbliżył usta do zaróżowionych policzków, ucha, włosów.

Otoczył jej talię szeroko otwartą dłonią, czując pod palcami naprężone ciało. Cichutko zamruczała. Strofował w myślach samego siebie, ale nie zatrzymał ręki prześlizgującej się po żebrach i natrafiającej na miękką pierś.

Jęk obydwojga rozległ się równocześnie.

– Jake…

– Jesteś niesamowicie słodka.

– To zdarza się czasami.

– Co?

– To. – Wskazała na twardniejący sutek. – One robią się takie, gdy patrzę na ciebie.

– Na miłość boską, Banner, nie mów mi takich rzeczy.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nigdy nie powinienem był tu przyjeżdżać.

– I takie pozostają przez dłuższy czas: wrażliwe i delikatne…

– O, Banner!

– Są takie, kiedy marzę…

– O czym?

– …żebyśmy znowu byli w stajni… a ty…

– Nic nie mów.

– …we mnie.

– Banner, błagam cię, przestań.

Ich oczy spotkały się i wtedy ją pocałował. Jego język z przyjemnością zagłębił się w jej ustach. Poruszyła biodrami i poczuła między udami jego nabrzmiewającą męskość.

Z trudem od niej oderwał się.

– Nie, Banner. Już raz sprawiłem ci ból, pamiętasz?

– Tak, ale płakałam nie z tej przyczyny.

– A dlaczego?

– Bo zaczynałam odczuwać przyjemność… ale pomyślałam, że nienawidzisz mnie za to, jak się zachowuję.

– Nie, nie – szeptał gorączkowo w jej włosy.

– Byłeś taki… wielki…

– Przepraszam.

– Nie spodziewałam się czegoś aż tak…

– Czy to ci dało zadowolenie?

– Tak, tak. Tylko że wszystko skończyło się za szybko.

– Za szybko?

– Myślałam, że jeszcze coś nastąpi. Ale nie, to był już koniec.

Zaskoczyła go. Jak to było możliwe? Dziwkom nigdy na tym nie zależało, on zaś nie miewał do czynienia z przyzwoitymi kobietami, a z pewnością nie z dziewicami. Nie miał nigdy kobiety, dla której powinien być szczególnie czuły.

Dla Banner chciał jednak być najczulszym kochankiem. Ujął jej twarz w dłonie i zagłębił wzrok w jej oczach w poszukiwaniu prawdy. Nie dostrzegł strachu. Widział w nich to samo pożądanie, jakie czuł w sobie.

– Halo! – rozległ się wesoły głos. – Jest ktoś w domu?

Dopiero w tym momencie oboje zwrócili uwagę na chrzęst uprzęży i skrzypienie wozu wtaczającego się na podwórze.

– Banner, gdzie jesteś?

To była Lydia.

Rozdział 10

Banner obserwowała, jak światło wschodzącego słońca zmienia barwę i napełnia sypialnię złotym blaskiem. Leżała z głową wciśniętą w poduszkę. Spod powiek wymykały się łzy i wolno spływały po policzku.

Rozmyślała o poprzednim wieczorze.

Nie mogła uwierzyć, że wydarzenia przyjęły taki obrót. Wszystko układało się dokładnie według planu. Jake dał się wciągnąć w romantyczny nastrój, który stworzyła. Dopiero niespodziewany przyjazd Lydii całkowicie pokrzyżował rozwój wydarzeń.

Nie mając żadnego doświadczenia w uwodzeniu – tej nocy w stajni nie liczyła! – chciała skorzystać z doświadczenia koleżanek, które przysięgały, że właśnie w ten sposób zdobyły mężów. Dobre jedzenie, przyćmione światło, kwiaty, ładny strój, miłe zachowanie – wszystko, co działa na zmysły mężczyzny i co sprawia, iż zaczyna on myśleć, że cudownie byłoby mieć taką oddaną kobietę na stałe.

Banner zawsze uważała tego typu zabiegi za poniżające, śmieszne i nieuczciwe. Oświadczyła nawet kiedyś swym przyjaciółkom, że nigdy nie wyszłaby za faceta, którym można tak łatwo manipulować.

Ale coś w tym schemacie musi być, skoro działał bezbłędnie – aż do momentu, kiedy Lydia zapukała do drzwi.

Jake odskoczył od niej jak trafiony kulą. Zawadził nogą o leżące krzesło i tylko cudem utrzymał równowagę.

Banner przygładziła włosy, dłońmi nakryła płonące policzki, a czołem oparła się o zimną klamkę, zanim otworzyła drzwi.

– Mamo, co za miła niespodzianka!

– Witaj, kochanie.

Lydia weszła, wnosząc ze sobą ostry zapach pola i łąki, którym przesiąkły jej włosy i ubranie.

Serce Banner zamarło.

Matka wyglądała wspaniale w jasnej bluzce z surowego płótna i brązowej spódnicy. Ciągle jeszcze była w stanie zawrócić w głowie każdemu mężczyźnie swymi oczami koloru whisky i rudobrązowymi włosami. Sprawiała wrażenie szczupłej mimo pełnych piersi i bioder. Była kobietą, która może uczynić mężczyznę szczęśliwym.

– Cześć, Jake.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, a na ten widok Banner poczuła bolesny skurcz serca. Uśmiech Lydii był niewinny, przyjazny, szczery. A jaką postawę przyjmie Jake?

Wyglądał tak, jakby go właśnie oblano wiadrem zimnej wody.

– Lydio... – Skłonił się nieznacznie.

I to było całe powitanie. Banner wiedziała, że w ogóle nie jest zdolny do rozmowy. Dopiero co całował jedną kobietę, a tu pojawia się druga, i to ta, którą rzeczywiście kocha. Nawet dla tak odpornego mężczyzny jak Jake sytuacja okazała się bardzo kłopotliwa.

Zaległo niezręczne milczenie, dopóki Banner nie podeszła do wiszącego obrazu i nie pokazała go matce.

– Co o tym myślisz, mamo? Jake właśnie pomógł mi zawiesić go na ścianie. Chyba dlatego nie słyszeliśmy, jak wjeżdżałaś na podwórze.

– No właśnie! Dziwiłam się, dlaczego tak długo nie otwierasz drzwi – odpowiedziała, patrząc z zaciekawieniem na obraz. – Podoba mi się. Pięknie urządziłaś ten pokój. Wszystko jest na swoim miejscu i wygląda... swojsko.

– Dziękuję, mamo.

– Będzie ci potrzebna jeszcze jedna lampa. – Lydia rozglądała się po pokoju. – Jest tu trochę ciemno.

Banner najchętniej zapadłaby się pod ziemię, a ponieważ to nie nastąpiło, spytała: – Napiłabyś się kawy, mamo?

Koniecznie chciała znaleźć jakieś zajęcie dla rąk, albowiem w tej chwili najgorsza była dla niej bezczynność.

– Nie, dziękuję. Jest za gorąco.

– To może coś innego?

– Może krzesło? – spytała wesoło Lydia.

Banner złapała się za głowę.

– Mamo, przepraszam. Oczywiście, siadaj. Jake… – Odwróciła się do niego i skinieniem głowy wskazała mu drugie krzesło.

– Powinienem rozładować wóz – powiedział skrępowany i podszedł do wieszaka po kapelusz i pas z rewolwerem.

– Na miłość boską, Jake, siadaj – zawołała rozdrażniona Lydia. – To żadne oficjalne spotkanie. Co z wami?

– Nic – bez namysłu odrzekła Banner. Spojrzała w kierunku Jake'a, dla dodania sobie otuchy, ale on rozsiadł się na krześle i patrzył w podłogę.

– Jake dąsa się, że prosiłam go o pomoc przy zawieszaniu obrazu.

– Ross jest taki sam. Nie znosi żadnych „robótek", jak nazywa wszystkie prace domowe.

Banner odprężyła się, widząc zadowolony uśmiech matki. – Bardzo się cieszę, mamo, że przyjechałaś mnie odwiedzić.

– Bo wy oboje nie zjawiacie się w River Bend. Już się zastanawialiśmy, czy jesteście na nas obrażeni – Lydia uczyniła drobną aluzję.

– Ależ, mamo – Banner zaśmiała się niezupełnie szczerze – jesteśmy strasznie zajęci. Możesz sobie wyobrazić, ile mamy pracy.

– Wiemy o tym od waszych robotników – przerwała jej Lydia. – Dobrze się z nimi pracuje, Jake?

Spojrzał na nią i nagle poczuł się jak uczniak wyrwany do tablicy.

– Tak, nieźle.

– Szczerze mówiąc, to miałam wątpliwości co do tego najmłodszego, Randy'ego.

Jake zerknął na Banner, zanim odrzekł:

– Jest trochę zadziorny, ale daję sobie z nim radę. Jak czuje się Ma?

– Dobrze, tylko ma pretensje, że jej nie odwiedzasz.

– Wkrótce przyjadę.

– Dlatego właśnie tu jestem – wpadła mu w słowo. – Miałam poczekać z tym do jutra, ale Ross i Lee zapomnieli o całym świecie, grając w warcaby, a wieczór taki piękny, że zdecydowałam się przyjechać dzisiaj. – Przerwała na chwilę i nabrała powietrza w płuca. – W sobotę wieczorem wydajemy przyjęcie.

– Przyjęcie? – spytała Banner zaskoczona. – Z jakiej okazji?

– By pokazać ludziom, że nasze życie, a szczególnie twoje, toczy się dalej mimo zajścia w kościele.

Banner zrobiło się nagle zimno. Przez chwilę trwała w bezruchu, potem wstała i zaczęła chodzić po pokoju, poprawiając drobiazgi i wycierając niewidzialny kurz z mebli.

– A co? Ludzie myślą, że moje życie jest już skończone, że tu dogorywam?

– Nie traktuj tego w ten sposób. Ojciec i ja nie przywiązujemy zbytniej wagi do ludzkiego gadania. Bardzo dawno temu nauczyliśmy się, że nie mamy na to wpływu. Wiemy jednak, jak bolą takie plotki. Jak się wezmą za kogoś, to nie zostawią na nim suchej nitki.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Lydia popatrzyła na Jake'a, ale jego twarz jakby skamieniała.

– Tylko tyle, że nie chcemy, aby ludzie odnieśli wrażenie, że jesteś załamana, że przeprowadziłaś się tu dlatego, bo chcesz żyć z dala od świata...

– Coś podobnego! – krzyknęła Banner z oburzeniem. – Jestem pełna energii i nabrałam wigoru, odkąd pracuję na swoim gospodarstwie.

– Dlatego właśnie organizujemy przyjęcie. Chcemy pokazać ludziom, że jesteś zdrowa i pełna sił. Już najwyższy czas ukrócić rozmaite plotki.

– Ale czemu zaraz przyjęcie? – Werwa opuściła Banner, kiedy pomyślała, że stanie się centrum powszechnego zainteresowania. – Czy to konieczne? Nie byłam ani razu w mieście od tamtego czasu. Może zacząć od pokazywania się ludziom?

Lydia pokręciła głową.

– Wiesz, jacy są ludzie: nie będą zbliżać się do ciebie. Wolą plotkować za plecami zainteresowanych i zawsze wiedzą lepiej. A na przyjęciu będą zmuszeni do bezpośredniej rozmowy z tobą, wtedy przekonają się, że nic ci nie dolega. Nie będzie to żadne oficjalne przyjęcie, tylko coś w rodzaju pikniku. Co o tym sądzisz?

– To niezła myśl.

Spojrzała na Jake'a, ale nie podniósł oczu, i to ją zabolało. Czy kiedy trzymał ją w objęciach, zaspokajał jedynie naturalny głód kobiecego ciała? Co o tym pomyślałyby inne kobiety? A może chciał tylko dogodzić swoim zachciankom i uważa teraz, że skalał swe uczucia do Lydii?

Zaplanowała uwiedzenie go, by wyjść za niego za mąż. Jaka była głupia! Wielu mogło się nabrać na kobiece sztuczki, lecz nigdy Jake. Czyżby przejrzał ją od samego początku i bawił się nią tak długo, jak długo miał na to ochotę? Tak czy inaczej – miała swoją szansę, ale skończyła się ona klęską.

– Myślę, że powinnam znowu spotykać się z ludźmi.

Oczywiście dotyczyło to mężczyzn, bo o nich głównie chodziło na tym przyjęciu.

Lydia poderwała się radośnie; jej misja zakończyła się sukcesem.

– Fantastycznie! Naturalnie ty też przyjedziesz, Jake, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do Banner i uścisnęła ją z widocznym zadowoleniem.

– Ross i ja bardzo za tobą tęsknimy. Jednocześnie jesteśmy bardzo dumni z tego, co robisz. Czy wszystko w porządku?

– Tak, mamo, zupełnie. Na przyszłość obiecuję odwiedzać was częściej. – Ucałowała Lydię w policzek. – Musisz odjeżdżać tak szybko?

– Tak. Obiecałam Rossowi, że niebawem wrócę. Dobranoc. – Pocałowała ją w czoło. – Do zobaczenia w sobotę.

– Odprowadzę cię – powiedział Jake, biorąc z wieszaka kapelusz i pas z rewolwerem. – Właśnie wychodziłem, kiedy przyjechałaś. Dzięki za kolację, Banner.

Została sama w drzwiach domu, patrząc, jak idą razem w kierunku wozu.

– Jake, czy z nią jest naprawdę wszystko w porządku? – spytała Lydia. – Ogromnie się o nią martwimy.

– Niepotrzebnie.

– Chyba byśmy powariowali, gdyby ciebie tu nie było.

– No cóż, staram się.

Pomógł jej wejść na wóz.

– Co Ross sądzi o twojej samotnej jeździe po ciemku?

– Potrafię zadbać o siebie. Dziękuję, że myślisz o mnie. – Pogłaskała go serdecznie po ramieniu.

– Masz przy sobie jakąś broń?

– Tak! – potwierdziła pospiesznie. – Bez niej Ross nie pozwoliłby mi ruszyć się z domu.

– Uważaj, jak będziesz jechała przez most. Chwieje się w kilku miejscach. Jak tylko uporam się tutaj z najpilniejszą robotą, postaram się go naprawić.

– Nie martw się o mnie. Dam sobie radę. Dobranoc. Do zobaczenia około siódmej w sobotę. Nie pamiętam, czy wspomniałam Banner o godzinie.

– Przekażę jej. Jedź już, bo dojedziesz do domu w zupełnych ciemnościach.

– Dobranoc, Jake. – Cmoknęła na konie i ruszyła z miejsca.

– …branoc, Lydio.

Stał dość długo bez ruchu i patrzył w ślad za ginącym w mroku wozem. Banner obserwowała to pożegnanie ze łzami w oczach. Ależ zrobiła z siebie idiotkę! Jak mogła pomyśleć, że uda się jej nakłonić Jake'a, by choć trochę ją pokochał, kiedy wciąż jest zajęty Lydią?! Serce ją zabolało na widok Jake'a idącego do stajni.

Po tym, jak rzuciła mu się w objęcia, czy znajdzie w sobie dość siły, aby spojrzeć mu w oczy? Po tej intymnej rozmowie?

Boże! Czy ona rzeczywiście wypowiedziała na głos swe najtajniejsze marzenia, o których wstydziła się teraz nawet pomyśleć? Czy naprawdę oddawała jego żarliwe uściski? Nie zyskała nic prócz pogardy dla siebie.

Przegrała, i to z dwóch powodów. Przede wszystkim – próbowała mu się narzucić i została odtrącona. Nie wrócił przecież do niej po wyjeździe matki. I druga rzecz – nie zdradził jej żadnego sekretu z przeszłości rodziców. Podobnie jak inni nie reagował na jej nalegania.

Coś tu do siebie nie pasowało. Dlaczego Lydia wspomniała o plotkach? Czy jej można było też coś zarzucić? Była przecież ideałem żony i matki. Musi jednak coś tkwić w przeszłości rodziców, czego nie chcą powiedzieć ani Lee, ani jej.

W takim nastroju myśl o przyjęciu nie sprawiała jej radości. Gdyby sprawa dotyczyła tylko jej osoby, nie robiłaby sobie nic z ludzkiego gadania. Niech gadają i myślą, co chcą. Niestety, jej rodzice byli również w to wciągnięci. Zawsze pragnęli dla niej jak najlepszego życia, by pokazać wreszcie światu, ile znaczą Colemanowie. Ojciec robi interesy z mężczyznami z miasta, których żony plotkują.

Mama ma rację. Wszyscy muszą zobaczyć, że rodzina Colemanów nie zraziła się niepowodzeniem, którego sprawcą był Grady Sheldon.

Banner nie wiedziała tylko jednego: jak przeżyć tydzień, który pozostał do tego zakichanego przyjęcia…

*

Woda w balii wystygła, mimo to Banner wciąż była w niej zanurzona. Zaraz po obiedzie umyła włosy w deszczówce, która spływała do beczki przy tylnych drzwiach. Przed kąpielą upięła loki na czubku głowy, nie chcąc ich zamoczyć. Balia stała na środku kuchni, napełniona gorącą wodą z wielu dużych garnków.

Normalnie już od tygodnia Banner oczekiwałaby przyjęcia z niecierpliwością. Dzisiaj przygotowywanie się do niego nie sprawiało jej radości. Jake był jakiś spięty i niechętnie odpowiadał na jej nieliczne

pytania lub uwagi. Unikał jej, jak tylko mógł. Zjadał posiłki w takim pośpiechu, jakby go ktoś gonił. Nie posiedział w kuchni, by chociaż w spokoju wypić kawę lub wypalić cygaro, a „dziękuję" mówił już w drzwiach.

Banner codziennie rano starannie doglądała koni, a potem większą część dnia spędzała w domu. Rozmyślnie trzymała się z daleka od kowbojów, nie chcąc denerwować Jake'a.

Dla rancza był to pracowity tydzień: dokończono budowy płotu wokół pastwiska. Banner pobieliła ogrodzenie po wyjeździe robotników. Im również dał się we znaki ów napięty nastrój. Przekonani, że to skutki incydentu z gąsienicą, chodzili dokoła Jake'a na palcach. Przez ostatnie dni Plum Creek nie było przyjemnym miejscem.

Banner zrobiła sobie gorącą kąpiel dla uspokojenia nerwów i złagodzenia wewnętrznego napięcia. Jeśli jednak chce zdążyć na czas, to musi już się ubierać. Wychodziła właśnie z balii, gdy usłyszała pukanie do tylnych drzwi.

– Banner?

To Jake!

– Sekundę – krzyknęła, narzuciła na siebie szlafrok i związała paskiem. Podeszła do drzwi, zostawiając na podłodze ślady mokrych stóp. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na oścież.

Był kompletnie zaskoczony tym, co zobaczył.

– Co robisz?

– Biorę kąpiel – odrzekła niewinnie.

– Chryste! – syknął przez zęby i obejrzał się na kowbojów, którzy stali niedaleko i czekali na jego polecenia.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że nie będę na dzisiejszym przyjęciu. Wyjeżdżam z chłopcami. Przyślę Lee po ciebie. Na miłość boską, nałóż coś na siebie.

– Nie.

– Co nie? – spytał zdumiony.

– Nie opuścisz dzisiejszego przyjęcia.

– Zrobię ze swoim sobotnim wieczorem to, co mi się spodoba.

Słyszała parskanie koni tuż za drzwiami, więc podniosła głos:

– Nie obchodzi mnie, co będziesz robił w inne sobotnie wieczory, ale dzisiaj pójdziesz na przyjęcie.

– A to z jakiego powodu?

– Bo twoja nieobecność będzie zastanawiająca. Nie życzę sobie, aby ktoś pomyślał, że coś nie układa się między nami.

Patrzył na nią wyraźnie wzburzony. Krzyknął przez ramię do czekających:

– Jedźcie! Banner ma do mnie sprawę i muszę chwilę zostać.

Mruknęli coś na pożegnanie i odjechali.

– Stosunki między nami nie układają się najlepiej – stwierdził Jake.

Przeniosła wzrok z jego twarzy na chusteczkę, którą miał zawiązaną na szyi. Nigdy się z nią nie rozstawał, zresztą jak każdy kowboj, i wyglądał z nią naprawdę świetnie, chociaż pokrywała ją warstewka kurzu.

– Mówisz o tamtej nocy – rzekła miękko.

– Mówię o wszystkim: o tamtej nocy w stajni, o innym wieczorze i o tym, co zdarzyło się, kiedy...

Od kilku dni czynił sobie wyrzuty, że igra z ogniem.

Co pomyślałaby Lydia, gdyby zobaczyła, że trzyma Banner w objęciach i całuje ją? To pytanie nurtowało go przez cały tydzień. Z całą pewnością osłupiałaby ze zgrozy. Wiedział, że Lydia kocha go jak brata i dałaby mu wszystko, o co by poprosił, jeżeli tylko byłoby to możliwe. Zresztą tak postąpiłaby w stosunku do każdego z członków jego rodziny.

Natomiast nie pokochałaby go jako zięcia.

Był akceptowany jako przyjaciel rodziny, ale jako mąż córki? Lepiej się nie oszukiwać. Banner była ich księżniczką, a jemu do księcia daleko.

Reakcja Lydii byłaby jednak niezwykle łagodna w porównaniu z zachowaniem Rossa, gdyby zobaczył Jake'a całującego Banner. Z pewnością zastrzeliłby go na miejscu! Znał przecież jego reputację kobieciarza. Cóż, sam Jake mu opowiadał o swych niektórych wyczynach.

Śmieli się z tych opowieści, siedząc przy whisky i cygarach w środku nocy. Im bardziej byli pijani, tym pikantniejsze stawały się wspomnienia Jake'a.

– Odpadnie ci kiedyś, jeśli nie dasz mu trochę odpoczynku – powiedział kiedyś Ross, śmiejąc się do łez.

– Śmierć z wyczerpania mam zapisaną w gwiazdach.

Rossowi nie przeszkadzał tryb życia Jake'a, dopóki nie dotyczyło to jego rodziny. Ale czyż mógłby pozwolić, by ręce, które dotykały prostytutek, obejmowały jego córkę? Do cholery, nie! Musiałby być głupi albo szalony, żeby go nie zastrzelić.

Najlepsze, co Jake powinien w tej chwili zrobić, to spakować się, pożegnać, osiodłać konia i ruszyć, gdzie oczy poniosą. Wróciłby dopiero wtedy, kiedy dowiedziałby się, że Banner szczęśliwie wyszła za mąż.

Ale na to nie mógł się zdobyć.

Zdążył już ogromnie przyzwyczaić się do miejsca, któremu poświęcił wiele wysiłku. Wyobrażał je sobie w pełnym rozkwicie, podobne do River Bend. Chciał mieć w tym swój udział. Po raz pierwszy w życiu poczuł się za coś odpowiedzialny. Nie mógłby wyjechać, zostawiając niedokończoną robotę.

Od czasu zabicia Clancey'a Russella wciąż uciekał przed odpowiedzialnością. Ale ucieczka nie może być sposobem na życie. W tej chwili dano mu szansę – może ostatnią w życiu – by przekonać siebie i innych, że potrafi zrobić coś ważnego. Musi ją wykorzystać!

Tylko jak to wszystko pogodzić z trzymaniem się z dala od tej dziewczyny? Szczególnie gdy patrzy na ciebie niewinnymi oczami, które na przemian błyskają raz zielenią, raz złotem. Gdy skórę ma mokrą i pachnącą po kąpieli. Boże miłosierny! Czyż ona wie, że cienki szlafrok przywarł jej do ciała i zamiast kryć – uwypukla kształt jej jędrnych piersi i rozwiniętych bioder, ud i tajemniczego wzgórka między nimi? Czy ma pojęcie, jak podniecające są jej włosy, niby związane na czubku głowy, a w rzeczywistości – rozsypane na twarz i ramiona? Czy zdaje sobie sprawę, że jej usta stworzone są do pocałunków?

– Jake, gdzie jesteś? O czym myślisz? Powiedziałeś coś i urwałeś. Chcę, żebyś dokończył.

Ocknął się z marzeń i rzucił ostro:

– Posunęliśmy się dalej, niż powinniśmy.

– Mów za siebie – przerwała mu gwałtownie. – Tamtej nocy dostałam to, co chciałam. I niczego nie żałuję!

– Ach tak! – krzyknął. – Wcale się nie dziwię, że tak ci zależy na tym przyjęciu. To ci daje możliwość poflirtowania ze wszystkimi młodzikami z całej okolicy.

– Jak możesz być taki niedelikatny!

– No przecież po to się wydaje takie przyjęcia, prawda?

– Nie wiem! Oświeć mnie!

– Masz dobrą okazję do zaprezentowania swych wdzięków wszystkim kawalerom. Możesz z nimi poflirtować, powdzięczyć się do nich, pochwalić się przyjaciółkom zapełnionym karnetem.

Zamknęła oczy i zaczęła wolno liczyć do dziesięciu z nadzieją, że się uspokoi.

– Znowu do tego wracasz?

– Wracam? Do czego?

– Do traktowania mnie, jakbym była dzieckiem.

– W porównaniu ze mną jesteś dzieckiem.

Oparła ręce na biodrach, nieświadoma, że w ten sposób jeszcze bardziej uwypukla swe kształty. Przechyliła głowę w bok, odsłaniając nagą szyję. W ogóle nie myślała o swoim wyglądzie, tylko chciała znaleźć najcelniejszą ripostę.

– No tak! Biedny, stary Jake Langston. Jesteś rzeczywiście zniedołężniałym staruszkiem. Założę się, że mama zaprosiła cię na to przyjęcie w charakterze przyzwoitki dla nas, młodych!

Zacisnął zęby.

– Nie jadę! – zaakcentował wyraźnie te słowa.

– To ja również! – odpowiedziała beztrosko.

Obróciła się na pięcie i zatrzasnęła drzwi tuż przed jego nosem. Sekundę później wyleciały z zawiasów, popchnięte przez Jake'a. Podszedł do niej, chwycił ją za ramię i potrząsnął.

– Co to ma znaczyć?!

– Dokładnie to, co powiedziałam: jeśli ty nie pojedziesz, ja też nie pojadę. – Palcem wskazała na niego: – I to ty wytłumaczysz naszą nieobecność.

Puścił ją i rzucił kapelusz w kierunku haka przy drzwiach; nie trafił – kapelusz upadł w kałużę, którą Banner pozostawiła po wyjściu z balii. Stał i przeczesywał włosy palcami, mrucząc słowa potępienia pod adresem zepsutych bachorów.

– W porządku, Banner. Ale pamiętaj! Ostatni raz stawiasz na swoim. Ostrzegam cię, abyś od tej pory trzymała się z daleka ode mnie. A na tym cholernym przyjęciu zamierzam się bawić, rozumiesz?

Zamrugała powiekami.

– Ależ, oczywiście, Jake – niemal zaszczebiotała. – Właśnie ja również chcę tak spędzić czas. Przecież powiedziałeś, że po to się urządza przyjęcia!

Poczuł gwałtowną chęć przełożenia jej przez kolano i wlepienia paru klapsów, lecz wtedy nie obyłoby się bez dotykania jej. Nie mógł tego zrobić, zwłaszcza że włożyła na siebie jedynie lekki szlafrok, pod którym była naga. Miała zaróżowioną skórę. Z pewnością ciepłą i...

Cholera! Co on tu jeszcze robi?

– Zabiorę cię o...

– Nie chciałbyś się wykąpać? – przerwała mu.

Zatrzymał się, jakby trafił na szklaną ścianę, i wolno odwrócił się w jej stronę.

– Co takiego?

– Ciepła kąpiel. Podgrzałam wodę...

– Szedłem właśnie do strumienia.

Zmarszczyła śmiesznie nos.

– To nie to samo co przyjemna, ciepła, odprężająca kąpiel.

Nie czekając na jego zgodę, rozpoczęła przygotowania. Wiadrem wybrała wodę z balii i wylała ją na podwórko. Wlała gorącą z garnków stojących na piecu, dodała zimnej i sprawdziła palcami temperaturę.

– Tak, teraz jest w sam raz.

Przez cały czas zupełnie go ignorowała. Zwróciła się do niego dopiero wtedy, gdy kąpiel była gotowa.

– Skorzystasz?

Stał jak zaklęty i pozwalał, by owijała go sobie dookoła małego palca. Jej ciało, osłonięte cienkim materiałem, bez reszty pochłonęło jego uwagę. Był zafascynowany jej biodrami, widocznymi, gdy nachylała się nad balią. Kosmyki włosów przykleiły się do wilgotnych policzków, dodając jej powabu.

Miała nieproporcjonalnie małe stopy w stosunku do całego ciała.

Wiedział doskonale, że powinien jak najszybciej stąd uciekać, ale wbrew temu powiedział:

– Skoro zadałaś sobie tyle trudu...

– Pójdę po ręcznik, a ty tymczasem przynieś dla siebie ubranie.

Z obawą, że Jake skorzysta z okazji, by umknąć śladem kowbojów, wyglądała przez okno. Kiedy zobaczyła, że wraca z odświętnym ubraniem w ręku, odetchnęła z ulgą. Zawczasu przygotowała mu myjkę, mydło oraz ręcznik i położyła na stoliczku obok balii.

– Zostawiam cię samego – odezwała się miękko.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Zamknęła drzwi między kuchnią i salonem i przeszła do sypialni, pozostawiając drzwi otwarte. Jakiś wewnętrzny głos nakazał jej tak postąpić. Zdjęła szlafrok i zupełnie naga, marzyła, by Jake ją tak zobaczył.

Usłyszała plusk: był w balii.

Myśl ta wywołała w niej dziwne uczucie ciepła, rozchodzącego się po całym ciele, i sprawiła, że brodawki piersi stwardniały.

Przemogła się i dotknęła palcami jednej: natychmiast przypomniała sobie dotyk ręki Jake'a, kiedy uczył ją rzeczy, których ona sama o sobie nie

wiedziała. Ciało poddało się pieszczocie. Między udami poczuła gorącą wilgoć. Zadygotała.

Szybko cofnęła rękę, przestraszona, że Bóg ją skarze za tę grzeszną ciekawość.

Ale obraz kąpiącego się Jake'a nie chciał tak łatwo zniknąć sprzed oczu. Wychowała się wspólnie z bratem, toteż miała pewne pojęcie o budowie męskiego ciała, jednakże nigdy dotychczas nie widziała nagiego dorosłego mężczyzny. Jej koleżanki mężatki, jeśli już któraś odważyła się poruszyć zakazany temat, zawsze mówiły, że to jest czymś strasznym.

Według niej to coś musiało być piękne. Jeśli wszystko w Jake'u było piękne, to dlaczego nie to? Nie powinna być tym przestraszona. Wychowała się na ranczu i wiele razy widziała podniecone samce.

I przecież już tego doświadczyła. Pierwsze pchnięcia były energiczne i silne, a ból, tylko chwilowy, zaraz rozpłynął się w nicość. Czuła to w sobie – gładkie, twarde i duże, ale nie widziała. Tak naprawdę dręczyła ją ciekawość, jak to wygląda.

Może zaproponować, że umyje mu plecy?

Już była przy drzwiach, kiedy zmieniła zamiar.

Wiedziała, że to bardzo nieprzyzwoite, ale miała nadzieję, że kiedyś będą się znowu kochać i że wtedy oboje będą nadzy.

Przeciągnęła się i zaczęła się ubierać.

Wybrała zieloną, żywą sukienkę, dopasowaną w talii i mocno marszczoną na biodrach. Zapinało sie ją na plecach i o to chodziło – sama nie mogła sięgnąć do paru najwyższych guzików.

Spojrzała na kuchenne drzwi. Były nadal zamknięte, ale przez ostatnich kilka minut nie słyszała już odgłosów kąpieli. Przeszła przez salon i zapukała.

– Jake?

– Ta-a?

– Mogę wejść?

– Przecież to twój dom.

Właśnie przesuwał po podłodze balię w kierunku tylnych drzwi. Otworzył je i wylał mydliny na zewnątrz.

Banner stanęła jak wryta.

Miał na sobie jedynie czarne spodnie. Był boso i bez koszuli. Silne, dobrze rozwinięte mięśnie ramion i klatki piersiowej przykuły jej uwagę. Napięły się, gdy podniósł balię i wstawiał ją do komórki. Wstrzymała oddech, kiedy odwrócił się do niej.

Z bliska jego tors prezentował się okazalej, niż widziany z daleka. Intrygowały ją brązowe tarcze wokół sutek, otulone złotymi włoskami. Czy dotykane i pieszczone reagują tak samo jak jej?

Podniosła oczy wyżej.

– Potrzebuję pomocy przy guzikach.

Głos, lekko schrypnięty, brzmiał uwodzicielsko. Podeszła do niego i odwróciła się plecami. Ręką odgarnęła włosy z karku.

Zapiął guziki z większą wprawą, niż się spodziewała. Ile razy proszono go o taką przysługę? A ilu kobietom rozpinał suknie albo bluzki? Czy Banner im dorównuje? Jeśli jeszcze tak nie jest, to na pewno niedługo dojdzie do tego. Będzie lepsza od wszystkich.

Trzymając odsunięte na bok włosy, obróciła się wokół własnej osi i spod rzęs spojrzała na Jake'a.

– Kąpiemy się w tej samej balii, zapinasz guziki mej sukni. Nie wydaje ci się, że moglibyśmy być małżeństwem?

Twarz mu skamieniała, nie drgnął żaden mięsień. Źrenice oczu stały się nieruchome.

– Nie. Nie wydaje mi się. Bo jeśli bylibyśmy małżeństwem i wyszłabyś mi na spotkanie ubrana tak jak teraz, już miałbym cię w łóżku i kochał tak, aż krzyczałabyś z rozkoszy!

Otworzyła usta, jakby nie mogła złapać powietrza. Zbladła, cofnęła się bez słowa, a potem wybiegła z kuchni. Słyszał tylko, jak trzasnęły drzwi sypialni.

Podbiegł do nich, chwycił za klamkę. Zacisnął dłonie, aż zbielały kostki.

– Przepraszam cię, Banner. Przepraszam.

Nie był pewny, kiedy to sobie w pełni uświadomił. Możliwie, że docierało to do niego przez cały tydzień, lecz raptem trafiło go jak grom z jasnego nieba. Na pewno wiedział to już wtedy, kiedy szedł po czyste ubranie.

Banner nie próbowała zaciągnąć go do łóżka, ona chciała skłonić go do małżeństwa!

Do tego potrzebowała tamtej nocy, dlatego przygotowała wystawną kolację, była uprzedzająco grzeczna i poświęcała mu całą swą uwagę.

Ależ był ślepy!

Te proste sztuczki niemal osiągnęły skutek. Gdyby Lydia nie wybrała tego właśnie momentu na odwiedziny, posłuchałby głosu ciała i posunąłby się za daleko. Jedna chwila zapomnienia, i to na jej wyraźne życzenie, była do wybaczenia. Ale kolejny raz? Cóż… Wtedy musiałby się ożenić.

Nie potępiał Banner. Była jeszcze prawie dzieckiem, niedoświadczoną, młodą kobietą, której dumę i dobre imię narażono na drwiny. Praktycznie rzecz biorąc, ich małżeństwo miało sens. Czyż sam już wcześniej nie rozważał takiej możliwości? Bał się nawet przed sobą do tego przyznać.

Przecież kiedy Lydia odjechała, nie tęsknił już za nią tak jak kiedyś! Przecież pragnął jak najszybciej wrócić do Banner i z powrotem wziąć ją w objęcia! Odjazd Lydii wcale go nie zasmucił. Bezsprzecznie Lydia wyglądała pięknie, jak zwykle zresztą, lecz to wszystko. Jake nie zdawał sobie sprawy, kiedy najważniejsza dla niego stała się Banner.

Obawiał się jednak, że zbyt poufałe stosunki wynikły z okoliczności. Byli zdani tylko na siebie. Zdecydowanie należy z tym skończyć! Trzeba przerwać tę zażyłość, bo inaczej Banner może rzeczywiście dojść do fałszywych wniosków. Dlatego nie ma wyboru – musi ją czymś urazić, by spojrzała na wszystko realnie.

Z takim postanowieniem wrócił do kuchni, by wziąć kąpiel, którą mu przygotowała. Kiedy zobaczył jej głodny wzrok, kiedy poczuł, że zaraz jest w stanie sam sprzeniewierzyć się swemu postanowieniu, powiedział to straszne zdanie.

Zranił ją. I nie może na tym poprzestać. Nie było innej drogi: ona musi uświadomić sobie, że wspólna przyszłość z Jake'em jest nierealna.

Kiedy będzie ją przekonywał o tym, niech Bóg sprawi, żeby sam w to uwierzył.

Rozdział 11

Grady Sheldon usłyszał krzyki, zanim dojechał konno do polany. Pewnie Doggie Burns bije Wandę – pomyślał. Zsiadając z konia, ujrzał teścia siedzącego na werandzie w otoczeniu psów. Obok stał dzbanek z alkoholem, którym stary chętnie się raczył. Grady domyślił się, że nie był to pierwszy w dniu dzisiejszym dzban samogonu.

Z domu rozległ się znowu przejmujący wrzask. Grady nieśpiesznie zbliżył się do werandy. Z głośnym warczeniem wybiegł mu na spotkanie jeden z psów; Grady kopniakiem odrzucił go na bok.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– Twój bachor chyba chce na świat; teraz wiesz? Następny przeraźliwy krzyk rozdarł powietrze.

– Ta – Burns wskazał głową drzwi – drze się tak już cały dzień. Cholery można dostać. Te wrzaski, piski, wydzierania – to zakłóca mi spokój, a ona myśli, że pierwsza na tym świecie rodzi bachora. Głupia, przeklęta dziwka.

Myśl o przyjściu na świat dziecka zaniepokoiła Grady'ego. Chciał zajrzeć do środka, ale nie mógł przemóc wstrętu.

– Czy ona... czy powiadomiłeś lekarza?

Doggie popatrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Czy myślisz, żem zgłupiał? Żeby urodzić szczeniaka, nie trza konowała. Przeklęte łapiduchy! Potrzebne tylko do tego, by ci wydrzeć ostatniego miedziaka z kieszeni. Jej matka sama dała se rady. A te wrzaski i krzyki, to tylko dla picu. Nie daj się na to nabrać.

Kolejny krzyk ściął Grady'emu krew w żyłach.

– Ona... to znaczy... myślę, że ją naprawdę boli.

Stary zaśmiał się.

– A i dobrze! To kara boska za łajdaczenie. Kara dotyka wszystkie baby, od Ewy… To za puszczanie się. Zamknij się tam! – wrzasnął w kierunku otwartych drzwi, aż psy zerwały się spod jego nóg. – Zajmij się nią. To twoja baba. I, do jasnej cholery uspokój ją, bo dłużej nie wytrzymam!

Grady wszedł do ciemnego, zadymionego pomieszczenia. Uderzył go w nozdrza tak obrzydliwy zapach, że musiał wstrzymać oddech. Wanda leżała na łóżku w poplamionej pościeli. Nieobrębione prześcieradła były zabrudzone wodami płodowymi i krwią. Widok ten przyprawił Grady'ego o mdłości.

Leżała z szeroko rozłożonymi nogami. W bladej i opuchniętej twarzy uwydatniły się sine, zakrwawione usta, które gryzła podczas kolejnych ataków bólu. Włosy, mokre od potu, przykleiły się do szyi. Koszula podwinęła się do samych piersi, odsłaniając nabrzmiały brzuch. Oczy miała zamknięte.

Poczuł wstręt i odrazę do leżącej. Piersi, które kiedyś potrafiły go podniecać, były teraz oblane wydobywającą się z ciemnych, dużych sutków siarą. Wanda nie wzbudzała w nim litości, nawet gdy prężyła ciało pod wpływem kolejnego bolesnego skurczu.

Chwyciła rękami kolana, podciągnęła je możliwie najbliżej piersi i parła, aż na twarzy pojawił się ciemnoczerwony rumieniec.

Kiedy po chwili opadła na pościel i otworzyła oczy, zobaczyła Grady'ego stojącego nad barłogiem.

– W końcu… ra… raczyłeś się poja… poja-wić – zachrypiała przerywanym głosem. – Przyjrzyj się, czegoś mi narobił, ty… ty sukin… synu. Toś ty mnie tak – au! – urządził!

– Jesteś pewna, że ja?

– Albo ty, albo jakiś inny gnój, co myślał, że jest zbyt dobry, by rozmawiać ze mną na ulicy, ale który potrafił pojawić się tu, by… kiedy musiał… – Au!

Zwarła szczęki i starała się przetrzymać falę bólu. Nie udało się; krzyk przeszył powietrze, aż Grady się wstrząsnął.

– Ojciec się denerwuje. Przysłał mnie, by cię uspokoić.

– Do diabła z nim i z tobą!

– Czarująca jesteś jak zawsze. Macierzyństwo ci służy – dodał nienawistnie.

Spojrzał na jej niekształtną postać i nagle zauważył wyłaniającą się z niej główkę dziecka. Zrobiło mu się słabo.

Wanda z krzykiem oparła się na łokciach i zaczęła przeć z całych sił. Brodą dotykała piersi i wydobywała z siebie niskie, gardłowe, prawie zwierzęce ryki.

– Mówiłem ci, żebyś ją zamknął! – ryknął nagle Doggie z werandy. – Cholerne baby – mruczał i kopniakami odpędzał psy. – Ide se przynieść nowy dzbanek.

– Pomóż mi, Grady. Pomóż mi – jęczała Wanda; z bólu zapomniała o wszystkich urazach. Chciała wzbudzić w nim litość. – Inaczej to dziecko się nie urodzi. Pomóż. Zrób coś! – wrzasnęła w końcu, widząc, że się nie rusza z miejsca.

– Twój ojciec kazał mi cię uspokoić – powiedział ochryple.

– Nie mogę powstrzymać krzyku. To boli. Bardzo boli.

Opadła na brudną poduszkę, a jej ciałem wstrząsnęły konwulsje. Zawyła przeciągle. W tej chwili zaczęły się wyłaniać ramiona dziecka. Już niedługo młody i przystojny Grady Sheldon będzie miał na karku jeszcze jednego Burnsa. Ta myśl bardziej go poruszyła niż przerażający widok i odór panujący dookoła. Znosić tę obrzydliwą rodzinkę przez całe życie? To nie do pomyślenia!

Od tygodni rozważał, co powinien zrobić. Doszedł do wniosku, który go przeraził. Nie miał jednak innego wyjścia, był zdesperowany. A w desperacji człowiek jest zdolny do czynów, które w normalnych warunkach nawet nie przyszłyby mu do głowy.

– Doggie kazał mi cię uciszyć. I powinienem to zrobić. – Wziął do ręki poduszkę. – Nie rycz już!

Spojrzała na niego szklistymi oczami, pełnymi już nie tylko bólu, ale i śmiertelnego strachu.

– Co chcesz zrobić?! Co? Boże!

Jeszcze jeden skurcz przebiegł po jej ciele, jakby fala zrodzona w piersiach przeszła przez brzuch, biodra, naprężyła podbrzusze, poderwała kolana – i małe czerwone ciałko leżało między jej nogami.

Grady zaczął działać.

Przykrył poduszką jej twarz, przycisnął mocno, aż głowa zagłębiła się w materac i trzymał. Walczyła o życie bardzo krótko. Po straszliwych godzinach porodu była bardzo słaba. Zdjął poduszkę z twarzy, kiedy ciało leżało już nieruchomo.

Podniósł się i poczuł spływające po plecach zimne strumyki potu. Nie spojrzał na Wandę, tylko rzucił okiem na leżącego między jej udami kwilącego noworodka; nawet go nie odwrócił, by zobaczyć, jakiej jest płci. Nie warto marnować energii, i tak ten malec nie pożyje długo, jeśli plan Grady'ego się powiedzie.

Odwrócił się, słysząc szuranie. Podszedł cicho do drzwi i ostrożnie wyjrzał. Doggie zaraz tu wejdzie na swych chwiejnych nogach. Kiedy stanął w drzwiach, mimo zamroczenia alkoholem, zauważył ponury nastrój.

– Co się stało? – zamamrotał. Postąpił parę kroków i potknął się o pałętającego się między nogami psa. Chwycił leżący kij, podparł się i krzyknął:

– Wanda! Sheldon! Co z wami? Czyżby się już to urodziło? Dlaczego was nie słychać?

Nawet nie poczuł uderzenia; ciężki pogrzebacz trafił go celnie w czaszkę, kiedy tylko przestąpił próg. Bez jęku, ciężko padł na podłogę.

Grady wyszedł z cienia i pochylił się nad nim – stary nie żył.

To ich wina, że umierają właśnie w ten sposób – pomyślał Sheldon, ocierając rękawem koszuli spoconą twarz: – Takie śmiecie nie powinny żyć wśród przyzwoitych ludzi. Kto będzie ich żałował? Takie było ich przeznaczenie, a on był jedynie narzędziem w rękach losu.

Nikt nie może go winić o spowodowanie śmierci Burnsów. Dla niego los też nie okazał się łaskawy. Stracił Banner, a wraz z nią – piękną posiadłość i prestiż, jakim cieszy się rodzina Colemanów w Larsen. Został publicznie

upokorzony i odtrącony przez ludzi, którzy dotychczas podlizywali mu się. Wycierpiał dość i od tej pory los powinien mu sprzyjać.

Podszedł do skrzynki u wezgłowia barłogu, która służyła za nocny stolik. Wziął lampę, rozbił ją i patrzył, czy nafta rozlewa się równo po drewnianej podłodze i prymitywnych meblach.

Zapalił cygaro. Wyszedł z pomieszczenia i mocno zaciągnął się dymem.

Wszyscy dokoła widzieli, że Burnsowie żyli byle jak, że Doggie był wiecznie pijany. Wanda zresztą też. Nikt nie widział, jak Grady wyjeżdżał z miasta. A jeśli nawet, to nikt mu nie udowodni, że przyjechał tu. Teraz, robiąc wielki łuk, wjedzie do miasta z przeciwnej strony, starając się, żeby co najmniej kilka osób go zobaczyło na wypadek, gdyby szeryf miał jakieś podejrzenia w związku z pożarem chałupy Burnsa.

Grady rzucił zapalone cygaro; nie czekał na wybuch ognia.

Szczęście wyraźnie mu dopisywało.

*

Kiedy Banner i Jake dotarli do River Bend, przyjęcie już się rozpoczęło.

Lydia i Ross znali się na organizowaniu spotkań towarzyskich. Lampiony, przystrojone kolorowymi papierkami, zwisały z najniższych gałęzi drzew. Stoły, wystawione na podwórze i nakryte białymi obrusami, uginały się pod ciężarem potraw. Z rożna unosił się smakowity zapach pieczonego mięsa. Beczki z piwem stały na niskich rusztowaniach. Ma przygotowała specjalny poncz dla pań. Orkiestra grała skocznie i głośno. Skrzypce, banjo, harmonijka ustna i akordeon tworzyły niezbyt zgrany, ale za to pełen entuzjazmu i dobrych chęci zespół. Brzmiały skoczne melodie – jedna po drugiej.

Kiedy Lydia i Ross spostrzegli znajomy zaprzęg wjeżdżający na podwórze, podeszli natychmiast, by powitać córkę i Jake'a. Ross chwycił Banner w talii i postawił na ziemię.

– Niemal zapomniałem, jak jesteś piękna, księżniczko – zawołał. – Gospodarowanie na ranczu widocznie ci służy.

– Tatku! – Przytuliła się do niego; dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo jej na co dzień brakuje ojca. Emanowały z niego spokój i siła. Chciałaby pozostać dłużej w jego opiekuńczych ramionach, ale świat idzie naprzód i ona musi się z tym pogodzić.

Z Jake'em nie zamieniła ani słowa, odkąd tak ją zranił.

Kiedy skończyła się ubierać, wyszła na werandę. Jake czekał na wozie, paląc cygaro. Ledwo na nią spojrzał, jednak podjechał bliżej i chciał jej pomóc wsiąść. Nie przyjęła wyciągniętej ręki i sama wdrapała się na siedzenie. Wzruszył nieznacznie ramionami, chwycił lejce i pojechali.

Siedziała milcząca i sztywna. Miała nadzieję, że Jake wyczuje jej niechęć.

Znowu zrobiła z siebie idiotkę, ale to już ostatni raz. Już więcej nie będzie miał okazji jej upokorzyć. Ich przyjaźń skończyła się raz na zawsze. Będzie z nim rozmawiała jedynie w sprawach rancza i tylko z konieczności. Koniec z zapraszaniem go do kuchni. Będzie mu gotowała, bo musi, ale żadnych wspólnych posiłków!

– Jak się masz, Jake? – Ross witał się serdecznie z przyjacielem. – Piwo jest tam, a coś mocniejszego u mnie w pokoju.

– Wolę coś mocniejszego.

Ross uśmiechnął się pod wąsem:

– Tak właśnie myślałem. Mam zresztą z tobą do pogadania...

– Ross... – Lydia westchnęła. – Tylko nie gadajcie dzisiaj o interesach. Przecież jest zabawa.

Wyciągnął do niej rękę, przyciągnął ją do siebie i pocałował prosto w usta.

– Naprawdę? Dla nas dwojga zorganizuję zabawę trochę później.

– Mów ciszej i puść mnie. Wszyscy na nas patrzą – broniła się bez przekonania Lydia. – Nie wypada.

– Chodź, Jake. – Ross klepnął go dłonią między łopatki, otoczył ramieniem i poprowadził przez podwórze w kierunku domu.

– Mężczyźni! – stwierdziła rozdrażniona Lydia, lecz do córki zwróciła się z uśmiechem: – Banner, wyglądasz prześlicznie.

– Dziękuję ci, mamo.

Jake nigdy nie prawił jej komplementów. Jego ostentacyjna obojętność bolała ją bardziej, niż pierwotnie myślała. I to zaczęło ją irytować.

– Wszystko wygląda cudownie. Miałaś pewnie masę roboty.

– A od czego są pomocnicy: Ma i chłopcy? – odparła Lydia. Jeśli używała słowa „chłopcy", zawsze to oznaczało Lee i Micaha.

– A właśnie! Gdzie oni się podziewają? Stęskniłam się za nimi.

Lydia uśmiechnęła się i dotknęła starannie uczesanych włosów córki. Banner upięła je wysoko, ale kilka pasemek wymykało się spod upięcia i swobodnie opadało na twarz.

– Im też bardzo ciebie brakuje, choć za nic nie chcą się do tego przyznać.

– Nie mają komu dokuczać.

– Przybyli tu prawie wszyscy twoi znajomi.

Lydia zdawała sobie sprawę z niezręczności sytuacji, w jakiej znalazła się córka, i wiedziała, że trudno będzie jej stanąć twarzą w twarz z gośćmi.

– Goście zebrali się pod starym orzechem – dodała.

– Pójdę do nich, mamo. – Banner ścisnęła rękę matki, jakby czerpiąc z niej oparcie i siłę.

– Baw się dobrze.

Pomachała matce dłonią i ruszyła w kierunku drzewa. Nie starała się przemykać przez podwórze ani przechodzić za plecami zebranych gości. Wszystkich znajomych witała uśmiechem, zagadywała, pozwalając im przyjrzeć się sobie. Niemal ostentacyjnie manifestowała swe dobre samopoczucie, aby nikt nie pomyślał, że załamała się po przejściach z Gradym. To on powinien się wstydzić, a nie ona.

– Cześć, Georgia, Bea, Dovie – zawołała radośnie, zbliżając się do grupy dziewcząt. Wszystkie ubrane były w suknie koloru dojrzewających zbóż, toteż jej intensywnie zielony strój wyróżniał ją spośród nich.

– Banner! – powitały ją chórem i otoczyły kręgiem.

Komplementom, ploteczkom, uwagom na temat wspólnych znajomych nie było końca. Ponieważ od kilku tygodni Banner nie miała kontaktu

z nimi i była odcięta od bieżących wydarzeń, chciała się od razu wszystkiego dowiedzieć. Spytana, jak się jej gospodaruje, przedstawiła swoje życie znacznie bardziej kolorowo, niż wyglądało ono w rzeczywistości. Zainteresowanie dziewcząt pastwiskami i inwentarzem szybko opadło, więc przeszły na inne tematy: zaręczyn, ślubów, przyjęć i mody. Banner rychło znudziło to paplanie i zaczęła się zastanawiać, czy kiedyś była tak samo trzpiotowata jak koleżanki.

Niepostrzeżenie podeszła do Micaha i Lee opartych plecami o drzewo. Nieświadomi jej obecności, prowadzili ożywioną konwersację.

– Myślisz, że to robi?

– Oczywiście, przecież można to wyczytać z jej oczu. Zawsze ją zdradzają.

– A Lulu Bishop?

– Nie wiem; prawdopodobnie nie, gdyż za bardzo boi się matki.

– A ja słyszałem, że przy pocałunku rozchyla wargi.

– Kto ci to powiedział?

– Ten facet, co pracuje u jej ojca.

– Ten z terytorium indiańskiego?

– Tak. Sądzisz, że zmyśla?

– Całkiem możliwe.

– No, a Bonnie Jones?

– Ma niezłe zderzaki. Wielkie jak dojrzałe melony. – Micah łokciem trącił Lee i zaśmiał się. – Założę się, że smakują podobnie.

– Dotykałem – pochwalił się Lee.

– Gadasz... – Micah z niedowierzaniem spojrzał na przyjaciela.

– Przysięgam na Boga!

– Kiedy?

– Jakieś dwa lata temu. Już wtedy było co wziąć w garść. Byliśmy razem na obchodach Czwartego Lipca, zorganizowanych przez Kościół.

– W kościele? Nie bujaj!

– Nie bujam. Ty też miałeś tam być.

– Tak, ale gorączkowałem i Ma mnie nie puściła. Jak to było?

– Wymknęliśmy się. Znasz tę wysoką skarpę nad rzeką? Właśnie tam poszliśmy. Bonnie wychyliła się do przodu, straciła równowagę i o mało nie wpadła do wody. Przytrzymałem ją i to samo wpadło mi w ręce.

– Bujasz.

– Przysięgam.

– A co ona na to?

– Zarumieniła się, obciągnęła sukienkę i powiedziała: Lee Colemanie, powinieneś bardziej uważać, gdzie kładziesz ręce. Na to jej odpowiedziałem: Ależ, Bonnie, przecież uważam. Są na swoim miejscu.

– I co potem? – przynaglał go Micah.

– Już nic, po prostu nauczyciel zaczął nas zbierać na pokaz sztucznych ogni. Cholera! Gdybym jeszcze przez minutę był sam z Bonnie, to tam dopiero byłyby fajerwerki!

Odłamał kawałek kory z pnia i rzucił ze złością na ziemię.

– Słyszałem, że wychodzi za jednego z Tylerów. Już pewnie pali się do nocy poślubnej.

– Ależ z was łotry! – Banner wyszła z cienia i stanęła między chłopcami.

– Niech cię diabli! Nie mieliśmy pojęcia, że tu jesteś.

– To słychać.

– Używasz starych chwytów? Znowu nas podsłuchujesz? – Micah się zaśmiał.

– Jesteście bardziej interesujący niż ktokolwiek inny na tym przyjęciu – zawołała wesoło. – Lee, jak śmiesz mówić w ten sposób o mojej przyjaciółce? Bonnie Jones jest porządną dziewczyną, na pewno obraziłeś ją swym niewłaściwym zachowaniem.

– Przede wszystkim nie powinnaś podsłuchiwać. To są sprawy, o których mężczyźni rozmawiają tylko między sobą.

– Skąd możecie wiedzieć, o czym rozmawiają mężczyźni? – spytała. – Jak byście zareagowali, gdyby ktoś mówił o mnie w taki sposób jak wy o Bonnie?

Spojrzeli po sobie zaskoczeni.

– Ja bym mu włosy ze łba powyrywał – zapewnił ją Lee.

– Bonnie ma przecież brata… A tę kto tu zaprosił? – Banner przerwała w pół zdania i patrzyła na nowo przybyłą, która dołączyła do grupki pod orzechem.

– Kogo? – spytał Micah, przyglądając się towarzystwu. Wiele osób już tańczyło i trudno było rozpoznać twarze.

– Dorę Lee Denney. Nie znoszę jej.

Chłopcy popatrzyli porozumiewawczo na siebie.

– Dlaczego?

– Jest wścibska, fałszywa i w dodatku plotkara.

– Mimo to wcale niezła – zauważył Micah.

– A tam!

Banner zawsze uważała tę niebieskooką blondynkę za sprytną lawirantkę i kokietkę. Zwykle wymyślnie uczesana, ubrana z przesadną starannością, używała zbyt mocnych perfum. Banner najbardziej nie lubiła jej nachalnego stylu bycia, narzucania się mężczyznom i kobietom. Dora zawsze usiłowała błyszczeć w towarzystwie i być w centrum każdej rozmowy. Używała wyszukanego słownictwa i mówiła przesłodzonym głosem. Banner wyczuwała w niej jedynie fałsz i nieraz miała ochotę zamknąć te kłamliwe usta.

– Lepiej tam podejdę i posłucham, co ona gada. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby właśnie opowiadała, że z powodu nieudanego ślubu usiłowałam popełnić samobójstwo.

Zostawiła ich. Micah patrzył, jak znika w kręgu koleżanek.

– No i co o tym myślisz?

Wzrok Lee był skierowany w to samo miejsce co Micaha.

– Nie obchodzi mnie, czy moja siostra lubi Dorę Lee, czy nie. Chciałbym ją sprawdzić, a ty?

– Ja tak samo. Oczywiście – żadne poważne układy, tylko przyjemne, szybkie spotkanie na sianie.

– Ta-a, to jest to – zgodził się Lee. – Sądzisz, że ona…

– Nie zdziwiłbym się. To widać w jej…

– …oczach? – dokończył Lee.

– O czyich oczach mówicie? – Jake potarł zapałkę o pień drzewa, a Micah i Lee aż podskoczyli z wrażenia; śmiał się z ich zakłopotania.

Z biura Rossa wyszedł na werandę, ale najchętniej ulotniłby się natychmiast z tego przyjęcia. Wskoczyłby na konia i pojechał do miasta. W tej chwili potrzebował jedynie szklanki dobrej whisky, łatwej dziewczyny i ostrej gry. Może w ten sposób, chociaż na krótko, udałoby mu się zapomnieć o Banner i powrócić do dawnego stylu życia.

Obraz dziewczyny wciąż miał przed oczami, aż bał się, że Ross może coś zauważyć: Banner w koszuli panny młodej, w obcisłych spodniach, podająca jedzenie, stojąca na stole podczas wieszania obrazu, tuż po wyjściu z wanny.

Banner. Banner. Banner.

Ona i tylko ona zaprzątała wszystkie jego myśli. Nie zdziwiłby się, gdyby Ross przeklął go, wydobył rewolwer i strzelił w sam środek czoła.

Ale nie! Ross traktował go jak zawsze serdecznie, a to powodowało, że Jake czuł się jeszcze gorzej. Ucieszył się, kiedy Lydia przerwała ich pogawędkę, wołając Rossa, by wyszedł powitać burmistrza miasteczka Larsen, który właśnie przybył na przyjęcie.

Stojąc na werandzie, Jake zobaczył Banner. Otoczona przyjaciółkami, śmiała się wesoło. Ten widok ucieszył go. To dobrze, że się śmieje, zwłaszcza że mocno przeżyła jego słowa. Niestety musiał ją zranić, musiał ją dotknąć do żywego w najbardziej niewybredny, prymitywny sposób. Lepiej, żeby poznała jego prawdziwy charakter, a nie tworzyła dalekiego od rzeczywistości, romantycznego jego obrazu.

Żeby uwolnić się od natłoku niewesołych myśli, Jake skierował się w stronę Lee i Micaha, którzy rozprawiali o czymś konspiracyjnym szeptem. Zaraz domyślił się przyczyny ich ożywienia.

– Jak to się dzieje, że wszystkie dziewczyny są tam, a wy tutaj, w cieniu? Żeby was nie widziały? Czyżby już was od siebie odpędziły?

– Coś ty! – zaprzeczył Micah. – Tak sobie gadamy ogólnie O kobietach, a o jednej w szczególności.

– Tak? O której?

Pokazali mu Dorę Lee.

– Czemu o niej? – spytał Jake bez specjalnego zainteresowania.

– Właśnie się zastanawialiśmy, czy w plotkach, jakie krążą na jej temat, może być trochę prawdy – wyjaśnił Lee.

– A co to za plotki?

Dziewczyna mu się nie podobała: za dużo gestykuluje, za bardzo mruga oczami, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Ma wysokie mniemanie o sobie, zupełnie jak Priscilla Watkin. Jest zbyt pewna swojej urody.

Ale właśnie takiej kobiety potrzebował na dzisiejszy wieczór, kobiety, do której nie żywił żadnych uczuć.

– Gadają o niej, że… no, wiesz… – Micah przymrużył oko.

– Ach tak. – Jake uśmiechnął się leniwie. – Sprawdzę to.

Patrzyli na niego z podziwem i zazdrością.

– Uważaj, to córka burmistrza.

Jake posłał im zabójczy uśmiech.

– Takie są najlepsze.

Kiwnął chłopcom ręką.

– Moi rodzice koniecznie chcieli posłać mnie do tej nowej sokoły dla dziewcząt w Waco, ale ja… – zawiesiła głos w połowie zdania i zapatrzyła się w kowboja, który przeciskał się przez tańczących. W świetle latarni jego włosy zdawały się białe i nawet z tej odległości mogła stwierdzić, że oczy miał intensywnie niebieskie. – Kto to? – spytała szeptem.

Banner podążyła za jej wzrokiem i spostrzegła Jake'a, który zręcznie wymijając zebranych, poruszał się charakterystycznym kowbojskim krokiem. Nisko zawieszony pas z rewolwerem w jakiś nieokreślony sposób podkreślał jego męskość. Biała bawełniana koszula i czarna skórzana kamizelka uwydatniały szerokość jego barków. Czerwona apaszka, zawiązana wokół szyi, nadawała mu drapieżny wygląd.

Stanął, wyjął z ust niedopałek, rzucił przed siebie i przydeptał bardzo dokładnie butem. Każdy jego ruch był celowy i przemyślany.

– To Jake Langston – powiedziała Banner. – Mój rządca.

Dora Lee gorzko żałowała, że nie brała udziału w ceremonii ślubnej Banner. Naumyślnie opuściła tę uroczystość, wyjeżdżając do rodziny w Galveston; nie chciała brać udziału w „święcie Banner Coleman", jak to sama ironicznie nazwała. Nie lubiła uczestniczyć w wydarzeniach, w których nie odgrywała głównej roli.

Kiedy wróciła i dowiedziała się o skandalu, nie mogła sobie darować, iż nie była świadkiem kompromitacji Banner.

Słyszała o kowboju, który stanął w obronie honoru rodziny Colemanów, ale opowieści o nim uznała wówczas za bardzo przesadzone. Teraz jednak skłonna była przyznać, że się myliła.

Zaskoczona patrzyła na Jake'a, który stanął tuż przed nią.

– Zatańczysz?

Wypowiedział tylko jedno słowo i to wystarczało. Po raz pierwszy zaniemówiła z wrażenia. Podeszła do niego, pozwoliła otoczyć się ramieniem i uprowadzić z grupy zazdroszczących jej koleżanek.

Banner poczuła, że coś w niej zamiera. Nawet na nią nie spojrzał! Wpatrywał się w dziewczynę, którą uznała za hałaśliwą, głupią, nieznośną i przez nikogo nielubianą.

A zresztą – dobrze! Są siebie warci!

– Dlaczego tu wszystkie stoimy? – zawołała ze sztuczną wesołością. – Zmuśmy tych dżentelmenów do tańca.

Krążyła wśród gości, uśmiechając się promiennie. Zaraz znalazła sobie partnera do tańca, potem drugiego i następnego. Kręciła się w rytm muzyki, śmiała i dawała chłopcom do zrozumienia, że jest wolna i jej serce stoi otworem. Przekonywała siebie, rodziców i otoczenie, że bolesne przejścia nie pozostawiły w niej żadnego śladu.

Ani na sekundę nie traciła z oczu Jake'a i Dory. Widziała, jak jego ramię mocno przytula partnerkę do siebie, a ona, wprost nieprzytomna z zachwytu, pozwala na wszystko. Banner nie przegapiła również momentu, kiedy oboje zniknęli za stajnią.

Jake przeklinał sam siebie za swój wybór. Dziewczyna była głupia i próżna, ale o tym wiedział, zanim się do niej zbliżył. Jej tępota była wprost

nie do zniesienia. Udawała wstydliwą, lecz poddała mu się bez żadnego oporu.

Ta zdobycz okazała się zbyt łatwa. Nawet nie poczuł dreszczyku emocji, kiedy rozpinał jej stanik i w świetle księżyca oglądał nagie piersi.

– Zwykle nie pozwalam mężczyznom...

– Pozwalasz, pozwalasz... – Pocałował ją w kark i czekał, jak zareaguje na brak elementarnej grzeczności z jego strony.

Patrzyła na niego pustymi oczami. Językiem zwilżyła wargi.

– Ale ciebie lubię, Jake.

– Więc okaż mi to.

Językiem krążyła wokół jego ust. Nie podobał mu się jej zapach. Prawie się zmusił, by dotknąć jej piersi. Jego ciało zareagowało na dotyk delikatnego kobiecego ciała, ale bez zwykłego żaru. Mógł ją mieć, mógł rozładować napięcie, jakie czuł od tygodni. Byłaby to jednak tylko chwilowa ulga. Głód z pewnością wróci już nazajutrz, ponieważ pragnął całkiem innej kobiety.

Nie był w porządku wobec tej dziewczyny, nawet jeśli była głupia i samolubna.

Ale, ale! Od kiedy to Jake Langston, znany uwodziciel, zaczyna się martwić czyimiś uczuciami? Ta noc w stajni tak go zmieniła, że na starość zrobił się sentymentalny? Normalnie taki łakomy kąsek jak Dora Lee powinien być zaliczony bez wahania.

Ale te refleksje przyszły za późno. Jake delikatnie odsunął się od Dory.

– Wróćmy lepiej do towarzystwa – zaproponował.

Zaczął zapinać jej sukienkę i zauważył, że wcale jej się to nie podoba.

– Nie chcę, aby twój ojciec nas tu znalazł – dodał szybko.

– Nie myśl o mnie źle – prosiła. – Straciłam na moment głowę, bo nigdy nikt mnie tak nie dotykał.

Drżącymi dłońmi poprawiła fryzurę i starannie obciągnęła sukienkę, a potem dołączyła do towarzystwa. Jake przeprosił ją i natychmiast poszedł w stronę beczki z piwem. Gdy gasił pragnienie, Micah i Lee znaleźli się tuż obok niego.

– I co?

Uśmiechnął się smutno.

– Dora Lee jest w porządku. Życzę wam szczęścia.

Przyjęcie dobiegało końca.

Jake spędził trochę czasu z Ma, którą srodze dotąd zaniedbywał. Odpoczywała w fotelu na werandzie. Starał się skupić na rozmowie z matką, ale jego oczy ciągle śledziły Banner; tańczyła ze wszystkimi – młodymi i starszymi mężczyznami.

A robiła to diablo sprytnie. Podczas tańca trzymała głowę pod takim kątem, by partner mógł zajrzeć jej w dekolt. Do każdego z nich śmiała się tak, jakby tylko ten jeden istniał na świecie. Jeśli któryś z partnerów mocniej przycisnął ją w tańcu, nie reagowała.

Jake widział to wszystko dokładnie i czuł narastającą złość. W końcu postanowił, że jeśli Randy jeszcze raz poprosi ją do tańca, to zrobi temu chłopakowi krzywdę, choćby wykastruje go...

Kiedy szli już w kierunku gotowego do odjazdu wozu, czuł się zupełnie rozbity. Podczas gdy się żegnali, Ross nagle spojrzał w kierunku północno-wschodnim. Na horyzoncie pojawiła się złocistoczerwona łuna.

– Co to może być?

– To pożar – odparł Jake.

Micah gwizdnął przez zęby.

– Ale się pali!

– Co to jest? Tak daleko od miasta. – W głosie Lydii czuło się strach.

– Pewnie busz; jest bardzo sucho. Przydałby się deszcz – zakończył dyskusję Ross.

Ciekawość wszystkich została zaspokojona tym rozsądnym wyjaśnieniem.

Ale tuż obok wybuchł jeszcze jeden pożar. Pożar zazdrości widoczny w zielonozłotych oczach Banner.

Rozdział 12

– Ross, to jest…

– Cicho bądź, kobieto, i pocałuj mnie.

– Ale…

Zamknął jej usta swoimi, wyciszając w ten sposób nieszczere protesty. Udawała, że się broni, ale jej pocałunki były namiętne. Położył ją na kocu na sianie, nie zważając na to, że gniecie jej odświętną sukienkę.

Goście odjechali. Muzykanci zapakowali instrumenty i gotowali się do drogi. Ross odesłał Mę do domu, nie pozwalając niczego sprzątnąć. Wszyscy w River Bend mogą teraz zażywać odpoczynku.

Ross i Lydia cieszyli się swoją samotnością.

Językiem smakował jej usta, rękoma zaś burzył fryzurę, wyjmując z włosów spinki i pozwalając im swobodnie opaść.

– Wstydź się – wyszeptała, kiedy zaczął gładzić jej szyję.

– Dobrych manier miałem dosyć przez cały ten wieczór, a teraz mam ochotę na przypomnienie sobie paru szaleńczych epizodów z naszej młodości.

– Ach to dlatego zaciągnąłeś mnie na siano, zamiast do naszej szacownej alkowy?

– Jest coś podniecającego w igraszkach na sianie, nie uważasz?

– Powinieneś to wiedzieć – mówiła z udawaną powagą. – Przecież często, w samym środku dnia, zwabiałeś mnie tutaj. I za każdym razem strasznie się bałam, że dzieci bawiące się w chowanego mogą nas nakryć.

Ross zaśmiał się cicho i rozpiął jej stanik.

– Taki strach jeszcze bardziej podnieca.

Lydia zanurzyła palce w gęstych włosach Rossa i przyciągnęła jego głowę do siebie.

– Nie potrzebuję żadnych dodatkowych podniet. Za każdym razem, kiedy się z tobą kocham, jestem wystarczająco podniecona.

– Wpędzasz się w kłopoty, mówiąc takie rzeczy – oświadczył niskim, wibrującym głosem.

– Kocham w tobie tę dzikość – szeptała Lydia. – Rozpoznaję w tym dawnego Sonny'ego Clarka. Jesteś moim jedynym i kocham cię, bez względu na to, pod jakim nazwiskiem żyjesz.

W jej oczach pojawiły się ciepłe błyski; jemu też udzielało się jej wzruszenie.

– Kocham cię, Lydio.

– Wiem o tym. Ja też cię kocham.

Całowali się z pasją, której dwadzieścia lat wspólnego życia nie ostudziło. Kiedy żądza przeniknęła już wszystkie, najdrobniejsze nawet pory ciała, oddali się żywiołowo szalonym pieszczotom.

Jeszcze tylko moment, jeszcze tylko kilka czułych słów i pośpiesznych ruchów, i wspólny krzyk rozkoszy rozległ się w pustej stajni, wracając do nich echem.

Leżeli obok siebie, oddychali pośpiesznie i wsłuchiwali się w monotonną, tajemniczą pieśń cykad. Rozpięła mu koszulę i palcami muskała obrośniętą pierś, szepcząc słowa miłości i oddania. Byli kochankami, którzy są sobie przeznaczeni.

– Banner wygląda na zadowoloną, nie sądzisz? – spytała nagle.

Ross westchnął i przyciągnął ją bliżej.

– Rzeczywiście. Jest mądra i nieustępliwa jak pewna kobieta, której imienia nie wymienię. – Uszczypnął ją delikatnie w pośladek. – Aby ją okiełznać, potrzebny jest ktoś z charakterem, nie taki mięczak jak Grady Sheldon.

– Ale martwisz się o nią? Tak trochę, czasem?

– Tak, martwię się. I cały czas o niej myślę, wiesz przecież.

Skinęła głową, ocierając się policzkiem o jego ramię.

– Nie potrafię oswoić się z myślą, że nasza córka nie jest już dziewczynką. Stała się kobietą i może stanąć na własnych nogach. Za wszystkie decyzje, jakie teraz podejmie, będzie sama odpowiadać, i to mnie przeraża. Jest taka impulsywna. Łatwiej już zaufać pomysłom Lee. Chyba dlatego, że to chłopak. Chcę nadal ochraniać Banner, choć z daleka.

Ujął w ręce jej głowę.

– Kocham nasze dzieci. I zawsze boję się o nie.

Lydia przymknęła oczy. Ona doskonale znała ten stan, o którym mówił Ross. Za każdym razem, kiedy na chwilę traciła z oczu Lee czy Banner, doświadczała rozpaczliwego uczucia ostateczności. Bała się, że właśnie ostatni raz widziała swe dziecko. Wiedziała, że to nierozsądne, ale nic nie mogła na to poradzić.

Podparła się na łokciu, by spojrzeć mu w oczy.

– Może nie dręczyłyby nas takie niemądre strachy, gdybyśmy mieli… mogli mieć więcej dzieci?

Znowu to samo – pomyślał Ross.

Spojrzał jej prosto w twarz; wciąż był przekonany, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał w życiu. Nie była klasyczną pięknością jak Victoria Gentry, ale na jej twarzy malowało się wzruszenie i radość, i siła – cała jej osobowość. Oczy wprost promieniowały bogactwem wnętrza.

– Lydio, przez dwadzieścia lat dawałaś mi więcej szczęścia, niż mogłem oczekiwać. Powiedziałem ci, że dla mnie nie jest ważne, ile mamy dzieci.

Opuściła bezradnie oczy.

– Pamiętam twoje słowa. Ale nadzieja to zupełnie inna sprawa.

– W naszym życiu, nawet gdybym miał taką możliwość, nie zmieniłbym nic od dnia, kiedy wyjechaliśmy z Mosesem i dzieckiem z Jefferson.

– Tak się cieszę, że mamy Lee. I przez resztę życia będę wdzięczna Bogu za Banner. Jedyne moje życzenie to urodzić więcej dzieci. Zawsze o tym marzyłam, Ross.

Od dłuższego czasu ich rozmowy kończyły się takim zwierzeniem. Nie potrafiła zaakceptować faktu, że nie mogła zajść w ciążę po urodzeniu

Banner. Ross zapewniał ją setki razy, że nie czuje się z tego powodu zawiedziony. Kochała Lee. Wprawdzie był on synem innej kobiety, ale Lydia wykarmiła go własną piersią i wychowała.

Raz na zawsze chciałby usunąć z jej twarzy ten powracający wyraz smutku. Wiedział jednak, że to nierealne, dlatego za każdym razem starał się zająć jej myśli czym innym.

Jego dłonie odnalazły jej piersi, ciepłe i ponętne. Rytmicznie pieścił ciemne brodawki, aż stwardniały.

– Lydio, nie masz nad czym ubolewać – powiedział bardzo cicho. – Zawsze byłaś moją jedyną radością i szczęściem.

Podniósł głowę i ustami dotknął jej piersi. Poczuła jego gorący oddech, a potem giętki język muskał jej naprężone sutki.

Zamknęła oczy i powtarzała szeptem jego imię. Opadł na nią – dwa ciała tuliły się do siebie, aż przylgnęły tak szczelnie, że stały się jednością.

Myśli Lydii, zarówno radosne, jak i smutne, rozwiały się pod naporem namiętności, która ogarnęła ją całą.

*

Banner wyszarpnęła spinkę z włosów i rzuciła ją w ciemność poza siebie. Potem chwyciła następną, i tak wyrzucała jedną po drugiej.

– Co, u diabła, robisz?

– Rozpuszczam włosy.

– Czemu?

– Bo już dłużej nie mogę wytrzymać.

– Czego, na miłość boską?!

Potrząsnęła głową, a wiatr rozwiał jej włosy. Jedwabisty pukiel musnął policzek Jake'a.

– Przestań.

– Boli mnie głowa od tych grzebieni i spinek. Lubię, kiedy wiatr bawi się moimi włosami. A poza tym to nie twój interes.

Mruknął coś niezrozumiałego i skierował wzrok na konia ciągnącego wóz.

– Przynajmniej siedź spokojnie, bo możesz spaść i skręcić sobie kark.

W Banner coś się gotowało. Była niespokojna i nie mogła usiedzieć na miejscu. Jako dziecko zwykle wyładowywała złość na Lee, rozpoczynając z nim sprzeczkę.

Teraz też była w nastroju do awantury.

Jake zdawał się tego nie zauważać. Spokojnie powoził i palił to swoje przeklęte cygaro.

Bez wątpienia jego myśli obracają się wokół tej małej ladacznicy Dory Lee. Banner nie mogła zapomnieć widoku tych dwojga wyłaniających się z ciemności.

Dora Lee rzuciła jej tylko triumfujące spojrzenie, z kolei Jake szepnął coś do Micaha i Lee, rozśmieszając ich. Bez wątpienia powiedział coś nieprzyzwoitego. Najchętniej wymierzyłaby każdemu policzek, gdyby tylko mogła.

Niestety to było niewykonalne. Tańczyła więc, śmiała się, kokietowała, udawała, że to najlepsza zabawa w jej życiu, chociaż w rzeczywistości była nieszczęśliwa i przygnębiona. Ilekroć wyobraziła sobie Jake'a całującego Dorę Lee, ogarniała ją czarna rozpacz.

Była o niego zazdrosna, zanim jeszcze zjawił się na tym koszmarnym ślubie.

Zazdrosna o to, że wesoło spędzał czas z innymi ludźmi. Wiedziała, że to uczucie jest bezsensowne, ale nie mogła go zwalczyć.

– Dobrze się bawiłeś? – Musi przerwać to kłopotliwe, nieprzyjemne milczenie, bo inaczej wybuchnie gniewem.

– U-hm – mruknął zamiast odpowiedzi, wciąż wpatrzony przed siebie.

– Nie dziwię się, że jesteś zadowolony. Miałeś do wyboru tyle panienek… – nie dokończyła zdania, tylko podniosła głowę i popatrzyła w gwiazdy. Udawała, że to, co Jake robił na przyjęciu, nic a nic ją nie obchodzi. – Ja również doskonale się bawiłam. Uwielbiam tańczyć. Jutro z całą pewnością

będę miała obolałe nogi. – Chciała mu dać do zrozumienia, że nie brakowało jej partnerów do tańca.

– Możesz je wymoczyć i po kłopocie.

– Oczywiście, że to zrobię. – Niech go diabli z tym pouczającym tonem! – Nie wiem tylko, co Dora Lee będzie musiała wymoczyć – rzuciła z furią.

– Zauważyłaś?

Banner roześmiała się sztucznie.

– Jej jest wszystko jedno, z kim to robi. Byleby nosił portki.

– Myślisz, że to prawda? – spytał i językiem przesunął cygaro w ustach; Banner miała przemożną chęć wyrwać mu je i rzucić w ślad za spinkami do włosów.

– Wszyscy w mieście znają jej reputację.

– Hmm – mruknął znowu. – Uważam, że jest pociągająca.

– Pociągająca?! Mogę się założyć, że już to sprawdziłeś.

– No tak.

– Nie jest ci przykro, że m n i e, a nie ją, musisz wieźć do domu?

Lekceważąco wzruszył ramionami, co ją jeszcze bardziej rozzłościło.

– Widziałam was, jak wymykaliście się z przyjęcia. I co? Zasłużenie cieszy się swoją opinią? – Nie dała mu czasu nawet na otwarcie ust. – Jestem pewna, że tak. Widziałam głupawy uśmieszek na jej bezmyślnej buzi, kiedy wróciliście. Nie wstyd ci?

Odsunęła się od niego na sam koniec deski.

– Pewnie ją całowałeś, nie mówiąc o reszcie. Pieściłeś ją? Słyszałam, że pozwala na wszystko. Nie robi z tego żadnej tajemnicy! A ta jej pupa – niby taka kształtna – to tylko tłuszcz! Może to jej figura zrobiła na tobie wrażenie? Pokazała ci ją w całej krasie w świetle księżyca?

Jake spokojnie zaciągnął się cygarem i pozwolił, by dym bardzo powoli ulatywał z ust. Z rozmachem rzucił niedopałek do wody, kiedy przejeżdżali przez most na rzeczce.

– Nie całowałem jej ani nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy, o których mówisz. – Dopiero teraz odwrócił się i zmierzył Banner obojętnym spojrzeniem. – Powinnaś być z tego zadowolona.

Gdyby ją uderzył, nie byłaby bardziej dotknięta. Spojrzała na niego zawstydzona własnymi słowami. Nie mogła złapać tchu. Nagle uleciał cały jej tupet. Odwróciła głowę, raptem skrępowana.

Dalej jechali w milczeniu. On również był zazdrosny, ale nie chciał zwady z Banner. Zdusił w sobie gniew. Zastanawiał się, czy nie jest dla niej zbyt okrutny.

Może powinien otoczyć ramieniem te pochylone plecy i zdobyć się na słowa przeprosin?

Nie, Jake! – powiedział sobie. Jeśli teraz ją obejmiesz, wszystkie twoje dobre chęci zdadzą się psu na budę.

Jej włosy w ciemnościach były zupełnie czarne. Czuł ich przyjemny dotyk na twarzy. Pachniały delikatnie. Jej zapach – tego mu brakowało, gdy tylko odchodził od niej na kilka kroków. Świetnie wygląda w tej sukience: mocno dopasowana w talii, podkreślała kształt piersi, które bielały teraz w świetle księżyca.

Starał się wmówić sobie, że obezwładniająca go momentami czułość to uczucie typowe na przykład dla wujka kochającego swą bratanicę. Nie było to dobre tłumaczenie, ponieważ pociąg do niej nie miał nic wspólnego z pokrewieństwem.

Nie, Jake! Nie dotykaj jej! Raz już zrobiliście głupstwo, za które teraz oboje drogo płacicie! Nie powtarzajcie tego!

Gdy wjechali w podwórze, Banner szybko zeskoczyła z wozu, jakby chciała uciec. Całym wysiłkiem woli trzymała dumnie uniesioną głowę, choć czuła się bezgranicznie upokorzona. Wiedział o tym i dlatego nie mógł jej tak zostawić.

– Banner.

Zatrzymała się. Serce zabiło jej gwałtownie, gdy spojrzała na niego.

– Tak?

– Nie powinienem był tego mówić.

– Ale to prawda?

Przeskakiwał wzrokiem z miejsca na miejsce, byleby nie patrzeć na nią, nie widzieć, jak cierpi! Chciał jednak choć na moment odwlec pożegnanie.

– Ross powiedział mi o handlarzu bydła z Fort Worth. Podobno ten człowiek pomógłby nam kupić małe stado za zupełnie przyzwoitą cenę. Co o tym myślisz?

Nie chciała rozmawiać o bydle. Chciała go spytać, dlaczego ją tak traktuje. Czy nic do niej nie czuje? Czy potępia za to, do czego go skłoniła? A może kpi z jej niezręcznych prób omotania go?

– Ty jesteś autorytetem w tej dziedzinie. Zgodzę się z twoją opinią.

– Tak… – zakłopotany ujął lejce i zaczął się nimi bawić. – W takim razie wkrótce powinienem pojechać do Fort Worth i porozmawiać na ten temat.

– Jeśli uważasz, że to najlepsze rozwiązanie…

Skinął głową.

– No to dobranoc.

Banner, proszę cię, nie patrz na mnie w ten sposób. Chciałbym wziąć cię w ramiona… ale nie mogę! – tłumaczył się w myślach.

– Dobranoc!

Jake, dlaczego karzesz mnie za grzech, który popełniliśmy? Przecież ja nadal chcę być twoja. – Nie odważyła się wypowiedzieć tych słów.

– Pozamykaj dobrze drzwi – przypomniał Jake.

Pamiętam cię taką słodką i miłą i pragnę cię bardzo, ciągle na nowo. Ale nie mogę, nie mogę…

– Zamknę. Dobranoc.

Tamtej nocy byłeś dla mnie taki troskliwy, opiekuńczy i czuły. Dlaczego się zmieniłeś? – To pytanie również zostało zadane tylko w myślach Banner.

Weszła do pustego, ciemnego domu i zamknęła za sobą drzwi. Jake czekał, aż zobaczył światło lampy w jej sypialni. Dopiero wtedy pojechał dalej, w kierunku stajni.

*

– O Boże!

Szczapy wysunęły się z rąk Banner i spadły na podłogę. Jedną ręką zakryła usta, aby powstrzymać krzyk, a drugą chwyciła się za serce.

– Ty tutaj?!

Grady Sheldon wyszedł z cienia na werandzie i z wahaniem postąpił w jej kierunku.

– Jak się masz, Banner? – spytał nieśmiało.

Przezwyciężyła pierwszy strach, ale w dalszym ciągu nie czuła się pewnie. Jake z kowbojami pracował daleko poza domem, oczyszczając pastwisko z ciernistych krzaków i kamieni. Była sama w domu; wyszła na moment do szopy po drzewo. Ze wszystkich mężczyzn na świecie jego najmniej się tu spodziewała.

Ochłonęła z zaskoczenia, a jego bezczelność zaczęła budzić w niej złość. Podniosła szczapy.

– Powiem ci, jak się czuję: jestem zdumiona, że ośmieliłeś się tu pojawić. Jeśli natychmiast nie znikniesz, zastrzelę cię.

Ominęła go i ruszyła do drzwi. Chwycił ją za rękę.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Ja nie odczuwam takiej potrzeby. Radzę ci: lepiej zejdź mi z oczu i nigdy więcej się tu nie pojawiaj.

– Słyszałaś o mojej... mojej żonie?

Na nowo spłoszona, spojrzała na niego. Pożar, który zabrał Wandę i Doggie'ego Burnsa, był ciągle najświeższą sensacją w okolicy. Jake opowiedział jej o tym po powrocie z Larsen dwa tygodnie temu.

– Zaskoczyła mnie ta smutna wieść. Śmierć twojej żony to prawdziwa tragedia, ale mnie nie dotyczy.

– Posłuchaj mnie – powiedział ostrożnie. – Chcę tylko wyjaśnić, wytłumaczyć się. Nigdy nie dałaś mi takiej możliwości. A to chyba nie jest w porządku.

– Twój postępek, Grady, też nie był w porządku. Teraz przepraszam cię, nie mam czasu. Muszę przygotować kolację. – Weszła do domu i przed zamknięciem drzwi dodała: – Nie chcę cię więcej widzieć. Nigdy tu nie wracaj.

Uwiązał konia z drugiej strony zagrody i dlatego nie widziała, jak odjeżdża. Dopiero teraz poczuła, że drży. Wytarła spocone dłonie o nogawki spodni. Najwyższy czas zabrać się do przygotowania posiłku.

Postanowiła nie wspominać Jake'owi o tej wizycie. To mogłoby go tylko zdenerwować.

Od powrotu z przyjęcia w River Bend zachowywali się względem siebie poprawnie i uprzejmie. Odstąpiła od poprzedniego zamiaru, aby przygotowywać mu jedzenie na tacy i wystawiać za próg, gdyż zaraz po posiłku wychodził i jechał do miasta. Nie chciała nawet myśleć, dokąd się udaje i z kim się spotyka. Do szynku? Zobaczyć Dorę Lee? Nigdy nie zasypiała przed jego powrotem.

Żyli obok siebie, tolerując się wzajemnie. Pojawienie się Grady'ego nie było warte wzmianki, a mogło tylko popsuć tę kruchą koegzystencję. Była pewna, że Grady nie poważy się na powrót po tak stanowczej odprawie.

Ale zrobił to.

Wrócił następnego dnia. Mniej więcej o tej samej porze. Później zastanawiała się, czy planował swe wizyty tak, by nikogo poza nią nie zastać.

Tym razem zapukał do tylnych drzwi. Trzymał w ręku bukiet kwiatów.

– Mówiłam ci przecież, byś nigdy nie wracał...

– Mogę wejść?

– Nie! Odejdź!

– Banner, proszę cię. Proszę.

Przyjrzała mu się. Zmienił się. Jego twarz nie była już jak dawniej chłopięco przystojna, uczciwa i beztroska. Miał zmarszczki wokół oczu i ust, których przedtem nie widziała. Wyglądał mizernie.

Poczuła litość. Może też cierpi? Nie! To niemożliwe. Mężczyźni zawsze wychodzą z takich sytuacji nietknięci. Tak powiedziała Lydia.

Mogła to być litość, ale równie dobrze odwaga. Zdecydowała się pokazać mu, że się go nie boi. Otworzyła szerzej drzwi. Przestąpił próg. Nie poprosiła, by usiadł. Niezgrabnie trzymał w ręku kwiaty; dopiero po chwili położył je na stole.

– Banner, zdaję sobie sprawę, że masz powody do gniewu.

– Nie żywię do ciebie nienawiści. W ogóle nic do ciebie nie czuję. Wszelkie uczucia umarły, gdy dowiedziałam się o twojej zdradzie.

Zapatrzył się w swoje buty. Do licha! Wcale nie miał ochoty odgrywać pokornego cielęcia. Nie przyszedł tu jako skruszony grzesznik. Jeszcze trochę, a powie jej, że całą rodzinę Colemanów może piekło pochłonąć!

Ale nie! Musi się opanować. Mogą mu się przydać, tym bardziej że dwa ostatnie tygodnie to był najgorszy okres w jego życiu.

Przede wszystkim musiał udawać zbolałego i zaszokowanego faktem śmierci w pożarze swej żony i teścia. Potem było normalne w takich sprawach dochodzenie. Zakończyło się tak, jak przewidział. Ogień i śmierć uznano, z braku jakichkolwiek innych poszlak, za przypadkowe, ale niepokoił Grady'ego sposób, w jaki szeryf i wiele innych osób w mieście przyglądało mu się.

Potrzebował wsparcia rodziny Colemanów. Jeśli uzyska jej przebaczenie, wówczas cała społeczność też go przyjmie. Jego interesy nadal nie były zagrożone, bo jego tartak był jedyny w okolicy, lecz ludzie już go nie szanowali.

Poza tym wcale niebłahą sprawą był las, który teraz należał do Banner. By wejść w jego posiadanie, Grady gotów był przełknąć gorzkie pigułki, które mu podawała. Musiał grać rolę załamanego i cierpiącego; kobiety bardzo lubią, gdy mają okazję wybaczać mężczyznom. Nie potrafią się oprzeć pokusie zdobycia nad nimi przewagi. Banner nie powinna być wyjątkiem...

– Banner, scena w kościele była ohydna. Gnębiło mnie to bardziej ze względu na ciebie niż na mnie. Wiedziałem bowiem, co musisz przeżywać, dowiadując się o mnie takich rzeczy.

– Naraziłeś mnie i moją rodzinę na wstyd przed całym miastem.

– Wiem.

– To nie jest coś, co można łatwo zapomnieć.

– Mam nadzieję, że w przyszłości... – zaczął żarliwie. – Jeśli tylko dasz mi szansę wytłumaczenia się.

– Nie chcę żadnych wyjaśnień. Lepiej już idź stąd!

– Banner, proszę cię, wysłuchaj mnie.

Zwilżył wargi i z wyciągniętymi rękami zrobił krok w jej kierunku.

– Okropna jest myśl o tym, w jaki sposób zginęła Wanda, Doggie, niemowlę, wszyscy. Zarazem jednak czuję się jak ktoś, kto został skazany na dożywocie i nagle go uwolniono. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że ta dziewczyna nic dla mnie nie znaczyła…

– Kochałeś się z nią! – krzyknęła.

Zwiesił głowę.

– Wiem, wiem. Wierz mi, żałuję tego ogromnie. Byłem z nią jeden, jedyny raz – kłamał jak z nut. – Przysięgam! Takiej dziewczyny jak Wanda nie można kochać. Chodziło o coś innego… Poza tym nieprawdą jest, że byłem ojcem jej dziecka; przysięgam Bogu, że nie byłem! Niestety, nie mam możliwości, by to udowodnić.

– Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia. Rzecz w tym, że mnie zdradziłeś i zdradziłeś miłość, którą mi wyznawałeś.

– Wiem, że tobie, szanującej się kobiecie, trudno zrozumieć ten rodzaj pożądania. – Oczy miał opuszczone, więc nie mógł zauważyć pobladłych nagle policzków Banner. – To czasem się zdarza; nim się zreflektujesz, już zrobiłeś rzeczy, których później żałujesz.

Kiedy zaryzykował i podniósł głowę, chcąc sprawdzić, jaki skutek odniosły jego słowa – już nie patrzyła na niego.

– To wszystko wydarzyło się tak szybko – zaczął mówić dalej, przyjąwszy jej milczenie za dobrą monetę. – Pojechałem tam, bo chciałem kupić trochę samogonu. Była sama. Ona… ona, możesz sobie wyobrazić, jak potrafiła być bezwstydna. Wówczas wracałem prosto od ciebie i bardzo cię pragnąłem. Kiedy ją całowałem, wydawało mi się, że to ty… Tylko że ona nie chciała przestać. Nie powinienem mówić ci takich rzeczy, ale dotykała mnie i pieściła…

– Dość! Przestań! – Banner zacisnęła palce na oparciu krzesła z taką siłą, że poczuła ból.

Jak na ironię losu przypomniała sobie, jak błagała Jake'a, by ją posiadł. Przymilała się do niego i użyła wszystkich argumentów, posunęła się nawet do tego, że wypomniała mu jego miłość do Lydii. Miała oczy pełne łez. Boże! Nic dziwnego, że nią pogardzał! Tak samo, jak Grady pogardzał tą dziwką.

– Musiałabyś być mężczyzną, żeby to zrozumieć. Kiedy się zrobi pierwszy krok, nie ma już odwrotu. Traci się panowanie nad sobą. Po wszystkim znienawidziłem sam siebie. Nie mogłem uwierzyć, że coś takiego zrobiłem. Przysięgam, później nie tknąłem ani jej, ani żadnej innej kobiety. Chcę jedynie ciebie, bo cię kocham!

Otarła łzy. W Grady'ego wstąpił nowy duch; sądził, że płacze z jego powodu. Spojrzała na niego.

– Czego chcesz ode mnie? Po co naprawdę przyszedłeś?

– Chcę cię mieć z powrotem. Znowu proponuję ci małżeństwo.

– To wykluczone!

Zdecydowanie potrząsnął głową.

– Nie! Musisz mi tylko wybaczyć. Banner, błagam cię. Zrobiłem błąd! Jeden niefortunny krok! Nie mogę za to płacić przez całe życie. Powiedz, że to przemyślisz. Nie mogę bez ciebie żyć. Tak bardzo cię kocham.

Dziwiła się, jak pusto brzmią te słowa. Zaledwie kilka tygodni temu myślała, że go kocha. Czy rzeczywiście go kochała? Co czuje teraz? Tylko smutek. Miłość? Coraz bardziej przekonywała się, że to słowo nic nie znaczy. Używa się go zastępczo do nazywania najróżniejszych odczuć…

Czy miała prawo go potępiać? Przecież postąpiła podobnie. On zawiódł ją, prawda, ale ona też zdradziła tych, którzy ją kochali: rodziców, Mę, Lee, Micaha, samego Jake'a.

Jake. Tak, kocha go. Musi się przyznać sama przed sobą, że tak jest.

Kochała go całe życie. Było to radosne, głębokie uczucie ukryte w niej, wydobywające się na zewnątrz za każdym razem, gdy widziała Jake'a. Uczucie wszechogarniające, które nawet nie wymagało okazywania.

Ale ta, ta miłość jest inna: przysparza jej jedynie bólu, czasem poniżenia. Musi ją przeżywać w ukryciu. Nie wolno jej okazywać. Nie

powinna w ogóle istnieć.

Grady oferuje rozsądne wyjście z sytuacji. Jeśli go poślubi, nie będzie musiała się szarpać, bronić i walczyć.

Miała jednak obawy i zastrzeżenia. Nie był już chłopakiem pewnym siebie i swojej przyszłości. Naznaczyło go piętno zdrady, którego tak szybko nie da się zmazać. Jego żal wydaje się szczery, ale czy ona potrafi mu jeszcze kiedykolwiek zaufać?

Jakby czytając w jej myślach, powiedział:

– Wiem, że możesz mi nie wierzyć, ale wszystko, co powiedziałem, jest prawdą. Ubóstwiam cię, Banner. Jesteś wszystkim, czego pragnę.

Ciekawe, czy równie żarliwie wyznawałby jej miłość, gdyby wiedział, że nie jest już dziewicą? – pomyślała.

Grady się zmienił, ale ona jeszcze bardziej. Banner Coleman, niewinna i czysta, już nie istniała.

– Nie sądzę, byśmy mogli do siebie wrócić.

Wyciągnął w jej kierunku rękę.

– Nie, nie dawaj mi dzisiaj żadnej odpowiedzi. Przemyśl to.

Nagle poczuła się straszliwie zmęczona. Pragnęła jedynie, żeby sobie poszedł.

– Zgoda, ale potrzebuję czasu.

– Rozumiem.

Zdobył się na odwagę; podszedł, ujął jej rękę, podniósł do ust i ucałował nieśmiało. Gdy ją puścił, opadła bezwładnie.

– Nie dam ci spokoju, Banner, dopóki się nie zgodzisz.

Odwrócił się i wyszedł.

Opadła na krzesło, ukryła twarz w dłoniach i rozpłakała się. Od tygodni, od dnia przyjęcia w River Bend i poprzedzającego je popołudnia, siłą woli powstrzymywała się od łez; teraz płynęły z jej oczu obfitym strumieniem.

Jak proste byłoby życie, gdyby ślub doszedł wtedy do skutku. Żyłaby szczęśliwa, nic nie wiedząc o spotkaniach Grady'ego z Wandą Burns, a Jake pozostałby nadal jej wiernym przyjacielem. Nie byłoby między nimi

wrogości ani wzajemnych animozji. Jak mogła kiedyś pomyśleć, że noc z nim rozwiąże problemy?

Poderwała się, usłyszawszy jego kroki. Zapukał i nie czekając na zaproszenie, otworzył szeroko drzwi. Nie zdążyła nawet odwrócić twarzy; zauważył jej łzy.

– O co chodzi? Co się stało?

– Nic.

– Płakałaś? – Podszedł bliżej i stanął za jej krzesłem.

– Nie.

– Przecież widzę. Nie kłam.

Zsunął kapelusz na tył głowy. Pasemko jasnych włosów opadło mu na czoło.

Serce biło jej tak mocno, że nie mogła nad sobą zapanować.

– Och, Jake!

Nagle znalazła się w jego ramionach z głową wtuloną w jego pierś. Jej łzy moczyły mu koszulę.

Ukrył twarz w jej włosach, a dłońmi pieścił pochylone plecy, przyciągając ją ku sobie. Trzymał ją tak długo, aż ustał spazmatyczny płacz. Dopiero wtedy delikatnie uniósł do góry jej głowę.

– Może mi powiesz, co się stało?

– A uwierzyłbyś, że to katar sienny?

Spojrzał na leżące na stole kwiaty.

– Nie miałaś go nigdy dotąd.

– Skąd możesz wiedzieć? Nie było cię tutaj. Zawsze odjeżdżałeś. Zawsze mnie zostawiałeś…

Gestem nakazującym milczenie przyłożył palec do ust.

– Przepraszam cię. Przepraszam za każdy raz, kiedy cię opuszczałem, za każdy gest i każde słowo, które cię mogło zranić albo urazić.

Jedną ręką dotknął jej policzka. Drugą objął ją wpół i przyciągnął do siebie, aż jej piersi zwarły się z jego piersią, a jej usta z jego ustami. Zadygotała podniecona i przywarła do niego z całych sił.

– Kto cię uczył całować? – spytał po chwili.

– Ty.

– Tak cię nie uczyłem. Otwórz usta.

– Nie chcę. Pomyślisz, że jestem podobna do tej Priscilli Watkin albo Dory Lee Denney

– O, Boże! Nie! Całuj tylko po swojemu, zgoda?

Właściwie nie pozostawił jej wyboru. Językiem delikatnie wodził po jej ustach, aż rozchyliły się. Wtedy zagłębił się w nie, przenikający i penetrujący, docierając do podniebienia i zębów. Nie zamierzał przestać – scałowywał łzy z jej rzęs, dotykał wierzchołka nosa końcem języka, pozostawiał lekkie pocałunki na wciąż mokrych policzkach. Tulili się do siebie wyciszeni, odprężeni, uszczęśliwieni.

– Dlaczego płakałaś?

– Już ci powiedziałam: to katar sienny. – Uśmiechnęła się.

Zanurzył palce w gęste włosy, ustami uchwycił płatek jej ucha.

– Nie znasz na to lepszego lekarstwa niż zbieranie kwiatów?

– Ja ich nie zbierałam.

– To skąd się tu wzięły?

– Grady mi je przyniósł.

Podniósł głowę i przez długie sekundy przyglądał się jej z niedowierzaniem.

– Chyba źle cię zrozumiałem.

– Grady mi je przyniósł – powtórzyła; wystraszyła się napięcia, jakie odmalowało się na jego twarzy.

– Grady Sheldon? – Starał się wypowiedzieć pytanie lekkim tonem, ale niezupełnie panował nad sobą.

Banner wyprostowała się.

– Tak. Grady Sheldon.

Rzucił kapelusz w kierunku wieszaka przy drzwiach. Trafił szczęśliwie za pierwszym razem. Zaciśnięte pięści wcisnął w kieszenie spodni.

– Pozwoliłaś mu wejść?

Jego postawa, agresywny ton i słowa oburzenia wyraźnie dawały jej do zrozumienia, że uważa ją za nierozsądną. A to jej się nie spodobało.

– Dlaczego n i e?

Podeszła do zlewu i z braku innego zajęcia zaczęła pompować wodę.

– Dlaczego nie? – krzyknął, aż zadźwięczały szyby w oknie.

– Tak, dlaczego nie? – rzuciła wyzywająco. – Pamiętasz chyba, że kiedyś miałam go poślubić.

– Owszem – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Pamiętam również ranę w jego ramieniu, w dniu twego ślubu, za to, że zrobił dziecko jakiejś puszczalskiej.

– Masz oryginalny sposób zestawiania spraw.

– O czym myślałaś, pozwalając mu wejść, gdy byłaś zupełnie sama?

Dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, jak nieroztropnie postąpiła. Lee powiedział jej, że Ross groził Grady'emu jeszcze w kościele. Taki dumny mężczyzna jak Grady nie mógłby puścić tego płazem. A gdyby dzisiaj przyszedł tu szukać zemsty zamiast przebaczenia? Na szczęście tak nie było. Zresztą nawet gdyby miała jakieś wątpliwości, i tak by się w tej chwili do nich nie przyznała.

– Przeprosił mnie za wszystko, co się zdarzyło, i ponowił propozycję małżeństwa.

Patrzył na nią osłupiały, nie wierząc własnym uszom. W końcu roześmiał się.

– Chyba nie wzięłaś tego poważnie?

– A może?

Oczy zwęziły mu się niebezpiecznie. Nie wierzył Grady'emu! Pożar, który pochłonął Wandę i jej ojca, nie wydawał mu się przypadkowy. Nienawidził tego sukinsyna od momentu, kiedy go zobaczył w kościele. Od razu wiedział, że nie nadaje się na męża Banner. Nie cierpiał układnych, grzecznych, miękkich typów – jak ten Sheldon.

– Czy przestraszyła cię ta kreatura?

– Nie.

– Co ci powiedział?

– To moja sprawa.

– Nie próbuj się stawiać, panno Coleman. Gdyby Ross się dowiedział, że on tu się kręci, zastrzeliłby go jak psa.

– Zapewne polecisz do River Bend i usłużnie doniesiesz o wszystkim.

– Nie jestem plotkarzem, Banner – przerwał jej. – A ty nie jesteś dzieckiem.

– Zgadza się. I dlatego mogę przyjmować kwiaty według własnego uznania. Jesteś rządcą Plum Creek. Uwzględniam twoją opinię, jeśli idzie o ranczo, natomiast rady dotyczące moich spraw osobistych bądź uprzejmy zachować dla siebie.

Nie wiedział, czy ma ją udusić, czy znów całować. Był wściekły. Stał przez moment bez ruchu. Potem chwycił rękawice, kapelusz i wybiegł, trzasnąwszy drzwiami. Szedł rozgniewany przez podwórze, nawet w kuchni było słychać brzęk jego ostróg.

Zepsuty do szpiku kości bachor! Nie wie, co jest dla niej złe, a co dobre. Nie potrafiłaby rozpoznać swej szczęśliwej karty, nawet gdyby trzymała ją przed oczami! Czy ona nie zdaje sobie sprawy, że Jake próbuje ochronić ją przed takimi ciemnymi typami jak Grady i takimi napalonymi podrywaczami jak Randy?!

A zresztą, do diabła; niech sobie smarkula robi, co chce! Czemu ma się do niej wtrącać, jeśli ona sobie tego nie życzy? Niech się zadaje nawet z tym całym Sheldonem.

Dwie rzeczy wiedział wszakże na pewno: to, że jutro też wstanie słońce, i to, że zabije Grady'ego Sheldona, zanim ten zdąży jej dotknąć.

Rozdział 13

Szare, zimne oczy skierowała na kolumnę liczb, którą właśnie podliczyła. Suma końcowa była pokaźna i wskazywała na poważny zysk. Niech sobie różne grupy spod znaku Kościoła grożą potępieniem i gniewem bożym, a księża straszą ogniem piekielnym. Finansowo Ogród Edenu stał bardzo dobrze.

Ktoś zapukał do drzwi. Priscilla spojrzała na mały złoty zegarek stojący na biurku. Zbliżała się godzina spotkania z Dubem Abernathym.

– Proszę.

Przezornie schowała papiery do najniższej szuflady biurka. Była bogata. Nikt nawet nie przypuszczał jak bardzo.

Dub zawsze wpadał w pośpiechu. Dzisiaj też tak zrobił, tylko zamknął za sobą drzwi tak cicho, jakby bał się obudzić dziewczyny śpiące na górze.

Często zastanawiał się, kiedy Priscilla odpoczywa. Zawsze była na nogach aż do wczesnych godzin rannych, to jest do czasu zamknięcia Edenu. Podczas gdy krupierzy i dziewczyny spali do późnego popołudnia, by wypocząć przed wieczorem, ona pracowała w swym biurze i przyjmowała wybranych klientów. Dobrze wiedział, że nie był jedynym, lecz tylko jednym z niewielu.

Nic dziwnego, że jej bar uchodził za najbardziej dochodową instytucję w mieście. Dochody szły w parze z zaangażowaniem Priscilli.

– Priscillo, kochanie! – Dub zdjął kapelusz, położył go na stoliku przy drzwiach i wszedł do pokoju.

– Cześć, Dub. – Powitanie Priscilli było znacznie chłodniejsze niż zwykle.

Normalnie brał ją w objęcia i długo, mocno całował na przywitanie. Dziś wymknęła mu się, podeszła do stolika.

– Drinka?

– Tak, bardzo proszę.

Wyczuł od razu jej rezerwę i wiedział, co jest tego przyczyną. Losy ich romansu zaczynały się komplikować. Lubił Priscillę i przepadał za spotkaniami z nią, jednak wkrótce będzie musiał uporządkować swe sprawy.

Ostatnio dołączyła do jego Kościoła bardzo atrakcyjna wdowa. Mieszkała sama w spokojnej dzielnicy, w pięknym domu otoczonym wysokim żywopłotem. Wczoraj przyszła do banku po poradę na temat swych finansów. Nie miała może doświadczenia Priscilli, ale mógłby ją wiele nauczyć. Przecież wdowy tak bardzo potrzebują czułości i opieki! Związanie się z nią nie niosło za sobą zbędnych komplikacji i to był duży plus.

Priscilla wręczyła mu szklankę; drugą nalała sobie. Przeszła do sypialni na zapleczu biura. Dub podreptał za nią jak wierny piesek.

– Zapomniałeś o spotkaniu w zeszłym tygodniu – powiedziała obojętnie, sprawdzając swój wygląd w lustrze.

– Bardzo mi przykro, kochanie. Zwołano nagle zebranie zarządu. Nawet nie miałem możliwości powiadomić cię. Nie gniewasz się, prawda?

– Nie – odpowiedziała w kierunku swego odbicia w lustrze. – Dodałam jedynie normalną należność do twojego rachunku. – Zaśmiała się sztucznie.

Zdusił w sobie gniew.

– Jesteś na mnie zła?

Odwróciła się do niego. Rozpuszczone włosy opadały na ramiona. Miała na sobie długi błękitny szlafrok. Szerokie rękawy w kształcie dzwonów, wykończone koronką, sięgały nadgarstków. Materiał przylegając do ciała, uwydatniał jej wciąż szczupłą figurę.

– Zła? Nie, Dub. Zawiedziona. Ostatnim razem, gdy byłeś u mnie, obiecałeś zrobić porządek z fanatykami religijnymi.

– Nie obiecywałem.

– To brzmiało jak obietnica. Myślałam, że masz wpływ na opinię publiczną.

– Wiesz doskonale, co może zrobić pojedynczy człowiek przeciwko tłumowi.

– Tłumy są jak owce. Idą tam, gdzie się je prowadzi. Skieruj je w innym kierunku. Odwróć ich uwagę od Pół Akra Piekła.

– Jak mam to zrobić?

– To już twój kłopot. – Chodziła po pokoju, wyraźnie zdenerwowana. – Nigdy cię o nic nie prosiłam. I teraz też nie proszę. Chcę jedynie w spokoju prowadzić swój interes, jak każdy mieszkaniec tego miasta. Czym on się różni od piekarni, rzeźni czy wytwórni świec? Tamtych jednak nikt nie straszy wiecznym potępieniem. Jestem gotowa założyć się o tygodniowy zysk, że prowadzę ten interes uczciwiej niż ktokolwiek inny w tym mieście.

Usiadł ciężko na otomanie. Kłótni i sporów miał dosyć w banku i uciekał przed nimi. Tu oczekiwał poprawy nastroju przy pomocy Priscilli i kilku szklaneczek whisky. To wszystko.

Patrzył na nią. Była wściekła. Oczy jej błyszczały twardo i zimno. Nigdy jeszcze nie widział u niej zmarszczek wokół oczu i ust. Kiedy się pojawiły?

– Bardzo trudno porównywać twój interes z piekarnią – powiedział sucho. – Jak mam odciągnąć uwagę szeryfa od tego miejsca, skoro tylko tu zawsze coś się dzieje? W ostatni weekend została zamordowana jedna z twoich dziewcząt.

Priscilla siadła na taboreciku przed toaletką, żeby przypudrować sobie ramiona, nos i szyję oraz piersi.

– To jest ryzyko tego zawodu. Każda dziewczyna, która zaprasza klienta do pokoju, wie o tym doskonale. Wszystko może się zdarzyć. Może trafić na romantycznego głupka, który zapłaci każdą cenę tylko za patrzenie. Może też nieszczęśliwie trafić na farmera, któremu uciekła żona, bo miała dość dojenia krów i macania kur, albo na zazdrosnego kochanka czy na pomylonego zbawiacza świata, który bierze sobie do łóżka kurwę, a potem

w ramach ślubu złożonego Bogu morduje ją, gdyż sprowadziła go na złą drogę.

– W zeszłym tygodniu na ulicy doszło do strzelaniny. Trzech kowbojów posprzeczało się przy pokerze. Dwóch z nich nie żyje.

– To nie u mnie.

– Jednak porządni ludzie nie…

– Porządni ludzie! – przerwała mu. Wstała i znowu zaczęła przechadzać się po pokoju. – Nie rozśmieszaj mnie. Oni są porządni? Dlatego że starają się zniszczyć mój interes? To jest w porządku? Czy właśnie taki pomysł podsuwa im nowy kaznodzieja? Zrób z nim coś!

– Nie mogę. Ma za sobą coraz więcej ludzi, coraz większe poparcie. Ostrzegałem cię przed nim, Pris. On wywiera nacisk na szeryfa. Wcześniej czy później szeryf będzie go musiał posłuchać. Kaznodzieja ma duży wpływ na wyborców, a wybory są w tym roku. Jeśli od zamknięcia lokalu w Pół Akra Piekła będzie zależał ich wynik, możesz być pewna, że szeryf znajdzie sposób, by to zrobić. Chce dalej sprawować ten urząd.

– Przecież to oszust. Jest tu niemal każdej nocy, i to z tymi, których wsadza do pudła.

– Wiem to – odrzekł cierpliwie Dub. – I ty o tym wiesz. Ale ci, tam – wskazał głową w stronę miasta – nie wiedzą. A nawet gdyby wiedzieli, to nie obchodziłoby ich to, najważniejsze, by szeryf utrzymywał spokój w mieście.

– Cholera! – zaklęła głośno.

Siadła ponownie na taborecie i założyła nogę na nogę. Szlafrok rozchylił się z przodu, odsłaniając uda. Dub był zafascynowany długością i kształtem jej nóg. Dotychczasowa rozmowa znudziła go. Nie po to oderwał się od zajęć.

– Dziecinko – rzekł pojednawczym tonem. – Wiem, że jesteś zdenerwowana.

– Cholernie!

– Robię, co w mojej mocy.

– To za mało.

– Poprawię się. – Tracił cierpliwość. Jak ta dziwka śmie tak z nim rozmawiać? O, apetyczna wdówka, ta jest zupełnie inna. Wie, jak się wobec niego zachować! Wczoraj w jego biurze była jak owieczka: mówiła cichutko, słodkim i pełnym uszanowania głosikiem.

– Chodź, Pris. Mamy tracić na kłótnię tę godzinę, na którą udało mi się urwać z banku? – Zrobił pokorną minę i wyciągnął ręce.

Takie teatralne gesty nie robiły na niej żadnego wrażenia. Znała go dobrze i wiedziała, jak z nim postępować. Wiedziała również, że jeśli stanąłby przed wyborem, czy bronić jej, czy siebie, nie miałby absolutnie żadnych wątpliwości. W takiej sytuacji musiała przede wszystkim dbać o siebie.

Podniosła się z taboretu. Chwyciła końce paska, którym przewiązywała szlafrok, i pociągnęła. Pasek opadł na podłogę. Szlafrok rozchylił się i bardzo wolno zsunął z ramion. Stała przed nim zupełnie naga.

– Nigdy nie miałam zamiaru kłócić się z tobą. Twoja przyjaźń jest mi zbyt droga. Kiedy tu jesteś, szkoda mi tracić czas na gadanie o interesach. – Przeciągnęła się jak przebudzona kotka. – Te sprawy będziemy mogli omówić w banku. Zawsze znajdę chwilę, by tam wpaść.

Oderwał oczy od jej płaskiego brzucha.

– Oboje wiemy, że nie możesz tego zrobić. – Zaśmiał się nerwowo, niepewny, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– W takim razie radzę ci, abyś zabrał się energicznie do roboty, a wtedy nie będzie powodu do marnowania czasu na niepotrzebne konwersacje.

Stanęła naprzeciw niego, piękna i wyzywająca. Wyciągnął rękę. Po kolei dotykał i pieścił piersi, brzuch, uda.

– Co na to powiesz, Dub? Zrobisz to dla mnie?

– Oczywiście, Pris. Możesz na mnie liczyć. Zawsze ci pomagałem, no nie?

– Dotychczas zawsze. Teraz też mnie nie zawiedź.

– Nie, na pewno nie – odpowiedział z twarzą wciśniętą w ciepły, drżący brzuch.

Chwyciła go za głowę i pociągnęła do góry.

– Pamiętaj, polegam na tobie – szepnęła mu gorąco w twarz, udając całkowite zapamiętanie w miłosnej grze.

*

– Lee! Micah! – Banner radośnie witała się z chłopcami, którzy weszli za Jake'em do kuchni.

– Nie spodziewałam się was dzisiaj.

– No, właśnie. Będziesz miała nas czym nakarmić?

– Zaraz coś przygotuję.

Cieszyła się z ich przyjazdu. Ich długie, kanciaste sylwetki zdawały się rozsadzać kuchnię, ale radowało ją zamieszanie, jakie wprowadzili. Ostatnio jej dom był za cichy.

– Zdecydowaliśmy się przyjechać przed zmrokiem, trochę się rozejrzeć. – Lee serdecznie uściskał siostrę.

Micah niedbale bujał się na krześle.

– Musimy pozostawić po sobie trochę bałaganu, nieprawdaż?

Podeszła do niego i niespodziewanym kopnięciem chciała przewrócić krzesło. Był szybszy – już siedział normalnie.

– Czuj się jak w domu, Micah.

Otoczył ramieniem oparcie krzesła i rozglądał się dokoła.

– Staram się, staram.

– Siadaj, Lee – zwróciła się do brata.

Nagle poczuła się skrępowana. Nigdy nie gotowała dla nikogo poza Jake'em. Czy będą z niej żartować?

– Ty też siadaj, Jake. – Po raz pierwszy od wejścia do domu spotkała jego spojrzenie. – Kolacja jest gotowa.

– Dziękuję.

– Zaraz przyniosę jeszcze dwa talerze.

Od czasu wizyty Grady'ego rzadko ze sobą rozmawiali. Zauważyła jednak, że Jake trzyma się bliżej domu. Robił dokładnie to, co zapowiadał: chronił ją przed Sheldonem. Przyjmowała to z mieszanymi uczuciami: była

mu wdzięczna, bo nie musiała spotkać się z Gradym, jednocześnie irytowała ją ta stała czujna opieka. Bez względu na to, co powiedziała obydwu mężczyznom – nie miała zamiaru wychodzić za mąż.

– To gulasz – wyjaśniła, nakładając im na talerze aromatyczną potrawę. – Zrobiłam go dokładnie według przepisu Ma, ale powszechnie wiadomo, że nikt jej nie dorówna.

Lee nabrał pełną łyżkę, włożył do ust, potrzymał przez chwilę, kilka razy poruszył szczękami, przełknął i oblizał wargi z głośnym mlaśnięciem.

– Dziecinko, to naprawdę dobre.

– Całkiem niezłe – poparł go Micah.

Jake nie powiedział nic; wziął łyżkę i jadł mechanicznie.

Banner przyniosła chleb własnego wypieku. Miała się czym pochwalić – był złocisty, z chrupiącą skórką, delikatny i dobrze wyrośnięty. Ma podała jej najlepszy przepis.

W końcu siadła z nimi do stołu, ale zdołała zjeść niewiele między kolejnymi wybuchami śmiechu. Chłopcy mieli do opowiedzenia tyle niewiarygodnych historyjek, że nie zamykały im się usta. Przysięgali przy tym, że wszystkie są prawdziwe, w co Banner wątpiła.

Jak dobrze było znowu śmiać się.

Jake przez większość wieczoru był milczący.

Jeśli rozmawiali dotąd, to tylko na temat farmy. Zaprzestał swych conocnych wypraw do miasta. Była pewna, że uczynił to ze względu na ewentualną wizytę Grady'ego.

Nie powtórzyły się też żadne czułe pocałunki i mogły już nigdy się nie zdarzyć. Starali się schodzić sobie z drogi.

– Nie mam dla was nic na deser z wyjątkiem zeszłorocznego dżemu z czarnych jagód do chleba.

– Mnie to odpowiada – powiedział Micah, sięgając po kolejną kromkę.

– Mnie też.

– Następnym razem proszę uprzedzić panią domu o przyjeździe – z udaną powagą zwróciła się do chłopców. – Będzie lepiej przygotowana na przyjęcie tak szacownych gości.

– To moja wina – odezwał się Jake. – Spotkałem ich dzisiaj nad rzeką i zaproponowałem nocleg. Będzie im wygodniej wyjechać stąd rano.

Banner wróciła z komórki z garnkiem dżemu.

– Wyjechać? Dokąd?

– Jedziemy do Fort Worth po stado – odparł Lee. – Jake nic ci nie mówił?

Spojrzała na swego rządcę.

– Chyba zapomniał.

– Wspominałem ci o tym po przyjęciu.

– Owszem, ale ani słowa o terminie wyjazdu.

– Jutro nasz wielki dzień! – Micah nałożył sporą porcję dżemu na swój chleb. – Wstąpimy do pie…

– Micah! – Lee spojrzał na niego ostrzegawczo i oczami wskazał na Banner.

– Wstąpicie do Priscilli? – dokończyła słodkim głosem Banner.

Micah połknął kęs chleba bez gryzienia.

– Miałem na myśli…

– Dobra, dobra. Już ja wiem, co miałeś na myśli. Nie jestem głupia. Pewnie Jake chce was przedstawić swej przyjaciółce Priscilli?

Lee z wrażenia upuścił łyżkę i spojrzał na siostrę.

– Wiesz o niej?

Banner zerknęła szyderczo na Jake'a.

– Trochę mi o niej opowiadał; wiem, że pali cygara…

Chłopcy spojrzeli po sobie, potem na Jake'a; ten skinął niedbale ręką.

– Blefuje.

Banner zaśmiała się.

– No cóż, może wreszcie będę miała okazję poznania tej sławetnej Priscilli Watkin. Jak długo się tam zatrzymamy?

Ani jeden mięsień nie drgnął Jake'owi na twarzy, gdy odpowiadał:

– Micah, Lee i ja zatrzymamy się tam kilka dni.

– A ja?

– Ty nie jedziesz.

Starannie wytarła usta serwetką, złożyła ją i na powrót umieściła koło talerza.

– Pojadę.

– Nie tym razem, Banner.

– Owszem oraz za każdym razem, kiedy zechcę – powiedziała niezbyt głośno, ale tak dobitnie, że dalsza dyskusja wydawała się bezsensowna.

– No tak, cóż, mamy… – zaczął się jąkać Micah; poderwał się z krzesła i wywrócił je. Nachylił się, by je podnieść.

– Tak, mamy jeszcze coś do zrobienia – poparł go Lee. – Chodź Micah, załatwimy wszystko i będzie z głowy! – Ruszyli do drzwi.

– Muszę sprawdzić derkę pod swoim siodłem.

– I co jeszcze?

– Nic. Położymy się w stajni. Do zobaczenia rano! – zawołali i wyszli.

Komedia się skończyła i zantagonizowana para została sama w kuchni. Oboje patrzyli na siebie jak pretendenci do drogocennej nagrody, o którą teraz muszą stoczyć walkę.

– Jadę.

– Nie pojedziesz.

– Zobaczymy.

– Nie mogę zabierać kobiety do Fort Worth i kupować w jej towarzystwie krów. Tylko dlatego, Banner.

Zerwała się z krzesła.

– To jest moje ranczo. Nie sądzisz, że powinieneś porozumieć się ze mną, zanim kupisz cokolwiek?

Jake wstał również.

– Pytałem cię!

– Ale nie podałeś żadnych szczegółów.

– Bo ich nie znam. Ross skontaktował się z tym człowiekiem i umówił mnie na ten piątek. To wszystko, co wiem. A ty i tak nie pojedziesz.

– Będziesz potrzebował pomocy.

– Poprosiłem Micaha i Lee, żeby pojechali ze mną, bo nie chcę odrywać Jima, Pete'a ani Randy'ego od pracy, którą należy wykonać na przyjęcie

stada.

Nagle wpadł jej do głowy pomysł, którego właściwie wolałaby nie wypowiadać głośno, ale nie mogła się powstrzymać.

– Nie boisz się, że Randy spróbuje mnie podrywać podczas nieobecności mojej „mamuśki”?

Postąpił ku niej, wyraźnie rozdrażniony.

– Sama nie zostaniesz, przeniesiesz się do River Bend. Wszystko już uzgodniłem z Rossem i Lydią.

– Niestety. Musisz to zmienić, bo ja pojadę do Fort Worth.

– Już kupiłem bilety na pociąg.

– Ja też potrafię to uczynić.

Uznał, że kłótnia do niczego nie doprowadzi, a jedynie utwierdzi dziewczynę w uporze. Starał się więc przemówić jej do rozsądku.

– To nie jest odpowiednie miasto dla dziewcząt, Banner.

– Byłam już tam.

– Kiedy?

– Kilka lat temu. Z ojcem i matką.

– Tym razem może być zupełnie inaczej. Może ci się nie podobać. Tam nie jest bezpiecznie dla samotnej dziewczyny.

– Przecież nie będę sama. Ty, Micah i Lee będziecie ze mną.

– Nie przez cały czas! – zawołał.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Dlaczego tak bardzo ci zależy, żebym nie pojechała? Jaki jest prawdziwy powód? Zupełnie mnie nie interesuje, co chcesz robić. Jeśli myślisz, że będę ci przeszkadzała w piciu czy hazardzie albo przy dziwkach, to się mylisz.

– Jak mogłabyś mi w czymkolwiek przeszkadzać?

– No to dlaczego na mnie krzyczysz?

– Bo ty krzyczysz!

– Musisz jechać aż do Fort Worth, by sobie pofolgować? Nie możesz tego załatwić tu w mieście? Przecież chyba po to jeździłeś co wieczór do Larsen?

– Tak! Tylko po to tam jeździłem. Ale te miejscowe atrakcje już mi się znudziły.

– Nie wierzę!

Stanęli naprzeciw siebie jak bokserzy gotujący się do walki.

– A ja i tak pojadę! – Banner była nieugięta.

Jake siłą hamował wybuch gniewu. Z doświadczenia wiedział, że jeśli Banner się uprze, to koniec.

– Wyjeżdżamy wcześnie rano.

– Będę gotowa.

Bez słowa zatrzasnął za sobą drzwi.

Banner postarała się, by rano nie musieli na nią czekać. Zanim Jake wyprowadził ze stajni Stormy'ego, już siedziała na swoim miejscu. Zamierzała jechać do miasta wozem ze względu na bagaż, który zabierali ze sobą.

Jake rzucił w jej kierunku niechętne spojrzenie, dostrzegając przy okazji jej koronkowy kapelusz. Poza formalnym powitaniem nie wyrzekł słowa. Ona z kolei była zbyt podniecona, by zwracać uwagę na jego humory. Nawet reakcja robotników meldujących się do pracy nie zraziła jej. Kiedy oznajmiła, że jedzie do Fort Worth, Pete spojrzał zdziwiony na Jake'a i spytał:

– To prawda? – Jego dwuznaczny uśmiech wskazywał, co o tym sądzi.

Jake wzruszył ramionami i wskoczył na siodło. Konie pozostawią w stajni w mieście; będą potrzebne do przeprowadzenia stada w drodze powrotnej. Z Fort Worth do Larsen mieli zamiar przewieźć je pociągiem.

Radość, jaką okazywali Micah i Lee, była zaraźliwa. Jechali po obu stronach wozu i swymi żartami pobudzali Banner do śmiechu. Jedynie Jake od samego początku traktował wyprawę naprawdę serio.

Stacja była pusta. Jake zeskoczył z konia.

– Kupię bilet dla Banner i sprawdzę, czy pociąg nie ma opóźnienia. Potem zaprowadzimy konie i wóz do stajni i wrócimy tu.

Podczas gdy Micah i Lee przekomarzali się na temat planów pobytu w Fort Worth, Banner obserwowała plecy Jake'a. Miał rzeczywiście

imponujący wygląd – szerokie bary i wąskie biodra. Na podróż włożył swój codzienny kowbojski ubiór – rzeczy były czyste, a kapelusz odkurzony. Lepsze ubranie zapakował do torby przytroczonej do siodła – miał zamiar nałożyć je dopiero na spotkanie z handlarzem. Pierwsze promienie wschodzącego słońca jeszcze bardziej rozjaśniły mu włosy.

Banner musiała przyznać, że Jake to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego znała, mimo że ciągle była na niego wściekła za chęć pozostawienia jej w domu. I był taki nieprzyjazny!

Mógłby powiedzieć choć słówko, czy podoba mu się jej sukienka. To był strój wyjściowy, najelegantszy, jaki miała. Gorset podkreślał szczupłość talii i obfitość piersi. Sukienka koloru brzoskwini współgrała z karnacją Banner, a eleganckie rękawiczki i koronkowy kapelusz powodowały, że czuła się w pełni wartościową kobietą. Jake jednak obrzucił ją tylko przelotnym spojrzeniem, co zabolało ją bardziej niż głośna obelga.

Szarpnęła koronkę zdobiącą rękawiczkę. Pewnie w Fort Worth Jake urwie się do swej przyjaciółki, Priscilli Watkin. Jak temu zapobiec? Myśl o spotkaniu Jake'a z inną kobietą przyprawiała ją o bicie serca. Czy inną pieści tak samo jak ją? Całuje z tą samą namiętnością? Obrazy kobiet bez imion i twarzy tłoczyły się pod powiekami i nie mogła się ich pozbyć.

Nie widziała, jak wzburzony Jake wyszedł z budynku stacji, ale Micah i Lee zaraz domyślili się, że coś nie jest w porządku.

– Co się z nim dzieje, do cholery?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że to nie z mojego powodu.

– Ten diabelski pociąg nie jedzie – zawołał w ich stronę.

– Co? Dlaczego? – spytali jednocześnie.

– Strajk. Robotnicy zablokowali tory w kilku miejscach, aż do Dallas. Zarząd kolei nie chce użyć siły. A nic nie zapowiada szybkiego końca negocjacji. Cholera! – Z rozmachem kopnął grudkę ziemi, aż wzbił się tuman kurzu.

– I co teraz zrobimy? – spytała nieśmiało Banner.

– Nie wiem.

– Twoje spotkanie z panem...

– Culpepperem – dopowiedział.

– ...Culpepperem było uzgodnione na piątek, tak?

– Tak, to jeszcze kilka dni, ale... – Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. – Możemy wybrać się tam konno. Co myślicie, chłopcy, o spaniu pod gołym niebem? – spytał Micaha i Lee, na których twarzach odbijało się rozczarowanie z powodu nieudanej wycieczki.

– Nam to nie przeszkadza – zawołał natychmiast Lee. – Co, Micah?

– Jasne!

– No, to w porządku – rzucił Jake zdecydowanie. – We dwójkę pojedziecie do sklepu i kupicie najpotrzebniejsze rzeczy na drogę: kilka puszek fasoli, dwa-trzy funty wędzonego boczku, trochę kawy, woreczek mąki, pudełko naboi, dwa niewielkie rondelki, jakiś tani czajnik. Nie będziemy potrzebowali koców, jeśli dacie radę spać na derkach spod siodeł. Tak? To dobrze. Spotkamy się przy sklepie, skoro go tylko otworzą. Przyda się nam zapasowy koń, więc jadę pogadać o tym do stajni.

Chłopcy ruszyli natychmiast. Nawet nie pomyśleli o pożegnaniu się z Banner. Wydawało się, że Jake też, dopóki nie wpadł na nią.

– Banner, dziewczyno! – Ujął ją za ramiona. – Niemal zapomniałem o tobie. Trafisz sama do River Bend?

– Jasne.

– Wspaniale. Powiedz zatem rodzicom, co się stało. Kolej zwróci mi pieniądze za bilety i za to kupię rzeczy na drogę. Możemy przyjechać kilka dni później, niż planowaliśmy. Zawiadowca powiedział mi, że strajk nie potrwa dłużej niż parę dni, więc może wrócimy pociągiem. Do widzenia!

Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował w usta. Wiedziała jednak, że zrobił to zupełnie odruchowo. Potem wskoczył na konia i popędził do stajen na drugi koniec ulicy Głównej.

Nawet się nie obejrzał.

*

– Do piątkowego wieczora musimy załatwić wszystkie sprawy. Potem będziecie mieli czas dla siebie. – Zęby Jake'a błysnęły w świetle ogniska. – Odpowiada to wam?

Micah fiknął kozła z radości, a Lee klasnął w ręce.

– I na noc z soboty na niedzielę też zostaniemy? – zapytał.

– Pewnie – zgodził się wielkodusznie Jake i położył się wygodnie, opierając głowę na siodle. – Obiecałem wam rozrywkę czy nie?

– Nie mogę się doczekać…

– Sza…

– Co się stało? – szeptem spytał Lee.

– Cii… – Micah tylko skinął ręką.

– Co jest?!

– Chyba kogoś słyszałem przy koniach – szepnął Micah do starszego brata.

Jake zerwał się natychmiast na równe nogi i sięgnął po sześciostrzałowego colta. Przyłożył palec do ust.

– Bądźcie cicho!

Wszyscy trzej zamarli w bezruchu. Słychać było jedynie szum drzew i trzask palących się gałęzi.

Po chwili rozległ się wyraźny odgłos łamanych czyimiś stopami gałązek. Trzy pary oczu starały się przeniknąć ciemność. Nie czekali długo: w kręgu światła pojawił się młody kowboj. Ubrany był podobnie jak cała trójka – w drelichowe spodnie, roboczą koszulę, kamizelkę i nieodłączną apaszkę. Był bez rewolweru. Twarz krył pod kapeluszem z szerokim rondem. Milcząc, patrzyli, jak sięga po niego, zdejmuje z głowy, a kaskada czarnych włosów rozsypuje mu się na ramiona.

Usłyszeli znajomy dziewczęcy głos:

– Dobry wieczór, panowie!

Rozdział 14

Jake odezwał się pierwszy.

– Do diabła! Co tu robisz?

Banner nawet na niego nie spojrzała. Zbliżyła się do ogniska i siadła po turecku.

– Ta kawa pachnie całkiem apetycznie.

Jake chwycił ją za ramiona i postawił na nogi.

– Omal cię nie zastrzeliłem – zachrypiał prosto w jej twarz. – Nie mogłaś podejść normalnie albo wcześniej zawołać, a nie podkradać się?!

– Nie podkradałam się. – Uwolniła ramię z jego uchwytu. – Jechałam za wami cały dzień. Dobrze, że nie jestem zbójem, Komanczem czy kimś takim, bo już byście nie żyli.

Micah i Lee nie potrafili ukryć niezadowolenia. Lubili towarzystwo Banner, ale woleli Jake'a. Był ich idolem. Już liczyli na to, że wprowadzi ich w nocne życie Fort Worth. Niespodziewane pojawienie się Banner bez wątpienia popsuje mu humor, a im pokrzyżuje plany.

Mimo to Lee podziwiał siostrę za odwagę. Żadna ze znanych mu dziewczyn nie zdecydowałaby się na samotną całodzienną jazdę konną.

– Kiedy postanowiłaś jechać za nami? – spytał.

Uklękła przy ognisku i nalała sobie kubek kawy.

– Od samego początku. W mieście rozjechaliście się w różnych kierunkach i nie miałam możliwości zawiadomić was, że nie zamierzam zrezygnować z podróży z powodu drobnej niedogodności, jaką jest strajk.

– Drobnej niedogodności? – krzyknął Jake; jego złość jeszcze nie wygasła. – Nawet w połowie nie zdajesz sobie sprawy, na co się narażasz.

Nie zareagowała na jego słowa.

– Widziałam, jak wyjeżdżaliście z miasta. Wtedy kupiłam sobie ubranie odpowiednie do tego rodzaju podróży. Wóz zostawiłam w stajni. Walizkę wraz z listem do rodziców zaniosłam na pocztę; odbiorą je razem z innymi przesyłkami. Dogoniłam was po niecałej godzinie.

Cały czas zwracała się jedynie do Lee i Micaha, mimo to pierwszy zareagował Jake.

– Myślisz, że jesteś bardzo sprytna, tak?

– Znalazłam was bez żadnych trudności.

– Nie próbuj nawet udawać, że nie masz poobcieranych pośladków, bo i tak nie uwierzę.

– Nic z tych rzeczy!

– Jutro będziesz miała pęcherze, a potem…

– Ty na nich nie będziesz siedział – rzuciła mu zaczepnie. – Czuję się świetnie. Zawsze marzyłam o takiej wycieczce, o spaniu przy ognisku, pod gołym niebem. Nigdy mi na to nie pozwalano, ponieważ jestem dziewczyną.

– I to cię niczego nie nauczyło? – spytał ostro Jake. – Dlaczego, do cholery, zawsze starasz się zachowywać jak chłopak? Nic dziwnego, że twój narzeczony znalazł sobie inną!

– Jake! – Micah nigdy nie przypuszczał, że jego brat potrafi być taki okrutny.

– No co? Dlaczego nie siedzi teraz w domu, nie gotuje, nie szyje jak wszystkie kobiety? Jest niezadowolona, że jest kobietą. Ona… Cholera! – Machnął ręką, odwrócił się i poszedł w kierunku pasących się koni.

Micah i Lee ze współczuciem patrzyli na Banner. Pochyliła nisko głowę. Lee pogłaskał ją po plecach, a Micah podał jej talerz podgrzanej fasoli.

– Nie martw się. Prześpi się i przejdzie mu.

Rano nic nie wskazywało na to, by złość Jake'owi minęła. Wydał rozkaz zwinięcia obozu jak surowy kapral. Dał im ledwie moment na przełknięcie sucharów i wypicie obrzydliwej podgrzewanej kawy.

Miał rację co do jednego: pośladki Banner były obtarte niemal do krwi, ale nie dała nic po sobie poznać. Lekko wskoczyła na siodło.

– Skąd wzięłaś konia? – spytał Jake, gdy za moment do niej podjechał.

– Pożyczyłam od pana Daviesa ze stajni. – Pochyliła się i poklepała rumaka po karku.

– Pożyczyłaś? – spytał zdziwiony. – Ja musiałem kupić.

Posłała mu promienny uśmiech.

– Widzisz, że jako kobieta jestem całkiem niezła?

Jeśli na tego Daviesa patrzyła tak jak teraz na niego, to wcale by się nie zdziwił, gdyby ten stary cap p o d a r o w a ł jej konia.

Irytowało go, że jest wypoczęta i rześka. Myślał, że wstanie sztywna i połamana, z podkrążonymi oczami, że będzie go prosiła o chwilę zwłoki… A tu nic: oczy błyszczą jak zwykle, a na policzkach wykwitły świeże rumieńce. I jak prosto trzyma się w siodle! Ale chociaż o jeden guzik wyżej powinna zapiąć koszulę, bo inaczej te cycki jej wyskoczą…

Cholera!

– Pośpiesz się, bo zostaniesz tu! – ostrzegł.

Spiął Stormy'ego ostrogami i pozostawił ją w kłębach kurzu.

Mimo upływających godzin zły humor go nie opuszczał. Jechali szybko, zatrzymując się tylko, by napoić konie w mijanych strumieniach i nieco się pokrzepić. Posuwali się w kłębach kurzu. Banner nie poskarżyła się ani słowem; wpierw dałaby sobie uciąć język niż coś takiego zrobić.

Bolały ją dosłownie wszystkie mięśnie. Włosy miała przepocone pod kapeluszem. Nie mogła go zdjąć, bo chronił twarz przed prażącym słońcem. Była pewna, że piegi na nosie nabrały brunatnego koloru.

Późnym popołudniem, podczas jazdy na zachód, słońce świeciło niemiłosiernie prosto w twarze. Banner modliła się o chmurę, o jedną maleńką nawet chmurkę, która by zasłoniła ten rozżarzony dysk i przyniosła choć chwilową ulgę. Niestety, niebo było nieskazitelnie niebieskie i czyste. Nawet chłopcy, którzy na skinienie Jake'a gotowi byli pójść do samego piekła, teraz niespokojnie kręcili się w siodłach.

– Hej, Jake! – zawołał nagle Micah.

– Ta-a?

– Patrz, tam jest jakiś dom.

– I co z tego?

– Wyobrażam sobie, jak cudownie smakuje łyk zimnej wody. Spróbujemy?

Banner gotowa była go wycałować; nawet na torturach nie przyznałaby się, że jej manierka już od dawna jest pusta. Usta i gardło miała zupełnie wyschnięte.

Jake ściągnął wodze, koń stanął w miejscu, a jeździec zmrużonymi oczami przyjrzał się całemu obejściu.

– W porządku. Zatrzymamy się i sprawdzimy, czy są gościnni.

Chłopcy ruszyli galopem. Gdy Jake spojrzał na Banner, ta wzruszyła ramionami, jakby woda, picie i tym podobne rzeczy były jej całkowicie obojętne, potem wolno ruszyła za chłopcami.

Farmer rąbał drzewo. Obejście było niezbyt bogate, ale zadbane. W niewielkiej stajni mieściło się kilka mlecznych krów, muł i koń. Za drucianym płotem chodziły kury. Tuż przy domu był dobrze utrzymany ogród, pełen fasoli, cebuli, rzepy i dyni.

Farmer, widząc nadjeżdżających, odłożył siekierę, wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł twarz. Zdjął kapelusz, powachlował nim spocone czoło, i włożył nakrycie głowy z powrotem.

Wszystkie ruchy wykonywał powoli i jakby przypadkowo, ale Jake od razu zauważył dubeltówkę wiszącą na ścianie stajni, odbezpieczoną i gotową do wystrzału. Nie miał mu tego za złe, przeciwnie – obowiązkiem mężczyzny jest chronić rodzinę i dom. W tych niebezpiecznych czasach, kiedy pełno było bezrobotnych kowbojów przemierzających cały kraj w poszukiwaniu zajęcia, rabusiów napadających na pociągi, strajkujących robotników – broń była jedynym środkiem obrony.

Jake z daleka chciał uspokoić farmera.

– Cześć! – zawołał przyjaźnie.

– Jak się macie – odrzekł zagadnięty, ale nie poszedł w ich kierunku. Czekał, aż podjadą bliżej.

– Moglibyśmy dostać trochę wody?

Farmer przyjrzał się im uważnie. Jake położył ręce na łęku siodła, Micah i Lee poszli za jego przykładem. Nie ruszali się. Kiedy farmer spojrzał na Banner, oczy mu zabłysły, ale zaraz zwrócił się do Jake'a.

– Skąd jesteście?

– Spod Larsen.

Już dawno Jake nauczył się nie udzielać więcej informacji, niż było to konieczne. Im mniej wiedział jeden o drugim, tym lepiej. To była najlepsza metoda.

– Jedziemy do Fort Worth kupić bydło. Pociągi nie chodzą, bo kolejarze strajkują.

Farmer skinął głową uspokojony. Usłyszał o strajku od przejeżdżającego dzisiejszego ranka sąsiada.

– Obsłużcie się. – Wskazał im koryto do pojenia i studnię.

Zeskoczyli z koni i rozkulbaczyli je na chwilę. Banner musiała uważać, by jakimś grymasem nie zdradzić, jak bardzo jest obolała. Kiedy Jake, zwrócony do niej tyłem, prowadził Stormy'ego do koryta, mogła choć przez moment pomasować siedzenie.

– Jak to znosisz? Goni nas… – Lee zamilkł nagle i spojrzał ponad jej ramieniem. Banner odwróciła się i zobaczyła młodą dziewczynę wychodzącą z domu. Lee chrząknął głośno, by zwrócić na nią uwagę Micaha.

– Cześć – odezwała się niepewnie dziewczyna. – Jestem Norma. Chcecie się napić?

– Właśnie o czymś takim marzymy – odrzekł Micah z ujmującym uśmiechem.

– Chyba czytasz w moich myślach – dodał Lee.

Banner patrzyła na chłopaków z nieskrywanym rozdrażnieniem. Czy zdają sobie sprawę, jakie głupie mają miny? Przecież ta Norma to nic nadzwyczajnego: ma duże, brązowe oczy, średnio uformowane piersi pod perkalową sukienką i słodki głosik. To wszystko. I to ma być powód do robienia z siebie osłów?

Dziewczyna spojrzała przelotnie na Banner i zignorowała ją, natomiast chłopców zaprowadziła do studni. Jake wdał się w rozmowę na temat koni z farmerem, który był bardzo zainteresowany Stormym. Z jedną nogą opartą o koryto i zsuniętym na tył głowy kapeluszem, Jake pochylił się do przodu, by dać odpocząć swym napiętym ramionom.

Banner podeszła do studni i natychmiast zauważyła, że Norma z zainteresowaniem przygląda się Jake'owi.

– Czyją ona jest żoną? – zapytała Norma chłopców, którzy nie spuszczali z niej wzroku.

– Niczyją. – Micah się roześmiał.

– To moja siostra – wyjaśnił Lee zapatrzony w Normę, a szczególnie w jej wyraźnie zarysowane piersi, widoczne pod perkalową sukienką, gdy dziewczyna nachylona czerpała wodę.

– Nie będziecie mieli nic przeciwko temu, że też się napiję? – Banner już od minuty stała przy studni, ale nikt na nią nie zwracał uwagi.

Norma bezceremonialnie podała jej duży kubek.

– A ten do kogo należy? – Wskazała wzrokiem Jake'a, który przy korycie pilnował, by konie zbytnio się nie opiły.

– Do mnie! – Ostry ton Banner spowodował, że Lee i Micah odwrócili się do niej ze zdziwieniem.

– To mój brat – dodał Micah.

– Aha! – Norma spojrzała nieprzyjaźnie na Banner. Nawet chłopcy wyczuli od razu, że dziewczyny nie darzą się sympatią. Banner niemal z rozpaczą patrzyła na swój niechlujny wygląd: miała potargane włosy, czuć ją było końskim potem. Norma natomiast miała starannie zaczesane włosy, a pachniała jak domowy świeży chleb.

– Chyba twój mąż jest bardzo stary, co? – spytała Banner.

Policzki dziewczyny pokrył nagły rumieniec.

– To mój ojciec.

– Aha! – Banner starała się naśladować ton głosu Normy. – Mogę jeszcze dostać wody?

– Proszę, oczywiście.

Banner wzięła kubek świeżej, chłodnej wody i poszła z nim w kierunku Jake'a. Zbliżając się, przywołała na twarz najpiękniejszy uśmiech, na jaki w tej chwili mogła się zdobyć.

– Proszę, Jake. Pewnie też masz ochotę się napić. – Była pewna, że Norma przygląda się jej uważnie.

Jake spojrzał na Banner podejrzliwie, ale wziął kubek z jej rąk.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę. – Jeszcze raz uroczo uśmiechnęła się do niego.

Norma z tej odległości i tak nie słyszała, co do siebie mówili.

Banner na krótko przyciągnęła uwagę Normy, gdyż od studni dał się słyszeć wesoły chichot, którym farmer się zainteresował.

– Norma, co się tam dzieje?! – zawołał.

– Nic, tato!

– No to na nas czas – powiedział szybko Jake. Wyczuł, że zachowanie córki działa farmerowi na nerwy.

Nic na świecie nie było w stanie rozgniewać mężczyzny bardziej niż choćby cień podejrzenia, że zagrożona została cnota córki. A w tych czasach takie niebezpieczeństwo groziło każdej dorastającej dziewczynie.

Od południa Teksasu po Kolorado kowboje byli postrachem rodziców mających córki. Trzeba je było chronić za wszelką cenę. Na ten temat śpiewano nawet piosenkę zaczynającą się od słów:

„Nie wydawajcie swych córek

Za chłopców z Teksasu…".

Jake wylał resztę wody i podał kubek Banner.

– Oddaj kubek tej młodej damie i siadajcie na konie. Micah, Lee, jedziemy. W tej chwili!

Jego ton nie podlegał żadnej dyskusji i wymuszał natychmiastowe działanie. Chłopcy skłonili się Normie, przykładając palce do kapeluszy. Banner oddała kubek, a jej pożegnalny uśmiech zdawał się mówić: Widzisz, ja z nimi odjeżdżam, a ty musisz zostać w tej dziurze, razem z twoim starym…

Jake jeszcze raz podziękował farmerowi i jako ostatni wskoczył na konia. Poczekał, aż jego trójka kawałek odjedzie, i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Podczas tej podróży nie chciał mieć żadnych kłopotów. Zwłaszcza teraz, kiedy Banner jechała z nimi. Poprzedniego wieczora był gotów ją zabić. Na początku nawet ucieszył się z jej widoku. Zanim wpadł w furię, jego serce zabiło mocno, kiedy spojrzał na Banner stojącą w kręgu światła. Dopiero jej upór wzburzył go. Tysiące niebezpieczeństw czyhało na nią na szlaku, dlatego postanowił omijać miasteczka. Jej atrakcyjna uroda musi przyciągać spojrzenia wszystkich młodzików, co zawsze rodzi komplikacje.

Banner była uparta. Zachowywała się spontanicznie, a dopiero później zastanawiała się nad skutkami swoich czynów. To cud, że dotychczas nie było z nią poważniejszych kłopotów; Jake za wszelką cenę chciał ich uniknąć także w dalszym ciągu wyprawy.

Przyglądał się jej, gdy jechała przed nim. Był pewien, że ma odparzone siedzenie. Wiedział doskonale, co to za ból. Z jej ust jednak nie padła żadna skarga. Twarda. Uśmiechnął się mimo woli, gdy patrzył na kołyszące się w siodle dziewczęce biodra. Miała najkształtniejszą...

Odwrócił oczy. Co on, do cholery, najlepszego robi? Spiął Stormy'ego i zrównał się z całą trójką.

– Rozbijemy obóz przy pierwszym napotkanym strumieniu.

Od tego momentu starał się jechać przodem.

Po niedługim czasie dostrzegli kępę wierzb i przepływający obok strumień. Banner zaoferowała się zrobić kawę, mając w pamięci wczorajszą lurę przygotowaną przez mężczyzn. Zgodziła się również przyrządzić posiłek, jeśli naznoszą chrustu, rozpalą ognisko, a po jedzeniu umyją naczynia. Żaden nie zaprotestował. Po skończonym posiłku siedli wokół ogniska, niezbyt blisko, bo wieczór był bardzo ciepły. Jake oparł się plecami o siodło i zapalił cygaro. Lee poszedł w krzaki za potrzebą.

Jake pewnie nie zwróciłby nawet uwagi na Micaha, gdyby ten nie siedział jak wrośnięty w ziemię. Spojrzał w tym samym kierunku co młodszy brat.

W pewnym oddaleniu Banner siedziała plecami zwrócona do ogniska. Zdjęła koszulę. Stanik odbijał się bielą na czarnym tle nocy. Czesała się.

Podnosiła czarne pukle z karku, pochylała nieznacznie głowę i pozwalała słabym powiewom wiatru owiewać nagą szyję. Skóra miała złotawy odcień w blasku ogniska.

Reakcja Jake'a była natychmiastowa – jego członek zesztywniał. Poirytowany tym faktem odwrócił się do Micaha, który ciągle siedział bez ruchu, obserwując z zachwytem dziewczynę.

– Mucha ci wpadnie do gęby, jak będziesz ją tak rozdziawiał. – Szturchnął go butem.

Chłopak zerwał się, przyłapany na gorącym uczynku, ale jeszcze raz zerknął na Banner.

– Jest rzeczywiście ładna, prawda?

Jake spojrzał w kierunku dziewczyny.

– Tak, jest ładna. A teraz zajmij się czym innym, dobrze?

Micah wyczuł, że brat nie jest zadowolony.

– Jake, ja sobie przy tym nic nie myślałem.

– W porządku. Ale gap się w innym kierunku.

Wstał, gdy Lee wrócił do ogniska.

– Pójdę kawałek w dół strumienia ochłodzić się. Radzę wam położyć się i przespać. Mamy przed sobą ciężki dzień.

Banner przyglądała się ginącej w ciemności postaci.

Ciągle był w złym humorze i cokolwiek mówił, brzmiało to opryskliwie. A przecież cały dzień zachowywała się przykładnie, nikomu nie sprawiała żadnych kłopotów. Czy okazał jej choć odrobinę uznania? Gdzie tam!

Z westchnieniem włożyła szczotkę do torby. Przemyła twarz i szyję w wiadrze wody, którą Lee przyniósł ze strumienia, i zaraz poczuła się lepiej. Ostatniego centa dałaby za ciepłą kąpiel! Jutro wieczorem, w hotelu, wymoczę się za wszystkie czasy – pomyślała.

Chłopcom najwyraźniej nie chciało się jeszcze spać; coś sobie szeptem opowiadali.

– O czym szepczecie?

– Nic, nic.

– Chcemy się… to jest, chyba się trochę przejedziemy.

– Przejechać się? Czy wyście powariowali? Przecież jechaliście cały dzień!

– No tak. Ale widzisz…

– Chcemy się trochę ochłodzić.

– No właśnie! Jak Jake wróci, powiedz mu, że chcieliśmy się trochę ochłodzić.

Nim zdążyła zareagować, już siedzieli na koniach i po cichu opuścili obóz. Banner ponownie ułożyła się na swej derce. Jeśli im chciało się włóczyć w środku nocy, to już nie jej sprawa.

Jake nie przyjął ich wyjazdu z obozu tak spokojnie.

– Pozwoliłaś im, tak ot, po prostu, wyjechać, zamiast próbować ich zatrzymać?!

Zerwała się na równe nogi.

– Co miałam robić? Przecież to dorośli mężczyźni.

– Mogłaś mnie zawołać.

– To nie mój interes.

– Jak dawno odjechali?

– Jakieś pół godziny temu.

Klnąc pod nosem, siadł na swojej derce.

– Nie znajdę ich w ciemnościach. Mogę tylko czekać, aż sami wrócą.

Banner odwróciła się na bok i oparła na łokciu.

– Wiesz, co myślę?

– No?

Dlaczego nie włożyła koszuli? Jeśli uważa, że ciemności nocy ją okrywają, to się myli. Ten kusy stanik ledwo mieścił piersi, szczególnie w tej pozycji, jaką w tej chwili przybrała. Górna ich część wychylała się niebezpiecznie poza krawędź koronki, gotowa w każdej chwili uwolnić się od krępującego materiału.

– Oni pojechali zobaczyć się z tą dziewczyną.

– Z jaką dziewczyną? – Oderwał oczy od jej piersi. – Córką farmera?

– Z Normą – rzekła słodko. – Nie widziałeś, że próbowali ją oczarować?

– Widziałem – mruknął i odwrócił się. – Jej ojciec też to zauważył. Mam nadzieję, że nie narobią głupstw. – Wpatrzył się w noc.

– Są zwariowani na punkcie dziewczyn. Tylko o nich mówią i myślą. A to takie głupie. – Położyła się na derce z założonymi rękami.

Jake chrząknął.

– Głupie? O czym wobec tego rozmawiają dziewczyny? Nie o chłopakach?

– Niektóre tak. Ja – nie.

– Co? Nie?

– Nie.

– Ależ, Banner, jestem przekonany, że nie mówisz prawdy. Założę się, że… – urwał w połowie zdania, kiedy rozległ się huk dalekich wystrzałów. Banner podniosła się.

– Co to?

– Strzały. Z dubeltówki, jeśli się nie mylę.

Poderwał się i z siodłem w jednej ręce, a strzelbą w drugiej biegł w kierunku Stormy'ego. Dziewczyna zrzuciła derkę z nóg i pobiegła za nim.

– Czy ten farmer może strzelać do Micaha i Lee?

– Prawdopodobnie.

Wrzucił z rozmachem siodło na konia, ściągnął popręg i poprawił strzemiona. Wyciągnął rewolwer z olstra i sprawdził, czy bębenek jest pełen. Wyćwiczonym ruchem wrzucił też do pochwy strzelbę. Jeszcze tylko sprawdził, czy ma do niej naboje.

Przerażona Banner patrzyła na niego bez słowa.

– Poczekaj, jadę z tobą! – zawołała, gdy już włożył nogę w strzemię.

– Nie, młoda damo. Tym razem mówię poważnie, Banner. Nie ruszaj się stąd. Zrozumiałaś?

Ściągnął wodze i pognał w ciemność.

Dobrze wyszkolone zwierzę nogami wyczuwało grunt. Jake musiał jedynie uważać, by nie wypaść z siodła przy nagłych zwrotach konia. Liczył

strzały powtarzające się z niepokojącą częstotliwością. Dochodziły z bliskiej odległości. Czyżby się mylił? Może to polowanie na dzikie gęsi? Bardzo chciałby, żeby tak było.

Zauważył w ciemności błyski strzałów, zanim wspiął się na wzgórze i spojrzał w wyschnięte koryto rzeczki, które mijali dzisiaj po południu. Zapamiętał je – było głębokie na jakieś dwanaście stóp i szerokie na około czterdzieści. Brzegi łączył wąski most. Zatrzymał konia i wyjął strzelbę.

Chłopcom dotychczas nic się nie stało. Widział ich, jak kryją się w wysokiej trawie. Farmer strzelał do nich z dubeltówki, stojąc po drugiej stronie mostu. Całe szczęście, że był marnym strzelcem.

Konie chłopców rozbiegły się, Jake wnet je złapał, wprowadził w zagajnik dzikich śliw i uwiązał.

Wrócił do Stormy'ego i podjechał na skraj wąwozu. Strzelbę położył sobie na kolanach i wziął do ręki rewolwer. Chciał galopem przejechać wzdłuż rzeczki, strzałami przestraszyć farmera i w ten sposób umożliwić chłopcom bezpieczne wycofanie się. Jak będą już przy koniach, pojedzie za nimi. Nie sądził, by farmer zdecydował się na pogoń, gdyż miał przy sobie dziewczynę. Jake nawet posłyszał rozmowę tych dwojga.

– Tato, przysięgam, nic nie zrobiliśmy.

– Wymykanie się nocą z domu na spotkanie z dwoma napalonymi kowbojami nazywasz niczym?

Kolejny strzał z dubeltówki rozdarł powietrze.

– Na nic mi nie pozwalasz.

– Bo tak być powinno. Przyrzekłem twojej matce, że cię dobrze wychowam.

– Jestem dobrze wychowana. Chciałam tylko z nimi porozmawiać.

– Wiem, czego oni chcieli. I zdaje się, że przyszedłem w ostatniej chwili. Jeden z tych typów już cię całował.

– To był zupełnie niewinny pocałunek.

– Zamknij się! Wrócimy do tego później.

Sprawa wyglądała dość poważnie. Jeśli chciał wydobyć chłopców z kłopotów, musiał zaryzykować. Ścisnął konia udami i galopem ruszył

wzdłuż krawędzi wąwozu, strzelając na oślep, ale dość wysoko, by przypadkiem nie trafić farmera czy jego córki. Farmer przypadł do ziemi. Chłopcy nie marnowali czasu. Widząc, że to Jake galopuje i strzela w biegu, bez chwili namysłu poderwali się i pędem ruszyli w kierunku koni. Farmer podniósł głowę i zobaczywszy, co się dzieje, znowu zaczął strzelać. Jake zawrócił konia i powtórzył manewr, galopując w odwrotnym niż poprzednio kierunku.

Był już na wysokości farmera, gdy nagle o mało nie wpadł na jeźdźca pędzącego na wprost niego.

– Do diabła...

Nie dokończył. Zatrzymał konia i w tym momencie kula z dubeltówki farmera zagwizdała mu koło ucha. Spiął więc konia i skoczył do przodu. Za moment jednak załadował colta i ruszył z powrotem. Zauważył, że Banner gwałtownie zawróciła swego konia i zamierza pojechać w jego kierunku. Co ta głupia robi? Pcha się pod lufę! I dlaczego, do cholery, nie włożyła koszuli? Jej biały stanik jest doskonale widoczny w ciemności.

Kiedy mijali się w biegu, zawołała:

– Chłopcy są już przy koniach?!

– Tak! Jedź do nich! – odkrzyknął.

Zawrócił konia, strzelił jeszcze kilka razy nad głową farmera i popędził w kierunku zagajnika. Banner gnała tuż za nim.

Kiedy dojechał, Micah i Lee siedzieli na swoich koniach.

– Ruszajcie! – wrzasnął w ich kierunku.

– Dziękujemy!

Jake obejrzał się jeszcze, czy nikt ich nie goni, ale zobaczył jedynie gęsty tuman kurzu.

Dojechali do dogasającego ogniska. Jake zeskoczył z konia pierwszy i spojrzał na brata. Micah stanął na ziemi i w tym samym momencie pięść Jake'a wylądowała na jego szczęce.

– Co wy sobie myślicie, do diabła?! Chcecie, żeby nas wystrzelali, co? Macie mieć pozapinane portki, dopóki nie dojedziemy do Fort Worth.

Rozumiecie? Tam możecie zabawić się z każdą dziwką z Pół Akra Piekła, ale od porządnych dziewczyn trzymajcie się z daleka!

Micah spojrzał na niego spode łba i tylko skinął głową na znak zgody.

– Tak jest! – zawołał Lee, zwilżył językiem usta i prosił Boga, żeby Jake nie potraktował go tak samo jak Micaha.

– A teraz wygaście ognisko. Ten pomylony facet może przyjechać za nami. I wytrzyjcie dobrze konie. A potem spać. Banner, ty...

Obejrzał się dokoła, ale dziewczyny nie było.

– Gdzie Banner?

Micah, jeszcze ogłuszony ciosem, robił wrażenie, jakby nigdy w życiu nie słyszał takiego imienia. Lee rozglądał się uważnie wokół obozowiska.

– Wydawało mi się, że jedzie za tobą.

– Banner! – zawołał w ciemność Jake.

Strach chwycił go za pierś.

– Banner!!! – W odpowiedzi usłyszał jedynie gwałtowne bicie własnego serca.

– Widziałem ją, jechała tuż za tobą. Potem patrzyłem już tylko przed siebie.

Jake wskoczył na grzbiet swego konia.

– Nie ruszajcie się stąd na krok! – rzucił i zniknął w ciemności.

Nigdy nie wpadał w panikę. Mówiono o nim, że nie ma serca. Ludzie, którzy bywali z nim na szlaku, widzieli, jak grzebał przyjaciół, nie okazując wzruszenia. Stalowe nerwy, lodowata woda w żyłach – tak o nim mówili towarzysze z przegonów.

Zmieniliby zdanie, gdyby zobaczyli go teraz – pędzącego w kierunku wąwozu. Był oszalały ze strachu.

Co będzie, jeśli jeden, jedyny strzał farmera okaże się celny? Nie, to niemożliwe! Przecież już wracała z nimi do obozu. A może nie? W tym zamęcie trudno było się zorientować. Jeżeli bezpiecznie odjechała z tamtego miejsca, to gdzie jest teraz?

Podjechał do wąwozu i zwolnił. Koń dyszał ciężko. Po raz pierwszy w życiu Jake tego nie zauważył. Uporczywie wpatrywał się w ciemność.

Serce zamarło mu z trwogi. Złapał się na tym, że wypatruje ciała leżącego bez znaku życia, w kurzu, w kusym staniku czerwonym od krwi.

Przetarł oczy, jakby w ten sposób chciał wymazać ten obraz spod powiek. Wszystko dokoła było pogrążone w głębokiej ciszy. Wielokrotnie przejechał wzdłuż wąwozu, ale nie odnalazł ani śladu Banner, ani konia.

Nie pozostało mu nic innego, jak wrócić do obozu. Może odeszła na moment na stronę i nie słyszała wołania. To było prawdopodobne. Wyjechał z obozu tak nagle, że nie miała czasu na powrót. Pewnie wszyscy troje są już w obozie i śmieją się z niego.

Kiedy wrócił, jej wałacha nie było wśród koni. Lee i Micah posłusznie leżeli na swych derkach.

– Znalazłeś ją? – spytał Lee.

– Jeszcze nie, ale na pewno mi się uda. Ona musi być gdzieś w pobliżu. Prześpijcie się trochę.

Boże, gdzie ona jest?

Jake przypominał sobie teraz każdą przykrość, jaką jej sprawił. Żałował każdego gestu i każdego słowa, jakim ją uraził. Nienawidził siebie. Nigdy sobie nie daruje, jeśli coś jej się stanie. Nigdy!

A jeżeli farmer ją zranił i zaciągnął do domu? Jeśli pozwoli się jej wykrwawić? Jeśli… co? Jeśli i jeśli. Od tych „jeśli” zaraz zwariuje.

Jeszcze raz obszedł obóz. Przeczesując dokładnie metr po metrze, nadsłuchiwał każdego szmeru. Nic.

Już zawrócił w kierunku chłopców, by ich obudzić, i zastanawiał się, jak zdoła przekazać wiadomość o śmierci Banner jej rodzicom, gdy nagle usłyszał jakiś dźwięk.

Ktoś nucił.

Melodia dochodziła od strony strumienia. Bez chwili wahania ruszył w tym kierunku.

Jej koń był uwiązany do krzaka nad brzegiem. Spodnie i buty leżały na kamieniu, ona zaś stała na środku strumienia i polewała się wodą.

Nuciła coś.

Usłyszała brzęk ostróg i spojrzała w tym kierunku. Miała wciąż na sobie ten kusy biały stanik. Zobaczywszy Jake'a, zanurzyła się na tyle, na ile pozwoliła głębokość wody.

– Chcesz przyprawić mnie o zawał serca? – zawołała z pretensją w głosie.

– Ja ciebie? Do cholery, gdzie byłaś i co najlepszego robisz?

– Biorę kąpiel.

– Kąpiel! – ryknął.

Rzucił kapelusz na ziemię i zaczął odpinać pas z rewolwerem.

– Czekaj! Niech cię tylko dostanę w swoje ręce!

Jego groźba zawisła w powietrzu; z wściekłością ściągnął jeden but, potem drugi. Oba szerokim łukiem wylądowały w trawie.

– Dlaczego jesteś na mnie zły? Nie urwałam się tak jak chłopcy. Ukarałeś ich?

– Tak. A teraz na ciebie kolej!

– Za co?

– Nie posłuchałaś mnie. Kazałem ci czekać w obozie. Co tam, do diabła, wyprawiałaś, szarżując jak kawalerzysta? A w ogóle, skąd masz rewolwer?

– Ojciec mi podarował na szesnaste urodziny. Nie mogłam posłuchać cię, Jake. Lee i Micah byli w opałach. Sądziłeś, że będę tu siedzieć bezczynnie? Wiedziałam, że będę w stanie im pomóc, i pomogłam. Obaj wyszli z tego cało.

Próbował rozpiąć guziki u koszuli, a ponieważ drżały mu palce, nie udało mu się. Szarpnął więc, aż guziki odskoczyły ze strzępkami materiału.

– Dlaczego nie pojechałaś razem z nami do obozu? Wróciliśmy we trójkę, a ciebie nie mogliśmy znaleźć.

– Nałykałam się tyle kurzu. Byłam zgrzana i spocona, i marzyłam o kąpieli. Co masz przeciwko kąpieli?

– Zaraz ci pokażę! – Zdjął w końcu koszulę i rzucił ją obok butów. – Słyszałaś moje wołania?

– Nie. Myłam włosy i kilka razy zanurzałam się w wodzie.

Wszedł do wody. Banner instynktownie zaczęła się cofać.

– W czasie gdy myłaś sobie włosy i zażywałaś rozkosznej kąpieli, ja jak wariat przeczesywałem każdy kawałek gruntu nad wąwozem w poszukiwaniu twego ciała…

– Mego ciała?

– Bałem się, że jesteś ranna albo jeszcze gorzej. Nikt nie widział, żebyś wracała do obozu.

– I dlatego myślałeś, że mogłam zostać postrzelona? Ten farmer nie trafiłby nawet w swoją stajnię!

– Raz mogło mu się udać! Zrobiłaś przecież z siebie niezły cel. Co cię podkusiło do tak durnego kroku? Sama wystawiałaś się na strzał!

– Martwisz się, że nic z tego nie wyszło? Lepiej trzymaj się ode mnie z daleka. – Wyciągnęła rękę, jakby chciała go odepchnąć. – Co chcesz zrobić?

Woda zmoczyła mu spodnie, kiedy posuwał się pewnym krokiem do celu. Błyski w jego oczach dobitnie wskazywały, że ma zamiar spełnić swe pogróżki.

– Zaraz ci przyłożę. Myślę, że Ross będzie mi za to tylko wdzięczny!

– O nie! Tego nie zrobisz!

Odwróciła się i zaczęła przedzierać się na drugą stronę strumienia. Chwilę ślizgała się po błocie, aż dotarła do twardego gruntu. Już chwytała się trawy, gdy poczuła na kostce stalowy uchwyt jego palców. Krzyknęła i zaczęła wspinać się na brzeg. Dalsza ucieczka nie była jednak możliwa. Banner padła twarzą w trawę. Jake wyszedł na brzeg, chwycił ją za ramiona i obrócił na plecy.

Oboje oddychali ciężko.

– Prosiłem cię, byś dla własnego dobra pozostała w obozie. Ten wariat mógł cię zastrzelić.

Spojrzała mu prosto w oczy. Zauważyła w nich oprócz furii jeszcze coś, chyba strach. I drżały mu ręce.

Bardzo wolno podniosła ramiona, zanurzyła palce w jego jasne włosy otaczające szczupłą twarz.

– I martwiłbyś się, Jake? – spytała cicho. – Martwiłbyś się o mnie?

Zmrużył oczy, pochylił się nad nią i pocałował. Kurczowo ściskała jego włosy i przyciągała twarz do swojej. Pocałował ją znowu, wsuwając język między jej rozchylone wargi. Palcami delikatnie gładził mokre plecy.

Niespokojnie poruszyła się pod nim. Wtulił się między jej rozwarte uda. Była taka miękka, a on taki twardy. Kobieta i mężczyzna idealnie do siebie pasujący i pragnący siebie nawzajem.

Dotknął ręką jej policzka i odgarnął z niego mokre włosy.

– O Boże! Tak! Niepokoiłbym się o ciebie i niepokoję, mimo że próbowałem o tobie nie myśleć.

Łagodnie osuszał palcami jej mokrą twarz, uszy, szyję. Podniósł się, aby spojrzeć na nią. Przemoczony stanik przylgnął do piersi. Już nie były tajemnicą – pełne, jędrne, piękne. Miał wrażenie, że prężą się w oczekiwaniu pieszczoty. Dotknął ich więc. Jego dłoń była ciepła, co stanowiło rozkoszny kontrast z jej zimną i mokrą skórą. Dreszcz przeniknął całe jej ciało. Pieścił je bardzo powoli, nieśmiało, aż sutki stwardniały niczym pestki owoców.

Zadrżała, a on znów na nią patrzył. Spotkał jej wzrok i uśmiechnął się z czułością, jakiej nigdy u niego nie widziała. Rychło powrócił do przerwanych pieszczot. Ośmielił się po raz pierwszy dotknąć piersi ustami, zdumiony ich cudownym smakiem.

Banner zabrakło tchu. Nigdy w życiu nie wyobrażała sobie tak zmysłowej pieszczoty. Głaskanie lub dotykanie – owszem, ale całowanie? Nie, dopiero teraz mogła poczuć przyjemną gorączkę promieniującą z jego ust, wilgoć zbierającą się w środku niej, delikatny ruch języka wokół twardych sutek.

– Masz najsłodsze piersi… najsłodsze… naj…

Całował jej szyję, gdzie pulsowały żyły, ssał płatki uszu. Była jak odurzona, pragnęła, żeby posiadł ją. Unosiła biodra, wychodząc mu naprzeciw – wilgotna i ciepła, rozwinęła się przed nim jak kwiat. Jej ciało błagało go, by wypełnił tę próżnię. Rozpaczliwie zapragnęła poczuć go jeszcze bliżej i jej dłonie zsunęły się w dół po nagim torsie Jake'a.

– Tak – mruczał. – Dotykaj mnie, Banner.

Palce przeczesywały jasne włosy na jego piersi, sprawdzały twardość mięśni, aż doszły, szlakiem owłosienia, do pępka. Z jękiem uniósł się nad nią i przypadł do jej ust. Kiedy wargi zamknęły się wokół natrętnego języka, zajęczał z rozkoszy. Obrócił się na bok, by w szaleńczym tempie rozpiąć spodnie. Odpiął guzik i zamarł.

Jak obuchem w głowę uderzyły go jego własne słowa: „Macie mieć portki pozapinane, dopóki nie dojedziemy do Fort Worth". „Tam możecie zabawić się z każdą dziwką".

Oderwał się od dziewczyny i odsunął w ciemność, oddychając ciężko.

Popatrzył na zupełnie zbitą z tropu Banner.

„Ale od porządnych dziewczyn trzymajcie się z daleka".

Sam robił dokładnie to, przed czym przestrzegał Lee i Micaha. Usiadł, podciągnął kolana do piersi i objął je rękami. Bezradnie pochylił głowę.

Banner leżała bez ruchu. Oczy miała szeroko rozwarte: nic z tego nie rozumiała. Chciała dotknąć jego nagich, zgarbionych pleców, ale nie śmiała. Oddychała ciężko, chrapliwie.

– Jake, zrobiłam coś niewłaściwego? – spytała w końcu. – Jesteś zły na mnie?

– Nie.

– To dlaczego już mnie nie całujesz?

– Nie mogę.

– Czemu?

– Bo nie mogę się później powstrzymać…

Zapadła przygniatająca cisza.

– Więc chciałbyś się ze mną kochać… – szepnęła.

– Tak.

– To dlaczego uciekasz?

– Wiesz dobrze, dlaczego. To nie jest w porządku. Twoi rodzice mi zawierzyli. Poza tym jestem dla ciebie za stary. Jestem za… – Nie mógł chwycić powietrza. – Nie nadaję się dla ciebie.

Łzy napłynęły Banner do oczu.

– Ty mnie po prostu nie chcesz.

Gwałtownie zwrócił twarz w jej kierunku.

– Chcę cię! Wiesz, że cię pragnę. Chciałbym wejść w ciebie głęboko, najgłębiej... Boże! – Ukrył twarz w dłoniach.

– To dlaczego? – zawołała z płaczem.

Wstał. Kilkoma gwałtownymi ruchami odrzucił z czoła włosy.

– Z tych wszystkich powodów, o jakich ci powiedziałem. To nie byłoby w porządku. Skończmy z tym.

Odwrócił się, dał nurka w płytką wodę i popłynął na drugą stronę. Kiedy wyszedł na brzeg, zobaczył, że ona nadal leży w trawie i cicho płacze.

Rozdział 15

Czyżby whisky go zawiodła? Gdzie się podziało to przyjemne uczucie ciepła rozlewającego się po całym ciele? Co z lekkim szmerkiem przynoszącym zapomnienie?

Nie odczuwał nic, choć wypił już kilka szklaneczek. Gdyby nie znał dobrze Pris, mógłby pomyśleć, że whisky rozcieńczono wodą. Wszyscy kowboje wiedzieli jednak, że najmocniejszą whisky i najchłodniejsze piwo dostanie się na pewno w „Ogrodzie Edenu".

Zaczęli pojawiać się goście. Mężczyźni przychodzili pojedynczo, po dwóch, a także grupkami. Szybko wypełniali salony gry i pokoje przyjęć. Gęsty dym tytoniowy sięgał gazowych kandelabrów pod sufitem. Pianista z zapałem wygrywał wesołe melodie. Dziewczyny stawały się coraz milsze i przystępniejsze, bez skrępowania kręciły się po salonach. Były uśmiechnięte i chętne do zabawy, dokładnie wyćwiczone przez „mamę" Priscillę.

Jake musiał przyznać, że tworzyły dobraną grupę. Jedne były piękne i słodkie, inne – tajemnicze. Robiły wrażenie, że wiedzą prawie wszystko o tym świecie, a to, czego nie wiedzą – nie liczy się. Każdy mógł znaleźć sobie dziewczynę według własnych upodobań.

Przełknął potężny łyk. Jedynym efektem było pieczenie w gardle. Przez chwilę pomyślał o partyjce pokera, ale stwierdził, że nie ma na to ochoty. Oparł się o kontuar i od czasu do czasu opróżniał szklankę w nadziei, że alkohol wreszcie zacznie działać, a on zapomni, kogo chciałby w tej chwili mieć koło siebie.

Podeszła Sugar.

– Kogo ja widzę! – zawołała.

– Cześć, Sugar.

Wyglądała znacznie gorzej niż ostatnim razem. Twarz miała nalaną. Niedbale nałożony makijaż zamiast ukrywać, jeszcze bardziej podkreślał zmarszczki i bruzdy na smutnej i zrezygnowanej twarzy.

Tylko jej oczy w przedziwny sposób zachowały swój zwykły wyraz uprzejmości i dobroci. Mówiło się o niej, że swoich klientów traktuje z matczyną wyrozumiałością i pobłażliwością. Niektórzy mężczyźni, szczególnie młodzi, czegoś takiego potrzebują, i tylko dlatego Pris jeszcze ją trzymała.

– Napijesz się?

Miał co prawda pełną szklaneczkę, którą barman niedawno uzupełnił, ale przyjął propozycję. Wiedział, że od każdego drinka, na którego namówi klienta, dziewczyna dostaje premię. Z ładnymi, młodymi dziewczynami Sugar niemal zawsze przegrywała.

– Jeśli napijesz się ze mną, to chętnie.

Orientowała się, że Jake robi to z litości, lecz zbyt silnie pragnęła alkoholu, by się nad tym zastanawiać. Nachyliwszy się nad kontuarem, szepnęła barmanowi:

– Nalej mi z jego butelki, a nie z tej, którą „mama" trzyma dla nas.

– Jak ci się wiedzie?

– Nie narzekam.

– Co robisz w mieście? Czyżbyś jechał gdzieś na wschód?

Wzięła do ust duży łyk trunku, potrzymała chwilę, rozkoszując się jego smakiem i mocą.

– Przyjechałem kupić bydło. Mam zamiar zająć się hodowlą.

Jej uśmiech był naprawdę szczery.

– To dobrze, Jake. Cieszę się ze względu na ciebie i chciałabym, żeby ci się powiodło. To ci się należy.

– Dziękuję, ale nie robię tego na własny rachunek. Jestem jedynie rządcą na ranczu.

– To też nieźle. Kiedy przyjechałeś?

– Dziś po południu.

Zatrzymali się w hotelu Ellis. Gdyby byli tylko w trójkę, na pewno zamieszkaliby w tańszym, ale ze względu na Banner Jake wybrał jeden z lepszych hoteli w mieście. Ich trzyosobowy pokój na trzecim piętrze był połączony z jej jedynką wewnętrznymi drzwiami.

– Tu jest wyjście na balkon. – Jake rozsunął kotary i otworzył drzwi. Z balkonu roztaczała się panorama na jedną z głównych ulic miasta – Throckmorton. Sądził, że ogromny ruch panujący na tej arterii przykuje jej uwagę. Skinęła jedynie głową, jakby chciała powiedzieć: Ładny widok, Jake. Dzięki.

Od chwili zwinięcia obozu niewiele z sobą rozmawiali. Również Micah i Lee, świadomi swej odpowiedzialności za wydarzenia ostatniej nocy, jechali szybko i bez zbędnego gadania. Wieczorem byli już w hotelu.

Pokryci kurzem nie wyglądali zbyt dystyngowanie. Recepcjonista spojrzał na nich łaskawiej dopiero po wzmiance o panu Culpepperze. Humor poprawił mu fakt, że Jake zapłacił gotówką za dwie noce.

– Pamiętaj, żebyś cały czas miała zamknięte drzwi. Nie otwieraj nikomu poza mną i chłopcami – poinstruował Banner przed wyjściem.

Lee i Micah również wyruszyli do miasta. Powiedzieli, że zjedzą kolację poza hotelem. Jake dopilnował, by jedzenie przyniesiono Banner do pokoju. Nie chciał, żeby sama schodziła do jadalni.

– Mówiłeś mi to już sto razy. Pamiętam.

Stała na balkonie i przyglądała się tłumom w dole, jakby była więźniem. W pewnym sensie tak było zresztą.

– W tej chwili marzę tylko o gorącej kąpieli i pójściu do łóżka.

– To bardzo dobrze – powiedział i nagle zaczął się śpieszyć do wyjścia. – Dobranoc.

W jej głosie wyczuł tyle smutku i zawodu, że zawahał się, czy nie zostać. Przemógł się jednak i szybko wyszedł.

*

Obecnie w tej zadymionej i hałaśliwej sali, gdzie zawsze czuł się jak ryba w wodzie, nagle czegoś mu zabrakło. Uświadomił sobie, że Ogród Edenu przestał go bawić.

Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, po co tu przyszedł. Mimo że Banner ledwie odzywała się do niego, wolał jej towarzystwo niż otaczający go tłum.

Sugar skończyła swoją szklaneczkę. Jake uśmiechnął się do niej.

– Mam ze sobą dwóch chłopców.

– To gdzie ich chowasz?

Mimo ponurego nastroju zaśmiał się.

– Podejrzewam, że zbierają odwagę na jutrzejszy dzień. Powiedziałem im, żeby dzisiaj ograniczyli rozrywki do strzelnicy. Jutro wieczorem ich przyprowadzę i przedstawię ci.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Dziękuję ci, Jake. Jestem bardzo wdzięczna.

Jej spojrzenie stało się jeszcze cieplejsze i mocniej zacisnęła palce na ramieniu Jake'a.

– Nie mam w tej chwili nic specjalnego do roboty…

Jej propozycja była pełna nadziei.

Kąciki ust opadły mu lekko, nadając twarzy wyraz zamyślenia i smutku.

– Dziewczyno, nie trać swego czasu z włóczęgą. Na pewno znajdziesz sobie lepszego klienta ode mnie.

Odmówił jej elegancko i chciała mu się zrewanżować tym samym.

– Pewnego dnia któryś z tych bogatych klientów zakocha się we mnie.

– Nie wątpię w to.

– I zabierze mnie stąd. Daleko od niej – dodała z naciskiem. Skinęła głową w kierunku portiery oddzielającej salony gry od baru.

Priscilla stała w progu z jedną ręką opartą na biodrze, w drugiej trzymała kolorowy wachlarz. Gdy ruszyła w ich kierunku, Sugar chciała odejść.

– Do zobaczenia, Jake. Dziękuję.

– Moment – rzekła Priscilla, ponieważ Sugar chciała ją wyminąć. Spojrzała na starą prostytutkę uważnie i z wyrzutem. Nagle z rozmachem, otwartą dłonią, uderzyła ją w twarz. Odgłos uderzenia zwrócił na nich uwagę całej sali.

Jake zerwał się, gotów bronić Sugar, ale zdał sobie sprawę, że może jedynie pogorszyć sytuację.

Sugar obronnym gestem zasłoniła twarz.

– Za co?

Policzek był wymierzony z powodu Jake'a, jego współczującego spojrzenia i delikatnego pocałunku, jaki złożył na ustach Sugar.

– Masz dziurę w pończosze. Ruszaj na górę i dzisiaj już nie pokazuj się.

– Ja potrzebuję pieniędzy – jęknęła Sugar.

– Słyszałaś?!

Chcąc uniknąć ciekawskich spojrzeń, Sugar wymknęła się z pokoju i zniknęła na górze.

Priscilla ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na siedzącego bezczynnie pianistę; zerwał się natychmiast i zaraz muzyka wypełniła bar. Nie poprawiło to jednak humoru szefowej. W tym samym złym nastroju podeszła do baru.

– Czyżby Ross i Lydia zdążyli zmęczyć się twoją obecnością? – spytała zimno Jake'a.

– Jesteś rzeczywiście kurwą.

– Owszem. To należy do moich obowiązków.

– Zdaje się, że właśnie to lubisz najbardziej.

– Wiesz dobrze, co lubię najbardziej – powiedziała uwodzicielsko.

– Dlaczego uderzyłaś Sugar?

– Muszę je krótko trzymać.

– Żeby nie miały podartych pończoch? Czym ci ta biedaczka zawiniła?

– Stara Sugar kosztuje mnie masę pieniędzy, kiedy jest zbyt pijana, by obsłużyć napalonego kowboja.

– I tylko to się liczy? Pieniądze?

– I jeszcze ogromny męski członek.

Jake pokiwał głową z politowaniem.

– Nie zmienię swego zdania o tobie.

– A może mi powiesz, co tu robisz?

To była normalna płaszczyzna ich wzajemnych stosunków. Najbardziej lubił się z nią sprzeczać.

– Przyjechałem kupić bydło dla Colemanów.

– To znaczy, że pracujesz?...

– Ta-a. – Wypił resztę trunku.

– A teraz to oblewasz?

Jake wzruszył ramionami.

– I nie mogłeś w tym celu znaleźć sobie kogoś lepszego niż starą Sugar.

Priscilla podeszła jeszcze bliżej, umożliwiając mu dokładne obejrzenie swych wyeksponowanych piersi; zdawały się przelewać przez czarną koronkę.

Jake to wszystko doskonale znał. Każdy detal służył do uwodzenia, do rozpalania wszystkich mężczyzn na sali. On jednak był odporny.

– Widzisz, według mnie, wszystkie kurwy są takie same.

Zmrużyła oczy na jawną zniewagę. Dziwił się, dlaczego nie rozorała mu jeszcze twarzy paznokciami. Jej opanowanie było godne podziwu. Zamiast wybuchnąć, odezwała się swym zwykłym głosem:

– Co się z tobą dzieje? – Położyła mu rękę na brzuchu i stopniowo przesuwała ją coraz niżej. – Nie masz ochoty przespać się z którąś z moich dziewcząt?

Spokojnie odsunął jej rękę.

– Nie. Tym razem nie.

W tym momencie postanowił, że nie będzie tu tracił cennego czasu. Przecież powinien opiekować się Banner. Nie należało zostawiać jej samej w pokoju hotelowym.

– Lepiej pójdę do hotelu sprawdzić, co dzieje się z Banner.

– Banner? – powtórzyła.

– Tak. To córka Rossa i Lydii. Opowiadałem ci kiedyś o niej. Kupujemy razem bydło.

Zaczęło mu się śpieszyć. Szukał w kieszeni monety, aby zapłacić barmanowi.

– Jej mąż też przyjechał? – Chciała sprawdzić, czy opowieść Duba była prawdziwa.

– Mąż? Nie. Nie wyszła za mąż. Wszystko zostało odwołane.

Rzucił monetę na kontuar.

– Do widzenia, Pris.

Zniechęcona i zła patrzyła, jak od niej odchodzi. Był zupełnie niepodobny do dawnego Jake'a. Kiedy powiedziano jej, że przyszedł do Ogrodu, zaraz pobiegła do swego pokoju poprawić makijaż i przejrzeć się w lustrze. Zdziwiła się, znalazłszy go pijącego samotnie przy barze. Sugar nie liczyła się przecież jako towarzystwo.

To nie było normalne. Priscilla miała uprzedzenia wobec ludzi, którzy nie zachowują się zgodnie ze swoim charakterem.

Córka Colemanów jest z Jake'em, podróżuje z nim. To interesujące. Postanowiła za wszelką cenę poznać ją osobiście. Chciała zobaczyć, jak wygląda córka Lydii, i przekonać się, czym też ona oczarowała Jake'a.

Widziała, że odsunął portierę i zderzył się w przejściu z kimś, kto właśnie wchodził do baru. Wchodzący chyba wygrał jakąś większą sumę w pokera, bo trzymał w ręku plik banknotów i liczył je pośpiesznie.

Od razu spostrzegła, że tych dwóch mężczyzn pała do siebie autentyczną nienawiścią. Wchodzący cofnął się, jakby zobaczył ducha. Jake odruchowo położył rękę na kolbie rewolweru.

Nieznajomy poruszył się pierwszy – cofnął się kilka kroków. Był blady ze strachu. Potem bezpiecznym łukiem obszedł Jake'a i skierował się do baru. Priscilla widziała, jak Jake odprowadza go wzrokiem. Po kilku sekundach obrócił się na pięcie i wyszedł.

Poczuła wielką ulgę; dopiero teraz spostrzegła, jak była napięta. Jake wyglądał, jakby chciał zastrzelić faceta. Tylko tego jej brakowało – ściągnąć sobie na głowę z powodu morderstwa pół rozfanatyzowanego miasta.

Wachlowała się nerwowo; mimo wszystko wieczór zapowiadał się dość interesująco.

Co łączyło Jake'a z tym nieznajomym?

Świadoma swego nieodpartego uroku, zbliżyła się do niego; oparty o bar pośpiesznie łykał już chyba trzecią szklaneczkę alkoholu.

– Cześć.

Odwrócił się i popatrzył na nią zaskoczony.

– Nigdy cię tutaj nie widziałam.

– Bo dotychczas tu nie bywałem. I dopiero teraz wiem, co traciłem.

– Widzę, że nieźle poszło ci przy stole. Masz wypchane kieszenie. – Wachlarzem przesunęła po wypukłych kieszeniach nieznajomego.

– Czuję, że zaraz wydam połowę na kogoś tak pięknego jak ty – odrzekł.

Priscilla złożyła wachlarz.

– Na imię mi Priscilla.

Oczy mu zabłysły.

– Ta Priscilla?

– Słyszałeś o mnie?

– W całym stanie nie ma mężczyzny, który by o tobie nie słyszał.

– Jesteś zawiedziony? Nie pasuję do twoich wyobrażeń?

Obrócił się, dotykając łokciem jej biustu.

– To trzeba by sprawdzić, co?

– Za sto dolarów...

Gwizdnął przeciągle.

– Masa forsy.

Paznokciem delikatnie podrapała go w dolną wargę.

– Jestem tego warta!

Priscilla złamała dotychczasową zasadę: nie brać do łóżka nieznajomego. Każdy z jej klientów musiał najpierw odbyć określony „staż" u dziewczyn. Zanim sama zawarła z nim bliższą znajomość, musiała wiedzieć o nim wszystko: znać jego stan cywilny, imiona dzieci, adres, jak również orientować się, czym się zajmuje, do jakiego Kościoła należy, co lubi jeść i pić oraz ile i jakie pali cygara, co lubi robić z dziewczyną, gdzie trzyma pieniądze i najważniejsze – ile ich ma.

Tym razem zrobiła wyjątek. Musiała się dowiedzieć, na czym polega jego konflikt z Jake'em.

– No więc?...

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął pieniądze. Zacisnęła palce na banknotach.

– Tędy proszę.

Skoro drzwi jej prywatnego apartamentu zamknęły się, zarzuciła mu ręce na szyję. Im szybciej upora się z nim, tym lepiej dla interesów Ogrodu Edenu.

– Do diabła, dziewczyno, wyzionę tego... no, ducha, zanim ściągnę portki!

Wprawnymi ruchami pomogła mu się rozebrać. Westchnęła zadowolona, widząc go gotowego do miłości.

– Możesz mi zdradzić swoje nazwisko?

– Sheldon. Grady Sheldon.

*

– Kto tam?

– To tylko ja.

Sylwetka Jake'a wypełniła przejście. U Banner było zupełnie ciemno. Tylko w pokoju, który Jake dzielił z Lee i Micahem, paliła się jedna lampa, i to malutkim płomykiem. W smudze nikłego światła padającego na jej łóżko widział, jak usiadła i podciągnęła kołdrę po samą brodę.

Włosy miała w nieładzie, opadające na ramiona; oczy okrągłe ze strachu – jego wejście obudziło ją z głębokiego snu.

Banner w łóżku, ciepła i rozespana.

Po raz pierwszy tego wieczoru czuł podniecenie. Czy zaledwie osiemnastoletnia dziewczyna, ubrana w nocną koszulę, którą za skromną uznałaby nawet zakonnica, mogła go roznamiętnić bardziej niż doświadczona Priscilla albo jej półnagie, zawsze chętne i uległe dziwki?

– Co robisz? – spytała jeszcze sennym głosem.

– Właśnie wszedłem. Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Położyła się z powrotem na poduszce i starannie przykryła.

– Czy Lee i Micah już są?

Pokręcił głową.

– Nie, ale w każdej chwili powinni wrócić.

– Co ty… gdzie byłeś? – To pytanie wiele ją kosztowało.

– Nigdzie.

– Przecież gdzieś wychodziłeś.

– Nie musisz wiedzieć.

– Byłeś u niej?

– To znaczy – u kogo?

– Priscilli Watkin.

– Może…

– Czy dokończyłeś z nią to, co zacząłeś ze mną ostatniej nocy?

– Cóż to za pytanie!

– Tak czy nie?

– Nie twój interes!

Gwałtownie siadła na łóżku; kołdra ześlizgnęła się poniżej piersi.

– To jest mój interes! – krzyknęła i uderzyła pięścią w materac. – Zamykasz mnie w pokoju, a sam idziesz zobaczyć się z nią. Chłopcy włóczą się po mieście, tylko ja tkwię tu jak w więzieniu!

– Chłopcy potrafią sami zadbać o siebie.

– Ja też!

Westchnął, gdyż rozmowa zeszła na temat, jakiego wolałby uniknąć. Cieszył się, że się obudziła. Chciał z nią porozmawiać, usłyszeć w jej głosie chociaż nutkę przebaczenia. Może wziąłby ją w ramiona, ucałował słodkie usta, przeprosił za ostatnie przykrości. Mógłby wytłumaczyć, że jego powściągliwość ma inne przyczyny niż niechęć do niej, a ona wszystko by zrozumiała. Zamiast tego – kłócili się.

– Masz chyba dość rozumu, by wiedzieć, że bez odpowiedniego towarzystwa nie możesz chodzić po Fort Worth.

– Mógłbyś mi towarzyszyć zamiast uganiać się za dziwkami. Przyznaj się, byłeś tam.

– Tak! I widziałem się z Priscillą. Zadowolona?

Popatrzyła na niego bezradnie i smutno, potem wolno położyła się na brzuchu, kryjąc twarz w poduszce.

– Cholera! – zaklął i zatrzasnął drzwi łączące pokoje.

Był zdenerwowany; przemierzał pokój i rozważał, czy nie powinien wrócić do niej i udobruchać ją. Jutro mógłby jej zaproponować przechadzkę po mieście, zaraz po spotkaniu z handlarzem.

Bał się jednak ponownie wejść do pokoju Banner. Na pewno była przekonana, że jego spotkanie z Priscillą zakończyło się w łóżku. Tylko on wie, jak było naprawdę.

Usiadł na łóżku, aby zdjąć buty. Czy powinien ostrzec Banner, że Grady jest w mieście? Dzisiaj w barze o mało go nie zastrzelił. Nie przypuszczał, że jest zdolny odczuwać tak silną nienawiść do kogokolwiek.

Sheldon był zagrożeniem dla rodziny Colemanów i to już stanowiło wystarczający powód, by go nie znosić. Na dodatek stał się niebezpieczny dla Banner, co spotęgowało tę wrogość i wzbudzało w Jake'u chęć popełnienia morderstwa.

Grady nie wydawał się zrozpaczony po stracie żony, nowo narodzonego dziecka ani teścia. Nie zachowywał się również jak ktoś oczekujący z niepokojem na odpowiedź w sprawie małżeństwa.

A w ogóle, to co on robił w Fort Worth?

Jake spojrzał na drzwi łączące pokoje.

Czyżby Sheldon słyszał o ich wyprawie? Banner nie mogła pozostać niezauważona w Larsen. Czyżby Sheldon celowo podążył za nią, spodziewając się, że pozbawiona wpływu rodziny przyjmie jego propozycję?

Bez względu na to, czy Banner będzie na niego wściekła, czy nie, jutro przyklei się do niej i nie da Sheldonowi szansy na kontakt z nią.

Spojrzał na swe ręce, zdziwiony, że same zacisnęły się w pięści. Wyobrażał je sobie na szyi Sheldona. Oto przyszłość czekająca każdego,

kto ośmieli się zbliżyć do Banner wbrew jej woli. Nie mógł znieść myśli, że ktoś może jej dotykać. On sam to coś zupełnie innego…

Rzucił się na łóżko i starał się nie myśleć, co Banner i on…

Banner – jej włosy i skóra, mokra i pachnąca kąpielą. Banner – jej usta zachłanne i odpowiadające na jego pocałunki.

Banner – jej uda na jego udach.

Banner…

*

Łzy spływały jej po policzkach. Dzięki Bogu, że przy nim się nie rozpłakała. Ostatnio zbyt często płacze z jego powodu. Kiedy wreszcie opanuje się na tyle, by nie upokarzać się przed nim?

Poprzedniej nocy byli już bardzo blisko spełnienia. Wiedziała, że ogromnie tego chciał. Pożądanie, z jakim ją całował, nie mogło być udawane. Sposób, w jaki jego usta pieściły jej piersi, nie mógł być skutkiem jej wyobraźni, bo gdyby tego sama nie przeżyła, nie domyśliłaby się nawet, że coś takiego istnieje.

Ale dlaczego się wycofał?

Tłumaczył się różnicą wieku, niedopasowaniem i podobnymi bzdurami. Prawdziwą przyczyną była na pewno ona, gdyż nie była Lydią. Jake może lubi ją, ale kocha tylko jej matkę.

Wsłuchiwała się w dźwięki, jakie dochodziły z jego pokoju: plusk wody, uderzenia o podłogę butów, skrzyp sprężyn, gdy kładł się do łóżka.

Rozebrał się? W czym śpi, kiedy jest sam? Chyba nie w koszuli – to do niego zupełnie niepodobne. W kalesonach? W taki upał? Nago?

Zrobiło się jej słabo na myśl, że nagi Jake leży w odległości zaledwie kilku metrów. Obróciła się na brzuch w nadziei ugaszenia rozpalającego się w niej ognia.

Czemu się tak zadręcza? Wyzbyła się już swej dumy? On z pewnością doznał zaspokojenia z inną kobietą.

Priscilla Watkin – jeszcze nie poznała tej kobiety, a już ją znienawidziła.

Długo przewracała się na łóżku, zastanawiając się, czy on też nie może zasnąć. Może przypomina sobie ich spotkanie nad strumieniem poprzedniej nocy albo rozpamiętuje dzisiejszą randkę z Priscillą?

Nad ranem przyszli chłopcy, rozbawieni, podpici i głośni. Jake kazał im uspokoić się, zanim służba hotelowa wyrzuci ich wszystkich na ulicę.

A ona ciągle leżała z otwartymi oczami i rozmyślała, co taka kobieta jak Priscilla Watkin może dać mężczyźnie, czego ona dać nie może.

*

Grady Sheldon był samolubnym kochankiem: brał wszystko, nie dając nic z siebie. Priscillę niełatwo było zadowolić, Sheldon nawet nie podniecił jej swoimi szybkimi, gwałtownymi pchnięciami.

Podrapała go paznokciami po plecach.

– Było dość przyjemnie. – Przekręciła się na bok.

Zadowolony z siebie, położył głowę na jej ramieniu.

– Dobrze?

Zapatrzyła się w sufit. Ktoś, kto pyta, nigdy nie jest dobry.

– Bardzo – odrzekła, gładząc jego ucho.

Położył rękę na jej nagiej piersi i ścisnął za mocno. Pozwoliła mu na to. Grady dostał to, za co zapłacił, jej zaś było daleko do przeżycia satysfakcji. W interesach jednak nie kierowała się potrzebami ciała, a do Sheldona miała przecież sprawę.

– Mieszkasz tu?

– Nie. W Larsen.

– Larsen? To wschodni Teksas?

– Tak. – Całował jej kark. – Mam tam tartak. Największy w okolicy.

Położyła mu rękę na udzie; chyba jednak przyda się jej. W kołach finansowych mówiono, że przemysł drzewny w Teksasie ma przed sobą duże perspektywy.

– Uważaj z zębami, kochanie – poprosiła.

Ślady po zębach to było ostatnie, czego życzyłaby sobie na ciele. Na tym zresztą polegała jedna z jej zasad: rób, co chcesz, ale nie zostawiaj śladów.

– Przepraszam – mruknął. – Ale gdy tylko pomyślę o interesach, zaraz bierze mnie na nowo. Teraz zbudowano linię kolejową; to ułatwia rozsyłanie budulca po całym stanie, a nawet dalej.

– Rozumiem – powiedziała zamyślona. – Nie martwisz się pozostawieniem tego wszystkiego bez kontroli?

– Pracuje u mnie dwunastu robotników.

Tak, ten Sheldon to znajomość, którą warto podtrzymać. Nie była tak naiwna, by wierzyć, że interes z Ogrodem Edenu potrwa wiecznie. Rozhisteryzowane baby pod wodzą fanatycznego kaznodziei wcześniej czy później wyrzucą ją z miasta. A nawet jeśli tego nie zrobią, ona sama nie chce pozostać „mamą" do końca swoich dni. Przecież zasłużyła na kilka lat spokojnego odpoczynku. Wówczas będzie korzystać z pieniędzy, które przez tyle lat tak pieczołowicie gromadziła.

– Jak poznałeś Jake'a Langstona? – spytała niespodziewanie. – Znasz go, prawda?

– Nie znam go, lecz wiem, kto to jest – odrzekł wzburzony.

Ujęła jego głowę w swe dłonie i zbliżyła ją do brzucha.

– Nie pytałabym cię, gdybym wiedziała, że to cię zdenerwuje. Nie przestawaj, to takie przyjemne.

– Pierwszy raz zobaczyłem go na swoim weselu.

– Był twoim gościem?

– Nie moim. Mojej żony, to znaczy dziewczyny, która miała być moją żoną.

Niesłychane! A więc była w łóżku z niedoszłym zięciem Rossa i Lydii?! Los rzadko bywał dla niej tak łaskawy. Ledwo zapanowała nad sobą, a chciała się jeszcze upewnić.

– Grady, opowiadasz coś bez sensu.

– To święta prawda! W dniu ślubu miałem pewne kłopoty. Został odwołany, mimo iż wszyscy byli w kościele.

Siadła w łóżku, zaskoczona.

– Nie! Opowiedz mi dokładnie, co się stało!

Powtórzył jej historię, którą wcześniej słyszała od Duba.

– Ten sukinsyn bimbrownik oskarżył mnie, że zmajstrowałem dziecko jego córce – zakończył, wyraźnie zdenerwowany.

Priscilla uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Miałam cię przed chwilą i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby mówił prawdę.

Wyraźnie schlebiała jego próżności.

– Owszem, przyznaję, że zawsze jestem gotowy.

– Powinieneś przyjść do mnie wcześniej. U nas takie incydenty jak dzieci nie zdarzają się.

Ucałowała go tak wyrafinowanie jak żadna dotychczas kobieta, nawet Wanda.

– A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Jake'a Langstona? – spytała po chwili, gdy uwolniła się z jego uścisku.

– On należy do rodziny mojej byłej narzeczonej. Do Colemanów. Banner – tak ma na imię ta dziewczyna – wybiegła z kościoła, nie dając mi nawet możliwości wytłumaczenia się.

– Biedactwo! – Priscilla oparła się na stosie poduszek i przyciągnęła go do siebie.

– Zostałem zmuszony do poślubienia Wandy. To była okropna rodzina.

– Była?

– Zginęli w pożarze kilka tygodni temu.

– To smutne.

– Dla mnie – nie.

Wzrokiem powiedział jej to, czego słowami nie miał odwagi przekazać. Przymknęła oczy z uznaniem. Zaskakiwał ją coraz bardziej. Był taki sam jak ona. Bez wahania potrafi usuwać przeszkody, jakie stają mu na drodze.

– Ogień jest taki okropny – rzekła.

– Straszny – potwierdził Grady.

Roześmieli się. Potem znowu zaczął całować jej piersi.

Priscilla nie wiedziała jeszcze wszystkiego.

– A co ty masz wspólnego z Jake'em?

– Jest rządcą na ranczu Banner. Na tym, które dał jej ojciec. Miało być także moje. Dostała też ogromny las, który może się zmarnować.

– Wciąż chcesz go dostać? – spytała z podziwem.

– Lubię cię, Pris. Myślisz podobnie jak ja. Po śmierci mojej nieodżałowanej żony udałem się na klęczkach do Banner po przebaczenie i z prośbą, by wyszła za mnie.

– I co ci odpowiedziała?

– Nic. – Szczęki miał tak zaciśnięte, że wąskie wargi tworzyły linię prostą. – Nie mogę zbliżyć się do niej. Jake pilnuje jej jak czujny pies.

Priscilla bawiła się jego włosami. Nagle powiedziała:

– Wiesz, że on jest z nią w mieście?

– Co? – Wyprostował się. – Banner jest tu? Skąd wiesz?

Powtórzyła mu słowa Jake'a.

– Cóż, mogę być sukinsynem, ale takiej okazji nie przepuszczę. Szeryf w Larsen zaczynał być zbytnio dociekliwy. Uznałem więc za wskazane zniknąć z miasta. Przynajmniej na jakiś czas. A nie chciałem tego zrobić, dopóki nie dostanę ostatecznej odpowiedzi od dziewczyny.

Odrzucił do tyłu głowę i zaśmiał się.

– Jake na pewno będzie pochłonięty kupowaniem bydła, a ja w tym czasie niepostrzeżenie wślizgnę się do hotelu i zobaczę się z nią.

Spojrzał na Priscillę, która z coraz większym podziwem śledziła tok jego rozumowania. Fascynowali ją mężczyźni, którzy każde zdarzenie potrafili obrócić na swoją korzyść. Tak jak ona.

Ależ ma w ręku broń! Odrzuconego narzeczonego Banner Coleman! Martwiło ją tylko jedno: przesadna troska Jake'a o dziewczynę. To coś musi znaczyć. Według Grady'ego Jake mieszkał z nią na ranczu. Dzisiaj całkowicie zbagatelizował Ogród Edenu. Poza kilkoma szklaneczkami whisky nie skorzystał z żadnych usług i szybko opuścił jej wesoły dom. Nawet z n i e j zrezygnował; pognał pilnować dziewczyny.

Priscilla postanowiła sobie, że chociaż miałaby to być ostatnia sprawa do załatwienia w jej życiu, musi zniszczyć wszystko, co łączy Jake'a

z Banner. Odpłaci mu za lata lekceważenia, a użyje do tego tej dziewczyny.

– A ty skąd znasz Langstona? – spytał Grady podejrzliwie; może zbyt otwarcie rozmawiał z nią o Wandzie i o pożarze.

Jej uśmiech uspokoił go.

– Znam go jeszcze z czasów dzieciństwa. To zwykły włóczęga, który u mnie czasem pije na kredyt.

Był usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, poza tym zajmowało go co innego. Zachwycał się zapachem perfum Priscilli, którymi obficie skropiła biust. Podniósł się nieco i zauważyła jego podniecenie.

– To kosztuje ekstra.

Priscilla zawsze informowała swych klientów o kosztach usług.

– Ile?

Rozsunęła ulegle nogi.

– Następne pięćdziesiąt dolarów.

– Zgoda. Wszystko, co zechcesz.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Zasługiwał na dobre traktowanie. Informacja, jaką od niego uzyskała, była bezcenna.

Rozdział 16

Rano Jake zszedł na śniadanie razem z Banner. Spotkanie z panem Culpepperem było wyznaczone na dziesiątą.

– Wyglądacie jak dwa nieszczęścia – powiedział Jake do Lee i Micaha, kiedy dosiedli się do stolika w hotelowej restauracji. Twarze mieli szare i wymęczone, oczy – małe i przekrwione.

Lee opadł na krzesło koło Banner. Oparł się łokciami o stół i ukrył twarz w dłoniach.

– Czuję się podle. Banner, bądź tak miła i nalej mi kawy. Ręce mi się tak trzęsą, że ledwie się ogoliłem.

Fuknęła na niego, ale spełniła prośbę.

– Jeśli nie jesteście w stanie utrzymać kubków, to lepiej nie pijcie – rzekł Jake.

Uśmiechnął się porozumiewawczo do Banner. Spojrzała na niego z dezaprobatą, która nie tyle odnosiła się do niego, co do całego rodzaju męskiego. Spędził burzliwą noc bez niej; Banner nie byłaby sobą, gdyby przeszła nad tym do porządku dziennego.

– Pośpieszcie się. I skończcie kawę, bo nie chcę, żeby pan Culpepper pomyślał, że ma do czynienia z pijakami – Jake dał upust swemu niezadowoleniu z zachowania się młodych ludzi.

Zdecydowali, że z hotelu do biura handlarza pójdą pieszo. Miasto tętniło życiem. Mimo dąsów Banner uległa atmosferze, jaka tu panowała. Okna sklepów były pełne atrakcyjnych towarów. Na ulicy panował ruch – przejeżdżały wozy farmerów załadowane produktami rolnymi, przewijały się lekkie powozy prowadzone przez szykownie ubrane kobiety, wlekli się

kowboje na zmęczonych koniach. Wszyscy dokądś się śpieszyli i wszyscy mieli coś do załatwienia. Miasto pulsowało energią, która była zaraźliwa.

Kiedy dotarli do biura pana Culpeppera, nastrój Banner znacznie się poprawił. Mężczyznom również.

Jake pochwycił jej spojrzenie, gdy otwierał przed nią drzwi:

– Zachwycająco dziś wyglądasz – szepnął.

Nie była pewna, czy to komplement, czy drwina. Jego oczy wpatrywały się w nią z zachwytem.

– Dziękuję, Jake.

Włożyła sukienkę, jaką miała na sobie w dniu wyjazdu z domu. Poskładała ją starannie i ułożyła w torbie podróżnej, wiedząc, że będzie jej potrzebna na spotkanie z panem Culpepperem. Dzisiaj rano rozprasowała wszystkie zmarszczki i załamania. Włosy upięła w wysoki węzeł i nałożyła kapelusz. Wpięła w uszy kolczyki z perełkami. Wiedziała, że wygląda bardzo oficjalnie, a mimo to niezwykle kobieco.

Jake to zauważył!

– Ty też wyglądasz bardzo elegancko – odpowiedziała komplementem. Był ubrany tak samo jak na jej ślubie.

– Dziękuję – mruknął dość niewyraźnie.

Zabiegany urzędnik zaprowadził ich do biura pana Culpeppera na drugim piętrze. Handlarz był naprawdę zaskoczony, kiedy Banner weszła do biura w towarzystwie mężczyzn, ale szybko zreflektował się i zaproponował krzesło.

Pomieszczenie wyglądało na biuro zapracowanego biznesmena. Meble były dość eleganckie, ale zakurzone. Biurko, imponująco wielkie, było kompletnie zarzucone najróżniejszymi papierami. Bibliotekę wypełniały książki i skoroszyty z rejestrami, aktami, zestawieniami.

Lee i Micah siedli na kanapce w głębi, z dala od słońca, wpadającego przez wysokie i zakurzone okna. Byli bardzo zadowoleni, że Jake sam załatwia wszystkie transakcje.

Z początku pan Culpepper zwracał się tylko do Jake'a, ale po kilku rozsądnych uwagach Banner zrozumiał, że to ona jest właścicielką rancza,

w którym chciałaby hodować bydło. Uświadomił sobie, że jest nie tylko ładną, młodą damą, ale i zna się na rzeczy.

W ciągu pół godziny uzgodnili cenę niewielkiego stada.

– Dwadzieścia dziewięć krów rasy Hereford i byk. – Culpepper zastanawiał się przez moment. – Tak, mam byka rasy Brahman, ale ma tego, trochę – spojrzał na Banner – powiedzmy: romantyczną naturę. Jest dość drogi, lecz możemy się potargować. Jesteście tym zainteresowani?

Jake pokręcił przecząco głową.

– Wolałbym, żeby byk też był rasy Hereford.

– Może i masz rację. Czy w tej sytuacji jesteście gotowi do podpisania kontraktu?

– Oczywiście – odparł Jake – tylko że chciałbym najpierw obejrzeć zwierzęta.

Handlarz poczuł się zaskoczony, gdyż uznał Jake'a za zwykłego kowboja. Takie postawienie sprawy świadczyło jednak, że był on także niezłym kupcem, co zresztą panu Culpepperowi bardzo odpowiadało.

– Naturalnie. Możemy zaraz pojechać do zagród. Co wy na to? Weźmiemy moją bryczkę.

Culpepper zawołał gońca i kazał mu przygotować pojazd. Razem zeszli na dół.

– Zabierzcie Banner do hotelu. Nie widzę potrzeby, żebyśmy jechali tam wszyscy – zwrócił się Jake do chłopców.

– Pojadę.

– Nie możesz tam jechać! – Lee poparł Jake'a, nim ten zdążył coś powiedzieć.

– Czy kobiety nie mają wstępu do zagród?

– To nie jest miejsce dla kobiet – odpowiedział dyplomatycznie Micah. – Zbiera się tam różnego rodzaju hałastra...

– Wcale nie mam zamiaru oglądać żadnej hałastry – przerwała mu – tylko krowy, które kupuję.

Spojrzała prosząco na Jake'a.

– Dobra, chłopcy. Jedźcie sami. Spotkamy się później.

Ujął Banner pod rękę i poprowadził przed dom, gdzie pan Culpepper już czekał.

– Czyżby ta młoda dama chciała jechać z nami? – spytał handlarz, nieco zdziwiony.

– Tak, takie jest jej życzenie – odparł Jake, pomagając dziewczynie wsiąść; miał nadzieję, że do końca dnia nie będzie musiał nikogo zastrzelić za próbę jej podrywania.

Jak się okazało, załatwili interes bez przeszkód. Banner była zachwycona biało-rudymi krowami. Ich skręcona sierść błyszczała w słońcu.

– Banner, to jest bydło rozpłodowe – powiedział Jake ze śmiechem, patrząc, jak głaszcze jedną z krów – a nie psy.

– Wiem. Ale są moje. Każdej wymyślę imię.

Popatrzył na nią z pobłażaniem.

Wrócili do biura i razem podpisali kontrakt. Ross powinien być zadowolony. Tego dnia szczęście im dopisywało; otrzymali dobre wiadomości z kolei: strajk miał się skończyć o północy, więc Jake postarał się, aby załadować krowy na pierwszy pociąg do Larsen.

W przypływie radości chwycił Banner w talii i podniósł wysoko nad ziemię.

– Dziewczyno, mamy własne stado! – zawołał.

– To tylko początek, Jake. Początek.

– Jasne!

– Wstrzymywałam oddech – zawołała podniecona. – Bo nie sądziłam, by Culpepper zaakceptował twoją ostatnią propozycję. Ale byłeś cudowny! Wygrałeś! Taki spokojny i pewny siebie. Chciałam cię już kopnąć pod stołem, żebyś się zgodził na cenę proponowaną przez niego. Dobrze, że tego nie zrobiłam.

Śmiała się głośno, absolutnie nie zwracając uwagi na złe spojrzenia, jakimi ich obrzucano.

Postawił ją na ziemi, wciąż trzymając ręce na jej smukłych biodrach. Wpatrywał się w jej opaloną twarz: mógł policzyć wszystkie piegi rozsiane

na nosie i policzkach.

Upał, kurz i ostry zapach zagród wydały mu się rajem i nie sądził, by gdziekolwiek indziej mógł czuć się lepiej. Patrząc w jej wyczekujące oczy, nie czuł się ani stary, ani zmęczony; przeciwnie – rozpierała go energia, był pełen ambitnych pomysłów. Zaczął nieśmiało wierzyć, że może naprawdę jest coś wart. W tym momencie był przekonany, że przy łaskawym uśmiechu losu, z tych dwudziestu dziewięciu krów będzie można wyhodować całkiem niezłe stado, a kto wie, czy nie najlepsze w całym stanie.

Po raz pierwszy od długiego czasu uśmiechnął się szczerze i promiennie.

– Co chcesz dziś robić?

– Robić? – powtórzyła.

Jego usta śmiały się do niej, więc najchętniej przywarłaby do niego i cieszyła się wraz z nim. Tylko duma nie pozwoliła jej poprosić go, by ją pocałował.

– Dzisiaj jest twój dzień – powiedział, widząc jej niezdecydowanie. – Może na początek przejedziemy się dorożką.

Było jej wszystko jedno, co zrobią. Miała go tylko dla siebie i to jej zupełnie wystarczało.

Objechali całe miasto. W eleganckiej restauracji zjedli obiad i butelką wina uczcili zakup stada.

Potem ruszyli na zakupy. Banner ciągnęła go od jednego sklepu do drugiego, a on szedł potulnie, gdziekolwiek chciała, i na wszystko jej pozwalał. Kupiła wyszywaną chustkę dla Lydii, nowy fartuch dla Ma i fajkę dla Rossa.

– Co, Ross pali fajkę? – spytał.

– Od teraz będzie palił.

Podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Gdyby w tej chwili poleciła mu zjeść tę fajkę, pewnie by to zrobił i jeszcze by mu smakowała. Zniewalała go tymi błyszczącymi oczami, które zmieniały kolor w zależności od jej nastroju. Roześmiane czerwone wargi potrafiły okazać, co to namiętność;

przypomniał sobie niedawne pocałunki i serce w nim zadrgało. Sto lat mógłby przyglądać się tej niepowtarzalnej twarzy i nigdy nie miałby dość. Dopiero dyskretne pokasływanie ekspedienta przywróciło go do rzeczywistości. Zapłacił za sprawunki i poszli do hotelu. Zjedli lekką kolację i odświeżyli się trochę.

Zgodził się pójść z nią na wieczorne przedstawienie do opery na *Ucieczkę mojej siostry*.

– Lee i Micah nie przyłączą się do nas? – spytała, gdy wyszli na balkon.

– Oni mają co innego do roboty – odparł wymijająco.

– Nie wolałbyś też robić „co innego" zamiast pilnować mnie?

Dotknął jej ramienia i wskazał miejsce.

– Nie – odparł z całkowitym przekonaniem.

Ponieważ patrzyła na niego niedowierzająco, powtórzył miękko, ale z naciskiem:

– Nie.

Uśmiechnęli się do siebie i zaraz zaczęło się przedstawienie. Nie powróciła już do tematu. Była przekonana, że Jake mówi prawdę. To był jeden z najszczęśliwszych dni w jej życiu.

Gdy wrócili do hotelu, otworzył drzwi do jej pokoju i wszedł za nią.

– Lepiej sprawdzę...

Zapaliła lampę, zdjęła kapelusz i rękawiczki, podczas gdy on otworzył szafę, zajrzał za zasłony i pod łóżko. Stanął i otrzepał ręce.

– Wszystko w porządku.

– Dobrze.

– No tak...

– Dziękuję, Jake, za dzisiejszy dzień. Było cudownie.

– Cieszę się. Zasłużyłaś na to.

Cudownie wyglądała w kręgu światła padającego od lampy. Chciał dotknąć koronki naszytej na przodzie bluzki, aby sprawdzić, czy rzeczywiście jest taka delikatna, na jaką wygląda. Potem tylko jeszcze jej włosów, policzków, ust...

Banner gniotła w rękach program przyniesiony z opery. Zapomniała, że chciała go zabrać do domu, pokazać mamie oraz Ma i schować razem z innymi pamiątkami.

– Zostałeś dzisiaj ze mną z tamtego powodu, prawda?

– Jakiego powodu?

– Czułeś, że jesteś mi to winien. – Spuściła oczy. – Chciałeś mi tamto wynagrodzić…

– Banner, tamtej nocy w stajni nigdy nie będę w stanie ci wynagrodzić. Próbuję po prostu z tym żyć.

Podszedł do niej bliżej.

– Spędziłem z tobą cały dzień, bo bardzo tego chciałem.

W zasadzie była to prawda. Przebywali z dala od hotelu, ponieważ nie chciał dać Grady'emu szansy na jej spotkanie. Nie zmieniało to jednak faktu, iż cieszył się z jej towarzystwa. Nawet przedstawienie, które go nie interesowało, nie było wcale takie straszne, ponieważ Banner siedziała tuż obok niego w ciemności, z łokciem na oparciu fotela, od czasu do czasu bezwiednie trącając go kolanem.

Teraz, gdy podniosła głowę, łzy zalśniły w jej oczach.

– Dziękuję ci, że to powiedziałeś.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Musiał ciężko ze sobą walczyć. Jeśli weźmie ją w ramiona, już nie odejdzie. Pokój był zbyt intymny, a łóżko zbyt wygodne. I jeszcze jedno: chociaż w tej chwili wydaje się jej, że jest gotowa kochać się z nim, to rano, po przebudzeniu, będzie nienawidziła całego świata, z nim i sobą włącznie.

Ujął więc tylko jej dłoń i delikatnie ucałował. Nim zdążyła powiedzieć słowo, zamknął za sobą drzwi.

Patrzyła na niego z mieszanymi uczuciami, gdy pośpiesznie opuszczał pokój. Była zawiedziona, że odszedł. Z drugiej strony – nie odwiedził Priscilli ani żadnej innej kobiety. Poświęcił jej cały dzień. Traktował ją z pełnym uszanowaniem, ale czuła, że hamuje swoje emocje podobnie jak ona.

Były dwa czynniki, które działały na jej korzyść: czas i bliskość. Wspólnie prowadzili ranczo. Razem muszą na nim pracować. Będąc codziennie tuż obok, musi się zakochać! Już ona postara się o to. Będzie to kosztowało wiele zachodu, ale efekt jest tego wart. Zadowolona z dzisiejszego dnia, zasnęła twardym snem.

Nad ranem obudziły ją hałasy dochodzące z sąsiedniego pokoju. Otworzyła oczy rozbawiona – Lee i Micah wrócili z nocnej rozpusty. Słyszała przyciszoną rozmowę, a potem otwieranie i zamykanie drzwi; ktoś wyszedł z pokoju.

Nie namyślając się, podbiegła do drzwi prowadzących na korytarz i otworzyła je. Jake bezgłośnie schodził po schodach, zapinając pas z bronią. Bardzo się śpieszył.

Ogarnęła ją rozpacz. Przygnębiona wróciła do łóżka.

Poczekał, aż wrócą chłopcy, aż ona mocno zaśnie, i dopiero wtedy wymknął się do swojej dziwki. Wszystko, co dzisiaj robił i mówił, było jednym wielkim kłamstwem. Wiedział, że ostatnio jest na niego wściekła, więc chciał ją ugłaskać.

Nienawidziła go! Biła pięściami po poduszce, wyobrażając sobie, że to jego twarz.

– Nienawidzę cię! – zawołała w ciemność.

Ale w sercu czuła, że go kocha. I dlatego jego zdrada tak ją bolała.

*

– Przykro mi, już zamykamy.

– Mnie to nie dotyczy. – Jake odepchnął stróża przy drzwiach wejściowych do Ogrodu Edenu.

– Panna Priscilla...

– ...wyrzuci cię na zbity pysk, jeśli mnie zaraz nie wpuścisz.

Stróż był wynajęty do tej pracy ze względu na potężne bary i ogromne łapska. Dwa razy potężniejszy od Jake'a, lecz ani w połowie tak zwinny –

wiedział o tym. Poza tym słyszał coś na temat charakteru spóźnionego gościa i szybkości, z jaką wyciąga rewolwer.

– Jest sama? – spytał Jake.

– Tak. Chyba bierze kąpiel. Widziałem, że przed chwilą dziewczyny nosiły jej wodę.

– Nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli wejdę – powiedział przez ramię, idąc w kierunku prywatnych pomieszczeń szefowej. – Nie musisz się bać.

Usłyszał plusk wody, gdy tylko otworzył drzwi. Szedł na palcach. Chciał, by go zobaczyła dopiero w odpowiednim momencie.

Stanął przy drzwiach prowadzących do sypialni. Metalowa wanna stała na środku pokoju, a Priscilla leżała w wodzie. Gąbką leniwie myła sobie piersi. Głowę z wysoko upiętymi włosami oparła na krawędzi wanny. Oczy miała zamknięte. Jake oparł się o framugę drzwi i obserwował Priscillę w milczeniu przez kilka minut. W końcu wyczuła, że nie jest sama. Otworzyła oczy i zobaczyła jego odbicie w lustrze. Zerwała się, wychlapując wodę na podłogę, i krzyknęła przestraszona.

– Cześć, Pris – rzekł cicho, patrząc na zaróżowione od kąpieli piersi.

– Jake...

Stał w progu – wysoki, smukły i niebezpieczny. Spod ronda kapelusza lustrował ją badawczym spojrzeniem.

Priscilla poczuła się zawstydzona. Pod wpływem jego wzroku niespodziewanie zapragnęła okryć nagie ciało. Wyrzucając sobie tę chwilową słabość i zachowanie upodabniające ją do panienki z dobrego domu, opanowała się i znów była sobą.

– Czego tu chcesz, u diabła? – spytała swym zwykłym tonem.

Wzruszył ramionami i podszedł bliżej.

– Nie jesteś zadowolona?

Obserwowała go uważnie. Chciałaby uwierzyć, że przyszedł z powodu, o którym zawsze marzyła, ale było to mało prawdopodobne.

– Zawsze cieszę się na widok starych przyjaciół.

Zaśmiał się drwiąco.

– Jesteśmy przecież nimi, co, Pris? Starymi przyjaciółmi.

Przyjrzała się jego koszuli: zapięty miał co trzeci guzik. Był bez apaszki, bez kamizelki. Czyżby tak śpieszył się do niej? Gdybyż to była prawda!

– Chciałabym uważać nas za przyjaciół – powiedziała cicho.

Tym razem nie udawała. Przyśpieszony oddech i nieco zamglone oczy nie były zawodowymi sztuczkami. Musiała walczyć ze sobą, by nie wyciągnąć rąk i nie dotknąć jego ud; nagle zabrakło jej odwagi. Jake nachylił się i wziąwszy gąbkę, wolno zaczął pocierać jej piersi.

– Jesteś różowiutka i pulchna jak niemowlę.

Jej ciało budziło się, zwłaszcza gdy woda kapała z gąbki na stwardniałe z pożądania sutki. Nie chciała, by zobaczył, jak bardzo jest podniecona. Uśmiechnęła się chytrze.

– Słyszałam, że ostatnio gustujesz w nastolatkach, takich jak dziewczyna Colemanów?

Dobrze – pomyślał. – Sama ułatwiasz mi zadanie.

*

Wypytał chłopców o przygody w Ogrodzie Edenu. Powiedzieli mu więcej, niż się spodziewał.

– Było niesamowicie – rzekł Lee, padając na podwójne łoże, które dzielił z Micahem. – Sugar była fantastyczna. Co prawda, żadna piękność i trochę podstarzała, ale dała mi wycisk.

– Po niej mieliśmy… – Micah przypominał sobie imię dziewczyny. – Jak ona miała na imię?

– Betsy – podpowiedział z rozmarzeniem Lee. – Słodka Betsy. Chyba ją kocham.

Jake już chciał zgasić lampę, kiedy Micah powiedział:

– Nie zgadniesz, kogo tam widzieliśmy. Sheldona.

Zadrżała mu ręka.

– Zauważył któregoś z was?

– Nie. Właśnie zmierzał do samej szefowej.

– Skąd wiesz?

– Pokazałem go Betsy. Była zdziwiona i powiedziała mi, że Priscilla spędziła z nim prawie cały dzień, co zdarza się jej niezmiernie rzadko.

Jake zgasił lampę, ale wiadomość ta wybiła go ze snu. Priscilla i Grady Sheldon – trudno o niebezpieczniejszą kombinację. Już w tym momencie zaczął się martwić, co tych dwoje może wymyślić.

Wstał i po cichu się ubrał. Kiedy wychodził z pokoju, chłopcy już słodko pochrapywali.

*

Teraz patrzył na jej fałszywą twarz i wiedział już, że jego podejrzenia i obawy są uzasadnione. Dobrze zrobił, że przyszedł. I dobrze, że ona pierwsza wspomniała Banner.

– Ma na imię Banner – powiedział.

– Ach tak, Banner. Dzisiaj całe miasto widziało was razem.

– Tak? A kto ci powiedział? Może mój przyjaciel Sheldon, co?

Strach pojawił się w jej oczach; była zaskoczona. Nie chciała, by Jake dowiedział się, że zainteresowała się Gradym.

– Jesteście przyjaciółmi? – spytała. – Grady mówił mi zupełnie coś innego.

– O, to ciekawe!

– Banner miała zamiar wyjść za niego za mąż – rzuciła uszczypliwie i obserwowała jego reakcję.

Jake patrzył na nią lodowatym i groźnym wzrokiem. Mięśnie ud, których w końcu odważyła się dotknąć, były twarde jak stal.

– Mówił o swojej żonie?

– Tak.

– Jak zmarła?

– W pożarze.

Dokładnie tego Jake oczekiwał, nawet przed dziwką Grady się przechwalał.

– Sprytny z niego facet, co? Za jednym zamachem pozbył się żonki i dziecka.

Dłonie Priscilli posuwały się w górę ud i niemal doszły do miejsca, o którego dotknięciu marzyła od niemal dwudziestu lat.

– Tak myślę. Podziwiam jego pomysłowość. I ambicję. Chce Banner Coleman i dostanie ją.

A więc to Sheldon podpalił dom Burnsa; był mordercą. I chciał dostać Banner.

– Nie dostanie jej, dopóki ja żyję.

Priscilla zaśmiała się i stanęła w wannie. Przesuwała dłońmi po ciele mężczyzny i przyciągnęła go do siebie.

– A więc to prawda. Grady powiedział mi, że pilnujesz dziewczyny jak czujny pies. Nie uważasz, że jesteś zbyt służalczy w stosunku do Colemanów?

Zaczęła ocierać się o niego jak kotka. Włożyła mu rękę pod koszulę.

– A może to coś więcej? Może wielki, zły Jake Langston zakochał się w tym dziecku?

Nie podobała mu się ta ironia.

– Kochałem ją cały czas.

– Tak samo jak kochasz jej mamuśkę, żonę twojego najlepszego przyjaciela?

Wykręcił jej ręce w stalowym uścisku.

– Nie życzę sobie, byś kiedykolwiek wspominała o jednej czy drugiej.

Zaśmiała się głośno.

– Patrzcie, patrzcie! Jaki nasz Jake nagle stał się drażliwy! Chyba nie masz zamiaru ulec córce tak samo jak matce.

– Zamknij się!

– Co to za uczucie, Jake, kochać kogoś i nigdy go nie mieć? Uprawiać seks z kurwami, bo nie możesz tego robić z tą, której pragniesz. Nie wstyd ci?

– Powiedziałem: zamknij się!

– Kochasz Banner Coleman?

– Nie tak, jak myślisz.

– Na pewno?

– Tak!

– Udowodnij to! – Oddychała ciężko i chrapliwie. – Weź mnie, to ci uwierzę!

Chwycił ją gwałtownie i wyciągnął z wanny. Przywarła do niego całym ciałem, mokrym i ciepłym po kąpieli. Oplotła jego uda swymi nogami i pocałowała namiętnie. Zesztywniał, oderwał ją od siebie i rzucił na pościel.

– Nigdy, Priscillo. Nigdy! Ponieważ ilekroć na ciebie patrzę, przypominam sobie popołudnie, kiedy się zabawialiśmy. A właśnie wtedy miałem być z bratem. Zginął przeze mnie. Nigdy tego nie wybaczę ani sobie, ani tobie! I nie zapomnę, że jesteś zwykłą kurwą. Nigdy już nie splamię swych rąk dotknięciem twego ciała!

Priscilla leżała, oddychając szybko. Rzuciła mu mściwe spojrzenie. Upokorzył ją po raz ostatni. Nawet gdyby przez to miała umrzeć, musi mu zadać ból, z którego nie wyleczy się do końca życia.

A zrobić to może jedynie poprzez Banner Coleman.

*

Banner zasnęła późno. Po przebudzeniu zaraz zapukała do drzwi łączących pokoje. Nikt się nie odezwał, więc otworzyła je. Pokój był pusty.

Nie miała zamiaru tkwić bez końca w tej hotelowej klatce. Jeśli Jake mógł ją oszukać, to ona nie musi przejmować się, że go zdenerwuje swoim nieposłuszeństwem.

Ubrała się szybko i zeszła do jadalni, gdzie zjadła obfite śniadanie. Sobotni ranek zapowiadał piękny, słoneczny dzień. Na ulicy był już duży ruch. Banner wyszła z hotelu i stanęła na chodniku. Czekała na dorożkę.

– Banner Coleman?

Odwróciła się na dźwięk swego imienia. Natychmiast domyśliła się, kim jest pytająca. Może zdradzały ją oczy – gniewne i zaczepne? Zdawały się

mówić, że w życiu widziały już chyba wszystko.

Banner zaskoczył jej strój: spodziewała się tandetnej biżuterii, krzykliwego, błyszczącego materiału, przepychu dodatków. Natomiast kobieta była ubrana w dobrze skrojony kostium, a jedyną rzucającą się w oczy ozdobą było czarne pióro przy kapeluszu. Wygięte w łuk, niemal dotykało jej brwi. Na rękach miała rękawiczki. Pod pachą trzymała miniaturową torebeczkę z jedwabnym paskiem. Ponadto miała parasolkę przeciwsłoneczną. Zamkniętą, bo kobieta stała w cieniu.

– Jestem…

– Wiem, kim pani jest, panno Watkin – uprzedziła ją Banner.

Priscilla, zdziwiona, uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. Banner zrobiła jej przykrą niespodziankę. Była ładniejsza niż Lydia, bardziej egzotyczna, bardziej wyrazista. Miała w sobie całą kobiecość Lydii i ognistość Rossa. Nie wyglądała na bojaźliwą. Priscilla myślała, że Banner ucieknie na jej widok, a tymczasem ta dziewczyna przejawia odwagę niewątpliwie odziedziczoną po matce.

Priscilla znała się na kobiecym ciele i czerpała z niego korzyści. Była pewna, że na tej dziewczynie zbiłaby fortunę. Ta myśl rozwścieczyła ją. Banner była młoda, naturalna i piękna. Nosiła szanowane nazwisko. Miała dokładnie wszystko to, czym pogardzała Priscilla, a czego w skrytości ducha bardzo jej zazdrościła.

– Słyszałaś więc o mnie?

– Tak.

Banner nie czuła się skrępowana tym, że znana w całym mieście dziwka podchodzi do niej na ulicy. Nienawidziła kobiety, która chodziła z Jake'em do łóżka, ale jednocześnie była jej bardzo ciekawa.

– Od Jake'a?

– Przede wszystkim.

– Ach, Jake! – Udając zachwyt, Priscilla na moment przymknęła oczy. Kiedy je otworzyła, zatriumfowała, widząc ból rysujący się na twarzy Banner. A więc ta gówniara jest w nim zakochana! To może być wspaniała zabawa!

– Jake i ja jesteśmy, powiedzmy: przyjaciółmi od bardzo dawna.

– Wiem.

– Spotykałam go jeszcze jako chłopca. – Priscilla spuściła powieki. – Do ponownego spotkania doszło, kiedy był już dorosłym mężczyzną. Fascynującym, nie sądzisz?

– Dla mnie zawsze był fascynujący.

– Oczywiście – odparła Priscilla niemal z sympatią. – Nie znałaś go jako chłopca. A jak się mają rodzice? – zmieniła nagle temat. – Wiesz, że spotkałam się z nimi wiele lat temu?

– Tak. Na szlaku. Opowiadali mi o tobie.

– Czyżby?

– To znaczy, słyszałam, jak cię wspominali. – Banner zarumieniła się, schwytana na drobnym kłamstwie.

Priscilla była rozbawiona.

– To zupełnie możliwe. – Przechyliła na bok głowę: – Jesteś bardzo podobna do swoich rodziców. Wyrosłaś na piękną dziewczynę.

– Dziękuję.

– To również dotyczy twego brata. Przystojny z niego chłopak.

Jeśli chciała zaskoczyć Banner wiadomością o odwiedzinach Lee w Ogrodzie Edenu, to źle trafiła.

– Wiem, że spędził tę noc w pani domu, panno Watkin. Dziękuję za komplement. Ja również uważam, że Lee jest przystojny.

Potyczka słowna z Banner nie przyniosła Priscilli takiej satysfakcji, jak to sobie wcześniej wyobrażała. Ta dziewczyna była sprytniejsza, niż mogła się spodziewać, i rozmowa stawała się kłopotliwa.

Banner nie zauważała ani przejeżdżających dorożek, ani ukradkowych spojrzeń przechodniów. Skoncentrowała się na kobiecie, która była jej wrogiem. Priscilla Watkin stanowiła największe zagrożenie dla jej szczęścia. Czuła to każdym nerwem.

Była jak piękne, dojrzałe jabłko oszałamiające swym zewnętrznym pięknem, jednak wewnątrz zepsute do głębi.

– Oczywiście, to tylko twój przyrodni brat, prawda? – Priscilla wróciła do tematu.

– Tak. Jego matka zmarła przy porodzie. To stało się, zanim moi rodzice się poznali. Ale pani to wszystko wie, prawda? Była pani z nimi?

– Owszem, byłam. – Wodziła spojrzeniem po całej sylwetce Banner. Ileż hartu ma ta dziewczyna! – Byłam tam, gdy Jake i jego brat Lukę znaleźli twoją matkę w lesie. Była bliska śmierci.

– Jake opowiadał mi o tym.

– Właśnie wtedy przeszła najcięższą próbę – powiedziała Priscilla i dotknęła pióra przy kapeluszu.

– Ciężką próbę?

Oczy Priscilli zawisły nad Banner jak oczy jastrzębia nad rannym królikiem.

– Poród w lesie, bez pomocy… wiesz… – Nagle udała zakłopotanie. Położyła rękę na piersi. – O, przepraszam. Może nie powinnam tego mówić. Ale myślałam, że wiesz o pierwszym dziecku swojej matki.

– Dziecko? – powtórzyła Banner i krew odpłynęła jej z twarzy.

Rozdział 17

– Dziecko? – Banner jeszcze raz powtórzyła to słowo. To musi być pomyłka. Przecież była jedynym dzieckiem matki.

A może nie?

Ogarnął ją gorączkowy niepokój. Priscilli udało się wyprowadzić ją z równowagi.

Dziecko! Czyżby to był ten sekret, którego Ross i Lydia strzegli przed nią i Lee? Czy to był klucz do ich przeszłości? W tej chwili już nie chciała jej poznać. Niech sekrety przeszłości pozostaną dochowane. Jeśli Priscilla, kobieta o wątpliwej reputacji, podzieliła się z nią taką wiadomością, to na pewno nie powodowała nią życzliwość. Nie potrafiła jednak uwolnić się spod jej hipnotycznego wpływu i słuchała dalej.

– Nikt nie wiedział, kim jest Lydia, ani skąd pochodzi. Nie wiadomo również, czyje było to dziecko.

– Kłamie pani! Nie było żadnego dziecka! – zawołała Banner zachrypniętym głosem. – Moja matka nigdy nie miała dziecka poza mną!

– Miała, miała, moja droga. Zmarło w lesie gdzieś w Tennessee. Ma i Zeke Langston je pochowali. Po wozach szybko rozeszła się wieść, że chłopcy Langstonów znaleźli w lesie dziewczynę z martwym dzieckiem.

– Nie wierzę ci.

Priscilla uśmiechnęła się sarkastycznie.

– Wierzysz, panienko, wierzysz. Jesteś dość inteligentna i musiałaś wiedzieć, że przeszłość rodziców kryje tajemnice.

– Nieprawda!

– Czy matka nie mówiła ci, że została wzięta do wozu Rossa, by własnym mlekiem karmić niemowlę, które zostało po śmierci jego żony?

Banner zacisnęła usta i z furią rzuciła Priscilli w twarz:

– Kłamiesz!

– Zapytaj ją.

– Ma Langston wzięła ją do pomocy przy Lee.

– Ona go wykarmiła piersią. Moja matka była w wozie Colemana, gdy Ma przyprowadziła Lydię. Na własne oczy widziała, że z piersi Lydii cieknie mleko.

– Nie!

– Chyba wiesz, że skoro karmiła piersią, to musiała mieć dziecko.

– Kłamiesz!

– A może to twoja matka kłamie? O tym nie pomyślałaś? Spytaj ją. Zobaczysz, co ci powie o dziecku. Nie wiem, kto mógł być jego ojcem. Spytaj też Rossa. Nigdy nie wierzyłam...

– Priscilla! – wrzasnął Jake, wybiegając z hotelu.

Wszedł do niego od strony Trzeciej Ulicy i natychmiast poszedł na górę. Nie zastawszy Banner, skierował się do wyjścia na Throckmorton i od razu zauważył dziewczynę pogrążoną w rozmowie z Priscillą.

Już sam ten widok był dla niego szokujący. Serce mu zamarło, gdy dostrzegł bladość Banner i jej zaciśnięte usta.

Cholerna dziwka! Przeklęty dzień, w którym ją poznał! Jeżeli skrzywdziła Banner, powiedziała jej coś, czego wiedzieć nie powinna – zabije ją!

– Do diabła! Skąd się tu wzięłaś?

Wepchnął się między kobiety, by w razie czego chronić Banner.

– Właśnie tędy przechodziłam i spotkałam miłą pannę Coleman. Trochę sobie poplotkowałyśmy. Przed chwilą pytałam, jak wiedzie się jej rodzicom.

Nie wierzył w ani jedno jej słowo. Przede wszystkim interesowała ją wyłącznie własna osoba. Z całą pewnością też spotkanie nie było przypadkowe. Ktoś musiał jej wskazać Banner. Bez potrzeby Priscilla nigdy nie pokazałaby się na głównej ulicy miasta w sobotni ranek. To spotkanie musiało być zaplanowane i nie wróżyło Banner nic dobrego.

– Banner, wejdź do środka.

Obeszła ich dookoła jak lunatyk i weszła do hotelu.

– Coś jej powiedziała? – spytał groźnie, kiedy Banner zniknęła już w budynku.

– Nic takiego. Ja...

– Co jej powiedziałaś? – powtórzył głośniej.

– Dlaczego jej nie spytasz? – rzuciła hardo.

– Zaraz to uczynię. I niech Bóg ma cię w opiece, jeśli zrobiłaś jej krzywdę.

Zaśmiała się drwiąco.

– Biedny Jake. Najpierw matka, teraz córka. Jesteś chyba specjalistą od beznadziejnych przypadków, co? Kiedy się z tego wyleczysz, zawsze możesz wrócić do mnie. Ja mam to, czego ci naprawdę potrzeba.

– Nie, Pris. Jest odwrotnie: to ja mam to, czego ty potrzebujesz.

Nienawiść wykrzywiła jej twarz. Odwróciła się gwałtownie, otworzyła parasolkę i ruszyła chodnikiem.

Jedni walczyli o nią, inni zapijali się na śmierć, jeszcze inni zabijali. A ten sukinsyn śmiał się z niej!

Ależ go nienawidzi! Teraz przekonała się, jak chroni tę małą. Wariat! Chyba zakochał się w niej tak jak przed laty w Lydii. Bolało ją nie to, że zakochał się najpierw w jednej, a teraz w drugiej, lecz że wolał je od niej.

Kiedy się to wszystko zaczęło psuć? W dniu śmierci jego brata? Może. Ale Jake chyba wykorzystał ten fakt jako pretekst do zerwania. Wszyscy tak z nią postępują. Wszyscy ją wykorzystują. Chętnie wyładowują na niej swoje frustracje, używają jako przedmiotu, ale czy kiedykolwiek, poza ochłapami, otrzymała cokolwiek od któregoś z mężczyzn? Czy któryś popatrzył na nią takim wzrokiem jak Jake na tę dziewczynę?

Pogardzała nimi wszystkimi.

W tym momencie jeden z nich pojawił się w polu jej widzenia. Dub Abernathy przechodził przez jezdnię ze swą korpulentną żoną i córeczką o końskiej buzi. Kłaniał się znajomym, których spotykał. Niemrawa córeczka uśmiechała się nieśmiało, gdy przedstawiał ją mężczyznom. Żona

robiła wrażenie dobrze odżywionej i zadowolonej z siebie kwoki. A ona? Priscilla? Czemu nie czuje się zadowolona? Ciekawe, czy pani Abernathy byłaby taka spokojna, gdyby wiedziała, co potrafi wyprawiać w łóżku jej mąż?

Bez namysłu Priscilla zeszła na jezdnię. Szła powoli, starając się zwrócić na siebie uwagę. Zmierzała w kierunku powoziku, do którego wsiadały obie panie Abernathy. Stanęła obok w momencie, gdy Dub jedną nogę postawił już na stopniu. Poczuła dreszcz zadowolenia, gdy na twarzy pani Abernathy zauważyła przerażenie, a twarz córki zbladła jak kreda. Wiedziały, kim jest, i to sprawiło jej przyjemność.

– Dzień dobry, Dub – powiedziała lekko zachrypniętym, zdradzającym zażyłość głosem i na tyle głośno, by przechodzący dobrze słyszeli, że zwraca się do niego po imieniu.

Zamarł w bezruchu. Dopiero po chwili odwrócił głowę, i spojrzał na nią wzrokiem, który powinien zabić. Nie powiedział słowa. Jak ogłuszony wsiadł do powoziku, uderzył konia batem i ruszył ostro.

Priscilla rozejrzała się dokoła. Miała widownię. To dobrze. Dubowi przyda się trochę upokorzenia. Z radością wysłuchałaby jego wyjaśnień składanych żonie.

W lepszym już nastroju weszła na chodnik i ruszyła w kierunku Pół Akra Piekła.

Kiedy Jake wszedł do pokoju, Banner siedziała bez ruchu na krześle pod oknem.

– Banner?

Przeszedł przez pokój i ukląkł przed nią. Wziął w ręce jej dłonie.

– Banner, co jest? Co ona ci powiedziała?

Odwróciła od okna błędne oczy i spojrzała mu w twarz. Minęła chwila, zanim go rozpoznała. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się drżącymi wargami.

– Nic, Jake. Nic takiego.

Nie wierzył: widział przerażenie malujące się na jej twarzy.

– Powtórz mi całą rozmowę. I niech ją Bóg broni, jeśli sprawiła ci ból. Ja ją…

– Nie, Jake – przerwała mu szybko.

Nie chciała, by ktokolwiek poznał temat tej rozmowy. Najpierw musiała sobie wszystko uporządkować i wyrobić opinię na ten temat. Jake wiedział o tamtym dziecku. Razem z bratem znalazł przecież w lesie Lydię z martwym niemowlęciem. I to była ta cała tajemnica?

Czyżby jej matka już przedtem była zamężna? Jeśli tak, to czemu jej tego nie powiedziała? Może była panną w ciąży? Nie, to nie do pomyślenia! Tylko czy istnieje inne wytłumaczenie?

Nawet nie próbowała udawać, że wiadomość jej nie poruszyła. Zabolała, i to ogromnie, zwłaszcza że dowiedziała się wszystkiego od dziwki Jake'a.

– Nic mi nie jest, Jake. Naprawdę. Byłam zaskoczona, że zaczepiła mnie na ulicy.

– Zaczepiła cię?

– Zaczepiła – to może za mocno powiedziane. Podeszła do mnie.

Banner wstała z krzesła; skoro całe zdarzenie jest już poza nią, chciałaby jak najszybciej o nim zapomnieć. Nie miała ochoty powtarzać Jake'owi rozmowy, także dla jego dobra. Teraz wiedziała, dlaczego tak troskliwie strzegł tajemnicy Lydii; nie chciał, by ktokolwiek mógł o jej matce pomyśleć coś złego. On ją uwielbiał. I to również raniło serce Banner.

– Priscilla rzeczywiście rozmawiała ze mną o rodzicach, wspominała też o Lee. Myślę, że chciała mnie przerazić faktem pobytu Lee w jej domu. Powiedziałam jej, że to dla mnie nic nowego. To wszystko. W tym momencie przyszedłeś.

Od kłamstwa zrobiło jej się gorąco, więc zdjęła żakiet i rzuciła go na łóżko. Już nie miała ochoty na jazdę dorożką. Wycieczka przez miasto też jej nie bawiła.

Jake nie był przekonany, że powtórzyła mu całą rozmowę z Priscillą. Wiedział jednak, że niczego więcej już się nie dowie. Jeżeli Priscilla powiedziała jej coś o Gradym, to Banner pewnie woli to zachować dla siebie.

– Szedłem do hotelu, aby ci powiedzieć, że wyjeżdżamy.

– Kiedy?

– Pociągi już kursują. Kupiłem bilety. Musimy być gotowi na popołudnie, więc zacznij pakowanie. Chłopców zostawiłem na stacji, mieli dopilnować załadunku bydła i koni.

– Dobrze.

Normalnie zaczęłaby z nim sprzeczkę, bo chciałaby pozostać w mieście jeszcze kilka dni dłużej, ale w tej chwili nic nie było normalne i nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie.

Dlaczego ludzkie losy muszą być powikłane przez kłamstwa czy tajemnice? Dlaczego matka nie powiedziała jej i Lee o tamtym dziecku? Dlaczego nikt jej o tym nie powiedział? Ma, Moses, Jake? Czyżby to było aż tak wstydliwe?

– Dasz sobie radę sama?

Stał blisko niej. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Jakie jeszcze tajemnice kryły? Tak rzadko zdradzały, co Jake czuje i myśli.

– Nie martw się o mnie.

Wydawało się, że weźmie ją w ramiona. Już podniósł ręce, już… i bezradnie opuścił je wzdłuż ciała.

– Przyjdę po ciebie około jedenastej.

Bez słowa skinęła głową. Marzyła, by ją objął. Jego nocne oszustwo, nawet gdyby oznaczało, że jej nie kocha, nie miało w tej chwili żadnego znaczenia. Chciała znaleźć się w jego ramionach, by doznać tam pocieszenia i ukojenia. Potrzebowała jego ciepła, jego siły.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zatrzymał się nagle.

– Banner… – poczekał, aż na niego spojrzy. – Na pewno wszystko w porządku?

– Tak. – Zdobyła się na wymuszony uśmiech. – Pójdziesz wreszcie na stację dopilnować moich krów czy nie? Bo jeśli nie, to najpierw cię zastrzelę, a potem wezmę sobie innego rządcę.

On też próbował się uśmiechnąć, ale wypadło to tak samo nieprzekonująco jak jej żart. Wcisnął kapelusz na głowę i już go nie było.

Gdy schodził po schodach, miał mocno zaciśnięte pięści. Cała ta wyprawa to jedno pasmo koszmarów. Chciałby stąd wyjechać jak najszybciej.

Banner poskładała swoje rzeczy i poukładała je w torbie. Nie przebierała się. Wiedziała, że gdy dotrą do Larsen, zamieni konia na pozostawiony w stajni wóz.

Za chwilę wszystko był gotowe. Siadła przy oknie i obserwowała ruch uliczny.

Czy musiała doświadczyć tylu nieszczęść, żeby osiągnąć dojrzałość? Jej matka przechodziła różne koleje losu. Jakie było jej życie, zanim Jake i Luke znaleźli ją w lesie? Dlaczego wszyscy tak uparcie ukrywali istnienie niemowlęcia?

Dlaczego Jake, po tak pięknym dniu, wymknął się nad ranem z hotelu? Dlaczego wolał łóżko Priscilli od jej łóżka?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego.

Pytania kłębiły się w głowie i nakładały na siebie. Czy kiedykolwiek znajdzie na nie odpowiedź?

Zbliżała się jedenasta. Na odgłos pukania do drzwi natychmiast odpowiedziała:

– Proszę.

Słyszała, że drzwi się otwierają, a potem cicho zamykają. Odwróciła się. To nie Jake stanął w progu. Ani Lee, ani Micah.

– Grady! – krzyknęła i zakryła usta ręką.

– Cześć, Banner.

– Co tu robisz?

– Langston nie powiedział ci, że jestem w mieście?

Zdjął kapelusz i położył na stole. Był odświętnie ubrany. Miał nieskazitelnie białą koszulę z wysokim kołnierzykiem. Jego twarz wydawała się ziemista i niezdrowa.

– Nie. Kiedy widziałeś Jake'a?

– Przedostatniej nocy. Od tamtego czasu usiłuję się z tobą zobaczyć, ale on ciągle cię pilnuje.

Nieoczekiwanie poczuła lęk. Dobrze wychowany mężczyzna nigdy nie zdecydowałby się na wejście do pokoju hotelowego, w którym przebywa samotna kobieta. Zupełnie nie myślała o zachowaniu konwenansów, gdy w grę wchodził Jake, ale Grady'emu chciała to przypomnieć w nadziei, że wyjdzie. Sposób, w jaki na nią patrzył, zaczął ją denerwować.

– Co robisz w Fort Worth?

– Interesy – odpowiedział wymijająco. – Musiałem nagle wyjechać z Larsen. Inaczej powiadomiłbym cię o tym.

Podszedł bliżej.

– Przemyślałaś moją propozycję?

– Myślałam o tym.

– I co?

Podniosła się z krzesła i stanęła tak, by oddzielało ją od niego.

– Jeszcze się nie zdecydowałam.

Grała na zwłokę w oczekiwaniu na Jake'a. Dlaczego jej nie powiedział, że Grady jest w mieście?

– Kilka miesięcy temu byłaś zdecydowana. Co się zmieniło?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Ty o to pytasz? Wszystko się zmieniło. Ja. Ty. Sytuacja.

– Ja na pewno nie; jestem ten sam i ty jesteś ta sama. Sytuacja, jak to nazywasz, też się wyjaśniła.

Jak mógł mówić z taką obojętnością o straszliwej śmierci swej żony i nowo narodzonego dziecka?

– Sposobu, w jaki do tego doszło, nie nazwałabym naturalnym.

– Ani ja – rzekł i spuścił głowę. – Wcześniej już ci powiedziałem, że czuję się tak, jakbyś mi dała szansę. Kocham cię i chcę, byś została moją żoną. Czy nic do mnie nie czujesz?

Nie, nie czuła nic: ani miłości, ani nienawiści czy choćby litości. Zainteresowanie się nim było wielką pomyłką w jej życiu. Jak mogło jej się wydawać, że go kocha? Jak mogła nie spostrzegać jego ograniczenia? Miałaby spać z nim w jednym łóżku? Oddać mu swoje ciało? Nigdy! Był

tylko jeden mężczyzna, z którym mogłaby ją łączyć zażyłość. Jake Langston.

Kocha go.

Bez względu na to, ile razy ją zranił. I nawet nie próbowała wyobrazić sobie życia z kim innym. Już raczej wolałaby żyć sama. Tego wszystkiego nie mogła otwarcie powiedzieć. To mogło być niebezpieczne. Nie ufa Grady'emu. Do tej pory nie zachowywał się w ten sposób, zawsze potulny i uniżony, zwłaszcza w obecności rodziców. Czy rzeczywiście jest taki jak dziś? Może tylko grał rolę pokornego, by zrobić dobre wrażenie na Rossie?

To nowe oblicze byłego narzeczonego przerażało ją.

Na wszelki wypadek zaczęła mówić:

– Oczywiście, że coś czuję. Ale nie mogę tego sprecyzować. Mimo wszystko, tamto się zdarzyło… Potrzebuję czasu na uciszenie emocji, muszę uporządkować myśli i zdecydować, czego chcę naprawdę.

Patrzył na nią przenikliwie, aż odwróciła oczy. Postąpił w jej kierunku jeden, następnie drugi krok… Stała jak wrośnięta w podłogę. Czuła nieprzepartą chęć ucieczki, ale za plecami miała już tylko okno.

– Zastanawiam się, co cię odmieniło. A może powinienem spytać, kto cię odmienił.

Zwilżyła wargi. Która godzina? Gdzie jest Jake?

– Co masz na myśli?

Rozejrzał się po pokoju.

– To duży pokój. Chyba za duży jak na jedną osobę?

Teraz patrzył na nią tak oskarżycielsko, że wpadła w złość.

– Powiedz wyraźnie, o co ci chodzi!

– Langston stoi przy tobie jak cień. Zastanawiam się, czy on przypadkiem nie przekracza swoich obowiązków?

Oczy jej zapłonęły nienawiścią.

– Jake to stary przyjaciel mojej rodziny. Jest rządcą na moim ranczu. Obiecał ojcu, że będzie się mną opiekował. I robi to, jak umie najlepiej.

– O jego licznych podbojach miłosnych krążą legendy. Powinnaś usłyszeć, co o nim mówią dziewczyny we wszystkich burdelach w mieście…

– Czyżbyś tam był i podsłuchiwał?

Na moment wprawiła go w zakłopotanie, ale zaraz mówił dalej:

– Tak. Chodziłem tam. Jestem mężczyzną.

– Lepiej milcz! – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Jak śmiesz przychodzić tu i insynuować mi nieuczciwość, gdy wszystko rozsypało się przez twoje łajdactwo!

Roześmiał się nieszczerze.

– Jesteś piękna, kiedy się złościsz. Może powinienem podziękować Langstonowi. Może lubisz trochę brutalności, o czym dawniej nie wiedziałem.

Chwycił ją za ramiona, przyciągnął do siebie i zaczął całować. Krzyk uwiązł jej w gardle, ale z całych sił walczyła z nim, nie tyle ze strachu, co w przypływie prawdziwej furii.

– O tak, Banner, bij mnie. – Sapał z ustami na jej szyi. – Czy tak samo robisz z Langstonem? Myślisz, że jestem głupi, że nie wiem, co o was mówią?

– Puść mnie! – krzyknęła; uwolniła na moment rękę i uderzyła go z rozmachem w twarz.

– Wyjdź za mnie, Banner. Zobaczysz, będzie nam wspaniale.

Chciała wołać o pomoc, ale jego usta zdusiły jej krzyk. Opasał ją rękami jak stalową obręczą. Nie mogła się poruszyć. Zaczynała się dusić, gdy nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi.

– Puść ją, bo cię zabiję, Sheldon!

Grady zamarł w bezruchu, słysząc wyraźnie dźwięk odwodzonego kurka rewolweru. Trzymając jeszcze ręce na ramionach Banner, odwrócił głowę i spojrzał na tego, kto groził mu śmiercią.

– Zastrzelę cię, jeśli natychmiast jej nie puścisz – powtórzył Jake, a widząc, że Grady ociąga się, dodał: – Nie myśl, że to tylko słowa. Nieraz wcielałem je w czyn.

Po spotkaniu z Priscillą Grady nabrał większej pewności siebie, ale jego odwaga ulotniła się pod wpływem groźnych błysków w oczach Jake'a.

– To nie twój interes, Langston. To sprawa między mną i Banner. Prosiłem ją o rękę – odważył się powiedzieć.

Jake spojrzał na dziewczynę i spytał:

– Chcesz wyjść za niego?

Oparła się o krzesło, pochylając głowę. Włosy zakryły jej twarz.

– Nie, nie! – krzyknęła.

– Pani powiedziała: nie. Wynoś się!

Grady błyskawicznie ocenił sytuację i roztropnie zdecydował się wycofać. Z godnością, na jaką było go stać, przemierzył pokój i nałożył kapelusz. Jake obserwował każdy jego ruch. Kiedy był już niemal w drzwiach, odwrócił się i powiedział:

– Jedź sobie z tym kowbojem. Już mi na tobie nie zależy.

Rewolwer Jake'a upadł na podłogę, gdy ten doskoczył do Grady'ego. Jedna pięść wylądowała u nasady nosa, drugą trafił Sheldona w żołądek. Zaatakowany zwinął się z bólu, a wtedy Jake chwycił go lewą ręką za włosy, a prawą wymierzył potężny cios w sam środek twarzy. Efekt był straszliwy – Grady miał zakrwawioną twarz i wybite zęby. To nie był jeszcze koniec. Jake chwycił go za klapy marynarki i rzucił o ścianę. Kopnął go w podbrzusze, a wtedy Grady zapragnął jedynie śmierci.

– Z całą przyjemnością posłałbym cię do piekła, Sheldon. Nie zrobię tego tylko dlatego, żeby Colemanowie nie mieli kłopotów. Ale obiecuje ci solennie, że jeśli kiedykolwiek zbliżysz się do Banner, nic już cię nie uchroni od śmierci. Zrozumiałeś? – Jake potrząsnął nim gwałtownie. – Zrozumiałeś?

Głowa Grady'ego podniosła się i opadła w geście potwierdzenia. Gdy Jake puścił go, opadł bezwładnie na podłogę.

Jake chwycił torbę Banner i razem z dziewczyną wyszli z pokoju. Grady jak przez mgłę widział, jak schodzą na dół.

– Zapłacicie mi za to – wykrztusił rozbitymi wargami.

*

Samopoczucie Priscilli nie uległo poprawie po powrocie do Ogrodu Edenu. Wciąż słyszała drwiący śmiech Jake'a i widziała przerażone spojrzenie Duba. Była w nastroju do walki. Widok Sugar Dalton siedzącej w ciemnym kącie salonu, ze szklaneczką whisky w ręku, również nie poprawił jej humoru.

Zdejmując kapelusz i rękawiczki, rozglądała się za pozostałymi kobietami. Sugar przyciągała niewielu klientów, a koszty jej utrzymania były takie same jak i innych.

– Dlaczego nie odpoczywasz na górze? Jutro sobota i będzie masa roboty.

– Bardziej potrzebowałam drinka niż snu – odparła Sugar. Od czasu, gdy Priscilla uderzyła ją w twarz, starała się schodzić z jej oczu. – Poza tym zupełnie nie mogę spać.

Priscilla chwyciła ją za brodę i uniosła do góry. Przyglądała się nalanej twarzy, tępym oczom, matowym włosom.

– Wyglądasz potwornie. Jeśli nie doprowadzisz się do porządku, nie zejdziesz wieczorem do pracy. A jeżeli tego nie uczynisz, jutro będziesz wyrzucona.

Sugar podniosła się.

– Dobra, dobra – wymamrotała niezbyt przytomnie.

– I wykąp się, do cholery! Śmierdzisz!

Dziwka zaśmiała się cicho i szczelniej owinęła się tanim szlafrokiem.

– Nic dziwnego. Miałam dzisiaj męczącą noc. Gdybyś sama nie była tak zajęta, pewnie byś zauważyła. – Poszła w kierunku schodów. – Młody Micah przypomniał mi Jake'a sprzed lat, a Lee Coleman jest równie przystojny jak jego tatuś.

Priscilla zatrzymała ją w jednej chwili.

– Coś ty powiedziała?

– Powie-wiedziałam…

– Nieważne. Kiedy spotkałaś Rossa Colemana?

– Nie pa-a-miętasz, jak ci o tym opowiadałam? – Sugar popatrzyła na nią bezmyślnym wzrokiem. – Kiedy mnie zaangażowałaś, odkryłyśmy, że już

wcześniej nasze drogi się skrzyżowały. Pra-a-cowałam u tej zdziry LaRue w Arkansas. A ty byłaś w przejeżdżającym tamtędy pociągu.

Priscilla zaczynała powoli domyślać się wszystkiego.

– Opowiedz mi o tym jeszcze raz.

Posadziła Sugar z powrotem na krześle i nalała alkoholu również dla siebie. Jak przełknęła, przypomniała sobie, że wkrótce po zatrudnieniu Sugar, która przybyła do Teksasu z Tennessee, nowo przyjęta kobieta zaczęła dowiadywać się, czy tym samym pociągiem nie przyjechał mężczyzna nazwiskiem Coleman. Potem szybko zmieniła temat i Pris sądziła, że to tylko pijackie opowieści dziwki, która nie była zadowolona z poprzedniej pracy.

– Opowiedz mi wszystko o tym spotkaniu.

Sugar wzięła do ręki szklankę.

– To było właśnie wtedy. Widzisz, on w rzeczywistości nie nazywa się Coleman.

Priscilla z zadowoleniem patrzyła, jak Sugar wlewa w siebie potężny łyk alkoholu. Ledwie skończyła, już miała przed sobą następną szklankę whisky.

*

Banner kołysała się w rytm jadącego pociągu. Ten ruch uspokajał ją, skłaniał do snu. W wagonie robiło się coraz ciemniej. Paliło się jedynie kilka niewielkich lamp.

Popatrzyła na mężczyznę siedzącego obok niej i wyglądającego w tej chwili przez okno. Wyczuł jej wzrok, bo natychmiast spojrzał na nią.

Jasne brwi ostro uwidaczniały się na tle ciemnej twarzy. Spod nich patrzyły na nią niewiarygodnie niebieskie oczy. Wiedziała, że wszystkie przykre myśli ma wypisane na twarzy. Zamieszanie wokół przeszłości matki, wiadomość o jej martwym dziecku, wizyta Grady'ego, jego chamskie zachowanie – wszystko to wywołało taki zamęt w jej głowie, że nie mogła się pozbierać.

Patrząc na twarz Jake'a, zapominała o wszystkim. Myślała jedynie o tym, jak ten człowiek podbił jej serce.

– Dziękuję ci.

Ledwie poruszyła ustami. On jednak usłyszał.

– Za spranie kogoś, kto na to zasłużył? Nie musisz mi za to dziękować. To była dla mnie czysta przyjemność.

– Byłeś ze mną, kiedy najbardziej cię potrzebowałam.

– Zawsze tak bym chciał.

Słowa te były nie tylko kurtuazyjnym zwrotem. Jake zdał sobie sprawę, że nie ma sensu walczyć dłużej ze swoim uczuciem. Zmęczyły go ciągłe ucieczki przed samym sobą i udawanie, że miłość ta nie istnieje. Banner zawładnęła nim całkowicie, a on dobrowolnie stał się jej ofiarą.

Co będzie teraz?

Z całą pewnością musi coś postanowić, nawet gdyby to miało oznaczać pójście do Rossa i wyznanie mu wszystkiego.

Nie rozumiał samego siebie. Wydawało mu się, że bił Sheldona tylko dlatego, iż ten użył przemocy wobec Banner. Ale to nie była prawda: bił go z czystej zazdrości, która go zaślepiała. Gotów był zabić Grady'ego za samo dotknięcie dziewczyny.

Co powiedzą jej rodzice, jego matka na wieść, że on chce się ożenić z Banner? Będzie to dla nich szok, ale to bez znaczenia. Nie liczyły się żadne zdania czy sądy, tylko to, jak ta dziewczyna patrzy na niego i jak on czuje to każdym nerwem.

– Naprawdę byś tego chciał?

– Czy chciałbym być zawsze pod ręką, gdy będziesz mnie potrzebowała?

Skinęła głową.

– Tak, Banner. Chciałbym. – Dotknął palcami jej warg. – Czy ten sukinsyn nie zrobił ci jakiejś krzywdy?

– Nie.

– Żadnej?

– Nie, przyszedłeś w samą porę.

Dotknął delikatnie jej policzka, a ona błyskawicznie odwróciła głowę i ucałowała wnętrze jego dłoni. Jeśli się w tej chwili nie odsunie, to zrobi coś głupiego. Chociaż? Ludzie pewnie całują się w pociągach, a słońce i tak wschodzi co rano.

Spojrzał w drugi koniec przedziału, gdzie siedzieli Micah i Lee. Opierali się mocno o ścianki. Kapelusze mieli nasunięte na oczy. Spali.

Jake objął ręką jej ramiona i delikatnie przyciągnął do siebie. Nie poczuł żadnego oporu: garnęła się do niego. Pochylił głowę i natychmiast napotkał jej usta. O takim pocałunku oboje marzyli od dawna.

Gdy podniósł głowę, twarz miał rozjaśnioną uśmiechem.

– Postaraj się zasnąć. Gdy się obudzisz, będziemy w domu.

Ułożył jej głowę w zagłębieniu między swą brodą i obojczykiem. Wyciągnął długie nogi tak daleko, na ile pozwoliła ławka. Trzymał ją tak, jakby była kruchym skarbem.

Słowo „dom" nabrało dla niej zupełnie nowego znaczenia. Po raz pierwszy od wielu dni poczuła się bezpieczna. Ciepło twardego, szczupłego ciała Jake'a wnikało w nią, usuwając strach i złe myśli. Jak nieznaną dotychczas pieszczotę przyjęła jego ciepły oddech we włosach i na policzku.

Za oknami pociągu padał gęsty deszcz, tak bardzo wyczekiwany po długiej suszy.

Rozdział 18

Gdy wjeżdżali do Larsen, jeszcze padało. Jake musnął wargami czoło śpiącej Banner i powiedział cicho:

– Zbliżamy się do domu.

Ziewnęła szeroko, wstała i rozprostowała ramiona. Dopiero wtedy otworzyła oczy i od razu uśmiechnęła się do niego. Odwzajemnił uśmiech i objął ją ramieniem. Lee i Micah też zaczęli się ruszać. Pasażerowie powoli zbierali swój bagaż, gotując się do wyjścia.

Banner usiadła i bezskutecznie próbowała rozprostować wymięte ubranie. Była podniecona i chcąc to ukryć, szukała zajęcia dla rąk. Obserwowała Jake'a; chciała sprawdzić jego reakcję na tak długie trzymanie jej w objęciach.

Nie było jednak na to czasu. Musieli dopilnować rozładunku bydła, koni, sprowadzić wóz ze stajni i przygotować się do drogi. Wszystko komplikowała fatalna pogoda.

Micah określił całą sytuację dość jednoznacznie:

– Deszcz jest, rzeczywiście, bardzo potrzebny, ale nie do tego stopnia, żeby akurat teraz lało nam na łeb jak z cebra.

Poprzez strugi deszczu Jake starał się dojrzeć, czy nie przejaśnia się na horyzoncie. Niestety nic nie wskazywało na to, by słońce miało pojawić się w niedługim czasie.

– Nie wyobrażam sobie pędzenia bydła na ranczo w taką pogodę – powiedział do chłopców.

Nerwowo przygryzał dolną wargę. Wszyscy patrzyli na niego i czekali na polecenia. Lee nie mógł powstrzymać ziewania.

Jake odwrócił się do Banner.

– Rozmawiałaś z tym mężczyzną w stajniach. Jak sądzisz, zgodziłby się przetrzymać nasze stado, aż będzie je można zabrać?

Uśmiechnęła się, zadowolona, że prosi ją o pomoc.

– Spróbuję to załatwić.

Skinął głową.

– Bardzo dobrze. A wy, śpiochy, obudźcie się wreszcie i dopilnujcie wyładunku krów. Banner, dasz sobie radę w tym deszczu?

– Spytaj ich. – Wskazała brodą na chłopców. Otworzyła drzwi i zniknęła im z oczu.

– Co jest, Micah? – spytał Jake.

– Zmusiła nas do zabawy na deszczu. Po niej woda spływa jak po kaczce. Nic nie potrafi zepsuć jej humoru.

Jake uśmiechnął się do siebie.

– Ruszajmy.

Najpierw poszli do kosni, osiodłali je i wyprowadzili z wagonu. Następnie, po sprawdzeniu, czy w pobliżu nie kręcą się pasażerowie, otworzyli burtę wagonu i opuścili ją na ziemię, tworząc w ten sposób stromy pomost, po którym krowy mogły zejść.

– Od jak dawna tu pada? – spytał Jake kolejarza.

– Zaczęło się wczoraj po południu. Wyczekiwaliśmy deszczu, ale nie tyle od razu. – Kolejarz splunął na ziemię i skrył się pod dachem. Chciał odsunąć się od krów, które niezgrabnie złaziły z wagonu po śliskich deskach. Nie lubił zajmować się bydłem; zostawiał to kowbojom, którzy się na tym znają.

Lee i Micah byli aż nadto gorliwi. Popędzali swoje konie, pokrzykiwali i pogwizdywali na krowy.

– Spokojnie, spokojnie! – wołał Jake. – Bo jak się spłoszą, to w panice przecwałują nam przez Główną Ulicę i trzy dni będziemy ich szukać.

Gdy przybyli do stajen, wszystko było gotowe. Pusta zagroda czekała już na krowy, a drugą przygotowano dla byka.

– Może chciałabyś zostać w mieście, Banner? – spytał z troską Jake. Mimo jej wcześniejszych przechwałek odnośnie do deszczu, była

przemoczona i trzęsła się z zimna.

– Nie. Wolałabym pojechać do domu.

Przyjrzał się jej uważnie: ociekała wodą, przemokła do suchej nitki, tak samo jak on. Nawet w butach miał pełno wody, która chlupała przy każdym kroku.

– Zostawmy tutaj wóz. Odbierzemy go, kiedy wszystko trochę przeschnie. Wątpię, czy drogi są przejezdne.

– W takim razie będziesz jeszcze potrzebowała konia? – spytał pan Davies.

– Nie, dziękujemy. Banner pojedzie ze mną. Bylibyśmy wdzięczni za suchy koc, jeśli ma pan jakiś w zapasie – rzekł Jake.

Kiedy kilka minut później wyjeżdżali z miasta, przedstawiali godny pożałowania widok. Lee i Micah kiwali się apatycznie w siodłach, powracając myślami do wydarzeń ostatnich dni. Strużki wody cieknące z rond kapeluszy, spływały im po plecach.

Jake posadził Banner w siodle przed sobą i szczelnie owinął pożyczonym kocem. Otoczył ją ramionami, lecz nawet ciepło jego ciała nie było w stanie jej rozgrzać. Od czasu do czasu przebiegały po niej zimne dreszcze, przenikały do szpiku kości i odbierały ochotę do życia. W innym przypadku cieszyłaby się, jadąc z nim na koniu, otoczona jego ramionami.

Gdy dojechali do mostu na rzece, gdzie drogi się rozwidlały, Jake ściągnął wodze i spytał:

– Dokąd pojedziemy, do River Bend czy do twego domu?

Myśl o suchym, ciepłym łóżku w pokoju na górze domu rodzicielskiego przyciągała jak magnes. Nie czuła się jednak na siłach, aby opowiadać rodzicom o podróży. Zresztą tęskniła za swoim domkiem.

– Chcę jechać do domu.

Nie musiał pytać, co ma na myśli. Wystarczyło, że na ułamek sekundy spojrzał jej w oczy, i zaraz wiedział wszystko.

– Banner chce jechać za rzekę – powiedział do Lee i Micaha. – Powiedzcie wszystkim, że czuje się dobrze i że podróż była udana. Jeśli

jutro też będzie lało, przekażcie chłopakom, żeby nie przyjeżdżali do roboty. Zasłużyliśmy na dzień wolnego. Zwłaszcza Banner.

– Uważaj na moście, Jake – ostrzegł Micah. – Poziom wody bardzo się podniósł.

Jake zauważył już wcześniej, że woda znacznie przybrała.

– Będziemy ostrożni. Jedźcie do domu i zawiadomcie, że wszystko jest w porządku. Nie ma powodów do obaw.

Patrzył, jak chłopcy znikają w deszczu, a potem, obejmując Banner, wjechał koniem na most. Zwierzę, czując nastrój swego pana, szło ostrożnie, ale pewnie. Nawet po ciemku Banner dostrzegła rwącą wodę. Wzdrygnęła się pod wilgotnym kocem i całym ciałem przylgnęła do Jake'a. Gdyby była sucha i nie tak zmarznięta! Nie czuła się dobrze i sama nie wiedziała, co jej jest. Jeśli tylko znajdzie się w swoim domu, na pewno poczuje się lepiej.

Dotarli do brzegu i Jake westchnął z ulgą. Rano, o ile rzeka opadnie, przyjrzy się temu mostowi. Musi go dokładnie wyremontować, nawet gdyby mieli przez to sprowadzać stado o dzień później.

*

W strugach deszczu dom wyglądał na opuszczony. Natomiast dla Banner nic na świecie nie było piękniejszego. Jake zsiadł pierwszy, potem zdjął ją z konia i zaniósł do domu. Wyjęła klucz z torebki i otworzyła drzwi. Oboje weszli do środka. Palce mu drżały przy zapalaniu lampy.

– Nabrudzę ci tu... – Zostawiał na podłodze mokre ślady.

– Daj spokój. – Drżała z zimna. – Proszę cię, rozpal ogień. Jest tu chyba jakieś suche drzewo.

Sprawdził skrzynkę z drewnem.

– Wszystko jest przygotowane. To pewnie zasługa Jima. Idź zdjąć szybko mokre ubranie. Zanim wrócisz, ogień będzie buzował w kominku.

Poszła do sypialni, niosąc lampę i zapałki. Ręce miała zdrętwiałe z zimna i nie mogła zapalić lampy. Najpierw musi się przebrać i rozgrzać,

a wówczas dreszcze ustąpią. Może i w głowie się rozjaśni? Bo teraz wszystko jest jakieś dziwne i nieswoje. I zbiera się jej na wymioty.

Zrzuciła z siebie mokre ubranie i skrupulatnie rozwiesiła na oparciu krzesła. Włożyła flanelową nocną koszulę, owinęła się w gruby szlafrok, nałożyła wełniane skarpety.

Czyżby miała gorączkę? Może dlatego tak jej zimno? Ale przecież jest lato. Nawet przemoczona, nie powinna odczuwać chłodu. A może była głodna? Na wspomnienie o jedzeniu żołądek podszedł jej do gardła. Nie, była chyba chora.

Zeszła na dół. Jake dotrzymał słowa: pomarańczowe i złote języki ognia zachłannie lizały ułożone w kominku szczapy.

– Podejdź bliżej ognia. – Wziął ją za rękę i podprowadził. Od razu zauważył, że ma gorączkę. Szkliste oczy błyszczały nienaturalnie. Rozmasował jej ramiona.

– I jak teraz?

– Lepiej.

Dostrzegła, że on jest wciąż w mokrym ubraniu.

– Musisz się też przebrać.

– Już wychodzę.

Serce w niej zamarło. Nie chciała, aby ją opuścił. Stajnia, poprzez strugi deszczu, wydawała się bardzo odległa. Czuła się bardzo źle i potrzebowała jego pomocy. Chciała, żeby trzymał ją w ramionach, głaskał jej włosy, szeptał do ucha słowa pociechy i pokrzepienia. Tak właśnie czynili jej rodzice i to pomagało, ale nie może go o to prosić, bo zaraz powie, że to kobiece fanaberie albo, co gorsza, dziecinada.

– Jesteś pewna, że nic ci nie będzie?

– Zrobię sobie filiżankę herbaty i pójdę do łóżka.

– To dobry pomysł. Sen jest najlepszym lekarstwem. – Dotknął opuszkami palców jej policzka. – To był bardzo męczący dzień.

Skinęła głową.

– Masz rację. Czuję się senna.

– Będę niedaleko, gdybyś mnie potrzebowała.

Dotknął ustami jej policzka i wyszedł w deszcz. Wielkie krople uderzyły w próg, gdy otworzył drzwi. Po jego wyjściu długo wpatrywała się w to miejsce. Stała bezradna, czując, że jej żołądek zaczyna wykonywać jakieś przedziwne ruchy.

W końcu zmusiła się, aby pójść do kuchni i napełnić czajnik wodą. Nie miała siły rozpalić ognia w piecu kuchennym, więc postawiła czajnik przy kominku, możliwie najbliżej płomieni.

Z minuty na minutę czuła się gorzej. Skurcze żołądka powtarzały się w regularnych odstępach czasu. Zbierało jej się na wymioty; powstrzymywała je tylko siłą woli. Na zmianę drżała z zimna i pociła się w grubym szlafroku, tak że miała chęć go zrzucić.

Woda w czajniku zaczynała bulgotać, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

– Banner?

Otworzył drzwi, wszedł i szybko zamknął je za sobą. Siedziała skulona na niskim taborecie przy ogniu.

– Aż do dzisiejszej nocy nie wiedziałem, że dach stajni przecieka. Musiałem walczyć ze Stormym o jedyny suchy boks; koń wygrał. Nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym przespał się gdzieś tutaj?

– Będę czuła się lepiej, mając cię blisko siebie.

– Zrobiłaś już sobie herbatę? – spytał i położył pościel oraz suche ubranie, które dotychczas trzymał w ręku, na podłodze koło kanapy.

– Właśnie zamierzałam. Woda już się gotuje.

Z przyniesionej pościeli wyciągnął butelkę whisky.

– Dodam trochę do herbaty. To powinno cię rozgrzać. Siedź przy ogniu i nie ruszaj się. Pójdę do kuchni, przebiorę się i zaraz wszystko przygotuję.

Zabrał ze sobą czajnik i suche ubranie. Banner złapała się za brzuch. Takich bólów jeszcze nigdy nie miała.

Na szczęście najgorsze chyba przeszło, zanim Jake wrócił do kominka z dwoma kubkami herbaty. Podał jej jeden, następnie siadł naprzeciwko niej na podłodze, postawił swój kubek tuż koło siebie, sięgnął po butelkę whisky i wyciągnął korek.

– To wyłącznie w celach leczniczych.

Wlał jej do kubka trochę płynu.

– Ma leczyła mnie w ten sposób przez całe życie, kiedy miałem kaszel.

Uśmiechnął się, gdy dolał alkoholu do swego kubka.

– Podawała nam też samogon pędzony w górach w Tennessee. – Zrobił śmieszny grymas i mówił dalej. – Któregoś razu, gdy Luke przechodził krup, dostawał lekarstwo tak długo, że w końcu sam zaczął się go domagać. To dla Ma było nieomylnym znakiem, iż wrócił do zdrowia.

Dla Banner w tym momencie cały świat ograniczał się do jego osoby. Światło ognia tańczyło w jego włosach, rzucało blaski i cienie na twarz, oświetlając raz czoło, raz nos, kości policzkowe i mocną szczękę. Uśmiechał się odprężony i opowiadał o bracie, którego kochał.

Gdyby nie czuła się tak źle, z całą pewnością byłby to jeden z najmilszych momentów w jej życiu. Siedzą we dwoje, oddzieleni od reszty świata ścianą deszczu bijącego o szyby. Ból nie pozwalał jednak cieszyć się tym faktem.

Małymi łyczkami popijała herbatę zaprawioną whisky w nadziei, że złagodzi ona dolegliwości.

Jake dorzucił szczapę do ognia. Miał do połowy zapiętą koszulę, wyłożoną na spodnie. Był rozluźniony i wcale nie śpieszył się z odprowadzeniem Banner do łóżka.

– Już ci lepiej?

Położył się wzdłuż kraty kominka, koło jej nóg.

– Tak, o wiele – skłamała.

Najchętniej położyłaby się przy nim, twarzą przy twarzy, z ustami blisko jego ust i poddałaby się narastającej fali pożądania…

Poczuła rozchodzące się po ciele ciepło, nie mające nic wspólnego z gorączką. A jeśli zaskoczy go i położy się obok, czy i tym razem się cofnie?

Te rozważania zostały przerwane przez nieprzyjemne odczucia w dołku i przełyku. Za wszelką cenę starała się nie dopuścić do wymiotów w jego obecności. To byłoby zbyt upokarzające.

– Jestem senna, Jake. Whisky jeszcze bardziej mnie usypia. Pójdę do łóżka.

Usiadł, nieco zdezorientowany i urażony.

– Oczywiście, Banner. Dobranoc.

Podniosła się z wysiłkiem i skierowała do sypialni, starając się nie dać poznać po sobie, jak jest słaba i wyczerpana. W drzwiach spojrzała na niego i zauważyła, że leje do kubka alkohol, już bez herbaty. Po jego minie poznała, że jest zły i rozczarowany nie mniej niż ona.

– Dziękuję ci, Jake, za wszystko.

Podniósł na nią oczy i skinął głową. Skończył drinka i znowu sięgnął po butelkę. Banner weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

W pokoju było wilgotno. Wślizgnęła się pod zimną kołdrę i otuliła się starannie, aż poczuła ciepło. Zęby przestały jej szczękać, lecz nie mogła wyprostować nóg. Wiedziała, że ma wysoką temperaturę. To może być zapalenie płuc. Znowu zaczęło ją mdlić.

Drzemała, świadoma dokuczliwych dolegliwości i częstych, przejmujących bólów brzucha. Za każdym razem, gdy budziła się z koszmarnego snu, odkrywała, że wszystko dzieje się naprawdę.

Deszcz padał bez przerwy. Długie godziny nocne z wolna ustępowały przed rodzącym się dniem. Ciemność przeradzała się w szarość, ale nic nie wskazywało na poprawę pogody.

We śnie chwyciła się za brzuch i krzyknęła donośnie. Obudziła się, zdając sobie sprawę, że sen nie ukoił jej cierpienia. Podniosła się na łokciu i zwiesiła głowę poza brzeg łóżka. Całe ciało miała mokre od potu, a jednocześnie czuła przenikliwe zimno. Serce zaczęło bić jak oszalałe, krew pulsowała w skroniach.

– Banner!

Drzwi otworzyły się gwałtowmie. Jake wszedł do środka, ukląkł przy łóżku i chwycił jej dłoń.

– Jesteś chora?

– Wyjdź – prosiła słabo. – Będę... muszę...

W ostatnim momencie wyciągnął spod łóżka porcelanowy nocnik. Miała silne torsje, które skręcały jej ciało. Jake widywał kowbojów chorujących z przepicia, ale z takim nasileniem choroby nigdy się nie zetknął.

Kiedy wymioty ustały, opadła na poduszki całkowicie wyczerpana. Jake nakrył naczynie blaszaną pokrywką i usiadł na skraju łóżka. Dotknął jej dłoni, były wilgotne, zimne i bezwładne. Twarz miała bladą jak płótno, na którym leżała.

Odgarnął mokre włosy z policzków.

– To ta przeklęta whisky.

Był zły na siebie, że dał jej whisky. Powinien wiedzieć, że jej organizm nie zniesie alkoholu.

Otworzyła oczy i potrząsnęła głową.

– To nie wina alkoholu. Czułam się źle znacznie wcześniej.

Poczuł strach.

– Kiedy? Od kiedy ci niedobrze?

– Zaraz po... – zaczekała, aż minie fala bólu. – Zaraz, jak dojechaliśmy do miasta – dokończyła z wysiłkiem.

– Czemu nic wtedy nie powiedziałaś? I w takim stanie męczyłaś się całą noc? Dlaczego mnie nie zawołałaś? Nie, nie mów nic. Czekaj, co tu zrobić?

Rozpaczliwie ściskał jej ręce, jakby to mogło przywrócić jej zdrowie.

– Zostań ze mną.

Chciała pogłaskać jego rękę, ale nie miała siły. Bała się, że umrze i nikogo przy niej nie będzie.

– Oczywiście, kochanie, zostanę. Nikt mnie stąd nie wyciągnie!

Trwał przy niej godzinami: trzymał jej głowę, gdy wymiotowała, i opróżniał nocnik, ocierał spoconą twarz wilgotną szmatką, przemawiał do niej czule i serdecznie. Przeklinał swą głupotę, pogodę, wszystko i wszystkich. Nie mógł sobie darować, że dał wolne kowbojom z powodu deszczu. Lało jednak bez przerwy i nikt by dzisiaj nie ryzykował przejścia rzeki.

Nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny. Mógł jedynie obserwować wijącą się z bólu Banner, stać obok bez możliwości ulżenia jej cierpieniu.

Z upływem czasu stawało się jasne, że bez pomocy lekarskiej nie da sobie rady. Musi szukać ratunku. Podjął już decyzję.

– Banner, kochanie, spróbuję zorganizować pomoc.

Ujrzał strach w jej oczach. Chwyciła go za koszulę.

– Nie! Nie zostawiaj mnie! Nie chcę sama umierać!

– Kto tu mówi o śmierci?! – zawołał z przekonaniem. Prosił Boga, żeby ona w to uwierzyła. – Poszukam i sprowadzę doktora.

– Nie zostawiaj mnie, Jake! Nie odchodź. Obiecałeś!

Uzbroił się w cierpliwość i delikatnie odsuwając jej ręce, wstał, uśmiechnął się do niej przez łzy i wybiegł z domu. Błyskawicznie osiodłał konia. Walczył z myślami, czy wrócić i zostać przy niej. Nie! Wiedział, że tego zrobić nie może. Nie będzie długo sama. On skoczy tylko do River Bend i powiadomi ludzi. Ktoś przyjedzie do niej, a on uda się do Larsen po lekarza.

Mimo deszczu i błota dojechał do rzeki w rekordowym czasie.

– O, jasna cholera!

W miejscu, gdzie znajdował się most, widać było tylko rwący nurt spienionej wody. Pozostały jedynie fragmenty podpór przy każdym brzegu. Przęsła zostały zniszczone. Woda wirowała wokół roztrzaskanych słupów.

Wybór miał niewielki: albo posuwać się wzdłuż brzegu i szukać brodu, albo jechać od razu do miasta. Szukanie płycizn mogło trwać całe godziny, a na to nie miał czasu. Zawrócił do miasta.

Larsen tonęło w deszczu. Większość sklepów była pozamykana. Głębokie kałuże pokryły powierzchnię ulic. Naczelnik poczty wywiesił dwie flagi: stanową i państwową, ale obie smętnie owinęły się wokół masztu. Jake wszedł do budynku spytać o adres najbliższego lekarza.

Naczelnik siedział zagłębiony w lekturze o detektywie Pinkertonie, który trafił właśnie na trop bandy rabusiów kolejowych.

– Szukam doktora do nagłego przypadku.

– Nie wyglądasz na chorego – odrzekł z niechęcią naczelnik, nagle oderwany od lektury.

– Nie dla mnie, dla mojej… żony.

– Rozumiem. Którego wolisz?

– A ilu ich macie?

– Dwóch. Stary doktor Hewitt i młodszy, Angleton.

– To Angletona.

– Nie ma go w mieście. Na tydzień wyjechał do Arkansas zobaczyć się z rodziną żony.

– Gdzie mieszka ten drugi? – Jake z trudem powstrzymywał wybuch gniewu.

Naczelnik cierpliwie wyjaśnił, jak znaleźć dom doktora Hewitta. Po wyjściu Jake'a wytarł pozostawioną przez niego kałużę wody i znów zagłębił się w powieści.

Dom doktora otaczał płot z białych sztachet. Okna były zasłonięte gęstymi firanami. Jake uwiązał Stormy'ego do słupka i podbiegł do drzwi. Zadzwonił, ściągnął z głowy kapelusz i strząsnął z niego wodę. Szczęście, że miał na sobie płaszcz nieprzemakalny, więc nie przemókł.

Drzwi otworzyła starsza pani o stalowosiwych włosach.

– Czy zastałem doktora Hewitta?

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie.

– Jestem pani Hewitt. Czym mogę służyć?

– Muszę się widzieć z doktorem – powiedział z nietajoną niecierpliwością.

– W tej chwili je obiad. Szpitalik otwiera o trzeciej.

– Ale to nagły przypadek.

Kobieta nie kryła irytacji z powodu intruza, który przeszkadza w posiłku, ale Jake przeszył ją tak zimnym wzrokiem, że straciła ochotę do dalszej dyskusji.

– Proszę poczekać.

Zamknęła mu drzwi przed nosem. Kiedy otworzyły się ponownie, stanął w nich mężczyzna, który wycierał usta świeżo wyprasowaną chusteczką. Spojrzał z niechęcią na Jake'a, oceniając go jako człowieka wyjętego spod prawa, który przyszedł szukać pomocy dla rannego kompana. Taki przynajmniej opis podała mu żona, a jej pierwsze wrażenie rzadko bywało błędne.

– Pani Hewitt powiedziała mi o nagłym wypadku...

– Młoda kobieta ma nieustanne, cuchnące torsje i skarży się na skurcze w całym brzuchu oraz bardzo silne bóle. Jest całkowicie wyczerpana. Bardzo pana potrzebuje.

– Zbadam ją po południu, jak tylko ją tu przywieziesz.

Spróbował zamknąć drzwi, lecz Jake udaremnił mu ten zamiar.

– Ona nie potrzebuje pana po południu, ale natychmiast!

– Właśnie jem obiad.

– Nie interesuje mnie, co pan robi. Pojedzie pan ze mną, i to w tej chwili.

– Jak pan śmie wdzierać się do mego domu i w taki sposób domagać się…

– Zna pan rodzinę Colemanów?

– Idzie ci o Rossa Colemana? Tak, znam go.

– To jego córka, Banner, jest chora. Jeżeli zależy panu na życiu, niech pan bierze swoją torbę i wszystko, co może być potrzebne, i jedzie ze mną. – Dla potwierdzenia powagi sytuacji wyciągnął rewolwer. – Już!

Usłyszawszy głośną rozmowę, pani Hewitt weszła do holu. To, co zobaczyła, przeraziło ją tak, że oparła się plecami o ścianę i tylko powtarzała:

– Ja nigdy, ja nigdy bym, nigdy…

– Nic się nie stało, kochanie – zapewnił ją pan Hewitt spokojnie i odłożywszy chusteczkę, zaczął się ubierać.

– Ten oto, powiedzmy: dżentelmen jest przyjacielem pana Colemana. Jest w tej chwili bardzo zdenerwowany, mimo to przy najbliższej okazji poskarżę się Rossowi na jego zachowanie.

Zerknął na Jake'a.

Opinia Hewittów na temat jego manier była mu najzupełniej obojętna. Przed oczyma miał jedynie śmiertelną bladość twarzy Banner i słyszał jej błagalny jęk.

– Ma pan konia?

– Mam powozik. W szopie na tyłach domu.

– To chodźmy.

Jake schował rewolwer i ruszył za doktorem w kierunku szopy. Pomógł mu zaprząc konia, a potem wyprowadzić powóz z miasta. Złościła go nadmierna ostrożność doktora przy pokonywaniu kałuż na drodze. Liczyła się każda minuta!

Zdawało mu się, że minęły wieki, odkąd ruszył na poszukiwanie lekarza.

Wpuścił Stromy'ego do stajni, a konia doktora ukrył przed deszczem w szopie. Było cicho, zbyt cicho. Jake skierował się do sypialni, niepewny, co może zastać. Banner leżała nieprzytomna i oddychała płytko. Ustąpił miejsca przy łóżku lekarzowi. Ten z przerażającą powolnością zdejmował płaszcz i wieszał na oparciu krzesła. Potem zaczął umieszczać na czubku nosa oprawne w drut okulary. Gdy to wszystko skończył, zaczął odsuwać kołdrę, którą Banner była przykryta. Jake podszedł bliżej i patrzył doktorowi przez ramię.

– Nie zacznę badać tej młodej damy, dopóki stąd nie wyjdziesz.

Gdyby tak rozpaczliwie nie potrzebował jego pomocy, chyba trzasnąłby go w tę pulchną buzię, ale obrzucił go tylko wymownym spojrzeniem i wyszedł z pokoju.

Spacerował niespokojnie po kuchni, modląc się i klnąc na przemian. Z braku jakiejkolwiek roboty nakładł drzewa do pieca i rozpalił ogień. Może będzie chciała herbaty, może... może...

Jedna myśl za drugą przelatywała mu przez głowę, a każda następna gorsza od poprzedniej.

W końcu doktor wyszedł z sypialni, wycierając okulary chusteczką. Smutno kręcił głową.

– Co to jest? Co jej dolega? – Jake domagał się natychmiastowej odpowiedzi, podczas gdy doktor zdawał się całą uwagę poświęcać czyszczeniu szkieł.

– Zapalenie ślepej kiszki.

Jake odetchnął.

– Wyrostek robaczkowy. Tak myślałem.

– Bardzo mi przykro, młody człowieku – rzekł doktor i w geście współczucia położył mu rękę na ramieniu – ze względu na ciebie,

dziewczynę, całą jej rodzinę. Ale nie mogę nic zrobić poza podawaniem środków uśmierzających ból... aż będzie, chciałem powiedzieć, no trudno... koniec.

Rozdział 19

Jake patrzył na lekarza, nic nie rozumiejąc.

– Co to znaczy, że nic pan nie może zrobić?

– Dokładnie to, co mówię. Zrobię wszystko, by nie cierpiała, ale…

– O czym pan gada, człowieku?!

– Właśnie chcę wyjaśnić…

– Wytniesz go, durniu!

– Posłuchaj mnie, młody człowieku. Nie życzę sobie, by zwracano się do mnie tym tonem. – Doktor wyprostował się, ale przy Jake'u i tak wydawał się bardzo niski. – Nie ma pan chyba pojęcia, jak bardzo skomplikowana jest taka operacja.

– To wyjaśnij mi!

– Nie widzę sensu. Nie zrobię tej operacji – powiedział zdecydowanie.

– Dlaczego?

Lekarz zaczął wyjaśniać powody.

– Ty kołtuński, zatracony łapiduchu! – wrzasnął Jake. – Przywiozłem cię po to, byś zrobił wszystko, co jest potrzebne dla uratowania jej życia. I zrobisz to!

– Uczono mnie na studiach, że pewnych części ludzkiego ciała ruszać nie wolno: mózgu, klatki piersiowej i brzucha.

Ten wywód nie zrobił na Jake'u żadnego wrażenia. Chwycił doktora za ramiona i podniósł go do poziomu swej twarzy.

– Gdzieś ty się uchował, człowieku? Tak chyba uczyli w średniowieczu?

Postawił go pod ścianą, wyciągnął rewolwer i koniec lufy przyłożył do jego czoła.

– Pójdziesz tam, otworzysz jej brzuch, wytniesz ten cholerny wyrostek i zrobisz wszystko, co uznasz za niezbędne. Zrozumiałeś?

– Odpowiesz za to przed panem Colemanem – próbował bronić się doktor.

– Gdyby Ross tu był, zrobiłby to samo, tylko może trochę szybciej i brutalniej. A teraz wybieraj! Chyba że z góry zdecydowałeś się przenieść na tamten świat.

– Dobrze, zaryzykuję.

Jake usunął rewolwer sprzed nosa mężczyzny. Lekarz nigdy jeszcze nie był tak wytrącony z równowagi jak teraz. Nerwowo poprawił okulary.

– Nawet nie wiem, czy mam ze sobą eter. Operacja w tych warunkach grozi gangreną. Kwas karbolowy mam w torbie, bandaże również. Przynieś mi ją.

Po wyjściu Jake'a doktor poczuł przemożną chęć ucieczki, ale wiedział, że to na nic: ten szaleniec go dogoni i wtedy może być z nim naprawdę krucho. Bał się jego gniewu i równie mocno bał się operacji. Nie miał żadnego kontaktu ze współczesną chirurgią. Odbierał porody, nastawiał połamane palce, przepisywał pigułki na grypę i łamanie w kościach.

George Hewitt nie znał się na współczesnych metodach aseptyki. Żył na odludziu, z dala od wszelkich innowacji medycznych. Bez ryzyka umiał wyjąć kulę, jeżeli nie zagrażało to życiu pacjenta. Potrafił też w razie potrzeby szybko amputować kończynę, ale wnętrze ludzkiego ciała było dla niego przerażającą tajemnicą.

Kiedy wszystko było już gotowe, spojrzał na jasną, bez skazy skórę Banner i oblał go zimny pot. Skierował wzrok na Jake'a, który stał tuż obok. Doktor potrzebował jego pomocy choćby do tego, by skropić eterem maskę zrobioną z gazy, gdyby Banner zaczęła się budzić w trakcie operacji.

– Jeśli w wyniku operacji zdarzy się coś nieprzewidzianego, nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności – powiedział doktor odważnie. – Gdyby wyrostek już pękł, ona umrze bez względu na to, co zrobię. Chcę, żebyś to zrozumiał.

Jake nawet nie drgnął.

– Ja też chciałbym, żebyś coś zrozumiał: jeśli ona umrze, ty umrzesz zaraz potem. Gdybym był na twoim miejscu, zrobiłbym wszystko, żeby się przed tym uchronić.

Ten człowiek jest łotrem bez sumienia – tego doktor był pewien. Jak również tego, że kowboj wprowadzi w czyn swe słowa. Przywołał więc na pamięć całą swą wiedzę i zanurzył ostry jak brzytwa skalpel w gładką skórę na prawo od pępka.

Serce Jake'a niemal przestało bić, gdy zobaczył, jak ostrze zagłębia się w ciało Banner. Czy słusznie zrobił, zmuszając tego konowała do operacji? Tak! Nie miał innego wyjścia. Przecież bez operacji Banner z całą pewnością umrze. Operacja jest dla niej jedyną szansą na przeżycie.

Ona nie może umrzeć. Nie może! On jej nie pozwoli. Bóg chyba też!

Gdy niezdarne palce doktora Hewitta zagłębiły się w nacięcie, Jake modlił się żarliwie po raz pierwszy od bardzo dawna.

*

Doktor związał bandaże, obciągnął chorej nocną koszulę i nakrył Banner prześcieradłem. Dopiero wtedy odważył się spojrzeć na Jake'a, który pełen lęku obserwował dziewczynę.

– Niepokoi mnie kolor jej twarzy – zwrócił się do lekarza, nie odrywając wzroku od Banner.

– Czego chcesz, przeżyła szok – odparł doktor trochę już pewniejszy siebie. Dziękował Bogu, że dziewczyna nie zmarła w trakcie zabiegu. Miał jednak poważne wątpliwości, czy przeżyje noc. Na szczęście wyrostek był nienaruszony, choć groziło mu pęknięcie. Doktor uważał takie stany za beznadziejne i wyznawał pogląd, że w takiej sytuacji trzeba raczej pozwolić pacjentowi umrzeć niż męczyć go wyczerpującą, a przy tym niedającą w zasadzie nadziei operacją.

– Staraj się zbić jej trochę temperaturę. Przykładaj do czoła zimną gąbkę. Od czasu do czasu zwilżaj jej bandaże kwasem karbolowym, który ci zostawiam. Kiedy zacznie skarżyć się na ból, podaj jej laudanum.

Zebrał narzędzia i wrzucił je niedbale do: zwykle bardzo starannie zapakowanej torby. Śpieszył się; chciał wyjechać z tego domu, zanim dziewczyna umrze; uciec od tego rewolwerowca, zanim wykona on swą groźbę. Niektórzy ludzie nawet Bogu starają się przeszkadzać w Jego gospodarowaniu ludzkim życiem.

Im szybciej opuszczę ten dom, tym lepiej – myślał doktor. Ale nie mógł odjechać niepostrzeżenie. Musiał udzielić wskazówek Jake'owi co do dalszego postępowania wobec chorej.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego Ross Coleman zdecydował się powierzyć opiekę nad córką takiemu zbójowi. Może to miało jakiś związek z zerwaną ceremonią ślubną?

Nie mógł się doczekać, kiedy dojedzie do domu i opowie pani Hewitt ostatni rozdział życia Banner Coleman. Oczywiście, pod przysięgą, że absolutnie nikomu nie zdradzi tajemnicy lekarskiej.

To nie była opowieść, którą może usłyszeć całe miasto. Byłaby obelgą dla rodziny Colemanów. Sam fakt zamieszkiwania córki Rossa z takim typem jest podejrzany. No i wszystko wskazuje na to, że prowadzenie się tej dziewczyny pozostawia wiele do życzenia…

Miał nadzieję, że żona trzyma na ogniu kurczaki w potrawce.

Diabli nadali ten deszcz!

Jake przystawił krzesło do łóżka Banner, aby czuwać jak najbliżej chorej.

Oddech miała słaby i płytki. Pierś ledwo, ledwo unosiła się i opadała. Nie wiedział, czy martwić się tak nikłymi oznakami życia, czy cieszyć się z tego, że najgorsze prześpi. Czasem drgały jej powieki, jakby dręczył ją koszmarny sen. Na ogół jednak leżała bez ruchu, bez znaku życia.

Wstał z krzesła i przyłożył dłoń do czoła dziewczyny; był gotów przysiąc, że jest mniej gorące niż wtedy, gdy sprawdzał ostatnio. Kiedy odjechał doktor? Tak naprawdę to nawet nie zauważył jego nieobecności. Jedyne, co go w tej chwili obchodziło, to życie Banner.

W kącie sypialni zauważył stos skrwawionych prześcieradeł. Wymógł na doktorze zgodę na ich zmianę po operacji. Ich widok przyprawił go

o skurcz żołądka. To była przecież krew Banner! Zebrał je i wyrzucił za drzwi. Wypierze później.

Nałożył płaszcz nieprzemakalny oraz kapelusz i poszedł do stajni oporządzić zaniedbanego konia.

– Cześć, stary – zawołał do zwierzęcia. – Myślałeś, że zapomniałem o tobie?

Jake wytarł go dokładnie słomą i wsypał do żłobu solidną porcję owsa, na którą Stormy w pełni zasłużył.

W ciszy stajni, przy monotonnym odgłosie lejącej się z okapu wody, groza sytuacji uderzyła go jak obuchem. W tym momencie uświadomił sobie z przerażającą jasnością, że BANNER MOŻE UMRZEĆ.

– Nie, nie, nie – jęczał boleśnie i palcami wpił się w grzywę konia. – Nie może umrzeć!

Jak Luke, jak ojciec...

Łzy zaczęły spływać mu po policzkach. Gdy ona umrze, jego życie też się skończy, zgaśnie światło jego życia.

Dwadzieścia lat temu skamieniał wewnętrznie i uczucia nie miały do niego dostępu; jakikolwiek związek z kobietą był zbyt ryzykowny, gdy utracił tę, którą kochał. To już lepiej w ogóle się nie angażować. Tylko miłość do Lydii nie niosła ryzyka. Niestety, Lydia była dla niego stracona. Ale miłość do Banner?...

Czy rzeczywiście kochał tę dziewczynę?

– Nie wiem, nie wiem – szeptał w grzywę konia.

Poruszyłby niebo i ziemię, byleby oglądać Banner ożywioną i pogodną albo złą, nawet z furią w szeroko otwartych oczach – byle nie bladą i zimną, w okowach śmierci.

Zerwał się i jak opętany, przez deszcz i kałuże, pobiegł do domu. Wszedł przez tylne drzwi, zrzucił buty i w skarpetkach wszedł do sypialni. Nic się tu nie zmieniło.

Podszedł do łóżka i pochylił się nad leżącą.

– Nie możesz umrzeć, Banner. Nie możesz mnie zostawić. Potrzebuję ciebie, by dalej żyć. Nie opuszczaj mnie, a ja zawsze będę przy tobie –

szeptał zapamiętale, przyciskając usta do jej zimnych dłoni. Jedyną odpowiedzią był słaby oddech.

Cichy wprawdzie, ale równomierny oddech natchnął go nadzieją. Wyprostował się. Nie pozwoli, aby obudziła się w ciemnym, posępnym otoczeniu. Ogarnęło go szaleństwo – pozbierał wszystkie lampy, jakie znalazł w domu. Anioł śmierci nie znosi światła. Zdał sobie sprawę, że zaczyna myśleć jak szaleniec, ale jeśli światło miałoby w czymś pomóc – będzie światło!

Rozpalił w kominku oraz w piecu kuchennym. Przygotował sobie parę kanapek i zagotował czajnik wody, na wypadek gdyby Banner po przebudzeniu chciała pić.

Po tym nagłym przypływie aktywności poczuł się zmęczony.

Siedział przy Banner tak długo, aż zamknęły mu się oczy. Wstał, rozebrał się, owinął w koc i położył na kanapie. Zasnął niemal natychmiast.

*

Było jej gorąco. Bardzo gorąco. Coś ciągnęło ją w dół, przyciskało do łóżka. Usta zdawały się wypełnione watą. Czuła jątrzący ból w którymś punkcie ciała, ale nie mogła go zlokalizować. Chciała otworzyć oczy. Światło było jednak za ostre. Raziło ją.

Powoli jednak jej oczy przyzwyczajały się do jasności; otwierała je coraz szerzej. Spojrzała w okno i w szybie zobaczyła odbicie sypialni. Na zewnątrz było ciemno i wciąż padało.

Starała się zebrać myśli, ale stanowiło to dla niej zbyt dużą trudność. Pokój raz wydawał się bardzo szeroki i niski, raz wysoki i wąski. Łóżko skracało się, a za chwilę wydłużało do ogromnych rozmiarów. Ta huśtawka odległości i proporcji przyprawiała ją o mdłości. Zaczęła się krztusić.

Usiłowała się podnieść, ale poczuła piekący ból i padła na łóżko z głośnym jękiem.

– Banner!

Jake stanął w otwartych drzwiach sypialni. Musiała być nieprzytomna, bo wydawało się jej, że on jest nagi.

Podbiegł, ukląkł przy łóżku i wziął ją za ręce.

– Jak się czujesz?

Popatrzyła na niego ze strachem.

– Nie wiem. Źle się czuję. Co mi się stało?

– Miałaś operację.

Otworzyła szeroko oczy.

– Operację? Myślisz o otwarciu…

– Cicho, cicho, zaraz ci pokażę. – Wsunął jej rękę pod kołdrę i położył na obwiązanym bandażem brzuchu. Skrzywiła się z bólu. – Ostrożnie! – przestrzegł. – Cięcie jest zupełnie świeże. Nic nie pamiętasz?

Z trudem wydobywała z pamięci minione zdarzenia: powrót do domu w deszczu, gorączkę i ból, nudności, skurcze i wymioty.

– Miałaś zapalenie wyrostka robaczkowego.

– Ślepa kiszka! Na to można umrzeć!

– Ale nie ty! – rzekł z naciskiem. – Doktor go usunął, a ja zamierzam opiekować się tobą. Za kilka tygodni będziesz jak nowa. Ba! Lepsza!

Próbowała to wszystko zrozumieć. Rękę ciągle trzymała na obandażowanym brzuchu.

– To boli.

– Wiem, ale tak musi być. – Ucałował jej dłoń. – Tak będzie jeszcze przez kilka dni. A poza tym jak się czujesz?

Przymknęła oczy.

– Światło mnie razi.

Sięgnął do lampy stojącej na stoliku przy wezgłowiu łóżka i przykręcił knot.

– To moja wina. Nie chciałem, abyś obudziła się w ciemności.

– I ty mnie pielęgnowałeś?

– Tak.

– Gdzie jest moja matka?

Dotknął jej policzka.

– Bardzo mi przykro, Banner. Chciałem przedostać się przez rzekę i zawiadomić rodzinę, ale most został zerwany, a rzeka jest nie do przebycia. Dopóki deszcz nie przestanie padać i woda nie opadnie, River Bend będzie odcięte od świata. Obawiam się, że musisz zdać się na mnie.

Przez moment nie odzywała się, jedynie patrzyła na niego.

– Nie to miałam na myśli, Jake. – Chciała podnieść rękę i dotknąć jego policzka, ale dłoń opadła jej bezsilnie. – W głowie mi się kręci.

– To wina gorączki i eteru. Powinnaś znowu zasnąć. A może chcesz łyk wody?

Skinęła głową; nalał trochę do szklanki.

– Łyczek.

Podniósł jej głowę i przytknął szklankę do ust; cicho zadzwoniła o zęby. Banner przełknęła dwa razy.

– Na razie musi wystarczyć. – Odstawił szklankę i zauważył buteleczkę ze środkiem przeciwbólowym, którą zostawił doktor. – Boli cię? Mogę ci dać lekarstwo.

– Nie, tylko zostań ze mną.

– Zostać?

– Śpij ze mną. Jak w pociągu.

– Ależ, kochanie, ty...

– Proszę, Jake.

Usiłowała mieć oczy otwarte, ale nie dała rady, więc wyciągnęła po omacku rękę, by go dotknąć. Wyzbył się oporów. Podniósł kołdrę i bardzo ostrożnie położył się obok niej. Chciała się do niego odwrócić.

– Nie, leż spokojnie na plecach.

Położył rękę na jej biodrze, by w razie jakiegoś gwałtownego ruchu zaraz móc zareagować.

O, Boże! To niebo i jednocześnie najprawdziwsze piekło. Słodkie tortury!

Na szczęście zasnęła po chwili, a on zaraz potem.

*

Rano Jake cicho krzątał się po domu, nie chcąc budzić Banner z dobroczynnego snu. Oporządził konia, przyniósł drzewa, napalił w kominku i kuchni, usmażył jajecznicę na bekonie, przygotował suchary i mocną, gorącą kawę. Kiedy wszystko było zrobione, zajął miejsce przy jej łóżku. Na pościeli widniał odciśnięty ślad jego ciała. Nigdy dotąd nie spędził u boku kobiety całej nocy. Zwykle po zaspokojeniu swych pragnień odchodził. Tym razem było inaczej. Bo też nie była to „jakaś" kobieta, tylko BANNER.

Brakowało mu słów, by opisać, co czuł, budząc się obok niej. Ocknął się i natychmiast poczuł się szczęśliwy. Trzymała rękę na jego piersi, lekko rozchylone usta były tuż przy jego ramieniu. A jego ręka...

Z trudem przełknął ślinę na wspomnienie, gdzie we śnie zawędrowała jego ręka.

Miał ją bronić przed całym światem. A kto będzie jej bronił przed nim? Nie, on nigdy już nie zrani jej i wytrwa w tym postanowieniu.

Sam nie wiedział, jak długo tkwił przy jej łóżku. To nie miało znaczenia, czas bowiem przestał się liczyć.

Kiedy się ocknęła, była już bardziej przytomna. Równocześnie jaśniej zdawała sobie sprawę ze swego stanu.

– Nie wiem, czy będę mogła chodzić.

Uśmiechnął się; objawiała chęć życia. Czy to boża opieka, czy jego starania przywróciły jej to pragnienie, nie wiedział. Najważniejsze, że jest poprawa!

– Dziewczyno, już niedługo wsiądziesz na konia!

Jęknęła, a on roześmiał się.

– To oczywiście trochę potrwa. A w tej chwili chcesz może herbaty?

Skinęła głową, więc poszedł do kuchni. Kiedy wrócił do sypialni, wierciła się pod kołdrą i nerwowo poruszała nogami.

– Jake, jest coś, co...

– Co?

Postawił przyniesiony kubek z herbatą na stoliku.

– Co ci jest, Banner? Powiedz.

– Nie, nieważne – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Nawrót nudności? Będziesz wymiotować?

Zarumieniła się, ale wiedział, że to nie objaw temperatury.

– Nie.

– To co? Coś cię boli? Może weźmiesz laudanum?

– Nie potrzebuję żadnego laudanum.

– To, na miłość boską, co?

– Muszę iść do ubikacji.

Jake zrobił głupią minę.

– Przepraszam, nigdy bym o tym nie pomyślał.

– To pomyśl i pośpiesz się.

– Zaraz wracam.

Pobiegł do kuchni i wrócił z płytkim rondlem.

– Dopóki nie będziesz mogła wstawać i korzystać z nocnika, będziesz używała tego.

Odchylił kołdrę.

– Co robisz? – zawołała i starała się przytrzymać okrycie.

– Przecież muszę ci to podstawić pod, no… dobra, już…

– Sama to zrobię.

– Nie wolno ci się ruszać.

– Dam radę.

– Banner, nie wygłupiaj się. Trzymałem cię za głowę, gdy wymiotowałaś poprzedniej nocy…

– Dziękuję, że mi to przypominasz!

– …i stałem nad tobą podczas całej operacji. Sam ci zmieniałem koszulę, bo sukinsyn doktor odmówił. Widziałem cię całą, i to dokładnie. A teraz pozwól, że wsunę ci ten garnek pod siedzenie, zanim będziesz miała mokro w łóżku.

– Poradzę sobie albo nie zrobię wcale – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Za takie zachowanie Jake mógłby ją udusić. Odwrócił się i zanim wyszedł, głośno wypowiedział swoją opinię:

– Kobiety!

Banner natychmiast zauważyła tę zmianę: kiedyś w takiej sytuacji powiedziałby „zepsuty bachor", teraz „kobiety".

Wrócił do sypialni po paru minutach. Zaniepokoił go widok jej ramienia leżącego bezsilnie w poprzek łóżka.

– Co ci jest?

Otworzyła oczy i dostrzegła jego niepokój.

– Wszystko w porządku, naprawdę. Jestem tylko trochę zmęczona.

– Dałaś sobie radę z koszulą? – Obojętnie chwycił naczynie i postawił je na podłodze. – Zamiast ci pomóc, wydzierałem się na ciebie. Przepraszam. Śpij teraz, kochanie.

– Dobrze, Jake – szepnęła posłusznie.

Przymknęła powieki i zasnęła niemal natychmiast.

Pilnował jej cały dzień, do późnego wieczora.

Obudziła się na krótko. Wypiła kilka łyków herbaty i znowu poczuła się senna.

– Zostaniesz ze mną? – spytała prosząco.

Przerwał wygładzanie prześcieradła.

– Nie mogę. Nie powinienem…

– Proszę cię.

– Dobrze, ale śpij już. Mam jeszcze różne rzeczy do zrobienia.

– Obiecaj, że…

– Obiecuję.

Spała spokojnie całą noc. Obudziła się tylko na moment, gdy we śnie próbowała odwrócić się na bok. On też zaraz się obudził.

– Spokojnie, spokojnie. Musisz leżeć na wznak. – Pocałował ją w policzek. Tej nocy długo nie mógł zasnąć.

Rano zaczęła się skarżyć na głód.

– Herbata już mi nie wystarcza – powiedziała, wręczając mu pusty kubek.

– To dobry znak.

– Czy to smażony bekon tak pachnie?

– Tak, ale jeść go jeszcze nie możesz.

– Jake, ale ja jestem głodna.

Ściągnął brwi i zmarszczył czoło.

– Coś nie tak? – spytała natychmiast.

– Niewiele jest w domu do jedzenia. Musiałbym wyruszyć do miasta i kupić trochę świeżego mięsa, jajka, mleko i inne rzeczy. Mamy szczęście, że jesteśmy po tej stronie rzeki i bez kłopotu mogę tam dojechać. – Spojrzał na nią zmartwiony. – Nie będziesz się bała, jeśli zostawię cię na godzinę?

Na samą myśl o tym poczuła strach, lecz nie mogła tego okazać Jake'owi. Przecież stara się, jak może i umie najlepiej.

– Jasne, że nie – uspokoiła go.

Załatwił sprawunki w rekordowym czasie. Gdy usłyszała, że otwiera tylne drzwi, niemal zapomniała o chorobie i podniosła się na poduszkach.

– Już jesteś? – zawołała.

– A ty dlaczego nie śpisz? – odpowiedział z kuchni, zdejmując płaszcz.

– Jestem zmęczona ciągłym spaniem.

– O! Zaczynasz się złościć? W takim razie na pewno wracasz do zdrowia.

Gdyby uśmiech mógł leczyć, wyraz jego twarzy od razu postawiłby ją na nogi.

– Brakowało ci mnie?

– Co mi przywiozłeś? Stek z ziemniakami? Szynkę? Może indyka?

– Wołowinę. Ugotuję ci zupkę.

– Zupkę?

– Na dzisiaj zaplanowałem rosołek. Jutro może coś z kurczaka. Jeśli nie zmienisz tej kwaśnej miny na weselszą, nie dostaniesz niespodzianki.

– Czego?

Z kieszeni koszuli wyjął dwa lizaki i podał jej. Jeden wiśniowy, drugi pistacjowy. Jej ulubione.

– Pamiętałeś?

– Kiedy byłaś dzieckiem, nie miałbym po co przyjeżdżać do River Bend bez lizaków.

Pogłaskała jego policzek.

– Lizaki nie miały nic wspólnego z moją radością na twój widok. Teraz również, ale bardzo ci dziękuję.

Zrobiło mu się gorąco.

– Lepiej pójdę i nastawię ten rosół, co? – mruknął i wyszedł z sypialni.

Tej nocy nie spał przy niej. Nie prosiła też o to. Milcząco uznali, że byłoby to zbyt nieroztropne.

Rozdział 20

Następnego dnia poprawa była już widoczna. Podparta poduszkami Banner mogła siadać w łóżku. Od doby nie miała gorączki. Rana nie ropiała. Ciało wymagało jedynie czasu, aby odzyskać pełną sprawność.

– Czujesz się na siłach stanąć na nogi i zrobić kilka kroków? – spytał Jake, zabierając z jej kolan tacę, na której podał śniadanie. Zjadła jajecznicę z dużym apetytem.

Już wcześniej myślała o wstaniu, ale teraz bała się, że nogi mogą odmówić jej posłuszeństwa. Brzuch też był jeszcze obolały. Wstać, przejść kilka kroków i na powrót położyć się do łóżka wydawało się jej w tej chwili dość ryzykownym przedsięwzięciem.

– Myślisz, że mogę? Co by na to powiedział doktor Hewitt?

Jake oparł ręce na biodrach i popatrzył na nią wyzywająco.

– Czyżbyś polubiła to płaskie naczynie w łóżku?

W jej oczach pojawił się ów wojowniczy błysk, o jaki mu chodziło.

– W porządku. Już wstaję.

Rzuciła mu złe spojrzenie i odrzuciła kołdrę. Powoli opuściła nogi. Poczuła ból i skrzywiła się.

– Banner, poczekaj! – zawołał. – Niepotrzebnie cię poganiam. Poczekajmy do jutra.

Pokręciła przecząco głową. Zbladła na twarzy, ale już zdecydowała.

– Nie. Masz rację, ale kiedyś przecież muszę zaryzykować. A im później zacznę, tym będzie to trudniejsze.

Siedziała na skraju łóżka. Jake był zaskoczony jej widokiem. Wyglądała jak mała i niepozorna dziewczynka, z nogami wystającymi spod nocnej koszuli, z bosymi stopami szukającymi podłogi…

Objął ją wpół.

– Oprzyj się na mnie.

Wsparła się na jego ramieniu i stopami dotknęła podłogi.

– Jednak jestem słaba.

– To od długiego leżenia w łóżku. Spróbujesz zrobić kilka kroków?

Doszli do drzwi i z powrotem do łóżka. Jake starał się dostosować do rytmu jej małych kroczków. Cały czas opierała się na nim całym ciałem. Posadził ją na krześle.

– Posiedzisz, aż zmienię ci pościel.

Uśmiechnęła się do niego.

– Jasne. To tylko z początku wydawało się takie straszne. Jak myślisz, będę mogła kiedyś normalnie się wyprostować? – Siedziała pochylona, ponieważ w ten sposób nie czuła bólu.

Jake zdjął pogniecione prześcieradło i rozesłał czyste. Nagle od czystej pościeli powiało wiatrem i słońcem wchłoniętym podczas suszenia na sznurze.

– Naturalnie, kiedy upewnisz się, że nic ci nie dolega. – Uśmiechnął się do niej i strzepnął poduszkę.

– Wiem, że to głupie pytanie.

– Ale normalne.

Nagle zakryła usta ręką, aby pohamować chichot.

– Co cię tak rozbawiło?

Patrzyła na niego, jak brodą podtrzymywał poduszkę i usiłował naciągnąć na nią powłoczkę.

– Myślę, że bez trudu dostałbyś w szpitalu etat pielęgniarki. No, może pół etatu, żeby nie kolidowało to z twoim zwykłym zajęciem.

Skrzywił się i położył poduszkę na miejscu.

– Nie obrywasz za takie uwagi tylko dlatego, że jesteś rekonwalescentką. Poczekam, aż wyzdrowiejesz.

Pomógł jej ułożyć się na łóżku. Po chwili leżała wygodnie, oparta o poduszkę, i prosiła o szczotkę do włosów. Po kilku jednak ruchach ręce opadły jej zmęczone.

– Nigdy ich chyba nie rozczeszę.

– Pomóc ci?

Stał w nogach łóżka i przyglądał się, jak słabymi rękami stara się wyszczotkować włosy. Była taka piękna. A tak mało brakowało, by ją stracił!

– Chciałbyś spróbować?

Czy chciałby?! Przecież tylko szukał pretekstu, aby jej dotykać.

Obszedł łóżko dokoła, podniósł ją i oparł wysoko na poduszkach.

Usiadł bokiem i wziął do ręki szczotkę.

– Powiesz, jak będzie bolało, dobrze?

– Ależ robisz to tak ostrożnie…

– Ciągnę.

– Trochę, ale nie boli.

Rozczesanie splątanych włosów zajęło mu kilka minut. Później to była pieszczota. Najchętniej zanurzyłby twarz w tej gęstwinie, szeptał czułe słowa, by choć w części wyrazić to, co czuje.

Kark Banner wydawał się nie mieć kości. Głowa poruszała się dokładnie za ruchem jego rąk. Każde pociągnięcie było czułym gestem. Ręce, przyzwyczajone do zwijania i rozwijania twardego drutu kolczastego, wypalania znaków na skórze krów, pętania niesfornych sztuk bydła, nagle okazały się delikatne jak matczyne. Oparła głowę na jego piersi.

– Czujesz się senna?

– Nie. Przyjemnie nieprzytomna.

Odłożył szczotkę na nocny stolik. Delikatnie przyciągnął dziewczynę do siebie. Ukrył twarz w jej miękkich włosach. Zamknął oczy, gdyż gorąca fala przeniknęła go od stóp do głów. Opuściła głowę tak, że ustami trafiła na jego usta. Musnął je i natychmiast się podniósł.

– Włosy wyglądają teraz wspaniale.

– Dziękuję – powiedziała słabo, nie kryjąc rozczarowania.

Przez moment myślała, miała nadzieję, że będzie ją kochał. W jego dotyku wyczuła jakąś nową delikatność, oddanie, czego przedtem nie zauważała. Chciała to uchwycić i wykorzystać. Kobieca intuicja

podpowiadała jej, że Jake jest zdolny do pokochania jej, lecz boi się zaryzykować. Otoczył się pancerzem, by nie okazywać swych uczuć.

– Dokąd idziesz? – spytała, widząc, że kieruje się do drzwi.

Popatrzył na nią wzrokiem pełnym tęsknoty.

Leżała oparta na poduszkach, z rozrzuconymi włosami. Oczy miała lekko zamglone.

– Podrapałem ci twarz. – Przesunął ręką po swojej brodzie. – Muszę się ogolić.

– Zrób to tutaj – poprosiła odruchowo.

– Co?

– Ogól się tutaj, przy mojej toaletce.

– Banner... – Pokręcił głową. – Nie mogę...

– Czemu nie?

– Ponieważ... bo... no, bo nie ma co oglądać...

– Jeśli to nic takiego, to czemu się sprzeciwiasz?

– Ale co tu jest do...

– No?

– A zresztą, jeśli ma ci to sprawić przyjemność...

Wyszedł, a ona, zadowolona, ułożyła się wysoko na poduszkach. Wrócił z pędzlem, miską, mydłem, brzytwą i ręcznikiem.

– Mam nadzieję, że doceniasz to, co robię, by cię zabawić – rzekł i ułożył przybory na toaletce. Wrócił do kuchni po kubek z gorącą wodą.

– Bardzo mi się to podoba.

Coś mamrotał pod nosem, ale ani razu nie usłyszała słów: „rozpuszczony bachor". Miał jednak trochę nachmurzoną minę, gdy wlewał wodę do porcelanowej miski malowanej w herbaciane róże.

– Lepiej nikomu nie opowiadaj, że goliłem się, rozrabiając mydło w misce w kwiatki.

– Będę milczała jak grób.

W jej oczach pojawiły się psotne błyski – nieomylna oznaka powracającego zdrowia. Jej stan poprawiał się z każdą godziną. Zdrowy organizm szybko zapanował nad gorączką i słabością.

Patrzyła, jak rozpina górne guziki koszuli i zawija kołnierz do środka.

– Dlaczego nie zdejmiesz koszuli?

Zamoczył pędzel w wodzie, a następnie w miseczce z mydłem i okrągłymi ruchami wyrabiał pianę

– To moja sprawa, nie? – Zaczął pędzlem rozprowadzać pianę po twarzy. – Od wielu lat golę się po swojemu i nikt mi nie udzielał rad, jak robić to lepiej.

– Myślałam tylko o tym, żebyś nie pobrudził koszuli.

I w tym momencie odrobina białej piany oderwała się od pędzla i upadła na koszulę na piersiach. Banner zachichotała.

Wziął do ręki brzytwę.

– Czy nie powinieneś jej najpierw naostrzyć?

Zignorował pytanie. Przechylił głowę na jedną stronę i przeciągnął ostrzem od ucha aż do szczęki. Opłukał brzytwę w misce z wodą i pociągnął jeszcze raz.

– Sprawiasz, że zaczynam się denerwować. – Słowa wypowiedziane wykrzywionymi wargami brzmiały niezrozumiale, więc ponownie się zaśmiała.

– To jest zabawne?

– O tak. Nawet bardzo.

Po ogoleniu twarzy wziął na nowo pędzel i namydlił zarośnięte miejsca na szyi. Potem odchylił głowę do tyłu, przyłożył brzytwę do skóry i pociągnął ostrzem w górę.

– Jake?

– No?

– Jak myślisz? Twój ten, no wiesz… członek… jest większy niż przeciętny?

– Cholera! – Strużka krwi pojawiła się na szyi. – To skutek zadawania zaskakujących pytań, gdy człowiek ma ostrze na gardle!

– Ale właśnie w tej chwili przyszło mi to na myśl.

– Może nie powinnaś pytać o wszystko, co ci przyjdzie do głowy. Nie pomyślałaś o tym?

– Dobrze.

– Co dobrze?

– Nie twój interes.

Jake odwrócił się do lustra, wziął ręcznik i wytarł spływającą po szyi krew.

– O takie rzeczy pyta młoda, niezamężna dama? Nawet zamężnej zresztą nie wypada. A w ogóle to skąd znasz to słowo?

– Czy nie tak to się nazywa?

– Czasem. Ale skąd ty… Niech zgadnę. Pewnie od brata i Micaha?

– Kiedyś szłam za nimi w lesie. Nie widzieli mnie. Stanęli za krzakiem i robili siku. Potem porównywali te…

– Tylko się nie wyrażaj!

– Do tamtego czasu myślałam, że wszystkie są takie same. Ale to chyba tak jak z kobiecymi piersiami: jedne są większe, inne mniejsze.

– O Boże! – Twarz Jake'a przybrała cierpiętniczy wyraz.

– Co z tobą? Chyba nie musimy się wstydzić siebie nawzajem.

– Najwyraźniej nie. – Szybko zmywał resztki mydła z twarzy.

– Nasza sytuacja odbiega daleko od reguł przyzwoitości. W przeciwnym razie powinieneś dwa razy pomyśleć, zanim nagi wszedłeś do mojego łóżka.

Podniósł głowę, nie zważając na cieknącą wodę, i patrzył na nią zaskoczony.

– Zawsze śpisz w ten sposób?

– Skąd wiesz?

– Widziałam cię.

– Kiedy?

– W tę noc po operacji.

– Przecież byłaś nieprzytomna z bólu i gorączki.

– Nie całkiem nieprzytomna. Sądzisz, że mogłabym nie zauważyć nagiego mężczyzny we własnym łóżku?

Odwrócił się do toaletki, wytarł twarz ręcznikiem i odłożył go na bok. Wyciągnął kołnierzyk koszuli i zapiął guziki.

– Nie będę o tym rozmawiał.

– Nigdy przedtem nie widziałam nagiego mężczyzny. Spodziewałeś się, że nie będę zdziwiona?

– Wolałbym, żebyś o tym nie mówiła.

– Dlaczego? Jesteś moim pierwszym…

– Nie możesz przestać?

– Dobrze; nie musisz zaraz się wściekać. Ty mnie też widziałeś nagą.

Palcem wskazującym dotknął czubka jej nosa.

– Tylko dlatego, że było to konieczne. Asystowałem doktorowi przy operacji.

– Rozumiem – rzekła poważnie i opuściła oczy. – Ale przecież ja nie biegałam za tobą i nie zdzierałam z ciebie ubrania. Pamiętam tylko, że krzyknęłam przez sen, a ty, nagi, pojawiłeś się w drzwiach.

– Zawsze tak śpię.

Włożyła ręce pod głowę i ułożyła się wygodnie na poduszce. Śmiała się rozbrajającym śmiechem, który go obezwładniał.

– Tak?

Był wściekły, że dał się złapać. Powiedział jej to, co chciała wiedzieć. Zwycięski błysk w jej oczach był jednocześnie tak uwodzicielski, jak kształt ciała rysujący się pod kołdrą.

Nie mógł pozwolić na to, aby pomyślała, że jest górą. Powoli zaczął rozpinać pasek od spodni.

– Co robisz? – spytała i nagle poczuła się nieswojo.

– Zadałaś mi pytanie.

– Co masz na myśli?

– Chcę zaspokoić twoją ciekawość.

Zwilżyła wargi językiem.

– Chwileczkę…

– Dlaczego?

– Co chcesz zrobić?

– Odpiąć pasek i…

Siadła wyprostowana na łóżku, już nie uwodzicielska, ale po prostu młoda, przestraszona dziewczyna.

– Poczekaj, Jake!

Wyciągnął pasek ze spodni.

– Zawsze chciałaś, abym ci odpowiadał na pytania, tak?

– Tak, ale...

– Popatrz.

Zacisnęła powieki i zakryła oczy rękami.

– Widzisz? Nie za każdym razem muszę ostrzyć brzytwę. Zwykle robię to raz na tydzień. Zaraz po goleniu.

Otworzyła oczy; spokojnie przeciągał ostrzem wzdłuż paska. Po kilku ruchach schował brzytwę i wciągnął pasek na swoje miejsce.

– Czy masz jeszcze jakieś pytania?

– Ty... ty... – wyraźnie szukała odpowiedniego określenia.

Położył palec na jej ustach.

– Cicho, cichutko. Pamiętaj, że powinnaś leżeć spokojnie...

Potem odwrócił się i chciał wyjść. W tym momencie poduszka wylądowała na jego twarzy.

Zaśmiał się, szczęśliwy.

Wsunął jej poduszkę pod głowę i wyszedł.

*

– Puk! Puk! Dostanę poduszką, jeśli wejdę i sprawdzę, jak się czujesz i co robisz? – Jake wetknął głowę w uchylone drzwi. Oporządził konia, przyniósł drzewa i zaczął gotować zupę. Na szlaku robił to przez całe lata; teraz bardzo mu się ta umiejętność przydała. Danie nie było może wykwintne, ale na pewno nadawało się do jedzenia i było pożywne.

– Nie.

Oczekiwał dąsów z jej strony, ale gdy otworzył drzwi i podszedł do łóżka, zauważył, że coś jest nie w porządku.

– Co ci jest, Banner?

Poruszyła bezradnie głową.

– Wiem, to brzmi głupio, ale ta moja rana… Chyba się wścieknę, tak mnie swędzi.

– Swędzi? To znaczy, że się goi. – Zastanawiał się nad czymś przez moment. – Może zobaczymy?

Spojrzała na niego z ufnością.

– Jeśli tak uważasz…

Odsunął kołdrę. Gdy popatrzył na jej ciało okryte jedynie nocną koszulą, coś stanęło mu w gardle. Odchrząknął głośno.

– Mogłabyś… tego?… – Zrobił wyrazisty gest rękami i się odwrócił.

Podciągnęła jedną stronę koszuli tak, że podbrzusze pozostało przykryte. Widoczne było tylko zabandażowane miejsce.

– Już.

Jake odwrócił się. Nie patrzył jej w oczy. Najdelikatniej jak mógł, odwinął bandaż.

Syknęła. Natychmiast odwrócił głowę.

– Boli?

– Nie.

Popatrzyła na cienką, różową bliznę z drobnymi odgałęzieniami.

– Dopiero teraz widzę, że rzeczywiście miałam przecięty brzuch. – Zamknęła oczy i z trudem przełknęła ślinę. – To takie szpecące.

– W porównaniu z innymi bliznami, jakie miałem okazję oglądać, szycie doktora Hewitta wydaje mi się majstersztykiem.

Delikatnie obmacał miejsca wokół blizny. Nie zauważył ani opuchlizny, ani zaognienia.

– Widzisz to drobne złuszczenie skóry? To właśnie tak swędzi. Goi się bardzo ładnie.

– Dziwię się tylko, dlaczego doktor Hewitt nie przychodzi mnie odwiedzić? Nie sądzisz, że powinien?

Jake zdecydował, że Banner nie potrzebuje już bandaży. Zamiast ich położył na brzuchu kwadratową gazę, którą mu doktor zostawił, i obwiązał ją lekko, żeby się nie zsunęła.

– Banner, jest coś, co powinienem ci powiedzieć – rzekł z ciężkim westchnieniem, gdy skończył zakładanie opatrunku.

Patrzyła na jego jasne włosy przesiewające światło lampy. Na wciąż gołym brzuchu czuła jego ciepły oddech.

– Co takiego?

– O doktorze.

– Tak?

– Wymogłem na nim przyjazd groźbą użycia broni.

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Jake czuł potrzebę zdania szczegółowej relacji z minionych wydarzeń.

– Przybył tu niechętnie, nawet kiedy dowiedział się, kim jest pacjentka. Po zbadaniu cię i stwierdzeniu, że to zapalenie wyrostka, chciał jedynie podać ci środki przeciwbólowe. Laudanum miało zapewnić ci bezbolesną śmierć.

– Nie zamierzał dokonać operacji?

– Dopóki nie wyciągnąłem broni i nie postraszyłem go. Widać poskutkowało.

Położyła dłoń na jego piersi. Gdyby nawet dotychczas nie darzyła go uczuciem, to pokochałaby go w tym momencie. Zawdzięczała mu życie.

– Ten cholerny konował nie chciał udzielić ci pomocy; po prostu pozwoliłby ci umrzeć. I zaraz zapewne pojechałby z kondolencjami do twoich rodziców. Kiedy już było po wszystkim, uciekł stąd w popłochu. Nie dał mi nawet wskazówek, jak cię dalej pielęgnować. Pewnie myślał, że nie będą potrzebne.

– Poradziłeś sobie.

– Teraz jestem tego pewny.

– On może oskarżyć cię o użycie przemocy.

– A pies z nim… Bez namysłu zrobiłbym to jeszcze raz. I zabiłbym go, gdyby nie przeprowadził tej operacji.

Łzy napłynęły do jej oczu.

– Popadłeś w kłopoty z mego powodu. Dlaczego?

Ujął jej głowę w swe dłonie, patrząc jej w twarz.

– Nie mogłem pozwolić, abyś umarła. Oddałbym swoje życie za twoje zdrowie.

Potem nachylił się i ustami dotknął jej ust. W tym momencie jej wargi się rozchyliły i z rozkoszą przyjęła jego prężny język.

– Banner, Banner – szeptał jej do ucha. – Nie mogłem pozwolić, byś umarła. Za bardzo cię potrzebuję.

I znowu całowali się żarliwie, bez opamiętania. Jake podniósł głowę, spojrzał na jej usta i uśmiechnął się. Były to usta przeznaczone do namiętnych pocałunków, do brania i dawania rozkoszy.

– Niemal zapomniałem spytać, czy nie jesteś głodna.

Chwycił pasemko jej włosów i patrzył, jak Banner wolno pieści opuszki jego palców. I czuł, jak na sercu zaciska mu się niewidzialna pętla łącząca go z tą dziewczyną.

– Umieram z głodu. Dostanę wreszcie coś do jedzenia?

Podniósł się z łóżka i ruszył do kuchni.

– Jake?

Stanął i zwrócił się do niej.

– Nie potrzebuję doktora Hewitta ani nikogo innego. Ty dokonałeś cudu.

Ze szczęściem w oczach wszedł do kuchni.

*

Po tej nocy ich wzajemny stosunek zmienił się. Nie ukrywali już swych uczuć. On całował ją na dzień dobry i dobranoc, ale pieszczoty nie wykraczały poza pocałunki. Żadne też z nich nie wspomniało o wspólnym spaniu. Pora, aby się kochać, jeszcze nie nadeszła, lecz zbliżała się nieuchronnie. Oboje zdawali sobie z tego sprawę.

Co rano razem z herbatą Banner dostawała pocałunek. Kiedy tylko zbliżał się do łóżka, chwytała jego rękę i patrzyli sobie w oczy. Golił się przy jej toaletce. Rozczesywał jej włosy. Przeżywali wspólnie niezliczone, codzienne sprawy.

Wieczorami siadał koło jej łóżka i przeglądał podręcznik hodowli bydła. Ona wyszywała pokrycia na krzesła do jadalni.

– Jake?

Podniósł oczy znad książki.

– Czytasz coś zajmującego?

– Rozmowa z tobą jest bardziej interesująca.

– Nie chcę cię rozpraszać.

– Panno Coleman! Robisz to co najmniej od kilku miesięcy.

Zarumieniła się.

Zamknął książkę i odłożył na bok. Dzisiaj był szczególny dzień, albowiem dziś właśnie przemierzyła odległość z pokoju do kuchni bez jego pomocy.

– Kiedy nauczyłeś się czytać? – spytała nagle.

– To zasługa Lydii. – Uśmiechnął się. – Zaczęła uczyć Anabeth w wozie na szlaku. Kiedy znaleźliśmy się już na swoim gospodarstwie, Anabeth uparła się, że i ja muszę się nauczyć.

Zapatrzył się w okno, przypominając sobie, z jakim uporem jego siostra uczyła go poszczególnych liter oraz jak z ich kombinacji tworzyć wyrazy.

– Z początku myślałem, że to strata czasu. Wtedy powiedziała mi, że Ross umie czytać. To poskutkowało – przyłożyłem się. Ross był dla mnie wzorem do naśladowania.

– Dlaczego poszedłeś do niej?

Pytanie padło tak niespodziewanie, oderwane od przedmiotu rozmowy, że spojrzał na nią, nie wiedząc, o co chodzi.

– O kogo pytasz?

– O tę Watkin. Dlaczego zostawiłeś mnie w hotelu, po tak cudownie spędzonym dniu, i poszedłeś do niej?

Zobaczył łzy w jej oczach.

– Widziałaś mnie, jak wychodziłem?

– Tak.

– To nie ten powód, o którym myślisz.

– A z jakiej innej przyczyny mężczyzna w środku nocy wymyka się po kryjomu z hotelu? Mogłeś przecież mieć mnie. Wystarczyło powiedzieć…

– Cicho, Banner. Cicho. Nie. Nie mogłem. Nie wtedy. To nie byłoby dobrze.

– A z dziwką było dobrze?

– Posłuchaj – rzekł łagodnie. – Po swoim powrocie Lee i Micah powiedzieli mi, że widzieli Grady'ego Sheldona w Ogrodzie Edenu. Zdenerwowałem się tym, że jest w mieście. Ostrzegłem go, aby trzymał się z dala od ciebie. Myślałem, że może przyjechał za tobą, aby cię porwać albo coś podobnego. Poszedłem do Priscilli, gdyż chciałem się dowiedzieć, co on zamierza.

Uznał, że nie musi mówić, iż tych dwoje zawarło bliską znajomość.

– I to był jedyny powód? – spytała. – Ty z nią nie…?

– Nie. Nie zrobiłem tego.

– Ale następnego ranka ona mówiła o tym tak… no wiesz…

Żachnął się.

– Cokolwiek ona twierdzi, wszystko jest kłamstwem. Chciała ci dokuczyć, żeby odegrać się na mnie.

– Sądziłam, że jesteście przyjaciółmi.

– Nie jest tak, jak myślisz. Już wcześniej mówiłem ci, że nie spałem z Priscillą.

Opuściła nici na prześcieradło.

– Grady mówił, że dziewczyny w tych domach cuda opowiadają o tobie. Jesteś tam legendą…

Zaśmiał się, ale widząc, jak ona przeżywa to, co mówi, spoważniał natychmiast.

– Banner, od tej nocy, kiedy przyszłaś do mnie do stajni, nie miałem żadnej kobiety.

– Mogę w to wierzyć? – spytała szeptem.

Podniósł do ust jej rękę i ucałował.

– Samemu mi trudno w to uwierzyć, ale przysięgam, że to prawda.

– A co będzie dalej?

– To już zależy od ciebie – powiedział spokojnie. – Co byś chciała?

– Nigdy nie robiłam tajemnicy z moich pragnień, Jake.

Zapatrzył się w podłogę. Wiele dni temu, kiedy znalazła się na krawędzi śmierci, uświadomił sobie, że darzy ją uczuciem. Po raz pierwszy pragnął kobiety nie tylko fizycznie – cieszył się jej obecnością przy swym boku.

Dawno przestała być dla niego tylko córką Rossa i Lydii. Była Banner, kobietą, która może wypełnić pustkę jego życia. Był zmęczony walką z samym sobą Zresztą ich los, wspólny los, został już przypieczętowany. Choć na razie tylko on o tym wiedział.

Gdy podniósł głowę, na twarzy miał uśmiech.

– Zrobić ci kąpiel w łóżku?

Rozdział 21

– Kąpiel w łóżku?

Obserwowała bez mrugnięcia okiem, jak idzie do umywalki i wraca z miednicą pełną ciepłej wody i dwiema miękkimi ściereczkami. Postawił wszystko na stoliku, usiadł na brzegu łóżka i dotknął czubka jej nosa.

– Czy mówiłem ci już kiedyś, co naprawdę myślałem o tobie w tamtą noc w stajni?

Potrząsnęła przecząco głową. Cisza panowała w całym domu. Słyszała jego oddech i szelest ubrania, gdy się poruszał.

– Pomyślałem sobie, że musisz być odważną kobietą. Mało która potrafiłaby się zdobyć na przyjście do mężczyzny, tak jak ty to zrobiłaś.

– Byłeś zaszokowany?

– Muszę przyznać, że tak. Dla mnie zawsze byłaś małą Banner, z byle jak zaplecionymi warkoczykami i poobijanymi kolanami. Nawet w dniu twego ślubu też tak o tobie myślałem. Dopiero tamtej nocy zobaczyłem cię w innym świetle. Stałaś się kobietą. I wiedziałem, że już nigdy więcej nie będę mógł traktować cię jak dziecko. Przechodziłem męki, żyjąc obok ciebie, i co dzień na nowo przeżywałem tamtą noc. Żałowałem. I marzyłem; marzyłem o tym, aby wszystko zdarzyło się jeszcze raz.

Nachylił się nad nią. Pocałował ją czule, delikatnie, a jednocześnie zaborczo. Jego język subtelnie penetrował wnętrze jej ust.

– Chcę, żeby ci było milej, stąd pomysł kąpieli.

– Mam zdjąć koszulę?

– Nie. Sam to zrobię.

Serce podskoczyło jej do gardła, kiedy zbliżył palce do guzików. Z pewnością to on je zapinał, kiedy była nieprzytomna. Zarumieniła się na

tę myśl.

Rozpiął koszulę zwinnymi palcami, ale nie zsunął z ramion Banner. W rozpięciu ukazała się biała skóra; nie dotykał jej.

– Nie boli cię nic, gdy siadasz? – spytał.

Spróbowała, wtedy on usiadł za nią, powoli rozsunął koszulę na jej ramionach i delikatnie ściągnął w dół. Banner wyjęła ręce z szerokich rękawów i tylko delikatna koronka okrywała jeszcze jej piersi.

Zanurzył miękkie szmatki w ciepłej wodzie i ostrożnie zaczął myć jej ramiona, plecy. Jedną ręką odsunął jej włosy, a drugą umył kark i szyję.

– Dobrze?

– Cudownie – szepnęła.

Zwiększył nacisk, masując jej obolałe od długiego leżenia ciało, potem wziął ręcznik i zaczął osuszać jej skórę, aż stała się różowa. Nie mógł się powstrzymać i złożył pocałunek na pachnącym karku.

– Jesteś taka piękna, Banner – szeptał jej do ucha.

Jego usta błądziły wokół szyi, spoczęły na chwilę na policzkach, aż odnalazły jej wargi. Głowa dziewczyny opadła mu na ramię – całował ją żarliwie i nie przerywając pocałunku, ułożył na poduszce. Jej palce mocno zacisnęły się na koszuli przykrywającej piersi – nie był to objaw strachu czy wstydu, lecz namiętności.

Czuła jego pocałunki w całym ciele; drażniły każdy nerw, pobudzały, rozpalały. Świat z jego wszystkimi problemami nagle przestał istnieć. Wydawało się Banner, że znalazła się w jakimś cudownym miejscu, gdzie nieszczęście nie ma wstępu i gdzie istnieją tylko ona i Jake.

Zamoczył znowu szmatkę i sunął nią po odkrytej szyi aż do miejsca, które zakrywał materiał koszuli.

– Jesteś doskonała, Banner.

Po dokładnym wytarciu szyi podniósł do ust jej dłoń i z wolna całował każdy palec.

– Jake! – Nieznana pieszczota wstrząsnęła nią.

Wyprostował się. Rozchylił jej zaciśnięte palce przytrzymujące koszulę, skutkiem czego opadła, obnażając piersi w całej swej okazałości. Widział je

w świetle lampy – piękne, jędrne, o delikatnej karnacji skóry.

– O Boże, Banner, jesteś cudowna! Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy razem. Mam wrażenie, że zaraz ktoś tu wkroczy i zabierze cię.

– Nie odejdę stąd, Jake.

– Nigdy czegoś podobnego nie przeżywałem z żadną kobietą. Były mi potrzebne jedynie do chwilowej przyjemności, nigdy nie czułem się tak szczęśliwy jak z tobą.

Jego dłoń znowu poczęła delikatnie badać jej ciało. Tak jakby szukała miejsca, gdzie koncentrują się jej zmysły. Zadrżała, gdy dotknął piersi. Początkowo muskał palcami ciemne sutki, a potem drażnił je ustami.

Opuściła ręce i wplotła palce w jego włosy, czując ich miękkość.

– Tak długo czekałem na ciebie, Banner. Lata. Całe życie.

– Czy masz ochotę...

– Nie tym razem; poczekam, aż wyzdrowiejesz. – Pocałował ją. – Chcę tylko trzymać cię w ramionach przez całą noc.

– Tak, tak – zgodziła się bez wahania.

Wstał i zgasił lampę. Rozebrał się i nagi położył się obok niej. Przytuliła się do niego ufna i senna, a on otoczył ją ostrożnie ramionami.

– Dobranoc, Jake.

– Dobranoc, kochanie.

*

O Boże!

Zerwał się z łóżka. Klął, nie mogąc trafić nogą w nogawkę spodni. Spojrzał przez okno. Tak, jak myślał – kowboje wjeżdżali na podwórze. W nocy przestało padać. Zza chmur zaczęło wychylać się nieśmiało słońce.

Banner siadła na łóżku półprzytomna. Kołdra opadła jej poniżej piersi; była naga, podobnie jak Jake, usiłujący w pośpiechu naciągnąć spodnie.

– Co się stało, Jake?

– Robotnicy. Przeprawili się przez rzekę.

Spojrzał na łóżko ze skłębioną pościelą, na piersi Banner – różowe i ciepłe od snu.

– Gdyby zobaczyli, jak spędziliśmy tę noc… – nie dokończył zdania, wkładając koszulę przez głowę. Potem szybko włożył skarpetki i buty. Chwycił kołdrę oraz poduszkę z łóżka i pobiegł do salonu, zamykając za sobą drzwi do sypialni. Rozłożył pościel na kanapie, tak jakby tu spał.

Podszedł do drzwi w momencie, gdy Jim zawołał:

– Czy ktoś jest w domu?

Jake, ziewając szeroko, otworzył drzwi. Leniwie drapał się po piersiach, jak gdyby dopiero co się obudził. Nie powinno ich dziwić, że ma niedopiętą koszulę i rozczochrane włosy.

– Nie wrzeszcz tak – upomniał Jima.

Patrząc przez ramię w kierunku drzwi sypialni Banner, dał im dość czasu, aby zobaczyli, że spał w salonie. Potem wyszedł na werandę i zamknął za sobą drzwi.

– Banner była bardzo chora – wyjaśnił.

– Chora? – Randy odezwał się pierwszy.

Zdziwili się, gdy zobaczyli Jake'a w drzwiach domu. Patrzyli na niego podejrzliwie.

– Musiałem ściągnąć doktora Hewitta z miasta. Miała zapalenie wyrostka robaczkowego. Musiał go usunąć.

– Co ty mówisz? A jej rodzina nic o tym nie wie.

– Nie miałem możliwości powiadomienia nikogo. Na pewno widzieliście, co stało się z mostem. Bałem się zostawić ją samą na dłużej.

Poznał po ich twarzach, że mu uwierzyli.

– Było z nią źle. Bardzo źle. Wydawało się, że nie przeżyje.

Mieli zmartwione miny. Źle go osądzili, widząc, jak wychodzi z domu. Gdyby nie jego poświęcenie i zaradność, pewnie Banner już by nie żyła.

– Czy możemy być w czymś pomocni?

– Nie, na razie dzięki. Najwyżej obejrzyjcie obejście. Nie wiadomo, czy deszcz nie narobił szkód. Nie pamiętam, żeby kiedyś w czerwcu tak lało.

Rozmowa zeszła na temat pogody.

– À propos, jak przedostaliście się przez rzekę?

– Zbudowaliśmy tratwę, niezbyt wielką, ale człowiek z koniem się zmieści. Ross pojawi się później.

– Tak? – Jake spojrzał na Pete'a i serce podskoczyło mu do gardła. – Dobrze. To ja zobaczę, jak ona się czuje. Gdyby któryś z was zajrzał do Stormy'ego, byłbym bardzo wdzięczny. Trochę później pojedziemy sprawdzić ogrodzenia.

Spojrzał na nich triumfująco.

– Powinniście zobaczyć nasze stado! Najpiękniejsze krowy i byk, jakie kiedykolwiek widziałem!

– Gdzie są teraz? – zawołał Randy.

– W mieście. Sprowadzimy je jutro. Niech droga trochę podeschnie.

Kowboje poszli do stajni, a Jake wszedł do domu. Zastał Banner przy drzwiach sypialni. Włosy miała jeszcze w nieładzie, ale ubrała się w szlafrok. Nawet z podkrążonymi oczami była tak piękna, że z trudem utrzymał ręce przy sobie.

– Jak się czujesz?

Mimo seksownego wyglądu sprawiała wrażenie niewinnego dziecka. Patrząc na nią, czuł się jak drań uwodzący nieletnią. I tak właśnie Ross może go potraktować.

– Dobrze, zupełnie dobrze.

– Na pewno?

Nie wiedział, co się z nim dzieje. Tej nocy mógł ją mieć, ale nie zrobił tego, i dlatego teraz jego ciało zżera piekielne podniecenie. To nieprzyjemne uczucie wprawiło go w zły nastrój.

– Oczywiście. Powiedz, co się stało.

Nie chciała, żeby zobaczył cisnące się jej do oczu łzy. Spodziewała się, że po przebudzeniu będzie dla niej równie miły, czuły i delikatny jak w nocy. Tymczasem jest jakiś oschły, niezadowolony, zdenerwowany.

– Nic takiego, po prostu Ross jest w drodze do nas.

Patrzyła, jak naciąga zdjęte przed wejściem do sypialni buty, zapina guziki u koszuli, nakłada skórzaną kamizelkę i wiąże apaszkę na szyi.

– Ojciec? – spytała dziwnie nieswoim tonem.

– Tak, ojciec! A teraz, na miłość boską, nałóż nocną koszulę i kładź się do łóżka. – Jeśli chciał ułagodzić Rossa jej ciężką chorobą, ona musi wyglądać na słabą i niedołężną.

Poszedł do kuchni. Szurał garnkami po piecu, czyniąc dziesięć razy więcej hałasu niż zwykle przy nastawianiu wody na kawę i przygotowywaniu śniadania. Kiedy wniósł je do sypialni, zauważył swoje przybory do golenia na toaletce.

– Cholera!

Zebrał je błyskawicznie i wyniósł do salonu. Rzucił na pozostałe rzeczy; za wszelką cenę chciał przekonać Rossa, że choć mieszkają blisko siebie, ale oddzielnie.

Upewniwszy się, że nie ma już żadnych śladów jego bytności w sypialni, znowu poszedł do kuchni.

*

Ile razy wchodził do sypialni czy z niej wychodził, tyle razy Banner opuszczała oczy, patrzyła w innym kierunku, unikała jego wzroku. Bez słowa jadła owsiankę, którą przyniósł. Z pewnością wstydziła się teraz, że zaprosiła go do swego łóżka.

Przez kuchenne okno zauważył wjeżdżającego na podwórze Rossa.

– Banner! – Głęboki bas przybysza skojarzył się Jake'owi z głosem Boga Ojca ze Starego Testamentu.

– Tutaj, tatku!

– Jeszcze w łóżku, leniuchu?

Potem rozległo się głośne stukanie butów o podłogę w salonie, otwarcie i zamknięcie drzwi sypialni Banner.

Jake nie ruszył się z kuchni. Wolno popijał swą kawę. Kiedy skończył, odstawił kubek do zlewu i uzbroiwszy się w odwagę, ruszył do sypialni.

– Potem już niewiele pamiętam – mówiła właśnie Banner, gdy wchodził.

Ross siedział przy łóżku, na tym samym krześle, na którym Jake przesiadywał godzinami. Trzymał w dłoniach ręce córki i pochylony wpatrywał się w jej twarz.

– Następna rzecz, którą sobie przypominam – mówiła dalej Banner – to przebudzenie i wtedy Jake – spojrzała na niego, widząc jego niezdecydowanie – opowiedział mi o operacji i wycięciu wyrostka. Potem cały czas opiekował się mną.

Ross odwrócił się i spojrzał na przyjaciela. Wstał, wyciągnął ręce i uściskał go.

– Z całego serca ci dziękuję – rzekł.

– Nie dziękuj mi za wcześnie, Ross. – Jake wzruszył ramionami. – Przysporzyłem ci trochę kłopotów. Ten przeklęty konował zamierzał pozwolić jej umrzeć. Powiedział, że nie wierzy w operacje. Musiałem wyciągnąć broń i trochę go postraszyć. Wtedy od razu zmiękł.

Ross podkręcił wąsa.

– Wierz mi, postąpiłbym tak samo.

Jake skinął głową.

– Tak właśnie pomyślałem.

– Od dawna chcieliśmy usunąć Hewitta. Teraz jest w mieście nowy lekarz.

– Tak, ale wówczas był nieobecny. Nie miałem wyboru.

– Nie przejmuj się doktorem. Wszystko wezmę na siebie, gdyby złożył skargę.

Ross odwrócił się do łóżka.

– Boże! Przeszłaś przez to wszystko bez matki i beze mnie! Matka sobie tego nie daruje, kiedy się dowie. Chciała przyjechać razem ze mną, ale wiesz, jak boi się wody i za nic w świecie nie dałaby się namówić na przebycie rzeki tratwą.

Lęk przed wodą zawdzięczała Lydia swemu przyrodniemu bratu, Clanceyowi Russellowi. Kiedy była małą dziewczynką, wrzucił ją do rzeki i o mało nie utonęła. Potem jeszcze wielokrotnie ją straszył w ten sposób. Przez wiele lat Ross żałował, że to nie on zastrzelił Russella. Miał nadzieję,

iż przed śmiercią zdąży się dowiedzieć, komu ma podziękować za sprzątnięcie tego drania.

– Jake opiekował się mną wspaniale – powiedziała Banner spokojnie.

Ross spojrzał na przyjaciela.

– Jestem ci naprawdę wdzięczny. Uratowałeś jej życie.

Jake ponownie wzruszył ramionami.

– Przebyliśmy razem długą drogę, Ross. I jeśli teraz zaczniemy sobie dziękować za wzajemne przysługi, nie wyjdziemy stąd do wieczora. Zostań z nią, a ja rozejrzę się po ranczu.

Banner słyszała, jak zamknęły się za nim frontowe drzwi. Przed wyjściem z sypialni nawet na nią nie spojrzał, nie kiwnął ręką, nie mrugnął, nic! Czyżby aż tak się ucieszył, że nie musi się już nią zajmować? Czyżby wszystko, co z takim przejęciem szeptał jej do ucha, miało być kłamstwem? Może pojawienie się Rossa przypomniało mu kobietę, którą naprawdę kocha? Jej oczy zaszły łzami. Ojciec zauważył je natychmiast. Siadł na skraju łóżka i delikatnie ucałował ją w policzek.

– Moja mała księżniczko! Boli cię jeszcze?

Bolało ją, ale nie to, o czym myślał Ross. Chwyciła go za ręce, podniosła się i wtuliła w jego objęcia.

– Nic mi nie jest, tatku. Po prostu strasznie się cieszę, że cię znowu widzę. Tak bardzo mi was brakowało. Opowiedz, co się dzieje w River Bend.

Przesiedział z nią cały ranek, krzątając się niezdarnie i tworząc atmosferę niesprzyjającą wypoczynkowi. Nie był ideałem pielęgniarki, ale robił wszystko z ogromnym poświęceniem.

W południe zostawił ją i wrócił do River Bend. Kiedy Lydia i Ma dowiedziały się, co się wydarzyło, zakręciły się po domu jak dwa tornada. Nie minęła godzina, a Lee i Micah zostali obładowani wiktuałami i wyprawieni do Banner.

Mimo strachu, jaki budziła w niej woda, Lydia koniecznie chciała jechać z nimi, ale Ross wspólnie z Mą przekonali ją, że dość jednego nieszczęścia w rodzinie i że lepiej będzie dla wszystkich, jeśli zostanie w domu. Ross

zapewnił ją, że opieka Jake'a jest znakomita i nie ma powodu do zmartwień.

Po tym, jak chłopcy szczęśliwie przebyli rzekę, Ross, nie zwlekając, wsiadł na konia i pojechał do miasta. Konsultował się z inżynierami w sprawie budowy mostu, tym razem już na stalowych podporach.

W obawie, by samemu nie spełnić groźby, jaką pod adresem doktora Hewitta skierował Jake, Ross wolał się z nim nie spotkać, i pieniądze za operację wrzucił do skrzynki pocztowej.

*

Banner szczotkowała włosy, kiedy Lee zapukał do drzwi.

Otworzyła je tak szeroko, że brat wpadł z impetem do środka.

– Myślałem, że leżysz w łóżku złożona niemocą – zawołał i oboje wybuchnęli śmiechem.

– Jestem albo raczej byłam ciężko chora. Obecnie czuję się znacznie lepiej. Miło was znowu widzieć.

– Czy ten stary łapiduch naprawdę otworzył ci brzuch? – spytał Micah bez ogródek.

– Naprawdę. Mam bliznę, która o tym świadczy. Macie ochotę zobaczyć? – spytała.

Chłopcy zarumienili się. Banner wybuchnęła śmiechem.

– Nie powinnaś leżeć w łóżku? – spytał Lee.

– Męczy mnie już sam widok tej sypialni.

Była ubrana w złocisty szlafrok, pochodzący z wyprawy ślubnej. Głęboki dekolt i rękawy przy nadgarstkach obszyte były szeroką, białą koronką. Włosy po długim szczotkowaniu miały kolor i połysk kruczego skrzydła.

– Uważam, że nie zaszkodzi ci, jeśli przez chwilę posiedzisz w fotelu na biegunach. Ustawimy go na werandzie – rzekł Micah i spojrzał na Lee; ten kiwnął głową.

– Postawimy go w cieniu, to nie będzie ci gorąco.

Klasnęła w ręce z radości.

– Wspaniały pomysł!

Chwilami ich troskliwość była aż wzruszająca.

– Zabierzcie mi z kolan ten parszywy koc – zawołała zirytowana, gdy Lee próbował owinąć jej nogi. – Przecież nie mam reumatyzmu!

– Po powrocie, gdy nie będziemy mogli się pochwalić, że pielęgnowaliśmy cię jak królewnę, Lydia i Ma zrobią nam piekło – stwierdził Lee, ale wziął koc i rozwiesił go na poręczy.

– Doceniam waszą troskliwość. Wybaczcie mi, jestem nieznośna. Zbyt długo byłam zamknięta w czterech ścianach. Nie cierpię być chora!

– Dobrze cię rozumiem – rzekł współczująco Micah. Nigdy dotąd nie spotkał nikogo, kto poddał się operacji poważniejszej niż wyrwanie zęba lub wydobycie kuli z rany. Dlatego patrzył na Banner z podziwem.

– Dziękuję za przywiezienie jedzenia. Nie wiem, kiedy zdążę to wszystko zjeść!

– To jest także dla Jake'a.

– No tak. – Coś zakłuło ją w sercu na wspomnienie jego obojętnego zachowania dzisiejszego ranka.

– Jeśli już mówimy o jedzeniu, to najwyższy czas na kolację.

– Jasne – zawołała Banner. – Bardzo mi miło, że tu jesteście, ale będę spokojniejsza, jeżeli przeprawicie się przez rzekę, póki jest widno. Mam nadzieję, że nie uda się odbudować mostu, zanim wykorzystam szansę popłynięcia tratwą.

Chłopcy śmiali się podczas jazdy powrotnej do River Bend. Będą mogli poinformować mieszkańców, że Banner co prawda była chora, ale to już przeszłość. W tej chwili marzy jedynie o rejsie tratwą po rzece.

Siedziała jeszcze na werandzie, kiedy Jake wraz z pozostałymi kowbojami wjechali na podwórze i zatrzymali konie przed wejściem.

– Co tu robisz? – zapytał Jake bez wstępu.

– Zażywam świeżego powietrza – odparła zaczepnie.

Był wściekły, że wystawiła się na widok publiczny w szlafroku. Nawet kamienne serce już dawno zmiękłoby na ten widok. Wyglądała tak kobieco, tak pociągająco, ze skórą lekko zaróżowioną od słońca i z włosami

pieszczonymi niewielkim powiewem wiatru; zachodzące słońce zdawało się tworzyć z nich aureolę.

Mężczyźni odnosili się do niej z szacunkiem i pytali o zdrowie. Jedynie Randy zeskoczył z konia, wszedł po schodach na werandę z bukietem róż w ręku.

– Cieszę się, że cię widzę, Banner. Te róże odważyły się zakwitnąć zaraz po deszczu. Właściwie miałem zamiar dać je Jake'owi, aby ci je przekazał. Skoro jednak jesteś tutaj, wolę to zrobić osobiście.

Zachwycona Banner wyciągnęła ręce po kwiaty i powąchała je z rozkoszą.

– Dziękuję ci, Randy. Są przepiękne.

Obdarzyła go tak czarującym uśmiechem, że z wrażenia aż się potknął, schodząc ze stopni.

Banner zdawała sobie sprawę, że wygląda jak z obrazka, tonąc w falbankach i koronkach, opromieniona zachodzącym słońcem. Czuła satysfakcję, gdy patrzyła na rozzłoszczonego Jake'a.

– Jutro czeka nas ciężki dzień. Spotkamy się o świcie. Pojedziemy do Larsen odebrać stado. – Jego głos brzmiał ostro, toteż kowboje natychmiast ukłonili się Banner i opuścili podwórze.

Jake zsiadł z konia. Banner podniosła się z fotela. Po raz pierwszy tego dnia spojrzeli sobie w oczy.

– Jak się czujesz? – spytał w końcu.

– Lepiej. Jestem już znacznie mocniejsza. – Ruszyła w kierunku drzwi wejściowych. – Zanim się umyjesz, przygotuję kolację.

– Nie musisz, Banner – zawołał z przestrachem.

– Nasze matki przysłały tyle jedzenia, że dałoby się wykarmić armię. Dla ciebie też starczy – rzuciła poirytowanym tonem i weszła do domu, trzasnąwszy drzwiami.

Jake dopiero po jakimś czasie wszedł do kuchni tylnymi drzwiami. Zdążył oporządzić konia i umyć się. Atmosfera w kuchni była napięta. Banner zerknęła w jego kierunku, ale nie odezwała się. Patrzył na róże,

które wstawiła do wazonu i umieściła na honorowym miejscu na środku stołu.

Ostatnio spędzał w kuchni wiele czasu, przygotowując dla niej posiłki, i dlatego wśród garnków czuł się zupełnie swobodnie. Podszedł do pieca, nalał sobie kubek kawy, oparł się o zlew i zaczął pić gorący napój.

– Deszcz nie wyrządził większych szkód w ogrodzeniach, jedynie część terenu przez jakiś czas będzie grząska i nieprzejezdna.

– Jutro sprowadzacie stado?

– Tak. Tylko konie muszą pozostać w River Bend do czasu, aż zostanie zbudowany most.

– Ja i tak nie będę mogła jeszcze jeździć – rzekła z ciężkim westchnieniem.

– Nic nie przesadziłaś z tym jedzeniem. – Zauważył pod ścianą kilka koszyków wyłożonych białym płótnem.

– Na wieczór mamy pieczone kurczaki. Ma przygotowała je rano, Micah mi powiedział. Przy okazji pytała o ciebie. W twoim imieniu przesłałam pozdrowienia i prosiłam, by przekazali, że czujesz się dobrze.

Skinął głową i popił następny łyk kawy. Banner zajęła się wykładaniem jedzenia na stół.

Wyjmowała słoje kiszonych warzyw, kompotów, słoiki z fasolą, marynaty i galaretki, kilka bochenków chleba, babkę, ciasto zapiekane z cukrem (przysmak Banner), które tylko Ma potrafiła piec. Kosztowała wszystkiego, ale smak potraw psuła jej ostentacyjna obojętność Jake'a.

Przyglądała mu się spod przymkniętych powiek. Nie zdjął swych skórzanych osłon na spodnie, co ją irytowało. Kiedy widziała, jak dokładnie przylegają do ciała, jak zamiast okrywać podkreślają kształty Jake'a, nie mogła skupić się na przygotowaniu posiłku.

– Mógłbyś zdjąć te skóry, gdy siadasz do jedzenia.

– Przeszkadzają ci?

Oczywiście, że jej przeszkadzały, ale nie w tym znaczeniu, o którym myślał.

– Mnie? Skądże! Chcesz, to miej je na sobie…

– Nie, nie – rzekł pośpiesznie; zaczął szybko rozwiązywać mocujące je rzemienie. – Nie chcę denerwować księżniczki.

Zdjął osłony, położył je przy drzwiach i siadł na krześle przy stole. Banner oparła ręce na biodrach i popatrzyła prosto na niego.

– Dlaczego jesteś wobec mnie taki oschły? Czy ostatnia noc nie ma dla ciebie żadnego znaczenia? Czy ostatni tydzień niczego między nami nie zmienił?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Ja oschły? Dziś rano nie zaszczyciłaś mnie nawet jednym spojrzeniem.

– Przecież to ty na mnie nie patrzyłeś! Byłeś zły i gderliwy! Postępowałeś tak, jakbyś życzył sobie mego zniknięcia z powierzchni ziemi!

– Poczekaj! Poczekaj! – zawołał głośno. – To ty postępowałaś tak, jakbyś się wstydziła, że miałaś mnie w łóżku. Jestem pewny, że myślałaś, iż moja obecność przynosi ci ujmę, że księżniczka z River Bend poniżyła się, śpiąc z najemnym robotnikiem.

Iskry pojawiły się w jej oczach. Tupnęła z furią.

– Jesteś najbardziej denerwującym facetem, jakiego znam. Mogłabym cię zastrzelić za twoją głupotę. Ja cię kocham, Jake'u Langstonie. Ja cię kocham!

Łzy zaszkliły się w jej oczach. Całe ciało drżało z emocji. Ręce jeszcze ciągle trzymała oparte na biodrach. Wyglądała bardziej wyzywająco niż kiedykolwiek dotąd.

Wyciągnął ręce i przyciągnął ją do siebie.

– Kochasz, Banner? Naprawdę? – jego głos drżał.

Przytuliła się do niego.

– Tak, tak! Jesteś ślepy? Jak możesz tego nie widzieć?

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Ostrożnie położył na łóżku i zaczął rozbierać. Gdy leżała naga – piękna i ponętna – w pośpiechu zrzucał z siebie ubranie, za chwilę był przy niej – delikatny, czuły, kochany. Przesuwał dłonią po jej ciele, zatrzymując się na moment w najcieplejszych zakątkach, odnajdywał miejsca najmiększe i najdelikatniejsze, aż dygotała. Była bardzo szczupła w talii, a jego ręce ubóstwiały wprost łuk otwierający

się coraz szerzej i szerzej od talii do bioder. Każdego wygięcia ciała dotykał z radością.

Za jego dłońmi podążały wargi, a ona reagowała żywo na pocałunki.

– Tamtego ranka, kiedy obudziłem się…

– Wiem.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Wiesz?

Kiwnęła głową.

– Przysięgam, nie zrobiłem tego celowo. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Sądziłam, że to sen.

– Tak samo jak ja.

– Lecz teraz nie śnimy, prawda?

– Nie, na szczęście wszystko dzieje się naprawdę.

Pocałował ją namiętnie, a każde dotknięcie wzmagało rozkosz, aż stała się niemal nie do wytrzymania. Chwycił Banner za biodra i przyciągnął do siebie tak mocno, jak to było możliwe. Bał się jednak, że sprawi jej ból.

– Daj mi znak, jak będzie bolało.

Rozsunęła szeroko uda. Kiedy wszedł w nią, zabolało, ale przyjemność była jeszcze większa. Odnaleźli właściwy rytm, który doprowadził ich równocześnie do szczytowego momentu – Banner drgnęła konwulsyjnie i jęknęła przeciągle, wymawiając jego imię.

Rozdział 22

– Ty kłamczuchu!

Kiedy otworzyła oczy, były ciemnozielone ze złotymi cętkami.

– O co ci chodzi? – spytał.

– Mówiłeś, że nie jesteś… to znaczy… masz – jąkała się, zarumieniona nagle. – Masz większego niż inni…

– Nic takiego nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że to nie twoja sprawa.

– Jesteś niemożliwy! Śmiała się beztrosko, a on nie mógł się zdobyć na opuszczenie łóżka; leżał niczym skrępowany pajęczyną niewidzialnej rozkoszy.

– Nic dziwnego, że wszystkie damy plotkują o tobie.

– Przed tobą nigdy nie byłem z żadną damą – powiedział poważnie.

Zniżyła głos do szeptu.

– Krążą o tobie legendy.

– Przed chwilą k o c h a ł e m po raz pierwszy w życiu. – Pocałował ją czule.

Wyciągnęła ręce i opuszkami palców dotykała jego policzków, warg i brwi.

– Czy każdy następny raz będzie taki sam?

– Nie. To nie powtarza się nigdy.

Nachylił się nad nią i ponownie pocałował.

– Jesteś piękna, Banner Coleman.

– Ty również, Jake'u Langstonie.

Pokręcił głową.

– Jestem stary, zmęczony i chudy jak strach na wróble. Włóczęga, którego dom to końskie siodło.

Zerwała się.

– Nie dla mnie! Dla mnie byłeś zawsze i jesteś Lancelotem.

– Kto to taki?

– Powinieneś kiedyś o nim poczytać. Mogę cię zapewnić, że to porównanie nie przynosi nikomu ujmy.

Po chwili sama zastanowiła się nad tym porównaniem: Lancelot kochał żonę króla. Czy po dzisiejszej nocy Jake nadal kocha Lydię? Odepchnęła od siebie tę myśl. Nic nie może zepsuć jej radości. Jake jest tutaj, kochał ją i przyjął jej miłość. Na razie to w zupełności wystarczy.

Zanurzyła palce w jego jasnych włosach.

– Denerwuje mnie, gdy mówisz w ten sposób o sobie.

– Jak?

– Stary i zmęczony, i podobne brednie. Jesteś wspaniały. Dlaczego określasz siebie jako włóczęgę?

Popatrzył gdzieś w bok, jakby nagle czymś skrępowany.

– No cóż, tak uważam.

– Ale dlaczego?

Podłożył rękę pod głowę i zapatrzył się w sufit.

– To wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu. Chyba nie będziesz chciała tego słuchać…

– Nieprawda, bardzo chcę.

Odwrócił się do niej. W jej oczach widział tylko miłość. To, co jej powie, z pewnością zburzy złudzenia, jakie Banner żywi na jego temat, ale lepiej, że stanie się to teraz niż później. I lepiej, żeby zrobił to sam, aniżeli inni mieliby go wyręczyć. Przez całe lata dusił w sobie zbyt wiele żalu. Teraz czuł, że nadeszła odpowiednia pora, aby zrzucić z siebie ten ciężar raz na zawsze.

– Cnotę i brata straciłem tego samego dnia. Luke zginął przeze mnie.

Banner leżała spokojnie, bez ruchu. Jake patrzył w jej twarz – chciał widzieć jej reakcję.

– Priscilla kusiła mnie od pierwszego dnia, jak tylko ruszyliśmy na szlak. Miałem szesnaście lat i byłem podniecony jak młody byczek.

Chłodno i obojętnie opowiadał, jak Priscilla wprowadzała go w arkana seksu tego lata.

– Pewnego dnia poprosiłem Luke'a, żeby mnie zastąpił w pracy, ponieważ byłem z nią umówiony. Kiedy po kilku godzinach wróciłem do obozu, od razu natknąłem się na Mę. Spytała, gdzie się obaj włóczymy. Wtedy to do obozu wkroczył Moses z Luke'em na rękach; mój brat miał poderżnięte gardło.

Po policzku Banner stoczyła się łza. Nie odzywała się. Jake zwierzał się jej ze swych tajemnic! Trwała w ciszy; on rozpaczliwie potrzebował kogoś, kto by go wysłuchał.

– Musiałem żyć z tym przez tyle lat; gdybym wtedy nie poszedł do Priscilli, mój brat prawdopodobnie by żył.

Siadł i rękami objął kolana.

– Wiem, że są ludzie, którzy uważają, iż byłem jednym ze stałych gachów tej dziwki. Prawda jest taka, że bezpośrednio po tym dniu miałem ją kilka razy, ale po każdym zbliżeniu nienawidziłem siebie coraz bardziej. Rozstaliśmy się, gdy rozwiązał się tabor. Nie widziałem jej od lat. Spotkaliśmy się znów w Fort Worth podczas któregoś z długich przegonów. Nie zdziwiłem się nawet, spotkawszy ją w burdelu. Chciała odnowić naszą znajomość, lecz ile razy spojrzałem na nią, zaraz widziałem martwą twarz brata i jego koszulę brunatną od zeschniętej krwi.

Wstał z łóżka, podszedł do toaletki, nalał sobie szklankę wody. Żałował, że to nie whisky.

– Chcesz posłuchać dalszego ciągu?

Bez słowa skinęła głową.

– Szybko odkryłem, kto zamordował Luke'a.

Przerwał swoją opowieść, bo w tym miejscu wkroczyła w jego życie Lydia. Mordercą Luke'a był jej przyrodni brat – jej prześladowca i gwałciciel.

– Zabiłem go nożem, dokładnie w ten sam sposób jak on mojego brata. I zrobiłem to z przyjemnością. Miałem wtedy szesnaście lat. Szesnaście – powtórzył przez zaciśnięte zęby.

Głowa opadła mu na kolana.

– Takiego to faceta wzięłaś do łóżka – powiedział ochryple.

– I nie żałuję tego – zawołała. – Człowiek, którego zabiłeś, zasłużył na to!

– A Luke? On też?

– To nie była twoja wina. To po prostu fatalny zbieg okoliczności, przypadek. Nie możesz winić się za to do końca życia.

Czy wolno mu się rozgrzeszyć? Czy rzeczywiście nie była to jego wina? Czyżby przez tyle lat niesłusznie odgrywał się na każdej napotkanej kobiecie?

Do dzisiejszej nocy.

Banner zrozumiała go. Nie odwróciła się od niego z odrazą; przeciwnie – patrzyła nań ze zrozumieniem i miłością.

– Byli jeszcze inni; ściślej mówiąc: dwóch. Ich też zabiłem.

– Opowiedz mi.

– Jeden z nich zabił mego przyjaciela. Wziąłem pod opiekę chłopca, który przypominał mi Luke'a. Podczas pierwszego przegonu rozlał jakiemuś kowbojowi kawę na koc. Ten dureń zbił chłopca do nieprzytomności. Dostał chyba wylewu krwi do mózgu, bo zmarł jeszcze tej samej nocy. Walczyłem z tym kowbojem chyba ze dwie godziny. W końcu skręciłem mu kark.

Banner położyła mu rękę na piersi.

– A ten drugi?

– Ten drugi to był szuler w Kansas City. Oszukiwał mnie i innych kowbojów. Najpierw pozwalał każdemu z nas trochę wygrać, a potem ogrywał wszystkich do ostatniego centa. Oszukaństwo się wydało. On pierwszy wyciągnął broń, ale ja byłem szybszy.

Patrzył na dziewczynę leżącą obok niego. Gorzki uśmiech wykrzywił mu twarz.

– Tak to wygląda. Podły, żałosny żywot Jake'a Langstona.

Objęła go rękoma i położyła głowę na jego piersiach.

– Ci mężczyźni szkodzili innym i zasługiwali na karę. Nie jesteś mordercą.

Ujął delikatnie jej ręce i odsunął od siebie.

– Czy ty nie rozumiesz? W każdej chwili mogę to zrobić jeszcze raz, skoro zajdzie taka potrzeba.

– Tego właśnie po tobie oczekuję. Tego samego spodziewam się też po ojcu. Wiem, że w razie pilnej konieczności sięgniecie po broń.

– Czy zabicie człowieka może być w ogóle usprawiedliwione?

– Tak – powiedziała cicho, ale bardzo dobitnie. – Wierzę, że czasem jest.

Przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz w jej włosach.

– Nie wiem, Banner, czy masz rację, czy nie, ale dziękuję ci za te słowa.

– Nie mówię tak dlatego, że chciałbyś to usłyszeć. Każdy z nas, jeżeli zostanie sprowokowany, jest zdolny do stosowania przemocy. Zabiłeś w obronie rodziny i przyjaciół.

– Nawet matce tego nie powiedziałem.

– Chyba powinieneś. Ona jest mądra. Będzie lepiej wiedziała niż ja, co powiedzieć. Wiem, że cię kocha i będzie kochać bez względu na to, co zrobiłeś. Jak i ja.

Odgarnął włosy z jej policzka.

– Ulżyło mi, gdy ci to powiedziałem.

– Cieszę się.

Nachylił się nad nią. Podziękował jej długim pocałunkiem. Nie wiedział, dlaczego zdobył się na powierzenie Banner sekretu, którego dotąd nie mógł wyjawić nikomu. Otworzył jedynie serce, a słowa, których wcześniej nawet nie znał, popłynęły same. Poczuł się dziwnie wolny, tak wolny, jaki nie był od momentu, gdy stracił niewinność. Odnalazł sens życia za sprawą tego drobnego dziewczęcia, które tak ufnie tuliło się do niego.

– Ależ ty nie jadłaś kolacji! – zawołał.

– Zrobiliśmy tylko przerwę.

– Doceniam twoją cierpliwość, ale wiem, że jesteś głodna. To byłoby nie do wybaczenia, gdyby jedzenie miało się zmarnować. Chodź!

*

Obudziła się. Sypialnia tonęła w półmroku.

– Co robisz? – spytała nie całkiem rozbudzona.

Jake, ubrany i już przygotowany do pracy, siedział na brzegu łóżka. Gładził jej włosy.

– Kowboje przyjadą o świcie. Dzisiaj, pani dziedziczko, sprowadzamy twoje stado.

Dotknął czubka jej nosa.

– Nie chciałem wyjeżdżać bez pożegnania.

Udała nadąsaną.

– Tak bardzo bym chciała pojechać z wami.

– Następnym razem.

Nachylił się, by pocałować ją w czoło, ale jej wargi przyciągały jak magnes.

– Lubię się budzić przy twoim boku, Banner.

– Chyba nie bardziej niż ja przy tobie

– Ale tak dalej być nie może.

Wstał i podszedł do okna; szary horyzont zmieniał się w perłoworóżowy.

Banner zrzuciła kołdrę, wstała i nałożyła szlafrok.

– Co masz na myśli?

– Nie możemy sypiać razem. Zbyt mocno cię szanuję, aby wykorzystywać cię w ten sposób. Poza tym, ile razy zbliżam się do ciebie, oszukuję Rossa i Lydię. A oni mi zaufali.

Serce jej biło z alarmującą częstotliwością. Chyba nie chce jej powiedzieć, że się rozstają. Tego by nie przeżyła.

Nerwowo obracał kapelusz w rękach.

– Banner, myślę... – utknął, chrząknął głośno. – Myślę, że powinniśmy się pobrać.

Odetchnęła z ulgą. Podbiegła do niego i padła mu w objęcia, obsypując twarz pocałunkami.

– Jake, tak. Tak!

– Chcesz? Zgadzasz się?

– Wielki Boże! Jeśli byś mi nie zaproponował małżeństwa, sama bym to uczyniła. A ja, głupia, sądziłam, że chcesz odejść! – Ogarnął ją żywiołowy entuzjazm. – Jake, kiedy? Kiedy?

– Jak najszybciej.

Odstąpił nieco od niej i uśmiechnął się blado.

– Banner, nie mamy czasu na uroczysty ślub. Wszystko załatwiłem tego dnia, gdy byłem w mieście po żywność. Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, byśmy znaleźli pastora, który udzieli nam ślubu bez tych wszystkich ceregieli? Rodziny powiadomimy później.

– Oczywiście, że nie. Nie chcę powtórnego szumu ani gości. Ale dlaczego mielibyśmy nie powiedzieć rodzicom? Dlaczego mówisz, że nie mamy czasu?

Otoczył ją ramionami.

– Z powodu dziecka.

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Nosisz w łonie moje dziecko.

Dziecko! Dziecko Jake'a!

– To musiało się stać podczas tej pierwszej nocy w stajni – mówił drżącym głosem. – Doktor mi o tym powiedział. To była jedna z przyczyn, dla których nie chciał cię operować. Bał się, że może uszkodzić płód.

Będzie miała dziecko. Spodziewa się dziecka Jake'a.

Ogarnęła ją niekłamana, wielka radość, jednak w następnej chwili wstrząsnęła nią ta wiadomość. Odtrąciła go gwałtownie.

– Ty łotrze! Nie potrzebuję twojej litości. Kiedy pomyślę...

Nie mogła znieść myśli, że zaproponował jej małżeństwo zdjęty litością.

– Jakiej litości? O czym mówisz do cholery?

– Wynoś się stąd i zostaw mnie! Wynoś się! – wrzeszczała.

Jake zbyt dobrze znał jej napady wściekłości i wiedział, że nie żartuje. Zresztą nie miał ani chwili: na podwórze wjeżdżali kowboje.

– Porozmawiamy o tym później.

– Idź do diabła!

Jake wybiegł z domu. Pobiegła za nim, ale tylko do drzwi sypialni. Trzasnęła nimi, aż zadzwoniły szyby. Potem ukryła twarz w dłoniach, oparła głowę o futrynę i osunęła się na podłogę. Płacz wstrząsnął całym jej ciałem.

Poczuła się bardziej upokorzona niż w dniu nieudanego ślubu, niż tej nocy w stajni, bardziej niż kiedykolwiek w życiu.

Upokorzona i nieszczęśliwa.

Rozdział 23

Grady Sheldon wracał do zdrowia. Połamane żebra nie dokuczały mu już przy oddychaniu bądź poruszaniu się. Siniaki na twarzy były prawie niewidoczne.

Zewnętrzne obrażenia goiły się szybko, natomiast zraniona duma wciąż dawała o sobie znać niczym otwarta rana.

Cholerny kowboj!

Ross Coleman upokorzył go na oczach całego miasta; to był jeszcze w stanie znieść. Ale żeby ta gówniara, Banner, miała stawiać jakiegoś włóczęgę ponad Grady'ego Sheldona? Tego już było za wiele! Langston był od niej dwa razy starszy, nie śmierdział groszem, a jednak poleciała za nim. To była zniewaga, której nie mógł darować.

Przez wiele dni siedział zamknięty w pokoju hotelowym, lecząc rany i podsycając w sobie chęć zemsty. Żądza odwetu stała się siłą napędową jego życia. Zapłacą za wyrządzone mu krzywdy i to będzie najcudowniejszy dzień, na który czeka z niecierpliwością.

Terroryzował pokojówki, wrzeszcząc na każdą, która odważyła się wejść i spytać, czy czegoś nie potrzebuje. Żył wyłącznie alkoholem; z początku – by uśmierzyć ból, później z lenistwa. Nie mył się, nie golił, nie robił nic, tylko wciąż od nowa przysięgał Langstonowi i całej rodzinie Colemanów zemstę.

Tego dnia obudził się z potwornym kacem. Wyczołgał się z przepoconego i rozgrzebanego łóżka, zażądał kąpieli w pokoju, ogolił się i powoli przeobraził się w ludzką istotę.

Teraz, gdy wchodził do Ogrodu Edenu, czuł się znowu pewny siebie. Był przekonany, że najgorsze ma za sobą; teraz musi się zacząć dobra passa.

Na samą myśl o whisky przeszedł go dreszcz, zamówił więc piwo. Nie zauważył, że barman skinął na jednego z kelnerów, który natychmiast udał się do prywatnych pomieszczeń właścicielki.

Pojawiła się w barze bezzwłocznie. Niecierpliwie czekała na jakąkolwiek wiadomość od Sheldona. Od wielu dni nikt o nim nic nie wiedział. Wysłała nawet list do Larsen, ale nie dostała odpowiedzi. Miała mu do przekazania wiadomość niecierpiącą zwłoki.

– Grady! – Uderzyła go wachlarzem w plecy. – Gdzieś się włóczył, niewdzięczniku? Już traciłam cierpliwość.

Rozpromienił się na jej widok. Czekała na niego. Może nawet tęskniła? Jego serce wezbrało dumą: miał oto przed sobą najbardziej wymagającą i najtrudniejszą do zaspokojenia dziwkę w całym stanie, która na dodatek za nim tęskniła!

– Wpadłem w kłopoty. – Na moment jego brązowe oczy straciły blask; wspomnienie ciosów, jakie otrzymał od Jake'a, i odmowa Banner dotknęły go do żywego. Z pewnością oboje serdecznie się z niego uśmieli.

Priscilla od raz wyczuła jego nastrój. Współczującym gestem położyła mu rękę na ramieniu i biustem otarła się o jego pierś.

– Mam nadzieję, że jakoś sobie poradziłeś. – Jej słowa zabrzmiały ciepło.

– Niezupełnie. – Uśmiechnął się z przymusem. – Ale pomożesz mi o tym zapomnieć, co?

Uwodzicielsko zmrużyła oczy.

– A jak myślisz? Bardzo mi ciebie brakowało.

W jakimś sensie była to nawet prawda. Ostatnio odczuwała brak męskiego towarzystwa. Dub Abernathy boczył się na nią wyraźnie i unikał jej. Nie był w Ogrodzie Edenu od czasu pamiętnego spotkania.

Nie miała mężczyzny, odkąd Jake ją odepchnął. Obraziła go wtedy, ale ciągle wskrzeszała w pamięci jego długie, szczupłe uda, aż robiło się jej gorąco, a w podbrzuszu czuła mrowienie.

Patrzyła na Grady'ego błyszczącymi oczami. Jej palce zawędrowały pod kamizelkę i koszulę mężczyzny.

– Chodź, dzisiaj zrobię wszystko, byś poczuł się szczęśliwy. – Wilgotnym językiem przesunęła po umalowanych wargach. – Na różne sposoby.

Poprowadziła go do swojego pokoju. Po drodze szepnęła jeszcze coś kelnerowi, temu, który powiadomił ją o obecności Grady'ego. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, już ją miał w objęciach.

– Boże, jakaś ty piękna!

Jej usta pracowały na równi z mózgiem.

– Jeżeli wyświadczę ci przysługę, czy zrobisz coś dla mnie?

– Co na przykład?

– Jeszcze się nie zdecydowałam. Ale przyrzekasz?

– Jasne. – Gotów był na wszystko, byleby jej język drażnił jego wargi. – Przysługa za przysługę.

– Wiedziałam, że to powiesz.

Miała na sobie sukienkę z głębokim dekoltem, który go wabił, a Grady nie omieszkał skorzystać z tego zaproszenia.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Priscilla odsunęła się od Grady'ego.

– To ktoś ważny dla nas obojga. Wierz mi. Nieważne, co będę mówiła, staraj się tylko przytakiwać. – Przesunęła dłonią po jego twarzy, piersi, brzuchu i niżej. – Tym zajmiemy się za chwilę, dobrze?

Jej szept i gest były tak obiecujące, że nie zatrzymywał jej, gdy wyślizgiwała się z jego objęć. Poszła otworzyć drzwi.

Był zaskoczony gościem Priscilli – jedną z jej najstarszych dziwek. Grady zupełnie nie wyobrażał sobie, w jaki sposób ta stara prostytutka może go zainteresować; mało – może okazać się bardzo przydatna. Usiadła przy stoliku, a Priscilla bez pytania nalała jej podwójną porcję whisky.

– Sugar, to jest pan Grady Sheldon, prawnik, o którym ci opowiadałam.

Grady spojrzał na mówiącą z niedowierzaniem: do czego ona zmierza? Ale Priscilla ani drgnęła, tylko wskazała mu krzesło obok siebie.

– Co by pan powiedział na małego drinka, panie Sheldon?

Zapominając o odrazie do alkoholu, odrzekł szybko:

– Chętnie. Bardzo proszę.

– Już go tu kiedyś widziałam. Myślałam, że to któryś z twoich klientów. – Sugar po dawce alkoholu mówiła niewyraźnie. Zauważyła, że szefowa ostatnio traktuje ją przyzwoicie. Sugar dostawała tyle whisky, ile chciała, a nawet mogła bezkarnie pozostawać w swojej sypialni. Otrzymała też nowy szlafrok, ten, który akurat miała na sobie, jako wyraz wdzięczności za lata „wiernej służby".

Sugar znała życie i wiedziała, że za wszystkie uprzejmości będzie musiała zapłacić. I to pewnie drogo.

O co chodzi z tym facetem? Nie wygląda ani na prawnika, ani na policjanta. Za nerwowy i za blady jak na jej gust. A może ta sprytna „mamuśka" chce ją wrobić w jakąś nieczystą sprawę? Może teraz tak ją smaruje masłem, żeby potem łatwiej ją było upiec?

– Pan Sheldon cieszy się moimi specjalnymi względami – podkreśliła Priscilla. – Jednak dzisiaj jest u nas służbowo. Jak zapewne wiesz, do naszego domu oraz do Pół Akra Piekła trafiają, niestety, różni kryminaliści. Pan Sheldon często szuka u nas odprężenia, jako że jego praca jest bardzo wyczerpująca.

– Czym on się zajmuje? – Sugar nalała do szklanki solidną porcję alkoholu.

– Poszukuje przestępców.

Sugar podejrzliwie spojrzała na Priscillę, potem na Sheldona.

– Pamiętasz historię, jaką mi opowiedziałaś o Rossie Colemanie? Pan Sheldon również chętnie by ją usłyszał.

– Dlaczego?

– Chciałby sprawdzić, czy to w ogóle możliwe… A poza tym, byłaby szkoda, gdyby przepadła poważna nagroda…

– Nagroda? – Sugar po raz pierwszy od wejścia do pokoju wykazała zainteresowanie rozmową.

– Jak mówiłeś, ile ona wynosi? – spytała niewinnie Priscilla.

– Hm, chyba pięćset dolarów – improwizował.

– Zdawało mi się, że wspomniałeś o tysiącu.

– No tak, dwie raty po pięćset.

Nadal był zdezorientowany, lecz skoro sprawa dotyczyła Rossa, to mogło być interesujące.

– Dasz mi tysiąc dolarów, jeśli ci opowiem historię o Colemanie? – zawołała Sugar. – Dlaczego?

– To może być bardzo ważne – odpowiedziała Priscilla wymijająco.

Sugar momentalnie stała się podejrzliwa. Tych dwoje coś knuło. Czuła to wyraźnie.

– Nie chcę, żeby ktoś miał przeze mnie kłopoty…

– Nawet jeśli to jest przestępca? – wpadła jej w słowo Priscilla.

Grady spojrzał na Priscillę ze zdumieniem. Coleman przestępcą? O, diablica!

Chrząknął i rzekł bardzo oficjalnie:

– Jeśli wiesz coś, co mogłoby się przyczynić do aresztowania kogoś poszukiwanego przez prawo, a zataisz to, możesz być oskarżona o współudział w przestępstwie.

Priscilla spojrzała na niego z uznaniem.

– Nie chcę, żeby ktoś miał przeze mnie kłopoty – powtórzyła Sugar; stała się czujna. Przypomniała sobie tych dwóch miłych chłopaków, którzy odnosili się do niej z pełnym szacunkiem, Jake'a, który zawsze traktował ją uprzejmie…

Z drugiej jednak strony nie chciała skończyć jako żebraczka pod miejskimi stajniami. Tu w Ogrodzie miała ciepły kąt, łóżko, a od czasu do czasu nawet butelkę.

Za pieniądze sprzedawała się niemal całe swe życie; raz więcej, raz mniej – co za różnica?

– Co chcesz wiedzieć? – spytała Grady'ego.

Priscilla położyła rękę na jej ramieniu.

– Opowiedz tę historię panu Sheldonowi, tak jak opowiadałaś mnie.

Sugar spojrzała na Grady'ego. Starał się nie okazywać zniecierpliwienia i ciekawości.

– Pracowałam w Arkansas – zaczęła niepewnie.

– To było w 1872 roku – uzupełniła Priscilla.

Sugar potwierdziła skinieniem głowy.

– Pracowałam dla zdziry, która nazywała się LaRue. Była to…

– Trzymaj się sprawy Colemana – przerwała jej Priscilla. – Kiedy spotkałaś go po raz pierwszy?

– No tak… Nasz wóz rozwalił się za miastem. Niedaleko tego miejsca nad strumieniem obozował jakiś tabor. Przysłany stamtąd facet pomógł nam. Potem nawet pojechał z nami do miasta. Każda z nas miała na niego oko, ale chyba żadnej się nie udało. A później to już musiałyśmy się zająć tymi z kolei, bo byli napaleni jak stado byków… Tak to było. A później już go nie widziałam.

Grady spojrzał pytająco na Priscillę. Odwiedzić burdel to żadne przestępstwo. Gdyby tak było, to połowa mężczyzn znalazłaby się za kratkami.

Priscilla uśmiechnęła się uspokajająco.

– Mów dalej, Sugar.

– Już byśmy o nim zapomniały, gdyby nie pojawił się szeryf, taki Pinkerton, który szukał Colemana. Miał ze sobą jego teścia.

– Ojca Lydii? – spytał Grady.

Priscilla pokręciła przecząco głową.

– Nie. To musiał być ojciec pierwszej żony Rossa.

– Matki Lee? – domyślił się Grady. – Czemu szukali Colemana?

Sugar bez skrępowania zaczęła drapać się pod pachami.

– Ktoś zamordował jedną z naszych dziewczyn. Nikt nie miał pojęcia, kto to mógł zrobić. Coleman na pewno nie, bo go z nami wtedy nie było.

– Ciągle nie rozumiem… – Grady kręcił się niespokojnie na krześle.

– Niejasne w całej sprawie było to – ciągnęła Sugar – że ten Coleman to tak naprawdę nie był Coleman.

– Co? – Grady wyprostował się i natężył uwagę. – To nie był Coleman?

– Nie. To był Clark, Sonny Clark. Z bandy braci James. Możecie sobie wyobrazić podniecenie dziewczyn, gdy dowiedziały się, że ocierały się biodrami o jednego z tej bandy? A ta suka LaRue zrobiła na tym fortunę;

wszystkim rozpowiadała o tym fakcie. Oczywiście, kiedy został zabity, ona…

– Zabity?

– W tym miejscu sprawa zaczyna być naprawdę interesująca – wtrąciła się Priscilla. – Opowiadaj dalej, Sugar.

– Dwa miesiące później LaRue dostała list od tego Pinkertona, że Sonny Clark został zastrzelony. Wszystkim dziewczynom było go szkoda; był przystojny i miał taką ładną żonę, i wszystko…

Pociągnęła łyk ze szklanki.

– Przez całe lata nawet o tym nie myślałam. Dopiero jak spotkałam się z Priscillą i jak zaczęłyśmy wspominać dawne dzieje, przypomniałam to sobie. Bo Priscilla powiedziała, że taka rodzina Colemanów mieszka na wschodzie Teksasu. Może to tylko zbieg okoliczności z tym nazwiskiem? To zresztą nie mój interes.

Grady siedział bez ruchu. Starał się ułożyć wszystkie te informacje w jakąś logiczną całość. Wynikało z nich, że Ross Coleman to jeden z członków bandy braci James, złodziej, morderca, ukrywający się pod zmienionym nazwiskiem przez tyle lat.

Grady najchętniej skakałby z radości. Musiał jednak zachować powagę.

– Czy jeszcze coś? – zwrócił się do Sugar.

– Nie.

– Bardzo mi pomogłaś. Jutro dostaniesz nagrodę.

– Dziękuję ci, Sugar. – Priscilla wstała, dając jej do zrozumienia, że spotkanie zakończone. Odprowadziła ją do drzwi.

– Wyglądasz na zmęczoną. To było chyba bardzo wyczerpujące, co? Idz się połóż. Przyślę ci do pokoju jakąś buteleczkę.

Priscilla zamknęła za nią drzwi i wolno odwróciła się do Sheldona.

– Co ty na to?

Podbiegł do niej, chwycił ją w ramiona, uniósł i rozpoczął taniec radości.

– Kupię ci futra i obsypię diamentami!

– To mi niepotrzebne – zawołała. – Prosiłabym tylko o możliwość współuczestniczenia w twoim interesie drzewnym. Masz świetne pomysły,

a ja mogę wnieść jako swój udział poważną gotówkę na ich sfinansowanie.

Przestał tańczyć i postawił ją na podłodze. Nigdy nie zastanawiał się nad zawiązaniem spółki. A już na pewno nie ze znaną w całym stanie prostytutką. Ale to będzie problemem dopiero w przyszłości, ponieważ teraz zamierza świętować.

– Dam ci wszystko, co chcesz, Pris. Nigdy nie czułem się tak szczęśliwy.

Po chwili przestał się śmiać.

– A jeśli to są wymysły pijanej dziwki, która chce zwrócić na siebie uwagę?

Jednak wszystko, co Sugar powiedziała, pasowało do siebie: Ross nie miał żadnej dalszej rodziny, nie był przeciętniakiem, który mógł bez trudu zginąć w tłumie. Rola wyjętego spod prawa przestępcy pasowała do niego idealnie. Zanim jednak Grady przedsięweźmie odpowiednie kroki, sprawdzi, czy opowiadanie Sugar może być prawdziwe.

– Nie wierzyłam Sugar – Priscilla zdawała się czytać w myślach Grady'ego. – Zaczęłam sprawdzać jej opowieść. Tutejszy szeryf jest moim przyjacielem. Sprawdził kartotekę z listami gończymi, ale jego dokumentacja nie sięga tak daleko wstecz. Wysłał depeszę do Memphis. Tam w rejestrze poszukiwanych znaleźli nazwisko Sonny Clark: był włamywaczem i mordercą, tak jak cała banda Jamesów. Zniknął i został uznany za zmarłego w 1869 roku. Trzy lata później pojawił się ponownie pod zmienionym nazwiskiem – jako Ross Coleman. Potem doniesiono, że został zastrzelony przez człowieka Pinkertona, o nazwisku Majors.

– To powinien być rok 1872.

– Data zgadza się z opowiadaniem Sugar. Grady chodził nerwowo po pokoju.

– W opowiadaniu są ogromne luki. Dlaczego na przykład detektyw napisał raport o śmierci Colemana i zamknął sprawę?

Priscilla nie zapędzała się tak daleko. Nie chciała, żeby Sheldon przez nadmierny pośpiech zepsuł wszystko. Potrzebowała go jedynie do wykonania brudnej roboty: zemsty na Jake'u Langstonie – za to, że odrzucił

jej względy – i na tej czarnowłosej dziewczynie – bo dla niej to zrobił. Reszta jej nie interesowała.

– Kto to wie? Kogo to będzie obchodziło, jeżeli go im dostarczysz? Wyobraź sobie ludzi, którzy drwili z ciebie z powodu ślubu z córką tego bimbrownika. Teraz będą patrzeć na ciebie z uznaniem i strachem, gdy postawisz przed sądem jednego z bandy braci Jamesów. Będziesz sławny! – Wtuliła się w niego. – Już w tej chwili twoja bliskość zapiera mi dech w piersiach!

Przywarł ustami do jej ust. Seks i żądza odwetu opętały go na równi. Zaniósł Priscillę do sypialni i jednym szarpnięciem zerwał z niej sukienkę. Ona kilkoma wprawnymi ruchami zdjęła z niego ubranie.

– Wiesz, co masz robić, kochanie? – spytała, dysząc.

– Wiem. Jutro ruszam do Larsen.

Zwarli się w miłosnym uścisku podnieceni perspektywą zwycięstwa.

*

Coś się Ma nie podobało. Coś było na opak. Wyczuwała to tak, jak zwierzęta wyczuwają zmianę pory roku.

Przyjechała do Banner następnego ranka po przyprowadzeniu stada. Uparła się, że przeprawi się tratwą przez rzekę, a resztę drogi przebędzie pieszo.

Wyjęła Banner szwy za pomocą małych nożyczek. Obejrzała dokładnie bliznę i stwierdziła, że rana zagoiła się.

Kiedy dziewczyna przytuliła się do jej ogromnych piersi i zaczęła szlochać, Ma złożyła to na karb przeżyć związanych z operacją. Potem jeszcze długo siedziały koło siebie w milczeniu, pijąc herbatę. W końcu Ma zaczęła zbierać się do drogi powrotnej.

Robiła to z ciężkim sercem. Wiedziała, że Banner coś dokucza, ale nie odgadła przyczyny. Może tęskni za matką i dlatego płacze?

Kiedy jednak Jake odprowadzał Mę do rzeki, powróciło pierwotne przeczucie czegoś poważniejszego niż tęsknota za domem i matką.

– Mamo, dlaczego nie weźmiesz Stormy'ego?

– Moje nogi wcale nie są słabsze od jego nóg. Wolę się przejść.

– Co jest Banner? – Jake zrównał z nią krok.

– Nie wiesz?

– Nie widziałem jej wczoraj wieczorem, a dzisiaj od rana byłem bardzo zajęty.

– Wraca do zdrowia. Wszystko dobrze się goi. Jak rzadko komu.

Ma przysłoniła oczy rękami i uważnie spojrzała na syna.

– Wyglądasz na strapionego. Czy coś ci dolega?

– Nie. – Przygryzł trzymane w zębach cygaro.

– Brzuch cię boli?

– Gdzież tam!

– Możeś na kogo wściekły?

– Co mama!

– Hm – mruknęła z niedowierzaniem.

Gdy doszli do rzeki, Jake upewnił się, że bezpiecznie wsiadła na tratwę. Zanim chwyciła do ręki długą żerdź do odpychania, powiedziała:

– Dbaj o tę dziewczynę, słyszysz?

– Ona sama potrafi o siebie zadbać – burknął pod nosem.

– Nie, nie potrafi! – rzuciła matka ostro, zastanawiając się, czy mogłaby mu jeszcze sprawić zasłużone lanie. – Jest słaba na ciele i duszy. Rano wypłakiwała oczy.

Jake unikał wzroku matki.

– Powiedziała ci coś? – spytał z wahaniem.

– A powinna?

Wzruszył tylko ramionami, zaskoczony jej bystrością.

Ma zanurzyła żerdź w wodę i kiedy wbiła ją w dno, naparła na nią całym ciężarem ciała. Coś było na pewno nie w porządku. I to coś dotyczyło ich obojga. Głowę by za to dała.

Bez względu na to, co to było, oboje woleli na ten temat nie mówić. Najlepiej więc zostawić ich samym sobie; muszą to załatwić między sobą.

Na koniec zostawiła Jake'owi jeszcze tylko jedną radę:

– Uważaj, żeby nie pracowała zbyt ciężko.

*

Ma nie byłaby zadowolona, widząc Banner niosącą miednicę z mokrą bielizną i rozwieszającą pranie na lince. Następnego dnia po odwiedzinach Ma młoda kobieta zdecydowała, że pranie nie może czekać już ani dnia dłużej. Poza tym praca pozwalała jej oderwać się od bolesnych myśli.

Jake jej nie kochał. Litował się tylko nad nią. Cała jego czułość, uprzejme zachowanie i porywające duszę pocałunki miały swe źródło w litości, nie w miłości.

A, diabli z nim!

Co teraz zrobić?

Wiedziała, co ludzie myślą o dziewczynach, które prowadzą się „po małżeńsku" przed ślubem. Wprawdzie już nie kamienują ich publicznie, ale nadszarpnięta reputacja stawia je poza nawiasem społeczności. Ojciec dziecka często pozostaje nieznany, dziewczyny zaś wysyła się daleko od domu rodzinnego. Rodzina szuka krewnych w Europie albo wynajduje chorobę, która wymaga specjalistycznego leczenia. Wszyscy jednak wiedzą, że jedzie ona rodzić nieślubne dziecko. Zdarza się, że ani dziewczyna, ani dziecko z takiego „leczenia" już nie wracają.

Rodzice Banner nigdy by jej nie opuścili. Była pewna ich miłości i dlatego nie bała się banicji. Choćby nie wiadomo jaką hańbą ich okryła, nie odrzucą jej, ale będzie to dla nich straszliwy cios. Czy to wytrzymają?

Czy ona to wytrzyma?

Musi. Nawet jeśli to będzie bardzo trudne. Ona będzie żyła dla swego dziecka.

Postawiła miednicę z bielizną pod sznurem i ręką obmacała brzuch. To przerażające i jednocześnie cudowne uczucie, że oto tam, w środku, nosi dzieciątko. Dziecko Jake'a.

Pociągnęła nosem, bo poczuła, że łzy napływają jej do oczu. On pewnie w ogóle nie myśli o tym, że będzie ojcem. Obarczył ją całą winą. Rządcą

został nie z własnej woli. Stało się tak, bo w jakimś stopniu czuł się zobowiązany do tego. Zabrał jej dziewictwo, więc chociaż tak chciał spłacić swój dług wobec jej rodziców.

No cóż! Ona nie potrzebuje litości. Litości od kogoś takiego jak Jake Langston. Kimże on jest, aby się nad nią litować!

Nic już jej nie cieszyło. Nawet pasące się stado czerwonych krów nie interesowało jej. Tylko ze względu na trzech kowbojów pomachała ręką, zaśmiała się i coś krzyknęła, stojąc w drzwiach domu. Dla Jake'a miała jedynie zimne spojrzenie, pełne wyrzutu i potępienia. Zrozumiał to; od chwili porannej awantury nie spotkali się ani razu.

Jake. Jake. Jake.

Dlaczego nie może przestać o nim myśleć? Czemu nie może zapomnieć czułości, z jaką jej dotykał? Jego głębokiego głosu, pieszczoty rąk, smaku ust? Bo nie ma poczucia dumy! Choć umysł go odrzucił, jej ciało tęskni za nim. Dlaczego była na tyle głupia, że go pokochała, zamiast nim pogardzać od samego początku?

Nachyliła się i wyjęła z miednicy mokrą sztukę bielizny, i zarzuciła na linkę. Wtedy poczuła ostry ból w podbrzuszu. Przez chwilę nie opuszczała rąk, mocno trzymając się sznura. Oddychała głęboko, aż ból przeszedł.

Zastanawiało ją wcześniej, że nie ma okresu, ale wytłumaczyła to stresem związanym z nieudanym ślubem oraz przemęczeniem po przeprowadzce na ranczo.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może być w ciąży.

Jej organizm już zaczął wysyłać sygnały świadczące o odmiennym stanie. Skrócony oddech, zmęczenie, osłabienie, zawroty głowy, nudności to nie pozostałości po niedawno przebytej operacji, tylko oznaki ciąży.

Rozdział 24

– Co to, u diabła, ma znaczyć? – Trzej mężczyźni, zajęci znakowaniem stada, podnieśli głowy.

– Zabrzmiało jak trzy strzały z rewolweru – rzekł Pete.

– To były strzały. – Jake ruszył w kierunku Stormy'ego uwiązanego po drugiej stronie płotu. Widząc pozostałych biegnących za sobą, zawołał: – Zostańcie tu. Strzały dochodzą z domu. Jeśli Jim albo ja nie wrócimy w ciągu pięciu minut, niech jeden z was przeprawi się przez rzekę i sprowadzi ludzi z River Bend, a drugi niech postara się dostać jak najbliżej domu i zobaczy, co się dzieje.

Wskoczył na konia i ruszył galopem w kierunku domu.

Przed kilkoma minutami wysłał Jima do stajni po cęgi; może to on strzelał, wzywając pomocy? Czy Banner coś się stało? Serce biło mu jak oszalałe. Kiedy wpadł na podwórze, zauważył Jima nachylającego się nad leżącą na ziemi postacią. Jake w biegu zeskoczył z konia.

– Co się stało?

– Nie wiem, Jake. Zobaczyłem ją leżącą, gdy wychodziłem ze stajni. Wygląda mizernie. Strzelałem, żeby ktoś tu przyjechał.

– Postąpiłeś właściwie – odparł Jake; ulżyło mu, gdy przekonał się, że strzały oznaczały jedynie wezwanie pomocy. Ukląkł na ziemi.

– Banner?

Podłożył rękę pod głowę dziewczyny i lekko uniósł.

– Przynieś trochę wody – zwrócił się do Jima.

Za chwilę garnek stał obok. Jake wziął trochę wody na dłoń i spryskał twarz leżącej. Jej powieki drgnęły i cicho jęknęła. Jake jeszcze raz zwilżył jej twarz. Tym razem próbowała wytrzeć policzek.

– Przytomnieje – szepnął Jim.

Otworzyła oczy, ale zaraz je zamknęła; ostre światło słońca wyraźnie ją raziło.

– Co się stało? – spytała słabym głosem.

Jake odetchnął z ulgą.

– Nic jej nie będzie – powiedział do Jima. – Tylko zemdlała. Jedź i powiedz im o tym, zanim poruszą całą okolicę.

Jim pojechał natychmiast.

Jake wziął Banner na ręce i przytulił do piersi.

– Mogę iść.

– Nawet pełzać nie dasz rady.

– Postaw mnie na ziemię.

– Nie.

– Czuję się dobrze.

– Zamknij się! – warknął na nią.

– Nie mów do mnie w ten sposób!

– Będę mówił tak, jak mi się podoba!

Doszedł do werandy i posadził ją w fotelu na biegunach.

– Po co, u diabła, na takim słońcu robiłaś pranie?

– Potrzebowałam czystych rzeczy.

– Nie mogłaś poczekać na mnie? Przecież bym to zrobił.

– Nie! O nic nie będę cię prosiła.

– Mogę wiedzieć dlaczego?

– Bo nie chcę być w żadnym stopniu zależna od ciebie. Nie chcę twojej litości. Sama potrafię zadbać o siebie!

– I o ranczo? I o dziecko?

Podniosła dumnie głowę.

– Jeśli będzie trzeba – tak!

Zaklął pod nosem.

– Teraz posłuchaj uważnie, młoda damo, co mam ci do powiedzenia. Jesteś rozkapryszonym bachorem! Upartym, humorzastym i dumnym. Ale zapomniałaś o jednym – pobieramy się! Zemdlałaś dzisiaj i to może

powtórzyć się w każdej chwili. Robotnicy zaczną gadać. Operacja będzie wytłumaczeniem tylko do czasu. – Przerwał, by zaczerpnąć powietrza. – Bardzo szybko ktoś się domyśli prawdy. A jak będzie już widać? Co wtedy zamierzasz robić?

Wargi zaczęły jej drżeć.

– Coś wymyślę.

– Nic nie będziesz wymyślać! Będziemy już małżeństwem! – Skarcił ją spojrzeniem. – A jako twój mąż zastrzelę każdego, kto pod twoim adresem odważy się wypowiedzieć choć jedno złe słowo!

Nagle spoważniał.

– Teraz idź i przebierz się w coś odpowiedniego na uroczystość ślubną, ponieważ zaraz jedziemy do miasta. Dzisiaj. I jeszcze jedna sprawa: jeśli znowu zaczniesz pleść takie głupoty jak tamtego rana, przyrzekam ci prawdziwe lanie.

– Kochasz mnie, Jake?

Pytanie zbiło go z tropu. Rozpogodził się w jednej chwili. Oczy nabrały ciepła.

– Gdybym cię nie kochał, to czy pogodziłbym się z takim traktowaniem mnie?

Uśmiech ożywił jej twarz.

– Jeżeli moja zgoda na ślub miałaby opierać się na formie oświadczyn, to na pewno wybrałabym Grady'ego. Był bardziej romantyczny. Przyszedł elegancko ubrany, z kwiatami i słodyczami, i mówił mi, jaka jestem piękna. Powiedział, że Bóg zabrał niebu anioła, gdy posyłał mnie na ziemię.

– Nie wierzę, żeby ten dureń sam potrafił coś takiego wymyślić! – Jake skrzywił się.

– W każdym razie tak to brzmiało.

Przyglądał się jej twarzy. Zębami ściągnął rękawicę, którą jeszcze miał na ręku. Palcami dotknął wymizerowanego policzka dziewczyny.

– Dla mnie jesteś najpiękniejsza – mówił drżącym ze wzruszenia głosem. – Jesteś kobietą, na którą absolutnie nie zasługuję. Uwielbiam z tobą spać; po raz pierwszy w życiu ma to dla mnie ogromne znaczenie.

Chcę z tobą zasypiać i budzić się u twego boku. Chcę widzieć, jak bawisz moje dziecko. – Pochylił się, delikatnie ucałował jej piersi, a potem zagłębił twarz w ich miękkiej pełni. – Nie mogłem uwierzyć, gdy lekarz mi to powiedział. Z początku byłem przerażony, że mogę ciebie stracić, i nie myślałem o dziecku. Dopiero później, kiedy czuwałem przy twoim łóżku, rozmarzyłem się tak, aż chciało mi się płakać. Nigdy nie myślałem, że będę miał dziecko. Jeśli to będzie chłopiec, nazwiemy go Luke; jeśli dziewczynka – no cóż, zabiję każdego sukinsyna, który próbowałby zrobić jej to, co ja tobie! – Całował jej brzuch z czułą żarliwością. – Nie jestem materiałem na dobrego męża, Banner. Nie mam właściwie nic, co mógłbym ci ofiarować. Ale urobię sobie ręce po łokcie, by z tego miejsca stworzyć wspaniały dom dla nas i naszego dziecka! A teraz, jeśli na takich warunkach przyjmiesz tego tu „włóczęgę, dla którego końskie siodło jest domem", zostaniesz panią Banner Langston przed zachodem słońca.

Jego słowa brzmiały dla Banner jak najpiękniejsza poezja miłosna.

– Jeśli chcesz żenić się ze mną tylko ze względu na dziecko, to nie rób tego. Nie chcę za męża męczennika siedzącego ze mną przy kominku w zimowe wieczory, a myślami towarzyszącego kumplom we włóczędze po prerii.

– Masz przed sobą faceta, który raczej rzuci cały świat, byleby móc we wszystkie noce znajdować się w łóżku z Banner Coleman. Nie żenię się z tobą przez wzgląd na dziecko.

Oparł głowę na jej ramieniu, jakby się nagle zawstydził.

– Szczerze mówiąc, to cieszę się, że dziecko stało się powodem naszego małżeństwa. Dawniej wydawałoby mi się to jedynie sennym marzeniem.

Wstała z fotela i objęła go.

– Jake, bardzo cię kocham.

Przygarnął ją do siebie i pocałował wilgotne rozchylone wargi.

Potem delikatnie odsunął ją od siebie i rzekł:

– Idź i przygotuj się do ślubu. Powiem ludziom, że jedziemy do miasta.

– Ile mam czasu?

– Pół godziny.

Banner weszła do domu, żeby się umyć i ubrać. W trakcie czesania uświadomiła sobie, że Jake właściwie nie wyznał jej miłości.

*

– Dokąd jedziemy?

– Siedź grzecznie, pani Langston, dobrze? Chcę ci coś pokazać. – Jechali wozem do domu inną drogą niż zwykle.

– Niespodzianka?

– Traktuj to jako prezent ślubny.

– Jeden już mam – powiedziała, spoglądając z dumą na złotą obrączkę, którą Jake włożył jej na palec na polecenie pastora. – Kiedy ją kupiłeś?

– Tego dnia, gdy załatwiałem formalności.

– Byłeś pewny, że się zgodzę?

– Nie, ale miałem nieśmiałą nadzieję. – Nachylił się i ucałował jej rozchylone usta. Poczuł ciepły język na swoich wargach.

– Wstydu nie masz, kobieto? – spytał z błyskiem w oczach.

– Nigdy, jeśli chodzi o ciebie. I nigdy nie miałam. Przypuszczam, że wcale nie jestem lepsza od Wandy Burns.

Żachnął się na te słowa.

– Spiorę ci pupę, jeśli będziesz porównywała się z nią!

– Przecież to prawda. Była w ciąży z mężczyzną, z którym jeszcze nie miała ślubu. Tak samo jak ja. Gdzie widzisz różnicę?

– Jest ich sto! – zawołał. – Byłaś tylko i wyłącznie z jednym mężczyzną. To zasadnicza różnica.

Poddała się. Nie była dzisiaj wojowniczo usposobiona. Dzień był cudowny, a ona zbyt szczęśliwa, by się kłócić.

– Tak, byłam tylko z jednym. I kochałam go już wówczas, gdy przyszłam do niego do stajni. Inaczej nigdy bym tego nie zrobiła.

– Jestem szczęśliwy, że byłem wtedy pod ręką – szepnął jej do ucha.

Po chwili zatrzymał konia; stali pod łukiem utworzonym z pni dwóch drzew połączonych na wierzchołkach długą, szeroką deską. Pod łukiem

zaczynała się droga do domu. Nie jechali tędy do miasta i dlatego wcześniej nic nie mogła zauważyć

– Co to jest?

– Niespodzianka.

Jak zwykle chciała zeskoczyć z wozu, lecz Jake chwycił ją w talii i powoli zestawił na ziemię.

– Musisz teraz bardzo na siebie uważać.

Zadrżała, gdy ręką delikatnie dotknął brzucha. Słodka pieszczota jego palców rozgrzała jej ciało.

– Jake! – Łzy pojawiły się w jej oczach. Na desce był wypalony zgrabnymi literami napis: PLUM CREEK RANCH. – Zmienił ci się gust? Spodobała ci się ta nazwa?

– Nie – powiedział i pokręcił głową. – Nadal uważam, że to idiotyczna nazwa dla gospodarstwa, w którym hoduje się bydło.

– To dlaczego? Dlaczego zadałeś sobie tyle trudu?

Obdarzył ją czułym spojrzeniem.

– Chciałem zrobić coś, z czego się będziesz cieszyła; coś, na widok czego roześmiejesz się zamiast płakać. Narobiłem ci tyle kłopotów, tyle przykrości i biedy, więc chociaż raz chciałem sprawić ci radość.

Wtuliła się w jego ramiona. Objął ją i przytulił. Zanurzył twarz w jej włosy na karku, wdychając zapach perfum i dziewczęcego ciała.

– Może zajrzymy do koszyka, którym obdarzyła nas żona pastora, co? – spytał, gdy brakło mu już tchu.

Skinęła radośnie głową i patrzyła, jak kieruje konia w cień drzewa. Zdjął koszyk z wozu.

– Powiedz, czym ją przekupiłeś, że przygotowała ten koszyk?

Jake rozmyślnie wyszukał pastora spoza Larsen. Gdyby sprawę załatwiał w kościele, do którego należała rodzina Colemanów, wieść o ślubie rozniosłaby się błyskawicznie, docierając do Rossa i Lydii wcześniej, niż to było wskazane. Szczęśliwie ten pastor nie znał ani Banner, ani Jake'a i bardzo się ucieszył, że może udzielić im ślubu. Jego żona grała podczas ceremonii na fisharmonii, a córka pełniła rolę świadka. Po skończonej

uroczystości żona pastora wręczyła nowożeńcom koszyk, życząc im długich lat szczęścia.

– Nie było żadnego przekupstwa. To moja uroda tak na nią podziałała – powiedział z udawaną zarozumiałością.

Wyszukał miejsce, gdzie rosła gęsta, pachnąca koniczyna. W powietrzu unosił się zapach sosny. Delikatny popołudniowy wiatr i gęste gałęzie dzikiego orzecha chroniły przed spiekotą.

– Mówisz o żonie czy córce? Ta druga patrzyła na ciebie zupełnie cielęcymi oczami.

– Nie zauważyłem. Widziałem tylko ciebie.

Położył się na wznak w koniczynie i pociągnął Banner za sobą. Nie dał jej nawet czasu na zebranie myśli; przywarł ustami do jej ust. Rękami pieścił jej piersi. Poruszała się pod nim niespokojna i spragniona. Kiedy usiadł, zawołała niezadowolona:

– Jake, chodź!

– Jeśli zapomnimy się w tej koniczynie, zniszczysz swoją piękną sukienkę.

Zdjęła kapelusz i odrzuciła go na bok.

– Nie zależy mi na strojach.

Pogłaskał ją po policzku.

– W takim razie jeszcze nie wydoroślałaś. Pamiętam, że przy wszystkim, co kiedyś nosiłaś, albo brakowało guzików, albo były popękane szwy, czasem nawet dziury...

Ze śmiechem wyjęła spinki i rozpuściła długie sploty.

– Ma zawsze miała ze mną dużo roboty. Przypominanie mi o tym nie jest objawem dobrych manier.

Przygotowany przez żonę pastora koszyk zawierał różne smakołyki: płaty wędzonej szynki, bochenek świeżego chleba, garnuszek dżemu śliwkowego, ciasto z tak delikatnym nadzieniem, że po dotknięciu zlizywali je z palców.

Jake rozkochanym wzrokiem śledził każdy ruch Banner.

– Przypominasz rozkwitły jaskier, kiedy tak siedzisz w trawie. – Miała na sobie złocistą sukienkę, która swą barwą rzeczywiście przypominała kwiat, do którego ją porównał.

– Dziękuję ci, mężu.

Jak ona mogła kochać kogoś takiego jak Grady Sheldon, kiedy po ziemi chodził Jake? Był wysoki i szczupły, muskularny i wysportowany. Poruszał się z niedbałą swobodą, ale drzemała w nim siła gotowa wybuchnąć w razie potrzeby. Jego brwi, z natury jasne, od długiego przebywania na słońcu stały się niemal białe. Głęboko osadzone oczy były tak intensywnie niebieskie, że przechodził ją słodki dreszcz, gdy się w nie wpatrywała. Kochała każdą bruzdę na twarzy, siłę charakteru, nawet jego upór…

Patrzyła na męża z rozmarzeniem i tylko wzdychała.

– Zmęczona?

– Nie! – Pokręciła przecząco głową.

– Chcesz do domu?

– Nie bardzo.

Oparł się plecami o pień drzewa.

– Połóż się. – Ułożył jej głowę na swoich kolanach.

Lato było ciepłe, ale nie upalne. Jedli wydobyte z kosza smakołyki i czuli się przyjemnie nasyceni. Pszczoły brzęczały w pachnących kwiatach koniczyny. Wiatr leniwie poruszał liśćmi drzewa. Obłoki, białe i puszyste, sunęły leniwie w niebieskiej próżni.

Włosy Banner pokryły kolana Jake'a jak czarny obrus. Piersi jej unosiły się i opadały przy każdym spokojnym oddechu.

– Powinienem być już w domu i zabrać się do roboty, ale jestem zbyt rozleniwiony.

– A ja się zastanawiam, czy za powiedzenie czegoś takiego w tej chwili, nie powinnam cię zastrzelić.

Nachylił się nad nią i szepnął:

– Jesteś cudowna, Banner Coleman.

– Banner Langston – poprawiła go, zanim ustami dosięgnął jej ust.

Podniecony, całował jej wilgotne, gorące usta. Potem wolno rozpiął guziki gorsetu: nagie piersi ukazały się wśród koronek i wstążek. Pieścił je palcami, ustami. Wolno i podniecająco.

– Jesteś moja. Moja jedyna. Nikt inny. Tylko ty – szeptał.

Z plączących się w jej głowie myśli jedna z nich uderzyła ją z nieodpartą siłą: czy to, co w tej chwili słyszała, odnosiło się również do Lydii?

*

Potrzebowała trochę czasu, by doprowadzić się do ładu. Palcami wyczesywała z włosów źdźbła trawy i liście. Nic nie mogła poradzić na zielone plamy na żółtej sukience. Pomogła Jake'owi zebrać do kosza resztki jedzenia i zaraz poszli w kierunku wozu.

– Myślę, że czas zawiadomić rodziców... – czekał na jej reakcję.

– Zgoda, zresztą chciałabym to wykrzyczeć całemu światu.

Jake nie był tak optymistycznie nastawiony.

– Obawiam się, że oni tak łatwo nie zaaprobują tego faktu. Powiedzmy im może o ślubie, ale nie wspominajmy na razie o dziecku, co? Zostawmy to na inną okazję.

– Przecież oni bardzo cię lubią, Jake.

– Tak, ale nie jako zięcia. Szczególnie boję się reakcji Rossa – powiedział, pochmurniejąc.

Banner nie podzielała obaw męża.

– Pozwól, że zajmę się ojcem, jeśli będzie robił jakieś trudności. Zresztą nieważne, czy zaakceptują to, czy nie. Nic nie zmieni faktu, że jesteś moim mężem.

Jej optymizm był zaraźliwy.

Odprowadzili wóz do domu, a potem przeprawili się tratwą przez rzekę. Jake odprężył się na myśl, iż wreszcie nie będzie musiał kryć się ze swym uczuciem do Banner. W każdej chwili może jej dotknąć lub objąć ją bez konieczności oglądania się, czy ktoś tego nie widzi. Jest przecież jego żoną i wszyscy powinni o tym wiedzieć.

Objął ją i weszli na podwórze River Bend. W bramie nachylił się jeszcze nad nią i ucałował prosto w usta.

– Mam bardzo potargane włosy?

Wyłuskał źdźbło trawy i przygładził jej włosy.

– Wcale nie.

– Kłamczuch! Jak myślisz, mogą się domyślić, co robiliśmy po drodze?

Nachylił się do jej ucha i spytał szeptem:

– A zależy ci na tym?

– Nie! – Zachichotała radośnie i pocałowała go w policzek.

– Co się z wami dzieje, do cholery? – głos Rossa uderzył w nich jak grom, aż odskoczyli od siebie.

Coleman siedział na werandzie i palił fajkę, którą Banner przywiozła mu z Fort Worth. Naturalnie dostrzegł wymianę czułości. Nie zauważył tylko radosnego wyrazu ich twarzy. Widział jedynie faceta obejmującego jego córkę, faceta, który jego zdaniem nie miał do tego żadnego prawa.

– Puść ją!

– Tatku, mówisz do Jake'a. Nie widzisz?

– Widzę aż za dobrze, do kogo mówię!

– Ross... – zaczął Jake.

– Banner, do domu! – rzucił Ross rozkazująco. Zamierzał posłać Bubbę Langstona do wszystkich diabłów, a Banner nie musi być tego świadkiem.

– Nie pójdę! I przestań tak na nas patrzeć. Nie jestem dzieckiem, tatku, i...

– Jesteś moim dzieckiem! – ryknął. I nie pozwolę, żeby byle kto obejmował cię jak jaką dziewkę...

– Dość, Ross! – powiedział stanowczo Jake. – Uspokój się i pozwól mi wyjaśnić...

– Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień. Wiem, co widziałem!

– Pobraliśmy się – głośno i uroczyście oznajmił Jake. – Poślubiłem Banner dzisiaj po południu.

– Poślubiłeś?! – Ross wypuścił z zębów fajkę, która upadła mu pod nogi. – Mógłbyś być jej ojcem.

– Ale nie jestem. Jestem jej mężem. Chodźmy do domu…

– Musiałeś mieć cholernie ważny powód do takiego pośpiechu. Wiem, co myślisz o kobietach i jak je traktujesz. Są dla ciebie jedynie zabawką.

– Tato, przestań! – krzyknęła Banner.

Kilku kowbojów usłyszało krzyki i przyszło zobaczyć, co się dzieje. Dziewczyna zarumieniła się po czubki włosów, widząc zbiegowisko.

– Jest tylko jeden powód, dla którego musiałbyś się żenić, ale lepiej dla was obojga, żeby to nie było to! Zrobiłeś… Banner jest…? Pewnie tak! O, ty! A ja powierzyłem ją, sukinsynu, twojej opiece!

Rzucił się na Jake'a i z rozmachem uderzył go pięścią w szczękę. Banner krzyknęła i ruszyła w ich kierunku.

– Co się dzieje? – zawołała Lydia, zbiegając ze schodów werandy w niedopiętej spódnicy. Ma biegła za nią ze ścierką w ręku. Lee i Micah skoczyli, by zatrzymać Banner.

Jake nie zdołał jeszcze otrząsnąć się po pierwszym ciosie, gdy pięść Rossa wylądowała na jego brzuchu. Zgiął się i upadł na kolana. Potrząsnął głową, starając się oprzytomnieć. Myśl, że przyjaciel może mieć przy sobie broń, postawiła go błyskawicznie na nogi. Chyba jednak nie ma, bo inaczej nie wahałby się z niej skorzystać. Dobrze, że on również nie wziął rewolweru.

– Ross, nie chcę się z tobą bić, ale jeśli jeszcze raz spróbujesz…

Nie dokończył, gdyż potężny cios dosięgnął jego twarzy. Rozwścieczyło go to. Pochylił się i rzucił na Rossa. Obaj upadli na ziemię i potoczyli się po podwórzu, okładając się pięściami i kopiąc. Pot, błoto i krew pokrywały ich odzież.

Widzowie bez słowa, choć z zażenowaniem, przyglądali się walce przyjaciół. Lydia nerwowo wyłamywała palce. Łzy spływały po twarzy Banner. Micah z bolesnym wyrazem twarzy przyglądał się niecodziennej scenie. Lee nie wierzył własnym oczom.

Wszyscy byli tak wpatrzeni w walczących, że nikt nie zwrócił uwagi na jeźdźca, który wjechał w bramę. Ucieszył go ten widok. Uśmiechnął się drwiąco. Za chwilę ta walka nabierze kolorów. Zawołał głośno:

– Sonny Clark!

Ross znieruchomiał. Trochę zamroczony popatrzył na otaczających go ludzi. Wszystko widział jak na zwolnionym filmie. Zobaczył rozszerzające się z przerażenia oczy Lydii, widział, jak gwałtownie podrywa głowę i patrzy w stronę bramy. Widział też, że jej wargi składają się do okrzyku: n i e!

Ross podniósł się na drżących nogach i spojrzał w tym samym kierunku. Odruchowo sięgnął po rewolwer, ponieważ jeździec trzymał broń gotową do strzału. Huk rozdarł powietrze. Lydia i Banner krzyknęły, gdy Ross upadł. Kilku z przyglądających się zasłoniło głowy rękami, kilku innych sięgnęło po broń.

Jeden Jake zachował przytomność umysłu: rzucił się na Micaha, zbił chłopca z nóg, wyszarpnął z olstra jego rewolwer, potoczył się po ziemi, ukląkł na jedno kolano i strzelił. Wieloletnie ćwiczenia nie poszły na marne – kula trafiła Grady'ego Sheldona dokładnie między oczy.

Rozdział 25

Sheldon nie żył. Wyraz zadowolenia malujący się na twarzy po strzale oddanym do Rossa stał się jego pośmiertną maską.

Jake nawet nie patrzył, jak ciało Grady'ego pomału osuwa się na ziemię. Rozejrzał się wokoło, odepchnął stojących robotników i podbiegł do Rossa. Lydia już klęczała przy mężu, powtarzając jego imię.

– O Jezu! – jęknął. Zdziwił się, że Grady potrafił oddać tak precyzyjny strzał. Kula minęła serce chyba tylko o włos. Zrobiła niewielki otworek w pobliżu starej blizny po lewej stronie piersi. Jake wzdrygnął się na myśl, jakiego spustoszenia musiała dokonać.

– Lydia? – z ust Rossa, razem z bąbelkami śliny zaróżowionej krwią, wydobył się ledwie słyszalny szept.

Podniosła głowę. Była okropnie blada, jakby z twarzy odpłynęła jej cała krew. Oczy jej robiły wrażenie nieprzytomnych.

– Bubba, on cierpi. Pomóż mu – poprosiła bezradnie.

Jake patrzył na przyjaciela; Ross miał zamknięte oczy. Ale żył. Jeszcze.

– Zanieśmy go do domu.

Brat i kilku innych pomogło mu; dwóch chwyciło rannego za biodra, dwóch za ramiona, dwóch za nogi. Jake podtrzymywał głowę Rossa. Bardzo ostrożnie zanieśli go do domu. Lydia szła za nimi jak lunatyk.

Bali się wnosić go po schodach, więc położyli go w jego biurze. Ma, przeczuwając zamiary syna, już wcześniej rozpostarła wełniany pled na skórzanej kanapie.

– Niech ktoś natychmiast jedzie do miasta po doktora, ale tego młodszego – zarządził Jake. Ostrożnie rozciął nożem koszulę Rossa. – Zawiadomcie również szeryfa. Do jego przyjazdu nie ruszajcie Sheldona.

Kowboje opuścili pomieszczenie w milczeniu.

– Czego potrzebujesz, synu? – Ma zbliżyła się do kanapy, gdzie Jake stał z bezradnie opuszczonymi rękami; chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, że ma posiniaczoną twarz, rozbitą wargę i zakrwawiony policzek. Już nie pamiętał, że przed chwilą bił się z Rossem.

Spojrzał na matkę. Wyraz jego oczu powiedział jej, że nic tu zrobić nie można. Potem oboje popatrzyli na Lydię, która była bliska omdlenia. Tylko ze względu na nią Jake odparł:

– Bandaży i ciepłej wody.

Ma wyszła bez słowa. Odznaczała się zadziwiającą siłą, która pozwoliła jej przetrzymać śmierć dzieci i męża. Za każdym razem sądziła, że umrze z żalu po stracie najbliższych, jednak było jej sądzone dalsze życie. Wiedziała, co przeżywa Lydia, i w duchu zaczęła się modlić dla niej o odwagę, która pomoże udźwignąć nieszczęście.

– Chcesz wyjąć kulę? – spytała Lydia łamiącym się głosem.

– Nie. Jest zbyt blisko serca. To mogłoby go zabić.

Zaszlochała cicho i padła na kolana. Chwyciła dłoń Rossa.

– On jest mocny. Będzie żył. Wiem to.

Ranny był nieprzytomny. Dopiero po dłuższej chwili powieki mu drgnęły i oczy z wolna się otworzyły. Błądził spojrzeniem po pokoju, aż napotkał wzrok żony. Znalazł w sobie dosyć siły, by palcami dotknąć jej włosów.

– ...zostań... z...

– Zostanę, zostanę. – Łzy spływały jej po policzkach; starła je machinalnie i ucałowała rękę Rossa. – Nigdy cię nie opuszczę. Zawsze będę z tobą. Zawsze.

Banner stała z drugiej strony kanapy. Patrzyła na masywną pierś ojca. Skóra, zwykle opalona i zdrowa, teraz wydawała się szara, a ciemne włosy zdawały się czarne. Rana znajdowała się tuż powyżej blizny, która ją zawsze intrygowała. Rodzice mówili, że to pamiątka z wojny, lecz teraz nie była tego pewna. Grady, zanim strzelił do ojca, zawołał go jakimś obcym imieniem.

Sonny Clark.

Ojcu musiało być ono znane, podniósł bowiem głowę. Mama zresztą też. Jaka tajemnica kryła się za tym? Kto był ojcem dziecka, które matka urodziła w lesie, zanim znalazł ją Jake? Kim naprawdę był ojciec?

Czy to zresztą ma jakieś znaczenie? Boże, dlaczego zastanawiała się nad tym przez tyle lat? Ojciec był umierający i Banner nie obchodziło, w jakich okolicznościach matka go poślubiła. Nieważne było również, jak się kiedyś nazywał. Kocha go i jeśli on umrze, część jej samej umrze razem z nim.

Życie bez ojca? Bez jego siły? Bez radosnego śmiechu spod wąsów, które tak zabawnie łaskotały przy pocałunku? Nie!

Na dodatek pokłóciła się z nim tuż przed tym nieszczęściem.

Grady! Żebyś z piekła nie wyszedł!

Zalała się łzami.

Drugi raz dzień ślubu kończy się tragedią.

Jake obmył ranę Rossa wodą, którą przyniosła Ma. Starał się zatamować krew za pomocą bandaży. Ross jeszcze ciągle oddychał, ale przychodziło mu to z największym trudem.

Widać jednak było, że walczy o zachowanie przytomności. Spojrzał na Jake'a; jego zielone oczy były zamglone bólem, ale świadome. Miał kilka spraw do załatwienia, zanim umrze, i musiał się upewnić, że rodzina spełni jego polecenia.

– Zawołaj Lee i Banner – jęknął.

Mówienie kosztowało go wiele wysiłku, lecz nikt nie ośmielił się odwieść go od rozmowy. Ma wypchnęła Lee do przodu. Chłopak nie mógł uwierzyć, że ojciec, zawsze taki silny, zawsze gotowy do obrony wszystkich przed nieszczęściem, teraz sam walczy o każdą chwilę życia. Banner uklękła obok matki. Ma i Jake cofnęli się.

Wzrok Rossa skupił się na Lee. Kochał go i był wdzięczny za niego Victorii Gentry.

Teraz Banner. Uśmiechnął się na wspomnienie jej żarliwych próśb o opowiadanie bajek. Nadal czuł zapach jej flanelowych koszul nocnych i dotyk małych stopek, które rozgrzewał dłońmi. Obecnie jego córka jest

już kobietą – śliczną, pełną uroku młodą damą, taką samą jak jej wspaniała matka.

Na takie rozważania nie miał jednak czasu. Tak naprawdę, to powinien był umrzeć już dwadzieścia lat temu, kiedy został ranny w napadzie na bank. Bóg zachował go od śmierci, dał mu jeszcze jedną szansę, zesłał mu nieoczekiwany dar w postaci Lydii. Teraz nie miał prawa opierać się woli bożej.

– Powiedz im.

Słowa zabrzmiały stanowczo, choć kosztowały go ogromnie dużo.

Lydia nie musiała pytać, o co mu chodzi.

– Jesteś pewien?

Tylko raz mrugnął powieką.

Lepiej, żeby jego dzieci wiedziały, dlaczego umiera w takich okolicznościach. Nie było sensu dłużej zachowywać tajemnicy. Będą go mniej kochały? Popatrzył na ich załzawione oczy – chyba nie.

Lydia dotknęła jego ciemnych włosów, gdzieniegdzie posrebrzonych siwizną.

– Kocham cię, Sonny Clark – rzekła głośno i pocałowała go w czoło. Potem zwróciła się do dzieci: – Tak, wasz ojciec naprawdę nazywa się Sonny Clark. Jego matka była prostytutką, a on wychował się w domu publicznym. Po wojnie, jako członek bandy Jesse i Franka Jamesów, został wyjęty spod prawa.

Cichym, pozbawionym emocji głosem opowiedziała nieprawdopodobną historię życia Rossa; o tym, jak ranny w napadzie na bank, porzucony przez kompanów i praktycznie skazany na śmierć, znalazł opiekę u pustelnika Johna Sachsa na wzgórzach w Tennessee.

– Gdy wyzdrowiał, zmienił swój wygląd i zszedł w dolinę, w poszukiwaniu pracy. Zatrudnił go pan Gentry w swoich stajniach. Tam właśnie spotkał twoją matkę, Lee. Pochodziła z arystokratycznej rodziny, ale zakochała się w chłopcu stajennym. Nie dziwię się jej wcale.

Ross poślubił Victorię mimo sprzeciwów jej ojca, po czym zdecydowali się wyjechać do Teksasu, gdzie otrzymali na własność kawałek ziemi od

owego pustelnika, który go uratował. To miejsce stało się zaczątkiem River Bend.

Victoria trzeźwo patrzyła na życie, toteż na wszelki wypadek zabrała z domu kasetkę z biżuterią. Jej ojciec podejrzewał Rossa o kradzież i ruszył za młodymi w pościg. Ponieważ opuścili dom pod jego nieobecność, więc nie wiedział, w jakim kierunku się udali.

– Nie wiedział nawet, że Victoria jest w ciąży, ani tego, że zmarła przy twoim urodzeniu, Lee, dopóki nie natknął się na nas w Jefferson. Dowiedział się jakoś o przeszłości Rossa. Nie wierzył, że jesteś jego wnukiem, i chciał zastrzelić twego ojca, oskarżając go o śmierć Victorii. W ostatnim momencie zastrzelił go detektyw Majors.

Ross dotknął jej ręki; zrozumiała ten gest.

– Strzelił... do... – zachrypiał Ross.

Lydia podniosła głowę i spojrzała na dzieci.

– Ta blizna na moim ramieniu... – powiedziała nieśmiało. – Próbowałam go zasłonić.

W pokoju zapanowała głęboka cisza. Słychać było jedynie tykanie zegara.

– Co się stało z tym detektywem, Majorsem? – spytał Lee.

– Nigdy go już nie spotkaliśmy – odrzekła cicho Lydia i tkliwie uśmiechnęła się do męża. – Pozwolił Rossowi odejść. Uznał, że wasz ojciec odpokutował za swą winę. Nie był już Sonnym Clarkiem. Był Rossem Colemanem.

Zwróciła się do Lee.

– Wciąż mamy tę biżuterię. Zachowaliśmy ją, bo należała do twojej matki i jej rodziny. Planowaliśmy ci ją dać, gdy skończysz dwadzieścia jeden lat.

– Czy nikt poza ludźmi, których wymieniłaś, nie znał przeszłości ojca? – spytała Banner.

– Nie. Nawet Ma.

Lydia z rozczuleniem popatrzyła na starą kobietę popłakującą cicho. Micah głaskał ją po ramieniu.

– A Jake? – wyszeptała Banner, szukając wzroku męża.

– Nie wiedziałem wszystkiego ani nie znałem żadnych szczegółów – odpowiedział Langston za Lydię.

– Jak więc Grady mógł się o tym dowiedzieć? – zastanawiała się Banner, ale pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Mamo, miałaś dziecko, zanim mnie urodziłaś, zanim poznałaś ojca?

Lydia zadygotała z przerażenia, obserwując twarze zebranych. Nikt nie przyznał się do wyjawienia tajemnicy. Jake odpowiedział na niezadane przez Lydię pytanie:

– To na pewno robota Priscilli.

– Priscilli? – powtórzyła za nim Lydia. – Priscilli Watkin? Kiedy? Gdzie?

– W Fort Worth. Zaczepiła Banner na ulicy. Rozmawiały, dopóki im nie przeszkodziłem.

Lydia zamarła. Opuściła głowę, upokorzona. Hańba, o której usilnie pragnęła zapomnieć, wróciła, aby ją prześladować, i to w najgorszym dniu życia. Poczuła uścisk ręki Rossa; nachyliła ucho do jego ust.

– Dla mnie… to… nie miało… żadnego zna… znaczenia – słyszała jego przerywany szept.

Łzy na nowo popłynęły z jej oczu. Kilka z nich padło Rossowi na twarz. To nie był płacz rozpaczy, to był objaw prawdziwej miłości.

Banner podeszła i podniosła matkę.

– Mamo, przepraszam cię. To mnie nic nie obchodzi. Kocham cię. Byłam tylko ciekawa…

Lydia potrząsnęła głową.

– Najlepiej będzie, jeśli powiem prawdę. – Przerwała na moment, by wziąć głęboki oddech. – Uciekałam. Upadłam w lesie i poroniłam. Myślałam, że zabiłam ojca tego dziecka, to był mój przyrodni brat. Nie było między nami więzów krwi. Moja matka wyszła za mąż za człowieka o nazwisku Otis Russell, kiedy miałam około dziesięciu lat. On i Clancey, jego syn, zamienili nasze życie w piekło.

Opowiedziała o śmierci Otisa i gwałcie Clanceya.

– On… on… zaszłam w ciążę… z nim. Po śmierci mamy uciekłam. Ścigał mnie. Znalazł mnie, ale ja nie chciałam wracać do tego domu. Doszło do kłótni, kopnęłam go, a on się przewrócił i uderzył głową o głaz. Myślałam, że nie żyje, więc uciekłam. Nie chciałam być oskarżona o jego śmierć. Byłam zadowolona, że dziecko urodziło się martwe, i sama też chciałam umrzeć. Kiedy się ocknęłam, Bubba klęczał nade mną.

Lydia spojrzała w kierunku Jake'a i uśmiechnęła się.

Coś zakłuło Banner w sercu.

– Langstonowie zaopiekowali się mną – kontynuowała Lydia. – Potem zabrano mnie do Rossa, który właśnie został po śmierci Victorii Gentry z głodnym niemowlęciem, a moje piersi były pełne pokarmu. Pielęgnowałam cię, Lee, i zawsze kochałam jak własne dziecko.

– Wiem, mamo. – Lee walczył z cisnącymi się do oczu łzami.

– Ale Clancey nie umarł. Odnalazł nasz tabor. Byłam już wtedy żoną Rossa. Nie wiem, w jaki sposób, ale odkrył jego przeszłość. Wiedział również o biżuterii, którą Ross rzekomo ukradł. Szantażował mnie. Bałam się go. Obawiałam się, że może wyrządzić krzywdę Rossowi albo Lee. – Spojrzała na chłopca. – Swego czasu nawet podejrzewał, że jesteś jego synem i że go okłamałam, mówiąc o śmierci naszego dziecka. Był zdolny do każdej podłości.

Wstała i podeszła do Ma. Chwyciła ręce starej kobiety w swe dłonie i zapatrzyła się w jej twarde rysy, które tak bardzo kochała.

– Ma, to Clancey Russell zamordował Luke'a. Wybacz, że ci tego dotąd nie powiedziałam, ale nie mogłam…

Ma wyciągnęła ręce, objęła Lydię i pogłaskała po plecach.

– Tym akurat nie musiałaś się przejmować. Co to ma za znaczenie, kto go zabił…

Lydia mówiła dalej:

– On zamordował również Winstona Hilla, który stanął w mojej obronie. To jeszcze jedna bolesna tajemnica, z którą przyszło mi żyć aż do teraz.

– Co się z nim stało? – spytała Banner.

– Nie żyje – odparła Lydia cicho, ale z takim naciskiem, że nikt nie miał ochoty pytać dalej.

– Ja go zabiłem – powiedział wyraźnie Jake.

Wszystkie oczy zwróciły się na niego; nawet Ross zareagował na te słowa.

– Tej nocy, gdy przyjechaliśmy do Jefferson, podsłuchałem, jak szantażem zmusza Lydię, by oddała Rossa w ręce szeryfa. Przechwalał się też, że zabił Luke'a. Poszedłem za nim do miasta, odczekałem, aż znajdzie się sam w ciemnej alei, i nożem Luke'a rozprułem mu brzuch. – Odwrócił się do matki. – Jeśli to może być jakąś pociechą, to wiedz, że twój syn został pomszczony.

Podeszła i palcami dotknęła policzka Jake'a. Potem, tracąc swą zwykłą oschłość, przygarnęła go do siebie z ogromną matczyną miłością. Słowa Jake'a wiele jej wyjaśniły: jego zgorzknienie, uprzedzenie do ludzi, samotność z wyboru. Wziął na siebie ciężar za całą rodzinę, i to w czasie, kiedy sam był jeszcze chłopcem.

– Bubba – odezwał się zachrypnięty głos z kanapy.

Jake natychmiast podszedł do Rossa. W cichym porozumieniu wszyscy cofnęli się na taką odległość, by nie słyszeć, co ci dwaj mają sobie do powiedzenia. Jake pochylił się nad przyjacielem.

– Tak, Ross?

– Dziękuję ci... – słowa były ledwie słyszalne; w oczach leżącego pojawiły się łzy. – To ja... chciałem go... go za... zabić.

Jake uśmiechnął się blado.

– Uznaj, Ross, że zrobiłem to za ciebie.

– Przepraszam za...

Jake potrząsnął głową.

– Wiedziałem, że nie miałeś zamiaru bić się ze mną na serio. Nie ma o czym mówić. Zaskoczyliśmy cię z Banner.

– Z Ban... ner...

– Kocham ją, Ross. W życiu nawet nie śmiałem na coś takiego liczyć, ale...

Ross skierował wzrok na Lydię.

– Tak... tak, to się... czasem... czasem zdarza.

– Miałeś rację: Banner nosi w łonie moje dziecko.

Zielone oczy Rossa rozjaśniły się.

Jake mówił dalej:

– Nie potrafię wyrazić, jaki jestem dumny, że będę miał dziecko z twoją córką, Ross. Wyobrażasz sobie, co z niego wyrośnie?

Usta rannego drżały, ale uśmiechnął się.

– Ty i ja, co? To... będzie...

– Powiedz to Lydii... Ona tego potrzebuje...

Skinął głową.

– Wyrósł z... ciebie... całkiem... mężczyzna... Bubba.

Jake zamknął oczy, chcąc powstrzymać napływające łzy. Kiedy je otworzył, widział twarz Rossa jak przez mgłę.

– Nie wiem, czy... czy ci to już... kiedyś mó... wiłem, że poza bra... bratem, nigdy... żadnego... żad... mężczyzny nie lubiłem tak jak ciebie...

Ross się uśmiechnął i próbował skinąć głową.

– I to... teraz... też.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Ochraniaj Lydię...

– Bądź spokojny.

– Żegnaj, przyjacielu.

– Żegnaj, Ross.

– Lydia – odezwał się od drzwi Micah. – Doktor przyjechał. I szeryf chce się widzieć z Jake'em.

*

Priscilla opiłowywała sobie paznokcie. Wykąpała się, wyperfumowała i upudrowała w oczekiwaniu na swego gościa. Ubrana była jedynie w zwiewny szlafroczek. Włosy upięła na samym czubku głowy. Wyglądała pociągająco.

Przebiegły uśmiech wykrzywił jej usta. I pomyśleć, że jeszcze kilka tygodni temu martwiła się o przyszłość. Teraz już wiadomo, że niepotrzebnie.

Jeśli Grady Sheldon liczył na to, że uda mu się opuścić wschodni Teksas po zastrzeleniu Rossa Colemana, jak się przechwalał, to był większym głupcem, niż podejrzewała. Utwierdzała go w takim przekonaniu, podniecała jego próżność i umacniała jego nienawiść, aż w końcu wmówiła mu, że zabicie Rossa Colemana jest jego życiową misją.

Słyszała, że River Bend nie należała do najbardziej imponujących posiadłości w stanie Teksas. Ale Ross Coleman z całą pewnością ma u siebie ludzi, którzy nie będą stali z założonymi rękami, podczas gdy jakiś narwany gość będzie strzelał do ich pracodawcy. A nawet gdyby żaden z robotników nie zareagował, to Ross Coleman zastrzeli Grady'ego, nim ten zdąży mrugnąć okiem.

Priscilla była pewna, że jej nowy kochanek długo na tym świecie nie pożyje. Wcale jej zresztą na tym nie zależało. Ważne było tylko to, że uczynił ją swoją wspólniczką. Przy pomocy zaprzyjaźnionego adwokata sporządziła odpowiednią umowę. Grady był tak upojony myślą o zemście i wyczerpany miłosnymi zachciankami Priscilli, że nawet nie przeczytał wszystkich klauzul, jakie umieściła w dokumencie. Jedna z nich na przykład stanowiła, że w razie śmierci jednego ze wspólników cały majątek spółki przechodzi na drugiego. Była w stanie z dość dużą dokładnością określić czas, kiedy stanie się właścicielką całego interesu.

Odłożyła pilnik i w tym momencie usłyszała pukanie do drzwi.

– Kto tam?

– Przyszedł pani gość, panno Priscillo – powiedział zza drzwi kelner.

– Przyślij go tu.

Muzyka i hałas z baru wdarły się do pokoju, jednak zamilkły natychmiast po zamknięciu drzwi. Priscilla nie odwróciła się; widziała, jak cień Duba Abernathy'ego przesuwa się po ścianie salonu. Kiedy dawno niewidziany klient wszedł do sypialni, podniosła głowę i spojrzała na niego zalotnie.

– Czyżbyś gniewał się na mnie?

Gniewał się. Od tego pamiętnego dnia, kiedy podeszła do niego na głównej ulicy miasta w biały dzień. Jej bezczelność odebrała mu wówczas mowę; najchętniej skręciłby jej kark. Była sprawczynią piekła w jego domu. Zaledwie tydzień temu odzyskał łaski żony obietnicą wakacji w Nowym Jorku.

Wczoraj dostał ozdobne, przez umyślnego posłańca doręczone do rąk własnych, zaproszenie.

Skrucha biła z twarzy Priscilli, gdy podnosiła się z krzesła na jego widok. Sprawdziła jeszcze, czy fałdy szlafroczka układają się zalotnie, i z wystudiowanym wahaniem zbliżyła się do Duba.

– Przepraszam cię, Dub, ale byłam po prostu zazdrosna – powiedziała, rozkładając bezradnie ręce. – Twoja żona ma cię na własność. Widziałam, jak pomagałeś jej wsiąść do powozu, i wstąpił we mnie jakiś diabeł. Czy to w porządku, że muszę czekać, aż znajdziesz chwilę, żeby mnie odwiedzić?

Podeszła jeszcze bliżej i stanęła przed nim.

– Przykro mi, jeśli przysporzyłam ci kłopotów. Proszę o wybaczenie.

Docierał do niego jej oddech; miał delikatny zapach whisky, i to gatunku, który uwielbiał. Jej ciało wyglądało jak rzeźbione w kości słoniowej i sprawiało wrażenie świeżego jak skórka brzoskwini. Usta czerwone, błyszczące i wilgotne. Na nogach miała pantofelki i czarne pończochy, za jakimi przepadał. Pod szlafrokiem była naga. Gdy oddychała głębiej, mógł dojrzeć czubki jej piersi poruszające się swobodnie przy każdym ruchu. Zrobiło mu się gorąco. Na górnej wardze poczuł kropelki potu. Była kurwą, prawda, ale taką, z którą żadna nie mogła się równać. Jak długo uznaje jego warunki, tak długo może się z nią zabawiać.

Rzucił kapelusz i płaszcz na krzesło. Bez żadnego wstępu zanurzył rękę w jej włosach, a drugą objął ją, przytulając się do jej brzucha.

– Nigdy więcej tego nie rób – przestrzegł ją jeszcze.

Zamknęła mu usta wargami. Nie było w tym geście cienia czułości, lecz zwykła zachłanność.

Potrząsnęła ramionami i szlafrok opadł z jej ciała. Kilkoma sprawnymi ruchami rozebrała także Duba. Nadzy padli na łóżko.

Tak jak pocałunek, również zbliżenie pozbawione było czułości.

Każde z nich chciało dla siebie jak najwięcej.

*

– Szkoda, że to ostatni raz…

Był tak zajęty swoimi myślami, że minęło kilkanaście sekund, zanim dotarł do niego sens jej słów.

– Co masz na myśli?

Odsunęła się od niego i wstała. Podeszła do toaletki, wzięła w rękę szczotkę i rozpuściwszy włosy, zaczęła je czesać.

– Sprzedaję Ogród Edenu i wyjeżdżam z miasta.

– Sprzedajesz? Nie rozumiem. Dokąd się wybierasz?

– To już moja sprawa, Dub – powiedziała, obserwując jego odbicie w lustrze.

Wyglądał śmiesznie: nagi, tłusty, z głupią miną.

Zdecydowała się wyjechać do Larsen. Bez względu na to, czy Grady'emu uda się przeżyć, czy nie, chciała od razu doglądać interesu. Poza tym był tam Jake. Mógł uważać, że między nimi wszystko skończone, ale ona nie ustanie, dopóki Jake nie przyjdzie do niej na klęczkach, błagając…

– Zmieniam branżę – dodała tytułem wyjaśnienia.

Dub zaśmiał się. Wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

– No cóż? Życzę ci szczęścia. Ale nie sądzę, abyś w jakiejkolwiek innej branży mogła być tak dobra jak w tej.

Wyprostowała się i spojrzała na niego wyniośle.

– Cieszę się, że jesteś wesoły. Jutro już nie będzie ci tak radośnie. W jutrzejszej poczcie nasz pastor otrzyma mój list. Wyznałam w nim wszystkie grzechy, łącznie z tym, że uprowadzałam z jego owczarni co tłustsze owce. Albo raczej – barany.

Przerwał zapinanie kamizelki.

– Nie zrobiłaś tego.

Zaśmiała się słodko.

– Oczywiście, że tak. Proszę go o modlitwę za mnie, za mą przeklętą duszę. Okazuję skruchę, operując nazwiskami. Twoje jest na pierwszym miejscu, i to drukowanymi literami.

Odrzuciła głowę do tyłu i popatrzyła na niego wyzywająco.

– Byłam dobra dla ciebie do popołudniowych schadzek i amorów, ale kiedy przyszło ci pomóc mi w kłopotach, obronić przed tymi opętanymi fanatykami, to wyparłeś się mnie. Wolałeś, żeby mnie zrujnowano. Cóż, nadszedł czas, byś ty i tobie podobni skurwysyńscy hipokryci zapłacili za swą dwulicowość.

– Ty przeklęta kurwo! – wrzasnął.

– Jeżeli mnie uderzysz, pójdę natychmiast do kaznodziei i powiem mu, do czego jesteś zdolny – ostrzegła, jako że szedł już w jej stronę z podniesioną ręką.

Groźba powstrzymała go. Opuścił rękę, ale twarz miał dalej wykrzywioną wściekłością, a w piersi wzbierał mu gniew.

Drżącymi palcami zapiął płaszcz.

– Nie zapomnij kapelusza, kochanie! – zawołała Priscilla słodko, gdy stał już w drzwiach.

Jej śmiech gonił za nim długo.

Priscilla tanecznym krokiem obiegła pokój i padła na łoże, zanosząc się od śmiechu. Widok apoplektycznie zmienionej twarzy Duba wart był tygodni przygotowań, godzin spędzonych na znoszeniu niewybrednych poczynań miłosnych Grady'ego, poniżeń doznawanych na ulicy.

Wybiła godzina zemsty.

Dub Abernathy szedł jak pijany, przepychając się łokciami przez kotłujący się w barze tłum. Oczami przebiegał spocone twarze, aż natknął się na tę, której szukał. Skinieniem głowy wywołał mężczyznę na zewnątrz. Po chwili spotkali się w ciemnym zaułku na tyłach Ogrodu Edenu. Rozmowa była krótka, polecenie jednoznaczne.

Mężczyzna wrócił do baru. Dub Abernathy poszedł dwie ulice dalej, gdzie zostawił swój pojazd. Wdrapał się na siedzenie, cmoknął na konia i ruszył w ciemną noc.

Rodzina czekała.

*

Sugar Dalton obudziła się wcześniej niż zwykle. Jeszcze nawet nie świtało. Czuła ból w lewym ramieniu i kwaśny smak alkoholu w ustach.

Usiadła na skraju łóżka. Trzęsącymi się rękoma objęła głowę i kołysała się jednostajnie.

Co takiego wczoraj zjadła, że czuje się tak podle? Czy w ogóle coś jadła?

Gdy tylko dostała swoją nagrodę, przepijała ją bez opamiętania.

Schodziła niepewnie po schodach; pomyślała, że musi wyjść na świeże powietrze. Przeszła przez ciemne pokoje i wyszła tylnymi drzwiami. Pod bosymi stopami poczuła zimną rosę, która osiadła na maleńkim trawniku między tylnym wyjściem a bramą zamykającą podwórze. Podniosła głowę i ujrzała przerażający widok. Szare, mgliste światło rodzącego się dnia przydawało straszliwej barwy całej tej scenerii: właścicielka Ogrodu Edenu wisiała przybita gwoździami do drewnianej ściany domu.

Pętla ze sznura była zaciśnięta wokół jej szyi. Twarz Priscilli była sina, a wysunięty język i wargi – purpurowoniebieskie. Oczy rozwarte i wytrzeszczone. Zlepione kosmyki piaskowoszarych włosów, poruszające się przy każdym podmuchu wiatru, wyglądały jak strzępy mchu na gałęziach obumarłego drzewa. Jej ręce i nogi były szeroko rozciągnięte. Rdzawe plamy zastygłej krwi na wewnętrznej stronie dłoni i na stopach, w miejscu, gdzie przebiły je gwoździe, świadczyły o potworności zbrodni.

Była naga.

Sugar chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobył się jedynie ochrypły jęk. Chciała biec, ale nogi ugięły się jej w kolanach i odmówiły posłuszeństwa. Serce, wycieńczone od lat alkoholem, przestało bić. Wilgotna ziemia zagłuszyła odgłos padającego ciała.

*

Kaznodzieję denerwował fakt, że nie dostarczono mu jeszcze popołudniowej poczty. Takie opóźnienie było niewybaczalne i to właśnie powiedział pocztmistrzowi. Zdenerwowanie duchownego zostało nieco złagodzone przez nagłówki lokalnej gazety. Tragiczna śmierć Priscilli Watkin i zgon Sugar Dalton dostarczyły mu świetnego tematu do kazania na najbliższą niedzielę.

Mieszkańcy Fort Worth ze zgrozą czytali opisy śmierci; zmarły dwie córy Koryntu – jedna z nich śmiercią gwałtowną. Można by jej żałować – pisała gazeta – ale wiadomo, że kto sieje wiatr, zbiera burzę.

Zresztą kurwy na terenie Pół Akra Piekła umierały dość często…

*

To wyglądało na cud – Ross wciąż żył.

Noc mijała wolno. Lydia słyszała bicie zegara, ale nie odstępowała męża ani na chwilę. Z każdą mijającą godziną oddychał on z coraz większym trudem.

Tylko wielkim wysiłkiem woli Lydia powstrzymała się od krzyku, gdy doktor po obejrzeniu rany smutno pokiwał głową i stwierdził, że nic zrobić nie może. Nawet Jake, o którego temperamencie lekarz nasłuchał się niestworzonych rzeczy od swego kolegi, milczał. Powszechnie wiedziano, że tylko niespożytej sile i żelaznemu sercu zawdzięcza Ross kolejne chwile swego życia.

On też to wiedział. Przed kilkunastoma godzinami pożegnał się z dziećmi. Banner szlochała żałośnie, Lee usiłował się opanować, ale miał łzy w oczach. Gdy opuścił dom, Micah poszedł za nim.

– Lepiej, jak z nim będę – rzekł do Jake'a.

Wsiedli na konie i pojechali w pole.

Lydia była spokojna o Lee; on da sobie radę.

Bardziej bała się o córkę. Współczuła jej, ponieważ znów przeżyła ona szok w dniu swego ślubu. Rozczuliła się na wiadomość, że Jake jest oficjalnie członkiem rodziny, aczkolwiek za takiego uważała go od dawna. Kiedy poinformował ją, że wziął ślub z Banner, i wyjaśnił powód bójki z Rossem, rozpłakała się z radości i wyściskała ich oboje.

– Ross zareagował jak to ojciec. Gdyby miał czas do zastanowienia, pewnie cieszyłby się tak samo jak ja – powiedziała, kładąc zięciowi rękę na ramieniu.

– Pogodziliśmy się – odparł Jake.

Po ostatnich słowach Rossa skierowanych do Banner, wyrażających zadowolenie z jej małżeństwa, nikt nie mógł jej uspokoić. Dopiero Ma zmusiła ją do położenia się na kanapie w salonie. Jake siedział obok niej. Ma trzymała straż w kuchni, gotując herbatę i kawę, których jednak nikt nie chciał pić.

Lydia trwała wciąż przy boku Rossa. Nawet gdyby to miała być jej ostatnia noc w życiu, pragnęła ją spędzić z mężem.

Teraz, jakby na jej prośbę, Ross otworzył oczy i spojrzał na nią przytomnie. Bóg był miłosierny: Ross ze wszystkimi się pożegnał, a obecnie przyszła kolej na Lydię, kobietę, którą kochał bardziej niż własne życie.

Bez widocznego wysiłku podniósł rękę i dotknął jej włosów.

– Pamiętasz, jak bardzo… bardzo lubiłem… je pieścić…

Nachyliła się, by nie widział jej łez. Nie chciała płaczem zakłócać tych ostatnich chwil. Gdy podniosła głowę, w oczach miała tylko błyski.

– Tak. Byłeś cudowny.

– I teraz kocham ich… dotyk.

– Kocham cię – szepnęła.

– Wiem – powiedział cicho. Odgarnął włosy z jej policzka. – Pamiętam moment, kiedy pierwszy raz na ciebie spojrzałem. Zatraciłem… zatraciłem się na twój widok, Lydio.

Zduszony szloch wydarł się z jej gardła.

– Chciałam cię ogolić.

– Pamiętam wszystko.

– Ja też. Każdy moment z tobą był wspaniały. Moje życie zaczęło się dopiero wtedy, gdy cię poznałam. – Czołem dotknęła jego czoła. – Gdyby Jake nie zabił Sheldona, ja bym to zrobiła. Ale dlaczego on strzelił do ciebie?

– Cicho, cicho, nieważne. To mogło się stać w każdej chwili w czasie ostatnich dwudziestu lat. Spędziliśmy ze sobą tyle cudownych chwil. Nie wymagajmy za wiele…

– Gdy w grę wchodzi twoja osoba, zawsze będę czuła niedosyt. – Żarliwie całowała jego ręce.

Ciało mężczyzny wyprężyło się pod wpływem bólu. Lydia osunęła się na kolana. Położyła mu rękę na spoconym czole.

Kiedy minęła fala bólu, znowu spojrzał na nią przytomnie.

– Jak ja wytrzymam bez ciebie w niebie?

– O, Ross! – Dłużej nie potrafiła kryć bólu: zapłakała. – Tobie czas będzie mijał szybko. Ale co ze mną? Jak ja mam żyć bez ciebie? Nie mogę. Pozwól mi iść z tobą.

Potrząsnął głową i dotknął jej ręki; myślał o dziecku Banner, o którym żona jeszcze nie wiedziała.

– Nie możesz. Nasze dzieci bardzo cię potrzebują. Lee byłby niepocieszony, a Banner…

– Banner ma Jake'a. Bardzo się kochają.

– Życzę im tego, co myśmy…

– Nikt nie będzie miał tego, co było nam dane przeżyć.

– Tak myślą wszyscy zakochani. – Cień uśmiechu przemknął mu po twarzy.

– W naszym przypadku to prawda – powiedziała; końcami palców dotykała jego czoła, policzków, warg, które tak bardzo kochała. – Dzięki tobie…

Przymknął oczy z bólu.

– Nie, kochanie… to dzięki tobie. – Po omacku sięgnął do jej twarzy.

Chwyciła jego rękę i położyła sobie na piersi.

– Lydio… Lydio… Lydio…

Umarł z jej imieniem na ustach.

A Lydia trwała w bezruchu przy jego ciele.

*

Banner obudziła się nagle. Sen zniknął bez śladu. Od razu była świadoma wszystkiego. Różowy świt sączył się przez zasłony. Ma posapywała cicho przez sen.

Banner wiedziała, że ojciec nie żyje.

Zauważyła, że Jake'a nie ma obok niej. Odrzuciła koc, którym ją okrył. W pończochach poszła do holu. Stanęła w progu jak wryta.

Matka stała z głową opartą na ramieniu Jake'a i płakała. Trzymał ją mocno w ramionach i czule głaskał po plecach. Ustami muskał jej włosy.

Banner wycofała się, zanim któreś z nich ją zauważyło.

Rozdział 26

– Jutro wyjeżdżam z Lee do Tennessee.

Spokojne słowa Lydii wywołały zdziwienie u wszystkich jedzących śniadanie w River Bend; tego nikt się nie spodziewał.

Lydia wytarła usta serwetką i popiła łyk kawy. Banner, Jake, Ma i Micah patrzyli na nią zaskoczeni. Tylko Lee nie był zdziwiony.

Jake odłożył widelec i oparł łokcie na stole.

– Do Tennessee? Po co?

Lee chrząknął głośno. Patrzył w bok, unikając wzroku Micaha. Nie mieli przed sobą żadnych sekretów, odkąd Ma Langston zamieszkała w River Bend.

– Chcę zobaczyć miejsce, skąd pochodzi moja matka – powiedział w końcu Lee. – Może żyją tam jacyś dalsi krewni. Lydia chce pojechać ze mną, by pokazać mi miejsca, o których ojciec jej opowiadał. Cała wyprawa potrwa pewnie miesiąc, może dwa.

Od pogrzebu Rossa minęły dwa tygodnie, a mimo to każde napomknienie o nim wywoływało niezręczne milczenie.

– Lydio, jesteś pewna, że chcesz tam jechać? Teraz? – spytał Jake.

Banner opuściła oczy, a ręce ułożyła na kolanach. Straciła apetyt. Ciąża była tylko jedną z przyczyn tego stanu rzeczy. Za każdym razem, gdy Jake patrzył na Lydię zatroskanym wzrokiem, czuła w sercu ból.

– Jak najbardziej – odrzekła spokojnie. – Ta podróż przyda się Lee. On odczuwa ogromną potrzebę poznania swoich krewnych. Poza tym wyjazd będzie dobry również dla mnie. Ten dom, ta ziemia, to wszystko tutaj przypomina mi Rossa. – Łzy zalśniły w jej oczach. – Wspomnienia są tak świeże…

Lee odsunął krzesło i wstał.

– Micah, pojechałbyś ze mną dzisiaj do Larsen? Muszę kupić parę rzeczy przed wyjazdem.

Razem ruszyli do drzwi, razem chwycili wiszące na kołkach kapelusze i wyszli bez słowa. Lee czuł się winny, bo nie wspomniał przyjacielowi o planowanym wyjeździe, ale przyrzekł Lydii, że zachowa to w sekrecie. Dopiero w czasie jazdy, kiedy spojrzeli sobie w oczy, zrozumieli się bez słowa.

– Mam nadzieję, że dasz nam znać, gdzie będziesz przebywał. Słyszałem, że w Tennessee są całkiem niezłe dziewuchy. Może byś mi tak jakąś przywiózł, co?

– Jake, jak skończysz śniadanie, przyjdź do biura. Chciałabym omówić z tobą pewne sprawy. Wolałabym upewnić się, że wszystko jest w porządku, zanim wyjadę – poprosiła Lydia.

– Jestem do twojej dyspozycji.

Wstał, przysunął krzesło do stołu i poszedł za Lydią.

Banner patrzyła za nim ze ściśniętym sercem. Siedziała nad herbatą, która zdążyła już wystygnąć, i rozważała swoją sytuację. Ma dosiadła się do niej.

– Co ci jest, dziewczyno?

– Straciłam ojca. Bardzo mi go brak.

– Co jeszcze?

– Nic.

– Nie gadaj bzdur! – Położyła jej ręce na ramionach. – Pamiętasz, jak potrafiłam trzymać cię tak długo, aż zjadłaś swą owsiankę? Mogę to powtórzyć, jeśli mi zaraz nie powiesz, co cię trapi.

Banner uniosła hardo głowę.

– Straciłam ojca dwa tygodnie temu. Został zastrzelony na moich oczach.

– Nie mam zamiaru siłą wydobywać z ciebie zwierzeń. Myślisz, że nie wiem, że śmierć ojca to ciężki cios? To przecież zrozumiałe. Ale dopiero co

pobraliście się z Jake'em, a ty mi wcale nie wyglądasz na szczęśliwą mężatkę. Coś popsuło się między wami?

– Nie! – rzuciła krótko. Nie chciała rozmawiać z nikim o tym, co ją naprawdę boli.

– Powiedziałaś mu o dziecku?

Banner popatrzyła na Mę ze zdumieniem.

– Skąd wiesz?

– Byłam tyle razy w ciąży, że doskonale rozpoznaję objawy. Gdyby twoja matka nie była tak zaganiana, też by to zauważyła. Jake wie?

– Tak.

Cała hardość opuściła nagle Banner. Bawiła się serwetką, próbując ją rozprostować.

– Dlatego ożenił się ze mną.

– Nie wierzę w to.

– Ale to prawda! On mnie nie kocha. On kocha… – ugryzła się w język, choć bardzo pragnęła dokończyć to zdanie.

– Kogo?

– Nieważne. Nie wiem. – Wstała z krzesła i podeszła do okna. – Na pewno nie mnie. Żyjemy ze sobą jak pies z kotem.

– Dokładnie tak samo zachowywali się twoi rodzice zaraz po ślubie.

– To było co innego!

– Czyżby? Jesteście jedyną ze znanych mi par, która ich przypomina.

Podeszła do Banner i bez ceregieli obróciła ją ku sobie.

– Wyjdź wreszcie z domu i wystaw buzię na słońce. Uczesz się i zadbaj o siebie. I uśmiechaj się do Jake'a, ile razy koło niego przechodzisz. Bo obecnie snujesz się wokoło jak senna mara. Kiedy zamierzasz powiadomić matkę o dziecku?

Banner wzruszyła ramionami. Jake powiedział jej, że Ross, umierając, wiedział o wnuku i cieszył się z tego powodu. Wspólnie zadecydowali na razie nic nie mówić Lydii.

– Nie teraz, bo gotowa zrezygnować z wyjazdu. A wiem, ile ta podróż znaczy dla niej oraz dla Lee.

Ma pogłaskała ją po plecach.

– Zaopiekuję się tobą. Będzie dumna jak paw, gdy wróci.

– Będzie zła, że nic nie wiedziała.

– Ale to ją na jakiś czas zaabsorbuje. I dobrze jej to zrobi. Idź, posiedź trochę na świeżym powietrzu. To ci potrzebne.

Banner wiedziała, że wszystkie rady Ma są mądre i że należy je przyjmować bez oporów.

Wyszła za mąż za mężczyznę, który kocha inną kobietę. Widocznie takie przypadki zdarzają się częściej, niż się ludziom wydaje. Nie może spędzić reszty życia na lamentach, przecież wszystko jeszcze przed nią. Musi wykorzystać każdą szansę i kochać Jake'a, nawet jeśli w jego sercu zajmuje d r u g i e miejsce.

*

Rozterki Banner nasiliły się, kiedy następnego ranka żegnała Lydię i Lee. Grupka smutnych ludzi zebrała się w cieniu starego orzecha.

– Wybrałam to miejsce na dom ze względu na drzewo – mówiła Lydia, spoglądając na gęste gałęzie. – Było wówczas niewiele wyższe ode mnie. Ross żartował, że orzechy będą nam bębniły po dachu.

Uśmiechnęła się przez łzy; wszyscy stali wokół niej z poważnymi minami.

– No cóż! Lepiej zacznijmy się już żegnać, bo spóźnimy się na pociąg.

Najpierw wzięła w ramiona Mę. Jak zawsze z niej zdawała się czerpać siłę.

– Czuwaj nad wszystkim w czasie mojej nieobecności – poprosiła.

– O nic się nie martw. I pamiętaj, że wszyscy będziemy wyglądać twego powrotu.

Lydia zwróciła się do Jake'a. Bez słowa wzięli się w ramiona. Lydia ukryła twarz na jego piersi. Zamknęła oczy, gdy całował ją w policzek. Nie powiedzieli ani słowa. Nie było takiej potrzeby; rozumieli się i tak.

Potem Lydia objęła córkę. Serce Banner krwawiło – była naocznym świadkiem wzajemnych czułości matki i swojego męża, pomimo to wciąż ich darzyła uczuciem. Przywarła do kobiety, która dała jej życie i uczyniła je szczęśliwym.

Lydia odsunęła nieco córkę i patrzyła na jej twarz. Dotknęła brwi łączących się w łuk.

– Twoje oczy z dnia na dzień stają się coraz bardziej podobne do oczu Rossa. – Górna warga zaczęła jej drżeć, przygryzła ją. – Nie zapomnij… dbaj o jego grób…

– Naturalnie, mamo.

– O, Banner! Tak bardzo mi go brak! Modlę się do Boga, byście z Jake'em zawsze byli nierozłączni, żebyś nigdy nie musiała przeżywać bólu rozstania.

Płakały razem, choć każda z innego powodu.

– Mamo, spóźnimy się – przypomniał Lee.

Banner nie wstydziła się łez. Rozcierała je dłonią po twarzy.

Lee najpierw pomógł Lydii wsiąść na wóz, potem wskoczył sam. Chłopak przeszedł metamorfozę po śmierci ojca – zmężniał i wydoroślał, stał się dojrzałym mężczyzną.

Banner wcześniej pożegnała się ze swym przyrodnim bratem, bez słowa wypłakując się w jego kamizelkę.

– Ani się obejrzysz, jak będę z powrotem. A tak przy okazji: trochę byłem zaskoczony, że ty i Jake… Ale muszę ci powiedzieć, że jeśli kiedykolwiek myślałem o starszym bracie czy szwagrze, to zawsze jakoś on przychodził mi na myśl.

– Dziękuję ci, Lee. Pilnuj się i dbaj o mamę.

Micah wskoczył na siedzenie; miał odwieźć wyjeżdżających do miasta.

Gdy ruszyli, Lydia odwróciła się i wszystkim przesłała całusy. Potem wytarła oczy i posłała pocałunek w kierunku świeżej mogiły na wzgórzu; jeszcze dzisiaj rano zaniosła tam kwiaty.

Banner widziała, z jaką trudnością jej matka opuszcza mężczyznę, którego kochała. Ale czułaby się jeszcze gorzej, gdyby miała zostać.

*

– Co robisz po ciemku, Jake? – Micah stanął obok brata, oparł się o płot.

– Rozmyślam. Chcesz zapalić?

– Chętnie. Dziękuję. – Micah wziął podane cygaro.

– Odjechali bez przeszkód. – Dmuchnął na palącą się zapałkę. – Pobeczeliśmy się z Lee jak dwie stare baby.

Jake uśmiechnął się.

– Przyjaciele nie powinni wstydzić się łez.

– Bardzo mi przykro z powodu Rossa, Jake. Był twoim najlepszym przyjacielem.

– Oczywiście. Okropna śmierć dla człowieka: zostać zastrzelonym na własnym podwórzu. – Posmutniał i zwiesił głowę. – Przynajmniej od razu dostałem tego sukinsyna.

– A co stwierdził szeryf?

Tamtego popołudnia wszyscy byli tak przejęci Rossem, że nikt nawet nie spytał o Sheldona.

– Zrozumiał, że działałem w samoobronie. Grady jeszcze po śmierci trzymał palec na spuście. Szeryf powiedział, że nie miałem wyboru. – Jake uśmiechnął się smutno. – Dodał też, że wyświadczyłem mu przysługę; ani przez moment nie wierzył w wyjaśnienia, jakie Grady złożył w związku z pożarem domu Burnsów i ich śmiercią.

– Czytałeś o śmierci Priscilli?

– Tak. Podejrzewam ją, że pośrednio przyczyniła się do śmierci Rossa.

– W takim razie oboje z Gradym zasłużyli na to, by umrzeć.

Palili dalej w milczeniu.

– Spędziłem z Lydią kilka dni w biurze na przeglądaniu ksiąg. Chciała, żebym wiedział wszystko o River Bend. Zrobiła mnie rządcą tu i na Plum Creek.

– A co to takiego Plum Creek?

Jake uśmiechnął się i zaciągnął dymem.

– To ranczo Banner. Jeśli chcesz żyć z nią w zgodzie, to radzę ci: zaakceptuj tę nazwę bez komentarzy. W każdym razie będę miał pełne ręce roboty przy zarządzaniu jednym i drugim gospodarstwem, aż wróci Lee i zdecyduje, co chce dalej robić. Pomożesz mi, braciszku?

– Jasne, Jake. Nie powinieneś nawet pytać. Będzie mi bardzo brakowało Lee. Praca pozwoli mi zapomnieć o jego nieobecności.

– Lydia chce, żeby Ma zamieszkała w tym domu do czasu jej powrotu. Nie spędziłbyś kilku nocy z matką zamiast w przybudówce?

Micah skinął głową na znak zgody.

– Jutro wracam z Banner do domu. Co prawda robotnicy pilnują tam wszystkiego, ale już najwyższy czas, byśmy się tam zjawili.

Micah przestępował z nogi na nogę.

– Widzisz, myślę...

– No, wyduś to z siebie.

– Zaskoczyło mnie, że się ożeniłeś.

– Muszę ci się przyznać, że mnie też.

– Jak długo, to znaczy: od kiedy ty i ona?...

Jake wzruszył ramionami.

– Od bardzo dawna, braciszku. – Przyglądał się chłopcu w świetle księżyca i widział w nim siebie samego sprzed lat.

– Ona jest w ciąży, Micah. – Widział, że brat przełknął ślinę, ale nie wyrzekł słowa.

– Dziecko jest moje, ale nie ono jest powodem naszego małżeństwa. Ja ją kocham. I proszę cię o przysługę: jeśliby ktokolwiek jakieś złe słowo o niej...

– O to również nie powinieneś prosić, Jake. Niech ktoś tylko spróbuje, to połknie je z własnym językiem.

Jake oparł ręce na ramionach brata.

– Dziękuję. Widzisz, wygląda na to, że moje życie już na dobre jest związane z tym miejscem. Banner i ja nigdy nie opuścimy Plum Creek ani River Bend, więc nie będę potrzebował tych stu sześćdziesięciu akrów, które mąż Anabeth trzyma dla mnie. Czemu nie miałbym ich przekazać tobie?

– Mówisz poważnie, Jake?

– Oczywiście. Tobie się to bardziej przyda niż mnie. Na razie potrzebuję cię tutaj, ale jeśli zechcesz pójść na swoje, daj mi znać i załatwimy to urzędowo.

– Boże! Nie wiem, co powiedzieć…

– Tylko: dobranoc. Robi się późno, a jutro od rana czeka nas masa roboty.

– Dziękuję, Jake.

Micah wyciągnął rękę, a Jake potrząsnął nią uroczyście. Potem rzucił cygaro i przydeptał je dokładnie.

– …branoc.

Skierował się do przybudówki, pozostawiając starszego brata z jego myślami.

*

Banner siedziała na krześle przy oknie swojej sypialni na piętrze i obserwowała męża.

Ile razy siadywała na tym miejscu jako dziecko, podziwiając gwiazdy, księżyc, dumając o swojej przyszłości, o tym, co ją w życiu czeka? Ile razy myślała o Jake'u? Zastanawiała się, gdzie może być i kiedy go znowu zobaczy.

Ale nigdy, nawet w najskrytszych marzeniach, nie wyobrażała sobie, że może zostać jego żoną. Kochać go i kochać się z nim. Nosić w swym łonie jego dziecko.

Przyłożyła dłoń do brzucha. Cząstka Jake'a rosła w jej wnętrzu.

Była ciągle pod wrażeniem tego cudu. Co dzień jej ciało stawało się pełniejsze. Najwyraźniej operacja nie zaszkodziła płodowi. Dzięki macierzyńskiej intuicji wiedziała, że dziecko będzie mocne i zdrowe, i najpiękniejsze na świecie.

Jakie będzie miało włosy? Czarne jak jej i dziadka, czy jasne jak ojca i wszystkich Langstonów? Marzyła o chłopczyku z wielkimi niebieskimi

oczami, kręcącym się po podwórzu, biegającym za Jake'em. To będzie wspaniałe dziecko! Nie mogła się doczekać, kiedy przyciśnie je do siebie, poczuje jego słodki zapach, zacznie karmić piersią i okazywać swą miłość.

Mimo zadowolenia z ciąży nie czuła się w pełni szczęśliwa. Dlaczego Jake nie wraca do domu? Woli stać sam na dworze aniżeli z nią w jasnym pokoju?

Z początku to było trochę dziwne uczucie mieć Jake'a u swego boku, w łóżku, w którym dotychczas sypiała sama. Nikt nie uważał tego za niestosowne, że spali razem. Nikt – z wyjątkiem ich dwojga.

Rzadko ze sobą rozmawiali, gdy byli razem w tym pokoju.

Często leżała już w łóżku, kiedy on kończył przeglądanie ksiąg w biurze. Odnosił się do niej z szacunkiem, toteż była dla niego uprzejma, lecz nie dochodziło do zbliżeń. Spali odwróceni do siebie plecami. Dotykali się tylko przypadkiem.

Którejś nocy odwrócił się do niej. Cicho wyszeptał jej imię. Udawała, że śpi. Czuła, jak przesuwa ręką po jej włosach, czuła delikatną pieszczotę na ramionach, ciepły oddech na karku. Już chciała się odwrócić, wtulić się w jego ramiona, lecz nie mogła się przełamać. Nie mogła zapomnieć, jak obejmował Lydię rankiem po śmierci ojca.

Nic między nimi nie zaszło – o tym Banner była przekonana. Jake wiedział, że Lydia kocha wyłącznie Rossa. On również go kochał i nie odważyłby się znieważyć jego pamięci.

Fakt, że Jake marzy o czymś, co jest nieosiągalne, wcale jej nie pocieszył. Po wyjeździe Lydii był posępny i wyraźnie przygnębiony. Banner przyglądała mu się teraz, jak stoi przy płocie, jakby chciał oczami przebić ciemność i ją zobaczyć.

Biedny Jake! I jakaż ironia losu! Poślubił córkę zaledwie kilka godzin przedtem, nim matka stała się wolna i wreszcie osiągalna. Jakże musi przeklinać swój los!

Żałowała go. Ale właściwie dlaczego? Przecież fatum ciążyło również nad nią!

Poczuła się zmęczona przewrotnością losu. Nie mogła już znieść cierpiętniczej miny Jake'a. I niedobrze jej było od tych jego nudnych czułości: „Jak się czujesz, kochanie?". „Wyglądasz na zmęczoną, kochanie. Może byś się położyła". „Na pewno czujesz się dobrze? Jesteś taka blada".

Nie wytrzyma tego dłużej. Nie może żyć z facetem, który całą duszą tęskni za inną kobietą. Już mu kiedyś powiedziała, że nie chce w domu męczennika. I w łóżku też nie! Jeśli nie może mieć Lydii, niech sobie poszuka innego zastępstwa. Ona nie zamierza nim być!

Zerwała się z krzesła i otworzyła z hałasem drzwi sypialni. Tak, jak stała, w nocnej koszuli, zbiegła po schodach.

Widziała, jak jej matka z podniesioną głową odchodziła od grobu mężczyzny, którego kochała. Banner zdawała sobie sprawę, że Lydia nie wytrzymałaby codziennych odwiedzin mogiły, przypominającej bolesną rzeczywistość, z którą nie mogła się pogodzić.

Banner nie chciała opuszczać Jake'a. To byłoby sprzeniewierzenie się własnemu sercu. Ale nie potrafiła też czekać bezczynnie, aż wszyscy troje doczekają się męczeńskiej śmierci. Co by to było za życie? W którym momencie zaczęliby się wszyscy nienawidzieć? A może, widząc, jak staje się ociężała i bezradna, tamci dwoje zaczęliby się nad nią litować?

Nie! Duma jej na to nie pozwoli! Kiedyś prosiła Jake'a, padała do jego nóg, błagała go i przekonywała, lecz już tego nigdy nie powtórzy. Już nigdy się nie upokorzy. Nie będzie go zmuszała do miłości. Lepiej zerwać to wszystko od razu niż marnotrawić lata na bezowocne wysiłki.

Wpadła prosto na niego. Usłyszał ją, zanim dobiegła, zanim chwyciła jego ręce. Stał bez ruchu jak sparaliżowany. Jej nocna koszula odcinała się na tle ciemności nocy niczym żagiel statku widma. Księżyc świecił jej w oczy, które nagle błysnęły zielonym, kocim blaskiem. Splątane włosy tworzyły srebrzystą aureolę wokół jej głowy. Przypominała gniewną boginię piękności z greckiej mitologii.

– Jeśli tak bardzo tęsknisz, to jedź za nią! – krzyknęła. – Nie będę cię zatrzymywać. Kocham cię i pragnę, ale tak dłużej być nie może. Nie chcę

oglądać na poduszce obok mnie twojej twarzy, z wypisaną na niej tęsknotą za kimś innym.

Odwróciła się tak nagle, że aż piasek sypnął się spod jej bosych stóp. Ruszyła w kierunku domu. Nie zdążyła jednak zrobić nawet paru kroków, gdyż chwycił ją za koszulę.

– Zostaw mnie! – warknęła przez ramię.

– O, nie! – zawołał. – Najwyższy czas, by ktoś przytarł ci rogów, księżniczko Banner! Rozpoczęłaś wojnę, więc będziesz ją znosić tak długo, aż sama poprosisz o podpisanie pokoju.

Wyszarpnęła koszulę z jego ręki, ale nie ruszyła się z miejsca.

– No dobrze – powiedział znacznie spokojniejszym tonem. – O co ci chodzi?

– Przede wszystkim: jestem chora od oglądania twoich dąsów…

– To ja jestem nadąsany? To ty, moja pani, nie raczyłaś przez cały ten czas zamienić ze mną choć trzech słów!

– Niedobrze mi się robi od tej twojej ostentacyjnej, na pokaz, grzeczności. Wolałabym, żebyś się wściekał i klął, niż żebyś miękkimi i nieszczerymi słówkami mydlił mi oczy!

– No wiesz! Ja… nieszczere słówka… – jąkał się z oburzenia.

– Powinieneś się przenieść do przybudówki albo do stajni, skoro towarzystwo koni przedkładasz nad moje…

– I kto to mówi? Dziękuję, będę spał w domu.

– Przecież nie chcesz dzielić ze mną sypialni.

– Co ty, do diabła, wiesz?! Dlaczego, jak myślisz, byłem taki posępny i traktowałem cię jak królową, co? Bo chcę odzyskać swoją żonę.

Wojowniczość opuściła ją w jednej chwili.

– Co takiego?

– Powiedziałem, że chcę odzyskać swoją żonę. Chcę się dowiedzieć, co ci się stało. W dniu, gdy wyszłaś za mnie, zmarł twój ojciec. To ciężkie przeżycie, rozumiem. Człowiekowi w takiej chwili odechciewa się wszystkiego. Zgoda. Ale na jak długo? Minęły już dwa tygodnie! – Starał się zapanować nad rosnącym w nim podnieceniem. – Jestem u kresu

wytrzymałości, Banner. Czas, byś zaczęła zachowywać się jak żona. Marzę o powrocie do nastroju tego popołudnia, kiedy wzięliśmy ślub, i rozpoczęciu wszystkiego od nowa. Przypominasz sobie chyba ten piknik, jaki urządziliśmy sobie w drodze z miasta, prawda? Jak mnie kochałaś, jak wzajemnie się kochaliśmy? Nie wiem, co się z tobą dzieje. Raz jesteś gorąca jak ukrop, a raz zimna jak lód. Odpychasz mnie, gdy tylko chcę się do ciebie zbliżyć. Nie rozumiem cię.

– Czy ją kochasz?

– K o g o, na miłość boską?

– Moją matkę!

Oparł się plecami o płot. Ręce zwisały mu bezradnie wzdłuż ciała. Patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Jak ty sobie to wyobrażasz? Jak mam grać rolę żony, kochać się z tobą, skoro wiem, że kochasz inną? Widziałam was: trzymałeś ją w ramionach tej nocy, gdy zmarł ojciec. Od tamtej chwili snujesz się jak cień i zmuszasz się do spania obok mnie.

Rozmazywała po twarzy łzy.

– Obserwowałam cię, jak żegnałeś się z nią dzisiaj, i serce mi pękało. Wiesz, że jestem dumna. Wypomniałeś mi to kilka razy. Więc powiedz mi, jak mam spędzić resztę życia z mężczyzną, który kocha inną kobietę? W dodatku chodzi o moją matkę! Dwadzieścia lat temu j e j oddałeś swe serce. Nie mogę przecież z nią rywalizować.

– Skończyłaś? – spytał zupełnie spokojnie, gdy przerwała swoją tyradę.

Zamiast odpowiedzi usłyszał głośne siąknięcie nosem.

– Więc wszystko sprowadza się do jednego: jesteś przekonana, że kocham Lydię?

– A może tak nie jest?

– Tak, kocham ją. Zawsze kochałem. Tak samo zresztą jak i Rossa. Przeżyliśmy wspólnie coś, co trudno komuś, kto nie był z nami, zrozumieć. Lydia była i jest mi bliższa niż siostra. W dniu śmierci Rossa cierpieliśmy wspólnie. Ból z powodu jego utraty chcieliśmy rozłożyć na nas dwoje.

– Wiesz dobrze, że nie mówię o braterskiej miłości.

Uderzył się bezwiednie po udach.

– Fakt, że jako młody chłopak postawiłem ją na piedestale. Była dla mnie ucieleśnieniem kobiecości, moim ideałem. Przez długie lata wyobrażałem sobie, że ją kocham. Zazdrościłem Rossowi, że może mieć ją w łóżku co noc. – Wziął głęboki oddech. – Ale nie kocham jej już, Banner. A w każdym razie nie tak jak ciebie. Nigdy nie kochałem jej tak, jak kocham ciebie.

Przez jej ciało przeszedł dziwny dreszcz. Otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, zamknęła je, znowu spróbowała.

– Więc ty m n i e kochasz?

Wzniósł błagalnie oczy do nieba.

– A jak sądzisz? Kocham cię od tej nocy w stajni. Bałem się tej miłości. Walczyłem z nią, bo wydawałaś mi się nieosiągalna, jednak wyzwolić się od niej nie mogłem. Nie chciałem darzyć miłością żadnej kobiety, a zwłaszcza ciebie. Byłaś dla mnie dzieckiem i córką mego najlepszego przyjaciela.

Wyciągnął w jej kierunku rozpostarte ramiona.

– Chodź do mnie!

W jednej chwili przywarła do niego całym ciałem.

– Banner!

Zdawało mu się, że wdycha świeży zapach słońca utajony w jej włosach, którego tak bardzo mu brakowało.

– Byłaś cudowna tej pierwszej nocy. Zawładnęłaś mną całkowicie. Rzuciłaś urok, spod którego nie mogłem i nie chciałem się wyzwolić.

– Nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz.

– Co? Nie powiedziałem? Wobec tego teraz naprawiam ten błąd. Banner, kocham cię.

Dotknął ustami jej ust. Westchnął głęboko. Otoczył ją ramionami i przytulił mocno. Objęła go rękoma i tuliła się do niego jak zziębnięte dziecko do matki.

Patrzył w jej oczy, w których odbijał się blask księżyca.

– Przez całe lata udawałem twardego faceta. Byłem zgorzkniały i nieufny wobec całego świata. Dorastałem bardzo szybko: śmierć Luke'a i takie tam sprawy. Wiele ludzi mnie szanowało, bo byłem dobry w swoim

zawodzie. Wiele bało się mnie, bo nie dawałem się oszukiwać i byłem szybki w posługiwaniu się bronią. Ale nikt tak naprawdę mnie nie znał. Ty pierwsza mnie rozgryzłaś.

– Wiem. Za tymi niebieskimi, zimnymi oczami dostrzegłam człowieka, mężczyznę. – Pocałowała go w szyję. – Twój charakterek wcale mnie nie zrażał.

Odchrząknął, pogłaskał ją po plecach.

– Ty też jesteś cudowna ze swoim temperamentem. Nasze potyczki były dla mnie czymś tak podniecającym…

– Tak samo dla mnie.

– Bez ciebie byłem samotny i opuszczony. Boże! Nigdy bym już nie chciał wracać do tamtych czasów. – Zanurzył twarz w jej włosach.

– Nigdy nie dopuszczałeś do siebie nikogo. Teraz masz mnie i nasze dziecko.

– Powinienem zabrać się do powiększania naszego domu. – Odsunął się i rozkochanymi oczami patrzył na stojącą obok kobietę. – Nie mogę w to uwierzyć!

– Ja tak. Ja to czuję.

– Tak? – Położył rękę na jej piersiach. – Myślę, że masz rację.

Ich usta spotkały się znowu.

Potem oparła głowę o jego pierś.

– Jake, jestem taka rozpalona…

– A wiesz, co to znaczy?

– Oczywiście. Słyszałam to od…

– Wiem, wiem. Lepiej pocałuj mnie, zanim powiesz coś jeszcze bardziej nieprzyzwoitego.

Ocierała się o niego prowokująco, aż poczuła, że jest podniecony.

– Banner, dziewczyno, jak nie przestaniesz, to nie ręczę za siebie.

Oczy jej zabłysły.

– Czyżby to było możliwe?

Uszczypnął ją w pośladek.

– Bezwstydne ladaco! Nie w taką jasną, księżycową noc jak dzisiaj!

– A kiedy?

Wziął ją na ręce i poniósł przez podwórze. Kiedy się zorientowała, że idzie w kierunku stajni, wstydliwie schowała głowę w jego ramionach i przywarła do niego jeszcze mocniej.

– Co tak naprawdę myślałeś o mnie tamtej nocy?

– W pierwszej chwili pomyślałem, że jesteś małą, skrzywdzoną dziewczynką szukającą współczucia. Potem, że jesteś czarownicą posłaną przez diabła, by mnie kusić. Jeszcze później, że to Bóg zesłał swego anioła, ale w tym samym celu. W każdym razie wtedy zacząłem mieć nadzieję.

Nogą zatrzasnął drzwi stajni. Znalazł wolny boks pełen pachnącego, świeżego siana. Położył się na nim, trzymając Banner w ramionach.

– A potem? – szepnęła mu do ucha.

Końcem języka smakował jej usta.

– Potem myślałem, że mi się wszystko przyśniło, bo było to coś najcudowniejszego, co mnie w życiu spotkało.

Objął ją mocniej.

– Kochaj mnie, Banner.

W ciemności jej usta szukały jego ust, jego nagiej skóry. Wsunął ręce pod jej koszulę, objął nabrzmiałe piersi. Miały cudowny smak – pieścił je tak długo, aż westchnęła z rozkoszy. Zdjął z niej koszulę, a następnie zrzucił wszystko z siebie.

– Kocham cię, kocham – mówił w miłosnym uniesieniu.

Ona, jak echo, powtarzała za nim te słowa.